



TANA  
FRENCH

W KORZENIACH KRYJE SIĘ ZŁO

WIEDŹMIE

DRZEWO

ALBATROS

To drzewo skrywa straszliwą tajemnicę. I pewnego dnia postanawia ujawnić ją światu.

Znaleziony w starym więzie szkielet człowieka ściąga do spokojnego domu na przedmieściach Dublina zastępy policji. Zbrodnia nie wydarzyła się dawno – według oceny biegłych około dziesięciu lat wcześniej. Wtedy, kiedy w lokalnym liceum zaginął chłopak. Znał go właściciel domu i troje jego bratanków – Susanna, Leon i Toby. I to na trzeciego z nich pada podejrzenie o morderstwo.

Toby zrobiłby wszystko, by udowodnić swoją niewinność. Ale jego pamięć – po ciężkim pobiciu pełna mętnych wspomnień i białych plam – nie jest w stanie odtworzyć obrazu tamtego lata. Toby będzie więc musiał ścigać widma przeszłości, aż wreszcie stanie przed pytaniem, którego sięgają korzenie wiedźmiego drzewa: Kiedy zaczyna się zło?

**TANA  
FRENCH  
WIEDŹMIE  
DRZEWO**

Z angielskiego przełożył  
Łukasz Praski

**ALBATROS**

Wydanie elektroniczne

## TANA FRENCH

Irlandzka pisarka urodzona w USA; wychowywała się w Irlandii, Malawi i we Włoszech. Od 1990 r. mieszka w Dublinie, gdzie ukończyła teatrologię oraz studia aktorskie w Trinity College i pracowała dla teatru, filmu i telewizji. Jest autorką siedmiu bestsellerowych powieści: *Zdążyć przed zmrokiem* (nagrody Edgara Allana Poe, Anthony, Macavity oraz Barry za debiut powieściowy), *Lustrzane odbicie*, *Bez śladu* (nagroda Irish Crime Fiction), *Kolonia* (nagroda „Los Angeles Times” w kategorii thrillera), *Ściana sekretów*, *Ostatni intruz* oraz *Wiedźmie drzewo*.

[tanafrench.com](http://tanafrench.com)

*Tej autorki*

ZDAŹYĆ PRZED ZMROKIEM  
LUSTRZANE ODBICIE  
BEZ ŚLADU  
KOLONIA  
ŚCIANA SEKRETÓW. WIEM, KTO GO ZABIŁ  
OSTATNI INTRUZ  
WIEDŹMIE DRZEWO

Tytuł oryginału:  
THE WITCH ELM

Copyright © Tana French 2018  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2019

Redakcja: Marta Gral

Zdjęcie na okładce: andreiuc88/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Meszka

ISBN 978-83-8125-689-6

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) |

[Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny,  
[hachi.media](http://hachi.media)

# Spis treści

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

Od autorki

Podziękowania

Przypisy

*Dla Kristiny*

*Panie, wiemy, czym jesteśmy, ale  
nie wiemy, co się z nami stanie.*

William Szekspir, *Hamlet*  
Przełożył Józef Paszkowski

Zawsze uważałem się za osobę, która w zasadzie ma szczęście. Nie chcę przez to powiedzieć, że należę do tych, co potrafią, ot tak, skreślić właściwe liczby w totka i wygrać parę milionów euro albo spóźniają się parę sekund na lotnisko, a potem słyszą, że samolot się rozbił i nikt nie ocalał. Chodzi mi po prostu o to, że udało mi w życiu uniknąć typowych nieszczęść, które spotykają ludzi. Nikt mnie nie molestował w dzieciństwie, nie znęcał się nade mną w szkole; moi rodzice nie rozstali się, nie umarli, nie mieli problemów z uzależnieniami, a jeśli się kłócili, to tylko o głupstwa. Żadna z moich dziewczyn, o ile wiem, mnie nie zdradziła ani nie rzuciła, wywołując u mnie traumę; nigdy nie potrącił mnie samochód, nie chorowałem na nic poważniejszego niż wietrzna ospa, nie musiałem nawet nosić aparatu na zębach. Nie poświęcałem temu większej uwagi, ale gdy o tym myślałem, towarzyszyło mi poczucie satysfakcji, że wszystko dzieje się dokładnie tak, jak powinno.

No i oczywiście miałem Ivy House. Chyba nikt, nawet dziś, nie zdołałby mnie przekonać, że nie zawdzięczałem tego domu swojemu szczęściu. Wiem, że to nie było takie proste, znam wszystkie powody w najdrobniejszych, najintymniejszych szczegółach; mogę je równiutko rozłożyć przed sobą jak czarne gałązki na śniegu i wpatrywać się w ich surowy, runiczny

rysunek, dopóki sam siebie nie przekonam. Wystarczy jednak lekki powiew odpowiedniego zapachu – jaśminu, herbaty Lapsang Souchong, pewnej marki staroświeckiego mydła, której nigdy nie umiałem zidentyfikować – albo promień popołudniowego światła, które pada pod określonym kątem, i natychmiast znowu się zatracam i kapituluję.

Nie tak dawno dzwoniłem nawet w tej sprawie do kuzynów – tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy trochę się wstawiłem grzanym winem na okropnej imprezie w pracy, bo gdybym był trzeźwy, nigdy bym do nich nie zadzwonił, w każdym razie nie po to, żeby prosić ich o opinie, rady czy sam właściwie nie wiem o co. Susanna najwyraźniej uznała, że moje pytanie jest głupie.

– Tak, jasne, że mieliśmy szczęście. To było niesamowite miejsce. – Ponieważ milczałem, dodała: – Jak chcesz rozgrzebywać inne rzeczy, to... – długie cięcie nożyczek i szelest papieru, w tle radosny i uroczy śpiew chłopięcego chóru; właśnie pakowała prezenty – ...ja bym tego nie robiła. Wiem, łatwo mi mówić, ale serio, Toby, po co to rozgrzebywać po tylu latach? Ale jak sobie chcesz.

Leon, który z początku autentycznie ucieszył się z mojego telefonu, błyskawicznie zeszywniał.

– Skąd mam to wiedzieć? Słuchaj, skoro już dzwonisz, zamierzałem wysłać ci maila. Zastanawiam się, czy nie wpaść do domu w okolicach Wielkanocy. Będziesz...

Przerwałem mu nieco wojowniczym tonem, domagając się odpowiedzi, chociaż doskonale wiedziałem, że to najgorsza metoda na Leona, a on udał, że ma zły zasięg, i odłożył słuchawkę.

A jednak, jednak... to ma znaczenie, moim zdaniem – przynajmniej w tym momencie – największe ze wszystkich. Musiało minąć tyle czasu, żebym zaczął się zastanawiać, czym może być szczęście, jak może być cudownie złudne, jak bezlitośnie przewrotne i najeżone pułapkami, jak śmiertelnie niebezpieczne.

\* \* \*

Tamta noc. Wiem, że mogę zacząć swoją opowieść w dowolnym z niezliczonych miejsc, doskonale zdaję sobie sprawę, że wszyscy inni, którzy brali w niej udział, nie zgodziliby się z moim wyborem – już widzę kpiąco uniesiony kącik ust Susanny, słyszę pogardliwe prychnięcie Leona. Nic jednak na to nie poradzę: dla mnie punktem wyjścia jest tamta noc, ciemne drzwi na zardzewiałych zawiasach, oddzielające „przedtem” od „potem”, wsunięta w środek tafla magicznego szkła, która wszystko po jednej stronie zabarwia własnym ponurym kolorem, a wszystko po drugiej pozostawia rozświetlone, boleśnie bliskie, nietknięte i nieosiągalne. Chociaż można udowodnić, że to absurd – czaszka tkwiła przecież wtedy w swojej kryjówce już od wielu lat i prawdopodobnie ukazałaby się tego lata tak czy inaczej – nie umiem się jednak oprzeć przekonaniu, choć to wbrew logice, że bez tamtej nocy nie wydarzyłaby się żadna z tych rzeczy.

Noc zaczęła się od całkiem niezłego wieczoru, można powiedzieć, że świetnego. Był kwietniowy piątek, dzień, w którym pierwszy raz naprawdę czuło się w powietrzu wiosnę,

a ja wyszedłem do pubu z dwoma najlepszymi kumplami ze szkoły. W Hogan's było gwarno, ciepły dzień rozwiał i rozsypał włosy wszystkim dziewczynom, chłopcy mieli podwinięte rękawy, rozmowy i śmiech nawarstwiały się i gęstniały, dopóki muzyka nie stopiła się w jeden tętniący w podświadomości rytm reggae, którego radosne bum-bum-bum dudniło w podłodze pod stopami. Czułem się jak na haju, choć nie brałem ani koki, ani niczego w tym stylu. W ciągu tygodnia miałem pewne kłopoty w pracy, ale tamtego dnia wszystkie się rozwiązały i od poczucia triumfu trochę kręciło mi się w głowie, co chwilę przyłapywałem się na tym, że za szybko mówię albo zbyt zamasyście przechylam piwo. Zerkała na mnie wyjątkowo ładna brunetka z sąsiedniego stolika, a kiedy przypadkiem zatrzymałem na niej wzrok, posłała mi uśmiech, który trwał o sekundę za długo; nie chciałem tego wykorzystać – miałem naprawdę świetną dziewczynę i nie zamierzałem jej zdradzać – ale fajnie było wiedzieć, że jeszcze nie jestem do niczego.

– Podobasz się jej – zauważył Declan, wskazując ruchem głowy brunetkę, która teatralnym gestem odrzuciła do tyłu głowę, śmiejąc się z żartu koleżanki.

– Ma dobry gust.

– Jak tam Melissa? – spytał Sean, moim zdaniem niepotrzebnie. Nawet gdyby nie Melissa, ta nie była w moim typie; widowiskowe krągłości ledwie mieściły się w obcisłej czerwonej vintage'owej sukience i wyglądała na osobę, która lepiej czułaby się w bistrze zasnutym dymem z gauloise'ów, przyglądając się, jak kilku facetów walczy o nią na noże.

– Jest wspaniała – odparłem zgodnie z prawdą. – Jak zawsze. – Melissa stanowiła przeciwieństwo brunetki: drobna, o rozwichrzonych blond włosach i słodkiej, usianej piegami twarzyczce, z natury miała skłonność do rzeczy, które uszczęśliwiały ją i wszystkich wokół. Lubiła nosić jasne kwieciste sukienki z miękkiej bawełny, piec własny chleb, tańczyć do każdej melodii z radia, urządzać pikniki z płóciennymi serwetkami i idiotycznym zestawem serów. Nie widziałem już Melissy od paru dni i na myśl o niej zatęskniłem za każdym przejawem jej obecności, jej śmiechem, dotykiem jej nosa wtulonego w moją szyję, jej włosami pachnącymi wiciokrzewem.

– Jest wspaniała – powtórzył Sean zbyt znaczącym tonem.

– Tak. Właśnie to powiedziałem. Ja z nią chodzę i wiem, że jest wspaniała. Wspaniała.

– Jesteś na speedzie? – zainteresował się Dec.

– Wasze towarzystwo mnie odurza. Stary, jesteś ludzkim odpowiednikiem najczystszej, najbielszej kolumbijskiej...

– Jesteś na speedzie. Podzieliłbyś się, ty skąpy sukinsynu.

– Jestem czysty jak pupa niemowlęcia. Ty wredny żebraku.

– To czemu w takim razie obcinasz tę laskę?

– Jest piękna. To, że facet potrafi docenić urodę, nie znaczy jeszcze...

– Za dużo kawy – zawyrokował Sean. – Wlej w siebie jeszcze trochę tego, to cię wyleczy. – Wskazywał na moją szklanę.

– Dla ciebie wszystko – odpowiedziałem i wychyliłem prawie całą resztę piwa. – Aaach...

– Jest po prostu fantastyczna – rzucił Dec, przypatrując się tęsknie brunetce. – Aż żal, że się marnuje.

– Śmiało, idź zagadać – zachęciłem go. Nic z tego, nigdy nie zagadywał do dziewcząt.

– Hm.

– Idź. Dopóki na ciebie patrzy.

– Wcale nie patrzy na mnie. Patrzy na ciebie. Jak zwykle. – Dec był krępy i wiecznie spięty, miał czuprynę niesfornych miedzianych włosów i nosił okulary. Wyglądał całkiem w porządku, ale w jakimś momencie życia nabrał przekonania, że nie wygląda, co miało łatwe do przewidzenia skutki.

– Hej! – Sean udawał urażonego. – Te laski patrzą na mnie.

– Tak, jasne. Zastanawiają się, czy jesteś ślepy, czy włożyłeś tę koszulę, bo się z kimś założyłeś.

– Zazdrość – odparł Sean i ze smutkiem pokręcił głową. Był wysokim facetem, metr osiemdziesiąt osiem; miał szeroką i szczerą twarz, a jego muskulatura rugbyisty dopiero zaczynała wiotczeć. Rzeczywiście, często przyciągał uwagę kobiet, ale z tego nie korzystał, ponieważ od szkoły był w szczęśliwym związku z tą samą dziewczyną. – Okropna rzecz.

– Nie martw się – pocieszyłem Declana. – Wszystko wkrótce się zmieni. Dzięki temu... – Subtelnym ruchem głowy wskazałem na jego rudą strzechę.

– Dzięki czemu?

– No przecież wiesz. Temu. – Szybko pokazałem na swoje włosy nad czołem.

– O czym ty gadasz?

Nachylając się dyskretnie nad stolikiem, powiedziałem przyciszonym głosem:

– O implantach. Brawo, stary.

- Nie mam żadnych pieprzonych implantów!
- Nie ma się czego wstydzić. W dzisiejszych czasach robią to wszystkie wielkie gwiazdy. Robbie Williams. Bono.  
Oczywiście jeszcze bardziej oburzyłem tym Deca.
- Z moimi włosami nic złego się nie dzieje, do cholery!
- Przecież mówię. Wyglądają fantastycznie.
- W ogóle nie rzucają się w oczy – zapewnił go Sean. – Nie chodzi mi o to, że ich nie widać, ale że fajnie wyglądają, rozumiesz?
- Nie rzucają się w oczy, bo nie istnieją – gorączkował się Dec.
- Nie mam żadnych...
- Daj spokój – przerwałem mu. – Przecież je widzę. Tu i...
- Odwal się ode mnie!
- Wiem. Zapytajmy tę panią, co o tym sądzi. – Zacząłem dawać znak brunetce przy stole obok.
- Nie. Nie, nie, nie. Tobie, mówię serio, naprawdę cię zabiję... – Usiłował chwycić mnie za rękę, którą machałem. Zdążyłem zrobić unik.
- Idealny temat na początek rozmowy – zauważył Sean. – Nie wiedziałeś, jak zagadać, prawda? No to masz okazję.
- Walcie się obaj – odciął się Dec, porzucając próby złapania mojej ręki i wstając. – Jesteście parą debili. Wiecie o tym?
- Och, Dec, nie opuszczaj nas – poprosiłem.
- Idę do kibla. Dam wam szansę, żebyście się opanowali. Pajacu – zwrócił się do Seana – chyba ty teraz stawiasz.
- Chce sprawdzić, czy wszystkie są na miejscu – powiedział do mnie Sean, wskazując gestem na swoje włosy, po czym znów

spojrzał na Deca. – Zburzyłeś je sobie. Zobacz, w tym miejscu zupełnie się...

Dec pokazał nam obu środkowy palec i ruszył przez tłum w stronę toalety; starał się zachować godność, przeciskając się między tyłkami i rozkołysanymi szklankami, mocno skupiony na tym, by nie zwracać uwagi na nasz wybuch śmiechu i na brunetkę.

– Na chwilę naprawdę dał się nabrać – rzucił Sean. – Cymbał. Jeszcze raz to samo?

Gdy ruszył do baru, a ja miałem chwilę dla siebie, wysłałem SMS-a do Melissy: *Wyskoczyłem z chłopakami na piwo. Zadzwoń później. Kocham cię.* Odpisała od razu: *Sprzedalam ten idiotyczny fotel w stylu steampunk!!!* i kilka emotikonów z fajerwerkami. *Projektantka była taka szczęśliwa, że płakała do słuchawki, a ja tak się cieszyłam z jej radości, że też o mało się nie poryczałam :-).* *Pozdrów ode mnie chłopaków. Też cię kocham xxx.* Melissa prowadziła maleńki sklepik w Temple Bar, w którym sprzedawała osobliwe rzeczy projektowane przez Irlandczyków: zabawne zestawy połączonych ze sobą porcelanowych wazonów, kaszmirowe koce w neonowe kolory, ręcznie rzeźbione gałki do szuflad w kształcie śpiących wiewiórek albo rozłożystych drzew. Ten fotel próbowała sprzedać od wielu lat. Odpisałem: *Gratulacje! Jesteś tytanem sprzedaży.*

Sean przyszedł z piwem, a Dec wrócił z toalety, znacznie bardziej opanowany, ale wciąż skrzętnie unikał wzroku brunetki.

– Spytaliśmy tę panią o zdanie – poinformował go Sean. – Według niej implanty włosów są piękne.

- Powiedziała, że podziwia je przez cały wieczór – dodałem.
- Pytała, czy mogłaby ich dotknąć.
- I czy mogłaby je polizać.

– Pocałujcie się w dupę. Powiem ci, czemu ciągle się na ciebie gapi, gnido – zwrócił się do mnie Dec, przysuwając sobie stołek. – Nie dlatego, że jej się podobasz, ale dlatego, że widziała twoją przymilną gębę w gazecie i próbuje sobie przypomnieć, czy oskubałeś jakąś babcię z oszczędności, czy przeleciałeś piętnastolatkę.

- To by jej w ogóle nie obchodziło, gdybym się jej nie podobał.
- Chyba śnisz. Sława uderzyła ci do głowy.

Parę tygodni wcześniej rzeczywiście w gazecie ukazało się moje zdjęcie – w rubryce towarzyskiej, przez co spadła na mnie lawina drwin i złośliwości – bo podczas zdarzenia związanego z pracą, otwarcia wystawy, zdarzyło mi się rozmawiać z pewną aktorką, weteranką telenoweli. Zajmowałem się PR-em i marketingiem w niezbyt dużej, ale dość prestiżowej galerii sztuki w centrum miasta, parę uliczek i zaułków od Grafton Street. Nie o takiej pracy myślałem, gdy kończyłem college; miałem w planach dużą agencję PR, a na rozmowę kwalifikacyjną poszedłem w ramach ćwiczeń. Kiedy się tam jednak znalazłem, nieoczekiwanie spodobał mi się wysoki georgiański, prawie nieremontowany budynek, w którym wszystkie podłogi były nachylone pod dziwnymi kątami, i spodobał mi się również właściciel galerii, Richard, który przypatrywał mi się zza przekrzywionych okularów i pytał o moich ulubionych irlandzkich artystów. Na szczęście przygotowałem się do rozmowy, więc potrafiłem udzielić na

wpół sensownych odpowiedzi i ucieliśmy sobie długą i sympatyczną pogawędkę o le Brocquyu i Pauline Bewick oraz wielu innych osobach, których nazwiska wcześniej ledwie obły mi się o uszy. Spodobała mi się też zapowiedź, że dostanę wolną rękę. W dużej firmie pierwsze parę lat spędziłbym przed komputerem, posłusznie podlewając i przycinając cudze pomysły na świetne kampanie w mediach społecznościowych, wahając się, czy usunąć rasistowskie komentarze internetowych trolli na temat nowego smaku czipsów, czy zostawić je, żeby robiły szum. W galerii mógłbym wypróbować wszystko, co chciałem, naprawiać w locie swoje błędy żółtodzioba i nikt nie patrzyłby mi przez ramię – Richard nie był pewien, czym właściwie jest ten Twitter, choć wiedział, że naprawdę może mu się przydać, i z pewnością nie należał do entuzjastów mikrozarządzania. Gdy zaproponował mi pracę, co mnie nieco zaskoczyło, nie wahałem się ani chwili. Spędzę u niego parę lat, pomyślałem, dopiszę do CV kilka błyskotliwych sukcesów w reklamie, a potem będę mógł wskoczyć do jednej z dużych agencji na stanowisko, które rzeczywiście sprawi mi satysfakcję.

Mijało właśnie pięć lat, zaczynałem badać grunt i spotykałem się z całkiem miłym odzewem. Wiedziałem, że będę tęsknił za galerią – polubiłem nie tylko wolność, ale także samą pracę, polubiłem artystów z ich śmiesznym zamiłowaniem do perfekcjonizmu, cieszyłem się, gdy stopniowo zaczynałem rozumieć, dlaczego Richard z entuzjazmem rzuca się na jednego artystę, a drugiemu z miejsca odmawia. Miałem jednak dwadzieścia osiem lat, rozmawialiśmy z Melissą o wspólnym mieszkaniu, a choć galeria płaciła nieźle, to jednak bez

porównania mniej niż duże agencje, czułem więc, że już czas spoważnieć.

Wszystko to w ostatnim tygodniu o mały włos nie poszło z dymem, ale szczęście mnie nie opuściło. Moje myśli szalały jak stado border collie i to było zaraźliwe, Sean i Dec zwijali się ze śmiechu. Planowaliśmy tego lata męskie wakacje, nie mogliśmy się jednak zdecydować, dokąd pojedziemy. „Tajlandia? Zaraz, kiedy jest pora monsunów?” Poszły w ruch telefony. „Kiedy jest pora zamachów stanu?” Dec z jakiegoś powodu upierał się przy Fidzi. „To musi być Fidzi, nigdy więcej nie będziemy już mieli okazji, kiedy...” Niby subtelnym gestem wskazał na Seana. W Boże Narodzenie Sean się żenił i choć po dwunastu latach związku trudno było mówić o niespodziance, to jednak ślub wydawał się niespodziewany i niepotrzebny, a gdy pojawiał się jego temat, nieuchronnie prowadził do drwin: „Stary, jak tylko powiesz »tak«, twoje dni będą już policzone. Zanim się zorientujesz, będziesz miał dzieciaka i po tobie...”. „Za ostatnie wakacje Seana!” „Za ostatnie wyjście do pubu Seana!” „Za ostatni łódzik Seana!” W rzeczywistości Dec i ja bardzo lubiliśmy Audrey, a na widok krzywego uśmiechu Seana – udawał złość, ale w głębi serca cieszył się jak dziecko – pomyślałem o Melissie, z którą byłem od trzech lat i być może powinienem się już oświadczyć. Tymczasem cała ta nasza gadanina o ostatnich okazjach kazała mi zerknąć na brunetkę przy sąsiednim stoliku, która opowiadała anegdotę, pomagając sobie żywo gestami rąk o karminowych paznokciach, a z kąta, pod jakim przechylała szyję, odgadłem, że doskonale zdaje sobie sprawę, że na nią patrzę, i nie miało to nic wspólnego ze zdjęciem w gazecie. „Nie

martw się, Sean, zadbamy o ciebie w Tajlandii!” „Za pierwszego tajskiego transa dla Seana!”

Moje wspomnienia tego, co było potem, są nieco porwane. Oczywiście później analizowałem je milion razy, obsesyjnie przeczesując każdą nitkę w poszukiwaniu supła, nieodwracalnie zmieniającego cały wzór. Miałem nadzieję, że istnieje jeden szczegół, którego wagę przegapiłem, maleńki zwornik, wokół którego wszystkie kawałki ułożą się we właściwych miejscach i całość rozbłyśnie różnobarwnym światłem jak komplet obrazków w jednorękim bandycie, a ja podskoczę z okrzykiem „Eureka!”. Nie pomagały mi w tym zadaniu brakujące elementy („To się bardzo często zdarza” – uspokajali mnie lekarze. Zupełnie normalne, och, bardzo, bardzo normalne). Z czasem sporo z nich wróciło, sięgnąłem też do pamięci Seana i Deca, by pracowicie i posiłkując się logiką, złożyć obraz tamtego wieczoru jak stary fresk z ocalonych fragmentów, ale skąd mogłem mieć pewność, co wypełniało luki? Potrąciłem kogoś ramieniem przy barze? Mówiłem za głośno, unoszony na skrzydłach euforii, a może wyrzuciłem ramię w szerokim geście i trafiłem w czyjeś piwo? Może w ciemnym kącie szczyrzył zęby nafaszerowany sterydami były chłopak brunetki? Nigdy nie uważałem się za człowieka, która szuka guza, ale niczego nie można było wykluczyć.

Długie, kremowe smugi światła na ciemnym drewnie. Dziewczyna w sztruksowym kapeluszu z opadającym rondem, oparta o bar i rozmawiająca z barmanem o jakimś koncercie, kiedy poszedłem zamówić kolejkę, wschodnioeuropejski akcent, ręce wyginające się w nadgarstkach jak u tancerki. Podeptana

ulotka na podłodze, zielono-żółta, pseudonaiwny rysunek jaszczurki gryzącej własny ogon. Poszedłem umyć ręce w toalecie, zapach środka dezynfekującego, chłód.

Pamiętam za to, jak zadzwonił mój telefon, w samym środku burzliwej dyskusji o tym, czy następny film z serii *Gwiezdnych wojen* będzie gorszy od poprzedniego, jak miał dowodzić skomplikowany algorytm ułożony przez Deca. Rzuciłem się, aby sprawdzić wiadomość – myślałem, że ma coś wspólnego z sytuacją w pracy, Richard chce poznać najnowsze wiadomości, a może Tiernan w końcu zdecydował się odpowiedzieć na moje telefony – ale to było tylko urodzinowe zaproszenie z Facebooka.

– Co tam? – zainteresował się Sean, zerkając na mój telefon, a ja uświadomiłem sobie, że sięgnąłem po niego zbyt gwałtownie.

– Nic – odparłem i schowałem komórkę. – A co powiecie na przykład o *Uprowadzonej*, w pierwszej części córka jest ofiarą, a potem zmienia się w prawą rękę bohatera... – I wróciliśmy do rozmowy o filmach, w której przeskakiwaliśmy na tyle tematów, że żaden z nas już nie pamiętał, jakie zdanie kto miał na początku. Właśnie tego potrzebowałem: żeby Dec gestykulował pochylony nad stołem, Sean z niedowierzaniem rozkładał ręce, żebyśmy starali się przekrzyczeć jeden drugiego w zażartej dyskusji o Hagridzie... Jeszcze raz wyjąłem telefon i wyciszyłem.

Kłopoty w pracy nie wynikły z mojej winy, a jeśli się do nich przyczyniłem, to w marginalnym stopniu. Wszystko zaczęło się od Tiernana, faceta odpowiadającego za wystawy, chudego hipstera o długim podbródku, który nosił klasyczne okulary w rogowych oprawkach i najchętniej rozmawiał na swoje dwa ulubione tematy: o mało znanych kanadyjskich zespołach

grających alternatywny folk oraz o niesprawiedliwości wynikającej stąd, że jego sztuka (staranne portrety olejne bywalców imprez rave z głowami gołębi o bezmyślnych oczach i tego typu dzieła, które powstawały w pracowni zafundowanej mu przez rodziców) nie zyskała sławy, na jaką zasługiwała. Rok wcześniej Tiernan wpadł na pomysł zorganizowania zbiorowej wystawy, na której wykluczona społecznie młodzież przedstawiałaby przestrzeń miejską. Obaj z Richardem przyklasnęliśmy projektowi. Łatwiej moglibyśmy nagłośnić takie przedsięwzięcie tylko wówczas, gdyby wśród społecznie wykluczonej młodzieży znaleźli się syryjscy uchodźcy, najlepiej transseksualni, a Richard, mimo że chodził w przetartych tweedach i sprawiał wrażenie zupełnie oderwanego od rzeczywistości, świetnie zdawał sobie sprawę, że galeria potrzebuje prestiżu i środków finansowych, bo inaczej zostanie zamknięta. Zaledwie kilka dni po tym, jak Tiernan wyszedł z pomysłem wystawy – zrobił to mimochodem na comiesięcznym zebraniu, strzepując z serwetki cukier z pączka – Richard dał mu zielone światło.

Poszło jak z płotka. Tiernan przeszukał najbardziej podejrzane szkoły i bloki komunalne (w jednym z tych miejsc grupka ośmiolatków na jego oczach za pomocą młotka kamieniarskiego zmieniła jego rower w dzieło Salvadora Dalego) i zebrał grupę dzieciaków o odpowiednio złej reputacji, z drobnymi przestępstwami na koncie, oraz kolekcję stworzonych przez nich niechlujnych rysunków, na których pojawiały się strzykawki, odrapane bloki, czasem koń. Trzeba przyznać, że nie wszystkie były aż tak przewidywalne. Pewna

dziewczyna na przykład konstruowała małe, ponure modele domów swoich rodzin zastępczych, wykorzystując materiały podkradzione z opuszczonych placów budowy – brezentowa figurka mężczyzny siedziała zgarbiona na kanapie wyciosanej z kawałka betonu, obejmując ramieniem lalkę-dziewczynkę w sposób, który budził we mnie niepokój. Inny z kolei dzieciak z przedmiotów, które znajdował na klatce schodowej w swoim bloku – z rozgniecionej zapalniczki, dziecięcych okularów ze skrzywionym zausznikiem czy torby foliowej związanej w misterny supeł – robił gipsowe odlewy przypominające zastygłe figury z Pompejów. Zakładałem, że wystawa będzie sukcesem wyłącznie dzięki swojemu wymiarowi moralnemu, ale znalazło się na niej parę naprawdę niezłych rzeczy.

Tiernan był szczególnie dumny z jednego odkrycia: osiemnastolatka znanego pod pseudonimem Gouger. Gouger nie chciał podać swojego prawdziwego nazwiska, rozmawiać z nikim prócz Tiernana ani, niestety, udzielać wywiadów – większą część życia spędził w poprawczakach, dlatego zyskał sobie skomplikowaną sieć wrogów i obawiał się, że kiedy zobaczą, jak staje się sławny i bogaty, będą go ścigać – ale artystą był niezłym. Używał różnych technik, farby w sprayu, fotografii, rysunku piórkiem, nakładając je warstwa po warstwie z pozorną niedbałością, która dawała wrażenie gorączkowego pośpiechu, kazała widzowi patrzeć uważnie i szybko, zanim coś zniecka wyskoczy z boku i z rykiem roztrzaska obraz na odłamki kolorów i kresek. Jego sztandarowe dzieło – wielki, nakreślony węglem krąg nastolatków, z odrzuconymi do tyłu głowami, wrzeszczących wokół namalowanego sprayem ogniska

i potrząsających puszkami, z których neonowym łukiem tryska alkohol – nosiło tytuł *BoHeroin Rhapsody*, a kiedy umieściłem je na naszej facebookowej stronie, zainteresowało kilku kolekcjonerów.

Wydział Sztuki i rada miejska Dublina dosłownie zasypywały nas pieniędzmi. Media poświęcały nam więcej uwagi, niż się spodziewałem. Tiernan przyprowadził swoje dzieciaki, które łąziły po galerii, trącały się łokciami, półgłosem wygłaszały złośliwe uwagi i z nieodgadzionymi minami przyglądały się prezentowanym na wystawie *Dywergencje* abstrakcjom wykonanym z użyciem technik mieszanych. Na nasze zaproszenie odpowiedziało wiele znakomitości, informując nas, że z wielką przyjemnością wezmą udział w wernisażu. Richard dreptał uśmiechnięty po galerii, nucąc arie z operetek, przetykane dziwnymi melodiami, które gdzieś usłyszał (Kraftwerk??). Dopiero po jakimś czasie wszedłem pewnego popołudnia bez pukania do pokoju Tiernana i zobaczyłem, jak kuca na podłodze, poprawiając ostatnie detale najnowszego arcydzieła Gougera.

Kiedy minęła sekunda szoku, wybuchnąłem śmiechem. Rozbawił mnie wyraz twarzy Tiernana – mieszanina pąsowego poczucia winy i nastroszonej gotowości do obrony – gdy szukał wiarygodnej wymówki. Śmiałem się też z samego siebie, że tak beztrąsko przyjąłem wszystko za dobrą monetę, niczego nie podejrzewając, choć oczywiście powinienem zorientować się już parę miesięcy wcześniej. Bo właściwie kiedy upośledzona społecznie młodzież pojawiła się w polu zainteresowań Tiernana?

– No, no – powiedziałem, nie przestając się śmiać. – Patrzcie tylko.

– Ciii – syknął. Uniósł ręce i nerwowo zerknął na drzwi.

– Oto i nasz Gouger. We własnej osobie.

– Jezu, zamknij się, proszę. Przecież Richard...

– Jesteś przystojniejszy, niż przypuszczałem.

– Posłuchaj, Toby. Nie, nie, posłuchaj... – Rozłożył ręce przed obrazem i wyglądało to tak absurdalnie, jakby próbował go ukryć: „Obraz? Jaki obraz?”. – Jeżeli to się wyda, to koniec, już po mnie, nikt się nie...

– Jezu, Tiernan – powiedziałem. – Uspokój się.

– Te obrazy są dobre, Toby. Naprawdę dobre. Ale to jedyny sposób. Jeżeli będzie wiadomo, że są moje, nikt się nimi nie zainteresuje, studiowałem sztukę...

– To tylko prace Gougera? Czy innych dzieciaków też?

– Tylko Gougera. Przysięgam.

– Hm. – Zajrzałem mu przez ramię. Klasyczny Gouger, gruba warstwa czarnej farby, na której wydrapano postacie dwóch chłopców zwartych w zapaśniczym chwycie, a przez ich sylwetki było widać ścianę precyzyjnie narysowanych ołówkiem balkonów i wyraźne mikroskopijne sceny rozgrywające się na każdym z nich. Namalowanie tego obrazu musiało trwać wieki. – Od kiedy to planowałeś?

– Od jakiegoś czasu, ale nie zamierzałem... – Wlepił we mnie zaskoczone spojrzenie. Był bardzo zdenerwowany. – Co chcesz zrobić? Chcesz...

Prawdopodobnie powinienem od razu iść do Richarda i opowiedzieć o wszystkim, a przynajmniej znaleźć pretekst, by

zdjąć z wystawy prace Gougera – albo że wrogowie są na jego tropie, albo że mógłby przedawkować, licząc na to, że stanie się jeszcze większą atrakcją. Szczerze mówiąc, w ogóle nie brałem tego pod uwagę. Wszystko szło doskonale, a osoby zaangażowane w to przedsięwzięcie cieszyły się jak dzieci. Przerwanie przygotowań zepsułoby ludziom radość, moim zdaniem bez wyraźnego powodu. Gdyby nawet przyjrzeć się etycznej stronie sprawy, dotyczyła w zasadzie tylko Tiernana. Nigdy nie podzielałem samokrytycznego przekonania klasy średniej, że życie w biedzie i skłonność do popełniania drobnych przestępstw w magiczny sposób czynią człowieka szlachetniejszym, wręcz autentyczniejszym i pozwalają mu na głębszy kontakt z artystyczną prawdą. Jeśli chodziło o mnie, wystawa wyglądała dokładnie tak samo jak dziesięć minut wcześniej; jeżeli ludzie, zamiast podziwiać całkiem niezłe obrazy, które mieli przed nosem, woleli skupiać się na jakimś miłym złudzeniu gdzieś za nimi, to był ich problem, nie mój.

– Spokojnie – powiedziałem. Tiernan był w takim stanie, że pozostawianie go w nim dłużej byłoby okrucieństwem. – Niczego nie zamierzam robić.

– Nie?

– Słowo.

Wolno odetchnął, wypuszczając powietrze drżącymi ustami.

– Okay. Rany, ale się przeraziłem. – Wyprostował się i przyjrzał obrazowi, po czym poklepał górną krawędź, jakby uspokajał spłoszone zwierzę. – Są dobre. Dobre, prawda?

– Wiesz, co powinieneś zrobić? – odparłem. – Więcej tych z ogniskami. Żeby powstała seria.

Oczy mu rozbłysły.

– Mógłbym – rzucił. – Niezły pomysł... od ułożenia ogniska aż po świt, kiedy, rozumiesz, zostaje tylko popiół... – Odwrócił się do biurka, szukając papieru i ołówka, a w myślach malował już po kolei wszystkie sceny.

Wyszedłem, żeby mu nie przeszkadzać.

Po tym małym potknięciu przygotowania do wystawy znów potoczyły się gładko i wyszły na ostatnią prostą przed otwarciem. Tiernan w szalonym tempie pracował nad serią obrazów z ogniskami, spiesząc się do tego stopnia, że sypiał chyba nie więcej niż dwie godziny na dobę, ale jeśli ktokolwiek zwrócił uwagę, że chodzi brudny, ma nieprzytomny wzrok i ciągle ziewa, nie miał powodu kojarzyć tego z obrazami, które przynosił z triumfalną regularnością. Z anonimowości Gougera utkałem zagadkę na miarę drugiego Banksy'ego, tworząc szereg fałszywych kont na Twitterze, gdzie w języku półanalfabetów przetykanym internetowym slangiem toczyły się dyskusje, czy to ten gość z bloków, który wtedy dźgnął nożem Mixiego, bo jeżeli tak, to Mixie go szuka. Media rzuciły się na to łapczywie, a liczba obserwujących nasze konto gwałtownie podskoczyła. Rozmawiałem z Tiernanem pół żartem, pół serio o zaangażowaniu autentycznego dresiarza, aby stał się twarzą produktu w zamian za odpowiednio wysoką sumę, którą mógłby finansować swój nałóg; oczywiście potrzebny byłby ćpun, by uzyskać jak najbardziej naturalistyczny efekt. Ostatecznie jednak porzuciliśmy ten pomysł, ponieważ dresiarz nałogowiec okazałby się zbyt krótkowzroczny i pogrzebałby własną wiarygodność: prędzej czy później albo zacząłby nas

szantażować, albo domagać się kontroli nad artystyczną stroną projektu i sytuacja mogłaby się skomplikować.

Pewnie powinienem się martwić, co będzie, jeśli plan się nie powiedzie – czyhało tyle niebezpieczeństw, na przykład mógł się trafić dziennikarz z ambicjami śledczymi, mogłem palnąć byka w slangu na twitterowym koncie Gougera – ale w ogóle się tym nie przejmowałem. Zawsze uważałem zamartwianie się za śmiechu wartą stratę czasu i energii; znacznie łatwiej jest spokojnie zajmować się swoimi sprawami, a problemy rozwiązywać dopiero wtedy, gdy się pojawią, jeżeli w ogóle się pojawią, co najczęściej się nie zdarza. Dlatego byłem kompletnie zaskoczony, gdy miesiąc przed planowanym otwarciem wystawy i zaledwie cztery dni przed tamtą nocą Richard wszystkiego się dowiedział.

Nadal nie jestem pewien, jak do tego właściwie doszło. Ze strzępów informacji, które do mnie dotarły, udało mi się wywnioskować, że chodziło o jakiś telefon (stałem przyklejony do drzwi swojego pokoju i wpatrywałem się w odrapaną białą farbę, czując, jak powoli przyspiesza mi tętno aż do nieprzyjemnego pulsowania w gardle), ale Richard wyrzucił Tiernana tak szybko, w tak burzliwym porywie wściekłości, że nie mieliśmy nawet okazji pogadać. Potem wparował do mojego pokoju – zdążyłem odskoczyć, żeby nie dostać drzwiami w twarz – kazał mi się wynosić i nie wracać do piątku, bo wtedy zamierzał podjąć decyzję, co ze mną zrobić.

Wystarczyło rzucić na niego okiem – blady jak ściana, z pogniecionym kołnierzykiem i szczękami zaciśniętymi jak pięści – żebym posłuchał głosu rozsądku i ugryzł się w język,

nawet gdybym miał szansę wymyślić coś w miarę składowego, zanim zatrzasnął za sobą drzwi z hukiem, który zdmuchnął mi papiery z biurka. Spakowałem rzeczy i wyszedłem, unikając spojrzenia okrągłych oczu naszej księgowej Aideen, wyglądającej z zaciekawieniem przez szparę w drzwiach, a idąc na dół schodami, starałem się maszerować zwawym i beztroskim krokiem.

Przez następne trzy dni głównie się nudziłem. Pomysł, aby komuś powiedzieć, co się stało, byłby idiotyczny, skoro istniało spore prawdopodobieństwo, że cała sprawa rozejdzie się po kościach. Zdumiało mnie tylko natężenie gniewu Richarda – jasne, można było się spodziewać, że będzie zły, ale ten napad furii wydawał się przesadną reakcją. Byłem prawie pewien, że po prostu miał gorszy dzień i kiedy wrócę do pracy, już mu przejdzie. Tkwiałem więc w domu przez cały dzień, żeby przypadkiem nikt nie zauważył mnie w miejscu, w którym nie powinno mnie być. Nie mogłem nawet do nikogo zadzwonić. Nie mogłem spędzić nocy u Melissy ani zaprosić jej do siebie, bo być może rano chciałyby iść razem ze mną do pracy – jej sklep był tylko pięć minut od galerii, więc po wspólnej nocy przeważnie wychodziliśmy razem, trzymając się za ręce i szczebiocząc jak para nastolatków. Powiedziałem jej, że się przeziębiam, i przekonałem ją, by nie zjawiała się, żeby się mną zająć, bo mogłaby się zarazić. Dzięki Bogu nie należała do tych kobiet, które natychmiast podejrzewają zdradę. Strasznie dużo czasu spędzałem na grach na konsoli, a gdy szedłem do sklepu, na wszelki wypadek ubierałem się jak do pracy.

Na szczęście nie mieszkałem w takim miejscu, w którym człowiek co dzień wesoło macha do sąsiadów, gdy rano wychodzi do pracy – w takim, co to ktoś natychmiast zajrzałyby do niego z ciasteczkami, żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało, gdyby raz się nie pojawił. Moje mieszkanie znajdowało się na parterze niezgrabnego ceglanego bloku z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Wciśnięty między piękne wiktoriańskie budynki, wyraźnie nie pasował do tej wyjątkowo ładnej części Dublina. Ulica była szeroka i przestronna, wysadzana ogromnymi drzewami, których korzenie w wielu miejscach wybrzuszyły chodnik, a architekt wykazał się przynajmniej odpowiednią wrażliwością, by na to zareagować; w salonie miałem wielkie okna od podłogi do sufitu i oszklone drzwi z obu stron, więc latem cały pokój zmieniał się w cudowną, oślepiającą kulę słonecznego światła, cętkowaną cieniem liści. Jeśli nie liczyć tego jedyne przeblysku natchnienia, reszta dzieła architekta prezentowała się jednak marnie: z zewnątrz budynek był do bólu funkcjonalny, a korytarze tworzyły fantasmagoryczną aurę tymczasowości, jak w hotelu przy lotnisku. Długi, niknący w oddali pas brązowej wykładziny, długie pasy fakturowanej beżowej tapety, rzędy tandetnych drewnianych drzwi po obu stronach i nieruchome żółtawe światło sączące się z brudnych kinkietów z rżniętego szkła. Nigdy, przenigdy nie widziałem żadnych sąsiadów. Od czasu do czasu słyszałem głuchy stukot, gdy ktoś upuścił coś na podłogę nade mną, a raz przytrzymałem drzwi facetowi o wyglądzie księgowego, który miał trądzik i dźwigał mnóstwo toreb z Marksa & Spencera, ale poza tym wydawało się, jakbym miał cały blok dla siebie. Nikt nie mógł się

zainteresować ani zauważyć, że zamiast iść do pracy, siedziałem w domu, wysadzałem fortyfikacje na ekranie i wymyślałem historyjki z galerii, żeby wieczorem opowiedzieć je przez telefon Melissie.

Czasem ogarniała mnie panika. Tiernan nie odbierał, nawet gdy dzwoniłem ze swojego zastrzeżonego numeru stacjonarnego, więc nie miałem pojęcia, czy wsypał mnie z kretesem, ale już sam brak kontaktu nie był chyba dobrym znakiem. Powtarzałem sobie, że gdyby Richard chciał mnie wylać, zrobiłby to od razu, w ten sam sposób jak wywalił Tiernana. Ta teoria na ogół wydawała się sensowna i podnosiła mnie na duchu, zdarzały się jednak chwile (najczęściej w środku nocy, gdy gwałtownie otwierałem oczy, obudzony smugą światła, która złowrogo pełzała po suficie sypialni, kiedy przed domem niemal bezgłośnie przejeżdżał samochód), w których z całą siłą uświadamiałem sobie grozę sytuacji. Jeślibym stracił pracę, jak ukryłbym to przed ludźmi – przed przyjaciółmi, rodzicami... Boże, przed Melissą! – dopóki nie znalazłbym nowej? A jeżeli nie mógłbym żadnej znaleźć? Wszystkie duże firmy, o których względy zabiegałem, zauważyłyby moje nagłe zniknięcie z galerii, zauważyłyby, że dokładnie w tym samym czasie zdematerializowała się gwiazda zapowiadanej z takim szumem letniej wystawy, i to by był koniec. Gdybym chciał znaleźć nową pracę, musiałbym wyjechać z kraju, a nawet to niewiele by mi dało. A skoro już mowa o wyjeździe z kraju, to czy mogli aresztować Tiernana i mnie za oszustwo? Dzięki Bogu, nie sprzedaliśmy żadnego obrazu Gougera, nie twierdziliśmy też, że autorem jest Picasso, ale

podstępem wyłudziłyśmy środki finansowe, co musiało być przestępstwem...

Jak już wspomniałem, nie miałem zwyczaju się zamartwiać, więc zaskoczyło mnie to stężenie lęku w tych chwilach. Kiedy patrzę na te swoje reakcje z perspektywy czasu, korci mnie, żeby po prostu uznać je za przecucia, których znaczenia nie potrafiłem odczytać, za przeraźliwy sygnał alarmowy ostrzegający o niebezpieczeństwie, wysłany do mnie w pilnym trybie, ale zniekształcony, nieznacznie, choć z fatalnym dla mnie skutkiem, przez mój ograniczony umysł. Wtedy uważałem, że to tylko drobny kłopot, i nie zamierzałem dać się zastraszyć. Po kilku minutach narastającej paniki zrywałem się, gasiłem ją trzydziestosekundowym lodowatym prysznicem, otrząsałem się jak pies i wracałem do przerwanej czynności.

W piątek rano czułem lekki niepokój, przez co dość długo szukałem odpowiedniego stroju, aby wysłał jednoznaczny komunikat. Koszula i spodnie Dockers, czyli mój standardowy zestaw do pracy – zbyt beczelny, jakbym z góry zakładał, że wszystko wróciło do normy. Mój najlepszy, szyty na miarę czarny garnitur – zbyt ponury i grobowy, jakbym spodziewał się zwolnienia. Z czerwono-różowym krawatem jako kolorowym akcentem – zbyt arogancki, jakbym spodziewał się zwolnienia, ale miał już na oku nową pracę w nieco podejrzanym domu aukcyjnym. Wreszcie zdecydowałem się na ciemnoszary tweedowy garnitur i gładką białą koszulę: poważny, skruszony, gotowy na powrót do pracy.

Tak czy inaczej, kiedy zapukałem do Richarda, czułem się już dość pewny siebie. Nawet jego szorstkie „Proszę” nie wytrąciło

mnie z równowagi.

– To ja – powiedziałem, nieśmiało zaglądając przez drzwi.

– Wiem. Siadaj.

Pokój Richarda był nieokiełznanym gabinetem osobliwości, w którym trzymał rzeźbione antylopy, pieniążkowce, reprodukcje Matisse'a, pamiątki, które przywiózł z podróży, niebezpiecznie chybotające na półkach, rzędach książek i innych pamiątkach. Przerzucał bez celu gruby plik papierów. Przysunąłem sobie krzesło naprzeciw biurka, pod kątem, jakbyśmy razem mieli robić korektę broszur.

– Nie muszę ci mówić, o co chodzi – powiedział, zanim zdążyłem się usadowić.

Gdybym udawał niewiniątko, popełniłbym poważny błąd.

– O Gougera.

– O Gougera. Tak. – Richard wziął ze sterty kartkę, przez chwilę patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, po czym odłożył ją na miejsce. – Kiedy się dowiedziałeś?

Modliłem się w duchu, żeby Tiernan trzymał gębę na kłódkę.

– Parę tygodni temu. Dwa, może trzy – odparłem, choć było to znacznie wcześniej.

Richard w końcu na mnie spojrział.

– I nic mi nie powiedziałaś. – W jego głosie pobrzmiwała lodowata nuta. Był ciągle wściekły, naprawdę wściekły; nic a nic mu nie przeszło.

– Chciałem to zrobić. – Włożyłem w swoje słowa więcej przejęcia. – Ale wtedy, kiedy się dowiedziałem, wszystko już zaszło za daleko, rozumiesz? Prace Gougera wisiały na naszej stronie, były nawet na zaproszeniu... wiem na pewno, że

„Sunday Times” przyjął je właśnie z jego powodu, a ambasador...  
– Mówiłem za szybko, paplałem, jak gdybym chciał zagadać własne wyrzuty sumienia. Zwolniłem. – Myślałem tylko o tym, że wyglądałoby to bardzo podejrzanie, gdyby zniknął tuż przed otwarciem wystawy. To by mogło wzbudzić wątpliwości co do całego projektu. Całej galerii. – Przy tych słowach Richard na moment zamknął oczy. – Poza tym nie chciałem zrzucić odpowiedzialności na ciebie. Dlatego...

– Teraz ja jestem odpowiedzialny. I masz rację, to będzie wyglądać niezwykle podejrzanie.

– Możemy to naprawić. Serio. Przez ostatnie trzy dni opracowywałem plan. Jeszcze dzisiaj możemy załatwić całą sprawę. – „Możemy”: wciąż stanowimy zespół. – Skontaktuję się ze wszystkimi gośćmi i krytykami, wytłumaczę, że wprowadziliśmy małą zmianę na liście wystawianych prac i uznaliśmy, że należy ich zawiadomić. Powiem im, że Gouger stchórzył i postanowił się wycofać... boi się, że jego wrogowie węszą, dlatego musi przez jakiś czas unikać rozgłosu. Liczymy na to, że niedługo rozwiąże swoje problemy osobiste i wróci do nas ze swoimi pracami. Trzeba dać im trochę nadziei i pozbawiać ich jej stopniowo. Wyjaśnię, że praca z osobami z takich środowisk wiąże się z ryzykiem i chociaż oczywiście przykro nam z tego powodu, to nie żałujemy, że daliśmy mu szansę. Tylko potwór mógłby tego nie zrozumieć.

– Jesteś w tym bardzo dobry – przyznał ze znużeniem Richard. Zdjął okulary i ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Muszę... muszę ci to wynagrodzić – powiedziałem. Nie zareagował. – Stracimy paru krytyków, może kilku gości, ale nie

aż tyłu, żeby to miało znaczenie. Na pewno zdążymy jeszcze wstrzymać wysłanie programu do prasy. Możemy przerobić okładkę, wrzucić na nią kompozycję Chantelle z kanapą...

– Wszystko to byłoby o wiele łatwiej zrobić trzy tygodnie temu.

– Wiem. Wiem. Ale jeszcze nie jest za późno. Porozmawiam z dziennikarzami, dopilnuję, żeby zachowali dyskrecję, wyjaśnię, że nie chcemy odstraszyć Gougera na dobre...

– A może inaczej. – Richard z powrotem włożył okulary. – Moglibyśmy wysłać do prasy komunikat z wyjaśnieniem, że okazał się oszustem. – Spojrzał na mnie nieruchomymi, powiększonymi przez szkła niebieskimi oczami.

– Hm... – To „moglibyśmy” dodało mi otuchy, ale pomysł był straszny i musiałem mu to uzmysłowić. – Moglibyśmy. Ale to prawie na pewno oznaczałoby odwołanie całej wystawy. Chyba mógłbym znaleźć sposób, żeby to podać odpowiednim sosem, może podkreślić fakt, że zdjęliśmy jego prace, gdy tylko dowiedzieliśmy się o kancie, ale wtedy wyjdziemy na naiwniaków i powstaną wątpliwości co do reszty...

– Dobrze – rzucił, odwracając głowę i unosząc dłoń, żeby mi przerwać. – Już wszystko wiem. Nie zrobimy tego. Bóg mi świadkiem, że wolałbym takie rozwiązanie, ale go nie wybierzemy. Zajmij się tym pierwszym, o którym mówiłeś. I załatw to szybko.

– Richard – powiedziałem autentycznie serdecznym tonem. Gdy zobaczyłem, jak jego ciało ugina się pod ciężarem zmęczenia, poczułem się okropnie. Zawsze był dla mnie dobry, zaryzykował i postawił na takiego żółtodzioba jak ja, mimo że

kobieta, która razem ze mną dotarła do ostatniego etapu kwalifikacji, miała wieloletnie doświadczenie. Gdybym zdawał sobie sprawę, że tak mocno to przeżyje, nigdy bym nie pozwolił, by sprawa zaszła tak daleko, nigdy... – Bardzo mi przykro.

– Naprawdę?

– Boże, pewnie, że tak. Zrobiłem okropną rzecz. Ale po prostu... wiesz, to takie dobre obrazy. Chciałem, żeby ludzie je zobaczyli. Żebyśmy je pokazali. Poniosło mnie. Już nigdy więcej nie popełnię takiego błędu.

– To dobrze. W porządku. – Wciąż na mnie nie patrzył. – Idź zadzwonić, gdzie trzeba.

– Wszystko załatwię. Przysięgam.

– Na pewno – odparł bezbarwnym głosem Richard. – Idź już. – Wrócił do przekładania papierów na biurku.

Radosnym krokiem zbiegłem po schodach do swojego pokoju, nakreślając już w myślach plan burzy domysłów i katastroficznych wizji twitterowych obserwatorów Gougera. Było jasne, że Richard nadal jest na mnie zły, ale to mu przejdzie, kiedy zobaczy, że wszystko zostało naprawione i wychodzimy na prostą, a najpóźniej wtedy, gdy otwarcie wystawy wypadnie wspaniale. Szkoda tylko było obrazów Tiernana – przypuszczałem, że po tym wszystkim są skazane na gnicie w jego pracowni, choć nie wykluczałem możliwości, że w którymś momencie coś dla nich wymyślę – ale zawsze mógł namalować ich więcej.

Miałem ochotę na piwo, na parę piw, a właściwie na huczny wieczór w pubie. Tęskniłem za Melissą – zwykle spędzaliśmy razem trzy noce w tygodniu – ale potrzebowałem towarzystwa

chłopaków, szyderstw i żarliwych dyskusji na śmieszne tematy, jednego z tych nieskończenie długich wieczorów, jakie ostatnio rzadko spędzaliśmy, gdy na koniec wszyscy o świcie zwałają się na kanapę u jednego z nas, ogołociwszy wcześniej lodówkę gospodarza. Miałem w domu całkiem niezły hasz – kilka razy w ciągu tamtego tygodnia korciło mnie, żeby go napocząć, ale nie lubiłem się upijać ani upalać, gdy coś szło nie tak, żeby nie poczuć się jeszcze gorzej; zachowałem więc towar na świętowanie happy endu, na dowód wiary, że wszystko rzeczywiście dobrze się skończy – i miałem rację.

I tak znaleźliśmy się w Hogan's, na ekranach telefonów oglądaliśmy plaże na Fidżi, od czasu do czasu sięgaliśmy do czupryny Deca, żeby go pociągnąć za implanty („Odwalcie się!”). Nie zamierzałem wspominać im o wydarzeniach kończącego się tygodnia, ale kręciło mi się w głowie, było mi lekko na duszy i mniej więcej przy piątej kolejce uświadomiłem sobie, że opowiadam im wszystko, pomijając tylko nocne napady paniki – które teraz wydawały mi się jeszcze głupsze niż w chwilach, gdy mnie nachodziły – i tu i ówdzie dorzucając jakiś zabawny szczegół.

– Ty głąbie – powiedział w końcu Sean, ale kręcił głową z nieco drwiącym uśmiechem. Trochę mi ulżyło; zawsze liczyłem się z jego zdaniem, a reakcja Richarda zasiała we mnie ziarno niepewności.

– Jesteś głąbem – oznajmił mi dobitniej Dec. – Przecież to się mogło źle dla ciebie skończyć.

– No i źle się skończyło.

– Nie, naprawdę źle. Mogłeś wylecieć z pracy. Albo nawet wylądować za kratkami.

– Ale nic takiego się nie stało – odparłem zirytowany. To była ostatnia rzecz, jaką miałbym ochotę zaprzętać sobie głowę i Dec powinien się tego domyślić. – Zresztą w jakim ty świecie żyjesz? Wydaje ci się, że gliniarzy obchodzi, czy obrazek namalował jakiś anonimowy gość w dresie, czy anonimowy gość w kapeluszu?

– Wystawa mogłaby się nie odbyć. Twój szef mógł nie pozwolić jej otworzyć.

– Ale pozwolił. A nawet gdyby nie pozwolił, to by nie był koniec świata.

– Może nie dla ciebie. Lecz dla dzieciaków, które to wszystko zrobiły? Przelewają w sztukę swoje najskrytsze uczucia, a ty robisz sobie jaja z ich życia, wystawiasz na pośmiewisko...

– Jak niby robiłem sobie jaja?

– ...w końcu dostają od losu wielką szansę, a ty dla kawału narażasz...

– Och, na litość boską!

– Gdybyś schrzanił sprawę, zostaliby w tym bagnie na resztę...

– Co ty wygadujesz? Mogli przecież pójść do szkoły. Zamiast wachać klej i urywać lusterka w samochodach. Mogli znaleźć sobie pracę. Recesja się skończyła, nie ma powodu, żeby ktoś tkwił w bagnie, jeżeli sam tego nie chce.

Dec patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami z takim niedowierzaniem, jakbym wpakował sobie palec do nosa.

– Chłopie, nie masz o tym zielonego pojęcia.

Dostał się do naszej szkoły dzięki stypendium, jego ojciec był kierowcą autobusu, mama pracowała w domu towarowym

Arnotts, żadne z nich nigdy nie zostało aresztowane, nikt w rodzinie nie był uzależniony, więc miał tyle wspólnego z dzieciakami z wystawy co ja, ale czasem, kiedy szukał wymówki dla swojej drażliwości albo zadufania, lubił uderzać w ton „Przecież pochodzę z biedniejszej dzielnicy”. Ciągłe był zły za żarty o przeszczepie włosów. Mogłem mu odpowiedzieć, że jest żywym dowodem na to, że to całe moralizowanie nie jest warte funta kłaków – zamiast gnieździć się w squacie i wdychać opary kradzionej farby w sprayu, poświęcił czas i wysiłek na zdobycie wykształcenia i został świetnym informatykiem – ale tamtego wieczoru nie miałem ochoty wdawać się w dyskusje tego rodzaju.

– Ty teraz stawiasz – rzuciłem.

– Naprawdę nie masz o tym pojęcia.

– Naprawdę teraz stawiasz. Idziesz zamówić, czy mam cię wyręczyć, bo pochodzisz z ubogiej rodziny?

Patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, ale wytrzymałem jego spojrzenie, w końcu więc ostentacyjnie pokręcił głową i podszedł do baru. Tym razem nawet nie próbował unikać patrzenia na brunetkę, która i tak zresztą nie zauważyła jego wzroku.

– Kurwa, o co chodzi? – zapytałem, gdy już nie mógł mnie słyszeć. – Co go ugryzło?

Sean wzruszył ramionami. Do ostatniej kolejki zamówiłem kilka opakowań orzeszków – musiałem zostać do późna w biurze, aby rozwikłać sprawę Gougera, więc nie zdążyłem zjeść kolacji – a on znalazł wśród nich jedno z jakąś podejrzaną substancją. Wydawało się, że całą uwagę skupia na orzeszku.

– Nikogo nie skrzywdziłem – powiedziałem. – Nikomu nie stało się nic złego. A on się zachowuje, jakbym mu pobił babcię. – Osiągnąłem już fazę śmiertelnej powagi; pochylałem się nad stołem, może trochę za daleko, trudno mi było ocenić. – A zresztą kto to mówi, na litość boską?! Sam robił kiedyś różne głupoty. I to wielokrotnie.

Sean znowu wzruszył ramionami.

– Jest zestresowany – wyjaśnił, gryząc orzeszek.

– Zawsze jest zestresowany.

– Mówił o powrocie do Jenny.

– Jezu. – Jenna była ostatnią dziewczyną, z którą Dec się rozstał, zdrowo stukniętą, kilka lat od nas starszą nauczycielką, która kiedyś w pubie pogłaskała mnie po udzie pod stołem, a kiedy posłałem jej zdziwione spojrzenie, puściła do mnie oko i wysunęła język.

– No. Ale on nie znosi samotności. Mówi, że jest już za stary na pierwsze randki, a te idiotyzmy z Tinderem są nie dla niego. Nie chce zostać czterdziestoletnim smutasem, którego zapraszają na przyjęcia z litości i sadzają obok rozwódki, która przez cały wieczór psioczy na byłego męża.

– Ale nie musi wyładowywać się na mnie – odparłem. Prawdę mówiąc, wyobrażałem sobie, że Dec właśnie tak skończy, ale wyłącznie ze swojej winy, i w tamtym momencie uważałem, że w pełni na to zasługuje.

Sean siedział rozparty, przyglądając mi się z miną, która mogła wyrażać rozbawienie albo umiarkowane zainteresowanie. Zawsze sprawiał wrażenie zdystansowanego, jak gdyby – bez zbytniego wysiłku ani zarozumiałstwa – lepiej niż inni panował

nad sytuacją. Wiązałem to mętnie z faktem, że kiedy miał cztery lata, umarła mu matka – myślałem o tym z mieszaniną lęku, zakłopotania i podziwu – ale być może wynikało to stąd, że był takim dużym facetem. W każdej alkoholowej sytuacji można się było spodziewać, że najmniej pijaną osobą będzie Sean.

– Co? – rzuciłem, ponieważ się nie odzywał. – Ty też uważasz mnie za thatcherystowskiego krwiopijcę?

– Szczerze?

– Tak, szczerze.

Sean zgarnął do ręki resztkę okruchów po orzeszkach.

– Myślę, że to dziecinada.

Nie bardzo wiedziałem, czy mam się poczuć obrażony, czy nie. Kpił z mojej pracy czy może pocieszał, że nie mam się czym przejmować?

– O czym ty mówisz?

– Fałszywe konta na Twitterze – wyjaśnił. – Wymyślone wojny dresiarzy. Kombinacje za plecami szefa, trzymanie kciuków, żeby się udało. Dziecinada.

Tym razem poczułem się naprawdę urażony, przynajmniej odrobinę.

– Kurwa mać. Wystarczy już, że Dec się mnie czepia. A teraz ty zaczynasz.

– Wcale nie. Tylko że... – Wzruszył ramionami i postawił szklankę do góry dnem. – Za parę miesięcy się żenię. Rozmawiamy z Audrey o dziecku w przyszłym roku. Trudno mi się podniecać tym, że ciągle wycinasz te same stare numery. – Gdy ściągnąłem brwi, dodał: – Robisz takie rzeczy, odkąd cię

znam. Czasem cię przyłapują. Za każdym razem udaje ci się wykaraskać. Zawsze to samo.

– Nie. Nie. To akurat jest... – Wyrzuciłem rękę do przodu i zakończyłem ten ruch dramatycznym pstryknięciem palcami. Wydawało mi się, że to pełna i czytelna wypowiedź, ale Sean nadal patrzył na mnie pytającym wzrokiem. – To co innego. Nie to samo co wcześniej. Zupełnie.

– Czym się różni?

Pytanie mnie dotknęło; wiedziałem, że istnieje różnica, i uważałem, że to małostkowe z jego strony żądać ode mnie wyjaśnień po tylu piwach.

– Mniejsza z tym. Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem.

– Przecież wcale się nie czepiam. Po prostu pytam.

Sean nie drgnął, ale jego twarz jakoś dziwnie się wyostrzyła, w nieruchomych oczach pojawił się wyraz skupienia, jakby oczekiwał ode mnie czegoś ważnego. Poczulem niezrozumiałą chęć, by jednak wytłumaczyć się przed nim, powiedzieć o Melissie, o dużych agencjach, o tym, że mam dwadzieścia osiem lat i zamierzam spoważnieć, wyznać mu – choć nigdy nie przyznałbym się do tego przed Declanem, nigdy nie wspomniałem o tym nawet Melissie – że ostatnio zdarza mi się wyobrazać sobie duży biały georgiański dom z oknami wychodzącymi na Zatokę Dublińską, siebie i Melisę przytulonych pod którąś z jej kaszmirowych narzut, przed trzaskającym ogniem, może nawet dwoje czy troje jasnowłosych dzieci bawiących się z golden retrieverem na dywaniku przed kominkiem. Jeszcze parę lat wcześniej taki obraz wywołałby

u mnie paniczny lęk, teraz nie wydawał się wcale tak straszną perspektywą.

Nie byłem w odpowiednim stanie, by opisywać Seanowi załączki swoich objawień – miałbym nawet problem z wymówieniem „załączków objawień” – starałem się jednak, żeby zrozumiał.

– Dobra – rzuciłem. – Słuchaj. Wszystkie te dawne rzeczy, o których mówisz... tak, to była dziecinada. Dla jaj albo dlatego, że liczyłem na darmową pizzę czy okazję, żeby całować się z Larą Mulvaney. Ale nie jesteśmy już dziećmi. Wiem o tym. Rozumiem to. Jasne, może jeszcze nie całkiem dorośli, ale doroślejemy i od tego nie ma odwrotu... Zresztą, Jezu, komu ja to mówię? Wiem, robiliśmy sobie z ciebie jaja, ale słowo daję, fantastycznie, że ty i Audrey będziecie... – Zgubiłem wątek. Robiło się coraz głośniejsze i akustyka baru nie mogła sobie z tym poradzić, wszystkie dźwięki zlewały się w jeden rumor, który nadpływał falami nie wiadomo skąd. – No. I właśnie o to chodziło w tym numerze z Gougerem. Po to był. Staram się teraz o coś większego. Nie o darmową pizzę. Mam ważniejszy cel. I na tym polega różnica.

Wyprostowałem się i spojrzałem z nadzieją na Seana.

– No dobrze – powiedział po chwili, która trwała chyba o pół sekundy za długo. – W porządku. Powodzenia. Mam nadzieję, że zdobędziesz to, na czym ci tak zależy.

Może mi się wydawało, może to była wina pulsującego wokół nas hałasu, ale sprawiał wrażenie obojętnego, niemal zawiedzionego. Tylko dlaczego? Wyglądał wręcz, jakby się oddalił, celowo cofnął się o parę kroków w głąb jakiegoś długiego

korytarza, choć zdawałem sobie sprawę, że to musi być sprawa alkoholu.

Nie rozumiał, ku mojemu rozczarowaniu, że w sprawie z Gougerem w rzeczywistości chodziło właśnie o to, żeby dokonać tych zmian – im większym powodzeniem cieszyłaby się wystawa, tym większe miałbym szanse na pracę w dużych agencjach, byłoby mnie stać na lepsze mieszkanie dla siebie i Melissy i tak dalej, i tak dalej – zanim jednak zdążyłem znaleźć sposób, aby mu to wszystko wyłożyć, wrócił Dec z nową kolejką piwa.

– Wiesz, kim jesteś? – spytał mnie, stawiając szklanki na stole i wylewając tylko odrobinę.

– Głębem – odparł Sean i rzucił podkładkę na rozlane piwo. Nagły przebłysk powagi zniknął; znowu był jak zwykle spokojny i pogodny. – Ustaliliśmy już wcześniej.

– Nie. Jego pytam. Wiesz, kim jesteś? – Dec szczerzył zęby, ale jego uśmiech zmienił odcień; przebłyskiwały przez niego iskry przewrotności.

– Jestem księciem wśród ludzi – odparłem z takim samym szerokim uśmiechem, odchylając się do tyłu i wyciągając nogi przed siebie.

– No proszę. – Triumfalnie wycelował we mnie palec, jak gdyby odniósł nade mną zwycięstwo. – Właśnie o tym mówię.

Nie podjąłem tematu, więc przysunął sobie stołek bliżej stołu, zajmując pozycję do ataku, i spytał ostro:

– Co by się ze mną stało, gdybym wyciął w pracy taki kretyński numer?

– Wyleciałbyś na pysk.

– Jasne, wyleciałbym. Dzwoniłbym teraz do mamy i pytał, czy mogę wrócić do domu, zanim znajdę nową fuchę i znowu będzie mnie stać na czynsz. Czemu z tobą jest inaczej?

Sean westchnął ciężko i wlał w siebie prawie jedną trzecią szklanki. Obaj znaleźli ten nastrój Deca: będzie mi wbijał kolejne szpile, coraz agresywniej, trach, trach, trach, dopóki mnie nie zaboli albo dopóki sam nie urznie się tak, że trzeba go będzie wepchnąć do taksówki, podać kierowcy adres i zapłacić.

– Bo jestem czarujący – odparłem. Co poniekąd było prawdą, ludzie raczej mnie lubili, a to na ogół pomagało mi wybrnąć z tarapatów, ale teraz nie miało zupełnie nic do rzeczy i powiedziałem to tylko po to, żeby rozdrażnić Deca. – A ty nie.

– Nie, nie. Wiesz dlaczego? Bo nie wynajmujesz chaty. Starzy kupili ci mieszkanie.

– Nie kupili. Wpłacili zaliczkę. Sam spłacam kredyt. Co to ma wspólnego z...

– A gdybyś naprawdę znalazł się pod ścianą, płaciliby raty przez parę miesięcy, prawda?

– Nie mam pojęcia. Nigdy nie potrzebowałem...

– O, na pewno. Mamusia i tatuś są cudowni.

– Nie wiem. A gdyby nawet płacili, to co z tego?

– To... – Dec mierzył palcem w moją stronę i ciągle miał na twarzy uśmiech, który mógłby uchodzić za życzliwy, gdybym nie wiedział, że to nieprawda. – Dlatego szef nie wywalił cię z pracy. Bo nie poszedłeś do niego w rozpacz. Nie poszedłeś spanikowany. Dobrze wiedziałeś, że cokolwiek się stanie, tobie włos z głowy nie spadnie. I nie spadł.

– Nie spadł, bo poszedłem do niego, przeprosiłem i powiedziałem mu, jak mogę to naprawić. I dlatego, że jestem dobrym pracownikiem, a on nie chce mnie stracić.

– Dokładnie tak samo jak w szkole.

Naprawdę się zapamiętał: siedział wychylony w moją stronę, zupełnie zapomniał o piwie. Sean tymczasem wyjął telefon i przesuwał palcem po ekranie, czytając nagłówki wiadomości.

– Jak wtedy, kiedy zdjęliśmy tupecik panu McManusowi – ciągnął Dec. – Zrobiliśmy to razem. Zauważyli nas obu. I obu zaprowadzili do Armitage’a. Zgadza się? I co się z nami stało?

Przewróciłem oczami. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia, jak to się skończyło; pamiętałem, jak przechylaliśmy się przez balustradę, żeby zahaczyć tupecik, pamiętałem cichnący w dole paniczny bek McManusa, kiedy zwiewaliśmy ze śmiechem i tupecikiem kołyszącym się na wędce mojego taty, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć, co się stało potem.

– Nawet nie pamiętasz.

– Wszystko mi jedno.

– Ja zostałem zawieszony. Na trzy dni. Ty musiałeś zostać po lekcjach. Przez jeden dzień.

– Serio? – Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Miałem już tego dość. Z poczucia ulgi, które wypełniało mnie jak ogromny balon, z wolna uchodziło powietrze, a uważałem, że po tym trudnym tygodniu zasługuję na to, by cieszyć się nim przez co najmniej jeden wieczór. – To było jakieś czternaście lat temu. Jeszcze ci złość nie przeszła?

Dec pokręcił głową, wymachując mi palcem przed nosem.

– Nie o to chodzi. Chodzi o to, że dostałeś tylko po łapach, a dzieciak na stypendium dostał kopa. Nie, teraz ja mówię, a ty słuchasz – warknął, kiedy opadłem na stołek i utkwilem wzrok w suficie. – Nie mówię, że Armitage zrobił to, bo był zły. Ale poszedłem tam sparaliżowany ze strachu, że mnie wyleje, że skończę w jakiejś zaszranej szkole państwowej. A ty wiedziałeś, że nawet jak cię wyrzucą, mama i tata znajdą ci następną cudowną szkołę. Na tym polega różnica.

Mówił coraz głośniej. Brunetka przestawała się mną interesować i wcale jej się nie dziwiłem, bo atmosfera wokół mnie stała się za bardzo napięta, za mocno iskrzyło.

– No to kim jesteś? – powtórzył Dec.

– Nawet już nie wiem, o czym mówisz.

– Skończcie z tym – odezwał się Sean, nie odrywając wzroku od telefonu. – Do kurwy nędzy.

– Jesteś kutafonem, który ma farta – oświadczył Dec. – I tyle. Po prostu pieprzony z ciebie farciarz.

Kiedy szukałem ciętej riposty, nagle zaskoczyła mnie myśl, która uniosła mnie z przemożną siłą jak ciepły komin termiczny: miał rację, wypowiedział absolutną prawdę, nie było się o co złościć, należało się tylko cieszyć. Zaczerpnąłem powietrza, chyba najgłębiej od wielu dni, i zamiast spokojnie je wypuścić, wybuchnąłem śmiechem.

– Jestem – zgodziłem się. – Trafiłeś bez pudła. Jestem cholernym farciarzem.

Dec jeszcze nie skończył i patrzył na mnie, zastanawiając się nad następnym posunięciem.

– Amen – rzucił Sean, odłożył telefon i uniósł piwo. – Za kutafonów, co mają farta, i za kutafonów, co nie mają nic. – I przechylił szklankę w stronę Deca.

Znowu zacząłem się śmiać i trąciłem się z nim szklanką, a Dec chwilę później ryknął śmiechem głośniejszym ode mnie, z rozmachem stuknął szklanką w nasze piwa, po czym wróciliśmy do sporu, dokąd mamy jechać na wakacje.

Szybko porzuciłem jednak pomysł, żeby przyprowadzić ich do siebie. Kiedy Dec wchodził w tę fazę, stawał się nieprzewidywalny i bywał agresywny. Brakowało mu wprawdzie odwagi, by zrobić coś naprawdę strasznego, mimo to nie miałem ochoty brać go do domu. Sytuacja nadal wydawała się niepewna, rozchwiana, jakby należało unikać raptownych ruchów. Chciałem wyciągnąć się na kanapie, zapalić hasz i zatopić się w morzu chichotu, zamiast mieć na oku Deca, gdy buszuje po salonie i zbiera rzeczy, żeby wykorzystać je do zaimprovizowanej gry w kręgle, a ja staram się nie patrzeć na żaden kruchy przedmiot, aby nie podsuwać mu głupich pomysłów. W głębi serca wciąż mam mu za złe te jego wyrzuty; dwadzieścia osiem lat to wystarczająco dużo, żeby wyrosnąć z tego rodzaju idiotyzmów, i gdyby udało mu się je pokonać, zabrałbym do siebie jego i Seana i... i...

Potem wspomnienia znowu się rozmywają. Wyraźnie pamiętam tylko, jak żegnałem się z chłopakami przed pubem, kiedy już zamykali. Otaczały nas głośnie grupki ludzi, kłócących się o to, dokąd teraz iść, głowy pochylały się nad zapalniczkami, dziewczyny chwiały się na obcasach, mijały nas żółto oświetlone tabliczki taksówek...

– Słuchaj – mówił Dec z nieugiętą pijacką szczerością. – Nie, słuchaj. Żarty na bok. Cieszę się, że wszystko ci się dobrze ułożyło. Naprawdę. Dobry z ciebie gość, Toby, serio. Nie posiadam się z radości, że wszystko...

Mógłby tak pleść bez końca, gdyby Sean nie zatrzymał taksówki i nie popchnął w jej stronę Deca, kładąc mu dłoń między łopatkami. Potem skinął mi głową, pomachał ręką i ruszył w kierunku Portobello i Audrey.

Mógłbym wziąć taksówkę, ale była ładna bezwietrzna i chłodna noc, której łagodność zapowiadała kolejny wiosenny poranek. Byłem pijany, nie do tego stopnia jednak, żeby nie ustać na nogach, a do domu miałem niecałe pół godziny spacerem. I umierałem z głodu; chciałem po drodze kupić coś na wynos, coś ostrego, pikantnego i ogromnego. Zapiąłem kurtkę i ruszyłem.

U wylotu Grafton Street stał żongler z pochodniami, otoczony grupką widzów, którzy z entuzjazmem klaskali do rytmu, a paru pijanych facetów wykrzykiwało niezrozumiałe słowa, próbując go zachęcać albo dekoncentrować. Bezdomny w bramie, zwinięty w kłębek i otulony w niebieski śpiwór, twardo przespał cały występ. Po drodze zadzwoniłem do Melissy; nie położyłaby się bez telefonu na dobranoc, a nie chciałem, żeby za długo czuwała, zresztą nie mogłem z tym czekać aż do powrotu do domu.

– Tęsknię za tobą – powiedziałem, kiedy odebrała. – Jesteś cudowna.

Roześmiała się.

– Ty też. Gdzie jesteś?

Na dźwięk jej głosu mocniej przycisnąłem telefon do ucha.

– Przy Stephen's Green. Byłem w Hogan's z chłopakami. Teraz wracam do domu i myślę sobie, jaka jesteś cudowna.

– No to wpadnij.

– Nie mogę. Jestem pijany.

– To mi nie przeszkadza.

– Nie. Cuchnę alkoholem, będę ci chrapał do ucha, rzucisz mnie i odejdziesz z jakimś wygadany miliarderem, który ma specjalną maszynę do ekspresowego oczyszczania krwi po powrocie z pubu.

– Nie znam żadnych wygadanych miliarderów. Słowo.

– Och, znasz. Zawsze gdzieś się czają. Atakują dopiero wtedy, gdy wyczują okazję. Jak komary.

Znowu parsknęła śmiechem. Jego dźwięk ogrzał mnie od stóp do głów. Nie spodziewałem się, że będzie się obrażać, dąsać czy rzucać słuchawką za to, że ją zaniedbuję, ale czułość, z jaką mnie powitała, jeszcze raz mi uzmysłowiła, że Dec miał rację: jestem cholernym farciarzem. Przypomniało mi się, jak gratulując sobie w duchu, z lekką grozą słuchałem jego opowieści o rozbudowanych dramatach z udziałem jego byłych dziewczyn, o ludziach, którzy pakowali się – albo siebie nawzajem – w zupełnie nieprawdopodobne sytuacje, i wszyscy bohaterowie tych scen szlochali, krzyczeli lub błagali. Melissie nic podobnego w ogóle nie przyszłoby do głowy.

– Mogę przyjść jutro? Jak tylko z powrotem zmienię się w człowieka?

– Pewnie! Jeżeli znowu będzie ładnie, zjemy lunch w ogrodzie, zaśniemy w słońcu i będziemy razem chrapać.

– Ty nie chrapiesz. Mruczysz z lubości.

– Och, urocze.

– To prawda. Cudowne. Ty jesteś cudowna. Wspominałem, że jesteś cudowna?

– Upiłeś się, głuptasie.

– Przecież mówię.

Prawdziwym powodem, dla którego nie chciałem odwiedzić Melissy – choć w rzeczywistości bardzo chciałem, tylko nie mogłem – było oczywiście ryzyko, że ze względu na swój stan mógłbym jej nieopatrznie opowiedzieć o historii z Gougerem. Nie bałem się, że mnie rzuci czy zrobi coś równie radykalnego, ale na pewno by się zmartwiła, a ja bardzo starałem się nie martwić Melissy.

Chciałem jednak mieć jej jak najwięcej, zanim odłożę słuchawkę.

– Kto kupił ten fotel steampunkowy?

– Och, Toby, szkoda, że ich nie widziałeś! Para, czterdzieści kilka lat, ubrani jak z jachtklubu, kobieta miała bluzkę w granatowo-białe paski... w ogóle bym się nie spodziewała. Pomyślałam: może wezmą koc, jeżeli kolory nie będą dla nich za jaskrawe. A oni popruli prosto do tego fotela. Chyba coś im przypominał, bo patrzyli na siebie i śmiali się, a jakieś pięć minut później uznali, że wszystko im jedno, czy fotel pasuje im do czegoś tam w domu, muszą go mieć i już. Uwielbiam, kiedy ludzie robią takie niespodzianki.

– Musimy to jutro uczcić. Przyniosę prosecco.

– Tak! Przynieś to, które piliśmy ostatnio, to... – Zaskoczyło ją własne ziewnięcie. – Przepraszam, nie nudzisz mnie! Po prostu...

– Już późno. Nie powinnaś czekać na mój telefon.

- Nic mi się nie stało. Lubię mówić ci „dobranoc”.
- Ja też. Idź już spać. Kocham cię.
- Też cię kocham. Dobranoc, pa, pa. – Posłała mi całusa.
- Dobranoc, pa, pa.

Z jakiegoś powodu roztrząsam swój błąd – właściwie nie błąd, bo czy to coś złego wypić parę piw w piątek wieczorem po stresującym tygodniu, czy to coś złego chcieć, żeby dziewczyna, którą kochasz, dobrze o tobie myślała? – w każdym razie bez przerwy wracam do swojego wyboru, obsesyjnie skubiąc go i rozdrapując, jak gdybym chciał go zerwać z siebie i wyrzucić. Gdybym wypił z chłopakami o jedną whisky mniej, o jedno piwo, zjadł kanapkę przy biurku, kiedy zmieniałem program wystawy, byłbym na tyle trzeźwy i pewny siebie, że mógłbym iść do Melissy. Tak długo myślałem o tej niedosłej wspólnej nocy, że znam na pamięć każdy moment: jak otwiera drzwi, porywam ją w ramiona – „Gratuluję! Wiedziałem, że ci się uda!” – cicho oddycha zwinięta w kłębek w łóżku, jej włosy łaskoczą mnie w brodę; w sobotę późne leniwe śniadanie w naszej ulubionej kafejce, spacer nad kanałem, żeby zobaczyć łabędzie; Melissa kołysze naszymi splecionymi dłońmi. Tęsknię za każdą z tych chwil jak za czymś rzeczywistym, namacalnym i niezbędnym, co gdzieś zapodziałem, i gdybym tylko znał odpowiednią sztuczkę, mógłbym je ocalić i bezpiecznie przechować.

- Nie rozłączyłaś się.
- Ty też nie.
- Dobranoc. Śpij dobrze.
- Wracaj bezpiecznie. Dobranoc. – Znowu całusy.

Na Baggot Street, między długimi rzędami masywnych georgiańskich domów i staroświeckich latarni z bajkowymi esami-floresami z kutego żelaza, było cicho i prawie pusto. Usłyszałem delikatne cyk-cyk-cyk zbliżających się kół rowerowych i po chwili wyminął mnie wysoki facet w filcowym kapeluszu, wyprostowany na siodełku jak struna i ze skrzyżowanymi na piersi rękami. W bramie całowało się dwoje ludzi, kaskada gładkich zielonych włosów przecięta liliowym pasmem. Musiałem gdzieś kupić jakieś indyjskie jedzenie, choć nie domyślałem się gdzie, bo wokół siebie czułem intensywną woń kolendry i fenkułu, od której ślina napłynęła mi do ust. Ulica wydawała się ciepła, obca i bardzo szeroka, skrywała jakiś dziwny, nieodgadniony czar. Między rozłożystymi drzewami na wysepce pośrodku brodaty staruszek w wełnianej czapce z daszkiem wykonywał coś w rodzaju tańca, szurając stopami i wymachując otwartymi dłońmi. Po drugiej stronie ulicy szybkim krokiem szła dziewczyna w długim czarnym płaszczu powiewającym u kostek, z głową pochyloną nad telefonem, który lśnił w jej ręce białoniebieskim blaskiem jak klejnot z baśni. Delikatnie przydymione półkoliste naświetla, złoty blask w wysokim okienku. Połysk ciemnego nurtu pod mostem.

Musiałem dotrzeć do domu bez żadnych incydentów... Chociaż skąd wiem... skąd wiem, co się działo w tle, a czego nie dostrzegłem nawet kątem oka? Kto mógł mnie obserwować z tych bram, kto mógł wynurzyć się z cienia i bezszelestnie ruszyć za mną? W każdym razie w drodze do domu nie mogło się zdarzyć nic, co włączyłoby sygnały ostrzegawcze. Pewnie zjadłem to indyjskie danie, może nawet obejrzałem coś na

Netflixie... Ale czy nie byłem zbyt pijany, by zadać sobie trud śledzenia fabuły? A może zagrałem na konsoli? Choć to akurat wydaje się mało prawdopodobne, bo po ostatnich kilku dniach miałem serdecznie dosyć xboxa. Pewnie zapomniałem włączyć alarm. Mimo że mieszkałem na parterze, często nie zwracałem sobie tym głowy; okno w kuchni było trochę obluzowane i gdy wiatr wiał w złą stronę, zaczynało stukotać i uruchamiało histeryczny pisk alarmu, poza tym nie mieszkałem w miejskiej dżungli, która roiła się od bandytów. Potem pewnie przebrałem się w piżamę, położyłem do łóżka i zapadłem w błogi pijacki sen.

\* \* \*

Coś mnie zbudziło. Z początku nie byłem pewien co. Wyraźnie pamiętałem dźwięk, pojedynczy trzask, nie wiedziałem jednak, czy dobiegł z mojego snu o wysokim czarnoskórym gościu z dreadami i deską surfingową, który śmiał się i nie chciał mi zdradzić czegoś, co koniecznie chciałem wiedzieć, czy z zewnątrz. W pokoju było ciemno, nikły blask latarni rozjaśniał tylko obrysy zasłon. Leżałem bez ruchu, z głową zasnutą jeszcze resztkami snu, i nasłuchiwałem.

Cisza. A potem skrzypnięcie wysuwanej albo zasuwanej szuflady tuż za ścianą, w salonie. Głuchy łomot.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to chłopaki, że Dec zakradł się, by zrobić mi jakiś kawał w zemście za żarty o implantach włosów (kiedyś w college'u Sean i ja obudziliśmy go widokiem naszych gołych tyłków przyciśniętych do okna sypialni), ale Dec nie miał klucza. Rodzice mieli zapasowy, może

chcieli mi zrobić jakąś niespodziankę, ale przecież zaczękaliby z tym do rana. Melissa... nie mogła się doczekać, żeby mnie zobaczyć? Ale nie znosiła chodzić w nocy sama po mieście... Jakiś zwierzęcy pierwiastek we mnie jednak wiedział. Usiadłem wyprostowany na łóżku, czując, jak serce tłucze mi się w rozgorączkowanym, złowrogim rytmie.

Szmer głosu z salonu. Błysk światła latarki w szparze pod drzwiami sypialni.

Na stoliku nocnym stał świecznik, który parę miesięcy temu Melissa przyniosła ze swojego sklepu, ładna rzecz, która formą miała przypominać czarne balustrady z kutego żelaza przed starymi domami w Dublinie: podstawa w kształcie spiralnej kolumny, u góry stylowe kręte lilie, w miseczce zaostrowany kołec, na którym tkwił kawałek stopionego wosku, po nocy z winem w łóżku i piosenkami Niny Simone. Nie pamiętam, kiedy wstałem, ale po omacku zacząłem skradać się w kierunku drzwi, ściskając ciężki świecznik w obu rękach. Czułem się jak idiota, przecież na pewno nic złego się nie dzieje, przestraszę tylko biedną Melissę. Dec nigdy nie pozwoli mi o tym zapomnieć...

Drzwi do salonu były uchylone, a ciemność w środku przebijał migoczący snop światła. Trzasnąłem w nie świecznikiem, otwierając je na oścież, otwartą dłonią uderzyłem w wyłącznik i pokój rozbłysł jasnością, więc na pół sekundy zostałem oślepiony.

Potem zobaczyłem swój salon, filiżankę po porannym espresso, która ciągle stała na stoliku, rozrzucone na podłodze papiery z otwartych szuflad i dwóch mężczyzn. Obaj mieli usta zasłonięte bluzami dresowymi, które podciągnęli pod nos, ich

oczy kryły się pod daszkami nasuniętych na czoła czapek bejsbolowych, obaj znieruchomieli w pół ruchu, żeby na mnie spojrzeć. Jeden był odwrócony w kierunku otwartych drzwi na patio i garbił się, niezdarnie trzymając w objęciach mój laptop. Jego kumpel, wyciągnięty za telewizorem, jedną ręką usiłował dosięgnąć uchwyty ściennego, w drugiej trzymając latarkę. Ich widok zupełnie nie pasował do tego pokoju, wyglądali tak absurdalnie, jakby ktoś nieudolnie nałożył ich obraz w Photoshopie.

Po chwili osłupienia wrzasnąłem:

– Wynocha! – Oburzenie zakipiało we mnie jak paliwo rakietowe, nigdy w życiu niczego takiego nie czułem, ogarnęła mnie furia na jawną bezczelność tych dwóch bydlaków, którzy pakują mi się do domu... – Już! Wypierdalać stąd!!!

Zdałem sobie sprawę, że nie rzucili się w stronę drzwi, a potem nastąpiło pewne zamieszanie. Nie wiem, kto ruszył pierwszy, ale nagle gość z latarką znalazł się na środku salonu w połowie dzielącej nas odległości, a ja rzuciłem się na niego. Chyba udało mi się dość zdrowo przywalić mu w głowę świecznikiem, przynajmniej tyle, ale pod wpływem impetu zderzenia obaj straciliśmy równowagę i złapaliśmy się nawzajem, żeby nie upaść. Cuchnął potem i czymś jeszcze, dziwnie mlecznym – do dziś czasem wyczuwam ten zapach w sklepach i zbiera mi się na mdłości, zanim uświadamiam sobie dlaczego. Był silniejszy i zwinniejszy, niż się spodziewałem po chudej sylwetce. Chwycił mnie za rękę, w której trzymałem świecznik, nie mogłem więc wziąć następnego zamachu – młóciłem jego brzuch krótkimi, wściekłymi ciosami, ale

brakowało miejsca, by nadać im odpowiednią siłę; zataczaliśmy się zwarci w ciasnym uścisku. Dźgnął mnie kciukiem w oko, wrzasnąłem, a potem coś uderzyło mnie w szczękę, zobaczyłem rozpryskujące się białoniebieskie światło i upadłem.

Wylądowałem na wznak na podłodze. Ciekło mi z oczu i z nosa, usta wypełniała mi krew. Splunąłem nią, czując, jak płonie mi język. Ktoś krzyczał: „Ty głupi chuju!”. Uniosłem się na łokciach i odpychając się stopami, próbowałem od nich odpełznąć – „Kurwa, myślisz, że taki z ciebie mistrzu?!” – i chwycić się poręczy kanapy, żeby...

Ktoś kopał mnie w brzuch. „Rozerwę cię na kawałki, skurwielu!” Zdołałem się obrócić, wydając gardłowe odgłosy, jakbym zaraz miał zwymiotować, ale kopniaki bombardowały mnie dalej, miarowe i mocne, teraz w bok. To nie był ból, niezupełnie, ale coś innego, gorszego: okropne i przenikliwe poczucie niesprawiedliwości. Nie mogłem oddychać. Z przeraźliwą, beznamiętną jasnością zdałem sobie sprawę, że mogę umrzeć, że muszą natychmiast przestać, bo inaczej będzie za późno, ale nie mogłem złapać tchu, żeby przekazać im tę arcyważną rzecz...

Usiłowałem odczołgać się na brzuchu – na próżno – próbując uczepić się czegoś palcami. Kopniak w tyłek jeszcze mocniej wgniótł moją twarz w dywan, potem następny i następny. Usłyszałem śmiech, piskliwy, rozradowany i triumfalny.

Skądś dobiegło:

- ...ktoś jeszcze?
- Nie, chyba już...
- Rozejrzyj się... dziewczyna...

Znowu śmiech, ten śmiech, pełen świeżego zapachu.

– Aha, jasne.

Nie pamiętałem, czy jest u mnie Melissa, czy nie. W nowym przypiływie przerażenia próbowałem dźwignąć się z podłogi, ale nie mogłem, ręce miałem słabe jak tasiemki, każdy oddech był męczarnią przepychania powietrza przez nos zapchany śluzem i krwią, i włóknami dywanu. Kopniaki ustały; ogromna fala ulgi wypłukała ze mnie resztki sił.

Odgłosy szurania, stękanie z wysiłku. Świecznik potoczył się pod przewrócone krzesło. Nie mogłem nawet liczyć na to, że go dosięgnę, ale jego widok pozwolił moim skotłowanym myślom dopasować do siebie dwa elementy... *Dobranoc, śpij dobrze...* Melissa jest u siebie, bezpieczna, Bogu dzięki... Światło kłuło mnie w oczy. Nieprzerwany łoskot spadających przedmiotów. Zielony geometryczny wzór na zasłonach, biegnący w górę pod nieznanym kątem, to tracił, to odzyskiwał ostrość.

– Wystarczy.

– ...czy coś...

– ...chuj z tym. Idziemy.

– Czekał... czy on jeszcze...?

Zbliżyła się do mnie ciemna plama. Mocny cios w żebra... Zwinąłem się w kłębek, kaszląc, nieporadnie zasłaniając się przed następnym kopniakiem, którego jednak nie dostałem. Zobaczyłem dłoń w rękawiczce zaciskającą się na świeczniku, zdążyłem jeszcze nieprzytomnie pomyśleć, po co im to, a potem przestrzeń wypełniła potężna bezgłośna eksplozja i wszystko znikło, wszystko.

\* \* \*

Nie wiem, jak długo byłem nieprzytomny. Żaden z następujących fragmentów nie trzyma się kupy. Mam w głowie tylko pojedyncze momenty, zamknięte w ramach jak slajdy, przezroczyście, oddzielone od siebie ciemnością i suchym trzaskiem mechanizmu, który wysuwa jeden, by wstawić na jego miejsce następny.

Dotyk szorstkiego dywanu na twarzy i wszechobecny ból; ból nieprawdopodobny, wstrząsający, ale to nie jest szczególnie istotne ani nawet szczególnie związane ze mną, przeraża mnie to, że jestem ślepy, zupełnie nic nie

trzask

próbuję dźwignąć się z podłogi, ale ręce dygoczą mi jak w ataku, uginają się pode mną i padam twarzą na dywan

trzask

szalone plamy i smugi czerwieni na białej tkaninie, intensywnie metaliczny zapach krwi

trzask

jestem na czworakach i wymiotuję, ciepły płyn chlusta mi na palce

trzask

rozsypane ostre odłamki niebieskiej porcelany (patrzac z perspektywy czasu, przypuszczam, że to musiały być resztki mojej filiżanki po espresso, wtedy jednak mój umysł nie funkcjonował w ten sposób, nic nie miało żadnego znaczenia ani wagi, było tylko to, co tam i wtedy)

trzask

czołgam się przez niezmierzone pole trzeszczącego  
i ruchomego gruzu, kolana mi się ślizgają, kontury rozmywają się  
i kłębią

trzask

brązowo-beżowy korytarz ciągnie się w nieskończoność  
i pulsuje, gdzieś w oddali na jego końcu porusza się coś białego

trzask

przytrzymując się ściany, posuwam się naprzód chwiejnie  
i z przerwami, jakby rozregulowały mi się wszystkie stawy.  
Skądś dobiega okropny kraczący dźwięk, rytmiczny  
i bezosobowy; rozpaczliwie usiłuję przyspieszyć, żeby uciec,  
zanim to coś mnie zaatakuje, poruszam się jednak w zwolnionym  
tempie i nie mogę się z niego wyrwać, jak w sennym koszmarze,  
a ten odgłos mnie nie opuszcza, mam go w uszach, za sobą  
i dookoła (teraz oczywiście wiem, że to był mój oddech, ale  
wtedy... i tak dalej, i tak dalej)

trzask

brązowe drewno, drzwi; skrobię w nie, zgrzyt paznokci,  
ochrypłe jęki, które nie chcą uformować się w słowa

trzask

głos mężczyzny, który pilnie się czegoś domaga, twarz kobiety  
zastygła w grymasie przerażenia, szeroko otwarte usta,  
pikowany różowy szlafrok, a potem mięknie mi noga, ślepotą  
dogania mnie i pokonuje... i znikam.

## 2

Później nastąpił długi okres – z mojej rekonstrukcji przebiegu wydarzeń wynika, że trwał około czterdziestu ośmiu godzin – w którym nic nie miało większego sensu. Oczywiście były w tym czasie duże ciemne plamy, kiedy leżałem bez czucia, i mam nieprzyjemną świadomość, że jest mało prawdopodobne, abym kiedykolwiek się dowiedział, co się wówczas działo. Raz zapytałem o to matkę, ale zacisnęła wargi, aż zbielała jej skóra wokół ust, i odpowiedziała:

– Nie mogę, Toby. – Na tym się skończyło.

Nawet moje wspomnienia z chwil, gdy zacząłem się budzić, są rozproszonymi fragmentami, które nie układają się według żadnego określonego porządku. Ludzie szorstkim tonem żądali ode mnie różnych rzeczy; czasami próbowałem spełnić ich polecenia – „Ściśnij mi rękę” i „Otwórz oczy”, to pamiętam – żeby sprawić im przyjemność i żeby dali mi spokój, czasem jednak po prostu ich ignorowałem i w końcu odczepiali się ode mnie. Matka siedziała zgarbiona na plastikowym krzeselku z rozpuszczonymi w nieładzie srebrzystymi blond włosami, w zielonym zapinanym swetrze, który zsuwał się jej z ramienia. Wyglądała okropnie, więc chciałem ją objąć i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, że denerwuje się bez powodu, przecież tylko zeskoczyłem z drzewa u dziadków i złamałem nogę w kostce. Chciałem ją rozbawić,

żeby jej napięte szczupłe ramiona wreszcie się rozluźniły, ale zdołałem wydobyć z siebie tylko nieartykułowany pomruk, na którego dźwięk zerwała się z krzesła i przypadła do mnie z szeroko otwartymi ustami. „Toby, och, kochanie, możesz...”, a potem znowu ciemność. Moja ręka, z potwornie ciężkim zestawem złożonym z igły, rurki i plastra, przymocowanym na wierzchu dłoni, leżała zagłębiona w ciało jak groteskowy pasożyt. Ojciec stał oparty o ścianę, miał worki pod oczami, był nieogolony i dmuchał w papierowy kubek. Przed nim przechadzało się tam i z powrotem jakieś zwierzę, umięśnione i smukłe beżowe stworzenie, które wyglądało na dzikiego psa, może szakala, trudno mi było jednak rozpoznać, bo nie mogłem skupić na nim wzroku. Tato chyba go nie zauważył, a mnie przyszło do głowy, że może powinienem go ostrzec, ale to byłoby głupie, skoro prawdopodobnie sam je tu przyprowadził, żeby mi poprawić nastrój, co raczej się nie udało, choć może później zwierzę zwinie się w kłębek na łóżku obok mnie i to w jakiś sposób pomoże mi znosić ból. Ból był tak przejmujący i wszechogarniający, że wydawał się nieodłącznym elementem otoczenia, jakby należało uważać go za naturalną rzecz, która istniała zawsze i nigdy nie zniknie. A jednak nie to najlepiej pamiętam z kilku pierwszych dni, nie ból. Zapamiętałem wrażenie, że jestem metodycznie rozbierany na kawałki, że moje ciało i umysł poddają się temu jak mokra chusteczka i nie mogę zrobić absolutnie nic, aby się temu przeciwstawić.

Kiedy kawałkom ostrożnie udało się złożyć z powrotem – nie wiadomo, w jakim stopniu i w jakiej formie – była noc. Leżałem na wznak w niewygodnym łóżku w nieznanym pokoju, którego

część była oddzielona długą jasną zasłoną. Było zdecydowanie za gorąco. Miałem spieczone wargi; wydawało mi się, że usta wypełnia mi zaschnięta glina. Jedna ręka była uwiązana do rurki, która biegła w górę w ciemność. Żaluzje w oknach co pewien czas lekko stukały, poruszane powiewem wiatru; jakaś maszyna wydawała ciche regularne piski.

Stopniowo dotarło do mnie, że prawdopodobnie jestem w szpitalu. To chyba dobrze, zważywszy na przeszywający mnie ból. Bolało mnie dosłownie wszystko. Epicentrum znajdowało się tuż za prawą skronią; czułem w tym miejscu obrzydliwe, tępe pulsowanie, jak gdyby wypełniał je bulgoczący płyn, który lada chwila rozerwie mi głowę. Bałem się unieść rękę, by jej dotknąć.

Ogarnął mnie paniczny strach, który nie chciał ustąpić. Serce waliło jak oszalałe. Pomyślałem, że mogę mieć zawał, bo dyszałem jak biegacz, a każdy oddech zaostrzał ból w lewym boku, co jeszcze bardziej wzmagало przerażenie. Wiedziałem, że gdzieś w pobliżu musi być przycisk do wezwania pielęgniarki, nie mogłem sobie jednak na to pozwolić: bo gdyby podała mi coś, co mnie zamroczy i nigdy już nie uda mi się odzyskać świadomości?

Przez długi czas leżałem nieruchomo, ściskając w palcach prześcieradło i starając się nie krzyczeć. Spomiędzy listewek żaluzji sączyły się paski szarego światła. Za zasłoną cicho i przejmująco płakała jakaś kobieta.

Głównym źródłem strachu było to, że nie miałem pojęcia, jak się tam znalazłem. Przypominałem sobie Hogan's, Seana i Deca, powrót do domu i przesyłanie całusów przez telefon Melissie – chociaż może to była inna noc? – a potem nic. Jeżeli ktoś

próbował mnie zabić, a wszystko na to wskazywało – zresztą niewiele zabrakło, by zrealizował swój zamiar – co mogłoby go powstrzymać przed odnalezieniem mnie tutaj, co mogłoby go powstrzymać przed ukryciem się za tą zasłoną? Byłem słaby, obolały, rozdygotany, podłączony do rurek i Bóg jeden wie czego jeszcze. Niewiele byłoby ze mnie pożytku w starciu z bezlitosnym i zdecydowanym zabójcą... Żaluzje stuknęły, a napad strachuomal nie wyrzucił mnie z łóżka.

Nie wiem, jak długo tak leżałem, z uporem i rozpaczą przetrząsając kawałki potłuczonej pamięci. Kobieta na drugim łóżku wciąż płakała, co przynajmniej trochę mnie uspokajało: dopóki było ją słychać, mogłem być raczej pewien, że nikt nie skrada się do mnie zza zasłony. Sam byłem bliski łez, gdy w końcu zdołałem wygrzebać jeden obraz: nagły rozbłysk światła w moim salonie, dwaj mężczyźni, zastygli i patrzący na mnie.

Może to dziwnie brzmi, ale wspomnienie przyniosło mi wielką ulgę. Pobili mnie włamywacze, co mogło się przytrafić każdemu, ale jest już po wszystkim i nic mi nie grozi. Przecież nie wytropią mnie w szpitalu, żeby dokończyć dzieła. Musiałem po prostu leżeć i zdrowieć.

Serce powoli się uspokoiło. Chyba nawet uśmiechnąłem się w ciemności, mimo swojego stanu. Widzicie, taki byłem przekonany, tak całkowicie i błogo pewny, że jest już po wszystkim.

\* \* \*

Rano przyszedł lekarz. Byłem już mniej więcej rozbudzony – od pewnego czasu narastał hałas dobiegający z korytarza, ożywione głosy, szybkie kroki, ponury turkot kół wózków – ale z buchającego przez okno światła, od którego pękała głowa, odgadłem, że jest wcześnie. Ktoś za zasłoną mówił do kobiety na drugim łóżku z naciskiem i spokojną stanowczością, jakby zwracał się do cudzego rozhisteryzowanego dziecka:

– Będzie pani po prostu musiała przyjąć do wiadomości, że wszystko, co robimy, jest zgodne ze sprawdzonymi medycznymi procedurami.

Chyba wydałem jakiś dźwięk, bo z boku dobiegł szelest i czyjś głos powiedział łagodnie:

– Toby.

Kiedy się wzdrygnąłem, ból rozlał się po całym ciele, ale to był mój ojciec: pochylał się na krześle, wymięty, z zaczerwienionymi oczami.

– Toby, to ja. Jak się czujesz?

– Okay – wymamrotałem. Prawdę mówiąc, kiedy zasypiałem poprzedniego wieczoru, cierpienie było znacznie mniej dotkliwe. Teraz wszystko bolało jeszcze bardziej, choć miało przecież być inaczej. Miałem dochodzić do siebie, a na myśl, że sytuacja być może nie jest tak prosta, w mojej głowie znowu zakiełkowało ziarno paniki. Zebrałem się na odwagę i dwoma palcami ostrożnie dotknąłem miejsca za prawą skronią, ale zasłaniał je gruby opatrunek z gazy, więc nie dowiedziałem się niczego istotnego, na domiar złego ruch tylko nasilił ból.

– Chcesz czegoś? Napijesz się wody?

Chciałem, żeby zakryto mi czymś oczy. Kiedy próbowałem się skupić, żeby o to poprosić, uchylił się brzeg zasłony.

– Dzień dobry – powiedział lekarz, wysuwając głowę przez szparę. – Jak się pan dzisiaj miewa?

– Och. – Usiłowałem usiąść, lecz zaraz się skrzywiłem. – Dobrze. – Mój język był chyba dwa razy grubszy niż zwykle i obolały z jednej strony. Mówiłem jak kiepski aktor, który wkłada całe serce, żeby zagrać upośledzonego.

– Czuje się pan na siłach mówić?

– Mhm. Tak. – Nie czułem się, ale cholernie chciałem wiedzieć, co się dzieje.

– No, to wielki krok naprzód – orzekł lekarz, po czym zasunął za sobą zasłonę i skinął głową mojemu ojcu. – Pomogę panu. – Pomajstrował przy czymś i wezglowie łóżka uniosło się z rozdrażnionym sapnięciem, tak że przyjąłem pozycję półsiedzącą. – Jak teraz?

Przy tym ruchu pokój zatańczył mi w oczach, jak gdybym siedział na karuzeli.

– Dobrze – powiedziałem. – Dziękuję.

– Świetnie. – Był młodym człowiekiem, tylko kilka lat starszym ode mnie, wysoki, o okrągłej, nijakiej twarzy, z zakolami nad czołem. – Jestem doktor Coogan. – Być może nazwisko brzmiało Cregan czy Duggan, a może zupełnie inaczej, kto wie. – Powie mi pan, jak się pan nazywa?

Sam fakt, że o to pytał, jakbym rzeczywiście mógł tego nie wiedzieć, wzbudził mój niepokój. I przywołał obraz wirującego chaosu, dźwięk głosu wrzeszczącego mi prosto do ucha, błysk

rozkołysanego światła, wspomnienie konwulsji wstrząsających całym moim ciałem...

– Toby Hennessy.

– Mhm... – Przysunął sobie krzesło i usiadł. Miał w rękach zagadkowy arkusz; przypuszczałem, że to moja karta, cokolwiek to mogło znaczyć. – Wie pan, jaki mamy miesiąc?

– Kwiecień.

– Rzeczywiście. Wie pan, gdzie pan jest?

– W szpitalu.

– Znowu się zgadza. – Zanotował coś na karcie. – Jak się pan czuje?

– Dobrze. Trochę boli.

Uniósł wzrok.

– Co konkretnie?

– Głowa. Dość mocno. – Mało powiedziane; łupało mnie w głowie tak potwornie, jakby mózg drgał przy każdym uderzeniu serca, nie chciałem jednak, żeby poszedł szukać środków przeciwbólowych, niczego mi nie wyjaśniając. – I twarz. I bok. I... – nie przychodziło mi na myśl żadne stosowne do terminologii medycznej określenie miejsca „tuż nad tyłkiem”, wiedziałem, że takie istnieje, ale nie umiałem go odnaleźć – ... tutaj? – Przy tym ruchu wyrwał mi się bezwiedny jęk.

Lekarz skinął głową. Miał małe, przejrzyste i bezbarwne oczy, jak u zabawki.

– Tak. Ma pan pękniętą kość ogonową i cztery żebra. Na to nic nie możemy poradzić, ale powinny się zrosnąć same, nie pozostawiając trwałych uszkodzeń, nie ma się czym martwić. Na

ból z pewnością coś panu podam. – Wyciągnął palec. – Może pan ścisnąć mój palec?

Zrobiłem to. Palec był długi, trochę pulchny i bardzo suchy. Ten intymny dotyk miał w sobie coś wstrętnego.

– Mhm. A drugą ręką?

Powtórzyłem to drugą ręką. Nie potrzebowałem medycznego wykształcenia, by stwierdzić różnicę: prawa ręka funkcjonowała normalnie, lewa miała nierealną miękkość waty, i to mnie przeraziło. Zacisnąłem ją słabiutko jak dziecko.

Spojrzałem na lekarza, lecz nie dał po sobie poznać, że cokolwiek zauważył.

– Bardzo dobrze. – Znowu coś zanotował. – Mogę? – Wskazał na prześcieradło.

– Pewnie – odpowiedziałem zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, co chce zrobić. Ojciec przyglądał się w milczeniu z łokciami na kolanach, trzymając przy ustach złączone palcami dłonie.

Lekarz wprawnym ruchem odrzucił prześcieradło, odsłaniając moje gołe nogi – miałem kilka paskudnych sińców, których wcześniej nie zauważyłem – i zmięty skraj szpitalnej koszuli w kolorze poszarzałej bieli w dyskretny wzór z radosnymi niebieskimi rombami.

Położył dłoń przy podszwie mojej stopy.

– Potrafi pan skierować stopę w stronę mojej ręki? – spytał.

Napiąć, wyprostować, druga stopa, lewa znowu słabsza od prawej, choć nie tak wyraźnie, różnica na pewno nie była aż tak duża... W tym obnażeniu i tak sprawnych i bezosobowych zabiegach było coś szokującego. Zachowywał się, jakby moje

ciało było mięsem, w ogóle niepowiązanym z osobą. Wytężyłem całą siłę woli, żeby nie wyrwać stopy z jego dłoni.

– Dobrze – pochwalił. – Teraz proszę podnieść lewą nogę, próbując pokonać siłę mojej ręki, gdy będę na nią naciskał. Zgoda?

Podciągnął mi koszulę i płasko położył dłoń na moim udzie.

– Zaraz – wyrzuciłem z siebie. – Co się ze mną dzieje?

Brałem pod uwagę, że może mnie ochrzanić jak kobietę z łóżka za zasłoną, ale może ona była po prostu znerwicowana albo upierdliwa czy coś w tym rodzaju, bo oderwał dłoń od mojej nogi i wyprostował się na krześle.

– Został pan zaatakowany – wyjaśnił łagodnym tonem. – Pamięta pan coś z tego?

– Tak. Nie wszystko, ale... chodzi mi o to... nie o to mi chodzi. Czy mam... – Zabrakło mi słowa. – Głowa. Rozbili mi ją? Co zrobili?

– Został pan uderzony w głowę co najmniej dwukrotnie. Raz prawdopodobnie pięścią, tutaj – wskazał lewą stronę swojej szczęki – a raz ciężkim, ostrym przedmiotem, tutaj. – Miejsce za moją prawą skronią. Usłyszałem gwałtowny wdech ojca. – Doznał pan wstrząśnienia mózgu, ale to chyba już ustąpiło. Doszło też do pęknięcia czaszki, które doprowadziło do powstania krwiaka nadwardówkowego, czyli wylewu między kością czaszki a zewnętrzną powłoką mózgu, spowodowanego pęknięciem naczynia krwionośnego. Proszę się nie martwić... – niewiele z tego rozumiałem, ale chyba musiałem szerzej otworzyć oczy, bo uspokajającym gestem uniósł rękę – naprawiliśmy to chirurgicznie, gdy tylko pana przywieziono.

Wywierciliśmy mały otwór w pana czaszce i odprowadziliśmy krew, zmniejszając ciśnienie na pański mózg. Miał pan wielkie szczęście.

Gdzieś w głębi mojej duszy kołatało się przekonanie, że to raczej oburzające słowa do kogoś w mojej sytuacji, ale zostało zagłuszone przez głos ulgi – tak, szczęście, miałem szczęście, przecież facet był lekarzem, wiedział, co mówi, nie chciałem kwękać jak ta kobieta z łóżka obok.

– Chyba tak – powiedziałem.

– Owszem. Po napaści miał pan, jak to nazywamy, *lucidum intervallum*, czyli przerwę jasną. Przy tego rodzaju urazach zdarza się to dość często. Według naszej oceny był pan nieprzytomny przez co najmniej godzinę po wstrząśnieniu mózgu, ale potem ocknął się pan i mógł wezwać pomoc, zanim znowu stracił pan przytomność, tak? – Spojrzał na mnie pytająco.

– Chyba tak – bąknąłem znowu po chwili niepewności. Nie pamiętałem, żebym kogokolwiek wzywał. Zresztą wciąż niewiele pamiętałem prócz burzy mrocznych, urywanych obrazów, którym wolałem nie przyglądać się zbyt uważnie.

– Wielkie szczęście – powtórzył lekarz, nachylając się nade mną, żebym w pełni zrozumiał powagę tego stwierdzenia. – Gdyby nie udało się panu wezwać pomocy i interwencja chirurgiczna nastąpiłaby jakąś godzinę później, krwiak prawie na pewno okazałby się śmiertelny. – Gdy patrzyłem na niego szklanym wzrokiem, nie wiedząc, co począć z tą informacją, dodał: – O mały włos pan nie umarł.

– Aha – powiedziałem po chwili. – Nie zdawałem sobie sprawy.

Patrzyliśmy na siebie; miałem wrażenie, że czeka, bym jakoś zareagował, nie miałem jednak pojęcia jak. Kobieta za zasłoną znowu płakała.

– I co teraz? – spytałem, starając się, aby mój głos nie zdradził, że trzepocze we mnie panika. – To znaczy, co z ręką? Z nogą? Czy one... Kiedy mogą...?

– Jest za wcześnie, żeby to stwierdzić – odparł szybko. Nie patrzył już na mnie, tylko robił coś z notatkami, a ja czułem narastającą panikę. – Przyjdzie do pana neurolog, żeby...

– Chcę tylko znać... znać... – Nie umiałem znaleźć słowa i bałem się, że to właśnie moment, w którym wpadnie w ton poskramiacza dzieci i każe mi przestać zadawać pytania i być grzecznym...

– Rozumiemy, że nie może pan niczego zagwarantować – odezwał się cichym, ale stanowczym głosem mój ojciec. – Chcielibyśmy tylko ogólnie wiedzieć, czego mamy się spodziewać.

Po chwili lekarz skinął głową i odwrócił wzrok od notatek.

– Taki uraz często zostawia po sobie pewne uszkodzenia – powiedział. – Pański wydaje się stosunkowo niegroźny, chociaż po wstępnej ocenie nie mogę wyrokować. Jednym z powszechnie występujących skutków są ataki, musi więc pan na nie uważać, ale zwykle z czasem zanikają. Skierujemy pana do fizjoterapeuty, który pomoże w kwestii osłabienia lewej strony, ma pan też do dyspozycji terapeutów zajęciowych, jeżeli zauważy pan u siebie kłopoty z pamięcią czy koncentracją. – Mówił tak rozsądnym i rzeczowym tonem, że słuchając go, cały czas kiwałem głową, jakby wszystko, co wymieniał – „ataki”, „terapeuci zajęciowi”,

rzeczy żywcem wyjęte z melodramatycznych seriali medycznych, odległych od mojego życia o lata świetlne – było czymś najnormalniejszym na świecie. Tylko jakaś niewielka, marginalna część mojego umysłu zaczęła sobie uświadamiać z dojmującym ukłuciem lęku, że to moje prawdziwe życie. – Może się pan spodziewać, że poprawa nastąpi w ciągu sześciu miesięcy, ale to może potrwać do dwóch lat. Neurolog wszystko panu...

Mówił dalej, ale nagle pochłonęła mnie olbrzymia fala zmęczenia. Jego twarz rozdzieliła się, rozmyła w nedorzeczną plamę; słowa rozpadły się w niezrozumiały bełkot. Chciałem mu powiedzieć, że natychmiast potrzebuję tych środków przeciwbólowych, ale niezwykle trudno było wykrzesać z siebie energię konieczną do mówienia, zadanie to wydawało się ponad siły, i tak ból razem ze mną zapadł w gęsty, podstępny sen.

\* \* \*

Spędziłem w szpitalu niecałe dwa tygodnie. W sumie nie było aż tak źle. Wieczorem tego dnia, gdy rozmawiałem z lekarzem, znaleźli mi (ze skruchą, bąkając coś o przepełnieniu) pojedynczy pokój, ku mojej uldze, bo znerwicowana kobieta na drugim łóżku ciągle płakała i zaczynało mnie to drażnić, wdzierać się do mojego snu. Nowy pokój był jasny, przestronny i cichy, więc pogratulowałem sobie w duchu dobrego ubezpieczenia zdrowotnego, chociaż nie spodziewałem się, że będzie mi potrzebne w ciągu najbliższych kilkadziesiąt lat. Dużo spałem, a kiedy się budziłem, zwykle ktoś przy mnie był – oficjalnie

pacjentów można było odwiedzać przez godzinę po południu i dwie godziny wieczorem, ale pielęgniarki najwyraźniej przymykały oko na gości przychodzących do prywatnych pokoi poza wyznaczoną porą. W ciągu dnia najczęściej siedziała u mnie matka, która zaraz po telefonie ze szpitala porzuciła pracę i zwała wszystko na barki wydziału – uczy historii osiemnastego wieku w Trinity College. Przynosiła mi różności: wentylator, bo w pokoju było niemiłosiernie gorąco, niezliczone butelki wody, soków i lucozade, ponieważ musiałem nawadniać organizm, artystyczne pocztówki i bukiety tulipanów, przekąski, które lubiłem w dzieciństwie (chrupki Monster Munch, serowy popcorn, mocno zalatujący wymiocinami), kartki od cioć i wujków, zaskakującą różnorodność książek, hipsterską kostkę Rubika wyłożoną klockami Lego. Nie tknąłem prawie żadnej z tych rzeczy, więc po kilku dniach pokój przypominał zarośnięty ogród, jak gdyby na każdej wolnej powierzchni spontanicznie wyrastały przypadkowe przedmioty, i istniało poważne niebezpieczeństwo, że prędzej czy później pielęgniarki znajdą mnie przygniecionego górą babeczek i akordeonem.

Zawsze miałem dobre relacje z matką. Jest inteligentna, wybuchowa i zabawna, ma wyostrzone poczucie piękna i cudowną, wielką zdolność do odczuwania radości, jest osobą, którą lubiłbym, nawet gdybyśmy nie byli spokrewnieni. Nawet w okresie umiarkowanego nastoletniego buntu, jeżeli się kłóciłem (o typowe sprawy: dlaczego nie mogę wrócić do domu później, to niesprawiedliwe, że ciągle czepiacie się o zadania domowe), to tylko z ojcem, z nią prawie nigdy. Odkąd wyprowadziłem się z domu, dzwoniłem do matki parę razy

w tygodniu, co najmniej raz na miesiąc umawiałem się z nią na lunch, nie z poczucia obowiązku, ale z autentycznego przywiązania i dla przyjemności; od czasu do czasu wybierałem dla niej drobne prezenty, wysyłałem SMS-y z zabawnymi powiedzonkami Richarda, ponieważ wiedziałem, że będzie potrafiła je docenić. Nawet jej widok budził we mnie czułość, gdy bez skrępowania kroczyła na swoich długich nogach w rozwianym płaszczu, kiedy ściągała albo unosiła cienkie łuki brwi do wtóru historii, którą jej opowiadałem. Dlatego oboje byliśmy zaskoczeni, że jej wizyty w szpitalu doprowadzały mnie do szału.

Po pierwsze, nie umiała trzymać rąk z daleka ode mnie – zawsze jedna dłoń głaskała mnie po włosach, leżała na mojej stopie albo szukała w pościeli mojej ręki – a ja nawet pomijając ból, zorientowałem się, że nie cierpię być dotykany, do tego stopnia, że czasem nie mogłem się powstrzymać i wyrywałem się. I ciągle chciała rozmawiać o tamtej nocy. Jak się czuję? (Dobrze). Czy chcę o tym rozmawiać? (Nie). Domyślam się, kim byli ci ludzie, śledzili mnie aż do domu, może zauważyli mnie w pubie, zwrócili uwagę na mój drogi płaszcz i... Wtedy najczęściej byłem niejasno, choć głęboko przekonany, że włamanie było sprawką Gougera i jednego z jego kumpli z poprawczaka, zemstą za to, że wyrzucono go z wystawy, wciąż jednak miałem zbyt wielki mętlik w głowie, żeby wytłumaczyć to matce, nawet gdybym chciał. Ograniczyłem się do burknięć, coraz bardziej niegrzecznych i opryskliwych, dopóki nie dała za wygraną, ale godzinę później wracała jak bumerang, nie mogąc

się powstrzymać. Czy dobrze śpiam? Czy mam koszmary? Czy dużo pamiętam?

Prawdziwy problem, jak przypuszczam, polegał na tym, że matka była mocno wstrząśnięta. Całym wysiłkiem woli starała się to maskować, ale dobrze znałem tę sztuczną, zbyt spokojną wesołość z kryzysów w dzieciństwie („Dobrze, kochanie, zmyjemy krew, żeby zobaczyć, czy trzeba iść do doktor Mairéad po niebieski klej! Może znowu będzie miała te naklejki!”) i działała mi na nerwy. Czasem maska opadała i ukazywała się zza niej nieopisana zgroza, której widok wywoływał u mnie paroksyzmy dzikiej wściekłości. Jasne, przeżyła kilka trudnych dni, ale teraz nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, nie było się czym martwić; miała w pełni sprawne obie ręce, świat nie dygotał i nie dwoił się jej w oczach, nikt nie wygłaszał jej mów o terapii zajęciowej, więc o co jej chodziło, do cholery?

Kiedy się pojawiała, niemal w tej samej chwili pragnąłem tylko jednego: wszcząć z nią kłótnię. Bez względu na to, jakie następstwa zostawił uraz głowy, na pewno nie powstrzymywał mnie przed awanturą, wręcz przeciwnie; podczas gdy zwykle z trudem udawało mi się klecić proste zdania, to kiedy ruszałem do ataku, wyzwalała się we mnie nowa paskudna płynność. Wystarczyła jedna gafa matki, jedno wyrażenie, jedno spojrzenie, które poruszyło mnie do żywego – nawet na torturach nie umiałbym wytłumaczyć, dlaczego niektóre zachowania uznawałem za gafy, ale tak było – i zaczynała się kłótnia.

- Przyniosłam ci brzoskwinie. Zjesz jedną? Umyję je w...
- Nie. Dzięki, nie jestem głodny.

– Hm... – Podkręcała radosny ton, pochylając się, aby pogrzebać w stojącej obok krzesła wypchanej plastikowej torbie.

– Przyniosłam też precle. Masz ochotę? Te małe, które...

– Powiedziałem, że nie jestem głodny.

– Aha. Dobrze. Zostawię na później.

Na jej twarzy malowała się cierpliwość męczennicy i na ten widok chciało mi się puścić pawia.

– Jezu, co za mina. Możesz więcej nie robić takiej miny?

Rysy jej stężały.

– Jakiej miny?

– „Och, biedny kochany Toby, nie jest sobą, trzeba mu okazać wyrozumiałość, biedactwo nie wie, co mówi...”

– Zostałeś poważnie ranny. Wszystkie źródła, które czytałam, mówią, że w twojej sytuacji to całkiem normalne, że będziesz trochę...

– Doskonale wiem, co mówię. Nie jestem pieprzoną rośliną. Nie ślinię się nad przecierem z suszonych śliwek. Tak mówisz ludziom? Że nie jestem sobą? Dlatego nikt mnie nie odwiedza? Susanna i Leon nie dzwonili do mnie...

Matka szybko mrugała, patrząc obok mnie na światło padające z okna. Miałem okropne wrażenie, że próbuje powstrzymać łzy, i równie okropne wrażenie, że jeżeli rzeczywiście się rozbeczy, wyrzucę ją z pokoju.

– Mówiłam tylko, że możesz jeszcze nie czuć się na tyle dobrze. Nie sprawiałeś wrażenia, jakbyś chciał z kimś rozmawiać.

– Nie raczyłaś mnie nawet zapytać o zdanie? Po prostu uznałaś, że za bardzo „nie jestem sobą”, żeby samemu podjąć tak

ważną decyzję?

Poczułem ulgę, mogąc oskarżyć o to matkę. Susanna i Leon to moi kuzyni. Prawdę mówiąc, nie chciałem z nimi rozmawiać, ale dorastaliśmy razem i choć w tym okresie nie spędzaliśmy ze sobą zbyt dużo czasu – Susannę widywałem kilka razy w roku, na Boże Narodzenie i przy okazji urodzin, Leona może raz w roku, kiedy przyjeżdżał z Amsterdamu, Barcelony czy innego miasta, po którym się właśnie włóczył – to jednak zabolalo, kiedy nie okazali mi zainteresowania.

– Jeżeli chcesz zobaczyć się ze wszystkimi, mogę...

– Jeżeli chcę się z nimi zobaczyć, sam mogę im o tym powiedzieć. A może myślisz, że mam na to za bardzo uszkodzony mózg? Uważasz mnie za maluszka, który potrzebuje mamusi, żeby umawiała go na zabawę z innymi dziećmi?

– W porządku – odparła z irytującą starannością, splatając dłonie na kolanach. – W takim razie co mam im powiedzieć, kiedy będą o ciebie pytać? Wszyscy szukają w Google’u informacji o urazach głowy i oczywiście jest taka masa wyników, że nie mają pojęcia, co...

– Nic im nie mów. Nic. – Już widziałem swoją rodzinę, jak roi się i skubie mój zewłok niczym stado mrówek: ciocia Louisa stroi ckliwe współczujące miny, ciocia Miriam zastanawia się, którą z moich czakr należałoby odblokować, wujek Oliver peroruje o jakichś bredniach wyczytanych w Wikipedii, a wujek Phil przez cały czas mądrze kiwa głową... Nabrałem ochoty, by dać komuś w gębę. – Albo nie, mam genialny pomysł, powiedz im, że czuję się świetnie i żeby się odpieprzyli i zajęli własnymi sprawami. Co ty na to?

– Martwią się o ciebie, Toby. Ale po prostu...

– Cholera, przykro mi. Ciężko im z tego powodu? Tak bardzo to przeżywają?

I tak dalej, i tak dalej. Nigdy dotąd nie byłem okrutny, nawet w szkole, gdzie należałem do cool chłopaków i wszystko uchodziło mi na sucho, ani razu nad nikim się nie znęcałem. Kiedy robiłem to teraz, poczułem przypływ dzikiej, porywającej satysfakcji i ogarnęło mnie przygnębienie. Satysfakcji, bo znalazłem nową broń, choć nie bardzo wiem, jak miałyby się przydać (przypuszczam, że gdybym następnym razem natknął się na złodziei, wygarbowałbym im skórę sarkazmem), a przygnębienie brało się stąd, że lubiłem być miłym człowiekiem, a nie umiałem już znaleźć drogi powrotnej do dawnego siebie, jak gdyby zginęła na dobre, przysypana ogromnymi zwałami dymiącego gruzu, i w sumie, gdy matka wychodziła, codziennie oboje byliśmy wykończeni.

Wczesnym wieczorem przychodził ojciec. Był prawnikiem, zawsze tonął po uszy w instrukcjach dla adwokatów w związku z jakąś niezrozumiałą sprawą finansową; przychodził prosto z pracy, przynosząc tę samą niewzruszoną, ezoteryczną atmosferę drogich garniturów i niedomówień, która wraz z nim pojawiała się w drzwiach co wieczór, gdy byłem mały. W odróżnieniu od matki wyczuwał, kiedy nie miałem ochoty na pogaduszki, a mnie nie korciło, aby prowokować go do kłótni, której żadna strona nie mogła wygrać. Najczęściej zadawał kilka uprzejmych pytań o samopoczucie i moje potrzeby, następnie wyjmował z kieszeni płaszcz zwiniętą i sfatygowaną książkę w miękkiej oprawie (P.G. Wodehouse'a albo Thomasa

Keneally'ego), sadowił się na krzeselku dla gości i całymi godzinami czytał mi cichym głosem. Jeśli potrafiłem w czymkolwiek znaleźć ukojenie i pociechę, to chyba właśnie w tym: w regularnym rytmie odwracanych kartek, czasem stłumionym śmiechu, wyraźnym konturze jego profilu na tle ciemniejszego okna. Często zasypiałem, gdy jeszcze siedział w pokoju, i to był najspokojniejszy sen w szpitalu, niezakłócany koszmarami, wolny od ponurej groźby, że mogę się już nigdy nie obudzić.

Melissa przychodziła, gdy tylko znalazła kogoś, kto mógł się zająć sklepem, nawet na godzinę, a potem jeszcze wieczorami. Gdy pierwszy raz mnie odwiedziła, byłem, prawdę mówiąc, przerażony. Sam czułem, że zalatuję potem i nieznanymi chemikaliami, wciąż miałem na sobie szpitalną koszulę i wiedziałem, że wyglądam jak ostatnia fleja. Kiedy dowlokłem się do łazienki i spojrzałem w lustro, przeżyłem szok. Byłem przyzwyczajony do tego, że jestem całkiem przystojny w nienachalny, zwykły sposób; mój wygląd nie zaprzęta zbyt wiele uwagi – mam gęste i proste jasne włosy, bardzo niebieskie oczy i szczere, nieco chłopięce rysy twarzy, dzięki którym każdy, niezależnie od płci, ma ochotę mnie polubić. Facet w upstrzonym przez muchy lustrze był kimś z zupełnie innej bajki. Włosy były szarobrązowe i zlepione w strąki, duża część z prawej strony głowy została wygolona i biegły tam brzydkie czerwone brzegi rany, pospinane grubymi zszywkami. Jedna powieka opadała w obrzydliwy, pijacki sposób, szczęka była nabrzmiąta i usiana fioletowymi cętkami; brakowało sporego fragmentu górnego zęba, warga była spuchnięta. Choć minęło

zaledwie kilka dni, zdążyłem schudnąć; zawsze byłem raczej szczupły, a teraz miałem zapadnięte policzki między wystającymi kośćmi policzkowymi a szczęką, co sprawiało, że wyglądałem na strasznie wygłodzonego. Kilkudniowy zarost dawał wrażenie brudu, oczy były przekrwione i tępo utkwione w dal jak ni to u durnia, ni to u psychola. Wyglądałem jak paskuda z filmu o zombie, która nie przeżyje pierwszych trzydziestu minut akcji.

A tu w drzwiach staje Melissa, wdzięczna złota główka i zwiewna kwiecista sukienka, baśniowe stworzenie z odległego świata motyli i drżących kropel rosy. Wiedziałem, że ledwie rzuci okiem na to ponure miejsce i na mnie – celowo i metodycznie ogołoczonego ze wszystkiego, co zasługiwało na uwagę, tak że pozostały tylko najbardziej podstawowe, obscenicznie obnażone mechanizmy, płyny i zapachy życia – i już nigdy nie zobaczy we mnie tego co kiedyś. Nie spodziewałem się, że odwróci się i ucieknie – mimo że delikatna, Melissa miała swój wewnętrzny niewzruszony kodeks i jej lojalność na pewno nie dopuszczała możliwości, by rzucić chłopaka z uszkodzeniem mózgu, zanim jeszcze odłączą go od kroplówki – ale przygotowałem się na wyraz szoku i przerażenia na jej twarzy, a potem zaciśnięcie zębów w determinacji, by sprostać obowiązkowi.

Ona jednak bez chwili zwłoki przebiegła przez pokój i wyciągnęła do mnie ręce:

– Och, Toby, och, kochanie... – Zatrzymała się tuż przy łóżku, żeby nie zrobić mi krzywdy, zobaczyłem trzepoczące tuż przede mną ręce, zbiełała twarz i okrągłe ze zdumienia oczy, jak gdyby

dopiero w tym momencie dowiedziała się, co się stało. – Twoja twarz, och, Toby, biedactwo...

Roześmiałem się z ulgą.

– Chodź tu – powiedziałem, starając się zapanować nad obrzmiałym językiem. – Nie jestem z porcelany. – Otoczyłem ją ramionami (moje żebra przeszła błyskawica bólu, ale nic mnie to nie obchodziło) i mocno przycisnąłem. Poczułem na szyi jej gorące łzy, a potem zaśmiała się, pociągając nosem.

– Jakie to głupie, przecież tak się cieszę...

– Ciii – szepnąłem, trzymając dłoń na jej miękkich włosach i gładząc ją po plecach. Zapach wiciokrzewu, delikatny dotyk jej szyi... ogarnął mnie obezwładniający przypływ miłości do niej, za to, że przyszła i rozkleiła się, abym to ja był tym silniejszym i mógł ją pocieszać. – Ciii, skarbie. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. – Trwaliśmy tak, a łagodny wiosenny wiatr poruszał żaluzjami, słońce rzucało migotliwe owale światła przez baterię butelek z wodą, kość ogonowa bolała mnie straszliwie, co ignorowałem... dopóki Melissa nie musiała wyjść, żeby z powrotem otworzyć sklep.

Tak właśnie spędzaliśmy większość jej odwiedzin, tych najlepszych: razem na wąskim łóżku, w milczeniu i w bezruchu, jeśli nie liczyć unoszących się w oddechu piersi i miarowego rytmu mojej dłoni na jej włosach. Czasem jednak nie wychodziło. Bywały dni, gdy na myśl o czyimś dotyku cierpła mi skóra, a choć oczywiście nie ujmowałem tego w taki sposób (mówiłem tylko Melissie, że wszystko mnie boli, co zresztą było prawdą), widziałem, że jest jej przykro, kiedy wyczuwała, że odsuwam się od niej po krótkim całusie na powitanie i „Jak ci minął dzień,

sprzedalaś coś fajnego?”. Dobrze to jednak maskowała: przysuwała sobie krzesło dla gości, bez przerwy trajkotała, zabawiała mnie historyjkami z pracy i plotkami o najnowszym dramacie swojej współlokatorce (Megan była konfliktową dziewczyną wiecznie szukającą dziury w całym, która prowadziła supermodny bar, gdzie serwowano dania organiczne, w tym z surowego jarmużu, i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego każdy, kogo poznaje, okazuje się skończonym dupkiem; tylko Melissa mogła z nią dłużej mieszkać). Przynosiła komunikaty z zewnętrznego świata, abym wiedział, że nadal istnieje i na mnie czeka. Doceniałem jej starania i robiłem wszystko, by słuchać i śmiać się we właściwych momentach, nie mogłem się jednak skupić. Od nieustannej powodzi słów bolała mnie głowa, poza tym – czułem się niewdzięcznym zdrajcą, ale nie mogłem nic na to poradzić – jej opowieści wydawały się banalnymi głupstwami, drobnymi i nic nieznaczącymi w porównaniu z ogromem mroku, który wypełniał moje ciało i umysł oraz całe otoczenie. Odpływałem myślami, dopatrywałem się wzorów w zagięciach wymiętego prześcieradła albo obsesyjnie szperałem w pamięci, szukając nowych obrazów z tamtej nocy, albo po prostu zapadałem w sen. Po jakimś czasie głos Melissy cichł, potem szeptała coś o powrocie do pracy albo do domu, pochylała się, by musnąć ustami moje posiniaczone wargi, i wymykała się z pokoju.

Kiedy nie miałem gości, w zasadzie nie robiłem nic. Miałem telewizor, nie potrafiłem jednak śledzić żadnej fabuły dłużej niż kilka minut, a jeśli głośność była ustawiona na normalnym poziomie, pękała mi głowa. Bólem głowy kończyły się też próby

czytania albo bawienia się internetem w telefonie. Taki rodzaj bezczynności zwykle prowadziłyby do tego, że wierciłbym się niecierpliwie jak dziecko i pytał każdego, kto zjawiłby się na horyzoncie, kiedy będę mógł wrócić do domu albo przynajmniej wyjść na spacer, albo zrobić coś innego, cokolwiek. Uświadomiłem sobie jednak, że mam dziwną ochotę leżeć i przyglądać się, jak łopatki wentylatora leniwie się obracają, a paski światła sączącego się przez żaluzje wolno wędrują po podłodze; od czasu do czasu zmieniałem tylko pozycję, gdy za bardzo dokuczał mi ból kości ogonowej. Mój telefon bez przerwy dźwięczał – przychodziły wiadomości od znajomych (*Cześć, stary, właśnie się dowiedziałem, bardzo ci dopieprzyli? Mam nadzieję, że dochodzisz do siebie, a te gnoje, które to zrobiły, do końca życia nie wyjdą z pudła*); od matki z pytaniem, czy chciałbym, żeby mi przyniosła układankę; od Susanny (*Hej, co u ciebie? Mam nadzieję, że nie czujesz się gorzej, daj znać, gdybyś czegoś potrzebował albo miał ochotę na towarzystwo*); od Seana albo Deca z pytaniem, czy mogą wpaść; od Melissy (*Chciałam tylko powiedzieć, że cię kocham*). Czasami mijało wiele godzin, zanim brałem telefon i odczytywałem SMS-y. W tym jałowym i dusznym pokoju, spowitym w tanatologiczne zapachy i rozbrzmiewającym cichymi odgłosami elektroniki, czas stracił sztywną formę i rozlał się jak rtęć, tworząc nieregularne kałuże. Jediną nicią, która spajała te rozrzucone krople, był niepowstrzymany cykl działania leków przeciwbólowych. W ciągu kilku dni poznałem na wylot oznaki świadczące o tym, że przestają działać: stopniowo narastające pulsowanie nad uchem i rzednięcie mgiełki, która życzliwie utrzymywała świat

w rozsądnej odległości ode mnie. Potrafiłem z dokładnością niemal do minuty przewidzieć chwilę, w której kroplówka wyda triumfalny, przenikliwy pisk oznaczający, że mogę wcisnąć przycisk i zamówić następną dawkę.

Ból nie był jednak w tym wszystkim najgorszy, bynajmniej. Najgorszy był strach. Kilkanaście razy dziennie moje ciało robiło coś, czego ewidentnie nie powinno. Pokój nagle dwoił się i wirował mi przed oczami, i przez dłuższą chwilę musiałem rozpaczliwie zaciskać i otwierać oczy, by wzrok wrócił do normy; bezmyślnie sięgałem po szklankę lewą ręką i patrzyłem, jak wyslizguje mi się z palców i ląduje na podłodze, a woda rozchlapuje się we wszystkie strony. Mimo że opuchlizna języka w znacznym stopniu ustąpiła, wciąż mamrotałem jak wioskowy głupek, a gdy szedłem do łazienki, powłóczyłem lewą stopą po lepszniej zielonkawej podłodze, utykając jak Quasimodo. Za każdym razem wpadałem w tę samą spiralę gorączkowych myśli: a jeżeli już nigdy nie będę prawidłowo widział/chodził/mówił? A jeżeli to jeden z tych ataków, przed którymi ostrzegał mnie lekarz? Jeśli nie tym razem, to może dostanę ataku następnym razem albo następnym, albo jeszcze następnym? A jeżeli w życiu nie czeka mnie już ani jeden dzień normalnego funkcjonowania?

Kiedy dopadał mnie strach, miałem przesrane. Nigdy nie wiedziałem, że może istnieć coś takiego: nieokiełznany, żarłoczny czarny wir, który wciągał mnie tak zupełnie i bezlitośnie, że naprawdę miałem wrażenie, jakby pożerał mnie żywcem, rozłupywał kości, wysysał szpik. Po nieskończeniu długim czasie (leżałem w łóżku, czując, że serce tłucze mi się w piersi jak młot pneumatyczny, adrenalina pulsuje w żyłach

z częstotliwością stroboskopu, kilka ostatnich nici, dzięki którym mój umysł jeszcze trzymał się w całości, napręza się jak struny) działo się coś, co wyrywało mnie z otchłani wiru – albo wchodziła pielęgniarzka i musiałem odbyć z nią wesołą pogawędkę, albo ogarniała mnie fala nieopanowanej senności – i wtedy wynurzałem się drżący i słaby jak na wpół utopione zwierzę. Ale nawet gdy strach na jakiś czas ustępował, zawsze czaił się w pobliżu: ciemny, zniekształcony, szponiasty, krążył gdzieś nade mną i za mną, czekając na następny moment, by spaść mi na grzbiet i zatopić w nim pazury.

\* \* \*

Po jakimś tygodniu przyszli porozmawiać ze mną śledczy z policji. Leżałem w łóżku, oglądając telewizję z wyłączoną fonią – kilka rysunkowych ciężarówek próbowało pocieszać ciężarówkę w różowym kowbojskim kapeluszu, która ronila wielkie rysunkowe łzy – gdy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał facet ze starannie przystrzyżonymi szpakowatymi włosami.

– Toby? – spytał. Po jego uśmiechu natychmiast zorientowałem się, że to nie lekarz; nauczyłem się już ich uśmiechów, pewnych siebie, zdystansowanych i fachowo odmierzonych, żeby dać ci do zrozumienia, ile czasu mogą jeszcze poświęcić na rozmowę. Ten człowiek wyglądał na naprawdę życzliwego. – Jesteśmy z policji. Poświęcisz nam kilka minut?

– Och – bąknąłem zaskoczony, choć nie powinienem się dziwić, prędzej czy później w sprawę musiała wkroczyć policja, ale miałem na głowie inne rzeczy i w ogóle nie przyszło mi to na myśl. – Tak. Pewnie. Proszę wejść. – Znalazłem przycisk sterujący materacem i z warkotem uniosłem się do pozycji siedzącej.

– Świetnie. – Detektyw wszedł i przysunął sobie krzesło do skraju łóżka. Miał pięćdziesiątkę, może odrobinę więcej, i co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu; jego granatowy garnitur budził zaufanie, a solidna budowa ciała, jak gdyby w całości odlanego w formie, sprawiała wrażenie niezwyklej odporności.

Za nim do pokoju wkroczył drugi facet – młodszy i chudszy, o rudych włosach, ubrany w nieco zbyt efekciarski jasnobeżowy oldschoolowy garnitur.

– Jestem Gerry Martin – przedstawił się ten starszy. – A to Colm Bannon. – Rudy przywitał mnie skinieniem głowy i ulokował się przy oknie, opierając się tyłkiem o parapet. – Prowadzimy śledztwo w sprawie tego, co cię spotkało. Jak samopoczucie?

– W porządku. Lepiej.

Martin przechylił głowę, żeby przyjrzeć się mojej szczęce i skroni. Podobało mi się, że tak otwarcie sprawdza mój stan, rzeczowo jak trener bokserski, zamiast udawać, że nie zauważa, a potem oglądać mnie ukradkiem, sądząc, że tego nie widzę.

– Wyglądasz też lepiej. Dostałeś solidny wycisk. Pamiętasz coś z tamtej nocy?

– Nie – odpowiedziałem po sekundzie wahania; zaniepokoiła mnie myśl, że widzieli, w jakim stanie się wtedy znajdowałem. – Był pan tam?

– Tylko przez kilka minut. Przyjechałem pogadać z lekarzami, zobaczyć, co z panem. Przez pewien czas bali się, że pana stracą. Miło zobaczyć, że jest pan twardszy, niż przypuszczali.

Miał głos lidera, spokojny i dubliński, z lekko dudniącą, głęboką nutą, która dawała poczucie spokoju. Znowu się uśmiechał, a ja – choć w głębi duszy wiedziałem, że to żalosne czuć wdzięczność wobec tego przypadkowego człowieka tylko dlatego, że zachowuje się, jakbym był normalną osobą, a nie pacjentem czy ofiarą, z którą należy obchodzić się jak z jajkiem, żeby nie rozpadła się na kawałki – zorientowałem się, że też się do niego uśmiecham.

– Tak, z tego akurat też się cieszę.

– Robimy wszystko, żeby się dowiedzieć, czyja to sprawka. Liczymy na to, że nam pomożesz. Nie chcemy cię stresować... – W tle jego partner w oldschoolowym garniturze pokręcił głową. – Szczegółami zajmiemy się, kiedy wypuszczą cię ze szpitala i będziesz gotów złożyć zeznanie. Na razie wystarczy nam cokolwiek, żeby zacząć. Spróbujesz?

– Tak. – Mówiłem niewyraźnie, nie chciałem, żeby wzięli mnie za upośledzonego, ale przecież nie mogłem odmówić... – Jasne. Ale nie wiem, czy będę mógł pomóc. Niewiele pamiętam.

– Och, tym się nie przejmuj – pocieszył mnie Martin. Oldschoolowy wyjął notes i długopis. – Tylko powiedz nam, co wiesz. Nigdy nie wiadomo, co może nas naprowadzić na właściwy trop. Dolać, zanim zaczniemy? – Wskazał na stojącą przy łóżku szklankę z wodą.

– Aha. Dziękuję.

Z gąszczu przedmiotów na stoliku na kółkach Martin wydobył dzbanek i napełnił szklankę.

– No dobrze. – Odstawił dzbanek. Lekko podciągnął nogawki spodni, żeby było mu wygodniej, oparł łokcie na udach i złożył ręce, gotów do rozmowy. – Powiedz nam, czy ktoś miał jakiś powód, żeby ci to zrobić?

Na szczęście wiedziałem, że istnieje ważny powód, dla którego nie powinienem wspominać glinom o swojej teorii na temat Gougera, choć nie pamiętałem jaki.

– Nie – odparłem. – Nie ma żadnego powodu.

– Nie masz wrogów?

– Nie.

Martin przyglądał mi się uważnie sympatycznymi małymi, niebieskimi oczami. Patrzyłem na niego, ciesząc się w duchu z leków, które nie pozwoliłyby mi się zdenerwować, nawet gdybym próbował.

– Jakies kłopoty z sąsiadami? Kłótnie o miejsce parkingowe? Może ktoś uważał, że za głośno słuchasz muzyki?

– Nie przypominam sobie. Właściwie nie widuję sąsiadów.

– Tacy najlepsi. Wiesz, co przeżył ten gość? – Wskazał na swojego towarzysza w beżowym garniturze. – Powiedz mu o tym facecie i kosiarce – zwrócił się do niego.

– Jezu. – Oldschoolowy wzniósł oczy do sufitu. – Miałem takiego sąsiada. Zawsze kosiłem trawę w sobotę, i to w południe... nie o świcie. Ale facet, który mieszkał obok, lubił sobie pospać. Naskoczył na mnie, więc poradziłem mu, żeby sobie kupił zatyczki do uszu. Wtedy nagrał dźwięk kosiarki,

postawił głośnik przy ścianie sypialni i katował mnie przez całą noc.

– Jezu – powiedziałem, bo wyraźnie spodziewał się mojej reakcji. – I co pan zrobił?

– Pokazałem odznakę i zrobiłem mu pogadankę o postawach społecznych. – Obaj się zaśmiali. – To go uspokoiło. Ale nie każdy może pokazać odznakę. I wtedy może się zrobić nieprzyjemnie.

– Trzymaj się tych sąsiadów – poradził mi Martin. – Ci, którzy nie robią awantur, są warci krocie. Jesteś komuś winien pieniądze?

Załapałem dopiero po chwili.

– Co...? Nie w tym sensie... To znaczy, jeżeli jestem gdzieś wieczorem z kumplami, może ktoś pożycza komuś dwie dychy. Ale nigdy nie byłem nikomu winien dużych pieniędzy.

– Rozsądny człowiek – rzucił Martin z lekko drwiącym uśmiechem. – Wiesz, zdziwiłbyś się, jaka to rzadkość. Moim zdaniem w co najmniej połowie spraw włamań, nad którymi pracujemy... – Spojrzał na swojego partnera. – W połowie?

– W więcej niż połowie – odparł Oldschoolowy.

– Pewnie więcej. No więc gość wisi komuś pieniądze. I jeżeli nawet nie miało to nic wspólnego z tym, co się stało, musimy go przekonać, żeby nam o tym powiedział. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że nie zależy nam na tym, żeby dobrać się do dupy ofiarom. Jeżeli ktoś raz na jakiś czas lubi spróbować koki i zalega swojemu dilerowi, to nie nasza sprawa, nam chodzi tylko o doprowadzenie do końca śledztwa. I kiedy gość powie, musimy namierzyć wierzyciela i wyeliminować go z podejrzanych. W ten

sposób marnujemy czas, który moglibyśmy wykorzystać na łapanie prawdziwych sprawców. Zawsze bardzo się cieszę, kiedy nie musimy przechodzić przez te wszystkie korowody. Czyli tu nie mamy niczego w tym stylu?

– Nie. Naprawdę.

Oldschoolowy zanotował tę informację.

– A jak życie uczuciowe? – spytał Martin.

– Dobrze. Mam dziewczynę, jesteśmy razem od trzech lat... – Domyśliłem się, że to nie jest dla nich nowina, zanim jeszcze Martin powiedział:

– Rozmawialiśmy z Melissą. Śliczna dziewczyna. Miałeś z nią jakieś kłopoty?

Melissa nic nie wspominała o policjantach.

– Nie – odparłem. – Boże, nie. Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

– Zazdrosny były partner, była partnerka? Czy wasz związek nie złamał komuś serca?

– Nie. Z ostatnim chłopakiem rozstała się, bo... bo... – chciałem powiedzieć „wyemigrował” – ...wyjechał do Australii, zdaje się. To nie było żadne burzliwe rozstanie. Poza tym poznaliśmy się z Melissą parę miesięcy później. Nie wydaje mi się też, żeby to była któraś z moich byłych, ale tu też nie było nieprzyjemnych rozstań.

Wszystko to trochę wytrącało mnie z równowagi. Zawsze uważałem, że świat jest zasadniczo bezpiecznym miejscem, dopóki nie zrobiłbym czegoś głupiego, na przykład uzależnił się od heroiny albo przeprowadził się do Bagdadu. A ci dwaj rozmawiali ze mną, jak gdybym wesoło pląsał po polu minowym,

gdzie wystarczy tylko zerwać z dziewczyną albo skosić trawnik i trach, już po tobie.

– A odkąd jesteście razem? – wypytywał dalej Martin. – Nikt nie patrzył na ciebie łakomym wzrokiem? Nikomu nie musiałeś dać kosza?

– Raczej nie. – Parę miesięcy temu była pewna malarka z Galway, w typie hipiski; stale wynajdywała powody, dla których musiała osobiście omawiać szczegóły swojej kampanii promocyjnej. Oczywiście pochlebiało mi jej zainteresowanie, ale kiedy zaczęła za często dotykać mojej ręki, przerzuciłem się na kontakty mailowe, a ona natychmiast odczytała komunikat. – To znaczy, czasem ktoś flirtuje. Ale nic poważnego.

– Kto flirtuje?

Nie zamierzałem nasyłać policji na malarkę, skoro na pewno nie miała z tym nic wspólnego, poza tym sytuacja byłaby dla wszystkich wysoce żenująca.

– No, różne przypadkowe dziewczyny. Na imprezach i gdzie indziej. W sklepach. Nie chodzi mi o nikogo konkretnego.

Martin zostawił tę kwestię w zawieszeniu na parę sekund, ale ja wypłem wodę i popatrzyłem na niego. Wzrok wciąż odmawiał mi posłuszeństwa; od czasu do czasu część głowy detektywa zniknęła albo widziałem dwóch Martinów, dopóki nie zamrugałem, by odzyskać ostrość widzenia. Poczulem żalony przyływ wdzięczności wobec gliniarzy, że zajmują moją uwagę, nie dopuszczając do tego, by opanowało mnie przerażenie.

– No dobrze – odezwał się w końcu Martin. – Czy któryś z tych przypadków miał ciąg dalszy?

– Co?

– Zdradziłeś kiedyś Melissę? – Zanim jeszcze zdążyłem odpowiedzieć, dodał: – Słuchaj, nie mamy zamiaru pakować cię w kłopoty. Cokolwiek nam powiesz, zachowamy to dla siebie. Ale musimy wiedzieć o wszystkim, co mogłoby kogoś wkurzyć.

– Rozumiem. Ale jej nie zdradziłem. Nigdy.

– Porządny człowiek. – Martin skinął głową. – Ta dziewczyna to skarb. I szaleje za tobą.

– Ja też za nią szaleję.

– Ach – wtrącił się Oldschoolowy, drapiąc się w głowę długopisem i posyłając mi szeroki uśmiech. – Miłość młodości.

– Ktoś jeszcze za nią szaleje? – zapytał Martin. – Kręcił się koło niej ktoś, kto nie przypadł ci do gustu?

Tak się przyzwyczaiłem, by odpowiadać przecząco na każde pytanie, że znowu miałem odruchowo powiedzieć „nie”, ale coś sobie przypomniałem.

– Rzeczywiście ktoś się kręcił. Jakoś... hm... przed świętami? Facet wszedł do sklepu i zaczął z nią gadać, a potem przychodził i przesiadywał u niej godzinami. Próbował ją namówić, żeby poszła z nim na drinka. Nawet kiedy mu odmówiła. Była z tego powodu raczej... – Nie... niezadowolona? Nieszczęśliwa? – To jej się nie podobało. Nazywał się Niall jakiś tam, pracował w finansach w...

Martin kiwał głową.

– Melissa już nam o nim mówiła. Nie martw się, sprawdzimy go. Przy okazji napędzimy mu trochę stracha, co? – Puścił do mnie oko. – Dobrze mu to zrobi, nawet jeżeli nie jest sprawcą. Miałeś z nim jakąś awanturę? Przegoniłeś go?

– Właściwie to nie była awantura. Ale tak, po paru takich próbach powiedziałem Melissie, żeby wysłała mi esemesa, kiedy następnym razem przyjdzie. Wtedy wpadłem z pracy i kazałem mu spadać.

– Jak to przyjął?

– Nie był zadowolony. Nie doszło do żadnych... nie było krzyków ani przepychanek, ani... Ale wściekł się na nas oboje. W każdym razie wyszedł. I już nie wrócił.

Nie miałem skrupułów, żeby nasłać policję na Nialla jakiegoś tam. Śmieszny palant o nalanej twarzy poinformował mnie, że gdyby Melissa naprawdę chciała się go pozbyć, zrobiłaby to, a skoro u niej był, oznaczało to, że tego chciała. Roześmiałbym mu się w twarz – nie miałem wątpliwości, że nie jest niebezpieczny, tylko stroszył piórka – gdyby nie spięta i blada twarz Melissy i nuta lęku w jej głosie, gdy mi o nim powiedziała. Obudził się we mnie tak silny odruch opiekuńczy, że nie zastanawiałem się, czy nie zareagowała za mocno; byłem wręcz rozczarowany, że nie musiałem dać temu gnojkwowi w zęby.

– Wygląda na to, że sobie poradziłeś. Brawo. – Martin usadowił się wygodniej, opierając kostkę na kolanie drugiej nogi.

– Powiedziłeś, że przyszedłeś do niej z pracy, żeby go pogonić. Pracujesz w galerii sztuki, zgadza się?

– Tak. Zajmuję się PR-em. – Wzmianka o galerii przyprawiła mnie o krótki skurcz w żołądku. Jeżeli rozmawiali z Melissą, mogli też rozmawiać z Richardem. Może powinienem wyznać prawdę, zanim mnie czymś zaskoczą? Nie przypuszczałem jednak, by Richard chciał mi narobić kłopotów, zresztą miałem w głowie taki mętlik, że nie byłem pewien, co właściwie

zrobiłem, wiedziałem, że Tiernan i ja daliśmy ciała i doprowadziliśmy do wyrzucenia Gougera z wystawy, ale...

– Przynosisz czasem do domu jakieś prace z galerii?

– Nie. Nigdy.

– Czy z jakiegoś powodu ktoś mógł zakładać, że przynosisz? Czy ktokolwiek wynosił jakieś dzieła z galerii? Żeby na przykład pokazać je nabywcy?

– To wygląda inaczej. Jeżeli nabywca chce... chce prywatnie coś obejrzeć, robi to w biurze. Nasze ubezpieczenie nie pozwala przenosić dzieł w różne miejsca.

– Ach, firma ubezpieczeniowa, jasne – rzucił Martin. – Wszędzie wtykają nos. Nie pomyślałem o tym. Masz z kimś na pieńku w pracy?

– Nie. To nie jest miejsce tego typu. Ze wszystkimi żyję dobrze.

– W każdym razie żyłem, ale...

– A w domu? Masz coś cennego, na czym mogło zależeć złodziejowi?

– Hm... – Ten grad pytań zaczynał mnie dezorientować; detektyw bez przerwy zmieniał temat, co wymagało ode mnie maksymalnej koncentracji, żebym mógł za nim nadążyć. – Chyba zegarek... mam taki złoty, zabytkowy po dziadku, który je kolekcjonował. Nie dostałem najcenniejszego, bo jeden z moich kuzynów, Leon, jest ode mnie starszy. Może nie wygląda, ale naprawdę ma... – Straciłem wątek. Potwornie długo usiłowałem sobie przypomnieć, o czym mam mówić, a policjanci patrzyli na mnie z uprzejmym zainteresowaniem. – No tak. Mój może być wart jakiś tysiąc.

– Piękne cacka te stare zegarki – przyznał Martin. – Nie podobają mi się te nowoczesne z bajerami, wszystkie te gadżety Rolexa... zupełnie bez klasy. Nosisz go? Ktoś mógł go u ciebie widzieć?

– Tak, noszę. Nie zawsze... zwykle sprawdzam godzinę w telefonie. Ale przy okazji, nie wiem, wernisażu, spotkania czy... wtedy tak.

– Miałeś go tamtego wieczoru?

– Nie. To znaczy... – Miałem spotkanie z Richardem, chciałem odrobinę dodać sobie powagi. – Tak, chyba tego dnia go miałem. Ale później, gdy poszedłem spać... Powinien być na nocnym stoliku... Zabrali go?

Martin pokręcił głową.

– Tego nie mogę potwierdzić na sto procent. Szczerze mówiąc, nie pamiętam, żebym widział złoty zegarek, ale to nie znaczy, że go nie było.

Na myśl o tym, że ci dwaj przetrząsali moje mieszkanie, poczułem przelotny ucisk w żołądku, a po chwili mnie zmroziło: przecież miałem ten hasz i – niech to szlag! – czy po Dniu Świętego Patryka nie została jakaś koka? Gdyby jednak zamierzali mi to wyciągnąć, na pewno już by o tym wspomnieli.

– A samochód? – zapytał Martin.

– O. – W ogóle nawet nie pomyślałem o samochodzie. – Tak. Mam paroletnie bmw, ale pewnie warte jeszcze... Zabrali wóz?

– Owszem, zabrali – przytaknął Martin. – Przykro mi. Rozglądamy się za nim, ale na razie bez powodzenia.

– Ubezpieczenie to pokryje, nie ma sprawy – pocieszył mnie Oldschoolowy. – Dostaniesz od nas kopię raportu.

– Gdzie były kluczyki? – pytał dalej jego partner.

– W salonie, na, na... – znowu zabrakło mi słowa – ...na komodzie.

Wypuścił powietrze kącikiem ust.

– W miejscu doskonale widocznym przez okna. Zostawiasz czasem rozsunięte zasłony?

– Przeważnie tak.

Martin skrzywił się.

– Następnym razem będziesz rozsądniejszy, co? W zeszły piątek wieczorem okna były odsłonięte?

– Nie... – Powrót do domu, pójście spać, wszystko, co działo się między jednym a drugim, było czarną dziurą, na tyle wielką, że nawet nie chciałem się do niej zbliżyć. – Nie pamiętam.

– Tego dnia miałeś samochód?

Odpowiedź zajęła mi chwilę.

– Nie. Zostawiłem. – Doszedłem do wniosku, że bez względu na wynik rozmowy z Richardem będę chciał wypić parę piw.

– Na parkingu przed budynkiem?

– Tak.

– Jeździsz nim przez większość dni w tygodniu?

– Raczej nie. Zwykle, jeżeli jest ładna pogoda, chodzę do pracy pieszo, oszczędzam sobie kłopotów z parkowaniem w mieście. Ale gdy pada albo jestem spóźniony, to tak, biorę samochód. I jeżeli wybieram się gdzieś na weekend. Jeżdżę dwa razy w tygodniu. Może trzy.

– Kiedy ostatni raz wsiadłeś do samochodu?

– Wydaje mi się... – Wiedziałem, że przed tym wieczorem kilka dni spędziłem w domu, nie pamiętałem, ile dokładnie. – Na

początku tygodnia... W poniedziałek?

Martin pytająco uniósł brew, jakby mówił: „Na pewno?”.

– W poniedziałek?

– Być może. Nie pamiętam. Może to było w weekend. – Zorientowałem się, do czego zmierza. Parking nie był odgrodzony od ulicy, nie było bramy. Martin przypuszczał, że ktoś wypatrzył mój wóz, namierzył mnie, gdy do niego wsiadałem, obserwował okna, dopóki nie ustalił, gdzie jest moje mieszkanie, a potem przyszedł poszukać kluczyków. Mimo elementu grozy – leżę rozciągnięty na kanapie, chrupię chipsy i oglądam telewizję, a przez ciemną szparę między zasłonami śledzą mnie czyjeś oczy – spodobała mi się ta hipoteza, znacznie bardziej niż moja teoria związana z Gougerem. Złodzieje samochodów nie działają z motywów osobistych i najprawdopodobniej nie wracają.

– Jeszcze jakieś cenne rzeczy? – pytał Martin.

– Laptop. Xbox. Chyba nic więcej. Czy oni...

– Tak – wtrącił Oldschoolowy. – I telewizor. Standardowy łup: łatwo opchnąć za parę euro. Wpiszemy do akt numery seryjne, jeżeli gdzieś je masz, ale...

– ...przede wszystkim próbujemy zrozumieć, dlaczego ty – dokończył Martin.

Obaj przechylili głowy i spojrzeli na mnie z wyczekującym półuśmiechem.

– Nie wiem – przyznałem. – Może dlatego, że mieszkam na parterze. I nie włączyłem alarmu.

– Możliwe – zgodził się Martin. – Sprzyjające okoliczności. Jasne, to się na pewno zdarza. Ale jest mnóstwo innych mieszkań

na parterze. Mnóstwo ludzi, którzy nie włączają alarmu. W tym momencie musimy sobie postawić pytanie: czy istnieje inny powód, dla którego wybrali akurat ciebie?

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odparłem. Nadal mierzyli mnie tym łagodnym, wyczekującym wzrokiem, więc dodałem: – Niczego nie zrobiłem. Nie jestem zamieszany w... w przestępstwa ani nic takiego.

– Na pewno. Bo gdybyś był, to właśnie jest odpowiednia pora, żeby nas o tym uprzedzić. Zanim dowiemy się w inny sposób.

– Nie jestem. – Powoli wpadałem w panikę. Cholera, o co oni mnie podejrzewali? Że handluję prochami? Że sprzedaję dziecięce porno przez dark web? – Możecie spytać każdego. Sprawdźcie mnie, w jaki sposób tylko chcecie. Niczego nie zrobiłem.

– W porządku – powiedział życzliwym tonem Martin, prostując się na krześle i zakładając jedną rękę za oparcie. – Musimy pytać.

– Wiem. Rozumiem.

– Gdybyśmy nie spytali, nie wykonalibyśmy swoich obowiązków. Bez urazy.

– Wiem. Przecież nie... tylko wam mówię.

– Doskonale. Niczego więcej nie chcemy.

Oldschoolowy przewrócił kartkę w notesie. Martin wygiął plecy w łuk – tandetne plastikowe krzeselko zatrzeszczało pod jego ciężarem – i kciukami poprawił sobie pasek.

– Jezuniu... Muszę odstawić smażone śniadanka – poskarżył się. – Moja ślubna stale mi to powtarza. No dobrze, Tobie,

opowiedz nam o piątkowym wieczorze. Zaczynj od tego, co się działo po tym, jak wyszedłeś z pracy.

– Pamiętam właściwie tylko fragmenty. – Mało powiedziane. Wszystkie wspomnienia, jakie mam, wracały do mnie nieregularnymi falami w ciągu wielu miesięcy; wtedy, w zależności od fazy cyklu działania leków przeciwbólowych, czasami byłem przekonany, że znowu jestem w Trinity College, strasznie upiłem się na balu na zakończenie trzeciego trymestru i rąbnąłem się w głowę, spadając z pomnika Edmunda Burke'a przed głównym wejściem.

– Powiedz nam, ile potrafisz. Im więcej, tym lepiej. Nawet jeżeli wydaje ci się to mało istotne. Chcesz się jeszcze napić wody, zanim zaczniesz? Albo tego soku?

Opowiedziałem im wszystko, co zdołałem sobie przypomnieć, czyli wówczas w zasadzie tylko kilka oderwanych od siebie obrazów z pubu i drogi powrotnej do domu, widok dwóch facetów patrzących na mnie z głębi salonu, a potem parę przykrych chwil, gdy leżałem na podłodze. Martin słuchał z dłońmi na brzuchu, kiwając głową i przerywając mi od czasu do czasu, aby zadać jakieś pytanie. Czy potrafię opisać kogoś, kto był w pubie? Jakąkolwiek osobę, którą widziałem podczas powrotu do domu? Czy miałem wrażenie, że ktoś mnie śledzi? Czy pamiętam, jak przekręcałem klucz w zamku drzwi wejściowych budynku, i czy ktoś był wtedy w pobliżu?

Z ekranu telewizora za plecami Martina wylewał się nieskończony strumień jaskrawych obrazów, rysunkowe dzieci w figurach tanecznych wyrzucały w górę ręce, rozradowani prezenterzy szeroko otwierali oczy i usta, małe dziewczynki

tuliły do siebie lalki, których perfekcyjnie wystudiowane uśmiechy były wiernym odzwierciedleniem ich radosnych min. Oldschoolowy potrząsnął długopisem, zamaszycie coś nagryzmolił, po czym wrócił do notowania.

Kiedy przeszliśmy do najważniejszego wydarzenia tamtej nocy, pytania stały się bardziej szczegółowe i natarczywe. Czy potrafisz opisać człowieka, który sięgał po telewizor? Wzrost, budowę, karnację, strój? Miał jakieś tatuaże, znaki szczególne? A tego, który trzymał laptop? Rozmawiali ze sobą? Usłyszałem jakieś imię, ksywę? Z jakim akcentem mówili? Czy w ich wymowie było coś charakterystycznego, seplenili, jękali się? Wysokie głosy czy niskie?

Odpowiadałem, jak umiałem. Facet przy telewizorze był mniej więcej mojego wzrostu, czyli metr osiemdziesiąt? Chudy, biały, z trądzikiem, mniej więcej dwadzieścia lat, ciemny dres, czapka bejsbolowa; żadnych tatuaży ani znaków szczególnych nie zauważyłem. Ten z laptopem był o parę centymetrów niższy i chyba bardziej krępy, biały, coś w jego sylwetce sugerowało, że prawdopodobnie jest starszy, miał może dwadzieścia pięć lat; ciemny dres i czapka bejsbolowa, brak tatuaży i znaków szczególnych. Nie, nie potrafiłem określić koloru ich włosów, były schowane pod czapkami. Nie, nie widziałem, czy mieli zarost, bo połowę twarzy zasłaniały im bluzy. Nie, nie przypominam sobie, żeby wymieniali jakieś imiona. Obaj mówili z dublińskim akcentem, nie pamiętam nic charakterystycznego w ich głosach. Nie, nie jestem pewien na sto procent (Martin wracał do każdego pytania dwa albo trzy razy, formułując je trochę inaczej; po jakimś czasie nie umiałem już rozróżnić, co

naprawdę pamiętam, a co konfabuluję, żeby tylko odpowiedzieć). Na więcej niż pięćdziesiąt procent, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt?

Rozmowa wymykała mi się spod kontroli. Opowiadanie o tamtej nocy odbijało się na moim stanie fizycznym bardziej niż na emocjonalnym: nieustanne, złowieszcze łaskotanie w żołądku, coraz silniejszy ucisk w gardle, drganie ręki albo kolana, jakbym miał tiki. Poza tym przestawały działać środki przeciwbólowe. Kolory w telewizorze nabierały ostrości; miałem wrażenie, jakby nasze głosy skrobały mi od wewnątrz czaszkę. Z każdą sekundą rosło we mnie mdłe i słabe pragnienie, żeby to się wreszcie skończyło.

Martin chyba to zauważył.

– No dobrze – powiedział, prostując się na krześle i zerkając na swojego towarzysza. – Na dzisiaj wystarczy. Mamy sporo rzeczy, nad którymi możemy popracować. Świetnie sobie poradziłeś, Toby.

– Martwiłeś się, że za mało pamiętasz, żeby nam pomóc – dorzucił Oldschoolowy, zamknął notes i wsunął do kieszeni marynarki. – Spotykamy masę ludzi, którzy chociaż nie dostali w głowę, nie potrafią nam powiedzieć tyle co ty. Brawo.

– Aha. – Czuję, że iskrzy mi w głowie; chciałem tylko, żeby nie rozpadła się na części, zanim wyjdą z pokoju. – To dobrze.

Martin wstał i rozprostował plecy, trzymając się za krzyż.

– Jezuniu, co za krzesło! Jeszcze chwila, a musieliby mnie położyć w pokoju obok. Lekarz mówił, że wypuszczą cię jakoś w przyszłym tygodniu, tak? – Pierwszy raz o tym usłyszałem. – Będiesz mógł się wtedy rozejrzeć po mieszkaniu i dać nam znać,

czy zginęło coś jeszcze, albo na przykład zauważysz rzecz, której nie powinno tam być. Zgoda?

– Tak. Nie ma sprawy.

– Świetnie. Jeżeli wcześniej coś się stanie, na pewno cię zawiadomimy. – Podał mi rękę. – Dzięki, Tobie. Wiemy, że to na pewno nie było dla ciebie łatwe.

– W porządku. – Miał wielką dłoń, która otuliła moją rękę, i mimo że nie uścisnął jej zbyt mocno, ból przebiegł mi przez całe ramię. Starając się, by mój uśmiech wyglądał uprzejmie i życzliwie, choć byłem pewien, że wychodzi mi raczej zawzięty grymas albo złośliwa mina szaleńca, ciągle kiwałem głową jak idiota, gdy zorientowałem się, że już ich nie ma.

\* \* \*

Sean i Dec bombardowali mnie SMS-ami, pytając, kiedy będą mogli mnie odwiedzić, ale nie chciałem się z nimi zobaczyć – ściślej mówiąc, nie chciałem, żeby zobaczyli mnie. Po wizycie gliniarzy sytuacja trochę się jednak zmieniła; teoria o złodziejach samochodów obniżyła o pół poziomu strach, stłumiła irracjonalne przerażenie, że ci dwaj wciąż obserwują mnie z jakiejś nieokreślonej ciemności, mierzą mnie nieruchomym i zachłannym wzrokiem, czekając, aż wyjdę ze szpitala, i wtedy skorzystają z pierwszej okazji. Jeżeli policjanci mieli rację – a w końcu byli detektywami, doświadczonymi zawodowcami, Martin wyglądał, jakby zaczął uprawiać tę profesję, jeszcze zanim się urodziłem, więc musieli wiedzieć – wystarczy, że kupię marnego hyundaia, będę zasłaniał okna i to rozwiąże sprawę.

Zrobiłem mały, ale pewny krok w stronę zrozumienia całej historii, dzięki któremu mogłem z nią sobie lepiej poradzić; wydawało mi się nawet możliwe, że jej cielesne skutki są tylko chwilowe. Następnego dnia rano napisałem do Seana i Deca, pozwalając im wpaść do szpitala.

Przyszli prosto z pracy, w garniturach i pod krawatami; widząc ich, pogratulowałem sobie w duchu, że kazałem pielęgniarce odłączyć kroplówkę, bo dzięki temu mogłem zdjąć tę straszną szpitalną koszulę i (zamknięty w łazience, gotując się z bezsilnej złości, przygryzając do krwi wargi, gdy lewa noga uparcie odmawiała mi posłuszeństwa) z trudem wbić się w T-shirt i dresowe spodnie, które przyniosła matka. Delikatnie zapukali do drzwi i niemal na paluszkach weszli do pokoju, gotowi zachować spokój i zimną krew bez względu na to, co zobaczą...

– Jezu Chryste – rzuciłem wesołym i zgryźliwym tonem. – To jeszcze nie pogrzeb. Właźcie.

Obaj się wyluzowali.

– Dobrze cię widzieć, stary – powiedział Dec i twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. Szybko podszedł do łóżka, chwycił w obie dłonie moją rękę i długo ją ścisnął. – Naprawdę dobrze.

– Was też – odparłem, odwzajemniając uścisk i uśmiech. Rzeczywiście dobrze ich było zobaczyć, dobrze, ale dziwnie; miałem wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania upłynęło mnóstwo czasu i że powinienem ich spytać, co ostatnio porabiali.

– Tak, fajnie cię widzieć. – Sean uścisnął mi rękę i bardzo ostrożnie klepnął mnie w ramię. – Jak samopoczucie?

– Nieźle. Przez parę dni wszystko mnie bolało... – wzdrygnąłem się na dźwięk niemrawego bełkotu, jaki wydobył mi się z ust, ale nadal miałem opuchniętą i siną szczękę, więc na pewno uznali, że to jest powód – ...ale jest coraz lepiej. Siadajcie.

Sean przysunął sobie krzesło dla gości, a Dec – sprawdzając ostrożnie, czy nie zgniecie rurek kroplówki – przysiadł na skraju łóżka.

– Super włosy – powiedział, pokazując na moją głowę; wtedy już się goliłem i brałem prysznic (choć jedno i drugie trwało długo i czasem musiałem siedzieć przez chwilę na podłodze pod prysznicem, czekając, aż przestanie kręcić mi się w głowie), więc trochę mniej przypominałem bohatera filmu o zombie, ale włosami na razie nie zaprzątałem sobie głowy. – Z takim fryzem mógłbyś wejść do każdego klubu.

– Powinieneś do kompletu zgolić jeszcze jedną brew – poradził Sean. – Zostałbyś trendsetterem hipsterów.

– Zastanawiałem się nad... – w ostatniej chwili zdążyłem odnaleźć to słowo – ...nad irokezem. Myślisz, że spodobałby się Melissie?

– Myślę, że teraz Melissa pozwoliłaby ci na wszystko. Spróbuj z tym irokezem.

Dec w roztargnieniu skubał brzeg koca i patrzył na mnie.

– Wyglądasz całkiem w porządku – rzucił. – To znaczy nie całkiem „całkiem” w porządku, bo na przykład nie radziłbym ci startować w triathlonie, ale baliśmy się, że... no, że zupełnie cię rozjebali.

– Jezu – jęknął Sean, zerkając na niego. – Wiesz, jesteś naprawdę wrażliwym człowiekiem.

– Przecież wie, o czym mówię – bronił się Dec. – Nie mieliśmy pojęcia, w jakiej jesteś formie – zwrócił się do mnie. – Melissa ciągle mówiła, że w zasadzie jest świetnie. Miło było to słyszeć, no ale to Melissa, wieczna optymistka, nie? No i super, nie zrozum mnie źle... po prostu się martwiliśmy. Fajnie widzieć, że nic poważnego ci nie dolega.

– Bo nie dolega – przytaknąłem. I w tym momencie tak było, w każdym razie prawie: starannie wyliczyłem porę przyjęcia dawki środków przeciwbólowych i mimo narastającego w głowie bólu, od którego cierpły plecy, zamiast w odruchu Pawłowa natychmiast wcisnąć guzik, wstrzymałem się ponad godzinę po sygnale kroplówki, aby kiedy przyjdą, znaleźć się w idealnym punkcie cyklu. – Trzeba będzie tylko coś zrobić z zębem, a poza tym przez jakiś czas muszę się po prostu oszczędzać.

– Jezu. – Dec skrzywił się, oglądając ząb. – Sukinsyny.

– Gliniarze ich namierzyli? – spytał Sean.

– Nie. Przypuszczają, że chodziło im przede wszystkim o bmw, dlatego szukają mojego wozu. Ale nie spodziewam się zbyt wiele.

– Mam nadzieję, że spadną z mostu – powiedział Dec.

– Pieprzyć to – prychnął Sean. – Kupisz sobie nowy samochód. A teraz oszczędzaj się i nabieraj sił. Skoro o tym mowa... – Podniósł wielką, wypchaną papierową torbę i podał mi. – Proszę.

W środku był plik czasopism – „Empire”, „New Scientist”, „Commando” – książka Billa Brysona, zestaw sudoku, zestaw krzyżówek, mały model samolotu do złożenia i kilka paczek ekskluzywnych chipsów w najrozmaitszych surrealistycznych smakach.

– Dzięki, chłopaki – powiedziałem wzruszony. – Fantastycznie.  
– Prawdopodobieństwo, że rozwiążę sudoku albo zbuduję model samolotu, było równie nikłe jak możliwość, że usiądę za sterami myśliwca, ale ożywiła mnie myśl, że uznali mnie za zdolnego do takich wyczynów.

– Nie ma sprawy. – Sean, który próbował usiąść wygodniej, z konsternacją przyjrzał się krzesłu. – Będziesz miał się czym zająć.

– Doszliśmy do wniosku, że jeżeli nic poważnego ci nie dolega, pewnie świrujesz z nudów – dodał Dec.

– Bo świruję z nudów. Jakies nowiny?

– Jasne, mamy nowinę – odparł Sean, zapominając o krześle. – Zgadnij, co ten bałwan zrobił. – Kciukiem wskazał na Deca, na którego twarzy malowała się subtelna mieszanka zażenowania, oburzenia i zadowolenia z siebie.

– Jesteś w ciąży.

– Ha, ha, ha.

– Gorzej – rzucił ponuro Sean.

– Jezu. – Nagle pojąłem. – Niemożliwe. Nie.

– Tak, kurwa, tak.

– Jenna?

Dec skrzyżował ręce na piersi i wysunął podbródek, jego policzki przybrały uroczy odcień różu.

– Jestem szczęśliwy. Macie coś przeciwko temu?

– Stary, ty też dostałeś w głowę? – zapytałem. – Pamiętasz, co się stało ostatnim razem?

Sean rozłożył ręce w geście „Otóż to”. Dec i Jenna spotykali się niecały rok, w ciągu którego zrywali ze sobą jakieś sześć razy.

Ostatni raz był serią melodramatycznych scen w imponującej skali intensywności: Jenna zjawiała się u Deca w pracy cztery dni z rzędu, żeby wśród szlochów błagać go, by spróbowali jeszcze raz, wycięła wielkie litery WAL SIĘ w T-shircie, który u niej zostawił, a potem przysłała mu kurierem jego szczątki, i wysmarowała sążniste, nieskładne wiadomości do wszystkich jego znajomych z Facebooka, nie wyłączając rodziców Deca.

– To było w zeszłym roku – odparł. – Dużo przeszła. Poukładała już sobie wszystko w głowie.

– Któregoś ranka nasz przyjaciel obudzi się z własnym fiutem w ustach – zawyrokował Sean.

– To by było zbyt piękne – zauważyłem. – Obudzi się i zobaczy przed nosem prezent, pozytywny test ciąży.

– Czy ja wyglądam na tępaka? Używam gumek. Poza tym nie wasz...

– Ona też nie jest tępa. Wystarczy szpileczka i trach, zostaniesz tatusiem. – Cieszyłem się tym, smakowałem każdą sekundę. Po raz pierwszy od tamtej nocy poczułem się prawie normalnie, poczułem się prawdziwym, realnym człowiekiem. Nie zdawałem sobie sprawy, jaki jestem zeszywniały, dopóki część napięcia ze mnie nie zeszła, a uczucie rozluźnienia było tak cudowne, że mógłbym się roześmiać albo rozplakać, albo ucałować ich obu.

– Odepieprzcie się. – Dec wycelował w każdego z nas środkowy palec. – Obaj. Jestem szczęśliwy. Jak wszystko się posypie, wtedy będziecie mi mogli powiedzieć „A nie mówiliśmy?”.

– Powiemy – odrzekliśmy z Seanem chórem.

– Bardzo proszę. A na razie, jeżeli nie możecie powiedzieć nic miłego, lepiej nie mówcie nic. A ty... – czyli ja – musisz być dla mnie szczególnie miły. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Nie zmieniaj tematu – zaprotestował Sean.

– Zamknij się. Słuchaj. – Dec nachylił się nade mną, jednym okiem zerkając na drzwi. Na jego wargach czał się uśmiech. – Jakimi lekami cię szprycują?

– Czemu pytasz? Chcesz trochę? – Uprzejmym gestem przechyliłem w jego stronę worek z kroplówką.

– Mam straszną ochotę. Daj nam po jednym.

Udał, że po nią sięga, ale odtrąciłem jego rękę.

– Odwal się. Nikomu nie dam.

– Pytam serio. Co tam jest?

– Środki przeciwbólowe. Całkiem niezłe. Czemu pytasz?

– Widzisz? – zwrócił się do Deca Sean. – Mówiłem ci.

– Nie powiedział, jakiego rodzaju środki. Mogą być...

– O co wam chodzi? – przerwałem im ostro.

Dec sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i znowu popatrując na drzwi, wyjął srebrną piersiówkę.

– Przynieśliśmy ci jeszcze jeden prezent.

– On przyniósł ci jeszcze jeden prezent – poprawił go Sean. – Powiedziałem mu, że jest pieprzonym idiotą. Jak pomieszasz to z silnymi lekami, możesz wyciągnąć kopyta.

– Co tam jest? – spytałem Deca.

– Macallan. Szesnastoletnia. Nierozcieńczona, pełna moc beczki. Dla ciebie wszystko co najlepsze, synu.

– Brzmi niezłe. – Wyciągnąłem rękę.

W obliczu tego nieodwołalnego kroku Dec oczywiście zrobił nietęgą minę.

– Jesteś pewien?

– Jezu, przecież sam to przyniosłeś, stary. Chyba że chciałeś mnie tylko podpuścić?

– Jasne, wiem. Ale może najpierw wygoogluj te leki, sprawdź, czy...

– Jesteś moją mamusią? Dawaj.

Z powątpiewaniem zerknął na kroplówkę, jak gdyby to był groźny pies, który może rzucić mi się do gardła, jeżeli ktoś zakłóci mu spokój, w końcu jednak podał mi piersiówkę.

– On ma rację – powiedział do mnie Sean. – Chociaż zajrzyj. Sprawdź, jakie mogą być interakcje.

Otworzyłem piersiówkę i mocno wciągnąłem zapach. Nozdrza wypełnił mi aromat whisky, pachnącej rodzynekami i gałką muszkatołową, lekkomyślną nocną zabawą i niepohamowanym śmiechem, idiotycznymi popisami i długimi płomiennymi rozmowami na tysiące tematów, pachnącej wszystkim, co pokazywało środkowy palec temu straszemu miejscu i całemu straszemu tygodniowi, który przeżyłem.

– Och, tak – westchnąłem. – Dec, stary, jesteś geniuszem. – Odchyliłem głowę i pociągnąłem tęgi łyk. Cudownie i niemiłosiernie palący, aż do głębi. – Ha! – Potrząsnąłem głową.

Obaj gapili się na mnie, jakbym lada chwila miał stanąć w płomieniach albo paść trupem.

– Boże. – Parsknąłem śmiechem. – Szkoda, że nie widzicie swoich min. Nic mi nie jest. Proszę. – Podąłem im whisky. – Cioty.

O dziwo, to Sean po chwili roześmiał się i wziął ode mnie piersiówkę.

– Dobra. – Uniósł ją w toaście. – Za ryzykowne życie. Od teraz chyba trochę mniej ryzykowne, co?

– Skoro tak mówisz... – Ciągłe się uśmiechałem, gdy pociągnął haust. Whisky zaatakowała mój organizm i cokolwiek z nim robiła, efekt był fantastyczny.

Sean oderwał butelkę od ust, nabierając powietrza do płuc, jak gdyby wynurzył się spod wody.

– Jezu! Cudo. Jeżeli go zabije, moim zdaniem jest tego warta.

– Mówiłem. – Dec sięgnął po piersiówkę. – Za ryzykowne życie. – Kiedy ją opuścił, miał na twarzy błogi uśmiech. – Ach. Nie chwając się, czapki z głów przede mną. – Gdy jednak wyciągnąłem rękę, nie oddał mi whisky. – Zachowaj sobie resztę na później. Gdybyś znowu chciał się wzmocnić. Każdy miałby dość takiego miejsca.

– Wcale nie mam dość. Leżę sobie cały dzień, a kobiety w... w strojach pielęgniarek podają mi śniadanie do łóżka. Miałbyś dość?

– Mimo wszystko. Dużo już tego nie ma, zostaw sobie. Po prostu schowaj tu... – Zaczął odsuwać rzeczy na półce w szafce przy łóżku.

– Jezu, nie tak. Daj mi to. – Wyrwałem mu whisky i zacząłem grzebać w szafce, szukając czegoś, żeby opakować piersiówkę. – Siostra przełożona, czy jak ją tu nazywają, jest kompletnie zakręcona. Miałem tu wentylator. Zabrała mi go, bo powiedziała, że może rozsiewać zarazki. Gdyby znalazła u mnie piersiówkę... nie wiem, zamknęłaby mnie w kozie albo...

Szafka stała po prawej stronie łóżka i żeby było mi łatwiej do niej sięgnąć, przełożyłem butelkę do lewej ręki. Poczułem, że wymyka mi się z dłoni, rozpaczliwie próbowałem ją złapać i bezradnie patrzyłem, jak wysuwa mi się spomiędzy palców, jak gdyby były utkane z wody, odbija się od koca i z tępym stukotem ląduje na podłodze. Korek nie był dokręcony i odrobina whisky wylała się na zgniłozieloną wykładzinę.

Nastąpiła chwila milczącego osłupienia: Sean i Dec niepewnie patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczami, ja nie mogłem oddychać. Wreszcie Sean pochylił się bokiem, by podnieść piersiówkę, dokręcił korek i oddał mi ją.

– Proszę – powiedział.

– Dzięki. – Udało mi się zapakować butelkę do foliowej torebki i upchnąć w szafce, odwróciwszy się bokiem do chłopaków, żeby nie widzieli, jak się trzęsę.

– Dostałeś w rękę? – spytał od niechcienia Dec. Sean znalazł na stoliku papierową serwetkę, rzucił ją na podłogę i stopą starł rozlaną whisky.

– Tak. Kopnęli mnie, zdaje się. – Miałem wrażenie, że łomot serca wymknie mi się spod kontroli. – Nic poważnego. Lekarze mówią, że to jakieś... jakieś uszkodzenie nerwu w nadgarstku? Ale to drobiazg. Parę miesięcy fizjoterapii i będzie jak nowa.

Lekarze nic takiego mi nie powiedzieli. Neurolog – ociężały facet o obwisłych i lepkich policzkach, bladych jak u kogoś, kogo przez kilka lat przetrzymywano w piwnicy – z uśmiechem wyższości stanowczo odmówił odpowiedzi na pytanie, czy, kiedy i w jakim stopniu mogę się spodziewać poprawy. Podobno zależało to od wielu czynników, których oczywiście nie miał

najmniejszego zamiaru wymienić. Zamiast tego, ilekroć się zająknąłem czy wybełkotałem coś niezrozumiale, mówił coś, odwracając ode mnie wzrok, jakbym nie był godzien jego uwagi; narysowawszy przekroje mojej głowy z krwiakiem i bez krwiaka, poinformował mnie, że moja częściowa niepełnosprawność („czyli te problemy, które jeszcze nie zniknęły”) jest „naprawdę bardzo niewielka” i że powinienem uważać się za szczęściarza. Kazał mi grzecznie poddawać się fizjoterapii, po czym wyszedł, a ja nadal szukałem sposobu, aby mu wytłumaczyć, że ta sprawa naprawdę dotyczy mnie. Wciąż kręciło mi się w głowie z wściekłości, kiedy o nim myślałem.

Sean skinął głową, zmiął mokrą serwetkę i rozejrzał się za koszem na śmieci.

– Przynajmniej to nie ta ręka, którą się brandzłujesz – odezwał się po chwili Dec.

Wszyscy trzej wybuchliśmy śmiechem i rechotaliśmy za głośno i za długo.

Kiedy wyszli, zdążyliśmy skończyć paczkę chipsów i znowu śmialiśmy się wesoło; Sean i ja radziliśmy Decowi, by wykorzystał wizytę w szpitalu i przebadał się, czy Jenna nie zaraziła go jakąś potworną chorobą, on z kolei groził mi, że jeżeli nie zamknę mordy, wsypie mnie przed siostrą przełożoną i powie, że piłem. Z zewnątrz wszystko mogło wyglądać świetnie, naprawdę świetnie – trzej dobrzy kumple gadają i fantastycznie się bawią. Ale później, gdy wydobyłem z szafki piersiówkę – uznałem, że urznąć się w trupa to doskonały pomysł i było mi wszystko jedno, co koktajl z whisky i leków ze mną robi – butelka wyglądała nedorzecznie, jej beczelne srebrne

krzywizny kompletnie nie pasowały do bezwzględnej funkcjonalności i sterylnych szpitalnych kolorów. Wyglądała jak żart, jak gdyby szydziła z mojego przekonania, głupiego i żalnego, że wystarczy parę łyków czegoś mocniejszego i – ta-dam! – wszystko w jednej chwili wróci do normy! Od kwaśnego zapachu whisky zrobiło mi się niedobrze, więc odstawiłem ją do szafki.

\* \* \*

Kilka dni później pozwolili mi iść do domu. Kleszczykami zdjęli mi zszywki z głowy, pozostawiając długą czerwoną bliznę otoczoną czerwonymi kropkami w miejscu, gdzie klamerki wbiły się w skórę, i odłączyli mnie od kroplówki ze środkami przeciwbólowymi. Trochę się tego bałem, ale tabletki, które dostałem w zamian, działały całkiem nieźle, zresztą żebra i kość ogonowa dokuczały mi już dużo mniej i nawet ból głowy nie był ciągły. Odwiedził mnie fizjoterapeuta, aby pokazać mi mnóstwo ćwiczeń, które natychmiast zapomniałem, i dał kartkę z datą i godziną wizyty w przychodni, ale natychmiast ją zgubiłem. Odwiedziła mnie też kobieta z pomocy socjalnej czy jakiejś poradni – chuda, w ogromnych okularach i z przylepionym do twarzy cukierkowym uśmiechem – dała mi gruby plik broszur *Uszkodzenie mózgu i ty* (na okładkach bardzo, bardzo uproszczone i monochromatyczne sylwetki ludzkie w jasnych kolorach, ilustracje przedstawiające uproszczoną, geometryczną postać, która wkłada rzeczy do Segregatora Pamięci i znów je wyjmuje, wyjaśnienia, dlaczego powinienem jeść dużo

kolorowych warzyw, „Z początku nie chciałem drzemać po lunchu, ale to naprawdę pomaga. Nadal łatwo się męczę, ale czuję się o wiele lepiej” – James z Cork, plus mnóstwo terminarzy z przydatnymi rubrykami – *Ważne rzeczy do zrobienia na dziś, Rzeczy, które dziś się udały*) i zasugerowała mi, żebym w chwilach, gdy ogarnie mnie złość, powiesił ręcznik na sznurze do bielizny i tłukł w niego kijem.

Odwiedził mnie jeszcze raz neurolog patałach i było nawet zabawnie. Wszystkie moje pytania (Kiedy będę mógł wrócić do pracy? Kiedy będę mógł iść na piwo, uprawiać seks, iść do siłowni?) albo kompletnie ignorował, albo zbywał tym samym irytującym „Kiedy poczuje się pan gotowy”, czyli dokładnie tym pytaniem, które usiłowałem mu zadać: „Kiedy poczuję się gotowy?”. Wyjątek stanowiła kwestia „Kiedy będę mógł prowadzić samochód?”, która w ogóle nie przyszła mi do głowy: neurolog (wciskając w szyję kilka ziemistych podbródków, groźnie unosząc brwi znad okularów i niemal grożąc mi palcem przed nosem) poinformował mnie, że ze względu na ryzyko wystąpienia ataków absolutnie nie wolno mi siadać za kierownicą. Po sześciu miesiącach, jeżeli ataki się nie pojawią, będę mógł przyjść do niego na badanie i ładnie poprosić, czy mógłby mi pan doktor oddać prawo jazdy. Bardzo starałem się nie myśleć o możliwości ataków, w tym momencie jednak wszystkie zdolności umysłowe, jakie mi zostały, były skupione na przemożnym pragnieniu, by kopnąć neurologa w jaja, więc zdołałem przetrwać tę rozmowę, nie wpadając w otchłań przerażenia (*Rzeczy, które dziś się udały!*).

Za godzinę miała przyjechać po mnie matka i przechadzałem się bez celu po pokoju, zastanawiając się, co, u diabła, zrobić z nagromadzoną tu masą rzeczy, które piętrzyły się na każdej powierzchni. Nie przypuszczałem, żebym chciał zachować którąś z nich (skąd w ogóle wziął się ten niebieski pluszowy królik?), ale może część jedzenia będzie wyglądać bardziej apetycznie, gdy znajdę się w domu, a ja nie będę miał ochoty iść na zakupy; na pewno poczuję się kiedyś na siłach, żeby przeczytać część tych książek; kwiaty od matki stały w wazonach, które być może będzie chciała zabrać... Dwa tygodnie wcześniej beztrząsco wyrzuciłbym wszystkie do kosza, powiedział matce, że nie mam pojęcia, co się stało z wazonami, i kupił jej nowe.

Trzymałem przed sobą pluszowego królika i gapiłem się na niego bezradnie (naprawdę Melissa przyniosłaby mi coś takiego i spodziewałaby się, że to zachowam?), gdy rozległo się pukanie do drzwi i ukazała się zza nich głowa detektywa Martina.

– Cześć – powiedział. – Gerry Martin, pamiętasz mnie?

– O. – Z wdzięcznością powitałem okazję, żeby zapomnieć o króliku. – Pewnie. Znaleźliście tych gości?

– Jezu, daj nam szansę. Takich rzeczy nie załatwia się z dnia na dzień. – Przyjrzał się stolikowi na kółkach. – Masz tu spory zapas Monster Munch.

– Wiem. Moja matka...

– Ach, te mamusie – rzucił pobłażliwym tonem. – Nie ma na nie mocnych. Mogę paczkę? Mógłbyś tym nakarmić całą armię.

– Jasne. Proszę sobie wybrać.

Wyciągnął paczkę chrupek o smaku pieczeni wołowej i otworzył.

– Doskonale. Po prostu umieram z głodu. Podobno cię wypuszczają – powiedział z pełnymi ustami. – Wpadliśmy cię podrzucić do domu. Bannon czeka na dole w samochodzie.

– Ale... – bąknąłem po chwili oszołomienia – ...przyjeżdża po mnie matka.

– Zadzwonimy do niej, jasna sprawa. Wyjaśnimy, że nastąpiła zmiana planów. Kiedy będziesz gotowy? Za kilka minut?

– Ale... – powiedziałem znowu. Nie umiałem znaleźć uprzejmej formy pytania „Ale dlaczego?”.

Martin i tak je odgadł.

– Mówiliśmy ci: musisz rozejrzeć się po mieszkaniu, sprawdzić, czego brakuje, czy jest coś, co nie należy do ciebie, co zostawili. Pamiętasz?

– Aha. – Oczywiście, że pamiętałem, przypuszczałem jednak, że mieli na myśli dzień czy dwa po moim powrocie do domu. – Teraz?

– Tak jest. Teraz szybciej zauważysz, czy coś jest nie tak. I będziesz chciał zrobić porządek, a nie możesz tego zrobić, jeżeli wcześniej się nie rozejrzysz. – *Zrobić porządek...* W ogóle nie pomyślałem, w jakim stanie zastanę dom. Poprzewracane meble, dywan kłujący od zaschniętej krwi, chmara brzęczących much... – Będziesz to szybko miał za sobą, wrócisz do normalnego życia. Łatwiej pod każdym względem. – Wrzucił do ust jeszcze kilka chrupek.

– Racja – przyznałem. Myśl, że wejść tam w towarzystwie spostrzegawczego Martina i Oldschoolowego, była nieprzyjemna, ale znacznie lepsza niż mieć przy sobie matkę, która ze współczuciem w oczach ścisłałaby mnie za rękę, poza tym byłem

niemal pewien, że zamierza po drodze jeszcze raz spróbować mnie przekonać, żebym na jakiś czas przeprowadził się z powrotem do domu rodzinnego. – Dobrze, nie ma sprawy.

– Wspaniale. Masz. – Wziął torbę, którą przywiozła mi matka, i rzucił ją na łóżko. – Będziesz chciał spakować książki i ten wazon, który wygląda, jakby kosztował kogoś parę euro. Reszta może trafić do kosza, mam rację?

\* \* \*

Powrót do mieszkania był gorszy, niż przypuszczałem. Nie zobaczyłem widowiskowej scenografii z horroru, którą sobie wyobrażałem: meble w salonie zostały równiutko ustawione, dywany i kanapa były wyczyszczone (choć nadal dostrzegałem ciemniejsze miejsca po plamach i kropelkach krwi, zaskakująco liczne i szeroko rozsiane), każda powierzchnia błyszczała nieskazitelną czystością, nigdzie nie widziałem ani drobiny kurzu; szuflady z komody stały grzecznie jedna na drugiej w kącie, obok starannie ułożonych papierów, kabli i płyt CD, które były w środku; na stole stał nawet wielki wazon rozkwitłych białych i fioletowych kwiatów. Wszystko oblewał blask słońca przetykany cieniami liści.

Tylko powietrze było inne. Nie zdając sobie z tego sprawy, wszedłem do mieszkania, nastawiwszy się na wyczuwalne, znajome zapachy domu – grzanek, kawy, mojego płynu po goleniu, bazylii w doniczce, którą dostałem od matki, aromat świeżej bawełny świec zapachowych, zapalanych czasem przez Melisę. Nie było po nich śladu, zostały zagłuszone duszną wonią

kwiatów i przyczajonym pod jej ciężarem, drapiącym w gardło chemicznym odorem, miałem też pewność, że mój nos wyłowił ślad mlecznego smrodu potu tamtego gościa, który się na mnie rzucił. To nie był zapach opuszczonego miejsca; to był zapach intensywnie i aktywnie zajmowanego mieszkania, którego lokator nie był mną i nie życzył sobie mojej obecności. Odniosłem wrażenie, jakbym wyciągnął rękę do swojego psa i zobaczył, że cofa się ze zjeżoną sierścią.

– Nie spiesz się – poradził stojący obok mnie Martin. – Wiemy, że to trudne. Chcesz usiąść?

– Nie. Dziękuję. Nic mi nie jest. – Mocniej zaparłem się lewą nogą o podłogę; gdyby się teraz ugięła, wyrwałbym ją sobie z...

– Twoja mama musiała zrobić gruntowne sprzątanie – zauważył Oldschoolowy. – Nie zostawiliśmy tu takiego porządku. Wszędzie był proszek daktyloskopijny.

– Mieli rękawiczki – powiedziałem odruchowo. Właśnie sobie uświadomiłem, że połowa szuflad jest połamana, sterczały z nich odłamki drewna, boczne ścianki były obluzowane.

– Jasne – rzucił Martin. – Ale wtedy tego nie wiedzieliśmy. Zresztą w pewnym momencie mogli je zdjąć, kiedy leżałeś nieprzytomny. Lepiej dmuchać na zimne, mam rację? – Z rękami w kieszeniach oparł się wygodnie o ścianę przy drzwiach salonu. – Rozejrzyj się i daj znać, jeśli zauważysz, że czegoś brakuje. Nie ma pośpiechu.

– Telewizor – powiedziałem. Spodziewałem się tego, ale wielkie puste miejsce na ścianie wyglądało niewiarygodnie; wydawało się, że telewizor pojawi się na nim z powrotem, jeżeli

tylko na chwilę mocno zacisnę powieki. – I xbox. I laptop, chyba że ktoś postawił go w innym miejscu... Był chyba na stoliku...

– Nie ma laptopa – potwierdził Martin. – Było w nim coś wartego uwagi złodziei?

– Nie. To znaczy pewnie gdzieś były numery kart kredytowych, ale mogli po prostu wziąć mój... – Błat komody był pusty. – Cholera. Portfel. Powinien być, trzymałem go na samym...

– Nie ma – wtrącił Oldschoolowy. Znowu miał przed sobą notes i trzymał długopis w pogotowiu. – Przykro mi. Zastrzeżyliśmy karty i oflagowaliśmy, żeby nas zawiadomiono, gdyby ktoś próbował z nich skorzystać, ale na razie zero sygnałów.

– Aha. Dzięki.

– Coś jeszcze? – zapytał Martin.

Mój wzrok przyciągały pociemniałe miejsca na dywanie, pozostałe po krwi. Wspomnienia przeszyły mnie jak skwiercząca iskra prądu: mój ciężki oddech przez zapchany nos, ból, zielone zasłony, wyciągnięta w dół dłoń w rękawiczce...

– Świecznik – powiedziałem; na szczęście mój głos zabrzmiał normalnie, wręcz swobodnie. – Miałem świecznik. Czarny, metalowy, mniej więcej takiej wysokości, kształtem przypominał giętą balustradę, u góry miał... miał takie coś z liści. – Nie potrafiłem wykrztusić z siebie, że wziąłem go ze sobą z sypialni, superbohater, gotowy porozbijać bandytom łby. – Leżał tam, na podłodze.

– Jest u nas – poinformował mnie Martin. – Zabraliśmy do zabezpieczenia śladów. Naszym zdaniem właśnie tym cię

uderzyli... – Pokazał na swoją skroń. – Oddamy ci, gdy tylko laboratorium skończy go badać.

Blizna na głowie zaczęła mnie nagle niemiłosiernie swędzieć.

– Dobrze. Dzięki.

– Coś jeszcze? Jakaś rzecz, której tu nie powinno być?

Rozejrzałem się. Książki na regale stały w zupełnie innej kolejności; nie chciałem pytać, czy zrzucili je z półek złodzieje, czy policjanci podczas przeszukania.

– Nie sądzę. W każdym razie nie widzę.

– Te szuflady – Martin wskazał ręką – przekopali dość dokładnie. Kiedy weszliśmy, papiery leżały rozrzucone po całej podłodze. – Następny parzący wstrząs wspomnienia; pełnę przez pobojuwisko, które szeleści i ślizga się pode mną... – Domyślasz się, czego mogli szukać?

W górnej prawej szufladzie trzymałem hasz i resztkę koki. Najwyraźniej złodzieje okazali na tyle taktu, aby je zabrać, chyba że Martin blefował, chcąc sprawdzić, czy go okłamię: przyglądał mi się, ale z jego sympatycznej, nijakiej twarzy nie umiałem niczego wyczytać.

– Nie. – Odgarnąłem to, co zostało z moich włosów. – To znaczy... nie bardzo pamiętam, co tam było. Zwykle do szuflad trafiają rzeczy, które nie mają innego miejsca. Papiery, płyty z kopiami zapasowymi do komputera, nie jestem nawet pewien, co tam jeszcze było...

– Mimo wszystko przejrzyj – zaproponował Martin, choć tak naprawdę nie była to propozycja. – Może coś ci się skojarzy.

Nic mi się nie kojarzyło. Pokarm dla rybek z dawnych czasów, gdy miałem akwarium, T-shirt, który zamierzałem oddać do

sklepu, ale zapomniałem. Po co miałbym kupować płytę Radiohead? Może ktoś mi ją pożyczył? Czy ktoś się skarżył, że jej nie oddałem? Wydawało mi się, że trzymałem tam wiekowy aparat cyfrowy, ale nie miałem pewności i gdyby Martin mnie spytał, na pewno nie przypominałbym sobie, jakie tam były zdjęcia – z wakacji na Mykonos z chłopakami przed college'em, z dawnych imprez, z rodzinnych świąt Bożego Narodzenia? Słońce zmieniało pokój w terrarium, od zapachu chemikaliów bolała mnie głowa, nie chciałem jednak pytać, czy można otworzyć drzwi na patio, skoro policjanci nie skarżyli się na duchotę, zresztą był w nich nowy zamek, który nie do końca zasłaniał odłupane drewno w miejscu, gdzie wyłamano stary, a ja nie miałem klucza. Zmieniłem zdanie co do tego, że towarzystwo detektywów jest lepsze od towarzystwa matki. Jej przynajmniej mógłbym kazać wyjść.

Metodycznie i bezwzględnie prowadzili mnie przez całe mieszkanie, pomieszczenie po pomieszczeniu, szuflada po szufladzie. Moje ubrania były schowane w niewłaściwych miejscach. Zegarek po dziadku rzeczywiście zniknął; podałem im opis, a oni obiecali, że sprawdzą w lombardach, antykwariatach i skupach biżuterii. Zniknęły też prezerwatywy, ale uznaliśmy, że szansa ich odnalezienia jest mniejsza, zresztą zbytnio mi na nich nie zależało, a jeżeli pomogą zapobiec rozmnażaniu się tych gości, chętnie złożę je w formie darowizny na ten szczytny cel; wszyscy uśmieśliśmy się z tego. Ból rozsadzał mi czaszkę.

– No dobrze – rzucił w końcu Martin, posyłając swojemu partnerowi spojrzenie, na którego widok Oldschoolowy zamknął

notes. – Zostawimy cię, żebyś się mógł z powrotem urządzić. Dzięki, Toby. Jesteśmy ci wdzięczni.

– Czy... – Byliśmy w łazience, za małej dla nas trzech. Wypucowano tu wszystko na błysk, równiutko ustawiono buteleczki. – Czy macie jakieś przypuszczenia? Kim oni byli?

Martin podrapał się w ucho i skrzywił usta.

– Nie bardzo. Szczerze mówiąc, mam z tego powodu pewne wyrzuty sumienia. Zwykle po takim czasie wiedzielibyśmy już z grubsza, kogo szukamy: jeden zawsze używa tych samych metod, inny wywala na podłogę zawartość lodówki i sra do łóżka, jeszcze inny ma tatuaż, który pasuje do rysopisu podanego przez świadka... Nie mówię, że zawsze możemy ich za to przymknąć, ale zwykle wiemy już, kto to jest. A tym razem... – wzruszył ramionami – nikt się nam nie kojarzy.

– Możliwe, że to ktoś nowy – zasugerował nieco skruszonym tonem Oldschoolowy, chowając długopis. – To by wyjaśniało, dlaczego tak szybko stracili głowę. Żółtodzioby.

– Niewykluczone – zgodził się Martin. – A ty, Toby? Od naszej ostatniej rozmowy nic nowego nie przyszło ci na myśl?

Od tamtego spotkania rozjaśniło mi się w głowie na tyle, że nie podejrzewałem już Gougera o to, że stał za włamaniem, ale zastanawiałem się nad Tiernanem. Dość nasłuchałem się jego monologów (o właścicielach galerii z klapkami na oczach, którzy nie mają odwagi przyjąć artysty, jeżeli wcześniej nie zaakceptuje go ktoś inny, o patrzeniu przez palce na malarki, które używały swoich sztuczek i biustów, żeby wywalczyć sobie przestrzeń w galeriach i w mediach, spychając na bok znacznie bardziej utalentowanych mężczyzn, o bezmyślnych krytykach, płynących

z falą modnych trendów, którzy nie poznaliby się na przełomowej sztuce, nawet gdyby ktoś podetknął im ją pod nos), aby wiedzieć, że to typ człowieka, który chętnie zrzuca winę za swoje problemy na kogoś innego, a potem obraża się i popada w obsesję. Przypuszczałem też, że podczas wypraw związanych z wystawą poznał wielu mętnych osobników ze złodziejskim doświadczeniem. Mimo to nie zamierzałem opowiadać glinom całej historii, zwłaszcza że miałem tylko niejasne podejrzenie, żałowałem jednak, że nie przyjrzałem się uważniej dzieciakom Tiernana, kiedy przyprowadził je do galerii.

– Nie – odparłem w miarę swobodnym tonem. – Nie wiem, ile razy się zastanawiałem, ale nie przypomniałem sobie nic nowego.

Martin nie ruszał się z miejsca; przyglądał mi się uprzejmie, jednym palcem kołysząc ściennym wieszakiem na ręcznik.

– Nie?

Nie wiedziałem, co to znaczy: czy ma nadzieję, że odświeży mi pamięć, czy daje mi do zrozumienia, że coś ukrywam i on o tym wie? W ciasnym pomieszczeniu obaj policjanci wydali mi się nagle olbrzymami. Zostałem przyparty do wanny, bez możliwości ucieczki...

– Nie – powiedziałem. – Nic.

Po chwili Martin pokiwał głową.

– No dobrze – rzucił wesoło. – Masz nasze wizytówki?

– Chyba tak... – Pamiętałem jak przez mgłę, że w czasie naszego pierwszego spotkania w szpitalu zostawili mi małe kartoniki. Rozejrzałem się po łazience, jakby mogły się teleportować do umywalki.

– Proszę. – Martin sięgnął do kieszeni i podał mi białą wizytówkę z dużą, wyraźną czcionką i ozdobnym godłem policji.

– Koniecznie daj nam znać, gdyby coś ci się przypomniało. Zgoda?

– Tak, na pewno.

– Świetnie. Będziemy w kontakcie. A teraz wyluzuj się. Zjedz coś porządnego, wypij jakieś piwko, rozpakowanie zostaw sobie na później. – Odwrócił się do Oldschoolowego. – Idziemy?

\* \* \*

Matka przyjechała prawie zaraz po wyjściu detektywów, z torbami zagadkowych zakupów (najpotrzebniejsze produkty, pieczywo, mleko i tak dalej, przemieszane z takimi rzeczami jak gruzłowate beżowe coś, czyli, jak mnie poinformowała, imbir, „na wszelki wypadek”). Nie została długo, nie proponowała, że znajdzie stolarza, żeby naprawił szuflady komody, ani nic podobnego. Ostrożnie i stopniowo adaptowała się do tego nowego, najeżonego pułapkami świata, w którym zostałem uwięziony, a ja nie wiedziałem, czy mam być jej wdzięczny, czy jej nienawidzić, bo domyślałem się, że w jej przekonaniu ta sytuacja się nie zmieni. Udało jej się nie spytać, czy sobie ze wszystkim poradzę; kiedy przytuliła mnie w drzwiach, udało mi się nie odsunąć.

Po pracy przyszła Melissa z wielką i aromatyczną torbą tajskiego jedzenia. Tak wzruszająco i żywiołowo cieszyła się z mojego powrotu do domu – rozkładając sztuce w salonie, kręciła piruety, jakby nie umiała spokojnie ustać na podłodze,

znalazła w radiu stację, w której puszczano skoczne przeboje żeńskich zespołów z lat sześćdziesiątych, za każdym razem, gdy mnie mijala, posyłała mi całusa – że nie mogłem się odrobinę nie ożywić. Od tamtej nocy nie czułem głodu, ale piekielnie ostra wołowina okazała się nawet smaczna, a Melissa opowiedziała mi długą historię o tym, jak spędziła miniony tydzień, starając się wyperswadować mojej matce pomysł sprawienia mi psa (moi rodzice uwielbiali Melisse; na szczęście nie należeli do tych, którzy robią wyraźne aluzje do ślubów i wnuków, chociaż wiedziałem, że o tym myślą).

– Była już całkiem zdecydowana, Toby. Powiedziała, że nigdy nie mogłeś mieć psa, gdy byłeś mały, bo tato miał alergię, ale że teraz to doskonały pomysł, będziesz miał dodatkową ochronę i oprócz tego powód do radości. Twój tato powtarzał: „Lily, nic z tego nie będzie, przecież zarządca budynku...”, a ona na to: „Edmund, kto by się nimi przejmował, już ja ich przekonam!”. I wiesz, Toby... – Z ust Melissy wyrwał się chichot – ...jedna rzecz ją martwiła, tylko jedna: że nie będziesz mógł odkurzać i całe mieszkanie będzie w psiej sierści. No i... – chichotała coraz głośniej, a ja uświadomiłem sobie, że też zaczynam się śmiać, choć bolały mnie przy tym żebra – ...postanowiła ci sprawić takiego dużego pudła. Bo ta rasa nie linieje. Chciała go tu przywieźć, żeby na ciebie czekał, mówiła, że to będzie idealna niespodzianka na powrót do domu. – Wizja, jak w towarzystwie policjantów wchodzę do mieszkania i stajemy oko w oko z pudłem w jego całej pomponiastej okazałości, tak bardzo nas rozśmieszyła, że ze strachem poczułem, jak dygoczę. To był długi dzień.

W miarę upływu wieczoru ogarniała mnie coraz większa nerwowość. Melissa – która zrzuciła buty i sennie wtuliła się we mnie, gdy usiedliśmy na kanapie – najwyraźniej zakładała, że zostaje tu na noc. Z mojego punktu widzenia było to nie do pomyślenia, absolutnie wykluczone. Nie mogłem nawet dopuścić do siebie myśli o tym, co mogłoby się stać, gdyby była tu w nocy, skoro z pewnością nie byłbym w stanie jej ochronić. Zacząłem się przeciągać, ziewać i mimochodem rzucać uwagi, jak to będzie dziwnie położyć się we własnym łóżku, pewnie będę niespokojnie spać, więc skoro ona musi rano wstać... Melissa szybko i bez cienia pretensji pojęła aluzję – tak, też jestem śpiąca, lepiej pójdę, zanim ci tu zasnę.

– Zobaczymy się niedługo – powiedziałem, gładząc palcem jej szyję, gdy schyliła się po buty.

– Tak. – Odwróciła się i mocno mnie pocałowała. – Niedługo.

Zamówiłem jej taksówkę przez aplikację, żebym mógł śledzić małą ikonkę samochodu przesuwaną w kierunku jej domu, i zamierał mi oddech, ilekroć zatrzymywała się albo skręcała w inną stronę, niż powinna. I tak oto w końcu zostałem sam w mieszkaniu, które, choć niewątpliwie należało do mnie, w jakiś podstępny sposób wydawało się nie moje. Rzuciłem torbę przy drzwiach, jak gdybym przyjechał z bardzo daleka, i nie miałem zielonego pojęcia, co mam zrobić z nadchodzącą nocą ani z następnym dniem, ani z następnym.

\* \* \*

Nadeszło parę niedobrych miesięcy. Trudno powiedzieć, żeby był to najgorszy okres w moim życiu, zważywszy na wszystko, co zdarzyło się potem, ale na pewno najgorszy, jaki dotąd przeżyłem, bez dwóch zdań. Byłem niespokojny jak po amfie, ale nie chciałem wychodzić z domu w ciągu dnia – wciąż wyglądałem na zabiedzonego i trochę pokręconego, wciąż utykałem i chociaż w miejscu rany włosy już mi odrastały, a pozostałe przystrzygłem maszynką, aby nie odróżniały się długością, blizna Frankensteina ciągle była widoczna. Snuł mi się po głowie pomysł, aby chodzić na długie spacery późnym wieczorem i wędrować po ciemnym Ballsbridge niczym Upiór z Opery, okazało się jednak, że tego też nie mogę robić. Odkąd skończyłem kilkanaście lat, wracałem pieszo do domu o każdej porze dnia i nocy i nigdy nie przyszło mi na myśl, żeby się bać; jasne, że byłem ostrożny, kiedy zauważyłem zebrzącego ćpuna albo gromadę pijanych chłopaków szukających okazji do awantury, ale nigdy nie otaczał mnie tak gęsty i trujący opar niesprecyzowanego strachu, który wszędzie widział zagrożenie – każdy cień mógł być przyczajonym napastnikiem, każdy przechodzień mógł czekać na odpowiedni moment, żeby się na mnie rzucić, każdy kierowca mógł błyskawicznie wcisnąć gaz do dechy i mnie przejechać, i skąd miałbym wiedzieć, co robić? Gdy uszedłem trzydzieści metrów od bramy, zaczynałem dygotać od adrenaliny, jakby poraził mnie prąd, nie mogłem złapać tchu, więc robiłem w tył zwrot i wiałem, kuśtykając ile sił w nogach z powrotem do mieszkania i choć trudno było je uznać za bezpieczne miejsce, było przynajmniej wyraźnie odgraniczone od świata i mogłem je mieć na oku. Więcej już nie próbowałem.

Godzinami spacerowałem za to po salonie, ze sztywnymi ramionami i rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni szlafroka. Wciąż czuję ten okropny rytm, kuśtyk, kuśtyk, który z każdym krokiem utrwał mi się w pamięci, ale nie mogłem przestać; wierzyłem, że dopóki chodzę, nikt się nie włamie, nie będę miał ataku i przynajmniej się nie pogorszy. Czasem krążyłem po pokoju, dopóki zza zasłon nie wpełzało blade światło i nie dobiegał świergot ptaków.

Kiedy w końcu zmuszałem się, żeby położyć się do łóżka, zgodnie z przewidywaniem trudno było zasnąć. Podczas mojego pobytu w szpitalu rodzice zapobiegliwie zainstalowali w mieszkaniu monitorowany alarm z przyciskiem w razie napadu (wyobrażałem sobie, jak matka rozgląda się po pobojuwisku i gryząc palce, gorączkowo szuka sposobu, by następnym razem zdążyć i nie dopuścić do najgorszego) i chociaż rozumiałem ich racje i wiedziałem, że to zapewne dobry pomysł, z drugiej strony żałowałem, że to zrobili. Przycisk był prostokątny, wielkości pudełka zapalek, koloru żywej strażackiej czerwieni, i zamontowano go blisko łóżka, ale nisko, tuż poza zasięgiem ręki. Spędziłem wiele godzin w łóżku, kiedy w bezruchu wstrzymywałem oddech, nasłuchując, czy nastąpi jakiś dźwięk po cichym stukocie albo drapnięciu, które usłyszałem – naprawdę? W wyobraźni? I czy potem wybuchnie ochryply krzyk i huk? Powinienem dać nura i wcisnąć przycisk, ryzykując, że podniosę fałszywy alarm i następne wezwanie nie zostanie potraktowane serio, czy lepiej wstrzymać się jeszcze dziesięć straszliwych sekund, potem jeszcze dziesięć i jeszcze, aż okaże się, że jest za późno i będę rozpaczliwie próbował pokonać

te parę centymetrów pod lawiną ciosów? Przycisk zaczął żyć własnym życiem, urastając do rangi symbolu, mojej jedynej szansy, która pulsowała czerwienią w rogu sypialni. Wiedziałem, że jeśli uruchomię go za wcześnie albo zaczekam z tym za długo, będę zgubiony. Nabrałem zwyczaju zasypiania na skraju łóżka, niebezpiecznie balansując ze zwieszoną ręką, aby mieć palce jak najbliżej przycisku. Raz czy dwa spadłem i z krzykiem obudziłem się na podłodze.

Dostawałem wiadomości od przyjaciół, kuzynów, znajomych z pracy. *Cześć, stary, co u ciebie? W przyszłą sobotę robię grilla, wpadniesz?... Hej, nie chcę ci zawracać głowy, ale może zechcesz odebrać telefon, kiedy dzwoni moja mama, bo inaczej powie twoim rodzicom, że wydaje się jej, że leżysz nieprzytomny na podłodze* – od Susanny, z przewracającym oczami emotikonem na końcu. Od Leona dostawałem memy, gify i różne internetowe śmieci, które prawdopodobnie miały mnie rozbawić. *Cześć, Toby, tu Irina, słyszałam, co cię spotkało, i mam nadzieję, że dobrze się czujesz i niedługo cię zobaczymy...* Najczęściej nie odpowiadałem i wiadomości przychodziły coraz rzadziej, przez co nedorzecznie czułem się dotknięty i skrzywdzony. Zadzwoił Richard; gdy nie odebrałem, nagrał wiadomość, informując mnie – z zakłopotaniem, ale delikatnie i serdecznie – że w pracy wszystko jest w najlepszym porządku, wystawa wspaniale się udała, znany kolekcjoner kupił kompozycję Chantelle z kanapą i że nie powinienem się niczym martwić, tylko skupić się na dochodzeniu do zdrowia i wrócić do pracy, gdy poczuję się na siłach. Wiadomości od Seana, od Deca... *Możemy wpaść? Może jutro? W weekend?* Nie chciałem się z nimi spotykać. Uważałem,

że nie będę miał z nimi o czym rozmawiać, nie mogłem też znieść myśli, że zostawią po sobie obłok niewypowiedzianej litości, a gdy znajdą się daleko od mojego domu, powiedzą: „Jezu. Przecież on jest...”. „No jest. Biedny sukinsyn”.

Mój stan fizyczny poprawiał się, przynajmniej do pewnego stopnia. Twarz wróciła do normalnego wyglądu – z wyjątkiem złamanego zęba, którym powinienem się kiedyś zająć – żebra i kość ogonowa też wydobrzały, choć od czasu do czasu zdarzało się ukłucie bólu. Nie zauważyłem żadnych ataków, co było dobrą wiadomością, ale neurolog mówił mi z zadowoloną miną, że mogą się zacząć za parę miesięcy, a nawet rok czy dwa po urazie. Czasem udawało mi się wytrzymać cztery, a nawet pięć godzin bez środków przeciwbólowych, dopóki znowu nie rozboleła mnie głowa; życie wyglądało o wiele lepiej po tabletkach, rozmywały się kontury i wszystko stawało się całkiem znośne, ale używałem ich oszczędnie, na wypadek – nie chciałem nawet myśleć o takiej możliwości – gdyby lekarze nie chcieli mi wypisać nowej recepty.

Psychika to była zupełnie inna historia. Miałem szeroki wachlarz objawów opisanych w broszurkach od kobiety z pomocy socjalnej: wiele oznak wskazywało na to, że mój Segregator Pamięci jest rozpieprzony w drobny mak (stałem pod prysznicem z pustką w głowie, usiłując sobie przypomnieć, czy umyłem włosy, czy nie; w środku rozmowy z Melissą nie potrafiłem odnaleźć słowa „natychmiast”), czułem się stale zmęczony jak James z Cork, a moje zdolności organizacyjne były w rozsypce do tego stopnia, że przygotowanie śniadania stawało się poważnym i niewiarygodnie frustrującym zadaniem.

W praktyce nie był to jednak chyba aż tak wielki problem, ponieważ nie próbowałem nawet angażować się w tak skomplikowane rzeczy jak praca albo życie towarzyskie, ale sama myśl nie poprawiała mi samopoczucia.

W sumie pobyt w domu wydawał się gorszy od leżenia w szpitalu. W tamtym wypaczonym, zwichrowanym stanie zawieszenia moje objawy przynajmniej współgrały z otoczeniem, natomiast w rzeczywistym świecie budziły sprzeciw i odrazę, były czymś obscenicznym, do czego absolutnie nie wolno dopuszczać: dorosły mężczyzna stoi we własnej kuchni i z głupawo otwartymi ustami kombinuje „Eee, jak się smaży jajko?”; rozmawiając z infolinią obsługi karty kredytowej, usiłuje wygrzebać z pamięci datę swoich urodzin, zaśliniony kretyń, niedorozwinięty, obrzydliwe dziwadło z gabinetu osobliwości... I znowu wpadałem w otchłań żarłocznego wiru, tym razem głębszą, coraz bardziej przepastną: to już nie był strach, to były kipiąca wściekłość i wstręt, dotkliwie poczucie przegranej, jakiego nigdy sobie nie wyobrażałem. Zaledwie parę tygodni temu byłem normalnym facetem, jednym z wielu, który rano narzucał marynarkę, z grzanką w zębach nucąc piosenkę Coronas, i zastanawiał się, dokąd zabierze dziewczynę na kolację. Teraz każda sekunda była jedną z lawiny kropli tworzących potężną falę, nieubłaganie znoszącą mnie coraz dalej i dalej od faceta, którym miałem pełne prawo być, ale który zniknął na zawsze, został po drugiej stronie pancerniej szyby. W szpitalu mogłem sobie powtarzać, że gdy wrócę do domu, wszystko się ułoży, kiedy jednak okazało się, że to nieprawda, nie umiałem znaleźć żadnego powodu, aby się łudzić, że kiedykolwiek coś się ułoży.

Oczywiście wściekałem się nie tylko na siebie. Mój umysł produkował epickie, rozbudowane historie, w których odnajdywałem obu włamywaczy (rozpoznawałem głos na ulicy, spojrzenie oczu z głębi pubu, z budzącą podziw zimną krwią i opanowaniem tropiłem ich w melinach i innych obskurnych miejscach), a potem rozprawiałem się z nimi na modłę Tarantina, sięgając po metody, które wstyd byłoby opisywać. Bez końca odtwarzałem w myślach te scenariusze, za każdym razem rozwijając je i modyfikując, aż znałem na pamięć każdy moment i ruch znacznie lepiej niż szczegóły samego zdarzenia. Nawet wtedy wiedziałem jednak, jakie są marne i żałosne (pryszczaty, astmatyczny leszcz, który zamknięty w swoim pokoju, obwieszonym kolekcją plakatów ze skąpo ubranymi bohaterkami anime, fantazjuje o zemście na łobuzach znęcających się nad nim w szkole, marząc, by ciosem kung-fu zrobić z nich jesień średniowiecza), i w końcu wściekłość zawsze obracała się przeciwko mnie: pokiereszowanemu, beznadziejnemu gościowi, który fizycznie i psychicznie nie umie poradzić sobie z wyjściem do Tesco, więc wyczyny rodem z filmów akcji to pieprzona, śmiechu warta mrzonka.

Telefony od matki, która – odkąd Melissie udało się ją przekonać, że nie potrzebuję pudła – znowu coraz bardziej natarczywie namawiała mnie do spędzenia kilku tygodni w domu rodzinnym.

– Zdziwisz się, ile może działać zmiana otoczenia... Obiecujemy, że nie będziemy ci wchodzić w drogę, prawie w ogóle nie będziesz nas zauważał... – A kiedy jasno dałem do zrozumienia, że żadna siła na ziemi nie skłoni mnie do

przeprowadzki do domu: – Wiem! Co powiesz na Ivy House? Wujek Hugo bardzo chętnie by cię przyjął, tak tam spokojnie, spróbuj spędzić u niego weekend, a jeżeli ci się nie spodoba, wrócisz do siebie...

Ten pomysł odrzuciłem bardziej bezwzględnie, niż to było konieczne. Nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym pojechać do Ivy House w takim stanie. Ivy House, zabawy w chowanego po zmierzchu, wśród ciem i srebrnych brzoź, poziomkowe pikniki i piernikowe Boże Narodzenia, wieczne imprezy nastolatków, gdy wszyscy leżeli na trawie i gapili się w gwiazdy... To wszystko było teraz nieosiągalne; tamta noc zagradzała mi drogę jak płonący miecz. Ivy House był szczególnym miejscem, którego widoku nie mógłbym znieść, patrząc na niego z drugiego brzegu.

Niezidentyfikowane gotowe dania na stoliku krzepły w grudkowate breje. Kurz nawarstwiał się na regałach, na blatach w kuchni rosła góra okruchów – wysłałem wiadomość swojej sprzątacze, że nie będzie mi już potrzebna, między innymi dlatego, że od hałasu i brzęczenia odkurzacza na pewno bolałaby mnie głowa, a przede wszystkim dlatego, że nie życzyłem sobie w mieszkaniu niczyjej obecności (prócz Melissy). Po podłodze salonu śmigały cienie ptaków, wywołując mój popłoch.

Melissa stała się dla mnie problemem, i to poważnym. Uwielbiałem, kiedy przychodziła; była jedyną osobą, z którą naprawdę chciałem się spotykać, ale na myśl, że miałyby zostać na noc, wciąż przeszywała mnie iskra paniki, którą ledwo potrafiłem ukryć. Mogłem iść do niej, a nawet raz spróbowałem, ale była tam jej współlokatorka, straszna Megan, która krążyła

po mieszkaniu, złożywszy wąskie wargi w cnotliwą minę, i tylko czekała, aż Melissa wyjdzie z pokoju, żeby mogła robić złośliwe przytyki, opowiadając, że kiedy raz padła ofiarą napaści, przeżywała totalną traumę, i chociaż jest bardziej wrażliwa niż większość ludzi, jej udało się wyjść z tego po... nie wiem, paru tygodniach? Bo naprawdę włożyła w to mnóstwo determinacji? A dziewczyna tak wyjątkowa jak Melissa zasługuje na kogoś, kto zdobędzie się na taki wysiłek? Przeprosiłem (tłumacząc się bólem głowy) i wyszedłem, gdy uświadomiłem sobie, że naprawdę jeszcze chwila i trzasnę Megan w twarz. Nigdy wcześniej nie wpadałem w złość, zawsze podchodziłem do takich rzeczy na luzie, teraz jednak absurdalne drobiazgi wzbudzały we mnie wybuchy niepohamowanej furii, która zapierała mi dech w piersiach. Raz nie mogłem włożyć patelni do gąszczu naczyń w kuchennej szafce; tłukłem nią o blat w absolutnym skupieniu, dopóki patelnia się nie wygięła, uchwyt pękł, a odłamki rozsypały się we wszystkie strony. Innego dnia, kiedy trzeci raz wypadła mi z ręki szczoteczka do zębów, zacząłem walić tą głupią, cholerną, bezużyteczną lewą pięścią w ścianę, próbowałem zrobić z niej miazgę, żeby musieli mi ją odciąć, ale – o ironio – mięśnie nie miały dostatecznej siły, by ją poważnie uszkodzić; skończyło się na wielkim fioletowym sińcu, przez który obrzydliwa ręka stała się jeszcze mniej użyteczna na kilka dni, i musiałem pamiętać, żeby chować ją przed wzrokiem Melissy.

Wiedziałem oczywiście, że Megan ma rację. Wiedziałem, że Melissa ze swoim naturalnym, bezgranicznym ciepłem i cierpliwością – nie skarżyła się ani słowem, zawsze z radością

rzucała mi się na szyję i czule mnie całowała – to dar, jakiego trudno byłoby się spodziewać w tych okolicznościach, znacznie cenniejszy, niż zasługiwałem. Wiedziałem też, że nawet jej optymizm nie może być niewyczerpany, że prędzej czy później zorientuje się, że nie nastąpi czarodziejskie ozdrowienie i nie wstanę pewnego ranka w swojej dawnej pogodnej postaci. I co wtedy? Rozumiałem, że jeśli chcę się przyzwoicie zachować, powinienem od razu z nią zerwać, oszczędzić jej trwonienia czasu, energii i nadziei, oszczędzić nam obojgu druzgoczącej chwili, gdy w końcu to do niej dotrze. Niech idzie swoją drogą bez bolesnego przekonania, że mnie porzuciła, bo to oczywiście byłoby absolutną nieprawdą; przecież to ja bym ją porzucił. Nie mogłem tego jednak zrobić. Była jedyną osobą, która wierzyła, nie miała żadnych wątpliwości, że jestem tym samym Tobym, którego zawsze znała; owszem, trochę posiniaczonym i poturbowanym, którego trzeba nieco częściej przytulać, opowiadać mu śmieszne historyjki i podawać kawę na kanapę, ale niezmienionym w żaden istotny sposób. Chociaż wiedziałem, że to bzdura, nie mogłem się zmusić, by to przerwać.

Zdawałem sobie sprawę, że mam wielki kłopot, ale nie umiałem znaleźć wyjścia. Ponura świadomość, że to nieuniknione, budziła we mnie przerażenie. Nie chodziło o włamywaczy ani ciosy w głowę, ale o coś, co potrafiłbym pokonać, przed czym potrafiłbym się obronić albo uciec; nie mogłem znieść człowieka, jakim się stałem.

\* \* \*

Jeżeli więc mówię, że zawdzięczałem Ivy House szczęściu, nie chodzi mi o jakieś abstrakcyjne bujanie w obłokach – „Ach, jakie to szczęście, że zdarzyło mi się w życiu być w tak cudownym miejscu!”. Nie wiem, czy stało się dobrze, czy źle, ale Ivy House ocalił mnie w bardzo konkretny sposób. Gdybym tam nie pojechał tamtego lata, wciąż przez całe noce spacerowałbym po mieszkaniu, z miesiąca na miesiąc stawałbym się coraz chudszy, bledszy i bardziej nerwowy, prowadziłbym półgłosem długie rozmowy z samym sobą i nigdy nie odbierałbym telefonu... chyba że – co w miarę upływu kolejnych tygodni wydawało mi się coraz lepszym rozwiązaniem – już bym nie żył.

Susanna zadzwoniła do mnie pewnego wieczoru w sierpniu, gdy dzień trwał i trwał i nawet przez moje zamknięte okna wciskały się zapach grilla i wesołe okrzyki bawiących się dzieci. Wiadomość, którą nagrała – „Oddzwoń. Natychmiast” – na tyle wzbudziła moją ciekawość, że naprawdę to zrobiłem. Ponieważ w ciągu paru minionych miesięcy stosunkowo rzadko zawracała mi głowę, nie przypuszczałem, że zamierza na mnie naciskać w sprawie przeprowadzki do rodziców ani sprawdzać, czy coś jem.

– Co u ciebie? – spytała.

– W porządku – odparłem. Trzymałem telefon parę centymetrów od ust, mając nadzieję, że nie zwróci uwagi na to, jak niewyraźnie mówię. – Ciągle boli tu i ówdzie, ale będę żył.

– Tak mówiła twoja mama. Nie byłem pewna. Wiesz, że ona zawsze przedstawia wszystko w różowych kolorach. Ale nie chciałam cię drażnić.

Poczułem przypływ wdzięczności dla matki, który mnie zaskoczył – naprawdę to robiła, kryła mnie, tak jak prosiłem, nie rozpowiadała, jakie są naprawdę rozmiary moich obrażeń, żeby ludzie się nade mną użalali.

– Nie, ma rację. Przez jakiś czas było do dupy, ale mogło być gorzej. Miałem szczęście.

– To świetnie – rzuciła Susanna. – Mam nadzieję, że złapią sukinsynów.

– Ja też.

– Słuchaj... – Zmieniła ton. – Mam złe wiadomości. Wujek Hugo umiera.

– Co? – spytałem po sekundzie zupełnej konsternacji. – To znaczy... teraz?

– Nie, nie teraz, w tym momencie. Ale pewnie jeszcze w tym roku. Nikt nie chciał ci jeszcze mówić, żeby cię nie denerwować. Co moim zdaniem... – Parsknęła zagadkowym śmiechem. – No więc ja ci mówię.

– Chwileczkę. – Z trudem podnosiłem się z kanapy. Zelektryzował mnie poryw złości na resztę mojej rodziny, który nie pozwalał mi zebrać myśli. Z trudem go zagłuszyłem, postanawiając odłożyć go na później. – Zaraz. Na co umiera?

– Guz mózgu. Kilka tygodni temu zauważył, że ma kłopoty z chodzeniem, poszedł do lekarza i po masie badań usłyszał: rak.

– Jezu. – Okręciłem się w kółko, przeciągając dłońią po włosach. Nie umiałem tego ogarnąć, nie mogłem mieć pewności, że Susanna naprawdę powiedziała to, co wydawało mi się, że słyszałem, czy... – I co z tym robią? Miał już operację?

– Nie będą operować. Są za duże nacieki guza na mózg, sięga już mackami w zasadzie wszędzie. – Susanna mówiła wyraźnym, spokojnym głosem. Już w dzieciństwie w krytycznych sytuacjach zawsze trudniej było cokolwiek wyczytać z jej reakcji. Próbowałem ją sobie wyobrazić: stoi oparta o jedną z ceglanych ścian Ivy House, blask słońca wygładza jasne i wyraźne rysy jej twarzy, tak że staje się prawie przezroczysta, obok jej miedzianozłotych włosów kołysze się pnącze bluszczu. Zapach jaśminu, brzęczenie pszczoł. – Mówią, że chemioterapia niewiele zmieni, więc nie ma sensu na tych kilka ostatnich miesięcy pogarszać mu jakości życia. Planują zastosować radioterapię. To może mu dać dodatkowy miesiąc czy dwa, a może nie. Staram się o opinię innego lekarza, ale na razie tak to wygląda.

– Gdzie on jest? W którym szpitalu? – Trujący zapach mojego pokoju, lekki i cierpliwy stukot żaluzji, które poruszały się, choć nie było wiatru...

– Jest w domu. Chcieli go zatrzymać w szpitalu „na wypadek nieprzewidzianych wydarzeń”, ale możesz sobie wyobrazić tę rozmowę.

Nieoczekiwanie z ust wyrwał mi się krótki, bolesny śmiech. W myślach zobaczyłem ściągnięte krzaczaste brwi Hugo, usłyszałem łagodną, choć nieugiętą stanowczość, z jaką odrzuca tę propozycję: „O ile dobrze zrozumiałem, nieprzewidzianym wydarzeniem, jakiego przede wszystkim się pan obawia, jest moja śmierć, a wydaje mi się, że wygodniej będzie mi paść trupem w domu. Obiecuję, że nie pozwę pana do sądu, jeżeli się okaże, że się myliłem”. Chyba że...

– Jak on się czuje? To znaczy...

– Pomijając fakt, że umiera? – Znowu prychnęła tym samym śmiechem. – Nieźle. Nie za dobrze radzi sobie z chodzeniem, więc ma laskę, ale nie cierpi, nic z tych rzeczy. Powiedzieli, że ból może się pojawić później, ale niekoniecznie. Umysłowo jest w porządku. Jak mówię, na razie.

Zastanawiałem się, dlaczego ciotki przestały zostawiać mi wiadomości na pocztę głosowej, dlaczego urwały się SMS-y od kuzynów. Pomyślałem, z nieznośnym ukłuciem żalu, że mają dość braku odpowiedzi i postanowili mnie już więcej nie niepokoić. Kiedy sobie uświadomiłem, że to nie miało nic wspólnego ze mną, przeżyłem szok z niewielką domieszką wstydu i oburzenia.

– No więc jeżeli chcesz się z nim zobaczyć – ciągnęła Susanna – dopóki jest jeszcze w takiej formie, żeby rozmawiać, może spędzisz u niego jakiś czas. – Nie odpowiedziałem, więc dodała: – Ktoś powinien przy nim być. Nie może dłużej mieszkać sam. Leon przyleci, gdy poukłada sobie sprawy w pracy, ja postaram się wpadać tam jak najczęściej, ale nie mogę przecież zostawić Toma z dziećmiakami na głowie i przeprowadzić się do wujka.

– Aha. – Leon mieszkał w Berlinie i rzadko przyjeżdżał do kraju. Docierało do mnie, że to rzeczywiście poważna sprawa. – A twoi rodzice... Może moi rodzice mogliby...

– Wszyscy pracują. Lekarze powiedzieli, że to się może stać w każdej chwili. Może zasłabnąć i upaść albo dostać ataku. Musi mieć przy sobie kogoś na stałe.

Nie zamierzałem jej mówić, że być może to samo dotyczy mnie. Wyobraziwszy sobie, że Hugo i ja dostajemy synchronicznych ataków, poczułem w gardle piekącą grudę

śmiechu; bałem się przez moment, że wybuchnę obłąkanym chichotem.

– Nie chodzi o opiekę pielęgniarską – dodała Susanna. – Jeżeli później będzie mu potrzebna, kogoś sprowadzimy. Ale na razie wystarczy po prostu być. Twoja mama mówiła, że na parę miesięcy wzięłeś wolne...

– W porządku – rzuciłem. – Postaram się pojechać.

– Jeżeli nie czujesz się na siłach, to powiedz, a ja...

– Dobrze się czuję. Po prostu... po prostu nie mogę tak rzucić wszystkiego i wyjechać.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Powiedziałem, że się postaram.

– Świetnie – odparła. – Postaraj się. Pa. – I odłożyła słuchawkę.

Długo stałem na środku salonu, trzymając w wyciągniętej ręce telefon, patrząc na wirujące w świetle słońca drobiny kurzu, słysząc dobiegające skądś dziecięce wrzaski radości albo przerażenia.

Jak Susanna się domyślała, nie miałem zamiaru nigdzie jechać. Pomijając nawet mój stosunek do Ivy House, samo podjęcie takiej decyzji przekraczało moje możliwości, nie mówiąc już o jej realizacji. Jak miałbym się tam dostać? Jak, do cholery, miałbym się w ogóle spakować? A co dopiero opiekować się umierającym człowiekiem, skoro nie potrafiłem nawet sam o siebie zadbać, nie wspominając o zniechęcającej perspektywie długotrwałych kontaktów z członkami mojej licznej rodziny, którzy nieustannie wpadaliby tam na chwilę. Kiedyś miałem świetne relacje z każdym z nich, w innych okolicznościach już

wrzucałbym rzeczy do torby, ale teraz... Na myśl o tym, że Susanna i inni zobaczą mnie w takim stanie, zamknąłem oczy.

No i oczywiście główny powód tego wszystkiego: Hugo; umierający wujek Hugo. Nie byłem pewien, czy będę umiał sobie z tym poradzić, przynajmniej w tej chwili. Przez całe moje dzieciństwo był nieodłącznym elementem Ivy House, trwałym i niezmiennym jak sam dom. Mieszkał tam, gdy jeszcze żyli dziadkowie; kawaler, który wiódł spokojną egzystencję równoległą do ich życia, potem, kiedy się starzeli, stopniowo i gładko wszedł w rolę ich opiekuna, a gdy zmarli, wrócił do swojego utartego beztroskiego rytmu. Hugo z książką w dłoni bezgłośnie stąpał po domu w samych skarpetkach, by zajrzeć do piekarnika i zakląć „Do stu tysięcy fur beczek!”, bo przez całe moje dzieciństwo niedzielna pieczeń nigdy, przenigdy nie wyglądała tak, jak powinna; kilkoma ostrymi słowami kładł kres kłótniom kuzynów (dlaczego nie zachował się tak samo wobec lekarzy i od razu nie uciął dyskusji, mówiąc im tym swoim łagodnym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, że przecież to nieuleczalne, więc niech dadzą sobie spokój?). Świat i tak był wystarczająco niespójny i zdradliwy, więc jeśli Hugo się rozsypie, mógł się rozpaść na tysiące kawałków.

Zdawałem sobie sprawę, że mam obowiązek przynajmniej się z nim zobaczyć, nie mogłem jednak pojąć, jak miałbym to zrobić. Wydawało się, że przy tak ograniczonych możliwościach jedyny sposób to wycofać się jeszcze dalej w głąb swojej jaskini, pozamykać wszystko na cztery spusty, nafaszerować się środkami przeciwbólowymi i czekać, aż to się skończy.

Wciąż stojąc pośrodku pokoju z telefonem w ręce, nagle uskokczyłem na bok na dźwięk dzwonka u drzwi. Weszła Melissa z ogromnym pudłem pizzy i zabawną historyjką o tym, jak Włoch w restauracji przeżywał autentyczne męki na wieść, że na jej połówce ma położyć kawałki ananasa. Ponieważ nie wiedziałem, jak jej powiedzieć o rozmowie z Susanną, roześmiałem się, odłożyłem telefon i zacząłem pałaszować swoją część pizzy.

Apetyt znowu mnie jednak opuścił i po jednym kawałku dałem za wygraną i powiedziałem o wszystkim Melissie. Spodziewałem się, że będzie w szoku, ze współczuciem rzuci mi się na szyję – „Och, Tobie, jeszcze tylko tego ci brakowało, dobrze się czujesz?” – ona jednak zaskoczyła mnie, pytając natychmiast:

– To kiedy jedziesz?

Miała minę, jakby była gotowa rzucić się do pakowania moich rzeczy.

– Nie wiem – odparłem, wzruszając ramionami i wbijając wzrok w pizzę. – Może za parę tygodni. Zależy od mojej formy.

Byłem pewien, że na tym się skończy, ale kątem oka dostrzegłem, że Melissa, siedząca po turecku na kanapie obok mnie, prostuje się jak struna i zapominając o pizzy, składa dłonie jak do modlitwy.

– Naprawdę powinieneś jechać – powiedziała. – I to zaraz.

– Wiem. – Prawie udało mi się opanować irytację w głosie. – Pojadę, jeżeli będę mógł. Od razu.

– Nie. Posłuchaj. – Jej ledwie skrywana niecierpliwość kazała mi na nią spojrzeć. – Tamtej nocy, kiedy zadzwoniła do mnie twoja matka... – Zrobiła gwałtowny wdech. – Była piąta rano.

Narzuciłam coś na siebie i wsiadłam do taksówki. Nikt nie wiedział, co się dzieje. Nikt nie wiedział, czy ty jeszcze...

Oczy Melissy za bardzo lśniły, ale gdy wyciągnąłem rękę w jej stronę, odtrąciła ją.

– Zaraz. Muszę skończyć, a jeżeli mnie przytulisz, to... Siedziałam w taksówce i darłam się na kierowcę, żeby jechał szybciej, naprawdę się darłam. Miałam szczęście, że był taki miły, mógł mnie wysadzić na chodnik, ale po prostu dodał gazu. Wszędzie ciemno, na ulicach nikogo, a my pędziliśmy na złamanie karku... Nie mogłam znieść myśli, że się spóźnię. Gdybyś się ocknął i nie byłoby mnie przy tym, wtedy... To był tylko i wyłącznie egoizm z mojej strony, wiedziałam, że pewnie w ogóle nie zauważysz, czy jestem, czy nie, ale po prostu nie mogłam znieść myśli, że przez resztę życia będę wiedziała, że nie było mnie, kiedy ci byłam potrzebna.

Mrugnęła i po jej policzku spłynęła łza. Wyciągnąłem rękę i starłem ją kciukiem.

– Ciii. Już dobrze, przecież tu jestem.

Tym razem chwyciła mnie za rękę i mocno ścisnęła.

– Wiem, Toby. Ale jeżeli nie pojedziesz zobaczyć się z wujkiem, tak właśnie to będzie wyglądać. Teraz jesteś roztrzęsiony, może zrozumiesz, kiedy się lepiej poczujesz, ale wtedy może być za późno.

Próbowałem coś powiedzieć, lecz jeszcze mocniej ścisnęła moje palce.

– Wiem – ciągnęła – że nie myślisz teraz, jak wszystko będzie wyglądać, kiedy znowu będziesz zupełnie zdrowy. Uwierz mi,

rozumiem to. Ale ja o tym myślę. I nie chcę, żebyś czuł to przez resztę życia.

Jej całkowita i niedorzeczna wiara w moją przyszłość i powrót do zdrowia chwyciła mnie za serce. Sam musiałem powstrzymać łzy – wyglądałoby to świetnie, gdybyśmy oboje siedzieli na kanapie i ryczeli w pizzę jak para nastolatek oglądających wieczorem *Titanica*.

– Jeżeli nawet sądzisz, że wygaduję bzdury, możesz mi zaufać w tej jednej sprawie? Proszę.

Bardziej ze względu na siebie niż na nią nie mogłem jej powiedzieć, że ta czarodziejska przyszłość nigdy się nie urzeczywistni. A gdy to sobie uświadomiłem, wezbrała we mnie potężna fala buntu i żądza destrukcji: pieprzyć to, i tak wszystko leży w gruzach, co ja próbuję ratować? Czemu nie iść na całość: wjechać rozpędzonym motocyklem na płonący most i zrzucić w przepaść całe to cholerstwo, i tak przecież skazane na zgubę? Przynajmniej tym razem to będzie moja decyzja; dzięki temu Melissa będzie szczęśliwa, a Hugo...

Zanim zdążyłem dokończyć myśl i zorientować się, co mówię, wyrwało mi się:

– Jedź ze mną.

Z zaskoczenia przestała płakać; rozchyliła usta i popatrzyła na mnie, rozluźniając uścisk ręki.

– Co? Chodzi ci o to... żeby go odwiedzić?

– Na kilka dni. Może na tydzień. Hugo nie będzie miał nic przeciwko temu. Świetnie wam się rozmawiało na moich urodzinach.

– Toby, sama nie wiem...

– Czemu nie? W tym domu zawsze przyjmowaliśmy gości. Raz Dec poprzytykał się z rodzicami i spędził tam prawie całe lato.

– Dobrze, ale teraz? Myślisz, że twój wujek naprawdę chce mieć przy sobie kogoś jeszcze oprócz rodziny?

– Dom jest wielki, pewnie nawet nie zauważy, że jesteś. Założę się, że Leon przywiezie swojego chłopaka, który... Boże, nawet nie pamiętam, jak ma na imię. Jeżeli z nim nie będzie problemu, z tobą też nie.

– Ale... – Udzielił się jej mój wybuch energii, prawie się roześmiała. Łapiąc oddech, wierzchem dłoni ocierała łzy. – Co z pracą?

Zaczynałem myśleć, że może to jednak wcale nie jest taki wariacki pomysł. Może z Melissą, moim lśniącym amulecikiem, będę jednak potrafił poradzić sobie w Ivy House, może...

– Jest stamtąd bezpośredni autobus do miasta. Miałybyś drogę dłuższą o dziesięć minut. Nawet nie. – Widziałem, że się waha. – Pojedź. To będzie coś w rodzaju wakacji. Tyle że z pogodą do bani. I guzem mózgu.

Wiedziałem już, że się zgodzi. Byłaby gotowa zgodzić się na wszystko, bylebym tylko był taki ożywiony, żebym się do czegoś zapalał, a nawet żartował.

– W takim razie chyba... Jeżeli jesteś pewien, że wujek nie będzie...

– Będzie zachwycony. Przysięgam.

Ze śmiechem przez resztki łez dała za wygraną.

– Dobrze. Ale w przyszłym roku jedziemy do Chorwacji.

– Oczywiście – odparłem, gdzieś w zakamarku duszy traktując ten plan prawie serio. – Czemu nie? – I zanim się spostrzegłem,

Melissa, podśpiewując pod nosem, sprzątała po pizzy, a ja szukałem numeru telefonu Hugo i ot tak, po prostu, zacząłem przygotowania do powrotu do Ivy House.

### 3

Droga do Ivy House w to niedzielne popołudnie bardzo przypominała trip na kwasie. Od wielu miesięcy nie wsiadałem do samochodu ani nie oddalałem się zbyt od mieszkania, więc nie mogłem sobie poradzić z nagłym potokiem prędkości, barw i obrazów, który okazał się zdecydowanie ponad moje siły. Wszędzie gorączkowo pulsowały przeróżne wzory, z drogi wyskakiwały na mnie żółte kropkowane linie, obok śmigają stroboskopowe rzędy barierek, wyżej z maniakalną powtarzalnością powielały się szachownice okien bloków; kolory były zbyt jaskrawe i drżały z jakimś elektronicznym piskiem, od którego bolała mnie głowa, wszystkie samochody pędziły za szybko, śmigając obok nas z dzikim świstem i podmuchem, od którego wzdrygałem się za każdym razem. Jechaliśmy taksówką – samochód Melissy był chyba w naprawie, tłumaczyła mi, ale brzmiało to tak skomplikowanie, że szybko wyleciało mi z pamięci – a kierowca słuchał głośno radia, w którym akurat nadawano jakiś talk-show i kobieta histeryzowała, bo umieszczono ją z trójką dzieci w pokoju hotelowym; prowadzący audycję prowokował ją, by rozpaczała jeszcze głośniej, a taksówkarz, przekrzykując ich, z oburzeniem komentował to na żywo.

– Dobrze się czujesz? – spytała półgłosem Melissa, ściskając moją rękę.

– Tak. – Odwzajemniłem uścisk w nadziei, że nie poczuje zimnego potu. – W porządku. – Co poniekąd było prawdą, przynajmniej w pewnym sensie. Gdy tylko opadła pierwsza fala lekkomyślnego uniesienia, zacząłem się zastanawiać, w co ja się, do cholery, wpakowałem, na szczęście zdążyłem się umówić na wizytę u swojego lekarza i poprosić go o uzupełnienie zapasu środków przeciwbólowych i o xanax w silnej dawce. Po przejrzeniu dokumentacji szpitalnej i wysłuchaniu przejmującej opowieści o moich męczarniach ze snem bez problemu wypisał receptę. Nie miałem najmniejszego zamiaru brać środków uspokajających, dopóki spędzałem noce we własnym mieszkaniu, ale pamiętałem, by połknąć pierwszą tabletkę, zanim wsiedliśmy do taksówki, aby w chwili przyjazdu do Ivy House osiągnąć już stan porządnego ośpienia. Xanax zaczął działać, bo choć na myśl o wkroczeniu do domu w tym stanie nadal krajało mi się serce, stwierdziłem, że nie bardzo mnie to obchodzi, co stanowiło miłą odmianę.

– Zaraz – powiedziała nagle Melissa. – Czy to nie ten skręt?

– Cholera. – Wyprostowałem się. – Tamten, w lewo...

Przegapiliśmy drogę; taksówkarz musiał zawrócić, komentując to serią pomruków i westchnień.

– Jezu – burknął, pochylając głowę, żeby popatrzeć na drogę. – W ogóle nie wiedziałem, że tu jest. – Wydawał się nadąsany, jak gdyby ta ulica obraziła jego fachową wiedzę.

– Na drugim końcu – powiedziałem.

Taką właściwość ma droga do Hugo – sprawia wrażenie, jak gdyby istniała tylko w co drugi czwartek albo mogli ją odnaleźć tylko ludzie wyposażeni w tajemniczy talizman, a przez resztę czasu pozostaje niewidzialna i ulatuje z pamięci, gdy tylko się z niej wyjedzie. Moim zdaniem to kwestia proporcji; ulica jest zdecydowanie za wąska w porównaniu z wysokimi georgiańskimi domami szeregowymi z szarej cegły i dwoma szpalerami gigantycznych dębów i kasztanowców, co utrudnia dostrzeżenie jej i nadaje tej ulicy własny, ciemny i chłodny mikroklimat, wypełniony gęstą, niezmaconą ciszą, która była szokiem po zgiełku miejskich hałasów. O ile mi wiadomo, odkąd się urodziłem, zamieszkiwały ją wyłącznie starsze małżeństwa i pięćdziesięciokilkuletnie kobiety z zaniedbanymi psami, co wydawało się nieprawdopodobne z demograficznego punktu widzenia, ale nigdy nie widziałem tam ani jednego dziecka prócz mnie i moich kuzynów, a później dzieci Susanny; byliśmy też jedynymi nastolatkami, które urządzały tam imprezy.

– To tutaj – powiedziałem i taksówkarz zatrzymał się przed Ivy House.

Niezdarnie sięgnąłem do kieszeni, żeby szybko zapłacić, zanim Melissa zacznie wyciągać z bagażnika nasze walizki, a potem jakoś je wydostałem – lewą rękę zahaczyłem o uchwyt, prawą szarpałem jak szalony. Taksówka ze zgrzytem skrzyni biegów zawróciła na trzy i pomknęła z powrotem, zostawiając nas na chodniku przed Ivy House obok walizek, jak zagubionych turystów albo podróżników, którzy właśnie wracają do domu.

Dom oficjalnie nazywa się Numer 17; ktoś z nas – chyba Susanna – kiedy byliśmy mali, nazwał go Ivy House, „domem

bluszczowym”, z powodu gęstego pnącza, które niemal zupełnie przykrywało trzy piętra i parter, i nazwa przylgnęła. Kupili go w latach dwudziestych zeszłego wieku moi pradziadkowie, z zamożnej anglo-irlandzkiej rodziny, z której wyszło wielu lekarzy i prawników, ale kiedy przyszedłem na świat, należał już do moich dziadków. Wychowali w nim czterech synów, trzej młodszy wyprowadzili się, ożenili i mieli własne dzieci, ale dom nadal stanowił centrum rodzinnego życia: co tydzień odbywał się tu niedzielny lunch, urządzano urodziny, Boże Narodzenia, przyjęcia, na które w naszych domach i ogrodach na przedmieściach było za mało miejsca. Gdy Leon, Susanna i ja mieliśmy po siedem czy osiem lat, rodzice podrzucali nas do Ivy House na część wakacji, żebyśmy w trójkę biegali samopas pod dobrodusznym okiem dziadków i Hugo, którzy zbytnio się nami nie interesowali, podczas gdy rodzice jeździli wozem kempingowym po Węgrzech albo wyruszali czyjąś łodzią w rejs po Morzu Śródziemnym.

To były cudowne, idylliczne czasy. Wstawaliśmy, kiedy chcieliśmy, przygotowywaliśmy sobie śniadanie złożone z chleba z dżemem i mogliśmy robić, co dusza zapagnie, od świtu do wieczora; od czasu do czasu przychodziliśmy na posiłki, kiedy nas wzywano, a potem znowu wybiegaliśmy. W wolnym pokoju na ostatnim piętrze zbudowaliśmy fort, który zaczął się od paru wyrzuconych kawałków sklejki, a potem z miesiąca na miesiąc rozrósł się w wielopoziomową konstrukcję. Spędzaliśmy tam niezliczone popołudnia, zdobywając i odbijając twierdzę; wyposażyliśmy ją w wizjery, zapadnię i urządzenie, które zrzucało na głowę wroga kubel śmieci. Mieliśmy nawet hasło...

Co to było za słowo? Inkunabuł, westiarnia, homunkulus... coś w tym rodzaju, jakiś ezoteryczny termin, który Bóg wie gdzie wynalazła Susanna i wybrała z powodu zalatującej stęchlizną i kadzidłem tajemniczości, a nie dlatego, że wiedziała, co oznacza. Nie pamiętam tego słowa, co martwi mnie bardziej, niż powinno. Czasem, gdy nie mogę zasnąć, przeglądam internetowe słowniki strona po stronie w nadziei, że coś rzuci mi się w oczy. Pewnie mógłbym po prostu zadzwonić do Susanny i ją spytać, ale w miarę możliwości wolę nie sprawiać wrażenia aż takiego czubka. W ogrodzie rozpięliśmy pajęczą sieć linek z krążkami, żeby transportować różne rzeczy między drzewami a oknami; wykopaliśmy dół, napełniliśmy wodą i kąpaliśmy się w nim, nawet gdy zmienił się w błotniste bajoro i zanim weszliśmy do domu, musieliśmy się nawzajem płukać węzem ogrodowym. Kiedy byliśmy starsi – po śmierci dziadków, mieliśmy wtedy po kilkanaście lat – po kolacji leżeliśmy na trawie, piliśmy niedozwolony alkohol, gadaliśmy i śmialiśmy się, podczas gdy w gęstniejących ciemnościach pohukiwały sowy, a za jasnymi oknami tam i z powrotem przesuwała się sylwetka Hugo. Często był z nami ktoś jeszcze – mówiłem Melissie prawdę: stale przyjeżdżali albo wyjeżdżali Sean, Dec i reszta moich kumpli, podobnie jak kumple i znajomi Susanny i Leona, czasem zostawali na popołudnie, czasem na imprezę, zdarzało się, że na parę tygodni. Wtedy uważałem taki stan rzeczy za nieodłączny i niemal niezbędny element życia, który powinien mieć każdy, i szkoda, że moi przyjaciele byli go pozbawieni, ale przynajmniej mogli korzystać z mojego. Dopiero teraz, o wiele za późno,

zastanawiam się, czy to rzeczywiście kiedykolwiek było tak proste.

Bluszcz rósł nadal, bujny i lśniący w blasku lata, dom prezentował się jednak gorzej niż w czasach moich dziadków; nie zauważyłem żadnych wielkich zniszczeń, ale na balustradach, w miejscach, gdzie odpadły płyty czarnej farby, widniały ślady rdzy, półkoliste okienko nad drzwiami z promienistymi szczelinami było zakurzone, krzewy lawendy na skrawku ziemi przed wejściem powinno się odrobinę przyciąć.

– No to jesteście – powiedziałem, dźwigając walizki.

Ktoś stał w otwartych drzwiach. Z początku trudno się było zorientować, że to człowiek, bo padający przez liście snop słonecznego blasku pozbawił sylwetkę cielesności, zobaczyłem tylko błysk białego T-shirtu, chmurę złotych włosów, jasną plamę twarzy jak maźnięcie białej farby i ciemne smużki oczu; było w tym coś nierealnego, jak gdyby mój umysł wyczarował tę postać z plam światła i cieni, mogła więc lada chwila rozpląnąć się i zniknąć. Zapach lawendy uniósł się jak widmo i uderzył mnie w nozdrza.

Kiedy podszedłem bliżej, uświadomiłem sobie, że to Susanna, która przyglądała mi się w bezruchu, z konewką w rękach. Zwolniłem kroku – odkryłem wcześniej, że jeśli się skupię i idę powoli, potrafię zamaskować problem z nogą, udając leniwy i nonszalancki krok. Czując na sobie jej wzrok, mimo otumanienia xanaxem zacisnąłem szczęki. Musiałem się powstrzymać, żeby odruchowo nie przygładzić włosów na bliźnie.

– Niech mnie jasna cholera – powiedziała Susanna, gdy stanęliśmy u stóp schodów. – Udało ci się.

– Przecież mówiłem.

– Hm. Mniej więcej. – Kącik jej szerokich ust lekko drgnął w uśmiechu, którego nie umiałem rozszyfrować. – Jak się czujesz?

– W porządku. Nie narzekam.

– Schudłeś. Uważaj na moją mamę – ostrzegła mnie. – Przywiozła ciasto cytrynowo-makowe i nie zawaha się go użyć. – Jęknąłem. – Spokojnie. Powiem jej, że jesteś uczulony. Dobrze cię widzieć – zwróciła się do Melissy.

– Ciebie też – odparła Melissa. – Susanna, naprawdę nie będę przeszkadzać? Toby twierdzi, że na pewno mogę tu być, ale...

– Ma rację, możesz. Nawet bardziej niż możesz. Dzięki, że przyjechałaś. – Susanna odwróciła konewkę i wylała jej zawartość na najbliższy krzew lawendy, po czym zawróciła do domu. – Wejdźcie.

Zaciskając zęby, wtaszczyłem walizki po stopniach, postawiłem je przy drzwiach i tak, nie do końca wiedząc, co się dzieje, znalazłem się w Ivy House. Szliśmy z Melissą za Susanną po znajomych, zdartych płytkach posadzki w korytarzu – wszędzie wyczuwało się zbłąkane podmuchy wiatru, pewnie wszystkie okna były otwarte – i schodkami w dół w kierunku kuchni.

Dobiegły nas jakieś dźwięki: głos wujka Olivera, który z naciskiem wygłaszał jakąś tyradę, oburzony wrzask dziecka i gardłowy, gromki śmiech cioci Miriam.

– Jezu – mruknąłem. W ogóle nie brałem tego pod uwagę. –  
Niedzielny lunch.

Idąca przed nami Susanna nie usłyszała mnie albo zignorowała, ale Melissa obróciła się do mnie twarzą.

– Co?

– W niedziele wszyscy przyjeżdżają na lunch. Nie pomyślałem... Nie byłem tu całe wieki, a skoro Hugo jest chory, nie przyszło mi do głowy... Cholera. Przepraszam.

Melissa przez sekundę ścisnęła moją dłoń.

– Nic się nie stało. Lubię twoją rodzinę.

Wiedziałem, że to dla niej taka sama niespodzianka jak dla mnie, zanim jednak zdążyłem odpowiedzieć, weszliśmy do wielkiej, wyłożonej kamiennymi płytami kuchni i widok tego pomieszczenia podziałał na mnie jak strumień z węża strażackiego. Gwar głosów, przeszywające promienie słońca, które wpadały przez otwarte przeszklone drzwi, zapach mięsnej zapiekanki, który połaskotał mnie w gardło, wywołując stan pośredni między głodem a mdłościami, wszędzie ruch – wiedziałem, że prócz mnie i Melissy może tu być najwyżej kilkanaście osób, ale po miesiącach spędzonych w niemal zupełnej samotności miałem wrażenie, jakbym znalazł się na trybunie stadionu albo na tłocznej imprezie rave. To było dużo za dużo, ale czego się spodziewałem? Mój ojciec, wujek Oliver i wujek Phil mówili jednocześnie i wznosili szklaneczki w toaście; Leon, oparty łokciami o stół, bawił się z jednym z dzieci Susanny w grę, w której głównie chodziło o klaskanie; ciocia Louisa próbowała się wymigać od uprzątnięcia naczyń... W porównaniu z bałaganem i zwałami kurzu w moim mieszkaniu kuchnia

wydawała się nienaturalnie czysta i kolorowa, jak nowo zbudowana scenografia, którą przygotowano specjalnie na tę chwilę. Miałem ochotę złapać Melisę i wycofać się stamtąd, zanim ktokolwiek zauważy, że przyjechaliśmy...

– Toby! – usłyszałem krzyk i z tłumu wychynęła moja matka. Z zadowoloną miną chwyciła za rękę mnie i Melisę, gadając jak nakręcona – nie rozumiałem ani słowa – i już: znaleźliśmy się w potrzasku i na ucieczkę było za późno. Ktoś wcisnął mi do ręki kieliszek, więc pociągnąłem spory łyk, mimoza, prosecco z sokiem pomarańczowym. Wolałbym coś znacznie mocniejszego, ale w połączeniu z xanaxem pewnie nie byłby to dobry pomysł, a przynajmniej miałem alkohol. Miriam rzuciła mi się na szyję, spowijając mnie aromatem eterycznych olejków i henny do włosów, i gratulowała mi wystawy („Naprawdę chcieliśmy iść z Oliverem, a skoro przyjechał Leon, pójdziemy razem, całą rodziną... Hugo też może iść, przyda mu się odrobina sztuki... Co się stało z tym chłopakiem, o którym tyle pisałeś na Facebooku? Grungerem?”) i tego, że przeżyłem, co najwyraźniej stanowiło dowód mojej wyjątkowej odporności na negatywną energię. Mąż Susanny, Tom, potrząsał moją ręką, jakbyśmy uczestniczyli w jakimś spotkaniu religijnym, obdarzając mnie szerokim, szczerym uśmiechem pełnym empatii, otuchy i samych pozytywnych uczuć, co wzbudziło we mnie nadzieję, że Susanna chodzi do łóżka z jego najlepszym przyjacielem. Kiedy Oliver klepnął mnie w plecy, cały świat zobaczyłem podwójnie.

– Ach, ranny wojownik! Ale przypuszczam, że odpłaciłeś im pięknym za nadobne, co? Pewnie dwóch włamywaczy ma teraz wątpliwości, czy dobrze wybrali ścieżkę zawodową... – I tak

dalej, z przerwami na rechot, od którego trząsał mu się brzuch, dopóki Phil, który najwyraźniej zauważył mojego rozbieżnego zeza, nie wtrącił się z pytaniem, co sądzę na temat kryzysu mieszkaniowego, o którym, szczerze mówiąc, nic nie sądziłem, zanim jeszcze dostałem w głowę, ale przynajmniej udało mu się odwrócić uwagę Olivera.

Matka postanowiła uraczyć nas historią jakiegoś bizantyjskiego sporu na wydziale, którego kulminację stanowił pościg jednego profesora mediewisty za drugim, zakończony ciosem zadany grubym plikiem dokumentów („Na oczach studentów! Dziesięć minut później cała scena była na YouTube!”). Matka potrafi opowiadać, ale słuchałem niezbyt uważnie, błędząc gdzieś myślami (na lodówce był zawieszony dziecięcy rysunek, nie mogłem odgadnąć, co przedstawia. Smoka? Dinozaura? Czy kiedy ostatni raz widziałem Leona, miał już takie platynowe pasemko nad czołem? Wyglądał idiotycznie, jak My Little Pony. Czy naprawdę mógłbym o tym zapomnieć? Jak wtaskam nasze walizki po schodach?), kiedy więc skończyła opowieść, nie pamiętałem już początku. Zaśmiałem się wtedy, gdy zrobiła to Melissa, i starałem się jak najmniej odzywać – wprawdzie nie bełkotałem już tak niezrozumiale jak wcześniej, ale jeżeli nie mówiłem superstarannie, wciąż brzmiało to jak wymowa upośledzonego. Xanax nie powstrzymał we mnie chęci wyjścia z kuchni, wszystko jedno dokąd, byle nie było tam matki, która za często na mnie zerkiała, i Leona, który przy każdym geście trącał mnie łokciem; xanax powstrzymał mnie tylko przed znalezieniem możliwego sposobu ucieczki.

– Bardzo się cieszę, że przyjechałeś – powiedział ojciec, który nagle pojawił się obok mnie. Miał podwinięte rękawy i włosy pozlepiane w kępki; jego wygląd świadczył, że jest tu już dość długo. – Hugo nie mógł się ciebie doczekać.

– Aha... No tak. – Cała wyprawa wymagała ode mnie tak ogromnego skupienia, że niemal zupełnie zapomniałem, po co tu jestem. – Jak on się czuje?

– Nieźle. W środę miał pierwszą sesję radioterapii i jest po niej trochę zmęczony, ale poza tym jest sobą. – Ojciec mówił spokojnym głosem, ale pobrzmiewająca w tle nuta bólu kazała mi przyjrzeć mu się uważniej. Wydawał się chudszy i równocześnie obrzmiały, pod oczami i brodą miał obwisłe fałdki, których nie pamiętałem, pod luźną skórą na przedramionach wyraźnie rysowały się kości. Nagle opadł mnie głęboki lęk przed przyszłością; nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, że ojciec się zestarzeje, tak jak matka, i któregoś dnia będę się kręcił po ich kuchni, czekając na śmierć jednego z nich. – Powinieneś pójść się przywitać.

– No tak. – Wychyliłem resztę drinka. Tymczasem Melissa dostała się w sidła Miriam. – Chyba powinienem. – Ruszyłem do Hugo; lawirując w ciżbie, wzdrygałem się przy każdym dotknięciu.

Bąłem się jego widoku, i to bardzo – nie z powodu swojej delikatności, ale po prostu nie miałem pojęcia, jaki to może mieć wpływ na moją głowę, a naprawdę nie zniósłbym więcej niespodzianek. Hugo, najwyższy z braci – miał ponad metr osiemdziesiąt pięć – był barczysty, długonogi i długoręki, o sylwetce hodowcy owiec, wielkiej, kudłatej głowie i grubo

ciosanych rysach, jak gdyby rzeźbiarz nadał glinie ogólną formę, a ostateczny szlif zostawił sobie na później. Miałem koszmarne wizje wymizerowanego człowieka o szklistych oczach, skulonego na krześle i nerwowo skubiącego długimi palcami skraj koca... On jednak stał przy starym piecu kuchennym i mieszał coś w niebieskim, mocno odrapanym emaliowanym rondlu, w skupieniu ściągając brwi i wysuwając wargi. Wyglądał tak samo jak zawsze, więc zrobiło mi się głupio, że tak się denerwowałem.

– Hugo – powiedziałem.

– Toby. – Odwrócił się do mnie i twarz rozjaśniła mu się w uśmiechu. – Jak cudownie.

Przygotowałem się na klepięcie w ramię, ale z niewiadomego powodu nie wywołało to fali obrzydzenia, która ogarniała mnie przy każdym fizycznym kontakcie, jeśli dotykał mnie ktoś inny niż Melissa. Jego dłoń była ciepła, ciężka i zwyczajna jak łapa zwierzęcia albo termofor.

– Dobrze cię widzieć – rzuciłem.

– Hm, nie zrobiłem tego, żeby was tu wszystkich ściągnąć, ale to miły skutek uboczny. Twoim zdaniem już gotowe?

Zajrzałem do rondla. Jasnobursztynowy krem o zapachu z mojego dzieciństwa, karmelu i wanilii: słynny babciny sos do lodów.

– Chyba potrzebuje jeszcze paru minut.

– Też mi się tak wydaje. – Wrócił do mieszania. – Louisa upiera się, że niepotrzebnie robię sobie kłopot, ale dzieci uwielbiają ten sos... A ty jak się czujesz? Miałeś własne przygody. – Pochylił się, żeby obejrzeć moją bliznę, lecz gdy zeszywniałem,

natychmiast odwrócił się z powrotem w stronę rondla. – Mamy bliźniacze rany wojenne – zauważył. – Chociaż za twoją na szczęście kryje się zupełnie inna historia niż w moim przypadku. Boli?

– Już nie tak bardzo. – Dopóki o tym nie wspomniał, nie zauważyłem wygolonego skrawka i wypukłej czerwonej linii wśród przydługich, przyprószonych siwizną włosów z boku jego głowy.

– To dobrze. Jesteś młody, szybko się wyliżesz. Doszedłeś już do siebie?

Bystre, przelotne spojrzenie szarych oczu. Żadne z nas nigdy nie potrafiło niczego przed nim ukryć. Gdy miałem szesnaście lat, podczas niedzielnego lunchu jego spojrzenie prześliznęło się po kuzynach i zauważyło, jak fachowo próbuję maskować kaca. „Hm”, mruknął tylko, a później szepnął mi do ucha z lekkim uśmiechem: „Następnym razem chyba warto skończyć kolejkę wcześniej, Toby”.

– Mniej więcej – odparłem. – Jak się czujesz?

– Czuję się przede wszystkim dezorientowany – wyznał Hugo. – Wydaje się, że to głupie, mam w końcu sześćdziesiąt siedem lat, od dawna wiem, że lada chwila może mnie zaskoczyć coś takiego. Ale gdy stajesz przed konkretnym i nieuchronnym faktem, nie sposób wyrazić, jakie to dziwne uczucie. – Uniósł łyżkę i obejrzał spływającą z niej długą, cieniutką strużkę sosu. – Psycholożka w szpitalu... biedaczka, co to za straszna praca... dużo mówiła o mechanizmie zaprzeczania, ale nie sądzę, żeby o to chodziło. Doskonale zdaję sobie sprawę, że umieram. Chodzi o to, że wszystko uległo fundamentalnej zmianie, dosłownie

wszystko, od jedzenia śniadania po mój własny dom. To mocno zaburza mi porządek.

– Susanna mówiła coś o radioterapii, prawda? – powiedziałem. – Radioterapia nie pomoże?

– Tylko w połączeniu z operacją... i zapewne nawet wtedy nie. Lekarz twierdzi, że nie ma takiej możliwości. Susanna szpera w internecie i czyta o najlepszych specjalistach, żeby postarać się o opinię innego lekarza, ale chyba nie bardzo bym w to wierzył. – Pokazał na buteleczkę ekstraktu waniliowego stojącą na blacie blisko mnie. – Mógłbyś mi to podać? Przyda się jeszcze kropelka.

Podąłem mu buteleczkę. Obok, pod ręką, stała oparta o blat stara laska dziadka ze srebrną główką.

– Ach. – Hugo pochwycił moje spojrzenie w tę stronę. – Hm, tak. Nie umiem już bez niej wejść po schodach, miewam kłopoty nawet z normalnym chodzeniem. Niestety, wędrówki po górach to już dla mnie historia. Może to dziwne, że przejmuję się czymś takim, zważywszy na okoliczności, ale w pewnym sensie nieistotne drobiazgi są najbardziej przygnębiające.

– Przykro mi – powiedziałem. – Naprawdę przykro.

– Wiem. I jestem ci za to wdzięczny. Możesz to wstawić do szafki?

Staliśmy tak przez pewien czas, obserwując rytmiczny, kolisty ruch łyżki w rondlu. Lekki podmuch wiatru od strony otwartych przeszkłonych drzwi przyniósł intensywny zapach ziemi i trawy; Leon za nami mówił coraz głośniej, zmierzając do puenty i po chwili wszyscy wybuchnęli śmiechem. Zmarszczki i fałdy na twarzy Hugo układały się w kilkanaście znajomych min jednocześnie, sprawiały, że jej wyraz był nieprzenikniony.

Czułem, że powinienem zadać mu jakieś arcyważne pytanie: o znaną mu tajemnicę, która mogłaby wszystko zmienić, rzucić nowe, nieoczekiwane światło na ostatnie straszne miesiące i te, które miały nadejść, dzięki czemu staną się bardziej znośne albo nawet zupełnie niegroźne. Gdybym tylko wiedział, jak zapytać... Przez zaskakującą chwilę, która minęła równie szybko, jak nadeszła, zawirowało mi w głowie i poczułem, że jestem bliski płaczu.

– Proszę – powiedział Hugo, zdejmując rondel z ognia. – Powinno wystarczyć. Właściwie jeszcze przez jakiś czas powinno stygnąć, ale... – Odwrócił się w stronę pozostałych. – Kto ma ochotę na lody?

\* \* \*

Całe popołudnie było bardzo dziwne. Miało zagadkowo odświętny charakter – może ze względu na wspomnienie tych wszystkich uroczystości, może fakt, że tak wielu z nas nie widziało się od wielu miesięcy czy lat. Wszędzie flakony rozkwitłych żółtych róż; reprezentacyjne srebrne sztuce z inicjałami jakiegoś zapomnianego przodka na wytartych rączkach; babcine kolczyki ze szmaragdami na wielkie okazje, połyskujące w uszach cioci Louisy; salwy śmiechu i brzęk szkła... „Zdrówko!”

Mimo że wszystko wyglądało znajomo, coś tu jednak nie pasowało. Ludzie zachowywali się nie tak, jak powinni, te kolczyki Louisy, Tom, który zamiast wujka Hugo stawiał na stole pucharki z lodami, podczas gdy Hugo – z twarzą nagle poszarzałą

ze zmęczenia – siedział przy kuchennym stole i kiwał głową w odpowiedzi na jego paplaninę; dwoje jasnowłosych dzieci, którymi nie byliśmy my, biegało ludziom pod nogami, wydając odgłosy samolotów i wyrywając sobie z rąk różne przedmioty; Susanna gromiła je spojrzeniem, dokładnie takim samym, jakie kiedyś rzucała nam Louisa. Siedziałem z kieliszkiem świeżej mimozy w dłoni i kiwałem głową, gdy wujek Phil rozwodził się nad etyką zwolnień podatkowych dla przedsiębiorstw. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w jednym z tych horrorów, gdzie ciała drugoplanowych postaci dostają się we władanie upiornych istot, którym nie do końca jednak udaje się je opanować, a nasz bohater dostrzega drobne wpadki i odkrywa rozgrywającą się na jego oczach intrygę... Z początku wzbudziło to tylko mój niepokój, ale w miarę jak mijało popołudnie (lody z sosem karmelowym, kawa, likiery, nie miałem na nic ochoty, a na stole wciąż pojawiały się nowe smakołyki), lęk przybierał na sile niczym wzburzona morska kipiela. Louisa z determinacją w oczach zaatakowała mnie gigantycznym kawałkiem ciasta cytrynowo-makowego, ale Susanna zgrabnie zatrzymała szarżę zszokowanym „Ależ, mamo! Toby ma alergię!”; Melissa mężnie zapewniała, że to jej ulubione ciasto, a Oliver hałaśliwie wydmuchał nos w ogromną chustkę, ponuro zerkając na róże... Wszyscy ci ludzie, którzy mieli być moimi najbliższymi, wyglądali na zupełnie obcych, wszystkie te wymachujące ręce, kolory, groteskowo wykrzywione twarze nie oznaczały absolutnie nic, w każdym razie na pewno nie miały nic wspólnego ze mną. Przy każdym trąceniu w łokieć, każdym ruchu, który dostrzegłem kątem oka, wzdrygałem się jak

spłoszony koń, męczyły mnie nieustanne skoki adrenaliny. Czuję, jak u dołu pnia mózgu otwiera się otchłań żarłocznego wiru, jak kręgosłup tężeje od napięcia nadciągającego niczym burzowy front. Nie miałem pojęcia, jak przetrwam resztę dnia.

W tajemniczy sposób naczynia zostały uprzątnięte, opłukane i włożone do zmywarki, ale nic nie wskazywało na to, by ktokolwiek zamierzał wychodzić; przenieśliśmy się do salonu, ktoś przyrządził nowe mimozy. Wszyscy wychylali je trochę za szybko. Leon odgrywał widowiskowe starcie między drag queen a punkiem – przysięgał, że był świadkiem tego zdarzenia w berlińskim klubie – które przyprawiło o paroksyzmy śmiechu moją matkę, Toma i Louise. „Nie, Leon, niemożliwe, żeby to powiedziała! Przestań, brzuch mnie już boli...” Mignął mi ojciec, który przecierał palcem oko, wyglądając na kompletnie wyczerpanego, ale gdy chwilę później odwróciła się do niego Miriam, natychmiast się ożywił, uśmiechnął, uniósł brew i powiedział coś, na co ryknęła śmiechem i trzepnęła go w ramię. Phil nachylał się w stronę Susanny, mówiąc za głośno i gestykulując tak energicznie, że od zamaszystych ruchów kołysał się na nogach. Pod wysokim sufitem pokoju głosy zlewały się w niezrozumiały harmider, a w tle wyczuwało się przyczajone zagrożenie, jakbyśmy urządzili potańcówkę w piwnicy podczas nalotu, gdy nad nami z gwizdem śmigały bomby; wesołość wydawała się krucha jak tafla lodu, lada chwila mogła się wyrwać spod kontroli: tak trzeba, jeszcze szybciej, mocniej, szybciej, aż wreszcie bum! I koniec!

Nie mogłem tego dłużej znieść. Rozejrzałem się za Melissą, ale usadowiła się na kanapie z Hugo i była pochłonięta rozmową.

W żaden sposób nie mogliśmy się stąd niepostrzeżenie wymknąć. Wróciłem do kuchni, nalałem sobie szklankę zimnej wody i wyszedłem z nią na taras.

W porównaniu z kakofonią hałasów i barw w środku ogród miał w sobie ciszę i spokój niemal świętego miejsca. Myśląc o ogrodzie w Ivy House, zawsze zapominam o jednej rzeczy, która za każdym razem na nowo mnie zaskakuje – o świetle. Nigdzie indziej takiego nie ma: ziarnistego jak wybielone światło na starych amatorskich filmach kręconych latem, jak gdyby zamiast padać z zewnętrznego źródła, emanowało z samej scenerii. Przede mną rozciągała się szeroka połać wyrosniętej trawy, gęstej od wybujających ambrozji i kolorowej od maków i chabrów; cienie pod drzewami były intensywne i głębokie jak dziury w ziemi. Nad tym pejzażem drżało rozgrzane powietrze.

Nagle wzdrygnąłem się, słysząc głosy dźwięczne jak świergot rudzików. Na końcu ogrodu bawiły się dzieci: jedno zakreślało szalone zygzaki na huśtawce na sznurze, pojawiając się i przestając istnieć, gdy jej wahadło wychylało się z cienia na światło i z powrotem; drugie unosiło się z wysokiej trawy, rozkładając szeroko ręce, żeby coś rozrzucić. Szczupłe, brązowe ramiona poruszały się bez ustanku, lśniły jasnoblond włosy. Chociaż wiedziałem, że to dzieci Susanny, przez ulotną chwilę zdawało mi się, że to dwoje z nas, Leon i Susanna, ja i Susanna? Jedno z nich krzyknęło ostrym, apodyktycznym tonem, nie wiedziałem jednak, czy było to skierowane do mnie. Przyłożyłem szklankę do skroni i zignorowałem dzieci.

Ogród nosił takie same ślady drobnych zaniedbań jak front domu, ale to nie było nic nowego. Jak na ogród w mieście jest

olbrzymi, ma ponad trzydzieści metrów długości. Wzdłuż bocznych murów rosną dęby, brzozy i wiązy; za uliczką zamykającą go na końcu wznosi się tył cztero- czy pięciopiętrowego budynku dawnej szkoły albo fabryki, zaadaptowany w okresie „celtyckiego tygrysa” na nowoczesny apartamentowiec. Dzięki tak wysokim liniom granicznym ogród ma atmosferę tajemniczego i głęboko ukrytego miejsca. Zajmowała się nim babcia; tworzyła go i pielęgnowała pomysłowo i delikatnie, za jej czasów przypominał zakątek z baśni, który przebiegle odkrywał przed tobą swoje uroki jeden po drugim, jeśli tylko na to zasłużyłeś – „Zobacz tam, za drzewem rosną krokusy, a tu, ukryte pod krzewem rozmarynu, poziomki, tylko zrywać!”. Umarła, gdy miałem trzynaście lat, niecały rok po dziadku, a potem Hugo znacznie popuścił cugli („Nie z lenistwa – powiedział mi któregoś lata, patrząc z uśmiechem przez kuchenne okno na roślinny gąszcz. – Wolę, żeby trochę zdziczał. Nie mówię o mleczach, one po prostu się plenią, ale lubię sobie popatrzeć na jego prawdziwe oblicze”). Rośliny stopniowo wędrowały i plątały się ze sobą, ze ściany domu spelzły długie wąsy bluszczu i jaśminu, na nieprzycinanych drzewach kłębiły się liście, między długimi trawami kołysały się kłosa i dmuchawce. Ogród stracił swoją czarodziejską aurę i przybrał inną postać, opanowaną i powściągliwą, archeologiczną. Zwykle dochodziłem do wniosku, że wolę tamtą dawną, ale tego dnia cieszyłem się z jego nowej wersji; nie miałem ochoty na figlarny wdzięk.

Dostrzegło mnie młodsze z dzieci, dziewczynka. Stała przez chwilę, obserwując mnie spomiędzy kwiatów dzikiej marchwi,

bezwiednie kołysząc ich łądygami. W końcu przydreptała do mnie.

– Cześć – powiedziałem.

Dziewczynka – dopiero po chwili odgrzebałem z pamięci jej imię: Sallie – przyglądała mi się kocimi, matowo niebieskimi oczami. Nie mogłem sobie przypomnieć, ile ma lat. Może cztery?

– Mam lalki w butach – poinformowała mnie.

– Aha. – Nie miałem pojęcia, o czym mówi. – To miło.

– Popatrz. – Przytrzymując się wielkiej donicy z pelargoniami, by nie stracić równowagi, pokazała podeszwę jednego adidasa, a potem drugiego. W każdej z nich w sporej bańce przezroczystego plastiku tkwiła trzycentymetrowa laleczka i łąpała na mnie tępym wzrokiem.

– O – powiedziałem. – Fajne.

– Nie wiem, jak je wyciągnąć – poskarżyła się Sallie.

Przez moment bałem się, że mam coś na to poradzić, ale właśnie wtedy zbliżył się jej brat – Zach, tak miał na imię – i stanął obok siostry. Przerastał ją o głowę, ale poza tym byli bardzo do siebie podobni, te same splątane loki, skóra barwy brązowej skorupki jajka i nieruchome jasnoniebieskie oczy. Wyglądali razem jak postacie z horroru.

– Będziesz tu mieszkał? – spytał mnie.

– Tak. Przez parę tygodni.

– Czemu?

Nie miałem pojęcia, co Susanna powiedziała im o Hugo. Wyobraziłem sobie, że powiem coś niewłaściwego i oboje zaczną przeraźliwie wyc z rozpacz.

– Bo tak – odparłem. Wciąż się we mnie wpatrywali, więc dodałem: – Przyjechałem do wujka Hugo w odwiedzin.

Zach trzymał kij; machnął nim w powietrzu, wydając przy tym ostry, nieprzyjemny świst.

– Dorośli nie mieszkają ze swoimi wujkami. Mieszkają sami.

– Nie będę z nim mieszkać. Przyjechałem go odwiedzić. – Zach już wcześniej zrobił na mnie wrażenie wrednego gówniarza. W któreś Boże Narodzenie Susanna musiała go zabrać od stołu, kiedy napluł siostrze do talerza, bo dostała większą porcję indyka.

– Mama powiedziała, że uderzyli cię w głowę. Jesteś teraz specjalnej troski?

– Nie. A ty?

Posłał mi przeciągłe spojrzenie, które mogło oznaczać cokolwiek, choć prawdopodobnie nic dobrego dla mnie.

– Chodź – zwrócił się do Sallie, stukając ją kijem w nogę, po czym odszedł w głąb trawy, a siostra ruszyła za nim.

Zaczęła mi drzeć noga – za długo stałem. Usiadłem na stopniach tarasu. Kawalek trawy przy kępie rumianku, gdzie któregoś lata Leon, Susanna i ja rozbiliśmy namiot i biwakowaliśmy przez tydzień; śmialiśmy się z byle czego, jedliśmy ciastka i całymi nocami strasziliśmy się nawzajem makabrycznymi opowieściami, a potem przez cały dzień kleiły nam się oczy, chodziliśmy rozdrażnieni i pachnieliśmy rumiankiem, na który się stoczyliśmy. A tam drzewo, pod którym w czternaste urodziny Leona w ciemnościach przeżyłem swój pierwszy prawdziwy, oszałamiający pocałunek; drobna śliczna blondynka miała na imię Charlotte, smak niedozwolonego cydru

na jej języku, miękki dotyk jej piersi, dobiegające nie wiadomo skąd radosne okrzyki chłopaków – „Dajesz, Toby, jesteś mistrz!” – i niekończący się szum wiatru w liściach. Ten taras, na którym rozciągnęliśmy się, pierwszy raz paląc hasz, nad nami gwiazdy układające się w zwodnicze, zaszyfrowane wzory, zapach jaśminu intensywny jak muzyka, a ja z całą powagą przekonywałem Leona, że Susanna zamieniła się w maleńkiego duszka i trzymam ją w stulonych dłoniach, więc próbowałem zajrzeć mi między palce – „Hej, mała, powiedz coś, wszystko w porządku?” – podczas gdy Susanna siedziała przy nas i był ktoś jeszcze... Dec, Sean? Ktoś obok mnie, trzęsący się w ciemności ze śmiechu... Kto? Dziury w pamięci, białe plamy migoczące jak aura przed atakiem migreny. Wszystkie te pamiętne miejsca były w zasięgu ręki, a jednocześnie dalekie i nieosiągalne. Dzisiaj, jako poważny, cholernie dorosły mężczyzna, gdybym miał się zdobyć na odwagę, żeby spać w tamtym namiocie, równie dobrze mógłbym zapragnąć oderwać się od ziemi i polatać.

– O Boże – powiedział za moim plecami Leon, szybkim ruchem nadgarstka zatrzaskując drzwi na taras. – Co za koszmar!

– Co? – spytałem. Słyszając trzask drzwi, podskoczyłem jak spłoszony kot, ale Leon najwyraźniej tego nie zauważył. Wyciągnął paczkę marlboro z kieszeni džinsów, które były czarne, postrzępione w dziwnych miejscach i tak obcisłe, że miał kłopoty z wydobyciem papierosów. Miał też na sobie T-shirt z Patti Smith i martensy rozmiaru własnej głowy.

– Wszystko. Jakby to był wspaniały zjazd rodzinny i za chwilę mieli nas wysłać na podchody. Groteska. A tu chyba chodzi

o Hugo, nie? Niech wszystko się dzieje jak gdyby nigdy nic... – Pochylił się nad zapalniczką. – Jasne, szacun, odważny z niego gość i tak dalej, ale mimo wszystko. Jezu. – Wyprostował się, odrzucając do tyłu platynowy kosmyk. – To wódka?

– Czysta woda.

– Cholera. Zostawiłem drinka na parapecie, a teraz jest tam matka i jeżeli wrócę, zacznie mnie wypytywać o jakieś niesamowite wydarzenie kulturalne w Berlinie, o którym czytała. Będzie chciała wiedzieć, czy tam byłem i co sądzę. A ja, słowo daję, naprawdę już nie mogę. – Głęboko i zachłannie zaciągnął się dymem.

Przez kilka ostatnich dni najczęściej myślałem o Leonie i Susannie. Kiedy byłem dzieckiem, moje ciotki i wujowie – nie Hugo, on był inny, ale Oliver i Miriam, Phil i Louisa – tworzyli coś w rodzaju amorficznej masy dorosłości, która od czasu do czasu nas karmiła i na ogół należało jej unikać, żeby nie zakazała nam czegoś robić, a nawet gdy już dorosłem, nigdy nie poświęciłem należytej uwagi, aby lepiej ich zrozumieć. Ale Leon i Susanna – na dobrą sprawę byli moim rodzeństwem, znaliśmy się na wylot, tak gruntownie i intymnie jak własne dłonie. Błysnął mi wątyl promyk nadziei, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, że samo ich towarzystwo może w czarodziejski sposób posklejać w całość wszystkie kawałeczki, na jakie się rozpadłem, że przy nich będę sobą, bo nie będę miał innego wyjścia. To nikłe światełko przysłaśniał strach przed spotkaniem z nimi, rozdygotane przerażenie, że wystarczy im jeden rzut oka, by przejrzeć wszystkie moje żalosalne próby maskowania swojego stanu

i zobaczyć prawdziwy rozmiar uszkodzeń w najdrobniejszych szczegółach.

– Słuchaj – powiedziałem, wyciągając rękę. Wciąż buzowała we mnie adrenalina. – Poczęstuj mnie jednym.

Leon zerknął na mnie i uniósł brew.

– Od kiedy?

Wzruszyłem ramionami.

– Od czasu do czasu. – W rzeczywistości nie wypaliłem w życiu prawie ani jednego papierosa, zacząłem dopiero przed miesiącem czy dwoma, nie zamierzałem mu jednak o tym mówić, by nie wysnuł z tego wniosku, że postanowiłem rzucić się w otchłań autodestrukcji, bo tak nie było. Uraz głowy dziwnie podziałał na mój węch; stale wyczuwałem zupełnie nieprawdopodobne zapachy (makaron wyjęty z mikrofalówki zalatywał środkiem dezynfekującym; kiedy wieczorem zasuwalem zasłony w oknach, nagle uderzała mnie fala zapachu wody kolońskiej ojca), a ponieważ okropne ostrzeżenia przed paleniem coraz częściej straszyły niszczącym wpływem na zmysł powonienia, uznałem, że warto spróbować. Na razie udawało mi się to ukrywać przed Melissą, czułem się jednak w miarę bezpiecznie; mało prawdopodobne, by porzuciła Hugo i poszła mnie szukać.

Leon podał mi papierosa i zapalniczkę. Z nas trojga to on najbardziej się zmienił. Gdy byliśmy mali, był psotnym i pełnym energii dzieckiem, które nie potrafiło usiedzieć na miejscu, ale to się zmieniło mniej więcej na początku szkoły średniej. Chodziliśmy do różnych klas, wiedziałem jednak, że mocno mu dokuczają – niski, drobny, łagodny, o podejrzenie delikatnych

rysach, to było do przewidzenia. Robiłem, co mogłem, ale gdy mignął mi gdzieś w korytarzu, zawsze szedł szybkim krokiem, z pochyloną głową, skulony i odcięty od świata. Wciąż był parę dobrych centymetrów niższy ode mnie i nadal miał tę powierzchowność elfa i potargane ciemne włosy opadające na oko – choć dziś zapewne ich potarganie wymagało godziny i tony wosku do włosów – ale trudno mi było powiązać któreś z tych wspomnień z tym szczupłym facetem niedbale opartym o ścianę, który podryguje nogą i swoją cool pozą daje do zrozumienia, że całe życie to sztuka niewykorzystywania okazji.

– Dzięki. – Oddałem mu zapalniczkę.

Leon rozluźnił się na tyle, by przyjrzeć mi się uważniej. Musiałem się powstrzymać, by nie odwrócić się do niego plecami.

– Przepraszam, że nie dzwoniłem do ciebie częściej – odezwał się nagle. – Kiedy cię pobili.

– W porządku. Esemesowałeś.

– Twoja mama mówiła, że przede wszystkim potrzebujesz ciszy i spokoju, żeby nie zawracać ci głowy, więc... – Wzruszył jednym ramieniem. – Jednak powinienem dzwonić. Albo wpaść.

– Jezu, nie. Nie było potrzeby. – Nie wiedziałem, czy mój głos brzmi wystarczająco naturalnie, zbyt naturalnie... – Chciałem tylko wrzucić na luz, niczym się nie przejmować i tyle. Na przykład oglądać w piżamie telewizję od rana do popołudnia. Marne byłoby ze mnie towarzystwo.

– Mimo wszystko przepraszam.

– Tak czy inaczej, teraz jesteś – zauważyłem. Nie chciałem już więcej o tym rozmawiać. – Zostajesz tu?

– Coś ty? W życiu! Jestem u rodziców. Niech mnie Bóg ma w opiece. – Wcisnął zapalniczkę do kieszeni. – Pewnie, że wolałbym być tutaj, tyle że gdybym się wprowadził, trzask-prask i wyznacziliby mnie na opiekuna, nie mógłbym stąd wyjechać, bo gdyby Hugo zasłabł i umarł sam w domu, to by była moja wina, więc nie, dziękuję bardzo. Kocham go, chcę przy nim być, kiedy mogę, i chętnie pomogę przez parę tygodni, ale nie mogę angażować się na dłużej. Mam pracę – pracowałem w jakiejś kultowej niezależnej wytwórni płytowej, której nazwy nie pamiętałem – jestem z kimś, mam swoje życie. I chciałbym to wszystko zachować.

Nie bardzo mi się to podobało – też nie miałem zamiaru zostać wyznaczony na opiekuna – ale Leon ze wszystkiego robił dramat, a z tego, co mówił, wynikało, że ktoś bardzo na niego naciska.

– Jakaś presja? – spytałem.

Przewrócił oczami, spoglądając w niebo.

– Nawet nie przypominaj. Matka i ojciec. Urabiają mnie na zmianę, jak para śledczych na przesłuchaniu, codziennie. Najpierw zadzwoniła matka i opowiadała, jak to biedny Hugo ostatnie dni życia spędza w samotności i takie tam rzewne kawałki. Potem zadzwonił ojciec z dętą mową, jaki to Hugo zawsze był dla mnie dobry i czy nie należałoby mu się trochę odwdziaczyć. Potem znowu matka, żeby mi powiedzieć, że oboje mają do mnie „całkowite zaufanie” i że na pewno „poradzę sobie ze wszystkim”, tylko „przez jakiś czas”, a później nie wiem, kto co mówił, bo przestałem odbierać telefony. Mam nadzieję, że skoro już jestem w mieście, dadzą mi spokój, ale sam nie wiem, może

przycisną mnie jeszcze bardziej i będą liczyć na to, że jeżeli doprowadzą mnie do szału, zamieszkam tutaj, żeby od nich uciec. Ale nic z tego.

Był trochę pijany, jednak nie do tego stopnia, żeby rzucało się to w oczy.

– Ja tu zostaję – poinformowałem go.

Gwałtownie odwrócił się twarzą w moją stronę, a brwi podjechały mu wysoko na czoło.

– Ty?!

Niedowierzanie w jego głosie – jak gdybym był szympansem, któremu powierzono nadzór nad startem rakiety – wytrąciło mnie z równowagi.

– Ja. Coś nie tak?

Po chwili Leon z powrotem obrócił głowę, oparł ją o ścianę i roześmiał się prosto w niebo.

– O Boże – powiedział. – Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

– Co cię tak bawi?

– Toby, nasz anioł miłosierdzia, poświęca się opiece nad potrzebującymi...

– Przez parę tygodni. Ja też nie zamierzam dać się wyznaczyć na opiekuna. – Jego śmiech przeszedł w drwiące prychnięcie. – Co?

– A to niespodzianka.

– O co się przypieprzasz? Przecież właśnie powiedziałeś, że za żadne skarby nie wprowadzisz się tu nawet na...

– Bo gdybym tu został, już nigdy bym nie opuścił tego domu. A ty, jak będziesz miał dość, zwiniesz żagle i cześć...

Przez papierosa, alkohol i całe to gorączkowe popołudnie zrobiło mi się niedobrze; naprawdę nie miałem ochoty na to wszystko.

– To nie moja wina, że nie jesteś na tyle... na tyle – szukałem słowa „asertywny” – bojowy, żeby się postawić starym...

– ...a wszyscy wiemy, że to nie potrwa długo. Moim zdaniem tydzień. Najwyżej dziesięć dni.

W jego głosie zabrzmiała nuta szyderstwa, jakbym był rozpieszczonym książątkiem, które nigdy nie przeżyło niczego gorszego od kaca – gdyby tylko wiedział, nasz mister Cool, beztrosko włóczący się nocami po klubach, noszący skórzane bransoletki, które miały niby oznaczać coś ważnego... gdyby miał choć blade pojęcie.

– Kurwa, co ty wygadujesz?

Na wpół rozmyślnie kusilem los. Leon zawsze łatwo się jeżył; mój ostry ton był dla niego doskonałym powodem, by stać się dla mnie nieprzyjemnym, zwłaszcza że już był podminowany. Nie chodziło mi o to, żeby na tarasie wybuchła straszna awantura – choć przychodziły mi na myśl gorsze sposoby spędzania czasu. Wydawało mi się, że ktoś w domu zaczął śpiewać, mimo to z nieugiętym, masochistycznym uporem pragnąłem wytrącić Leona z równowagi, żeby powiedział mi bez ogródek, co sądzi o tej nowej wersji mnie.

Głęboko zaciągnął się papierosem.

– W tym momencie nie jesteś w najlepszej formie – powiedział, wypuszczając kłęb dymu na bok. – Prawda?

Przyptyw gniewu niemal sprawił mi przyjemność.

– Co? Nic mi nie jest.

Zerknął spod półprzymkniętych powiek.

– Skoro tak mówisz...

– Co to ma znaczyć, do cholery? – Nie byłem pewien, czy już mam ochotę dać mu w szczękę, ale nie wyglądał na przestraszonego.

Uniósł kącik ust.

– Daj spokój. Ile słów dzisiaj wypowiedziałeś? Kilkanaście? Ile zjadłeś przy stole, dwa kęsy?

Mój raptowny wybuch śmiechu odbił się echem od wysokich murów ogrodu. Spodziewałem się, że powie o tym, że kuleję, że często gubię wątek rozmowy, że robię przejmująco długie pauzy, szukając w głowie słów; czekałem na precyzyjny, bezlitosny cios w najczulsze miejsce, po którym już się nie podniosę. A on pogroził mi tylko paluszkami z pretensją, że jestem za mało rozmowny i nie jem jarzynek, więc z ulgi niemal zakręciło mi się w głowie.

– Ten dzień jest do dupy – odparłem, ciągle się śmiejąc. – Sam to powiedziałeś. Nie chce mi się wysilać i udawać, że wszystko jest super. Jeżeli ty to potrafisz, leć. Chętnie popatrzę.

– Nareszcie Toby, jakiego znam i uwielbiam. – Jego głos lekko drżał ze zdenerwowania; Leon nie lubił, gdy ktoś się z niego śmiał. – Niech brudną robotę odwalają inni.

– Do niczego cię nie zmuszam, stary. A robię, co mi się podoba. Nie ma w tym nic złego. – Zabrzmiało to tak naturalnie, tak bardzo w stylu dawnego mnie, a Leon, wyraźnie trafiony w czułą strunę, tak gwałtownie uniósł brodę, że nie mogłem przestać się śmiać.

– Gównu prawda! – warknął. – Stary. Widziałeś swoje oczy? I nawet jeżeli tamci nie zauważyli... – ruchem głowy wskazał na dom – to nie znaczy, że tak świetnie umiesz to ukryć. Naćpałeś się czegoś jak koala.

Parsknąłem takim śmiechem, że dym poszedł mi nosem. Zgiąłem się wpół od kaszlu.

– I jeszcze wpadasz w histerię – dodał kwaśno Leon, odsuwając się ode mnie. – Nie wiem, co brałeś...

– Heroinę, stary. Biorą ją wszystkie cool chłopaki. Sam powinienes...

– Wiesz co? Byłoby super, gdybyś się po prostu zamknął. Skończ papierosa... mojego papierosa... wejdź tam i daj mi spokój.

– A, jesteście – usłyszałem głos Susanny, która wymknęła się ukradkiem z domu, czujnie oglądając się za siebie. – Twój tato śpiewa *Raglan Road*, Leon. Obiecałam, że pójdę was znaleźć, bo na pewno będziecie chcieli posłuchać. To chyba jednak może trochę potrwać. Co was tak bawi?

– Toby stracił rozum – poinformował ją Leon i brutalnie rozgniół obcasem niedopałek. – A raczej jego resztki.

– Jezu. – Z trudem łapałem oddech. Serce tłukło mi się w piersi. – Warto było przemęczyć się przez całe to gówniane popołudnie.

– Bardzo ci dziękuję – zwróciła się do mnie Susanna. – W twoim towarzystwie też czuję się cudownie.

– Towarzystwo jest... – szukałem słowa „błyskotliwe”, ale nie znalazłem – super. Znakomite. Ale musisz przyznać, że gdybyś

miała wybrać, jak spędzić dzień, to gorsze może być tylko leczenie kanałowe.

– Mam nadzieję, że przyniosłaś coś mocniejszego – powiedział Leon do Susanny. – Nie wrócę tam, dopóki się nie napiję.

– Myślałam, że wy coś macie. Chwileczkę... – Odwróciła się i przyłożyła oko do szpary w drzwiach. – Dobra, chyba droga wolna. Idę. Jeżeli mnie złapią, przyjdziecie po mnie, zgoda? Mówię serio. – Zniknęła z powrotem w kuchni.

– Przepraszam cię za to – rzuciłem.

Byłem znacznie życzliwiej nastawiony do Leona, nie tylko z powodu jego podejrzeń, że mój stan jest jedynie skutkiem przeholowania z prochami. Nie byliśmy ze sobą blisko od dawna, odkąd skończyliśmy szkołę – nowi znajomi, bogatsze życie towarzyskie, poza tym dokonał coming outu i postarał się zwrócić na to uwagę wszystkich, przechodząc skrajną fazę stereotypowego flirtu ze światem narkotyków i klubów, który zdecydowanie nie był moją bajką, a potem już właściwie nigdy nie wróciliśmy do dawnych kontaktów – ale było coś pokrzepiającego w odkryciu, że niemal bez trudu wciąż potrafię zagrać mu na nerwach.

– Ale przez chwilę wydawało się – dodałem – że myślisz, że daję sobie w żyłę czy coś. Cudowne.

Leon zapalił następnego papierosa, lecz mnie nie zaproponował.

– To tylko środki przeciwbólowe – wyjaśniłem. – Po wstrząsie mózgu czasem jeszcze boli mnie głowa. Nic takiego. Po prostu nie miałem ochoty znosić równocześnie dzisiejszej imprezy i bólu głowy.

– Mniejsza o to.

– Ktoś jeszcze zauważył?

Prychnął z lekceważeniem.

– Nie. A nawet gdyby, każdy by pomyślał, że jeszcze nie doszedłeś do siebie. Moja matka twierdzi, że potrzebujesz jogi, żeby z powrotem ześrodkować swoją energię.

Zaśmiałem się, a na jego twarzy po chwili pojawił się nikły półuśmiech.

– Cudowne – powiedziałem. – Na pewno ją poproszę, żeby kogoś poleciła.

– W każdym razie uważaj. – Leon zerknął, czy nie wraca Susanna, i zniżył głos. Ton zdenerwowania zniknął. – Miałem przyjaciela, który... w każdym razie, cokolwiek bierzesz, nie traktuj tego jak nieszkodliwych cukierczków tylko dlatego, że lekarz ci to przepisał. Nie bądź taki chojrak.

– Kto, ja? W życiu.

Skrzywił się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, zza drzwi wybiegła Susanna z butelką wina w ręce.

– Jeden zero – oznajmiła. – Na pewno będziemy potrzebowali większych zapasów. Leon, twój tato zaczął właśnie *Spancil Hill*.

– Chryste.

– Nie mogłam wyciągnąć Melissy – zwróciła się do mnie. – Wpadła w objęcia twojej matki.

– Powinienem tam iść – rzuciłem, lecz nie ruszyłem się z miejsca.

– Nie wyglądało na to, że ma coś przeciwko temu.

– Bo nie ma. Melissa zawsze jest bardzo zgodna. Nie o to chodzi.

– Nie uwierzysz – powiedział Leon do Susanny, wskazując na mnie brodą. – On tu zostaje.

Susanna usiadła na schodach obok mnie, z tylnej kieszeni wyjęła korkociąg i umieściła butelkę między kolanami.

– Wiem. Sama go o to prosiłam.

Leon uniósł brwi.

– Nic nie mówiłaś.

– Nie przypuszczałam, że naprawdę to zrobi. Ale... – posłała mi uśmiech, zmagając się z korkiem – wygląda na to, że go nie doceniałam.

– Nie ty jedna. – Leon patrzył na ogród.

Korek wyszedł z dźwięcznym cmoknięciem. Susanna pociągnęła łyk z lubością, która mnie zaskoczyła – chwilami wciąż widziałem w niej ośmiolatkę – i podała mi butelkę.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poradziła mi. – Ma gówniany dzień.

– Jak my wszyscy – odparłem. Wino było czerwone, ciężkie i smakowało końcem lata, a zanim jeszcze zetknęło się z moim językiem, wiedziałem też, że jest mocne. – Co u ciebie?

– Chyba nic, czego nie można się spodziewać. – Odchyliła głowę do tyłu i pomasowała sobie kark. Zmieniła się o wiele mniej niż Leon. Zamiast grubych warkoczy z czasów dzieciństwa czy mała twarzowej czupryny nastolatki nosiła falowane, swobodnie opadające włosy sięgające brody, a jej dawna koścista i zwyczajna postać przybrała ostatecznie formę, która przykuwała uwagę aurą trwałości, jak gdyby miała wyglądać tak samo za dwadzieścia czy nawet pięćdziesiąt lat. Urodzenie dzieci tylko odrobinę złagodziło kanciastość jej sylwetki. Nosila

spłowiąłe džinsy, prawie w ogóle się nie malowała i wciąż siadała tak jak w dzieciństwie, ze skrzyżowanymi nogami i bez skrępowania. – Tom powoli staje się mistrzem masażu pleców. A tobie jak leci?

– W porządku.

– Naprawdę?

– Wprawdzie Tom nie masuje mi pleców, ale poza tym wszystko gra. – Pochwyciłem szydercze spojrzenie Leona i je zignorowałem.

– Cokolwiek to teraz znaczy. – Wyciągnęła rękę w stronę papierosa Leona. Prawdopodobnie jedno z jej dzieci narysowało jej na dłoni fioletowym flamastrem jakiegoś owada. – Daj macha.

– Możesz zapalić. Proszę...

– Nie chcę palić. Nie chcę, żeby dzieci widziały mnie z papierosem.

Była trochę wstawiona; uzmysłowiłem sobie, że ja też.

– Poczęstuj mnie – zwróciłem się do Leona. – Wypalę na spółkę z Su. – Dzieci były na końcu ogrodu i trącały patykami coś w trawie, nie przejawiając żadnego zainteresowania naszą trójką, ale zawsze czułem się trochę opiekuńczy wobec Susanny, mimo że jest młodsza ode mnie zaledwie o trzy miesiące. Pamiętam, że gdy miałem mniej więcej pięć lat, złapałem ją wpół, z niemałym trudem podniosłem i zataczając się, jak najszybciej oddaliłem się od osy, która krążyła wokół niej. Zapaliłem papierosa, głęboko się zaciągnąłem i podałem jej.

– Z moim tatą nie jest najlepiej – powiedziała, wydmuchując dym. – Byliśmy u nich parę dni temu i przyłapałam go na płaczu. Ryczał jak bóbr.

– Jezu – mruknąłem.

– No. – Zerknęła na mnie z boku. – Ma dla ciebie jakiś prezent. Z okazji twoich urodzin, na których go nie było. Wydaje mi się, że to może być jakaś okropna pamiątka rodzinna. Jeżeli to jakieś badziewie, bądź dla niego miły.

– Jasne.

– Bo nie sądzę, żeby zniósł jeszcze jeden, nawet niewielki... Zach! – krzyknęła przez trawnik, bo jej syn wdrapywał się na wiąz. – Złaż z tego drzewa! Ile razy ci mówiłam?

– Przecież ciągle wspinaliśmy się na te drzewa – zauważyłem. Zach był coraz wyżej, kompletnie nie zwracając uwagi na matkę.

– Tak, a potem spadłeś właśnie z tego, złamałeś nogę w kostce i wsadzili cię do gipsu na... Zach!!! W tej chwili na dół! Mam tam przyjść?

Zach zeskoczył z gałęzi, teatralnie opadł na ziemię z odrzuconą do tyłu głową, żeby pokazać matce, jaka z niej idiotka, po czym pobiegł przez trawę, żeby dokuczać Sallie.

– Czasem zachowuje się jak półdiabły – powiedziała Susanna. – A rodzice Toma nam nie pomagają. Pozwalają mu na wszystko. Jak tylko słyszą, że kažemy mu być grzecznym, zaraz zaczynają: „Och, dajcie mu spokój, chłopcy tacy już są!”. Hugo też: „Dajcie im trochę swobody, to im koniec końców wyjdzie na dobre”, co się świetnie sprawdzało w naszym przypadku, ale nie jest już takie fajne, kiedy patrzysz z drugiej strony.

Nie zwróciłem jej uwagi, że przynajmniej ta strona problemu prawdopodobnie sama się wkrótce rozwiąże. Nie interesowała mnie rozmowa o kłopotach z Zachem.

– Nie umiem sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałem twojego tatę – powiedziałem.

Z pełnej zdziwienia ciszy natychmiast odgadłem, że palnąłem gafę. Gorączkowo grzebałem w pamięci w poszukiwaniu brakującego elementu: dotarłem tylko do zdarzenia, gdy jako nastolatek kompletnie się zalałem i zgubiłem portfel na jakiejś dyskotecie, zadzwoniłem do Phila, bo Hugo nie odbierał telefonu, a potem on w samochodzie z krzywą miną radził mi być bardzo cicho w drodze do domu. Ale musiałem go widzieć od tego...

– Przecież byli tu na Boże Narodzenie – odparła Susanna. – Pamiętasz? Dali Zachowi ten sztylet, a on przebił kanapę?

– Aha.

Utkwiła we mnie ostre i uważne spojrzenie, jak gdyby właśnie coś jej zaświtało, a mnie ścisnął się żołądek.

– Ech, chyba w Boże Narodzenie myślałem o czymś innym, miałem na głowie dużo spraw w pracy – zacząłem się tłumaczyć.

– Poza tym wszystkie święta zlewają mi się ze sobą, zwłaszcza że dużo się dzieje...

Leon parsknął na tyle głośno, żeby znaczenie było jasne. Przebicie sztyletem kanapy nie wydawało się wydarzeniem, które tak łatwo może się rozplątać w natłoku innych.

– Jesteś pijany – oświadczyła stanowczo Susanna.

– Tak, rzeczywiście jestem – przyznałem. Byłem jej tak wdzięczny za ten pretekst, tak wzruszony nieskończoną życzliwością i niewinnością jej świata, w którym umysł w najgorszym wypadku może zostać zamącony tylko przez parę kieliszków prosecco z sokiem, że miałem ochotę się rozplakać.

– Dawaj. – Leon sięgnął po butelkę. – Dużo już wypięś. – Wymownie uniesiona brew dodawała „Zwłaszcza że wcześniej coś jeszcze łyknęłaś”.

– A, tak, wypięm. I zamierzam wypięć dużo więcej.

– Melissa ma wielkie szczęście. Zostaje tu z tobą? – spytał.

Wzruszyłem ramionami. Serce mi łomotało: zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później naprawdę dam dupy, powiem albo zrobię coś tak kretyńskiego, że żaden stopień naiwności tego nie zatuszuje, w ogóle nie powinienem tu przyjeżdżać...

– Tak, na kilka dni.

– Nie chce cię spuszczać z oka?

– Co mogę powiedzieć? Lubi moje towarzystwo. Twój chłopak nie mógł przyjechać?

– Carsten ma pracę. Nie może sobie brać wolnego, kiedy zechce.

– Ooo. Wygląda na to, że jest kimś ważnym.

– Chciałbym, żeby to się już skończyło – wyrzucił z siebie nagle Leon. – Wiem, to okropne, ale chciałbym. Co niby mamy robić? Udawać, że nic się nie dzieje? Powinien być do tego jakiś podręcznik.

– Na pewno w niektórych kulturach jest. – Susanna wzięła od niego butelkę. – Kiedy ktoś umiera, odprawia się rytuały. Są śpiewy. Tańce. Palenie ziół.

– No to chciałbym tam mieszkać. Zamknij się – zwrócił się do mnie, kiedy przewróciłem oczami. – Naprawdę. Wiadomo, co robić po czyjejs śmierci, to akurat jest dokładnie rozplanowane: czuwanie, pogrzeby, wieńce, msza w intencji zmarłego miesiąc

później. Ale czekanie na śmierć jest co najmniej równie nieprzyjemne, a gównu ci radzą, jak to robić.

– Skoro mowa o tym – wtrąciła Susanna. – Kiedy to się skończy... ktoś wie, co się potem stanie z domem?

Nastąpiła chwila wieloznacznej ciszy. Leon zerwał ze ściany gałązkę jaśminu i obracał ją w palcach, nie patrząc na żadne z nas.

– To znaczy, może wcale do tego nie dojść – poprawiła się Susanna. – Staramy się o opinię innego specjalisty. Ale jeżeli...

– Jezu – powiedziałem. – Nie za wcześnie dzielić jego dobytek? Żadne z nich nie zareagowało.

– Dziadek i babcia napisali w testamencie, że ma tu mieszkać Hugo – zauważył Leon.

– A co potem? – nie dawała za wygraną Susanna.

– Pytasz, czy dom zostanie sprzedany?

– Tak.

– Jeżeli będę mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, to nie.

– No jasne – odparła Susanna nieco zirytowanym tonem. – Pytam, czy ktoś wie, czy będziemy mieli coś do powiedzenia. Jeżeli zdecydują nasi ojcowie i będą chcieli sprzedać dom i podzielić się pieniędzmi...

Znowu zapadło milczenie, tym razem dłuższe. Nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy i nie miałem pojęcia, co o tym myśleć. Wyglądało na to, że Susanna i Leon nie tylko byli zdecydowani zatrzymać Ivy House, ale z góry zakładali, że mam identyczne zamiary, choć nie miałem pojęcia, co ich zdaniem mielibyśmy zrobić z tym domem. Wynająć? Zamieszkać tu wspólnie w wielkiej szczęśliwej komunie i na zmianę gotować

soczewicę i farbować na tęczowo ubrania z organicznych konopi? Jeszcze parę miesięcy temu gorąco popierałbym pomysł sprzedaży – każdy ułamek wartości Ivy House oznaczałby wielki krok w stronę białego georgiańskiego domu z oknami wychodzącymi na zatokę – teraz jednak całe to marzenie raniło jak upokarzający dowcip. Poczułem się jak jeden z tych nieszczęsnych naiwnych wyjców w *X Factorze*, którzy bredzą o karierze supergwiazdy. Co gorsza, towarzyszyło temu paranoiczne podejrzenie, że nie jestem wtajemniczony w myśli tych dwojga, że wysyłają sobie niewidzialne sygnały, które śmigają mi przed oczami jak owady. Miałem wrażenie, że jestem niepożądanym outsiderem i oboje życzyliby sobie, żebym znalazł sobie jakiś pretekst i wrócił do środka, a najlepiej władował walizki z powrotem do taksówki i wrócił prosto do mieszkania.

– Nie możesz zapytać swojego taty, jak wygląda sytuacja? – zwrócił się do Susanny Leon. Wyjął zapalniczkę i bawił się, przytykając płomyk do jaśminu i zdmuchując go, gdy łądyga się zajęła.

– Czemu nie spytasz swojego?

– Bo ty ze swoim jesteś bliżej.

– To, że mieszkamy w tym samym kraju, nie znaczy jeszcze, że jesteśmy blisko.

– Ale znaczy, że się z nim spotykasz. Czyli o wiele łatwiej jest ci wtrącić w rozmowie pytanie, tak przy okazji: „Tato, nie wiesz przypadkiem...”.

– Że co? Przecież jesteś tu, na miejscu. A nawet mieszkasz u rodziców.

Leon gwałtownie zdmuchnął płomyk z jaśminu.

– To akurat znaczy, że i bez tego mam na głowie wystarczająco dużo rzeczy, żeby...

– A ja nie?

– Dlaczego ty tego nie zrobisz? – spytał mnie Leon. – Siedzisz tu jak kołek i zakładasz, że któreś z nas...

Szczerze mówiąc, dziwnie podniosła mnie na duchu ich kłótnia, która brzmiała znajomo i płynął z niej wniosek, że jednak nie jestem tu *persona non grata* i być może każdy z nas jest po prostu zestresowany i nie w sosie.

– Mieszkam u Hugo – zauważyłem. – Nie bardzo mogę mu powiedzieć: „Słuchaj, Hugo, zastanawiałem się, czy jak kopniesz w kalendarz...”.

– Mógłbyś spytać swojego tatę.

– Ty zaczęłeś o tym mówić. Jeżeli tak bardzo chcesz wiedzieć...

– A ty nie?

– Oczywiście, że nie chce – prychnęła Susanna. – Też coś!

– O co tyle hałasu? – odciąłem się. – Dowiemy się, kiedy umrze. Co to za różnica, czy...

– Jeżeli umrze.

– No dobra – warknął Leon. – Ja to zrobię.

Oboje odwróciliśmy się, by na niego spojrzeć. Oparty o ścianę, wzruszył ramionami.

– Zapytam swojego tatę.

– W porządku – odparła po chwili Susanna. – Zrób to.

Rzucił gałązkę jaśminu na taras i rozgniół obcasem.

– Okay.

– Wspaniale – orzekła Susanna. – Możemy więc przestać się sprzeczać. Przez cały dzień muszę słuchać kłótni, nie mam

ochoty sama w nich brać udziału. Oliver dalej śpiewa?

Odwróciłem się w stronę drzwi i nastawiłem ucha.

– Aha. *She Moved Through the Fair*.

– Jezu – jęknął Leon i potarł dłonią twarz. – Dajcie mi tę butelkę.

Susanna, niebezpiecznie bliska śmiechu albo płaczu, wypuściła powietrze z płuc.

– *A w nocy przyszła do mnie – zaśpiewała cicho – zmarła miłość ma przyszła...*

Słowa jak echo powtarzał przytłumiony przez odległość głos Olivera, delikatny i zwiewny jak woal. *Zmarła miłość ma przyszła...* Przez trawę, wśród dzikiej marchwi i liści.

– Och, doskonale. – Leon przytknął do ust butelkę i przechylił.  
– Ciekawe, do jakiej makabry jesteśmy w stanie się posunąć.

Susanna zanuciła kilka taktów melodii, której nie poznałem, dopóki Leon nie parsknął śmiechem i nie zawtórował jej, śpiewając tenorem zaskakująco mocnym jak na kogoś tak szczupłego:

– *Czy to nie wspaniałe, gdy skonasz na amen? Nie ma co chlipać...<sup>1</sup>*

Zaśmiałem się.

– *Trzeba ryczeć jak diabli i wyć* – dołączyła Susanna i kończyliśmy już w trójkę, z fantazją unosząc butelkę i papierosy:

– *I zawsze pamiętaj, im więcej masz lat, tym wcześniej na amen nie będziesz żyć!*

Z domu dobiegł jakiś dźwięk: ktoś zamykał szafkę w kuchni. Po strasznej sekundzie wszyscy jednocześnie ryknęliśmy

śmiechem, jakby ktoś nas nagle odetkał. Leon zgiął się w pół, Susanna zakrztusiła się winem i kaszlała, waląc się pięścią w pierś, ja czułem, że łzy płyną mi po twarzy. Śmiech był nie do opanowania, przerażający jak wymioty.

– Boże – wykrztusił Leon. – *Spójrzcie na trumnę, na złote uchwyty...*

– Zamknij się! Jezu, jeżeli to Hugo...

– Jej – powiedział Tom, stając w drzwiach. – To tu jest prawdziwa impreza.

Popatrzyliśmy na niego i znowu zaczęliśmy pękać ze śmiechu.

– Co? – rzucił skonsternowany. Żadne z nas nie odpowiedziało, więc spytał: – Palicie coś?

Pytanie było żartobliwe, ale zabrzmiała w nim dostatecznie wyraźna nuta powagi, by Leon wyprostował się i zmierzył go struchlałym spojrzeniem szeroko otwartych oczu, kładąc rękę na sercu.

– O Boże. To widać?

Tom wlepił w niego zdumiony wzrok. Jest średniego wzrostu, średniej budowy ciała, ma średnio jasne włosy, jest średnio przystojny i szalenie sympatyczny, budzi też nieprzepartą chęć, by ostrzegać go przed spadomisiami i monotlenkiem diwodoru.

– Hm – bąknął. – Co... co to jest?

– Tylko trochę bingo – wyjaśnił Leon. – Próbowałeś tego kiedyś?

– Bingo?

– Powinieneś – dodałem. – Założę się, że bingo sprawiłoby ci największą frajdę w życiu.

Tom z zatroskaną miną spoglądał to na nas, to na Susanne, która osiągnęła taki stan, że mogła tylko bezradnie machać do niego ręką.

– Ale nie...

– To absolutnie legalne – zapewnił go Leon.

– No... – wtrąciłem.

– No, prawie.

– Chcesz się sztachnąć? – Podsunąłem Tomowi swojego papierosa.

– Hm, nie, dziękuję. Su – powiedział Tom, masując sobie szyję – chodzi mi o dzieci. Jeżeli...

Jego słowa znowu pozbawiły Susanne tchu.

– Och, dziećmi się nie przejmuj – uspokoił go Leon. – Są daleko. – Wskazał w ich stronę.

– Jeżeli coś zauważą, porozmawiamy z nimi – dodałem. – Przedstawimy im fakty. W dzisiejszym świecie im wcześniej uświadomisz dzieciom, co to jest bingo, tym lepiej, prawda?

– Pewnie tak. To znaczy, nie sądzę...

Nigdy właściwie nie rozumiałem Toma. Kiedy Susanna go poznała, na pierwszym roku college'u, wszyscy byli zachwyceni. Rok wcześniej przechodziła jakąś wyrafinowaną formę młodzieńczego kryzysu i z początku wpadła w fazę emo – długie, proste włosy, rozciągnięte swetry, zero życia towarzyskiego i dużo muzyki o wrażliwych duszach unicestwionych przez nieczuły świat – a potem zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i stała się zbuntowaną nastolatką pełną gębą. Zaczęła się ubierać jak Alicja w Krainie Czarów, chodziła do półlegalnych klubów w miejscach dla wtajemniczonych, znikła na całe tygodnie,

wysyłając tylko parę rozchichotanych SMS-ów z czyjejs przyczepy kempingowej w Kornwalii, i nigdy nie oddawała prac pisemnych. Wydawało mi się, że to wybryki nastolatki mieszczące się w granicach normy, ale jej rodzice martwili się do tego stopnia, że ciocia Louisa bez przerwy ciągnęła mnie za język, wypytując, czy moim zdaniem Susanna się okalecza (skąd miałem wiedzieć?) i czy moim zdaniem bierze narkotyki (na pewno, ja zresztą też brałem). Wiedziałem też, że kilka razy usiłowali ją zaciągnąć na terapię. Tom – solidny, spokojny, miły i nijaki pod każdym względem – wydawał się doskonałym antidotum. Kiedy Susanna zaczęła się z nim spotykać, ustatkowała się i niemal z dnia na dzień wróciła do swojego dawnego grzecznego wcielenia. Nie zadawałem sobie trudu, żeby się z nim zaprzyjaźnić, ponieważ przypuszczałem, że gdy tylko zawróci ją ze złej drogi, Susanna da sobie z nim spokój, więc kompletnie mnie zatkało, kiedy jeszcze przed skończeniem college’u postanowili się pobrać. Po paru latach mieli już dwoje dzieci i najczęściej rozmawiali o nauce korzystania z toalety, wyborze szkoły i przeróżnych innych rzeczach, od których miałem ochotę zrobić sobie wazektomię i naćpać się koką. Mimo że Tom wydawał się całkiem w porządku, właściwie nie rozumiałem, co jeszcze robi w naszym życiu.

– Ej, wy – zwróciła się do nas Susanna, gdy w końcu złapała oddech. – Przestańcie się nabijać z Toma. Lubię go.

– My też go lubimy – odparłem. – Prawda, Leon?

– Ooch, kochamy go – potwierdził Leon, zerkając na Toma i lubieżnie trzepocząc rzęsami.

– Palanty. – Tom zaczerwienił się i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tylko się bawimy – wyjaśniłem.

– Bawcie się z kimś innym – poradziła Susanna. – Jezu, jak ja tego potrzebowałam.

– Mamusiu! – Sallie przebiegła przez trawę i zatrzymała się przed Susanną. – Mam lalki w butach i nie mogę ich wyciągnąć, a Zach mówi, że jak je tam zostawimy, to umrą!

– Pokaż. – Susanna posadziła sobie córkę na kolanach, zręcznym ruchem zdjęła jej but, wyjęła wkładkę i wycisnęła lalkę na wyciągniętą dłoń dziewczynki.

– Jezu. – Sallie zrobiła wielkie oczy. – Super.

Susanna powtórzyła to z drugim butem, po czym wcisnęła oba z powrotem na stopy córki i zsunęła ją z kolan.

– Proszę i zmykaj – powiedziała, zachęcając ją lekkim klepnięciem w pupę. Mała pogalopowała na drugi koniec ogrodu z lalkami w wysoko uniesionych rękach.

– Zach! Patrz! Wyszły! Ha, ha!

– To trochę uciszy Zacha – stwierdziła Susanna. – Dobrze mu to robi.

– Dzieci... – Leon pochylił się, zarzucił jej rękę na szyję i głośno cmoknął ją w policzek. – Tęskniłem za tobą. – Ponad jej głową spojrzał na mnie. – A być może nawet za tobą.

\* \* \*

Wreszcie – na pewno nie było jeszcze dziewiątej, choć wydawało się, że jest znacznie później – przyjęcie, czy jak

nazwać to spotkanie, dobiegło końca. Matka miała chyba pomysł, że nasza piątka zaszyje się w przytulnym salonie na sentymentalne nocne pogaduszki – „Napiłabym się jeszcze czegoś. Hugo, co się stało z tą butelką, którą przywieźliśmy ci z Sycylii? Melissa, może miałabyś ochotę na...” – ale powstrzymał ją ojciec, który z podkrążonymi oczami bawił się spinką do koszuli. Łagodnie, lecz zdecydowanie oznajmił, że musi się położyć, rodzina to coś najwspanialszego na świecie, ale i najbardziej męczącego, i jeśli reszta z nas ma choć odrobinę rozsądku, zrobi to samo. Hugo, ze mną i Melissą u boku, pomachał wszystkim ze szczytu schodów, gdy wsiadali do samochodów i odjeżdżali przy akompaniamencie gwaru radosnych rozmów, trzaskania drzwi i śmiechów, które rozpływały się na tle ciemniejącego nieba. Cieszyłem się, że zapada zmierzch: dzień wyczerpał mnie do tego stopnia, że nie mogłem już opanować drżenia nogi, a gdy próbowałem pomachać na pożegnanie, ręka opadła mi jak spaghetti.

Nie zauważyłem, że ktoś – prawdopodobnie któreś z moich rodziców – zaniósł na górę nasze walizki, co mogłoby mnie rozwścieczyć, gdybym miał w głowie miejsce na coś więcej prócz huczącego chaosu albo gdyby xanax przestał działać. Dlatego cierpliwie i spokojnie słuchałem zachwyków Melissy nad pokojem, który zajmowałem podczas wakacji, wcześniej należącym do mojego ojca, kiedy tu mieszkał. Wyglądał mniej więcej tak samo jak podczas mojego ostatniego pobytu w lecie przed rozpoczęciem college’u.

– Toby, ty to narysowałaś? Nie wiedziałam, że umiesz rysować... Och, kominek jest śliczny, te płytki w kwiaty... To było

twoje? Kiedyś nie lubiłeś Nickelback!... Wyobrażam sobie ciebie, gdy miałeś pięć lat i wyglądałeś przez to okno... Boże, to twoja bluza do rugby?

W jej oczach pokój stracił tajemniczy charakter nieco zasuszonego i rzadko oglądanego eksponatu – w ciągu lat słońce pozostawiło wypłowiałe paski na nierozsuwanych zasłonach, nogi mebli odcisnęły swoje ślady na podłodze w miejscu, gdzie stały od zawsze – i nabrał nieśmiałego, słodko-gorzkiego uroku. Kręcąc się po nim, Melissa wyjmowała rzeczy z walizek. Spakowała mnie tak dyskretnie, że nawet się nie zorientowałem, co się dzieje, i teraz zerkała na mnie, czekając na pozwolenie, by umieścić je tam, gdzie chciała – „Tu?”, „ Tu?”. Kiedy więc w końcu usiadła, pokój wyglądał świeżo, tętnił życiem i był nasz: jej szczotka do włosów i mój grzebień leżały obok siebie na starej komodzie, nasze ubrania wisiały równo w szafie, której drzwi nosiły ślady po zdrapanych naklejkach z samochodami z kreskówki.

– Już – powiedziała, obrzucając mnie przelotnym spojrzeniem, trochę zadowolonym, trochę zaniepokojonym. – Może być?

– Świetnie – odparłem. Stałem oparty o ścianę i obserwowałem ją, bo sprawiało mi to przyjemność, poza tym byłem zbyt wykończony, aby się ruszyć. – Możemy się już położyć?

Melissa westchnęła z satysfakcją.

– Och, jasne. Pora spać.

– To co? – spytałem, gdy zdjęła przez głowę sukienkę, prześliczną vintage’ową, bladoniebieską i rozkloszowaną, która wirowała wśród lśniących dębowych mebli i wytartych perskich

dywanów, jak gdyby uszyto ją z myślą o tym domu. – Jak przeżyłaś ten dzień?

Kiedy odwróciła się do mnie z sukienką w rękach, zaskoczyła mnie jej rozpromieniona szczęściem twarz. Zawsze idealizowała moją rodzinę; sama miała marne życie rodzinne – jej matka piła, nie ostentacyjnie, ale z prawdziwym zaangażowaniem, więc spora część dzieciństwa Melissy upłynęła na samotności i ograniczaniu strat. Dla niej radosny chaos mojej rodziny i Ivy House były zjawiskiem z baśni; prosiła mnie, żebym o nich opowiadał, i słuchała jak urzeczona z dłonią wsuniętą w moją rękę.

– Było cudownie. Oni są przemili, Toby. To dla was taki trudny czas, ale dzięki nim wszystkim czułam się mile widzianym gościem, jakby naprawdę się cieszyli, że przyjechałam... Wiedziałeś, że twoja ciocia Miriam w zeszłym roku była u mnie w sklepie? Kupiła zestaw tych talerzy z jeleniami. W ogóle się nie zorientowała, że to ja!

Żółte światło małej lampki nocnej kładło się aksamitną plamą na jej policzku, krzywiźnie nagiego ramienia, sprężystym łuku, którym talia przechodzi w biodro. Jej włosy wyglądały jak złota mgiełka.

– Chodź. – Wyciągnąłem do niej rękę.

Upuściła sukienkę na podłogę i mocno, radośnie odwzajemniła pocałunek.

– A ty? – spytała, odsuwając się, by mi się przyjrzeć. – Miałeś udany dzień?

– Oczywiście. A to jego najlepsza część. – Zsunąłem dłoń w dół jej pleców i przyciągnąłem ją bliżej.

- Toby!
- Co?
- Twój wujek!
- Będziemy cicho.
- Ależ on jest tuż za...
- Będziemy cichusieńko. Jakbyśmy polowali na niegrecne klólicki.

Jak nietrudno zgadnąć, zaśmiała się, a jej przytulone do mnie ciało się rozluźniło.

W tym pokoju gościłem już kiedyś dziewczyny i z niewiadomego powodu stanęła mi w myślach ta pierwsza – czarująca blondyneczka, Jeanette. Mieliśmy po piętnaście lat, wcisnąłem Hugo jakiś kit o projekcie z historii, w który, gdy to wspominam, oczywiście nie uwierzył ani przez moment. Choć Jeanette i ja nie uprawialiśmy seksu, nawet nie bardzo próbowaliśmy się do tego zabrać, to uczucie było to samo, oszałamiający chichot, tłumiony wtuleniem ust w szyję, fascynujące uczucie, że rzucamy się w coś ryzykownego i wspaniałego, gorączkowe próby łapania się wezgłowia przy każdym skrzypnięciu łóżka... „Ciii!”... „Ty też ciii!”

Nie kochaliśmy się wtedy z Melissą pierwszy raz od tamtej nocy, ale pierwszy raz miałem wrażenie, że to coś autentycznego, nie jakiś smutny, niejasny i pełen napięcia przymus. Potem leżałem na wznak, czując na piersi rozsypane włosy Melissy, słuchając jej cichego, zadowolonego oddechu i wpatrując się w znajome rysy na suficie, i nagle, ku własnemu zaskoczeniu, pomyślałem, że to może rzeczywiście nie był taki zły pomysł.

## 4

Obudziliśmy się wcześniej; przez okna mojej sypialni w Ivy House, znajdującej się wysoko nad ogrodem, wpadało znacznie więcej światła niż do sypialni w moim mieszkaniu. Melissa musiała jechać do pracy. Wstałem razem z nią, zrobiłem nam śniadanie – Hugo jeszcze spał, w każdym razie miałem nadzieję, że tylko spał – i odprowadziłem ją na przystanek autobusowy. Potem zaparzyłem sobie następną filiżankę kawy i wyszedłem z nią na taras.

W nocy zmieniła się pogoda; niebo było szare, a powietrze, chłodne, nieruchome i przesycone wilgocią, zapowiadało deszcz. Ogród w cieniu wielkich szeregów drzew wyglądał, jak gdyby stał opuszczony od stuleci. Na tym tle duże donice pelargonii na tarasie płonęły szaloną, ognistą czerwienią. Usiadłem na ostatnim stopniu i znalazłem papierosy (o nich udało mi się pamiętać, ukryłem je przed Melissą w kieszeni marynarki). Już dawno nie siedziałem na dworze zupełnie sam, co zrodziło we mnie nieokreślone poczucie bezbronności i niebezpieczeństwa, zacząłem się więc denerwować. Wypaliłem papierosa do kawy, a niedopałek zagrzebałem w donicy.

Nie bardzo miałem ochotę coś robić, właściwie na nic nie miałem ochoty. Spałem nawet dobrze, po raz pierwszy od paru miesięcy, choć logicznie rzecz biorąc, w Ivy House powinienem

się bardziej niepokoić, ponieważ w domu nie było nawet systemu alarmowego, trudno było sobie jednak wyobrazić, by ktoś chciał się tu włamać, nawet gdyby odnalazł to miejsce. Ale porządny sen, zamiast dodać mi energii, rozmazał i zamglił mi myśli, które nie potrafiły się niczym zająć. Za to już po dziesięciu minutach ogarnęło mnie takie zniecierpliwienie, że nie mogłem dłużej siedzieć w miejscu. Poczułem ten okropny rytm pulsujący w głowie, kuśtyk, kuśtyk, tam i z powrotem po swoim uroczym dawnym pokoju, dopóki Melissa nie wróciła z pracy.

Wszedłem do środka. Hugo żył: zdążył wstać i słyszałem, jak w swoim gabinecie stuka w klawiaturę komputera, nuci, a od czasu do czasu mówi surowym tonem „Hm”. Minąłem na palcach drzwi jego pokoju i wszedłem do dawnej sypialni dziadków.

Na łóżku wciąż leżała patchworkowa kołdra, nad kominkiem stał duży słój muszli z podróży sprzed lat, szafy były puste, w powietrzu unosiła się woń lawendy i kurzu. Zaczął padać deszcz, delikatnym, dyskretnym bębnieniem; cień kropli na szybie cętkował parapet i długie gołe deski podłogi. Spędziłem tam dość dużo czasu, przyglądając się, jak krople łączą się i spływają po szybie, wybierałem sobie dwie i tak jak w dzieciństwie zakładałem się sam ze sobą, która pierwsza dotrze do mety na dole.

Pokój na ostatnim piętrze, gdzie zbudowaliśmy nasz fort, zagraciała sterta starych mebli przykrytych zakurzonymi płachtami, spod których tu i ówdzie wystawała rzeźbiona poręcz albo odrapana noga zakończona łapą ze szponami. Rogi pod wysokim sufitem zdobiły girlandy pajęczyn. W dawnym pokoju Susanny łóżko było pościelone i poniewierały się różne rzeczy –

pluszowy królik rozciągnięty na podłodze, maska Spidermana, na komodzie kłęb jaskrawych ubranek – oznaki, że wskrzesiła rodzinną tradycję i czasem podrzucała Hugo dzieci na noc. Pokój Leona był pusty, jeśli nie liczyć łóżka bez pościeli i sterty złożonych w kącie tkanin, chyba zasłon. Cały ten wyjazd nie wydawał mi się już takim dobrym pomysłem. Wszędzie krążył mój duch, tłumił śmiech w forcie, przechylał się przez poręcz, żeby zawołać do Leona, wsuwał dłoń pod bluzkę Jeanette, młody, zwinny, z niespożytą energią, niemający pojęcia, że nad jego głową wisi kowadło, które czeka, by spaść i rozgnieść go na miazgę. Bujna zieleń ogrodu za oknem lśniła w deszczu, który zmył wszystkie cienie, liście uginały się pod ciężarem kropli, wysoka trawa pochylała się, tworząc małe pagórki.

Stałem na schodach przez jakiś czas, patrząc na wiszący na ścianie obraz (akwarelę z dziewiętnastego wieku, piknik nad jeziorem, nie mogłem odczytać podpisu, miałem jednak nadzieję, że jakiś przodek sam go namalował, zamiast wydawać na niego pieniądze), gdy nagle otworzyły się drzwi gabinetu Hugo.

– O! – Patrzył na mnie dobrodusznie znad okularów, bynajmniej nie dziwiąc się, że mnie tu widzi. – Dzień dobry.

– Cześć.

– Właśnie zamierzałem przygotować lunch. Zrobiło się dość późno, praca mnie wciągnęła... Przyłączysz się do mnie? A może już jadłeś?

– Dobrze – odparłem. – To znaczy nie, nie jadłem. Przyłączę się do ciebie.

Odsunąłem się na bok, aby przepuścić go przodem, gdy zdałem sobie sprawę, co się święci: z laską w dłoni, głęboko

nabrał powietrza, spoglądając w dół długiego ciągu stopni.

– Ja zrobię lunch – zaproponowałem. Przyjechałem przecież do Ivy House, żeby mu pomagać. Też ze mnie opiekun! W wyobraźni słyszałem już pogardliwe prychnięcie Leona; na pewno się śmiał. – I przyniosę tutaj.

Przez jego twarz przemknął cień rozgoryczenia, ale po chwili Hugo skinął głową.

– To chyba dobry pomysł. W lodówce, w niebieskim naczyniu, jest trochę wczorajszej zapiekanki. Zamierzałem wstawić ją na parę minut do piekarnika. Dziękuję.

Nie planowałem na lunch niczego ambitniejszego niż chleb z serem (przygotowanie śniadania było prawdziwą przygodą: Melissa wyraźnie nie paliła się do myszkowania po kuchni Hugo, więc chyba przez godzinę stałem pośrodku kuchni, sparaliżowany pytaniem, co wyciągnąć najpierw. Chleb? Masło? Kubki? Talerze? Włączyć ekspres? I to zanim jeszcze przystąpiłem do skomplikowanego procesu przypominania sobie, gdzie co jest. Teraz jakoś jednak udało mi się odgrzać zapiekankę i znaleźć tacę, na której położyłem sztucce, postawiłem talerze i dwie szklanki wody, po czym bardzo ostrożnie zaniósłem to wszystko do gabinetu Hugo, niezdarnie balansując tacą w zgięciu prawej ręki. Przyszło mi do głowy, że ciągle zmęczenie może wcale nie świadczy o tym, że mój mózg jest kompletnie rozpieprzony; możliwe, że męczę się, bo każda czynność wymaga ode mnie dziesięciokrotnie większego wysiłku niż zwykle. Ta myśl wzbudziła we mnie coś pośredniego między zdumieniem a nadzieją.

Gabinet niewiele się zmienił od mojego dzieciństwa. Hugo był genealogiem i nie przypuszczałem, aby jego zajęcie należało do szczególnie intratnych, ale przy jego trybie życia – bez kredytu, bez czynszu, bez rodziny, bez kosztownych nałogów – prawdopodobnie nie musiał zarabiać kroci. W pokoju stało georgiańskie biurko, opasy, sfatygowany fotel ze skóry, podłoga była wyłożona deskami z ciemnej dębiny, a na wszystkich nieprzeznaczonych do tego blatach piętrzyły się chybotliwe sterty papierzyk. Wszędzie stały wbudowane regały na książki, zapchane ogromnymi tomami oprawionymi w skórę, na których ozdobnymi złotymi literami wytłoczono tytuły – *Thom's Irish Almanac and Official Directory*, *Pettigrew and Oulton's Dublin Almanac* – oraz przeróżnymi bibelotami, wśród których był francuski zegar podróżny lakierowany w deseń w liście i ważki, róg starożytnej rzymskiej tablicy z kilkoma wyrytymi literami, mały, skulony królik wyrzeźbiony w drewnie oliwnym.

Leon, Susanna i ja jako dzieci spędzaliśmy tu dość sporo czasu. Pomagaliśmy Hugo w badaniach, dzięki czemu mogliśmy zarobić ekstra kieszonkowe; leżeliśmy na brzuchach na wytartym dywanie i przebiegaliśmy palcami rzędy chwiejnej, staroświeckiej czcionki albo pięknego, prawie czytelnego pisma ręcznego. Susanna, która uczyła się w szkole kaligrafii, miała dodatkowe lukratywne zadanie – rysowała drzewa genealogiczne o celtyckich korzeniach dla Amerykanów, by mogli je sobie oprawić i powiesić na ścianie. W gabinecie zawsze mi się podobało. Ściany książek zapewniały temu pomieszczeniu dodatkową warstwę ciszy, a osobliwe przedmioty nadawały mu nieco figlarnego czaru; człowiek spodziewał się, że z dziury przy

podłodze wyjrzy przyjazna mysz albo zegar zaterkocze i zacznie obracać wskazówki wstecz, bijąc trzynaście razy. Gabinet przypominał mi trochę biuro Richarda w galerii. Właściwie – dopiero wtedy przyszło mi to do głowy – sam Richard pod wieloma względami przypominał mi nieco Hugo. Ni stąd, ni zowąd pomyślałem, że może właśnie dlatego byłem taki oczarowany po pierwszej rozmowie, dlatego przyjąłem tę pracę i dlatego – wszystko zawirowało wokół mnie, układając się we wzory, których nie miałem szans dostrzec – dlatego wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło.

– Ach. – Hugo z uśmiechem uniósł wzrok znad biurka. – Wspaniale. Tu... – Odsunął na bok laptop, żebym mógł postawić na blacie talerz. Na ekranie zobaczyłem zeskanowany poźółkły formularz: *Rok 1883, udzielono ślubu w kościele parafialnym w...*

– Pracujesz – powiedziałem, wskazując ruchem głowy komputer.

Popatrzył na laptop, jakby nieco zdziwiła go jego obecność na biurku.

– Owszem – odparł. – Pracuję. Zastanawiałem się, czy nie wyruszyć na jakąś szaloną wyprawę do południowoamerykańskiej dżungli albo przynajmniej na greckie wyspy, ale w końcu doszedłem do wniosku, że nie bez powodu nigdy wcześniej tego nie zrobiłem. To znacznie bardziej mi odpowiada, nawet jeśli się do tego chętnie nie przyznaję. Poza tym... – szeroki uśmiech rozjaśnił mu całą twarz – mam do rozwiązania dość ciekawą zagadkę i nigdzie się nie wybieram, dopóki nie zobaczę, jak to się skończy.

Usiadłem w fotelu i przysunąłem sobie mały stolik, by postawić na nim talerz.

– Co to za zagadka?

– Ach. – Odchylił się na krześle. – Parę miesięcy temu skontaktowała się ze mną pani Amelia Wozniak z Filadelfii, prosząc o pomoc w odnalezieniu jej irlandzkich korzeni. Wydawało mi się to niezbyt prawdopodobne... – zaśmiał się, przecierając okulary postrzępionym brzegiem swetra – ...dopóki nie dowiedziałem się, że jej panięńskie nazwisko brzmi O’Hagan. Sama wykonała sporą pracę, zbudowała dość obszerne drzewo genealogiczne sięgające lat czterdziestych dziewiętnastego wieku, głównie w Tipperary. Później jednak wszystko nieco się komplikuje. – Odłożył okulary i włożył do ust dużą porcję zapiekanki. – Mmm. Pięknie się przegryzło przez noc, nie sądzisz? Kiedy przesłała próbkę DNA do jednej z dużych baz danych, pojawiła się cała czereda kuzynów w Clare, którzy według jej badań w ogóle nie powinni być z nią spokrewnieni. McNamarowie, a nigdzie wcześniej nie zetknęła się z tym nazwiskiem. No więc zwróciła się do mnie.

– I co? – W dzieciństwie nie bardzo interesowały mnie jego „zagadki”. Leon i Susanna je lubili, ja jednak nigdy nie zaraziłem się tą fascynacją. Rozwiązania niczego nie mogły zmienić, w grę nie wchodziły fortuny ani dziedziczenie tronu, więc co za różnica? Angażowałem się w to wyłącznie dla towarzystwa, no i naturalnie dla dodatkowej kasy.

– Właśnie jeszcze nie wiem. Jedna możliwość to tak zwane zdarzenie bez udziału ojca: w którejś linii kobieta zdradziła męża

albo została zgwałcona i za wiedzą męża lub bez niej dziecko wychowywało się jako jego syn czy córka.

– Jezu! Świetnie.

– Inna możliwość – odliczał je na palcach, wymachując widelcem – to druga rodzina. W tych czasach często się to zdarzało przy tej fali emigracji. Mężczyzna wyjeżdża do Ameryki szukać pracy, zamierzając sprowadzić żonę i dzieci, gdy tylko zaoszczędzi na ich podróż. Ale łatwo powiedzieć! Mijają lata, czuje się samotny, nie wie już, jak wyglądają jego dzieci... Tak łatwo zakochać się w kimś w Nowym Świecie, jeszcze łatwiej nie wspominać o dawnym życiu w starym kraju i zanim się obejrzy, masz szkielet w rodzinnej szafie, dobrze ukryty na parę stuleci, dopóki nie pojawią się nowe metody technologiczne.

Staralem się słuchać z uwagą, ale zacząłem błędzić gdzieś myślami. Hugo miał rację, zapiekanka z solidnymi kawałkami wołowiny, ziemniaków i marchewki była smaczna, pachniała ziołami. Wyciągnął przed siebie stopy w rozdeptanych brązowych kapciach – to możliwe, żeby w tych samych co kiedyś? Nad kominkiem maszerowała karawana ciemnych drewnianych słoni, od największego do najmniejszego, ich nie pamiętałem...

– Istnieje jeszcze możliwość, że jakieś dziecko zostało oddane albo porwane. Och, nie mówię o wstrętnym człowieku w białej furgonetce – dodał na widok mojej zaskoczonej miny – ale Irlandia jeszcze kilka pokoleń temu nie była najlepszym miejscem dla samotnej matki. Dużo ich trafiło do tych strasznych azylów dla kobiet upadłych... wiesz, prowadzonych przez siostry magdalenki. Wywierano na te kobiety ogromną presję, żeby

oddały dziecko do adopcji, żeby nie niszczyły im życia piętnem swojego grzechu. A często siostry nie zadawały sobie nawet takiego trudu, po prostu porywały dziecko, informując matkę, że zmarło, i potem sprzedawały je zamożnemu małżeństwu z Ameryki. Bardzo możliwe, że więziły matkę do końca życia, żeby pokutowała za grzech pracą w pralni.

– Stawiałbym raczej na to, że czyjaś żona spiknęła się z sąsiadem – powiedziałem. Niegodziwe zakonnice były lepszą pożywką dla telewizyjnego filmu, wydawało mi się jednak, że to zbyt naciągana historia. – Tak na czuja.

Hugo nie odwzajemnił mojego uśmiechu, tylko spojrzał na mnie z namysłem.

– Być może – odparł, wracając do jedzenia. – Też chciałbym tak myśleć. W grę może wchodzić mnóstwo innych nieprzyjemnych możliwości. Ale dopóki się nie dowiem, muszę brać pod uwagę wszystkie.

Jadł nisko nachylony nad talerzem, z gruntowną, konsekwentną przyjemnością, jak robotnik.

– Nie jestem specjalistą od DNA – powiedział między kolejnymi porcjami zapiekanki – ale nieźle sobie radzę z analizą wyników... w każdym razie lepiej niż ktoś taki jak pani Wozniak, która nigdy wcześniej tego nie robiła. Urodziła się w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku, a procentowa zgodność DNA wskazuje na związki z rodziną McNamarów dwa lub trzy pokolenia wstecz. Czyli mówimy o latach, przyjmijmy, od tysiąc osiemset pięćdziesiątego do tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Byłoby łatwiej, gdybym miał dane ze spisu powszechnego, ale...

Zobaczyłem dobrze znane, zirytowane wzruszenie ramion. W zasadzie wszystkie dziewiętnastowieczne indeksy irlandzkich spisów powszechnych uległy zniszczeniu w wyniku splotu okoliczności: logiki władz, niedoboru papieru w czasach pierwszej wojny światowej i pożaru. Wiele razy słyszałem, jak Hugo narzekał z tego powodu.

– Nie mogę więc po prostu sprawdzić – ciągnął – czy któryś z jej przodków, zanim wyemigrował, figurował w spisie z żoną i trojgiem dzieci ani czy ktoś znikł spod swojego adresu i pojawił się w pralni magdalenek, ani czy sąsiad nie nazywał się przypadkiem McNamara. Dlatego zabieram się do tego okrężną drogą. Przede wszystkim przeszukuję księgi parafialne, ale sprawdzam też listy pasażerów statków, którymi przyprawiali emigranci...

Powoli traciłem wątek rozmowy – za dużo możliwości i pobocznych kwestii, słowa prawie zupełnie straciły znaczenie – lecz głos Hugo brzmiał spokojnie jak szmer rzeki. Lampa na podłodze, którą zapalił, by rozjaśnić półmrok jak pod wodą, oblewała pokój złotym, czystym blaskiem. Bębnienie deszczu o szybę, przetarte na brzegach oprawy książek. Wrzucone przez ptaki gałązki na palenisku małego kominka. Jadłem i kiwałem głową.

– Chciałbyś mi pomóc? – spytał nagle Hugo.

Wyprostował się i mrugał do mnie z nadzieją w oczach.

– No... – bąknąłem zbity z tropu. – Hm, nie wiem, czy mogę się do czegoś przydać. To naprawdę nie jest moja...

– Nie chodzi o żadną skomplikowaną rzecz. Tylko o mniej więcej to samo, w czym pomagałeś mi kiedyś z kuzynami:

przeoglądanie indeksu i szukanie konkretnych nazwisk. Wiem, że to żadna atrakcja, ale bywają ciekawe chwile. Pamiętasz, jak się okazało, że babcia tego miłego Kanadyjczyka uciekła z nauczycielem muzyki, zabierając ze sobą rodzinne srebra?

Próbowałem wymyślić odpowiednią wymówkę – nie mogłem przeczytać artykułu w gazecie, by w połowie nie zapomnieć, o co w nim chodzi, jakie więc były szanse, że potrafiłbym nie zgubić kilku nazwisk, odcyfrowując strona po stronie wiktoriańskie pismo? – gdy z nagłym ukłuciem wstydu coś sobie uświadomiłem. No jasne, Hugo nie próbował w dobroczynnym geście znaleźć zajęcia biednemu, nieszczęsnemu kalece. Chciał poznać odpowiedź na zagadkę pani Wozniak, a nie zostało mu na to dużo czasu.

– Tak, oczywiście – powiedziałem. – Nie ma sprawy. Bardzo chętnie.

– Och, wspaniale – rzucił radosnym tonem, odsuwając na bok pusty talerz. – Od bardzo dawna nie miałem przy tym towarzystwa. Chcesz zjeść coś jeszcze, czy od razu zabieramy się do pracy?

Kiedy uprzątnęliśmy naczynia – „Och, na razie postaw w kącie, później zabierzemy je na dół” – przez ułamek sekundy zastanawiałem się, czy Hugo zauważył, że powłóczę nogą, i chciał mi oszczędzić drogi po schodach, ale gdy stawiał naczynia na tacy, był odwrócony ode mnie, więc nie widziałem wyrazu jego twarzy. Włączył drukarkę, która z terkotem wypluła plik list pasażerów statków, po czym przygotował mi fotel, stawiając przy nim stoliczek, i dał mi rachunek telefoniczny

sprzed roku, który miałem przesuwać w dół po stronach, by nie przegapić ani jednej linijki.

– Sprawdź wszystkie nazwiska – polecił mi. – Nie tylko te oznaczone jako irlandzkie, dobrze? Nigdy nie wiadomo, mógł się wkraść błąd albo ktoś znalazł sposób, żeby podać się za Anglika, bo narodowość irlandzka nie była wtedy atutem...

Kiedy zapisałem na kartce nazwiska, których miałem szukać, i położyłem ją obok wydruków, nie skomentowałem tego ani słowem.

– Ach – westchnął tylko, zadowolony, odwrócił krzesło w stronę biurka i przysunął bliżej laptop. A potem dodał, dokładnie tak samo jak w czasach naszego dzieciństwa: – Miłych poszukiwań. – Powiew zapomnianej przeszłości...

To było niezwykle spokojne zajęcie. Przy swoim stanie otumanienia nie potrafiłem skupić myśli na własnych ani jego problemach, ani właściwie na niczym innym prócz szeregów liter, które w magiczny sposób pojawiały się nad krawędzią poruszającego się rachunku telefonicznego: *Pan Robt Harding, 22 lata, dżentelmen, Anglia; panna S.L. Sullivan, 25 lat, niezamężna, Irlandia; pan Thos Donahue, 36 lat, dzierżawca, Irlandia...* Gdy znalazłem rytm, działał na mnie hipnotyzująco: trzy linijki z listy, wzrok w prawo, by przypomnieć sobie poszukiwane nazwiska, znowu w lewo na listę, trzy następne linijki, tik-tak, tik-tak, miarowo i pewnie jak wahadło. Kiedy przeszedłem do pasażerów trzeciej klasy, zniknęły tytuły i zmieniły się zawody: *Sarah Dempsey, 22 lata, służąca, Irlandia; George Jennings, 30 lat, robotnik, Szkocja; Patk Costello, 28 lat, sprzedawca w sklepie żelaznym, Irlandia...* Mógłbym tak spędzić cały dzień, cały

tydzień, kojąc umysł staroświeckimi słowami – *stajenny, rytownik, futrzarz* – półświadomie słysząc szum deszczu i stukot klawiatury Hugo. Dlatego drgnąłem zaskoczony, gdy usłyszałem radosne puk-puk-puk kołatki przy drzwiach na dole; powolutku uniosłem głowę na zeszywniałej szyi i rozglądając się ze zdziwieniem po gabinecie, który nagle zmaterializował się wokół mnie, uświadomiłem sobie, że zmieniło się w nim światło i że to pewnie Melissa wróciła z pracy, a ja spędziłem w ten sposób wiele godzin, w ciągu których nie nawaliła ani moja koncentracja, ani głowa, ani oczy, i że po raz pierwszy od dawna umieram z głodu.

\* \* \*

Jakoś w ciągu poprzedniego wieczoru – kiedy byłem na tarasie z kuzynami? – Melissa i Hugo najwyraźniej się zaprzyjaźnili. Spotkali się już wcześniej, w styczniu, na moim przyjęciu urodzinowym dla rodziny, i polubili się, ale teraz nagle byli ze sobą za pan brat i mieli własne prywatne dowcipy jak para dobrych kumpli. Melissa wyciągała z jednej z wypchanych toreb z zakupami siatkę batatów i machała nią Hugo – „Popatrz! A nie mówiłam?” – a on odrzucał do tyłu kudłatą głowę i wybuchał serdecznym śmiechem. Mijając ją, dotykał przelotnie jej ramienia, tak samo jak mojego.

– Lubię Hugo – powiedziała mi później, opierając się o okno w mojej sypialni i spoglądając na ogród. Lampy w pokoju były zgaszone; na tle nikłego, bezbarwnego światła padającego z zewnątrz widziałem tylko jej sylwetkę. – Bardzo go lubię.

– Wiem. – Podszedłem, by stanąć obok niej. Deszcz jeszcze nie ustał, z ciemności dobiegał jego miarowy, nieustrudzony szum. – Ja też.

Melissa oderwała jedną rękę od szyby i wyciągnęła do mnie otwartą dłoń. Położyłem na niej swoją i staliśmy tak bardzo długo, patrząc, jak światło z okna Hugo rysuje nierówny prostokąt na bladej trawie i chwastach daleko w dole, a drobny deszcz pada i pada przez jasną smugę i znika w mroku.

\* \* \*

Odtąd dość szybko ustalił się porządek dnia. Kiedy wstawaliśmy z Melissą, Hugo już czekał z przygotowanym śniadaniem.

– Wolałbym, żeby sobie nie robił takiego kłopotu – powiedziałem, gdy ubieraliśmy się, czując unoszący się z dołu zapach smażonych kiełbasek. – Może powinienem...

Ale Melissa pokręciła głową.

– Nie, Tobie. Pozwól mu.

Odprowadzałem ją na przystanek, a potem Hugo i ja krzątaliśmy się trochę po domu – snuliśmy się po ogrodzie, zmywaliśmy, nastawialiśmy pranie, braliśmy prysznic. Kiedy wchodził do łazienki, kręciłem się na schodach na tyle blisko drzwi, żeby usłyszeć łomot, gdyby upadł; czasem zastanawiam się, czy robił to samo dla mnie. Zdarzało się, że któryś z nas ucinał sobie drzemkę na kanapie albo gdy było ciepło, na hamaku. Wreszcie ruszaliśmy do gabinetu i przystępowaliśmy do poszukiwań.

Blask słońca topił się na deskach podłogi, z obtłuczonego niebieskiego dzbanka unosił się dymny aromat, za otwartym oknem w bluszczu klóciły się ptaki. W przerwach Hugo zatapiał się we wspomnieniach i opowiadał mi długie historie z dzieciństwa swojego i braci.

– ...nie pamiętam już, jaka to była kara, ale twój ojciec tak się oburzył, że postanowił uciec z domu. Tylko że nie miał zamiaru spać pod gołym niebem w chłodzie i deszczu, więc uciekł do szopy na końcu ogrodu. Kazał nam przynieść sobie jedzenie, śpiwór, latarkę, komiksy i tak dalej. Oczywiście wszyscy czterej byliśmy święcie przekonani, że twoi dziadkowie o niczym nie mają pojęcia, a oni chyba uznali, że nieuprzejmie byłoby pozbawiać nas złudzeń, skoro zadaliśmy sobie tyle trudu. Wydaje mi się, że byli też trochę dumni z zaradności Eda. – Skrzywnęto krzesło, kiedy ze śmiechem odchylił się do tyłu. – Ale minęły trzy dni i nic nie wskazywało na to, że twój ojciec się złamie, a robiło się coraz zimniej. No więc twoja babcia powiedziała nam, że na kolację ugotuje ulubione danie Edmunda, bo strasznie za nim tęskni... przemówiła mu do serca i żołądka, rozumiesz? I wysłała nas, żebyśmy poszukali go w okolicy, a gdybyśmy go przypadkiem znaleźli, mieliśmy go błagać, żeby wrócił do domu. I oczywiście dziesięć minut przed kolacją weszliśmy do domu w czwórkę, a twoja babcia nawet nie mrugnęła okiem, tylko kazała nam umyć ręce...

W inne dni mówił o swojej pracy.

– Rzecz w tym – powiedział kiedyś, odwracając się od zaśmieconego biurka i unosząc głowę, aby pomasować szeroką dłonią kark – że dzisiaj to jest inne zajęcie. Nie chodzi mi

o komputery, digitalizację źródeł i tak dalej, mówię o samym klimacie. Kiedyś ludzie kontaktowali się ze mną z ciekawości, chcieli poznać historię rodziny, badali na własną rękę, sięgając tak daleko, jak mogli, byli głodni dalszych informacji. Jak dobry czarodziej przynosiłem im niespodziewane prezenty: „Proszę, oto kopia listu, który pana dziadek napisał do siostry podczas pierwszej wojny światowej!”, „Proszę, metryka pani prababci!”, „Zdjęcie waszej dawnej farmy rodzinnej!”.

Nalał do kubka herbaty i podał mi.

– A dzisiaj – ciągnął – odkąd pojawiły się analizy DNA, to bardziej skomplikowane. Ludzie przychodzą do mnie, bo wyniki są inne, niż się spodziewali. „Ale przecież powinienem być w stu procentach Żydem aszkenazyjskim, dlaczego według testu jestem w dwunastu procentach Irlandczykiem?” „Dlaczego moi kuzyni w trzeciej linii okazali się kuzynami w drugiej linii?” Są zdenerwowani i przestraszeni, nie chcą już ode mnie pięknych prezentów... tu rzecz sięga znacznie głębiej. Boją się, że nie są tym, za kogo się zawsze uważali, i chcą, żebym ich uspokoił. I oni, i ja wiemy, że może się okazać inaczej. Już nie jestem dobrym czarodziejem, teraz jestem mrocznym arbitrem. Badam zakamarki przeszłości, żeby zdecydować o ich losie. Nie jest to tak przyjemna rola jak dawniej.

– Przecież to nie takie złe – odpowiedziałem. Nie chciałem bagatelizować tego, co robił, zwłaszcza teraz, ale to wszystko wydawało mi się przesadą, trąciło melodramatyzmem, którego wcześniej u niego nie zauważyłem i który mnie zmartwił. Niepokoila mnie każda anomalia u Hugo. Czy to dziwactwo, którego nigdy nie dostrzegłem, czy pierwszy krok do jakiegoś

koszmarne pogorszenia? – Chodzi mi o to, że są tymi samymi ludźmi, bez względu na to, co ustalisz.

Długie spojrzenie znad okularów, pełne namysłu i zaciekawienia.

– Ciebie by to nie zmartwiło? Gdybyś się dowiedział, że, powiedzmy, zostałeś adoptowany albo że twoja babcia była dzieckiem jakiegoś nieznanego mężczyzny?

– Hm. – Herbata była tak mocna, że cierpły usta; wsypując liście do czajniczka, straciłem rachubę łyżeczek. Ale Hugo chyba tego nie zauważył, więc nie zamierzałem zwracać mu na to uwagi. – Zmartwiłbym się, gdyby się okazało, że jestem adoptowany. Bardzo. Ale gdyby mama babci się puszczała... Nie znałem jej, nie mógłbym stracić do niej szacunku, bo trudno mówić, żebym go kiedyś żywił. I nie miałoby to dla mnie żadnego znaczenia. Dlatego nie, nic by mnie to nie obchodziło.

Hugo uśmiechnął się.

– No dobrze. – Sięgnął po ciastko. – W każdym razie nie masz się czym przejmować. Wystarczy rzut oka na twój profil i każdy się domyśli, że jesteś Hennessy.

Gdy wracała Melissa, odkładaliśmy pracę i pomagaliśmy jej przygotowywać kolację – wystawne, eksperymentalne dania pełne składników, których nazw nie potrafiłem wymówić, a tym bardziej nie miałem pojęcia, jak ich użyć (galangal? teff?). Melissa była szczęśliwa; odgadywałem to po niekontrolowanym rumieńcu, kiedy zatrzymywała na mnie wzrok, po lekkich podskokach, gdy krążyła między kuchenką a blatem. Chociaż mnie to dziwiło, cieszyłem się; wiedziałem, że nie powinno jej tu być, że w ogóle nie powinna się tym zajmować, ale jej

potrzebowałem, a ten radosny rumieniec pozwalał mi uchylać się przed dręczącą mnie świadomością, że naprawdę powinienem ją ratować i kazać jej się stąd zabrać. Po kolacji Hugo rozpalał w kominku w salonie.

– Wiem, że wieczór nie jest chłodny – powiedział po prostu za pierwszym razem – ale uwielbiam płonące drewno, a nie mogę pozwolić sobie na czekanie do zimy.

Potem graliśmy w remika albo Monopoly wśród foteli obitych wypłowiałym czerwonym adamaszkiem, starych włoskich rycin i przetartych perskich dywanów – tych samych, odkąd sięgałem pamięcią – dopóki Hugo się nie zmęczył. Wtedy wszyscy szliśmy spać. Wspominaliśmy o jego chorobie tylko przypadkiem – planując wizyty u lekarza, podając mu laskę. Nigdy nie mówiliśmy o tym, co spotkało mnie.

Małe rytuały. Czesanie włosów Melissy przy oknie w sypialni, gdy poranne słońce zmieniało je w pasma czystego światła, które spływało mi po rękach. Dźwięczny stukot, z którym wyrównywaliśmy z Hugo pliki papierów, zanim zabraliśmy się do pracy. Dyskusje nad wyborem płyty, której mieliśmy słuchać w trakcie przygotowywania kolacji – „Nie ma mowy, to twoje francuskie bistro leciało wczoraj, dzisiaj moja kolej!”. Z perspektywy czasu, nie mogę oprzeć się zdumieniu, jak szybko narodziły się te rytuały, jak wydawały się oczywiste i niezmiennie zaledwie po kilku dniach; jak szybko nabraliśmy przekonania, że jesteśmy tam od lat i jeszcze wiele ich mamy przed sobą.

Niełatwo jest precyzyjnie opisać stan mojego umysłu w ciągu tamtych tygodni; jeszcze trudniej mi sobie wyobrazić, jak mógłby się zmienić, gdyby wypadki potoczyły się inaczej, niż się

potoczyły. Nie mogę stwierdzić, że się poprawiał. Pod pewnym względem i do pewnego stopnia tak – dziwne zakłócenia wzroku stały się znacznie rzadsze, podobnie jak popłoch na widok pojawiających się znienacka cieni, i choć nie chciałem w to uwierzyć, wydawało mi się, że coraz mniej opada mi powieka – ale wcale nie czułem się bardziej sobą ani nawet bardziej człowiekiem. Wydawało się raczej, że to nie ma aż takiego znaczenia, przynajmniej w tamtym czasie. Codziennie zdarzało się mnóstwo rzeczy, które powinny wtrącić mnie w otchłań paniki i wściekłości – kubki leciały mi z rąk i rozbijały się na podłodze, bełkotałem, szukając zapomnianych słów – a jednak nie byłem rozdygotanym wrakiem, który chodzi po pokoju i karmi się planami zemsty. Chociaż wciąż miałem wrażenie, że jedyną, nieuchronną reakcją jest kompletne załamanie, to jednocześnie wydawało mi się, że to może poczekać na później. Czułem się chyba trochę tak, jakby poszarpało mnie dzikie zwierzę, ale zdołałem się dowlec do bezpiecznego miejsca i zatrzasnąć za sobą bramę; słyszałem, jak zwierzę krąży na zewnątrz i węszy, wiedziałem, że nie zamierza odchodzić i prędzej czy później będę musiał opuścić schronienie, ale przynajmniej na razie mogłem tu zostać.

Przez dom co pewien czas przewijała się reszta rodziny. W niedziele były wspólne lunchy, a w tygodniu Oliver, Louisa albo Susanna zawozili Hugo do lekarza, na sesje radioterapii i fizjoterapię. Moja matka i Miriam zwoziły naręcza toreb z zakupami, ojciec zakasywał rękawy, odkurzał dywany i szorował wannę. Phil rozgrywał z Hugo niezliczone partie warcabów (i przywiózł mi spóźniony prezent urodzinowy, przed

którym ostrzegęła mnie Susanna: niepojętą złoconą konstrukcją, która, jak wyjaśnił, była stojakiem na zegarek kieszonkowy prapradziadka i z którą nie miałem pojęcia, co zrobić). Leon przywoził na lunch ultramodne dania na wynos i zostawał do popołudnia, rozbawiając Hugo opowieściami o świetnie zapowiadającym się zespole grającym ska-punk, którego członkowie zwalili się kiedyś na głowę jemu i Carstenowi i spędzili u nich tydzień na podłodze salonu. Zjawiali się też znajomi Hugo; było ich więcej, niż się spodziewałem: szpakowatych uprzejmych starszych panów, którzy równie dobrze mogli być antykwariuszami, majstrami od wszystkiego albo wykładowcami w college'u, kobiet ze zmarszczkami od uśmiechu, poruszających się z dużą pewnością siebie i noszących się z zaskakującą elegancją. Zawsze zostawiałem ich w salonie samych, ale słyszałem dobiegające z dołu zaaferowane głosy, które zagłuszały się nawzajem w rozmowach, często przerywanych wybuchami serdecznego śmiechu.

Najbardziej lubiłem jednak chwile, gdy byliśmy tylko we troje, Hugo, Melissa i ja. Mój tato i wujkowie wyglądali na tak nieszczęśliwych, że ich przygnębienie wpadało z nimi do domu jak rozszalałe z popłochu zwierzę i demolowało delikatną równowagę, którą zbudowaliśmy z Hugo i Melissą. Ciotki były nerwowe, chudły, nieustannie rozglądały się na wszystkie strony, jak gdyby chciały się upewnić, że nikomu nie dzieje się nic złego. Louisa bez przerwy przestawiała rzeczy, a Miriam pod wpływem stresu zmieniała się w karykaturę siebie samej i stojąc za plecami Hugo, ukradkiem poddawała go zabiegowi reiki, kiedy siedział przy kuchennym stole i nieświadomy niczego jadł morele. Leon

zgiął się wtedy wpół, gryząc palec w groteskowej pantomimie zażenowania, a Susanna, Melissa i ja zbiliśmy się ciasno nad kuchenką, żeby ukryć atak chichotu.

Poprawiały się moje relacje z matką. Coś się zmieniło, odkąd się dowiedziałem, że kryła mnie przed resztą rodziny; opuściła mnie ta okropna chęć, żeby wszczynać z nią kłótnie o wszystko. Nadmiar wrażliwości nie pozwalał jej próbować zrobić czegoś pożytecznego w domu, więc przeniosła się do ogrodu, gdzie wyrywała zwiędłe kwiaty, odchwaszczała, przycinała rośliny przed jesienią. Nie bardzo widziałem w tym sens – Hugo przecież nie przejmował się tym, czy ogród jest zaniedbany, czy nie – mimo to czasem jej pomagałem. Marny ze mnie ogrodnik; najczęściej chodziłem za nią z workiem, zbierając do niego powyrywane zielsko, ale matka jest osobą towarzyską i moja obecność raczej jej nie przeszkadzała. Albo uznała, że już całkiem wydobrzałem, albo powstrzymywała się nadludzkim wysiłkiem woli, ale porzuciła próby zwabienia mnie z powrotem do domu rodzinnego lub sprawienia mi towarzystwa w postaci pudła, aby bronił mojej równowagi emocjonalnej. Zwykle rozmawialiśmy o książkach, o jej studentach i ogrodzie.

– Jakoś powoli nam idzie – powiedziała pewnego popołudnia. Wyrywaliśmy dorodne mleczce, których mnóstwo wybujało wysoko między kwietnikami. Nadal panował letni upał, ale światło już się zmieniało, wydłużało i obniżało, przybierając jesienną złotą barwę. W kuchni Melissa i Hugo zabierali się do przygotowywania kolacji; tego dnia muzykę wybierała Melissa i przez otwarte drzwi dobiegały radosne, skoczne dźwięki *Heart*

*of Glass* w wersji Puppini Sisters. – Może nie będzie wyglądać jak w czasach twoich dziadków, ale jako tako.

– Wygląda nieźle – oceniłem.

Matka kucnęła, ramieniem odgarniając włosy z twarzy.

– Rozumiem, że Hugo jest w gruncie rzeczy wszystko jedno – przyznała. – Ale nic nie mogę zrobić, więc robię, co mogę.

– Będzie zadowolony – odparłem. – Nie znosi mleczy.

– Poza tym mam wrażenie, że jestem coś winna temu domowi. Mimo że nie należał do moich przodków. – Przechyliła głowę, by spojrzeć na dom, zasłaniając oczy przed słońcem. – To było dla mnie bardzo ważne, że mogłeś tu spędzać wakacje.

– Wielkie dzięki – rzuciłem.

Spojrzała na mnie i zrobiła minę.

– Nie chodziło tylko o to, żebyś nie przeszkadzał nam włączyć się po Sycylii i upijać podejrzaną grappą. Chociaż o to też.

– Wiedziałem. A nam mówiłaś, że jedziecie zwiedzać muzea.

Matka zaśmiała się, ale zaraz umilkła.

– Martwiliśmy się o ciebie z tatą, byłeś jedynakiem, więc sam rozumiesz. Żałujemy, że nie mamy więcej dzieci, ale jest, jak jest. Twój ojciec żałował po prostu, że ominęło cię to wszystko, co przeżył ze swoimi braćmi, ale ja...

Znowu pochyliła się nad mleciami, starannie wykręciła z ziemi długi korzeń i wrzuciła do worka.

– Martwiłam się, że może za często uważasz się za pępek świata – wyjaśniła. – Nie żebyś był samolubny, nigdy niczego nikomu nie żałowałeś, ale chodziło o coś... Pomyślałam, że dobrze ci robi, jeżeli chociaż przez jakiś czas będziesz miał

Susannę i Leona, kogoś w rodzaju rodzeństwa. – Zerknęła na mnie pytająco. – Jeżeli to, co mówię, ma jakiś sens.

– Nie bardzo. – Uśmiechnąłem się do niej. – Ale nie wymagajmy za wiele.

Skrzywiła się.

– Za grosz szacunku dla rodzica. Chcesz powiedzieć, że nie można na mnie polegać?

Z jej kuczka wymykały się pasma jasnych włosów, na policzku miała rozmazaną ziemię; wyglądała młodo, wyglądała jak nieustraszone radosna matka, którą uwielbiałem w dzieciństwie, której szczere spojrzenie przeszywało mnie i oblewało słodyczą moje serce. Chciałem jej powiedzieć „Przepraszam”, nie za to, że się z nią droczyłem, ale za wszystko, za to, że przez ostatnie miesiące byłem dla niej taki wredny, za chwile grozy, jakie musiała przeżyć, i za to, że jej jedynak zmienił się w tak malowniczą ruinę.

– Ty to powiedziałaś – odparłem tylko, a matka groźnie pomachała mi pazurkami ogrodniczymi. Spędziliśmy jeszcze razem trochę czasu, walcząc z chwastami, dopóki nie zaczęła mi dygotać noga i nie mogłem już ukryć zmęczenia, a Melissa, stojąc w drzwiach kuchni, zawołała, że kolacja jest gotowa.

\* \* \*

Z kuzynami była inna historia. Od czasu do czasu udawało się nam wskrzesić dawną bliskość, ale zazwyczaj tylko wkurzaliśmy się nawzajem. Wiedziałem, że nie spotykaliśmy się od dawna, że

ludzie się zmieniają, oddalają od siebie i tak dalej, ale dawniej o wiele bardziej ich lubiłem.

Leon zawsze był nieprzewidywalny, więc dopiero po pewnym czasie zorientowałem się, że teraz kryje się za tym coś więcej: jego nastroje nie były po prostu zmienne, lecz świadomie i starannie wystudiowane. Któregoś popołudnia wyszedłem za nim na taras na papierosa – byłem już wtedy prawie pewien, że Melissa i Hugo wiedzą, że zacząłem palić, ale biorąc pod uwagę wszystkie inne sprawy toczące się w tle, nie przypuszczałem, żeby chcieli podjąć interwencję. Leon przywiózł pudełka z piekielnie ostrymi, wymyślnymi daniami z makaronem i w trakcie lunchu próbował przekonać Melisę, którą polubił, żeby przeprowadziła się do Berlina.

– Niemcy oszaleliby na punkcie tych rzeczy z twojego sklepu, uwielbiają wszystko co irlandzkie... Zamknij się, Toby, rozmawiam z Melissą. Boże, a faceci w Niemczech! Wszyscy mają ze dwa metry wzrostu i nie przesiadują całego życia w pubach, naprawdę coś robią, imprezują, chodzą w plener na wycieczki, do muzeów i... Słuchaj, przypomnij mi, co ty w ogóle widzisz w tym paskudnym leniuchu?

Kiedy jednak wyszedłem na taras, siedział bez ruchu na schodkach, a z jego dłoni unosiła się cienka smużka dymu. Było późne popołudnie, na ogród wpełzał cień apartamentowca, rozdzielając go na jasną i ciemną połowę, między którymi fruwały małe, jasne motylki, pojawiające się i znikające jak za dotknięciem różdżki magika.

– Hej. – Zapaliłem papierosa i usiadłem obok Leona. – Przestań namawiać moją dziewczynę, żeby mnie rzuciła.

Nie odwrócił się. Zaskoczyło mnie, jak mocno się garbi; cały żywiołowy entuzjazm opadł niczym płachta, spod której ukazał się ponury, skulony kształt przycupnięty na schodach.

– Gorzej z nim, wiesz? – powiedział.

Dopiero po chwili zorientowałem się, o czym mówi.

– Wcale nie. – Już żałowałem, że nie zostałem w środku.

Leon nawet na mnie nie spojrzał.

– Gorzej. Kiedy dzisiaj wszedłem, powiedział: „Boże, kope lat!”. I uśmiechnął się od ucha do ucha.

Dwa dni wcześniej spędził z nami całe popołudnie.

– Żartował – zapewniłem go.

– Nie żartował.

Zapadła cisza.

– Zostaniesz na kolacji? – spytałem. – Chyba będą ravioli z...

– I ta cholerna noga – ciągnął Leon. – Widziałeś, jak wchodził do kuchni? Trzy stopnie, a noga trzęsła się jak galareta. Wydawało mi się, że nie da rady.

– Wczoraj miał radioterapię. To go męczy. Jutro będzie silniejszy.

– Nie będzie.

– Słuchaj. – Naprawdę bardzo chciałem, żeby Leon się zamknął, ale za dobrze go znałem, więc starałem się, by mój ton tego nie zdradzał. – Jestem przy nim cały czas. Znam już wszystkie... wszystkie stałe schematy. Po radioterapii gorzej się czuje przez dzień czy dwa, potem mu się poprawia.

– Jeszcze kilka tygodni i nie będzie sobie umiał sam poradzić. Co się stanie, kiedy wrócisz do domu? Ktoś coś zaplanował? Opiekę domową, hospicjum czy...

– Nie wiem, kiedy wrócę do domu – przerwałem mu. – Być może pomieszkać tu jeszcze przez jakiś czas.

Na te słowa Leon odwrócił się i odsuwając się trochę, popatrzył na mnie jak na przedziwne stworzenie, które nagle zjawilo się w jego polu widzenia.

– Serio? Jak długo?

Wzruszyłem ramionami.

– Zobaczę. – Od kilku dni zastanawiałem się, bez rezultatu, ale uporczywie, jak długo Melissa będzie chciała mieszkać w Ivy House. Dręczyły mnie wątpliwości, że nie uda mi się w nieskończoność przekonywać rodziny, że powodem mojego stanu jest co najwyżej jeden kieliszek wina za dużo albo słabość do środków przeciwbólowych. A na myśl, że ktoś z nich zorientuje się, jaką się stałem pieprzoną ruiną, wzdrygałem się, jakby ktoś mi wsadził palec w otwartą ranę. Z jednej strony uważałem, że powinienem niebawem się stąd zwijać, dopóki nie zauważyli. Z drugiej strony nie wyobrażałem sobie powrotu do swojego mieszkania, przycisku obok łóżka i nocnych męczarni. – Nie spieszy mi się.

– A praca? Nie wracasz?

– Wróciłem. Tutaj robię trochę rzeczy. – Nie kontaktowałem się z Richardem od miesięcy, nie miałem pojęcia, czy jeszcze w ogóle mam pracę. – Wiedzą, co się stało. Zgodzili się, żebym przez jakiś czas pracował w domu.

– No, no! – Leon ciągle unosił brwi. – Szczęściarz. A co się stanie, kiedy nie będziesz już sobie dawał rady? Nie... – przerwał mi gestem, kiedy chciałem coś powiedzieć – to naprawdę nie jest złośliwość. Okazałeś się twardzielem, nie potrafię nawet wyrazić,

jak bardzo to doceniam i przepraszam cię z całego serca, że podejrzewałem cię, że nie będziesz do tego zdolny. Okay? Ale będziesz gotowy... nie wiem... wyciągać Hugo z wanny? Podcierać mu tyłek? Podawać mu leki przeciwbólowe co cztery godziny, w dzień i w nocy?

– Kurwa mać! – Podniosłem głos, słyszałem to, ale nie mogłem się powstrzymać. – Nic takiego jeszcze się nie zdarzyło, Leon. Mogę się tym martwić dopiero wtedy, kiedy do tego dojdzie? Jeśli dojdzie? Zgoda?

– Nie bardzo. Bo kiedy się okaże, że nie dajesz sobie rady, musi być plan, co robić. Nie możesz się po prostu wyprowadzić i zostawić go, żeby sam się sobą zajął, dopóki...

– To rusz głową i wymyśl jakiś cholerny plan. Nie obchodzi mnie jaki. Tylko mnie do tego nie mieszaj!

Spodziewałem się, że naskoczy na mnie, ale zmierzył mnie enigmatycznym spojrzeniem i zajął się papierosem. Cień budynku nasunął się głębiej na ogród i motyle zupełnie zniknęły, co w swoim nastroju uznałem za niepotrzebny i tandetny symbol. Jak najszybciej skończyłem papierosa i rozgniotłem niedopałek podeszwą.

– Pytałem taty – odezwał się nagle Leon. – O to, co się stanie z domem.

– No i?

– Myliłem się. To nie tak, że Hugo miał tu tylko mieszkać. Babcia i dziadek zapisali mu dom jako najstarszemu synowi. – Roztarł niedopałek o stopień. – Czyli pytanie, co jest w testamencie Hugo. Jeżeli w ogóle go napisał. – Zerknął na mnie.

– O nie – zaprotestowałem. – Za cholere go nie zapytam.

– Opowiadałeś, jak to jesteś przy nim cały czas, jak świetnie go znasz...

– A ty opowiadałeś, jakie masz cudowne życie w Berlinie i niech Bóg broni, żebyś miał tu wracać. Co cię obchodzi...

– Naprawdę chcesz, żeby ten dom został sprzedany?

– Nie – odparłem szybko i zdecydowanie, ku własnemu zaskoczeniu. Po tych kilku tygodniach utrata Ivy House byłaby dla mnie nie do pomyślenia. – Boże, nie.

– Hugo też by nie chciał. Przecież wiesz. Ale mój ojciec twierdzi, że Phil i Louisa bardzo się napalili na ten pomysł. Odpał Su i Tomowi trochę kasy na naukę dzieci, na lepszy dom i tak dalej. Susanna tego nie chce, ale spróbuj przemówić im do rozsądku. A po śmierci Hugo Phil będzie najstarszym bratem. Bardzo możliwe, że Hugo zapisze mu Ivy House, a wtedy trzask-prask i po domu. Jeżeli pogadasz z Hugo, będziesz mógł mu to wyjaśnić. Przekonać go, żeby zapisał dom komuś, kto go nie sprzeda.

– W porządku – zgodziłem się po chwili. – Pogadam z nim.

Leon znowu zapatrzył się w ogród, oplatając kolana rękami jak dziecko.

– Zrób to szybko – dodał.

Zagrzebałem niedopałek w donicy z pelargoniami i wróciłem do kuchni, gdzie Hugo i Melissa z uśmiechem unieśli wzrok znad starego albumu ze zdjęciami, który wygrzebał Hugo, żeby jej pokazać. Ale było za późno: w głowie straszliwie mi huczało i nie było mowy, żebym miał spędzić wieczór na jedzeniu ravioli, grze w remika i rozmowie o głupstwach, i patrzeć przy tym, jak Leon obserwuje każdy ruch Hugo. Bąknąłem coś o bólu głowy,

poszedłem na górę, połknąłem xanax plus parę tabletek przeciwbólowych – pieprzyć Leona – i położyłem się do łóżka, nakrywając głowę poduszką.

Susanna też stała się znacznie bardziej drażliwa. Była uroczym dzieckiem, poważnym molem książkowym z różnymi dziwactwami. Czasami nie miała zielonego pojęcia o różnych sprawach; kiedy byliśmy nastolatkami, tłumaczyłem jej przez parę lat, dlaczego powinna dbać o ubranie, włosy i tak dalej, jeżeli nie chce, żeby się z niej nabijano. Miała też wyjątkowo cięte poczucie humoru. Mimo wielu zmian, które od tego czasu w niej nastąpiły, nadal w głębi duszy spodziewałem się zobaczyć w Susannie tamto dziecko, ale z rozczarowaniem przekonałem się, że nie odnajduję jego śladów.

– Namierzyłam go – poinformowała mnie pewnego popołudnia w kuchni. Właśnie przywiozła Hugo z radioterapii; wrócił wyczerpany i drżący, pomogliśmy mu położyć się do łóżka i teraz parzyliśmy herbatę i szykowaliśmy babeczki, żeby zanieść mu na górę. – Lekarza, który ma wydać drugą opinię. Mieszka w Szwajcarii, ale to specjalista znany na całym świecie. Zadzwoiłam do niego i zgodził się przejrzeć dokumentację Hugo.

– Wydawało mi się, że badało go już trzech lekarzy – zauważyłem. – W szpitalu.

Otworzyła lodówkę i grzebała w niej w poszukiwaniu masła.

– Badali. Czyli jeszcze jeden nie zaszkodzi.

– Więc to będzie czwarta opinia. Po co ci czwarta opinia?

– Na wypadek gdyby trzy pierwsze okazały się do dupy.

Stałem przy zlewie i nalewałem wody do czajnika; widziałem tylko plecy Susanny.

– Ile jeszcze masz zamiar zebrać tych opinii? Będziesz się uganiać za lekarzami, dopóki jeden nie powie ci tego, co chcesz usłyszeć?

– Tylko tę jedną. – Odwróciła się i rzuciła mi lodowate spojrzenie. – Dlaczego nie podoba ci się ten pomysł?

Nie podobała mi się sugestia, że lekarze Hugo mogli coś przeoczyć. A to z kolei rodziło straszliwe podejrzenie, że moi mogli zrobić to samo, że nie zreperowali jakiegoś drobiazgu, który w magiczny sposób przywróciłby mi normalny stan, gdyby tylko zadali sobie odrobinę trudu...

– Po prostu nie chcę, żeby Hugo niepotrzebnie robił sobie nadzieję – powiedziałem.

– To lepsze, niż gdyby miał się poddawać, skoro wcale nie musi.

– Czego się spodziewasz? Że ten Szwajcar oddzwoni do ciebie i powie: „Niespodzianka, ostatecznie jednak nie ma raka”?

– Nie. Ale może oddzwoni i powie, że ostatecznie jednak możemy spróbować operacji i chemii.

– Myślę, że gdyby była na to jakaś szansa, wspomnieliby o niej przynajmniej jeden z trzech pierwszych.

– To jest paczka kumpli. Nie będą sobie nawzajem zaprzeczać. Jeżeli pierwszy mówi, że nic się nie da zrobić...

– Byłem w tym samym szpitalu – odparowałem. – I moi lekarze byli super. Zrobili absolutnie wszystko, co się dało. Wszystko.

– To dobrze. Cieszę się. Na pewno tak było.

Właśnie położyłem przed dzbankiem torebki herbaty i bezskutecznie zastanawiałem się, co mam z nimi zrobić, więc naprawdę nie miałem ochoty słuchać tego chłodnego, bezbarwnego tonu. Wiedziałem, że pewnie należałoby ją zachęcać, a przynajmniej jej gotowość do poruszenia nieba i ziemi powinna mi się bardziej podobać niż czarnowidztwo Leona, ale prawdę mówiąc, chciałem tylko, żeby wszyscy się od nas odpieprzyli i zostawili nas w spokoju.

– No więc po co starasz się o czwartą opinię?

– Bo Hugo to nie ty – odparła Susanna, smarując masłem połówkę babeczki jednym mocnym pociągnięciem noża. – Ma sześćdziesiąt siedem lat, wiadomo, że nie jest żadnym wpływowym krezusem. Nie ma nawet prywatnego ubezpieczenia zdrowotnego, wiedziałeś o tym? Chodzi do lekarza na kartę medyczną. No i nie oszukujmy się, jest na tyle niekomunikatywny i niechłujny, że jeżeli ktoś nie przyjrzy mu się uważniej, może go uznać za stukniętego dziadunia. Ma przynajmniej ten atut, że jest biały i mówi z eleganckim akcentem, ale nawet jeżeli dla ciebie lekarze robili wszystko, co w ich mocy, to wcale nie musi znaczyć, że poświęcą tyle samo wysiłku i umiejętności jakiemuś na wpół zniedołężniałemu staruchowi, który i tak pewnie wkrótce umrze.

Fala wściekłości napłynęła znieńacka.

– Gówna prawda! – rzuciłem, kiedy minęła chwila, w której nie byłem w stanie się odezwać. – Kurwa mać, Su, naprawdę myślisz, że rozmyślnie pozwolą mu umrzeć, bo jest stary, rozkojarzony i nie ma milionów na koncie? To są lekarze. Nie wiem, jakich bzdetów o sprawiedliwości społecznej się

naczytałaś, ale mają obowiązek pomagać ludziom, jeżeli tylko są w stanie. Czasami nie są. Co nie znaczy, że to podłe dranie, które zacierają ręce i szukają sposobów, jak by tu spieprzyć ludziom życie.

Zdjęła dzbanek z szafki, wyrwała mi z ręki torebki herbaty i wrzuciła do środka.

– Pamiętasz, jak babcia zachorowała? – zapytała. – Przez parę tygodni miała potworne bóle brzucha i straszne wzdęcie? Była u swojego lekarza trzy razy, dwa razy poszła na oddział ratunkowy szpitala i wszyscy mówili to samo: „Zaparcie, proszę iść do domu, wziąć tabletkę senesu, przejdzie”. Wszystko jedno, ile razy im powtarzała, że to coś innego.

– No więc popełniają błędy. Są tylko ludźmi. – Szczerze mówiąc, zupełnie tego nie pamiętałem. Miałem trzynaście lat, w głowie tylko dziewczyny, kumpli, rugby, muzykę i szkołę. Gdy babcia zachorowała, odwiedzałem ją przynajmniej dwa razy na tydzień, za kieszonkowe kupowałem jej ulubioną czekoladę z bakaliami, dopóki mogła jeść, a kiedy nie mogła, jej ulubione żółte frezje, ale nie zwracałem szczególnej uwagi na drugorzędne rzeczy.

– W zasadzie wyglądało to tak, że rzucili okiem i uznali ją za stukniętą staruszkę, która domaga się zainteresowania. Chociaż gdyby posłuchali jej choćby przez dziesięć sekund, przekonaliby się, że to wcale nie tak. Wiesz, kiedy zechcieli sprawdzić, czy to nie rak żołądka? W końcu mój tato poszedł do jej lekarza i zdrowo go opieprzył. Dopiero wtedy doktor skierował ją na badania. Ale było już za późno na jakiegokolwiek leczenie.

– Być może wcześniej też byłoby za późno. Przecież nie masz pojęcia.

– Aha, być może. A być może nie. Nie o to chodzi. Rusz się. – Sięgnęła przede mnie po czajnik i zalała herbatę tak zamaszystym ruchem, że kilka kropli wody chlapnęło na blat. – Chodzi o to, że jeżeli twoi lekarze zrobili wszystko, co w ich mocy, to świetnie. Ale nie wszystkim jest dane żyć w takim samym świecie co tobie.

– Och, na litość boską – jęknąłem. – Słyszysz, co mówisz? Przecież nie mają żadnego... żadnego... – Dobrze wiedziałem, co mam na myśli, nie znalazłem jednak odpowiednich słów, żeby to dotarło do Susanny, i mocno przygryzłem wargę. – Nie mają żadnej tajnej karty wyników, gdzie odejmują ci punkty, jeżeli mówisz z akcentem dresiarza albo masz ponad sześćdziesiąt pięć lat, a potem przyznają ci opiekę medyczną w zależności od tego, ile punktów uda ci się zebrać. To idiotyzm. Kiedyś będziesz musiała uwierzyć, że robią wszystko, co się da.

Susanna przygotowała już tacę. Zabrała się do sprzątanía: zgarnęła okruchy na dłoń i wyrzuciła do śmieci, mleko i masło wstawiła do lodówki i zatrzasnęła drzwi; zręczne, oszczędne ruchy, w których było widać zdecydowanie.

– Rodzenie Zacha nie było przyjemne. – Jej głos brzmiał spokojnie, ale wyczuwało się w nim napięcie, nad którym z trudem panowała. – Lekarz traktował mnie okropnie... oszczędzę ci szczegółów. W każdym razie było kilka możliwości, a on chciał wybrać taką, z którą się nie zgadzałam. No więc powiedziałam „Nie”. Wtedy zagroził mi, cytuję: „Jak się będziesz

stawiać, postaram się o sądowy nakaz i przyślę po ciebie policję, żeby cię przyprowadziła”.

– Wkręcał cię – zasugerowałem po sekundzie zaskoczenia.

– Mówił śmiertelnie poważnie. Opowiedział mi o wszystkich poprzednich razach, kiedy zrobił to innym kobietom, ze szczegółami, żebyś wiedziała, że mnie nie wkręca.

– Jezu – powiedziałem tylko. Ciekaw byłem, co robił Tom, kiedy ktoś w ten sposób rozmawiał z jego żoną. Prawdopodobnie potulnie kiwał głową i rozmyślał, pożałował się Boże, w którym nosidełku wygodniej będzie taszczyć dzieciaka. – Złożyłaś skargę?

Odwróciła się z nożem do masła w ręce i spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Na co?

– Przecież nie wolno mu było tego robić.

– Oczywiście, że wolno. Kiedy jesteś w ciąży, w oczach prawa nie masz nic do powiedzenia w sprawie swojej opieki medycznej. Mógł mi zrobić, co zechciał, bez względu na moją zgodę, i wszystko byłoby zupełnie legalne. Poważnie, nie wiedziałeś o tym?

– Hm, pewnie teoretycznie mógł – odparłem. – Ale naprawdę wątpię, czy w praktyce tak to wygląda...

– Dokładnie tak to wygląda. Kto jak kto, ale ja wiem. Widziałam to na własne oczy.

Nie bardzo chciało mi się o to kłócić, poza tym miałem wrażenie, że odeszliśmy za daleko od tematu, zwłaszcza że Hugo najprawdopodobniej nie był w ciąży.

– Ten lekarz był palantem – rzuciłem. – Bardzo mi przykro z powodu tego, co cię spotkało. I doskonale rozumiem, dlaczego podchodzisz do lekarzy jak pies do jeża. Ale nawet jeżeli trafiłaś na konowała, to jeszcze nie znaczy, że...

– Jezu, ja pierdołę. – Susanna wrzuciła nóż do zlewu, chwyciła tacę z podwieczorkiem i wyszła.

\* \* \*

W normalnych okolicznościach poradziłbym sobie z tą rozmową o wiele lepiej. W końcu Susanna nie stała się zupełnie inną osobą; zawsze lubiła buntować się przeciwko niesprawiedliwościom, prawdziwym i urojonym, a ja nigdy nie reagowałem inaczej, jak tylko pogodnie przewracając oczami i dając sobie spokój. To samo z Leonem: zawsze był humorzastym głąbem i wiedziałem, że lepiej nie brać tego do siebie, więc w normalnych okolicznościach zostawiłbym go w spokoju, zanim udzieliłby mi się jego ponury nastrój. Widocznie teraz drobne przejawy ich typowych kretyńskich zachowań potrafiły skutecznie wytrącić mnie z równowagi.

Korci mnie, by usprawiedliwić to stresem związanym z umieraniem Hugo albo neurologicznymi, psychologicznymi czy innymi defektami po zdarzeniu tamtej nocy, ale jeśli mam być szczery, przypuszczam, że powód był znacznie bardziej przyziemny i żałosny. W rzeczywistości chyba po prostu zazdrościłem Leonowi i Susannie. Było to tak nieznane uczucie, że rozpoznałem je dopiero po jakimś czasie; przez całe życie zakładałem, że jest wręcz przeciwnie. Nigdy nie miałem

problemów z życiem towarzyskim – może nie byłem typem charyzmatycznego przywódcy, ale zawsze bez trudu trafiałem do cool ekipy, wszędzie mnie zapraszano, miałem na tyle mocną pozycję, że przyjęto do paczki Deca tylko dlatego, że był moim kumplem, chociaż mówił z fatalnym akcentem, nosił okulary, był ofermą w rugby i miał pretensje do całego świata. Leon przez całą szkołę był jednym z tych chłopaków, którym regularnie sprawia się wycisk, a Susanna (w bliźniaczej szkole żeńskiej, tuż obok naszej), mimo że trudno ją było uznać za wyrzutka, przyłączyła się do grupy powszechnie lekceważonych dziewczyn w typie Lisy Simpson, które na przykład sprzedawały ręcznie robione świece, żeby zbierać pieniądze na bezdomnych albo na Tybet czy coś w tym rodzaju. Jeśli tym dwojgu zdarzało się robić coś w miarę fajnego w fajnym towarzystwie, to tylko dzięki mnie. Nawet gdy już dorośliśmy, Leon po roku rzucił college i tułał się po całym świecie: pracował na polu czegoś tam w Australii, mieszkał w squacie w Wiedniu i nigdy nie wytrzymał przy jednym zajęciu ani z jednym chłopakiem dłużej niż rok, najwyżej dwa. Susanna natomiast zmieniła się w mamusię i kure domową; spędzała czas na robieniu purée z fasolki czy czegoś w tym stylu, podczas gdy przede mną otworzyła się droga do szalowej kariery i w zasadzie idealnego życia. Naprawdę nigdy nie patrzyłem na nich z góry – kochałem ich, chciałem dla nich wszystkiego, co najlepsze na świecie – w głębi serca wiedziałem jednak, że gdyby mieli porównać swoje życie z moim, moje zwyciężyłoby w cuglach.

Ale teraz wbiegali po schodach, przeskakując po dwa stopnie, i radzili sobie z mnóstwem tematów w rozmowie, nie gubiąc

żadnego wątku. Leon opowiadał sprośne historie o nocnych imprezach ze znanymi zespołami, Susanna tryskała entuzjazmem, bo odkurzyła dyplom i dostała się na prestiżowe studia magisterskie z polityki społecznej, podczas gdy ja... W swoim nowym miniaturowym i uproszczonym świecie funkcjonowałem całkiem nieźle, mniej więcej, ale doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie przetrwałbym ani jednego dnia w dawnej pracy albo dawnym życiu. Zazdrościłem im boleśnie i żałośnie, wydawało mi się, że to sprzeczne z naturalnym porządkiem rzeczy. Dlatego nie mogłem patrzeć na ich wady i słabostki z dawnym rozbawieniem i serdeczną wyrozumiałością. Coś, co jeszcze kilka miesięcy temu skwitowałbym uśmiechem niedowierzania, działało mi na nerwy do tego stopnia, że ledwie udawało mi się stłumić ryk wściekłości. Zawsze ogarniała mnie ulga, gdy wychodzili, a Melissa, Hugo i ja mogliśmy o zmierzchu wrócić do naszego łagodnego świata szeleszczących stron w książkach, gry w karty i kubków gorącego kakao przed snem, delikatnych, niepisanych kompromisów oraz – dopiero teraz naprawdę uświadamiam sobie, jaka to była niewymownie cenna rzecz – wzajemnej, głębokiej, czulej i uważnej życzliwości.

\* \* \*

Leon miał jednak rację; z Hugo było gorzej. Różnice były tak subtelne, że na ogół potrafiliśmy przekonać samych siebie, że nic takiego się nie dzieje. Na przykład gwałtownie ugiwała się pod nim noga, Melissa albo ja łapaliśmy go za łokieć – „Oj, uważaj na

dywan!” – ale zdarzało się to coraz częściej, a nie zawsze pod ręką znalazł się dywan, by zrzucić na niego winę. Czasem Hugo unosił głowę znad pracy i wodził po pokoju oszołomionym, niewidzącym spojrzeniem – „Która... która godzina?” – a potem jego oczy zatrzymywały się na mojej twarzy z takim zdumieniem, jakby zupełnie mnie nie poznawały. Sporo mnie kosztowało, żeby nie czmychnąć z pokoju, tylko powiedzieć: „Hej, prawie trzecia, chcesz, żebym zaparzył herbatę?”, a on mrugał kilka razy, wzrok z wolna mu przytomniał i w końcu pojawiał się uśmiech. „Tak, chyba zasłużyliśmy, nie sądzisz?” Czasem zdarzało się, że ni stąd, ni zowąd wpadał w irytację bliską wybuchowi złości – „Nie, nie chcę więcej warzyw, naprawdę doskonale potrafię sam się obsłużyć, nie popędzaj mnie!”. Kącik ust zaczął mu lekko opadać, na tyle subtelnie, że wyglądało to jak oszczędny grymas dezaprobaty, który już jednak nie zniknął.

Pewnego wieczoru Hugo upadł. Właśnie przygotowywaliśmy kolację – empanadas. Do dziś czuję mieszaninę gęstych zapachów chorizo i cebuli, która drażniła mi gardło. Włączyliśmy walce Chopina, Hugo poszedł na górę do toalety, a Melissa i ja wałkowaliśmy ciasto na blacie, spierając się, jakiej wielkości powinny być krążki, gdy nagle usłyszeliśmy odgłos bezładnej szamotaniny, głuchy łomot, straszny rumor i brzęknięcie; potem zapadła cisza.

Wybiegliśmy z kuchni, wołając Hugo, zanim mój umysł zdążył pojąć, co właśnie usłyszałem. Pótleżał na schodach, blady, z szaleństwem w oczach, zaciskając rękę na poręczy. Laska spadła daleko niżej i wylądowała pod dziwnym kątem. Jak po trzęsieniu ziemi, inwazji, kiedy wszyscy uciekli...

Melissa podbiegła do niego pierwsza, uklękła na schodach i położyła mu dłonie na ramionach, aby go powstrzymać.

– Nie, leż spokojnie. Nie ruszaj się jeszcze. Powiedz, co się stało. – Mówiła pewnym, niewzruszonym głosem jak pielęgniarka.

Hugo ciężko sapał przez nos.

– Hugo. – Dotarłem do niego i próbowałem wcisnąć się obok niej. – Nic ci nie jest? Coś sobie...

– Ciii – syknęła Melissa. – Hugo, popatrz na mnie. Spokojnie odetchnij i powiedz mi, co się stało.

– Nic. Laska mi się wyśliznęła. – Ręce mu dygotały, okulary zjechały prawie na koniec nosa i były przekrzywione. – Głupi jestem. Myślałem, że już sobie z nią radzę, chwila nieuwagi...

– Uderzyłeś się w głowę?

– Nie.

– Na pewno?

– Tak, naprawdę nic mi się nie stało, tylko...

– W co się uderzyłeś?

– W tyłek, oczywiście. Zjechałem z paru stopni. Nie wiem ilu... I w łokieć, boli najbardziej... au! – Próbował poruszyć łokciem, krzywiąc się z bólu.

– Gdzieś jeszcze boli?

– Chyba nie.

– Lekarza – powiedziałem, włączając się wreszcie w jakiś sposób. – Musimy wezwać. Albo zadzwonić po karetkę, trzeba...

– Chwileczkę. – Melissa zręcznie i badawczo dotykała jego ciała. „Obróć głowę, zegnij rękę, boli?” „A tu?” Miała skupioną, beznamietną minę kogoś obcego; jej dłonie brudziły mąką

brązowe sztruksy i zmięty sweter Hugo, jak gdyby pokrywając je warstwą zleżącego kurzu.

Z kuchni nadal dochodził Chopin i słysząc obłąkańczy pęd trylów i pasaży *Walca minutowego*, miałem ochotę brutalnie go przerwać. Przyspieszony, ciężki oddech Hugo uruchomił jakiś przenikliwy dzwonek alarmowy w moim mózgu. Musiałem wyteńczyć całą siłę woli, by zostać na miejscu.

– No dobrze – rzuciła wreszcie Melissa, podnosząc się z klęczek. – Jestem prawie pewna, że nie masz żadnych poważnych obrażeń. Ręka w łokciu nie jest złamana, bo w ogóle nie mógłbyś nią poruszać w ten sposób. Chcesz pojechać do szpitala? Czy mamy wezwać lekarza, żeby cię obejrzał?

– Nie – odparł Hugo. Usiłował usiąść. Złapałem go za rękę, znacznie większą od mojej i bardzo kościstą, o luźnej skórze; schudł, a ja nawet tego nie zauważyłem... – Naprawdę nic mi nie jest. Trochę się trzęsę i tyle. Jeszcze tylko lekarza brakuje mi do szczęścia. Chcę się na chwilę położyć.

– Myślę, że jednak powinien cię zbadać lekarz – upierałem się. – Na wszelki wypadek...

Jego dłoń zeszywniała w mojej ręce. Ze zniecierpliwieniem, prawie gniewem, odburknął:

– Jestem dorosły, Toby. Jeżeli nie chcę lekarza, to mnie nie zobaczy. Pomóżcie mi wstać i przynieście mi laskę.

Za bardzo drżał, by utrzymać laskę. Zaprowadziliśmy go na górę i położyliśmy do łóżka, podtrzymując go z obu stron ramionami. W tle nadal wirowały szalone frazy Chopina, a my troje, splątani w jedno niezgrabne stworzenie, poruszaliśmy się z niezmierną ostrożnością. „Hop!” „Dobrze, i jeszcze raz w górę!”

Kiedy już leżał, przynieśliśmy mu herbatę, a na kolację zrobiliśmy rosół z puszki i grzanki. Żadne z nas nie miało już ochoty na empanadas.

– Naprawdę nie zrobił sobie żadnej krzywdy – powiedziała w kuchni Melissa. – Możliwe, że było tak, jak mówił: laska wysliznęła mu się z ręki.

Tak nie było i nie chciałem o tym rozmawiać. Sam byłem mocno roztrzęsiony: serce mi kołatało, ciało nie wierzyło, że zagrożenie już minęło.

– Skąd wiedziałaś? Jak go zbadać?

Pomieszała zupę, nabrała kroplę na palec i skosztowała.

– Dawno temu skończyłam kurs. Moja matka czasem się przewraca.

– Jezu. – Podszedłem do niej z tyłu, objąłem ją w pasie i pocałowałem w czubek głowy.

Oderwała od siebie moją dłoń, przycisnęła do ust i puściła, by sięgnąć do półki z ziołami. Nadal wyczuwałem w niej resztki tego chłodnego opanowania i chciałem, żeby zniknęło; chciałem zabrać ją do łóżka i zerwać z niej tę obojętność razem z ubraniem, żeby wyparowała jak mgła.

– Nie, to akurat dobrze. Zdziwiłbyś się, ile razy przydał mi się ten kurs.

– Mimo wszystko – powiedziałem. Przez te lata nasłuchiwałem się o jej matce dość, by dojść do przekonania, że nie potrafiłbym się z nią spotkać i nie dać jej w twarz, ale pierwszy raz dostrzegłem w tym wszystkim gorzką ironię losu: całe dzieciństwo Melissy pochłonęła opieka nad matką, a gdy w końcu udało jej się wyrwać i znaleźć faceta, który miał się

o nią zatroszczyć, nagle, hokus-pokus, wróciła do roli opiekunki, tyle że tym razem zamiast jedną osobą, musiała się zająć dwiema. – Przecież nie na to się pisałaś.

Odwróciła się do mnie ze słoiczkiem ziół w ręce.

– Nie na co?

– Żeby być opiekunką Hugo.

– Tylko sprawdziłam, czy nic mu się nie stało.

– Robisz znacznie więcej.

Melissa wzruszyła ramionami.

– To mi nie przeszkadza. Szczerze, naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Hugo jest cudowny.

– Wiem. Ale to miało być tylko kilka dni. – Wtedy byliśmy w Ivy House już od trzech tygodni. Melissa kilka razy pojechała do siebie i do mnie, żeby wziąć więcej ubrań, temat wyprowadzki nigdy się jednak nie pojawił. – Może powinnaś wrócić do domu.

Oparła się o blat i zapominając o zupie, uważnie spojrzała mi w oczy.

– Chcesz, żebym wróciła do siebie?

– To nie tak – odparłem. – Bardzo się cieszę, że tu jesteś. Po prostu... – Miałem wrażenie, że składam jakieś zobowiązanie, a nie byłem pewien, czy jestem do niego gotowy, ale było za późno. – Myślałem o tym, żeby zostać tu trochę dłużej.

Jej twarz się rozjaśniła.

– Och, liczyłam na to! Nie chciałam pytać. Wiem, że ktoś inny mógłby się tym zająć, ale Hugo jest szczęśliwy, że tu jesteś, Toby. To naprawdę wiele dla niego znaczy. Strasznie się cieszę... no i oczywiście zostanę. Chcę zostać.

– Na razie jest, jak jest, ale będzie gorzej – uprzedziłem ją. – Nie chcę, żebyś miała to na głowie.

– Dopóki tu mieszkasz, będę z tobą. Ojoj... – Błyskawicznie odwróciła się do garnka, w którym zupa zaczęła się pienić i złowrogo syczeć. Przykręciła gaz. – Gotowe. Włożyłeś grzanki?

– Nie chodzi tylko o Hugo – wykrztusiłem z trudem; każde słowo sprawiało mi ból. – Ostatnio trochę też opiekowałaś się mną.

Uśmiechnęła się do mnie przez ramię.

– Lubię się tobą opiekować.

– A mnie się nie podoba, że musisz to robić. Nie cierpię tego. Zwłaszcza jeśli pomyślę o twojej matce.

– To nie to samo – odparowała natychmiast, odwracając się od kuchenki. W jej głosie zabrzmiał stalowy, nieugięty ton, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. – Ty nie zrobiłeś sobie tego sam. Podobnie jak Hugo. To coś zupełnie innego.

– Ale sprowadza się do tego samego. Nie powinnaś robić takich rzeczy. Gdy będziemy mieć osiemdziesiąt lat, wtedy tak, czemu nie, ale teraz... powinnaś tańczyć. Chodzić na festiwale. Urządzać pikniki. Jeździć na wakacje do ciepłych krajów. Robić wszystko to, co... – Głos mi drżał. Tysiąc razy odbywałem tę rozmowę w myślach, nigdy jednak nie miałem dość siły, by przeprowadzić ją w rzeczywistości, i okazało się to tak trudne, jak przypuszczałem. – Chcę dla ciebie czegoś innego.

– Gdybym miała do wyboru wszystkie możliwości na świecie, też chciałabym dla ciebie czegoś innego – odparła rzeczowym tonem Melissa. – Ale mamy akurat to.

– Możesz mi wierzyć, też chciałbym czegoś innego dla siebie. Jezu, to chyba ostatnia rzecz... – Mój kretyński głos znowu się załamał. – Ale ja nie mam wyjścia. Ty masz.

– Oczywiście, że mam. I chcę być tutaj.

Nie byłem przyzwyczajony do tak niewzruszonego spokoju u Melissy – trzymałem ją w ramionach, gdy panikowała z powodu Nialla, żalostnego niby-stalkera, tuliłem ją, kiedy szlochała nad losem pokazywanych w telewizji dzieci uchodźców albo wygłodzonych szczeniaków, które oglądała na Facebooku – trochę mnie to zbiło z tropu. Kiedy ta rozmowa toczyła się w moich myślach, to ja byłem opanowany i pocieszałem Melissę.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa – powiedziałem. – A tak nie będzie, dopóki jesteś tutaj. Dopóki... – musiałem nabrać powietrza – dopóki jesteś ze mną. Przy mnie miałaś mieć lepsze życie. Nie gorsze. I chyba dotąd tak było. Ale teraz...

– Przecież mam przy tobie zdecydowanie lepsze życie. Głuptasie. – Położyła mi na policzku drobną i ciepłą dłoń. – I przy tobie, i tutaj. Cieszę się, że zostajemy, nie tylko z powodu Hugo. Pobyt tutaj... – zaśmiała się – ...bardzo dobrze ci robi. Wracasz do zdrowia. Może jeszcze tego nie zauważasz, ale ja tak. I to najszczęśliwsza rzecz, jaka mogła mnie spotkać.

Rozmowa w moich myślach zawsze kończyła się pożegnaniem, po którym Melissa odchodziła z płaczem w blasku słońca, jak Orfeusz, a ja zostawałem sam i rozpływałem się w gęstniejącym mroku. Wydawało się to raczej mało prawdopodobne. Od takiego finału zakręciło mi się w głowie, a jednocześnie poczułem, że tracę grunt pod nogami. Nie

potrafiłem wytłumaczyć Melissie, że wszystko zrozumiała opacznie.

– Nie. – Przycisnąłem do policzka jej dłoń. – Posłuchaj, nie ro...

– Ciii. – Podeszła do mnie na palcach, zarzuciła mi ręce na szyję, żeby przyciągnąć mnie bliżej, i mocno mnie pocałowała. – A teraz – odsunęła się z uśmiechem – musimy nakarmić Hugo, bo zemdleje z głodu, a wtedy ty będziesz miał powód do zmartwienia. Włóż grzanki do tosterka.

\* \* \*

Następnego ranka Hugo był w wyraźnie lepszej formie; silniejszy niż przez wiele ostatnich dni, nawet nucił, człapiąc po salonie i szukając książki, którą chciał jeszcze raz przeczytać, a był pewien, że widział ją tam jeszcze parę lat temu. Wyszedłem do ogrodu na papierosa – nabrałem zwyczaju oddalania się na drugi koniec, żebyśmy wszyscy mogli wciąż udawać, że nie palę – i położyłem się na trawie pod drzewem. Wokół cienia, w którym się schroniłem, panował oślepiający blask słońca; na moje ciało sypały się złote monety światła, wszędzie cykały koniki polne, kołysały się żółte maki.

Miałem ochotę pogadać z Dekiem, a jeszcze bardziej z Seanem. Nie rozmawiałem z żadnym z nich od ich odwiedzin w szpitalu; ciągle przysyłali mi SMS-y, na które nawet udało mi się parę razy odpisać, ale na tym nasze kontakty się kończyły. Uświadamiałem sobie, że brakuje mi tych drani. Skończyłem papierosa, przekręciłem się na brzuch i wyjąłem telefon.

Sean odebrał niemal natychmiast, w jego „Halo?” zabrzmiał taki niepokój, że aż się wzdrygnąłem.

– Cześć, stary – powiedziałem. – Jak leci?

– Ja pierdolę. – Dopiero z tonu radosnej ulgi zrozumiałem: kiedy wyświetlił mi się mój numer, Sean o mało nie narobił w spodnie ze strachu, że dzwonię, żeby się pożegnać, albo dzwonią moi rodzice, żeby przekazać mu smutną wiadomość... Pomyślałem, że chyba byłem wredny wobec niego i Deca. – Toby we własnej osobie. Co słychać?

– Niewiele. A u ciebie?

– Wszystko gra. Jezu, stary, nie gadałem z tobą od... Jak się miewasz?

– W porządku. Mieszkam chwilowo u wujka Hugo. Jest chory.

– Ale dobrze się czuje?

– Nie bardzo... nie. Guz mózgu. Zostało mu parę miesięcy.

– O cholera... – Sean szczerze się zmartwił; zawsze bardzo lubił Hugo. – Kurczę, przykro mi to słyszeć. Jak sobie radzi?

– Mimo wszystko nieźle. Jest w domu. Trochę słaby, ale na razie nic poważnego się nie dzieje.

– Pozdrów go ode mnie. Hugo to porządny gość. Dla nas był dobry.

– Powinieneś do nas zajrzeć – zasugerowałem; nie wiedziałem, że to powiem, dopóki propozycja nie padła z moich ust. – Chętnie się z tobą zobaczy.

– Na pewno?

– Jasne. Wpadnij.

– Wpadnę. Na weekend jedziemy z Audrey do Galway, ale będę zaraz na początku przyszłego tygodnia. Wziąć Deca?

– Weź. Sam do niego zadzwonię. A co u niego? Jenna jeszcze go nie zadźgała nożem?

– Kurwa mać. – Sean westchnął przeciągle. – Sześć tygodni temu, kiedy znowu byli ze sobą może z pięć minut, Jenna uznała, że muszą zamieszkać razem. Mówię mu, że będzie kretynem, jeżeli się zgodzi, a on przyznaje mi rację. Do czasu, aż Jenna dostaje szału i zaczyna się drzeć, że chodzi mu tylko o seks. Więc Dec jakoś pod koniec rozmowy postanowił jej udowodnić, że się myli, i z nią zamieszkać.

– Jezu. Już go nigdy nie zobaczymy. Ona go nie wypuści z domu.

– Czeka. Jeszcze lepiej. No więc idą razem szukać mieszkania. Wybierają nieduże, ładne, w Smithfield, wpłacają kaucję i czynsz za pierwszy miesiąc, parę tysięcy. Dec rezygnuje z wynajmu swojej chaty. A tydzień później...

– O nie.

– Tak jest. Jenna oświadcza mu, że chciała go tylko ukarać za to, że „igrał z jej uczuciami”, że nie zamierza z nim mieszkać i że tak naprawdę to go rzuca. Pa, pa.

– Niech to szlag. Jak to zniósł?

– Nie za dobrze. Cały czas próbuję go wyciągnąć na piwo, ale mówi, że mu się nie chce. Zadzwon do niego. Dla ciebie to zrobi.

Zadzwoniłem, ale Dec nie odebrał. Nagrałem mu wiadomość:

– Cześć, ty cholerny idioto. Tylko mi nie mów, że właśnie zaliczasz numerek na zgodę. Jestem u wujka Hugo. Sean mówi, że w przyszłym tygodniu wpadnie. Mógłbyś z nim przyjechać. Zadzwon.

Lubię sobie wyobrażać, że gdyby wszystko ułożyło się inaczej, mieszkalibyśmy z Melissą w Ivy House, co najmniej do śmierci Hugo, może nawet dłużej. Sean i Dec przyjechaliby nas wtedy odwiedzić (Hugo zrobiłby wielkie oczy i uśmiechnął się. „Boże, aleście obaj wyrosli, muszę chyba przestać o was myśleć jak o dwójce obdartych małolatów o nadmiernie rozwiniętej skłonności do psot, chociaż mam nadzieję, że to zachowaliście...”) i zostaliby na długie, leniwe popołudnie z grillem; leżelibyśmy na trawie, nabijając się z Deca, jak to w piątej klasie koleżanka Susanny Maddie wdziękzyła się do niego przez cały wieczór, a on w ogóle tego nie zauważył. Widząc, z jakim spokojem i klasą Hugo staje w obliczu śmierci, doznałbym jakiejś iluminacji, która pozwoliłaby mi uświadomić sobie, że to, co mnie spotkało, można nie tylko przeżyć, ale też pokonać, że to nic więcej jak tylko kłujące ziarenko piasku w oceanie życia. Kuzyni i ja pomogliśmy sobie nawzajem przetrwać trudny czas – ratując się czarnym humorem, trzymając się w objęciach, prowadząc długie pijackie rozmowy do późnej nocy – i wyszlibyśmy z tego smutniejsi, ale bliźsi sobie, złączeni dawną więzią z dzieciństwa, którą wykulibyśmy na nowo. Melissa namówiłaby mnie na fizjoterapię. W pewnym momencie postarałbym się o pierścionek i przyklęknął wśród dzikiej marchwi, a potem, trzymając się za rękę, pobieglibyśmy do domu, żeby przekazać Hugo wiadomość jak gwiazdkę nadziei w nadciągających ciemnościach, znak, że linia genealogiczna będzie kontynuowana, że nic życia niepowstrzymanie snuje się dalej. W końcu wynająłbym pośrednika, żeby sprzedał moje mieszkanie, do którego nawet bym nie zajrzał, i przeniósłbym się do białego georgiańskiego

domu z widokiem na zatokę. Oczywiście nic takiego się nie

wydarzyło, ale czasami, gdy bardzo potrzebuję wytchnienia, lubię udawać, że tak wszystko mogłoby się potoczyć.

\* \* \*

Jak się okazało, trwało to niecałe cztery tygodnie. W piątek rano znowu byłem w ogrodzie i paliłem pod drzewami. Nadciągała jesień, na kolana spadały mi żółte liście brzoź, jagody dzikiego bzu przybierały fioletową barwę, a nadlatujące ptaki dziobały je na próbę; błękit nieba miał chłodny odcień. Ktoś gdzieś strzygł trawę, ale na tyle daleko, że warkot kosiarki brzmiał swojsko i łagodnie.

Gdy dostrzegłem zbliżający się kształt, omal nie wyskoczyłem ze skóry: przechylona, zwalista sylwetka, która niewyraźnie rysowała się na tle skośnych promieni słońca, powoli i nieubłaganie sunęła w moją stronę przez trawę jak posłaniec. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to Hugo, ciężko opierający się na lasce. Wdusiłem papierosa w ziemię i przysypałem go.

– Mogę się przyłączyć? – spytał Hugo nieco zadyszczanym głosem, stając obok mnie.

– Pewnie. – Serce wciąż mi waliło i nie byłem pewien, o co chodzi. Nigdy nie wychodził za mną do ogrodu; gdyby przyłapał mnie na paleniu, naruszyłby jeden z niepisanych układów, na których opierała się delikatna równowaga między nami. – Usiądź.

Z trudem przysiadł na trawie – przygryzając wargę i podpierając się laską, a gdy wyciągnąłem rękę, aby mu pomóc,

gwałtownym ruchem pokręcił głową – po czym oparł się plecami o pień dębu i wyciągnął przed siebie nogi.

– Daj mi papierosa – powiedział.

Po chwili zaskoczenia wyjąłem paczkę, podałem mu papierosa i ogień z zapalniczki. Zaciągnął się głęboko, zamykając oczy.

– Aach – westchnął. – Boże, ależ mi tego brakowało.

– Paliłeś kiedyś?

– O tak. I to nie byle co: paczkę woodbine'ów dziennie. Rzuciłem dwadzieścia lat temu, trochę dlatego, że zaczęliście tu pomieszkiwać i pomyślałem, że nie dawałbym wam dobrego przykładu, ale przede wszystkim dla zdrowia. Zresztą okazało się, że to była zła decyzja, prawda? – Nie wiedziałem, czy krzywy uśmiech miał wyrażać gorycz, czy kącik ust ściągnął mu ten grymas, który niedawno zauważyłem. – Mógłbym przez te dwadzieścia lat palić, ile wlezie, i niczego by to nie zmieniło.

Złamanie następnego układu: nigdy nie rozmawialiśmy o tym, że umiera. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Rozmowa skręcała w złą stronę, niosła ze sobą niebezpieczeństwo, którego nie umiałem zidentyfikować. Zapaliłem kolejnego papierosa i siedzieliśmy, przyglądając się skrzydlatym nasionom klonu spadającym jak miniaturowe helikoptery.

– Dzwoniła Susanna – przerwał milczenie Hugo. – Ten jej szwajcarski specjalista przejrzał moją dokumentację. Zgadza się z tutejszymi lekarzami: nie da się nic więcej zrobić.

– Cholera jasna. – Skrzywiłem się. – Cholera.

– Tak.

– Przykro mi, bardzo.

– Naprawdę myślałem, że nie robię sobie wielkich nadziei – ciągnął Hugo. Nie patrzył na mnie; przyglądał się smudze dymu z papierosa ulatującej w słońce. – Tak mi się wydawało.

Miałem ochotę przyłożyć Susannie. Wredna mała egoistka, która uwielbiała się wymądrzać i z pozycji biednej ofiary prawić morały o złych lekarzach, naraziła Hugo na ten stres, podczas gdy każdy, kto miał odrobinę oleju w głowie, musiał wiedzieć, że to nie ma sensu...

– Susanna zrobiła ci świństwo – rzuciłem. – Cholernie głupie, kurewskie świństwo.

– Nie, miała rację... w zasadzie. Ten specjalista mówił, że w mniej więcej trzech czwartych przypadków z naszych stron, które do niego trafiają, rzeczywiście nie zgadza się z lekarzami i zaleca operację. Na ogół jej celem nie jest wyleczenie, bo rak prędzej czy później wraca, ale darowanie ludziom paru dodatkowych lat życia... Ja akurat znalazłem się wśród jednej czwartej pechowców. Chodzi, zdaje się, o umiejscowienie guza.

– Strasznie mi przykro – powtórzyłem.

– Wiem. – Ostatni raz zaciągnął się papierosem i zgasił go na ziemi. Kiedy się schylał, jego gęste włosy poruszyły się, odsłaniając łyse miejsce z boku głowy, przez które przenikały promienie podczas radioterapii. Na jego znoszonej koszuli tańczyła mozaika promieni słonecznych i cieni liści. – Mogę jeszcze jednego?

Poczęstowałem go następnym papierosem.

– Powinienem spróbować wszystkiego – oznajmił. – Speedu, LSD i tak dalej. Heroiny. W czasach mojej młodości niewiele tego

było... parę razy paliłem hasz, ale raczej mnie nie wciągnęło...  
Myślisz, że Leon wiedziałby, gdzie dostać LSD?

– Wątpię. – Wizja niańczenia Hugo, który odlatuje na kwasie, nie mieściła mi się w głowie. – W Dublinie pewnie nie zna nikogo.

– Oczywiście, że nie. A ja pewnie i tak bym tego nie wziął. Nie zwracaj na mnie uwagi, Toby. Gadam bzdury.

– Chcielibyśmy tu zostać – powiedziałem. – Ja i Melissa. Dopóki... dopóki będziemy się mogli do czegoś przydać. Jeżeli się zgodzisz.

– I co mam na to odpowiedzieć? – Hugo odchylił głowę do tyłu, a w jego głosie nagle zabrzmiała cierpka nuta rozgoryczenia. – Wiem, powinienem wam dziękować na kolanach... Tak, Toby, powinienem, kiedy sobie wyobrażę, jak resztki życia wyciekają ze mnie w jakimś piekielnym szpitalu... I oczywiście, że się zgodzę, obaj o tym wiemy. Jestem wam niewymownie wdzięczny, ale chciałbym mieć jakiś wybór. Chciałbym was poprosić, żebyście zostali, bo świetnie się z wami czuję, a nie dlatego, że jesteście mi rozpaczliwie potrzebni. Chciałbym... – Podniósł głos i uderzył dłonią w korzeń drzewa. – Do cholery, chciałbym mieć tu coś do powiedzenia.

– Przepraszam – wymamrotałem po chwili. – Nie chciałem... wywierać presji. Nic podobnego. Pomyślałem tylko...

– Wiem, że nie chciałeś. Nie o tym mówię. Bynajmniej. – Przetarł dłonią twarz. Przyływ energii ustąpił równie szybko, jak się pojawił, i Hugo bezwładnie oparł się o pień drzewa. – Mam po prostu serdecznie dosyć tego, że jestem zdany na łaskę i niełaskę tego paskudztwa. Że to ono podejmuje za mnie

wszystkie decyzje. Zżera mi nie tylko mózg, ale też niezależność, po kawałku wyżera mi życie. To mi się nie podoba. Chciałbym...

Czekałem, ale nie dokończył. Nabrał tchu i wyprostował się.

– Bardzo bym chciał, żebyście zostali – oznajmił mi oficjalnie. Nie patrzył na mnie, ale na ogród. – Oboje, ty i Melissa. Pod warunkiem że coś mi obiecasz. Jeżeli zechcecie zmienić zdanie, możecie to śmiało zrobić. W każdej chwili.

– W porządku – odparłem. – Zgoda.

– To dobrze. Dziękuję. – Poszukał kawałka gołej ziemi i rozgniótł na niej niedopałek. – Muszę cię prosić o coś jeszcze. Chciałbym, żeby moje zwłoki poddano kremacji, a prochy rozsypano tutaj, w ogrodzie. Będziesz mógł tego dopilnować?

– Powinieneś... – zacząłem. Rozmowa stawała się coraz trudniejsza do zniesienia, jak przemysłne tortury, które gdy tylko zdołałem złapać oddech, zadawały mi precyzyjnie odmierzoną dawkę bólu, odrobinę większą od poprzedniej. Krążyły mi po głowie idiotyczne pomysły: może powiedzieć, że usłyszałem dzwonek telefonu w domu, może udawać, że zasnąłem w pół zdania, cokolwiek, byle to przerwać. – Powinieneś spisać testament. Zadbaj o to. Na wypadek gdyby ktoś chciał się kłócić, zrobić coś innego...

– Testament – prychnął ponuro. – Powinienem, nie powinienem. Codziennie powtarzam sobie: „W tym tygodniu, muszę wszystko uporządkować w tym tygodniu, poproszę Eda albo Phila, żeby polecili mi dobrego adwokata”. A potem patrzę na ich twarze i myślę: „Nie mogę im tego zrobić, na pewno nie dzisiaj. Wybiorę dzień, kiedy będą w lepszej formie...”. I zanim się obejrzę, mija następny tydzień. Zdaje się, że ta psycholożka

w szpitalu miała zupełną rację. Zaprzeczanie. Gdzieś w głębi duszy chyba ciągle mam nadzieję.

Dotychczas nie pamiętałem, by spytać Hugo, co się stanie z domem. Przypomniała mi o tym dopiero rozmowa o testamencie.

– Dom... – zacząłem. – Jeżeli zrobisz sobie... to znaczy, jeżeli chcesz, chcesz tu być... – zatoczyłem ręką nieokreślony łuk, pokazując na ogród – to dom powinien zostać w rodzinie. Prawda?

Odwrocił głowę i uważnie, w skupieniu spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi.

– Chcesz tego? – zapytał.

– Tak. Bardzo.

– Hm. – Jego brwi drgnęły. – Nie sądziłem, że tak się do niego przywiązałeś.

– Ja też nie sądziłem. To znaczy... może nie tak bardzo się przywiązałem, sam nie wiem. Bardziej... teraz... odkąd wróciłem.

– Nie miałem pojęcia, jak to wytłumaczyć. – Byłoby mi przykro, gdyby został sprzedany.

Wciąż na mnie patrzył; zaczęła mnie ogarniać nerwowość.

– A twoi kuzyni? Co oni o tym sądzą?

– To samo. Bardzo chcieliby... chcieliby zatrzymać dom. Nie chodzi mi o to, że wszyscy próbujemy go wyrwać dla siebie, to zupełnie nie tak. – Czoło przecięła mu delikatna zmarszczka, nie miałem pojęcia, co sobie pomyślał. – Ale to w końcu rodzinny dom, prawda? Dlatego martwią się, że Phil będzie chciał go... no, sprzedać. Nie twierdzą, że nie będzie go obchodzić, co z nim będzie, ale...

- Dobrze – przerwał mój bełkot Hugo. – Zajmę się tą sprawą.
- Dzięki. Dziękuję.

Zdjął okulary i przetarł je połą koszuli. Oczy, wpatrzone nieruchomo w zalany słońcem ogród, wydawały się ślepe.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym na parę minut zostać sam – powiedział.

– Jasne. – Wahalem się przez chwilę, nie ruszając się z miejsca. Rozgniewał się na mnie? Dałem ciała, obraziłem go, mówiąc o jego śmierci jak o fakcie dokonanym? Będzie umiał wstać bez mojej pomocy? Hugo nie zwracał jednak na mnie najmniejszej uwagi, więc w końcu dałem za wygraną i wszedłem do domu.

\* \* \*

Spędził w ogrodzie jeszcze ponad godzinę, po prostu siedząc w cieniu drzew tak nieruchomo, że szperające w trawie ptaki zbliżyły się do niego na odległość kilkudziesięciu centymetrów (kręciłem się po kuchni, żeby mieć go na oku, ale nie zbliżałem się do okien). Kiedy wrócił, był ożywiony i trochę nieobecny duchem, chciał się jak najprędzej wziąć do pracy – poprzedniego dnia przeprowadzał jakąś niezrozumiałą triangulację DNA i odkrył coś na temat rodziny pani Wozniak. Znalazł kolejnych kuzynów oraz kuzynów kuzynów w Tipperary; tłumaczył mi to, ale nie zapamiętałem. W ogóle nie wspominał o rozmowie w ogrodzie, więc z truchlejącym sercem zacząłem się zastanawiać, czy o tym wszystkim nie zapomniał.

Nazajutrz rano przy śniadaniu oznajmił nam jednak wesoło, że po południu wpadną Susanna ze swoją gromadką i Leon.

– Upieczmy jabłecznik z orzechami. Wiem, dzieci za nim nie przepadają, ale to moje ulubione ciasto, a od czasu do czasu mogę chyba bezwstydnie wykorzystać sytuację, żeby postawić na swoim. Poza tym – dodał, uśmiechając się do mnie – z jabłecznikiem z orzechami jest mniej zawracania głowy niż z LSD, prawda?

I tak w sobotę po południu siedzieliśmy w salonie przy cieście i herbacie. Dom wypełniał się aromatem jabłek i cynamonu, za oknami szarzało nieruchome niebo. Tom z przejęciem opowiadał, jak w końcu udało mu się dotrzeć do najbardziej apatycznego dziecka w piątej klasie, w której uczył historii, dzięki temu, że wytknął jakiś mało wiarygodny szczegół *Gry o tron*, i wyraźnie się z tego cieszył. Susanna i Melissa budowały więź, rozmawiając o jakimś nowym zespole, który obie lubiły, na co Leon przewracał oczami i proponował, że zrobi im playlistę prawdziwej muzyki, a Hugo żartował sobie z nas wszystkich, bo nie doceniamy Beatlesów. Wyglądało to na typowe sympatyczne popołudnie w rodzinnym gronie, ale wszyscy wiedzieliśmy, że nie jest to zwyczajne spotkanie; czułem, że każdy zastanawia się i czeka, ukradkiem rzucając pozostałym pytające spojrzenia. Nie zwracałem na to uwagi. Nadal miałem paskudne wrażenie, że w jakiś niejasny, ale istotny sposób spieprzyłem tę rozmowę z Hugo i zaraz wszystko weźmie w łeb.

Nie pomagała nam obecność dzieci Susanny. Potrafiły się skoncentrować mniej więcej na tak długo, ile trwało jedzenie ciasta, i gdy Tom i Leon uprzątnęli talerze, Zach zaczął krążyć po

salonie jak szerszeń, kopiąc czubkiem buta w różne rzeczy, rzucając w ludzi kulkami papieru i trącając mnie w łokieć za każdym razem, gdy mnie mijał.

– Wujku Hugo! – odezwał się tonem nieznoszącym sprzeciwu. Kołysał się na oparciu fotela Hugo, zawiesiwszy się na nim ramionami jak szympan. – Mogę wyciągnąć narzędzia?

– Zach – upomniała go surowo Susanna z kanapy, gdzie razem z Melissą z rozmarzonymi minami oglądały na ekranie telefonu wideo swojego nowego ulubionego zespołu. – Zejdź z tego fotela.

Jej syn wydał okropny odgłos, jakby wymiotował, i z niesmakiem zsunął się na podłogę, o mały włos nie depcząc Sallie, która leżąc na brzuchu, jeździła jakąś zabawką po dywanie i mówiła do siebie.

– Wujku! – rzucił głośnie. – Mogę...

Hugo odwrócił się ze skrzyknięciem fotela i położył mu dłoń na głowie.

– Nie teraz. Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami i resztą dorosłych. Idźcie z Sallie na dwór.

– Ale...

Hugo pochylił się, skinieniem palca przywołał Zacha, a kiedy chłopak ukląkł, szepnął mu coś do ucha. Usta chłopca rozciągnęły się w uśmiechu.

– Aha – powiedział. – Chodź, Sal! – I śmignął do ogrodu, a siostra pobiegła za nim.

– Co mu powiedziałaś? – zapytała podejrzliwie Susanna.

– Że w ogrodzie jest ukryty skarb i jeżeli go znajdą, będą go mogli zatrzymać. Prawdopodobnie nie kłamałem, przez te lata na pewno pogubiono tam masę rzeczy. Dadzą sobie radę. –

Ostrożnie usadowił się z powrotem w fotelu. – Naprawdę muszę porozmawiać z wami wszystkimi. Susanna, mogłabyś zawołać na chwilę Leona i Toma?

Wyszła, posyłając mi po drodze przeszywające, choć nieodgadnione spojrzenie. Usiedliśmy posłusznie jak uczniaki, Melissa i ja na jednej kanapie, Leon i Susanna na drugiej, Tom przycupnął na poręczy naprzeciwko Hugo, opierając ręce na kolanach i przybierając minę nieco zatroskanego ogólną sytuacją bernardyna. Przez otwarte drzwi w kuchni wpadały chłodne podmuchy wiatru i okrzyki komenderującego siostrą Zacha.

– Tobi zwrócił mi uwagę – zaczął Hugo – że musimy sobie wyjaśnić, co się stanie z tym domem po mojej śmierci.

– Och, nie wiedziałam... – Melissa wstała. – Pójdę popilnować Zacha i Sallie – zwróciła się do Susanny.

– Nie – padła natychmiastowa i stanowcza odpowiedź Hugo, który wyciągnął rękę, by dotknąć jej ramienia. – Zostań, moja droga. Ciebie to też dotyczy. – Z lekko drwiącym uśmiechem dodał: – Czy ci się to podoba, czy nie.

Melissa wahała się przez chwilę, ale gdy uśmiechnął się do niej i uspokajająco skinął głową, usiadła z powrotem.

– No dobrze – rzucił. – Tobi twierdzi, że on i wy dwoje, Susanna i Leon, uważacie, że dom powinien zostać w rodzinie. Zgadza się?

Oboje się wyprostowali.

– Ja tak – powiedziała Susanna.

– Zdecydowanie – przytaknął Leon.

– I martwicie się, że Phil i Louisa mogliby sprzedać Ivy House, gdyby dostali go w spadku.

– Sprzedaliby – potwierdziła Susanna. – Ciągłe powtarzają, że trzeba zadbać o lepszą sytuację dzieci.

Hugo uniósł brew.

– A ty nie chcesz poprawić sobie sytuacji?

– Radzimy sobie. To nie tak, że bez tych pieniędzy skończymy na ulicy. Dzieci nie potrzebują egzotycznych wakacji ani kursu żeglarstwa, ani ogromnego domu z pokojem kinowym. Nawet nie chcę, żeby zawracały sobie głowy takimi bzdetami. Ale rodzice nie chcą mnie słuchać.

Hugo zerknął na Toma, a ten pokiwał głową.

– A co sądzą twoi rodzice? – zwrócił się do Leona.

Leon wzruszył ramionami.

– Tato nie jest zachwycony pomysłem sprzedania domu. Ale wiesz, jaki jest. Jeżeli Phil będzie go mocno naciskał...

– ...Oliver w końcu ulegnie – dokończył Hugo. – Tak. A twoi, Toby?

– Nie mam pojęcia. – Cała sytuacja wydawała mi się trochę nierealna, jak starannie odegrana scena z serialu, w której członkowie klanu gromadzą się w salonie, by wysłuchać życzeń umierającego patriarchy. – Tato uwielbia ten dom, ale... Nie rozmawiałem z nim o tym.

– Ed jest sentymentalny – orzekł Hugo. – W głębi duszy. – Ostrożnie przestawił nogi, tę słabszą poprawiając dłonią, by znalazła się we właściwym miejscu. – Otóż pytanie brzmi: jeżeli dom pozostanie w rodzinie, co zamierzacie z nim zrobić? Czy któreś z was chce tu zamieszkać?

Spojrzelśmy po sobie. Mignęła mi niepokojąca wizja samego siebie za czterdzieści lat, człapiącego po Ivy House z filiżanką

herbaty Lapsang Souchong, w wypchanych na kolanach sztruksach.

– No, ja mieszkam w Berlinie – odezwał się Leon. – Nie twierdzę, że na stałe, że już nigdy nie wrócę, ale...

– My moglibyśmy – powiedziała Susanna, która poufnie wymieniała skomplikowane spojrzenia z Tomem. – Musielibyśmy o tym porozmawiać.

– Zapłacilibyście dość spory podatek od spadku – zauważył Hugo. – Byłoby was stać?

Wydawało mi się to coraz bardziej surrealistyczne: ten spokojny ton Hugo, który siedział w fotelu i z biznesową rzeczowością mówił o sytuacji za kilka miesięcy, kiedy nie będzie już istniał; ta milcząca zgoda nas wszystkich, że to absolutnie racjonalne zachowanie. W powietrzu wyczuwałem ciężki i kwaśny smak jak w podziemiu. Chciałem stąd wyjść.

– Moglibyśmy sprzedać swój dom – podsunęła Susanna. – Powinno wystarczyć.

– Hm... – Hugo odchrząknął. – Jedyne szkopuł w tym, że to niesprawiedliwe wobec chłopców. Przecież nie mam niczego więcej, co mógłbym im zapisać... na pewno nic, co dorównywałoby wartości domu.

– Mnie na tym nie zależy – oświadczył Leon. Siedział rozparty w rogu kanapy, na pierwszy rzut oka luz blues, ale palcami wybijał nerwowy rytm na udzie; nie czuł się wcale lepiej ode mnie. – Su może mnie kiedyś spłacić, gdyby wygrała w totka. Albo i nie. Wszystko jedno.

– Toby?

– Nie wiem. – Zderzało się ze sobą za dużo czynników; moja głowa przypominała stary komputer, który zawiesił się od zbyt wielu uruchomionych naraz programów. – Nigdy... nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Moglibyśmy... – włączył się niepewnie Tom. Przez ułamek sekundy miałem nieprzewartą ochotę dać mu w pysk. Co on sobie wyobraża, wtrącając się do tej rozmowy? – To znaczy, pod warunkiem że chłopcy nie będą mieli nic przeciwko temu. Wszyscy troje mogliby zostać właścicielami, my mieszkalibyśmy tu i płacili im czynsz za ich dwie trzecie...

– Jeżeli będziemy chcieli tu mieszkać – poprawiła go Susanna, rzucając mu z ukosa ostrzegawcze spojrzenie. – Jeszcze nie jestem tego pewna.

– No tak. Jeżeli. I oczywiście musielibyśmy ustalić wszystkie...

Z ogrodu dobiegł krzyk Zacha. Wcześniej bez przerwy słyszeliśmy wołanie dzieci, ale to było coś innego: ochryply, pierwotny wrzask obłądnego przerażenia.

Zanim zdążyłem sobie uzmysłowić, co to za dźwięk, blada jak płótno Susanna zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju. Tom ruszył zaraz za nią.

– Co jest, do cholery? – mruknął Leon, po czym we trójkę, on, ja i Melissa, wstaliśmy i popędziliśmy za nimi.

Zach i Sallie byli na końcu ogrodu. Stali jak wryci, z wyciągniętymi przed siebie w szoku rękami, i teraz krzyczeli już oboje; przenikliwy, nieludzki pisk Sallie zagłuszał spazmatyczne ryki Zacha. Tupot moich stóp, głośny oddech w uszach. Z drzew poderwała się fala ptaków. A na jasnozielonej trawie przed Zachem i Sallie leżało coś o żółtobrazowej barwie

i choć nigdy w życiu nie widziałem tego na własne oczy, bez chwili namysłu zrozumiałem, że to ludzka czaszka.

Pamiętam, jak świat się wtedy zatrzymał. Wszystko zastygło w bezruchu i stanie nieważkości nad wolno obracającą się Ziemią, zawieszona w niezmaconej ciszy, która trwała i trwała, zdążyłem więc zauważyć każdy szczegół: rudozłote włosy Susanny zatrzymane w pół ruchu na tle szarego nieba, szeroko otwarte usta Zacha, wychyloną do przodu sylwetkę Leona, gdy nagle się zatrzymał. Dziwne, ale ta scena najbardziej przypominała mi chwilę, kiedy włączyłem światło w swoim salonie i dwaj włamywacze odwrócili się, by na mnie spojrzeć. Jedno mgnienie oka, zerknięcie w bok i gdy spojrzy się znowu, wszystko jest już inne; drzewa, mur wokół ogrodu i ludzie wyglądali tak samo, ale byli z innego, obcego, materiału. Świat wyglądał, jakby się nie zmienił, a jednak stałem w zupełnie innym miejscu.

## 5

Susanna chwyciła Sallie pod pachę i równocześnie złapała za rękę Zacha, po czym szybko pociągnęła dzieci w stronę domu, wciskając im po drodze kit, który miał je uspokoić. Sallie wciąż się wydzierała i jej wrzask przerywał rytm kroków Susanny; Zach wydawał teraz dzikie wrzaski i szarpał rękę matki, próbując do nas wrócić. Gdy zatrzasnęły się za nimi drzwi do kuchni, na ogród opadła cisza gęsta jak popiół wulkaniczny.

Czaszka leżała na boku w trawie, między kępą rumianku a cieniem rzucanym przez wiąz górski. Jeden oczodół wypełniony był grudą ciemnej ziemi, przetykanej płataniną jasnych korzeni; szczęka była krzywo rozwarta w niemym skowycie. Do kości przywarły kępki czegoś brązowego, jakby włosów czy mchu.

Nasza czwórka stała w półkolu, jakbyśmy się zebrali na jakąś niezrozumiałą ceremonię inicjacji, czekając na sygnał jej rozpoczęcia. Wysoka i mokra trawa wokół naszych stóp pochylała się pod ciężarem deszczu, który padał rano.

- Wygląda... – odezwałem się – wygląda na ludzką.
- Sztuczna – zawyrokował Tom. – Pewnie jakaś zabawka z Halloween.
- Nie wydaje mi się, żeby była sztuczna – wtrąciła się Melissa.

Objąłem ją ramieniem. Uniosła rękę, żeby ująć moją dłoń, ale z roztargnieniem, nie odrywając wzroku od czaszki.

– Nasi sąsiedzi postawili przed domem szkielet – powiedział Tom. – W zeszłym roku. Wyglądał dokładnie jak prawdziwy.

– Nie wydaje mi się, żeby to było sztuczne.

Żadne z nas nie podchodziło bliżej.

– Jak sztuczna czaszka mogłaby się tu znaleźć? – spytałem.

– Nastolatki się bawiły – wyjaśnił Tom. – Przerzuciły ją przez mur albo wyrzuciły przez okno. Skąd by się tu wzięła prawdziwa czaszka?

– Może być stara – odparła Melissa. – Sprzed kilkuset lat, może nawet paru tysięcy. Dzieci ją wykopały. Albo lis.

– Sztuczna jak cholera – orzekł Leon. Mówił wysokim i napiętym ze złości głosem; czaszka napędziła mu porządnego stracha. – To zresztą wcale nie jest śmieszne. Ktoś mógłby dostać zawału. Wywalcie to w diabły, zanim Hugo to zobaczy. W szopie jest łopata, ja tego nie zamierzam dotykać.

Tom zrobił trzy kroki naprzód, przyklęknął przy czaszce i pochylił się. Zaraz jednak szybko się wyprostował, wciągając z sykiem powietrze przez zęby.

– No dobra. Chyba prawdziwa – przyznał.

– Kurwa mać. – Leon odrzucił głowę do tyłu. – Wykluczone, przecież nie ma żadnej możliwości...

– Sam się przyjrzyj.

Leon nie ruszył się z miejsca. Tom cofnął się, ocierając dłonie o spodnie, jak gdyby dotknął czaszki.

Po biegu przez ogród pulsowała mi blizna, każde uderzenie ostrego młoteczka w środku lekko przekrzywiało widziany

przeze mnie obraz. Wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeżeli wszyscy pozostaniemy w kompletnym bezruchu i zaczekamy, aż coś z łopotem skrzydeł spadnie z góry i porwie to coś z powrotem do jakiegoś innego, kipiącego od zła świata, który rzucił nam to do stóp. Bałem się, że jeśli któreś z nas przesunie się o pół kroku albo odetchnie, szansa przepadnie i ruszy łańcuch strasznych wydarzeń, którego już nie da się zatrzymać.

– Pokażcie – odezwał się za naszymi plecami cichy głos Hugo. Wszyscy aż podskoczyliśmy.

Przeszedł między nami, wbijając łaskę w ziemię z rytmicznym chrzęstem, i pochylił się, by spojrzeć.

– Aha – mruknął. – Tak. Zach miał rację.

– Hugo – powiedziałem. Był jak zbawienie, jedyna osoba na świecie, która na pewno wiedziała, jak to wszystko cofnąć, żebyśmy mogli wrócić do środka i porozmawiać jeszcze o domu.

– Co zrobimy?

Obrócił głowę, by zerknąć na mnie przez ramię, i poprawił palcem okulary.

– Zadzwonimy na policję, oczywiście – odparł spokojnie. – Zaraz to zrobię. Chciałem tylko przekonać się na własne oczy.

– Ale... – zaczął Leon i urwał.

Hugo na moment zatrzymał na nim łagodne, pozbawione wyrazu spojrzenie, po czym znowu pochylił się nad czaszką.

\* \* \*

Spodziewałem się zobaczyć detektywów w cywilu, ale zjawili się mundurowi: dwaj faceci o grubych karkach i nieruchomych

twarzach, mniej więcej w moim wieku, na tyle podobni, że mogli być braćmi. Obaj mówili z akcentem ze środkowej Irlandii, mieli na sobie żółte odblaskowe kamizelki i zachowywali się z pedantyczną uprzejmością, która, jak dawali do zrozumienia, była uzależniona od dalszego rozwoju wypadków. Przyjechali szybko, ale nie sprawiali wrażenia szczególnie przejętych tym, co się stało.

– Możliwe, że to czaszka zwierzęcia – powiedział wyższy z nich, idąc korytarzem za mną i Melissą. – Albo jakieś stare szczątki. Archeologiczne, że tak powiem.

– W każdym razie dobrze, że nas państwo zawiadomili – dodał drugi. – Lepiej dmuchać na zimne.

Hugo, Leon i Tom wciąż byli w ogrodzie; stali dość daleko od znaleziska.

– No dobrze. – Wyższy policjant skinął im głową. – Popatrzmy na to.

On i jego partner przykucnęli obok czaszki; nogawki ich spodni napięły się na masywnych udach. Zauważyłem, jak w pewnej chwili ich spojrzenia się spotkały.

Wyższy wyjął z kieszeni długopis, wsunął do pustego oczodołu i ostrożnie przechylił czaszkę na jeden bok, potem na drugi, oglądając ją pod każdym kątem. Następnie długopisem odgarnął ze szczęki wysoką trawę i nachylił się, by sprawdzić użębienie. Leon zaciekle obgryzał paznokieć.

Gdy policjant uniósł wzrok, miał jeszcze bardziej obojętną minę niż wcześniej.

– Gdzie to znaleziono? – zapytał.

– Znalazł ją wnuk mojego brata – poinformował go Hugo. On z nas wszystkich zachowywał największy spokój; Melissa ciasno otoczyła się ramionami, Leon niemal podrygiwał z napięcia i nawet Tom był blady i zszokowany, włosy sterczały mu, jak gdyby nastroszył je rękami. – Twierdzi, że w pustym pniu drzewa. Przypuszczam, że w tamtym, ale nie jestem pewien.

Wszyscy spojrzeliśmy na drzewo. Było największe w ogrodzie i najlepiej się na nie wspinało: masywny i koślawy, szarobrązowy pień o średnicy może półtora metra, najeżony mnóstwem szorstkich guzów, które były doskonałym oparciem dla rąk i nóg, aż do wysokości mniej więcej dwóch i pół metra, gdzie rozwidlał się na grube konary, ciężkie od ogromnych liści. Właśnie z tego wiązu zeskoczyłem i złamałem nogę w kostce, gdy byłem mały; skóra mi ścierpła na myśl, że czaszka mogła tam tkwić cały czas, że mogłem się znaleźć zaledwie parę centymetrów od niej.

Wyższy z gliniarzy zerknął na kolegę. Ten wyprostował się i z zadziwiającą zwinnością wdrapał się na wiąz. Wpierając stopy w korę, złapał się jedną ręką gałęzi, a drugą wyjął z kieszeni latarkę w kształcie długopisu i skierował światło do wnętrza szczeliny w pniu; obejrzał ją dokładnie, otwierając usta z wysiłku. Wreszcie z łomotem zeskoczył na trawę, stęknął i lekko skinął głową partnerowi.

– Gdzie jest teraz wnuk pańskiego brata? – zapytał wyższy policjant.

– W domu – odparł Hugo. – Z matką i siostrą. Siostra była z nim, kiedy to znalazł.

– Dobrze. – Policjant podniósł się z kucek i schował długopis. Spojrzał w niebo trochę nieobecny wzrokiem; ze zdumieniem zorientowałem się, że jest zachwycony. – Chodźmy zamienić z nimi parę słów. Proszę wszystkich za mną. – Zwracając się do kolegi, polecił: – Zawiadom detektywów i biuro.

Drugi policjant skinął głową. Kiedy zmierzaliśmy w stronę domu, ostatni raz obejrzałem się przez ramię: gliniarz stał na szeroko rozstawionych nogach i z obojętną miną stukał palcem w ekran telefonu, rosły wiąz pysznił się gęstą zielenią pełni lata, a na ziemi między nimi leżał niewielki, brązowy kształt, ledwie widoczny wśród stokrotek i wysokich traw.

\* \* \*

Susanna siedziała na kanapie, między dziećmi, i obejmowała je ramionami. Była jeszcze bledsza niż zwykle, ale wyglądała na dość opanowaną, a dzieci już przestały krzyczeć. Z bezpiecznych objęć matki zmierzyły policjanta takim samym nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział gliniarz. – Chciałbym porozmawiać z tym młodym człowiekiem, jeżeli czuje się na siłach.

– Nic mu nie jest – odparła Susanna. – Prawda?

– Oczywiście, że nic – przytaknął z entuzjazmem policjant. – Przecież to duży chłopak. Jak masz na imię, synu?

Zach wyśliznął się spod ręki matki i nieufnie popatrzył na policjanta.

– Zach.

– A ile masz lat?

– Sześć.

Gliniarz wydobył notes i niezgrabnie kucnął obok stolika, by znaleźć się jak najbliżej Zacha.

– Świetnie, że znalazłeś to coś. Wspiąć się na takie wielkie drzewo to wyczyn dla takiego smyka.

Chłopiec przewrócił oczami, ale niezbyt ostentacyjnie.

– Powiesz mi, co się tam stało?

Zach najwidoczniej uznał jednak, że nie lubi tego człowieka. Wzruszył ramionami, wbił czubek buta w dywan i patrzył, jak się marszczy.

– Powiedz mi, co zrobiłeś na początku, kiedy wyszedłeś do ogrodu. Pobiegłeś od razu do tego drzewa? Czy zrobiłeś wcześniej coś innego?

Zach znowu wzruszył ramionami.

– Bawiłeś się, co? Byłeś Tarzanem?

Przewrócił oczami.

– Zach – odezwała się spokojnie Susanna. – Powiedz panu policjantowi, co się stało.

Jej syn narysował stopą linię na dywanie i przyglądał się jej badawczo.

– Zach! – rzucił surowo Tom.

– Nic się nie stało – uspokoił go policjant, choć nie wyglądał na zadowolonego. – Jeżeli wolisz, możesz porozmawiać z detektywami, kiedy przyjadą. – Słowo „detektywi” zelektryzowało obecnych; usłyszałem, jak ktoś wstrzymał oddech, ale nie wiedziałem kto. – A może ta młoda dama? Powiesz mi, co się tam stało?

Zach posłał Sallie groźne spojrzenie. Zadrzała jej broda i dziewczynka wtuliła twarz w brzuch Susanny.

– No dobrze – rzucił policjant i wyprostował się, dając za wygraną. – Zostawimy to na później. Jeszcze się nie otrząsnęły, trudno się dziwić. Czy przybiegły potem do pani, pani...

– Hennessy. Susanna Hennessy. – Trzymała jedną dłoń na szyi córki, a drugą zaciskała na ramieniu syna tak mocno, że chłopak zaczął się wić. – Byliśmy w domu. Usłyszeliśmy ich krzyki, więc wszyscy wybiegliśmy do ogrodu.

– A to coś... kiedy państwo wybiegli, leżało tam, gdzie teraz? Na trawie obok drzewa?

– Tak.

– Czy ktoś tego dotykał? Oprócz pani syna?

– Sal – powiedziała łagodnie Susanna. – Dotykałaś tego?

Mała pokręciła głową, nie odrywając twarzy od jej bluzki.

– Ktoś jeszcze? – spytał policjant.

Wszyscy pokręciliśmy głowami.

Zapisał coś w notesie.

– Pani tu mieszka? – zwrócił się do Susanny.

– Ja – rzucił Hugo. Wolno i ostrożnie obszedł nas wszystkich i usiadł w fotelu. – Ci troje to moja bratanica i bratankowie, Tom jest mężem mojej bratanicy, a Melissa dziewczyną Toby'ego. Oboje goszczą u mnie, ale na stałe mieszkam tu sam.

– Jak się pan nazywa?

– Hugo Hennessy.

– Jak długo pan tu mieszka?

– Całe życie, z niewielkimi przerwami. Dom należał do moich rodziców, a wcześniej do dziadków.

– Czyli od kiedy jest własnością rodziny?

Hugo zastanawiał się, w roztargnieniu pocierając jedno z łysych miejsc po radioterapii.

– Chyba od tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego – odparł w końcu. – A może dwudziestego szóstego.

– Mhm. – Policjant patrzył w swoje notatki. – Domyśla się pan, ile lat może mieć to drzewo? Pan je zasadził?

– Boże drogi, nie. Kiedy byłem mały, było już stare. To wiąz górski... dożywają kilku stuleci.

– A to coś na trawie... Domyśla się pan, kto to mógł być?

Hugo pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia.

Gliniarz potoczył wzrokiem po naszych twarzach.

– A ktoś z państwa? Jakies podejrzenia?

Znowu wszyscy pokręciliśmy głowami.

– No dobrze. – Zamknął notes i wsunął do kieszeni. – Muszę państwa uprzedzić, że być może będziemy tu musieli zostać na dłużej.

– Na jak długo? – spytała ostrym tonem Susanna.

– W tym momencie nie potrafię powiedzieć. Będziemy państwa informować. I postaramy się jak najmniej przeszkadzać. Jest jakieś inne wejście do ogrodu oprócz tego przez dom? Żebyśmy nie musieli tędy wchodzić i wychodzić?

– Są drzwi w murze na końcu ogrodu – oznajmił Hugo. – Prowadzą prosto na uliczkę z tyłu. Nie bardzo wiem, gdzie może być klucz...

– W szafce w kuchni – wtrącił Leon. – Widziałem go w zeszłym tygodniu, pójdę po niego. – I wymknął się szybko jak

cień.

– Świetnie. – Policjant rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na Tomie. – Panie...

– Farrell. Thomas Farrell.

– Panie Farrell, poproszę pana o sporządzenie listy nazwisk i danych kontaktowych wszystkich tu obecnych. Będzie nam też potrzebna lista osób, które mieszkały w tym domu, jak najdalej mogą państwo sięgnąć pamięcią, no i dat. Na razie nie muszą być dokładne, wystarczy na przykład „Babcia Hennessy mieszkała, powiedzmy, od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego do śmierci w roku dwutysięcznym”, coś w tym rodzaju. Może pan to zrobić?

– Nie ma sprawy – zapewnił go pospiesznie Tom. Nawet w tych okolicznościach poczułem przypływ oburzenia. Jasne, Hugo wyraźnie nie był zdrow, Leon wyglądał jak uciekinier z tribute bandu grającego kawałki Sex Pistols, a Susanna była obwieszona dziećmi, ale przecież ja stałem tuż obok gliniarza i w odróżnieniu od Toma należałem do rodziny, więc dlaczego ten facet pominął mnie, do jasnej cholery?

Wrócił Leon z kluczem.

– Proszę. – Podał go policjantowi. – Nie wiem, czy da się przekręcić, nikt nie korzysta z tych drzwi, więc mogły zupełnie...

– Dziękuję bardzo – odparł policjant, chowając klucz do kieszeni. – Poproszę też, żeby państwo przez jakiś czas zostali w tym pokoju. Jeżeli ktoś będzie chciał skorzystać z toalety albo kuchni, naturalnie nie ma sprawy, ale do ogrodu nie wolno wychodzić aż do odwołania. Więcej powiedzą państwu detektywi. Mogą tu państwo na nich poczekać? Czy ktoś jest gdzieś umówiony, musi dokądś jechać?

Nikt nie musiał opuszczać domu.

– To świetnie – rzucił gliniarz. – Jesteśmy wdzięczni za współpracę. – I wyszedł z salonu, zamykając za sobą drzwi trochę za mocno. Jego ciężkie kroki zadudniły na schodach do kuchni.

– Hm... – odezwał się Hugo. – Był trochę... nieporadny, prawda? Nieopierzony, to jest chyba słowo, którego szukałem. Spodziewałem się kogoś bardziej... nie wiem, wyrobionego. Pewnie naczytałem się za dużo kryminałów. Sądzicie, że zna się na tym, co robi?

– Otoczyli cały ogród taśmą – poinformował nas Leon. – Taką białą-niebieską. Z napisem POLICJA. WSTĘP WZBRONIONY.

Nikt się nie odezwał. Po chwili Melissa usiadła na kanapie i sięgnęła po talię kart leżącą na stoliku.

– Chyba jakiś czas tu posiedzimy – powiedziała. – Ktoś ma ochotę zagrać w remika?

\* \* \*

Na przyjazd detektywów czekaliśmy bardzo długo. Przyniosłem papier i długopis z gabinetu Hugo i Tom zabrał się za przygotowanie list – „Su, przypomnij mi, kiedy zmarł twój dziadek?”, „Hugo, pamiętasz, kiedy wprowadziłeś się z powrotem?”, „Wpisujemy wakacje, które tu spędzaliście?”. Gadał i gadał jak obrzydliwy lizus, który zamierza przygotować najlepszy projekt w klasie. Melissa, Hugo i ja bardzo kiepsko rozgrywaliśmy kolejne partie remika; od czasu do czasu do gry przyłączał się Leon, ale nie umiał usiedzieć do końca partii,

ponieważ stale ciągnęło go do okien, gdzie opierał się plecami o ścianę i ukradkiem spoglądał na drogę jak prywatny detektyw wypatrujący zza węgła budynku. Susanna grała z Sallie w jakąś grę na telefonie, której towarzyszył nieustanny strumień elektronicznych pisków, sztucznej muzyki i szaleńczych kreskówkowych chichotów. Zach był tak nabuzowany adrenaliną, że zachowywał się jak na speedzie: krążył jak oszalały po pokoju, wspinał się na meble, cmokał, kłaskał, syczał, wydawał całą gamę odgłosów, które doprowadzały mnie do szału. Korciło mnie, żeby podstawić mu nogę.

Z niewiadomego powodu nie można było powiedzieć ani słowa o czaszce. Miałem ochotę zadać tysiące pytań i omówić wszystkie możliwe aspekty tej zagadki, nic jednak nie przychodziło mi na myśl, a im dłużej zwlekałem, tym trudniej było mi to ubrać w słowa i tym bardziej nierealna wydawała się cała sytuacja, jak gdybyśmy tkwili w tym pokoju przez wieczność i nigdy nie wolno nam było go opuścić.

– Toby – powiedział Leon. – Ty rozdajesz. No?

Rozległ się dzwonek u drzwi. Wszyscy zamarliśmy i spojrzeliśmy po sobie, zanim jednak ktoś z nas zdążył zrobić coś rozsądnego, usłyszeliśmy tupot butów w korytarzu i szcęk otwieranych drzwi. Obojętne męskie głosy wymieniły parę uwag, zatrzeszczało radio, przez korytarz przetoczyła się fala głośnych kroków, wreszcie trzasnęły kuchenne drzwi.

– Jestem głodna – oznajmiła Sallie, niezbyt głośno, ale co najmniej piąty raz.

– Przecież zjadłaś ciasto – przypomniała córce Susanna, nie patrząc na nią. Z ogrodu dobiegały szorstkie pokrzykiwania, lecz

ze zbyt daleka, by zrozumieć słowa.

– Ale jestem głodna.

– Dobrze. – Susanna poszperała w torebce i wydobyła pomarańczową plastikową saszetkę z zakręcanym ustnikiem. – Proszę.

– Ja też chcę! – zażądał Zach i zerwał się z podłogi, gdzie łomotał nogami w osłonę kominka i próbował wydobywać z siebie beatboxowe dźwięki.

– Przecież tego nie cierpisz.

– Ale chcę.

– Będziesz to jadł?

– A może studenci medycyny? – ożywił się nagle Tom. Krążył w pobliżu drzwi salonu, ściskając w garści swoje cenne listy, i czekał na okazję, by oddać je „Nauczycielowi”.

– Co? – Leon zgasił go pogardliwym spojrzeniem, nie zadając sobie nawet trudu, by odwrócić głowę. Siedział bokiem na fotelu z kolanami przewieszonymi przez poręcz i podrygiwał stopą w uporczywym, żywym rytmie, na co starałem się nie patrzeć.

– No... – Tom wskazał plikiem kartek w kierunku ogrodu – to. Mam na myśli ten blok za ogrodem. Mieszka tam mnóstwo studentów, nie? A studenci medycyny mają pokręcone poczucie humoru. Może paru z nich rąbnęło czaszkę, przez jakiś czas wyglądali się, strasząc nią kolegów, a potem nie wiedzieli, jak się jej pozbyć, więc wrzucili ją do pustego drzewa. – Powiódł po pokoju triumfalnym wzrokiem.

– Musieliby mieć niezłe oko – zauważył kwaśno Leon. – Żeby trafić przez wszystkie gałęzie i liście prosto do dziury, która ma średnicę niecałego metra. Student medycyny, który jest

równocześnie koszykarzem światowej klasy... To powinno zdecydowanie zawęzić krąg podejrzanych.

– Może wcale nie celowali do drzewa. Próbowali wrzucić to do ogrodu, żeby kogoś przestraszyć, i spudłowali.

– I przebili się przez wszystkie gałęzie. I liście. I trafili prosto do dziury, która musi mieć średnicę...

– Nie chcę tego – powiedziała Sallie. Trzymała saszetkę w wyciągniętej ręce z miną, jakby była bliska płaczu.

– Przecież to uwielbiasz – rzuciła Susanna. – Jedz.

– Tu są ślimaczniki.

– Co to są ślimaczniki?

– Tu są.

– Nie, nie ma. Są marchewki, jabłka i coś jeszcze, pasternak czy coś podobnego.

– Nie lubię ślimaczników.

– W porządku. – Susanna zabrała jej pomarańczową saszetkę.

– Przyniosę ci nową. – Wyszła do kuchni.

– Tylko tak mówię – usprawiedliwił się Tom. – To niekoniecznie musi być aż takie złowrogie. Może po prostu...

– Mógł to upuścić hipogryf – podsunął Leon. – W drodze do Zakazanego Lasu.

– A to by było złowrogie – podchwycił Tom, próbując obrócić wszystko w żart. – Zakazany Las na końcu ogrodu. – Nikt się nie zaśmiał.

Ciągle bolała mnie głowa, lekko, ale uporczywie, i mącił mi się wzrok; nie wiedziałem, jakie mam karty, siódemki i dziewiątki wyglądały tak samo, podobnie jak ósemki i dziesiątki.

– O – powiedziała Melissa, wykładając wachlarzyk kart. – Remik. – Uśmiechnęła się do mnie i uspokajająco kiwnęła głową. Próbowałem odpowiedzieć uśmiechem.

Wróciła Susanna z pomarańczową saszetką, która moim zdaniem wyglądała tak samo jak poprzednia.

– Proszę – powiedziała. – Znalazłam jedną bez ślimaczników.

Sallie złapała torebkę, wycofała się do rogu kanapy i zaczęła łapczywie ssać z plastikowego dzióbka.

– W ogrodzie roi się od ludzi – poinformowała nas Susanna, zerkając najpierw na Zacha i Sallie, by się upewnić, czy nie podsłuchują. – Faceci w kombinezonach, kapturach i maskach jak z filmu science fiction, gdzie wirus wy dostał się z laboratorium. Robią zdjęcia. Rozstawiają dach, taki płócienny daszek, coś w rodzaju altanki, na plastikowych płachtach rozłożonych na ziemi. Przy grządce truskawek.

– Jezu Chryste. – Leon rzucił karty, zsunął się z fotela i zaczął krążyć po salonie. – To kompletnie popierdolone. Co my mamy robić, do kurwy nędzy? Rozbić tu obóz, dopóki nie skończą tego, co tam robią?

Tom ostrzegał go serią grymasów i rozpaczliwie wskazywał ruchem głowy w stronę Zacha i Sallie.

– Och, kurwa mać! – rzucił Leon.

– Przestań – rozkazała mu Susanna. – I uspokój się. To nie jest koniec świata.

– Nie każ mi się uspokajać. Jeżeli masz mi dawać takie idiotyczne rady, to lepiej...

– Idź zapalić.

– Przecież nie mogę iść zapalić. Pełno gliniarzy w całym...

– Fu – powiedział Zach, wciskając Susannie do ręki pomarańczową saszetkę.

– Tylko mi nie mów, że też masz ślimaczniki.

– Nie ma czegoś takiego jak ślimaczniki. To jest po prostu obrzydliwe.

– Pytałam, czy będziesz to jeść. Powiedziałaś...

– Jak to zjem, będę rzygał.

– Na litość boską...

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju zajrzał jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry, Mike Rafferty – przedstawił się. – Detektyw Mike Rafferty. Przepraszam za to zamieszanie.

Wszyscy pospieszyli z jakimiś niezbornymi uprzejmościami. Leon przestał spacerować po pokoju; ręka Melissy zastygła z kartami w powietrzu.

– Jestem państwu wdzięczny – powiedział Rafferty. – Na pewno nie tak zamierzali państwo spędzić sobotnie popołudnie. Postaramy się jak najszybciej zniknąć.

Mógł mieć niewiele więcej niż czterdzieści lat; wysoki, ponad metr osiemdziesiąt, o smukłej i szczupłej sylwetce, która sugerowała jednak siłę i zwinność, jakby był posiadaczem czarnego pasa w mało znanej sztuce walki, o której w swojej ignorancji nigdy nie słyszeliśmy. Miał ciemne, zmierzwione włosy i pociągłą, kościstą twarz z głębokimi zmarszczkami mimicznymi. Był w szarym garniturze doskonałej jakości, która zbytnio nie rzucała się w oczy.

– Muszę państwu zadać kilka pytań, jeżeli wolno. Nikt nie ma nic przeciwko temu? Ktoś nie ochłonął jeszcze do końca z szoku

i wolałby odłożyć to na później?

Najwyraźniej nikt nie miał nic przeciwko temu. Leon z rękami w kieszeniach oparł się o framugę okna. Susanna znowu zajęła swoje miejsce na kanapie i obejmowała ramieniem Sallie, szepcząc jej coś do ucha. Melissa zgarnęła karty na stos.

– Świetnie – powiedział Rafferty. – To nam bardzo pomoże. Mogę tu usiąść? – Odwrócił fotel Leona, aby widzieć wszystkich, i usiadł.

Jego obecność źle na mnie działała. Na pozór w niczym nie przypominał Martina ani Oldschoolowego, mimo to w jego oszczędnych ruchach i swobodnym, życzliwym tonie, który absolutnie niczego nie zdradzał i nie dawał możliwości sprzeciwu, było coś, co przypomniało mi to wszystko: trującą atmosferę szpitala, która wciskała się w każdy por ciała; wypełniający głowę ból i mgłę gęstą jak chmura pyłu podczas wyburzania budynku; uprzejme, obojętne twarze, które wyczekująco mi się przyglądały. Ręce mi drżały, więc wcisnąłem je między kolana.

– Jak już zapewne domyślili się państwo z naszych czynności – zaczął Rafferty – to coś w ogrodzie to ludzka czaszka. Na razie niewiele więcej wiemy. Ci dwoje ją znaleźli? – Zerknął na Sallie i Zacha.

– Mój syn i moja córka – powiedziała Susanna. Sallie nadal przytulała się do matki, wciąż przyssana do pomarańczowej saszetki. Zach przypatrywał się zza oparcia kanapy.

Rafferty skinął głową, przyglądając się badawczo dzieciom.

– Które z nich będzie lepiej umiało mi opowiedzieć, jak to się stało? Niektóre dzieci w tym wieku okazują się fantastycznymi

świadkami, lepszymi od dorosłych: są spostrzegawcze, potrafią w jasny sposób zrelacjonować przebieg wydarzeń, bez kręcenia i mataczenia. Inne dzieci tak bardzo chcą być milutkie, są uparte albo się wstydzą, że nie potrafią wykrztusić zdania, a kiedy się wreszcie odezwą, mówią same bzdury. No więc które z pani...

– Ja – oznajmił głośno Zach i przelazł przez oparcie kanapy, omal nie kopiąc Susanny w twarz. – Ja to znalazłem.

Rafferty przyjrzał mu się uważnie.

– Tu nie chodzi o to, żeby wyjaśnić nauczycielce, dlaczego Jimmy uderzył Johnny’ego na podwórku. To poważna sprawa. Myślisz, że potrafisz mi dokładnie wszystko opowiedzieć?

– No pewnie. Nie jestem głupi.

– Dobrze. – Rafferty wyjął notes i długopis. Miał dłonie, które do niego nie pasowały: długie, muskularne, poznaczone bliznami i twardymi odciskami, jak gdyby spędzał dużo czasu na żeglowaniu podczas sztormowej pogody. – Posłuchajmy.

Zach usadowił się po turecku na kanapie i nabrał tchu.

– To było tak, że wujek Hugo kazał nam iść do ogrodu i poszukać skarbu. No i Sallie poszła i szukała w truskawkach, też coś! Ciągle tam chodzimy i gdyby był tam skarb, już dawno byśmy go znaleźli. Ja poszedłem poszukać w dziurze w drzewie.

Rafferty kiwał głową z poważną i skupioną miną.

– W tym wielkim wiązcie? Tym, obok którego zostawiłeś czaszkę?

– Aha.

– Wchodziłeś już wcześniej na to drzewo?

– Nie wolno nam się na nie wspinać.

– To dlaczego dzisiaj to zrobiłeś?

– Wszyscy dorośli rozmawiali o poważnych rzeczach. No to...  
– Zach uśmiechnął się szeroko do Susanny, a ta odpowiedziała mu krzywą miną.

Na twarz Rafferty'ego wypełził cień podobnego uśmiechu.

– Wiedziałaś, że nikt cię nie przyłapie.

– No.

– I co dalej?

– Wsadziłem rękę do dziury...

– Chwileczkę – powstrzymał go Rafferty, unosząc długopis. – Jeżeli nigdy nie wspinałeś się na to drzewo, to skąd wiedziałaś, że w pniu jest dziura? Przecież nie widać jej z ziemi.

Zach wzruszył ramionami.

– Wcześniej często próbowałem włązić na to drzewo, tylko mama albo wujek Hugo zawsze krzyczeli, żebym schodził. Parę razy wszedłem tak wysoko, że zobaczyłem dziurę. Raz nawet wyszła z niej wiewiórka.

– Zauważyłeś coś w środku? Oprócz wiewiórki?

– Nie.

– Wkładałeś tam wcześniej rękę? Albo patyk czy coś innego?

– Nie.

– Czemu w takim razie akurat dzisiaj?

– Bo szukałem skarbu.

– Racja – przyznał Rafferty. – Czyli włożyłeś do dziury rękę...

– No. I najpierw były tylko liście, błoto i takie mokre coś, włochate... – Zach otworzył szeroko oczy, kiedy uświadomił sobie, co to mogło być.

– Pewnie mech – odparł spokojnie detektyw. – Co potem?

– Potem było coś dużego, jakby gładkiego. Było dziwne w dotyku. I była w tym dziura, więc wsadziłem do niej palce i pociągnąłem. Najpierw pomyślałem, że to skorupka dużego jajka, może strusia? I śmierdziało ziemią. Chciałem tym rzucić o mur, żeby się rozbiło. Ale jak obróciłem, zobaczyłem zęby. – Zach nie mógł powstrzymać dreszczu, który przebiegł go od stóp do głów. Gdy Susanna położyła mu dłoń na ramieniu, przestał dygotać. – Prawdziwe zęby.

– Rozumiem – rzucił Rafferty. – Są prawdziwe. Co zrobiłeś potem?

– Rzuciłem to. Na trawę. Nie próbowałem tego rozbić, chciałem to tylko wyrzucić. Krzyknąłem i zlazłem z drzewa, ostatni kawałek spadłem, ale nic sobie nie zrobiłem. Sallie zaczęła się drzeć, a potem przyszła mama ze wszystkimi.

Siedział zgarbiony, z dłońmi wciśniętymi pod zgięte kolana, i wzrokiem uciekał od tego wspomnienia. Przez sekundę naprawdę współczułem gówniarzowi.

– Brawo – pochwalił Zacha Rafferty, kiwając z uznaniem głową. – Miałeś rację: jesteś dobrym świadkiem. Później napiszę to na komputerze i będziesz musiał podpisać, ale na razie mam dokładnie to, o co mi chodziło. Dzięki.

Zach głęboko odetchnął i odrobinę się rozluźnił. Rafferty miał niezły głos, ciepły i głęboki, z wyczuwalnym tonem akcentu z Galway, jak wysmagany wiatrem wyspiarz ze starego filmu, który prawdopodobnie na koniec zdobędzie Maureen O’Harę. Byłem skłonny się założyć, że ten facet nie może się opędzić od dziewczyn gotowych wskoczyć mu do łóżka.

– A teraz może ty spróbuj – zwrócił się do Sallie. – Pamiętasz, co się stało w ogrodzie?

Sallie siedziała mocno wtulona w Susannę i przyglądała się wszystkiemu poważnym, nieprzeniknionym wzrokiem, nie odrywając od ust pomarańczowej saszetki. Wreszcie wyjęła ustnik z buzi i skinęła głową.

– Słucham – zachęcił ją do mówienia detektyw.

– Szukałam skarbu i Zach był na drzewie, a potem zrzucił coś na trawę. I krzyczał. To była czaszka i też krzyczałam, bo myślałam, że to duch.

– Co było potem?

– Wszyscy przyszli i mamusia zabrała nas do domu.

– Brawo – pochwalił Rafferty i uśmiechnął się do niej.

– To jest duch? – spytała Sallie.

– Eee tam – mruknął Zach. – Nie ma czegoś takiego jak duchy.

– Wyglądało na to, że już wrócił do siebie.

– Nie – odparł łagodnie Rafferty. – Mamy specjalną maszynę, która potrafi nam powiedzieć, z czego dokładnie składa się każda rzecz, i zbadaliśmy nią każdy kawałeczek tej czaszki. Jest w niej tyle duchów co w tym. – Pokazał na swój notes. – To tylko kawałek kości.

Dziewczynka skinęła głową.

– Chcesz sprawdzić, czy są tutaj duchy? – Wyciągnął do niej notes.

Odpowiedzią było pokręcenie głową i cień uśmiechu.

– Oj, zostawiłem tę maszynę na dworze – powiedział Rafferty.

– Kiedy ktoś ostatni raz wchodził na to drzewo? Może ogrodnik? Ktoś przycinający gałęzie?

– Ogrodnik tu nie przychodzi – odparł Hugo. – Nie utrzymuję ogrodu we wzorowym stanie, zresztą zapewne przekonał się pan o tym na własne oczy. Sam robię, co trzeba. Nie przycinam drzew.

– Dawniej wspinaliśmy się na to drzewo – powiedziałem, wymawiając starannie wszystkie słowa, by zamaskować zaburzenia dykcji. Uznałem, że muszę jakoś zaistnieć w tej rozmowie. – W dzieciństwie. Ja, Susanna i Leon. – Wskazałem na nich.

Rafferty odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Kiedy był pan tam ostatni raz?

– Zeskakując z niego, złamałem nogę w kostce. Miałem dziewięć lat. Później rodzice już nie pozwalali nam wspinać się na wiąz.

– Mhm. – Detektyw w zamyśleniu utkwiał we mnie głęboko osadzone orzechowe oczy, dziwnie jasne, niemal złote. Ich wprawne, taksujące i enigmatyczne spojrzenie sprawiło, że ciarki przebiegły mi po plecach. Nagle boleśnie uświadomiłem sobie, jak bardzo opada mi powieka. – Ale wspinaliście się?

– Nie... – Przebłysk wspomnienia: w półmroku kołyszę nogami na gałęzi, puszka piwa, czyjś śmiech, ale wszystko wydawało się tak zwichrowane i nierealne, że nie mogłem... – Nie jestem pewien.

– Tak, wspinaliśmy się – włączyła się Susanna. – Gdy nie było rodziców. Hugo – wymienili przelotny uśmiech – zawsze pozwalał nam na dużo więcej.

– Wcale nie siedzieliśmy na drzewie codziennie – dorzucił Leon. – Nawet nie co tydzień. Ale od czasu do czasu zdarzało się.

– Kiedy wchodziliście tam ostatni raz?

Susanna i Leon spojrzeli po sobie.

– Boże, nie pamiętam – powiedział Leon.

– Może na jakiejś imprezie, jak mieliśmy po kilkanaście lat?

– Kiedy Declan śpiewał *Wonderwall* i ktoś rzucił w niego puszką. Wtedy siedzieliśmy tam chyba wszyscy?

– To było tamto drzewo?

– Na pewno. Nas troje, Dec i jeszcze tamta dziewczyna... Jak ona miała na imię? Ta, która mu się podobała. Nie zmieścilibyśmy się wszyscy na żadne inne drzewo.

– Declan, jak dalej? – spytał Rafferty.

– Declan McGinty – powiedziałem. – Mój przyjaciel.

Rafferty skinął głową i zanotował nazwisko. Wydawało mi się, że poczułem jego zapach, głęboką naturalną woń, przypominającą sosnową żywicę.

– Potrafią państwo w przybliżeniu podać rok?

– To chyba było lato po skończeniu szkoły – odparła Susanna.

– Czyli dziesięć lat temu. Ale nie jestem pewna.

Leon tylko wzruszył ramionami.

– Szukaliście kiedyś czegoś w dziurze w pniu wiązu? – wypytywał dalej detektyw.

Leon, Susanna i ja spojrzeliśmy na siebie.

– Nie – powiedziała Susanna. – To znaczy, gdy wchodziłam na drzewo, parę razy do niej zaglądałam, ale był tam straszny syf, same mokre i zgniłe liście. Nie zamierzałam w nich grzebać.

– Ja chyba raz wsadziłem tam patyk – dodał Leon. – Byliśmy mali, mieliśmy może po osiem lat. Chciałem tylko sprawdzić, jak jest głęboko. Nie wyczułem tam niczego w rodzaju... niczego.

– I jak było głęboko?

– Boże, nie pamiętam. Dość głęboko.

Rafferty zerknął na mnie.

– Nie... – W pamięci przelatowała mi mozaika obrazów; miałem przykrą świadomość, że mówię jak idiota. – Nie sędzę. Może...

– A pan, panie Hennessy? – zwrócił się do Hugo. – Wspinał się pan kiedyś na to drzewo, gdy był pan mały?

– Wielkie nieba, tak – odparł Hugo. – Ciągłe skakaliśmy po nim wszyscy czterej, moi bracia i ja. Być może nawet chowaliśmy jakieś rzeczy w tej dziurze, ale nie mógłbym przysiąc. Niewykluczone, że bracia pamiętają więcej niż ja.

– A więc ich spytamy. Czy ktoś z państwa nie podejrzewa, kto to mógł być? Skoro mieli państwo czas się zastanowić?

– Przyszło mi do głowy... – odezwał się niepewnie Tom. – Zastanawiałem się nad studentami medycyny. Z bloku, który przylega do uliczki wzdłuż muru ogrodu. Mogli na przykład zabrać z uczelni czaszkę dla kawału i wrzucić przez mur.

Detektyw skinął głową, jakby poważnie rozważał taką możliwość.

– Sprawdzimy to. Jakies inne sugestie? Może ktoś w okolicy zaginął? Albo jakiś gość zniknął bez pożegnania, robotnik nie pojawił się, żeby dokończyć jakąś pracę? To nie musi dotyczyć najbliższej przeszłości. Drzewo jest stare.

– Był jeden bezdomny – odezwał się nagle Hugo. – Ale to było dawno temu, dwadzieścia pięć lat, może więcej. Czasem sypiał na ulicy pod murem. Przychodził pod drzwi, moja matka dawała mu kanapki, nalewała zupy do termosu, a potem tu obozował.

W pewnym momencie przestał się pojawiać. Wtedy to zbagatelizowaliśmy, nie był u nas stałym gościem, mimo to...

– Może go pan opisać?

– Z wyglądu pięćdziesiąt kilka lat, chociaż w przypadku ludzi, którzy mają ciężkie życie, to trudno powiedzieć. Średniego wzrostu... może metr siedemdziesiąt pięć... Siwe włosy. Akcent ze środkowej Irlandii. Na imię miał chyba Bernard. Zwykle był dość wstawiony, ale nigdy nie agresywny ani nieprzyjemny, nic takiego.

– Wchodził do ogrodu?

– O ile wiem, nie. Tyle że mur w głębi nie jest fortecą. Jest wysoki, ale gdyby ktoś bardzo chciał go pokonać, pewnie znalazłby sposób.

– Bernard – powtórzył Rafferty, notując. – Sprawdzimy to. Jakież inne możliwości?

Wszyscy pokręciliśmy głową.

– No dobrze. – Rafferty zamknął notes i wsunął do kieszeni. – Przykro mi, że mam dla państwa złe wieści, ale trzeba będzie ściąć to drzewo.

– Dlaczego? – spytał ostrym tonem Leon.

Rafferty przeniósł na niego wzrok i długą chwilę przypatrywał mu się z namysłem.

– W tej dziurze są inne rzeczy, które nas interesują.

– Więcej kości? – zapalił się Zach, wpatrując się w niego z przejęciem. – Cały szkielet?

– Nie dowiemy się, dopóki tam nie zajrzemy. Próbowałem znaleźć jakiś sposób, żeby ocalić więź, ale nic z tego. Musimy wszystko udokumentować, zarejestrować nasz każdy krok. Nie

możemy wyciągać wszystkiego garść po garści. – Zobaczył nasze miny. – Wiem, to tak, jakbyśmy niszczyli rodzinne dziedzictwo, ale nie mamy innego wyjścia. W drodze jest już arborysta... chirurg drzew.

– Kiedy się powiedziało A... – odezwał się Hugo. Mówił jakby do siebie. – Zgoda. Proszę robić, co trzeba.

– Można stwierdzić, z jakich czasów pochodzi? – zapytał Leon. Wciąż stał oparty o framugę okna, na pierwszy rzut oka wyluzowany, ale coś w linii jego ramion zdradzało, że każda komórka ciała drży z napięcia. – Czaszka?

– To już nie moja dziedzina – odparł Rafferty. – Ale mamy na miejscu patologa z państwowego urzędu i chcemy sprowadzić specjalistę archeologii kryminalistycznej. Oni będą mogli powiedzieć nam więcej.

– Albo co się stało. Chodzi mi o to, czy ta osoba... w jaki sposób...?

– Ach. – Rafferty posłał mu zaskakująco uroczy uśmiech, przy którym jego oczy zwęziły się w dwie niewidzialne szparki. – Oto pytanie za milion euro.

– Musimy tu dalej tkwić? – spytała Susanna.

Na twarzy detektywa odmalowało się zaskoczenie.

– Boże, nie. Mogą państwo iść, dokąd sobie życzą... oczywiście z wyjątkiem ogrodu. Czy ktoś sporządził listę nazwisk i numerów telefonów? Na wypadek gdybym chciał się skontaktować z kimś z państwa?

Tom podał mu swoje wykazy i wywarły one na Raffertym odpowiednie wrażenie.

– Bardzo dziękuję, że poświęcili mi państwo czas – powiedział do wszystkich detektyw, starannie składając kartki i podnosząc się z fotela. – Wiem, że to przykra sytuacja i że przeżyli państwo spory szok. Jestem wdzięczny za pomoc w trakcie tego całego zamieszania. Gdyby chcieli państwo z kimś o tym porozmawiać, skontaktuję państwa z naszym biurem do spraw wsparcia ofiar, a oni znajdą kogoś, kto...

Nikt z nas najwyraźniej nie czuł potrzeby skorzystania z profesjonalnej pomocy, by poradzić sobie z emocjami, jakie wywołało odkrycie czaszki w ogrodzie.

– Proszę. – Rafferty położył na stoliku mały plik wizytówek. – Jeżeli zmienią państwo zdanie w tej sprawie albo coś sobie przypomną, albo będą chcieli mnie o coś zapytać, proszę dzwonić.

Położył dłoń na klamce, ale coś sobie przypomniał i odwrócił się w progu.

– Chciałem jeszcze spytać o klucz, ten do drzwi do ogrodu. Mają państwo zapasowe, żebyśmy mogli pożyczyć? Może jest jakiś u sąsiada albo któregoś z pańskich braci?

– Kiedyś był tu drugi – powiedział Hugo. Wyglądał na zmęczonego. – Ale gdzie się zawieruszył.

– Wiadomo, kiedy to się stało?

– Przed laty. Nie próbowałem nawet ustalać.

– Nie ma sprawy – rzucił detektyw. – Jeżeli będziemy potrzebować dodatkowych kluczy, dorobimy. Będę państwa informował – dodał i wyszedł, delikatnie zamykając za sobą drzwi salonu.

– No – odetchnął głęboko Hugo po chwili milczenia. – Zapowiada się ciekawie.

– Mówiłem. – Leon znowu obgryzał paznokcieć kciuka, a jego nozdrza rozszerzały się przy każdym oddechu. – Mówiłem, że powinniśmy to wyrzucić do śmieci i zapomnieć o tej całej cholernej historii.

– Nie można – sprzeciwił się Tom. – Jakaś rodzina może czekać i zastanawiać się...

– Myślałem, że podejrzewałeś studentów medycyny.

– Ten detektyw wydawał się miły – powiedziała Melissa. – Bardziej spełnił twoje oczekiwania, Hugo, niż tamci policjanci?

– Zdecydowanie. – Hugo uśmiechnął się do niej. – I wzbudził znacznie więcej zaufania niż tamci dwaj. Na pewno szybko wyjaśni tę sprawę. Tymczasem... – rozejrzał się – wy troje chyba powinniście dać znać rodzicom, co się stało, prawda?

Leon, Susanna i ja, nie umawiając się ze sobą, ale w całkowitej zgodzie, nie zadzwoniliśmy do rodziców, lecz tknęło mnie przecucie, że Hugo ma rację: przecież nie da się zatrzymać tej historii na zawsze w murach domu.

– O Boże – jęknęła Susanna. – Będą chcieli przyjechać.

– Jestem strasznie głodny – poskarżył się Zach.

– Jezu... – Przestraszony głos Leona wydał się nagle bardzo młody. – Ktoś tam kręci film.

Wszyscy rzucili się do okien. Rzeczywiście, przed wejściem zobaczyliśmy odwróconą plecami do schodów brunetkę w szalowym koralowym trenczu, która mówiła do mikrofonu. Na chodniku po drugiej stronie ulicy stał chudy facet w kurtce z kapturem, skulony nad kamerą, której obiektyw był

wycelowany w kobietę. Zerwał się niespokojny wiatr, który skotłował drzewa w niezwykle wiry zieleni.

– Hej! – wrzasnął Zach, tłukąc dłonią w szybę. – Spadać!

Susanna złapała go za nadgarstek, ale za późno: operator coś powiedział i brunetka odwróciła się do nas twarzą przysłoniętą rozwianymi włosami.

– Cofnąć się – rozkazał Leon.

Susanna wyciągnęła rękę i zatrzęsnęła okiennice z hukiem, który rozległ się echem po pustych pokojach.

\* \* \*

W tym czasie jęki Zacha i Sallie skarżących się, jacy to są strasznie głodni, wspięły się na najwyższe tony. Ich kwękanie w końcu wygoniło nas do kuchni, gdzie Hugo i Melissa przetrząsnęli lodówkę i po krótkiej naradzie zdecydowali się na makaron z sosem pieczarkowym. Susanna w jednej ręce trzymała telefon, rozmawiała z Louisą i starając się wyperswadować jej przyjazd – „Nie, mam, nic mu nie jest, zresztą czy mogłabyś zrobić coś więcej niż ja?... Bo przed domem są dziennikarze i nie chcę, żeby cię złapali i wypytywali... W takim razie zobaczysz dzisiaj w wiadomościach i będziesz wiedziała tyle samo co my. Nikt nam niczego nie mówi... Nie, mam, nie mam pojęcia kto...” – drugą ręką zagradała Sallie dostęp do puszek z ciastkami. Tom gadał jak najęty o jakimś filmie dla dzieci, który widzieli, próbując wciągnąć syna do rozmowy, a ten bębnił rękami o blat, mierzył przebiegłym spojrzeniem puszkę z ciastkami i nie łykał przynęty.

Leon i ja obserwowaliśmy ogród przez przeszklone drzwi. Na tarasie stał ten wysoki gliniarz w mundurze, w oficjalnej pozie z założonymi do tyłu rękami; prawdopodobnie pilnował miejsca zdarzenia, ale nie zwracał na nas uwagi, a my nie zwracaliśmy uwagi na niego. Rafferty był obok wiązu, zajęty rozmową z innym facetem w garniturze i krępy męczyzną w zniszczonym roboczym kombinezonie, który, sądząc z gestów, był arborystą. Czaszki nie widzieliśmy. Przy drzewie stała drabina, na której niebezpiecznie chybotła się postać w białym kombinezonie z kapturem, przechylając się na bok, by skierować kamerę do wewnątrz wydrążonego pnia. Drzwi w murze na końcu ogrodu były otwarte – zobaczyłem to po raz pierwszy od wielu lat – a za nimi było widać kamienną ścianę apartamentowca, drugiego gliniarza w mundurze w takiej samej urzędowej pozie oraz fragment białego vana. Ludzie krążyli między uliczką a drzewem i białą płócienną altaną ze spadzistym dachem, która zmateriałizowała się obok grządki truskawek. Jasnoniebieskie lateksowe rękawiczki, na trawie otwarta czarna plastikowa skrzynka, jakby z narzędziami, szare niebo. Wiatr trzepoczący taśmą policyjną i płótnem.

– Całe to gadanie o kluczu do wejścia do ogrodu – powiedziała półgłosem Susanna, podchodząc do mnie i Leona. – Nie chodziło o to, że potrzebują dodatkowego. Chciał sprawdzić, czy ktoś inny mógł się dostać do ogrodu, a może nawet podejrzewa, że to nasza sprawka.

– Był drugi – rzucił Leon. – Pamiętam.

– Ja też – potwierdziłem. – Chyba wisiał na haczyku przy drzwiach, nie?

Susanna zerknęła na Zacha i Sallie, których Melissa i Hugo skłonili jakimś sposobem do pomocy przy krojeniu pieczarek; Zach rąbał je nożem, wydając odgłosy jak przy ciosach karate, a Sallie chichotała.

– Któregoś lata ktoś go zabrał. Nie przypadkiem Dec, kiedy tu nocował?

– Dec nie musiał zakradać się przez drzwi w murze. Wszedł od frontu. Może to ta twoja koleżanka, ta dziwna blondynka, która pojawiała się w środku nocy? Która się cięła?

– Faye wcale nie była dziwna. Miała wtedy cholernie ciężkie przejścia. I nie miała klucza. Pisała esemesa i wtedy ją wpuszczałam.

– Co się stanie... – odezwał się Leon. Przyglądał się niewysokiej, mocno zbudowanej kobiecie o szpakowatych włosach, ubranej w bojówki i wojskową bluzę. Właśnie wyszła z namiotu, aby dołączyć do narady pod drzewem. Była patologiem z państwowego urzędu? Czy może specjalistką od archeologii kryminalistycznej? Miałem mgliste pojęcie o tym, jak ci fachowcy powinni wyglądać ani czym się właściwie zajmują. – Co się stanie, jeżeli znajdą jakiś dowód, że ten człowiek został zabity? Co wtedy zrobią?

– Z doświadczenia przypuszczam, że pojawią się parę razy, gdy nie będziemy mieli ochoty ich widzieć – odparłem. – Będą zadawać masę pytań, czy to przypadkiem nie nasza wina, że ktoś wpakował nam czaszkę do drzewa, a potem znikną, a my będziemy się musieli pozbierać.

Zaskoczył mnie ton wściekłości w moim głosie. Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo obecność Rafferty'ego

i jego kumpli w Ivy House działa mi na nerwy. Leon i Susanna też się zdziwili; gwałtownie odwrócili się do mnie, zapadła niepewna cisza. Znowu drżały mi ręce. Wepchnąłem je do kieszeni i dalej patrzyłem na ogród.

– Nie wiem jak ty, ale ja nie mam nic przeciwko temu, żeby zniknęli – powiedział po chwili Leon. – Im szybciej, tym lepiej.

– Przynajmniej starają się zachowywać uprzejmie – zauważyła Susanna. – Gdybyśmy wszyscy byli na zasiłku i gnieździli się w komunalnym domu...

– Okropnie długo są na dworze – powiedziała Melissa, która stała przy zlewie i myła sałatę. – Powinniśmy spytać, czy chcą herbaty.

– Nie – zaprotestowaliśmy chórem wszyscy troje.

– Pieprzyć ich – dorzucił Leon.

– Pewnie mają termosy albo coś takiego – dodałem.

– Może powinniśmy ich poczęstować makaronem – zasugerował Tom.

– Nie!

– Jeden z minusów młodości – odezwał się do wszystkich ni stąd, ni zowąd Hugo – polega na tym, że za bardzo się przejmujecie. Naprawdę. Wszystko będzie dobrze. – Położył dłoń na lokach Sallie i uśmiechnął się do nas. – Nie taki diabeł straszny, jak się powiada. Gdzie będziemy jeść?

Usiedliśmy w jadalni – wszyscy uznali, że kolacja na widowni miejsca zbrodni, jak to ujął Leon, zdecydowanie przekracza granice dobrego smaku. Ze starego mahoniowego stołu nie korzystaliśmy prawie nigdy, z wyjątkiem kolacji w Boże Narodzenie, więc musiałem zetrzeć z lśniącego blatu warstwę

kurzu. Susanna zamknęła okiennice od strony ogrodu, a słabe górne światło rzucało na pokój rozmazane żółte plamy. Nikomu nie chciało się mówić; nawet Zach wydawał się przybity, dziobiąc makaron i bez narzekania odsuwając na bok pieczarki. Sallie ziewała.

– Kiedy skończymy, powinniśmy jechać – powiedziała Susanna, zerkając na Toma. – Poradzicie sobie?

– Oczywiście – zapewnił ją Hugo. – Jestem pewien, że oni też niebawem zwiną majdan na noc. Bardziej martwię się o was. Ta dziennikarka jeszcze tam jest?

– Wątpię – odparł Tom. Otworzył drzwi do salonu, podszedł do okna i przyłożył oko do szpary między okiennicami. – Nie ma – poinformował nas, wracając do stołu.

– Na razie – stwierdził ponuro Leon.

Skądś dobiegł zagadkowy odgłos: niski, nieprzyjemny zwierzęcy pomruk, który szybko nabierał mocy, aż w końcu rozvibrował się do tego stopnia, że nie sposób było ustalić jego źródła. Jedno po drugim unosiliśmy głowy; Hugo odłożył widelec. Dopiero po chwili rozpoznaliśmy dźwięk: w ogrodzie uruchomiono piłę łańcuchową.

\* \* \*

Kiedy kończył się dzień, około ósmej, pracę skończyła też policja. Rafferty, zgodnie ze swoją obietnicą, wcześniej przyszedł złożyć nam raport.

– Arborysta serdecznie mnie nienawidzi – powiedział z żalem, zdejmując ze spodni odpryski kory. – Wszystko wskazuje na to,

że drzewo ma ponad dwieście lat, a niewiele takich zostało. Przetrzebiła je holenderska choroba wiązu. Kiedy go poprosiłem, żeby ściał zupełnie zdrowy okaz, myślałem, że rzuci tę robotę i mnie zostawi. Ale nie miałem mu tego za złe.

– Już skończone? – spytał Hugo.

– Och, Boże, nie. Trzeba działać powoli. Jak mówiłem, musimy wszystko dokumentować. Ale jutro powinniśmy skończyć. Na noc zostawimy tu jednego funkcjonariusza. – Widząc nasze skonsternowane miny, uspokoił nas: – Nie, nie przypuszczamy, żeby groziło państwu jakieś niebezpieczeństwo. Po prostu ściśle trzymamy się procedur: musimy mieć podstawę do potwierdzenia, że cały czas mieliśmy drzewo na oku. Funkcjonariusz zostanie w ogrodzie, w ogóle nie będzie państwu przeszkadzał.

Na myśl, że jeden z nich będzie krążył po ogrodzie, gdy będziemy spali, zazgrzytałem zębami – wcześniej coraz bardziej obsesyjnie patrzyłem na zegarek, może o szóstej odpieprzą się i wreszcie dadzą nam spokój, może o siódmej, ale oni oczywiście musieli ogłosić fajrant dopiero o ósmej – chociaż oczywiście nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Czegoś mu potrzeba? – zapytała Melissa.

– Nie, da sobie radę. Dziękuję bardzo. – Rafferty wrzucił odpryski drewna do kieszeni marynarki, skinął nam głową, posłał ten swój uroczy uśmiech i odwrócił się do drzwi. – Do zobaczenia jutro rano.

Hugo prawie nigdy nie włączał telewizora, ale tego wieczoru obejrzelśmy wiadomości o dziewiątej. Materiał o naszej sprawie pojawił się dość późno, po informacjach o niezrozumiałych

machinacjach Unii Europejskiej i politycznej kłótni w Irlandii Północnej, ale przed sportem. Stojąca przed naszymi schodami brunetka w koralowym płaszczu obwieściła posepnym głosem widzom, że w ogrodzie w Dublinie znaleziono ludzkie szczątki, na miejscu jest policja; ujęcie naszej uliczki, która na ekranie wyglądała na smętną i zaniedbaną, widok rozwiewanych przez wiatr kupek liści pod murem, biała postać wysiadająca z białego vana, policyjna taśma grożąca wejście do ogrodu... „Każda osoba posiadająca informacje na ten temat jest proszona o kontakt z policją”.

– No i proszę – odezwał się Hugo, gdy prezenter przeszedł do futbolu. – To wszystko jest szalenie interesujące. Nigdy nie przypuszczałem, że będę z pierwszego rzędu obserwował śledztwo w sprawie kryminalnej. Angażuje się w to strasznie dużo osób, prawda? – Ostrożnie, poruszając każdym stawem po kolei, podniósł się z kanapy i sięgnął po laskę. Wydawał się znacznie mniej zdenerwowany całą sytuacją niż pozostali, co moim zdaniem miało pewien sens. – Ale jeżeli jutro rano wszystko ma się zacząć od początku, muszę się trochę przespać.

– Ja też – powiedziałem, wyłączając telewizor. Melissa i ja zaczęliśmy się kłąć o tej samej porze co Hugo. Kiedy tylko mogliśmy, nie pozwalaliśmy mu już samemu wchodzić po schodach i woleliśmy być na tyle blisko, żeby go słyszeć, kiedy szykował się do snu. Ale choć była to wygodna wymówka, świetnie zdawałem sobie sprawę, że od wielu tygodni nie czułem takiego zmęczenia jak teraz.

Staliśmy przez chwilę przed drzwiami naszej sypialni i patrzyliśmy na siebie w mdłym blasku witrażowej lampy na

suficie, jakby należało powiedzieć coś ważnego i wszyscy mieli nadzieję, że ktoś inny wie co. Parę razy przyszło mi na myśl, że nie od rzeczy byłoby zapytać Hugo, czy nie domyśla się, do kogo mogła należeć czaszka, ale nie bardzo wiedziałem jak.

– Dobranoc. – Uśmiechnął się do nas. – Śpijcie dobrze. – Przez moment miałem absurdalne wrażenie, że chce nas uścisnąć, ale odwrócił się, wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi.

– Chyba całkiem nieźle znosi to wszystko – zwróciłem się do Melissy, gdy chowaliśmy nasze czyste rzeczy, które rano przyniosłem do pokoju i położyłem na łóżko. Wydawało się, że to było kilka tygodni temu.

Skinęła głową, zwijając moje skarpety w zgrabne kulki.

– Tak sędzę. Dzięki temu nie myśli o swojej chorobie.

– A ty? Jak to znosisz? – spytałem. – Bo na pewno nie pisałaś się na coś takiego.

Zastanawiała się przez chwilę, spuściwszy wzrok, nie przerywając składania skarpetek.

– Sama nie wiem – odparła w końcu. – Przypuszczam, że to w dużym stopniu zależy od tego, czy jest tam więcej kości, czy nie.

– Kochanie. – Przerwałem wkładanie T-shirtów do szuflady, objąłem ją od tyłu i przyciągnąłem do siebie. – Wiem, że to koszmarnie, ale jeżeli coś tam jest, jutro to wyciągną. Byłoby lepiej, gdybyś nocowała dzisiaj u siebie.

Melissa szybkim i zdecydowanym ruchem pokręciła głową.

– Nie o to chodzi. Przecież to tylko kości. Chyba nie wierzę w duchy, a nawet jeżeli istnieją, kości niczego tu nie zmieniają.

Chciałabym po prostu wiedzieć. Czaszka mogła się tam dostać na różne sposoby. Ale cały szkielet...

– Rafferty mówił, że drzewo ma ponad dwieście lat. Jeżeli nawet w środku jest szkielet, to może pochodzić na przykład z czasów wiktoriańskich.

– W takim razie naprawdę musiałyby to wszystko robić policja? A nie archeolodzy?

– Może nie od razu uda się ustalić wiek. Pewnie muszą zrobić jakieś badania. Ale mają na miejscu archeologa. Tak powiedział Rafferty.

– Pewnie masz rację. – Oparła się o mnie plecami i przykryła dłońmi moje ręce. – Chciałabym tylko wiedzieć, co to właściwie jest. To wszystko.

Pocałowałem ją w czubek głowy.

– Wiem. Ja też.

Przechyliła głowę do tyłu i spojrzała na mnie.

– A ty? Jak to wszystko znosisz?

– W porządku. – Nie odwracała się, czekając na coś więcej. – Miałem inne plany na weekend, to fakt. I bardzo chciałbym, żeby już ich tu nie było. Ale to nie jest żaden wielki problem, tylko cholernie wkurzająca sytuacja.

Widocznie zabrzmiało to przekonująco, a przynajmniej dość przekonująco.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się, przyciągnęła do siebie moją głowę, żeby mnie pocałować, po czym wróciła do zwijania skarpet.

Żadne z nas nie spało jednak dobrze. Kiedy bez końca przewracałem się, szukając wygodnej pozycji, często

dostrzegałem lśniąco w ciemności otwarte oko Melissy albo z półdrzemki wyrywało mnie skrzypnięcie podłogi czy zasuwanej szuflady w pokoju Hugo za ścianą. Gdy poczułem, że nie wytrzymam w bezruchu już ani sekundy dłużej, wstałem z łóżka i podszedłem do okna.

Żółtawe nocne chmury nad miastem, żadnych gwiazd, jeden złoty prostokąt światła w wyniosłej ścianie apartamentowca. Wiatr osłabł i tylko ukradkiem poruszał pnączami bluszczu. W dole dostrzegałem dziwny białoniebieski blask przypominający błędne ogniki; mundurowy, nie wiedziałem który, otulony obszernym płaszczem, stał oparty o pień dębu i patrzył w ekran telefonu. W głębi ogrodu widniała świeża wyrwa w równej dotąd linii drzew: zniknęła cała korona wiązu, został tylko pień, z którego obscenicznie sterczały grube kikuty konarów. Powinien wyglądać żałośnie, krył w sobie jednak nową skondensowaną siłę: wyglądał jak bezimienna muskularna i zdeformowana istota, która czai się w ciemnościach, czekając na znak.

Jak najciszej pogrzebałem w szufladzie, szukając zapasu xanaxu, i połknąłem jedną tabletkę bez popijania.

– Dobrze się czujesz? – usłyszałem cichy głos Melissy.

– Tak. Sprawdzam tylko, czy szeryf Wiggum nie sika nam w kwietniki – odpowiedziałem i wśliznąłem się do łóżka obok niej.

## 6

Z pierwszym brzaskiem w niedzielę do ogrodu wrócili gliniarze, chirurg drzew i reszta towarzystwa. Jedli pączki, pili z termosów („Widzisz? – powiedziałem do Melissy, stojąc w oknie sypialni. – Termosy”) i spod przymrużonych powiek patrzyli przez drobną mżawkę na ciemnoszare niebo. Zastanawiałem się, jak mocno musiałyby padać, żeby deszcz wygonił ich z ogrodu.

Ubraliśmy się przed śniadaniem, zamiast schodzić do kuchni w szlafrokach – tego dnia obyło się bez naszego miłego rytuału czesania, Melissa szybko doprowadziła włosy do porządku i związała w kucyk. Hugo, też ubrany, jeśli nie liczyć kapci, stał z parującym kubkiem w kuchni przy przeszklonych drzwiach, odwrócony do nas plecami.

– Niewiarygodne, jak szybko działają – powiedział. – Przed lunchem po drzewie nie będzie już śladu. Dwieście lat i trach. Nie wiem, czy bardziej się bać, czy podziwiać.

– Im szybciej je zetną, tym prędzej sobie pójdą – zauważyła Melissa, siląc się na pogodny ton.

– To prawda, oczywiście. Na kuchence jest owsianka, macie też kawę.

Melissa naląła nam kawy; ja nałożyłem do miseczek owsiankę i dorzuciłem po garści borówek. Miałem trudności, żeby otrząsnąć się z działania xanaxu, pozbyć się kleistej mgły, która

zasnuwała mi umysł i pętała ręce i nogi, a widok policjantów buszujących po ogrodzie jak sfora zdziczałych psów był ponad moje siły; chciałem jak najszybciej wyjść z tego pomieszczenia.

– Hugo, chcesz owsianki? – spytałem.

Nie odwracał się od drzwi.

– W nocy czytałem co nieco o więzach górskich – odezwał się między łykami kawy. – Dotąd nie poświęcałem im zbyt wiele uwagi, ale w tej sytuacji brak wiedzy na ich temat wydał mi się niestosowny. Wiedzieliście, że nazywany jest „wiedźmim drzewem” i że według wierzeń Greków u wrót piekieł stał więz?

– Nie – odparłem. Z namiotu wystawiła głowę kobieta w bojówkach i coś powiedziała, po czym wszyscy policjanci zniknęli w środku, wchodząc gęsiego jak kłowni do cyrkowego samochodu. – Nie wiedziałem.

– Tak wierzyli. Wyrósł tam, gdzie zatrzymał się Orfeusz, żeby zaśpiewać lament po nieudanej próbie wyrwania Eurydyki z podziemi. *W środku, pisze Wergiliusz, wznosi ramiona od wieku omszały, cienisty więz ogromny – tam miejsce obrały sny płocze: wszystkie liście ich rzesza obsiadła*<sup>2</sup>.

Melissą wstrząsnął gwałtowny dreszcz, od którego mocniej zacisnęła palce na kubkach z kawą.

– Wspaniale – powiedziałem. – Od razu mniej mi przykro, że ścinają to drzewo.

– Podobno *kataplazmy z dekoktu kory korzenia działają zmiękczejaco na guzy twarde* – poinformował nas Hugo. – Według *Kompletnego herbarza Culpepera*. Przypuszczam, że powinienem spróbować, skoro mam pod ręką mnóstwo kory korzenia, ale nie jestem pewien, jak sporządzić *dekokt*

i *kataplazmy*, nie mówiąc o tym, jak miałbym je sobie zaaplikować, żeby podziały zmiękczały. Poza tym wiąż *nadzwyczaj skutecznie leczy łuszczenie skóry i trąd*. Może wam się to kiedyś przyda.

Zastanawiałem się, czy mogę zrobić w tył zwrot i wrócić do łóżka.

Arborysta odpalił piłę łańcuchową.

– Boże... – Hugo się skrzywił. – To chyba znak, że powinniśmy wyjść.

\* \* \*

Wydawało mi się, że dla wszystkich będzie jasne, że niedzielny lunch raczej nie wchodzi w grę, ale około południa zaczęli się schodzić: moi rodzice (matka wtaszczyła donicę z dziarskim młodym drzewkiem, wysokim jak ona. „Dąb czerwony, facet mówi, że szybko rośnie, więc niedługo będziesz miał tę straszną dziurę w ogrodzie, a jesienią powinny być wspaniałe liście...”), Phil i Louisa (z torbami jedzenia z Marksa & Spencera), Leon, Miriam i Oliver (z gigantycznym i chaotycznym bukietem); Susanna, dzięki Bogu, najwyraźniej postanowiła nie przyprowadzać swojej trzódki. Nie wiedziałem, czy przyjechali udzielić wsparcia emocjonalnego, czy chcieli na własne oczy zobaczyć, co się dzieje w ogrodzie, czy po prostu w odruchu Pawłowa: „Niedziela, do Hugo, jedziemy!”. Miałem wrażenie, że dzwonek u drzwi dzwoni bez przerwy, potem wszyscy po kolei tłoczyli się przy drzwiach na taras, aby gapić się na rzeź – na trawie leżały ogromne gałęzie, w powietrzu fruwały trociny,

postacie w bieli wchodziły na drabiny i schodziły – a towarzyszyła temu ta sama seria okrzyków i pytań: „Och, nie, tylko popatrzcie na to drzewo!”, „Znaleźli tam coś jeszcze?”, „Okropnie groźnie wyglądają w tych białych strojach – wiedzą już, kto to jest?”.

Wreszcie zaspokoili swoją ciekawość albo nie mogli dłużej znieść wizgu piły łańcuchowej i przenieśliśmy się do salonu. Najwidoczniej spodziewali się, że przygotujemy lunch, ale w tej kuchni za cholerę nie upichciłbym pieczeni ani niczego innego. Hugo i Melissa mieli chyba takie samo odczucie. Przetrzęsaliśmy torby z zakupami i wysypaliśmy na stół bagietki, ser, szynkę, pomidory i co tam jeszcze było, a obok postawiliśmy wszystkie czyste nakrycia, jakie udało się nam znaleźć.

W pokoju panowała nerwowa i naelektryzowana atmosfera. Nikt z nas nie miał pojęcia, co mamy myśleć, czuć czy mówić w takiej sytuacji, a każdy z mieszaniną ulgi i wstydu chciał skorzystać z okazji, by skupić uwagę na czymś innym niż Hugo. Każdy miał swoją teorię. Miriam z szybkością karabinu maszynowego opowiadała mojej matce o celtyckich rytuałach odprawianych na granicach plemiennych i o składaniu ofiar z ludzi, choć nie wiadomo, jakim cudem Celtowie mogli jej zdaniem umieścić czaszkę w pniu dwustuletniego drzewa. Matka rewanżowała się jej skomplikowaną historią samosądów w epoce wiktoriańskiej. Leon – który nic nie jadł i był pobudzony do tego stopnia, że zastanawiałem się, czy nie udało mu się zdobyć speedu – kołował Louise zawiłą opowieścią o miejscowym graczu hurlingu, który sprzedał duszę diabłu

poprzez jakiś nieprawdopodobny obrzęd w zamian za mistrzowskie umiejętności („Nie, przysięgam, słyszałem to wiele lat temu, tylko nikt nie wie, co się stało z czaszką...”). Louisa patrzyła na niego znużonym wzrokiem, wahając się, czy mu nie poradzić, żeby dał sobie spokój z tymi bzdurami. Nawet mój ojciec, który chyba nie sklecił więcej niż dwóch zdań, odkąd dowiedział się o chorobie brata, z zapalem tłumaczył Melissie, jak daleko lis potrafi zawlec ciężki przedmiot.

Nie przejmowałem się tym tak jak oni. Nie potrafiłem patrzeć na detektywów jak na intrygującą ciekawostkę, a ponieważ reszta miała ten luksus, coraz bardziej się irytowałem i czułem się jak outsider. Phil i Louisa przywieźli camembert, którym cuchnął już cały pokój. Znowu straciłem apetyt.

– Jest jasne – Oliver wycelował we mnie widelcem z nadzianym kawałkiem pomidora – zupełnie jasne, że pochodzi sprzed dwudziestego szóstego roku. Twoi dziadkowie byli zapalonymi ogrodnikami, przez cały rok sadzili, siali, przycinali i Bóg wie co jeszcze, a twoja prababcia była taka sama. Nie chcę być wulgarny, ale jeżeli za ich życia w ogrodzie rozkładały się zwłoki, nie mogliby tego nie zauważyć. Poprzednią właścicielką była starsza kobieta, przez wiele lat przykuta do łóżka. Kiedy moi dziadkowie kupili dom, ogród był w strasznym stanie... chaszczę i pokrzywy potąd... Babcia opowiadała, że kiedy przyjechali obejrzeć dom, podała swoje najlepsze pończochy w groszki, ha! Mogła tu sobie gnić cała armia i nikt nie zwróciłby na to uwagi. Rozumiesz?

– Przecież nie wiemy, czy to były kompletne zwłoki – wtrącił się Phil z drugiej strony stołu, sięgając po camembert. – Ani czy

rozłożyły się w drzewie. Równie dobrze ktoś mógł mieć czaszkę, której chciał się pozbyć, i...

– To co w takim razie stało się z resztą? Jeżeli znajdziesz porzuconą czaszkę, wzywaj policję... konstabli, stójkowych... wszystko jedno, jak się wtedy ich nazywało. Dokładnie tak, jak zrobił Hugo. Czaszki pozbywasz się tylko wtedy, gdy masz ciało, którego nie powinieneś mieć. A co się działo krótko przed dwudziestym szóstym rokiem? Kto mógł się znaleźć w posiadaniu zwłok?

Traciłem wątek: podobnie jak w przypadku genealogicznych zagadek Hugo, było tu za dużo pobocznych okoliczności, możliwości i wniosków, żebym mógł wszystko ogarnąć. Nie pomagał mi w tym tłok w pokoju – wszędzie ruch i ludzie – wzdrygałem się przy każdym nieoczekiwanym ryku piły. Melissa ponad ramieniem mojego ojca pochwyciła mój wzrok i posłała mi pokrzepiający uśmiech. Zdołałem go odwzajemnić.

– Wojna domowa – oznajmił triumfalnie Oliver. – Partyzantka, egzekucje. Kogoś przyłapano na szpiegowaniu i zniknął, pochłonął go ogólny Sturm und Drang. Mógłbym postawić każde pieniądze, że te zwłoki są z dwudziestego drugiego roku. Ktoś ma ochotę przyjąć zakład? Toby?

Zabrzącał mi w kieszeni telefon: dzwonił Dec.

– Przepraszam, muszę odebrać – powiedziałem do wujków i uciekłem do kuchni.

Hugo, oparty biodrem o blat, wyjmował z pudełka spory biszkopt. Cały ogród był usłany wiórami, policjanci stali ciasno zbici przy wejściu do namiotu, a z wiązu został tylko pień.

– Hej – rzuciłem do telefonu.

– Hej – usłyszałem głos Deca. Na jego dźwięk szczerze się uśmiechnąłem. – Kopę lat.

– Wiem. Co u ciebie? Dowiedziałem się o Jennie od Seana.

– Hm... Szału nie ma, ale będę żył. Dobra, wiem, co chcesz powiedzieć, kurwa: „A nie mówiłem”?

– A, kurwa, nie mówiliśmy? Ciesz się, że ocalałeś wszystkie organy. Nie obudziłeś się kiedyś w wannie z lodem?

– Odpieprz się. Jak ci się żyje?

– W porządku. Na luzie. Richard dał mi trochę wolnego, więc po prostu odpoczywam.

– Sean powiedział mi o Hugo. Naprawdę przykro mi, stary.

– Wiem. – Odsunąłem się nieco od Hugo, który pedantycznie kroił ciasto, trzymając nóż w dziwnie zgiętej i zakrzywionej dłoni, na której widok stężałem. – Dzięki.

– Jak się czuje?

Wydałem jakiś wymijający dźwięk.

– Pozdrów go ode mnie.

– Dobrze.

– Słuchaj no... – Nagle głos Deca się zmienił. – To jego chatę pokazywali w wiadomościach?

– Tak.

– Jezu, tak właśnie myślałem, ale... Co jest, kurwa?

– Pamiętasz ten stary więz? Ten duży w głębi ogrodu? Dzieciak Susanny znalazł tam czaszkę. W dziurze w pniu.

– Jezu!

– No. Prawdopodobnie jest stara. Mówią, że więz ma jakieś dwieście lat. Nie wiadomo, kiedy czaszka mogła się tam dostać. Ale mimo to ścinają drzewo. Pełno tu policji.

– Kurwa! Bardzo was męczą?

– Nie, na razie są w porządku. Wypytywali nas o mnóstwo rzeczy, ale nic o tym nie wiemy, więc na razie właściwie dali nam spokój. Zawadzają nam jak cholera, ale co zrobić. Muszą robić swoje.

– Słuchaj, chcieliśmy wpaść z Seanem w tym tygodniu. Dalej chcesz się z nami zobaczyć? Czy wolisz, żeby nikt więcej nie kręcił ci się po domu?

Szczerze mówiąc, bardzo chciałem się z nimi spotkać, wiedziałem jednak, że nie zdołam poradzić sobie z nimi i ogrodem pełnym glin. Nie ogarnę tego i zacznę się jąkać, gubić wątek rozmowy, robić z siebie idiotę. Poczulem nowy przypływ złości na Rafferty’ego i jego kumpli.

– Może zaczekajmy, aż gliny się stąd zabiorą. Jeżeli się uda, to niedługo powinni skończyć. Zadzwońię i wtedy się umówimy, zgoda?

– Nie ma sprawy. I tak nie robię nic więcej. Sean jest super, razem z Audrey ciągle zapraszają mnie na kolację, ale kiedy pomyślę, że będą gruchać jak dwa gołąbki... Rozumiesz? Od razu mi się...

Ktoś zastukał w oszklone drzwi na taras: Rafferty, który zdejmował lateksowe rękawiczki.

– Muszę kończyć – powiedziałem do Deca. – Dam ci znać jeszcze w tym tygodniu. – Rozłączyłem się i podszedłem do drzwi.

– Dzień dobry. – Rafferty uśmiechnął się do nas i otrzepał rękę. – No i gotowe. Usuniemy ścięte drzewo, arborysta je wywiezie.

– Znaleźliście coś? – spytał Hugo uprzejmym tonem sklepikarza, jakby mówił: „Znalazł pan coś dla siebie?”.

– Tak. – Starannie wytarł buty o wycieraczkę i wszedł. – Zanim zapomnę: namierzyliśmy tego pańskiego bezdomnego, który sypiał pod murem ogrodu. Popytałem u siebie, znalazłem paru chłopaków, którzy pracowali w tym rejonie. Jeden go pamiętał. Bernard Gildea. Bardzo chciałbym panu powiedzieć, że wyszedł na prostą i żył długo i szczęśliwie, ale wylądował w hospicjum. Marskość wątroby. Umarł w dziewięćdziesiątym czwartym.

– Och, nie. – Hugo wyglądał na autentycznie przygnębionego. – Pod tą pijacką powierzchownością krył się porządny człowiek. Oczytany... czasem pytał, czy mamy jakąś zbędną książkę, a ja zawsze coś dla niego znajdowałem... Lubił literaturę faktu, książki historyczne z czasów pierwszej wojny światowej. Odnosiłem wrażenie, że gdyby raz czy dwa coś w jego życiu potoczyło się inaczej...

– Przykro mi, że przynoszę złe wieści – przerwał mu Rafferty. – I ta, niestety, nie jest ostatnia. Ogród trzeba będzie odsłonić.

– Odsłonić? – zdumiał się Hugo po chwili konsternacji. – Co to znaczy?

– Będziemy go musieli rozkopać. Nie zamierzamy ruszać pozostałych drzew, a kiedy skończymy, postaramy się posadzić z powrotem tyle roślin, ile się da, ale nie jesteśmy ogrodnikami. Może będzie pan mógł wystąpić o odszkodowanie...

– Dlaczego?! – zapytałem znacznie głośniejszym głosem, niż zamierzałem.

– Bo nie wiemy, co możemy tam znaleźć – wyjaśnił rozsądnie Rafferty. Wciąż zwracał się do Hugo. – Powiem szczerze, że

prawdopodobnie nie znajdziemy nic istotnego i będzie nas pan przeklinał za zniszczenie pięknego ogrodu bez żadnej przyczyny. Ale proszę popatrzeć na to z naszego punktu widzenia. W pniu drzewa były ludzkie szczątki. Nie wiemy, czy gdzieś jeszcze nie ma innych zwłok albo narzędzia zbrodni. Prawdopodobnie nie, nie mogę jednak prowadzić śledztwa przy założeniu „prawdopodobnie nie”. Nie mogę złożyć szefowi raportu z wnioskiem „prawdopodobnie nie”. Muszę mieć pewność.

– Są specjalne radary – powiedziałem. Wyobraziłem sobie zryty ogród, gołą ziemię jak po wybuchu bomby... – Używają ich archeolodzy w programach w telewizji. Takie... – Wykonałem zamaszty ruch, jakbym strzygł trawę kosiarką. – Proszę tego użyć. Jeżeli maszyna coś znajdzie, będzie pan mógł kopać. Jeżeli nie, zostawi pan ogród w spokoju.

Spojrzał na mnie. Jego oczy były złote jak u jastrzębia i czaiło się w nich bezduszne, bezosobowe okrucieństwo, jak u zwierzęcia, które po prostu robi to, do czego jest przeznaczone. Zdałem sobie sprawę, że mnie przeraża.

– Georadar – odpowiedział. – Tak, korzystamy z tych urządzeń. Ale gdy badamy większy obszar, na przykład pole albo wzgórze, i szukamy jakiegoś dużego obiektu, miejsca czyjegoś pochówku albo ukrytej broni. Tu natomiast nie wiemy, czego szukamy, to może być nawet tej wielkości. – Zbliżył kciuk i palec wskazujący na odległość dwóch centymetrów. – Jeżeli wejdziemy do ogrodu z georadarem, będziemy kopać za każdym razem, gdy wykryje kamień albo zdechłą mysz. Wyniku poszukiwań to nie zmieni, tylko będą trwały znacznie dłużej.

– W takim razie nie – odparłem. – Nie ma mowy. Nie zrobiliśmy nic złego. Nie może pan tu po prostu wejść i zrujnować całego ogrodu...

Hugo ciężko usiadł przy stole.

– Zgadzam się, to cholernie niesprawiedliwe – przytaknął Rafferty łagodny tonem, na którego tle mój głos zabrzmiał jak żalosne pokrzykiwania furiata. – W swojej pracy ciągle się z tym spotykam: ludzie, którzy nie zrobili nic złego, przypadkiem znajdują się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, a my spadamy na nich jak grom z jasnego nieba i psujemy im cały dzień... albo niszczymy ogród. Ma pan rację, to nie jest w porządku. Tylko że nie mamy wyboru. Tu są czyjeś zwłoki. Musimy ustalić, co się stało.

– Niech pan znajdzie inny sposób, żeby to zrobić. To nie nasza wina, że on czy ona nie żyje, ani...

– Jeżeli panowie wolą, mogę postarać się o nakaz – odparł z niezmienną łagodnością Rafferty. – Ale dopiero jutro, a do tego czasu będę musiał zostawić kogoś na miejscu. To tylko przeciągnie całą sprawę. Jeżeli uzyskam zgodę, żeby zacząć od razu, być może uda się nam uwinąć w dwa dni.

– Byłbym panu bardzo wdzięczny – odezwał się Hugo, nie dając mi dojść do głosu; zresztą nie byłem pewien, co właściwie chciałem powiedzieć – gdyby zaczekał pan z rozpoczęciem prac godzinę albo dwie. Przyjechała do mnie rodzina na lunch i nie będzie zadowolona z tego pomysłu bardziej niż Toby i ja. Jeżeli zaczeka pan do ich wyjazdu, wszystkim ułatwi to sytuację.

Rafferty przeniósł na niego wzrok.

– Mogę to zrobić – powiedział. – Sami musimy poszukać jakiegoś lunchu. Co pan powie na piętnastą trzydzieści? Czy do tej godziny pańska rodzina już wyjedzie?

– Postaram się, żeby już ich nie było. – Hugo sięgnął po laskę, a drugą ręką oparł się o blat, aby dźwignąć się na nogi. Miał mocno podkrążone oczy. – Toby, weź paterę z ciastem, dobrze?

\* \* \*

O trzeciej Hugo oznajmił, że czuje się zmęczony. Bardzo długo trwało, zanim wszyscy pojęli aluzję – „Pomogę ci zmywać”... „Nie, naprawdę, chcę to zrobić”... „Jesteś pewien, że dacie sobie radę z tym tłumem, który się tu pałęta...”

– Naprawdę, Louiso – powiedział w końcu Hugo z nutą zniecierpliwienia w głosie. – Co twoim zdaniem policja może nam zrobić? Porozbijać nam głowy? I w czym mogłabyś pomóc, gdyby rzeczywiście zaczęła to robić?

W końcu jednak całe jedzenie zostało przykryte folią i starannie schowane do lodówki, a Hugo, Melissa i ja otrzymaliśmy wyczerpujące porady prawne, co krok po kroku mamy zrobić, gdyby policjanci zrobili to czy tamto. Wreszcie wszyscy, nie przerywając rozmowy, odpłynęli przez drzwi i zostawili nas samych.

Staliśmy w trójkę przy przeszklonych drzwiach na taras i obserwowaliśmy gliniarzy przy pracy. Zaczęli pod murem w głębi ogrodu. Było ich pięcioro – Rafferty, dwóch umundurowanych facetów, umundurowana kobieta i ktoś w białym kombinezonie – wszyscy w kaloszach,

impregnowanych nieprzemakalnych kurtkach i uzbrojeni w łopaty. Choć byli za szybko i dość daleko, miałem wrażenie, że słyszę chrzęst wbijanych w ziemię metalowych ostrzy. W zdumiewająco krótkim czasie grządka truskawek zmieniła się w bezładną kupę błota, wielkie kępy dzikiej marchwi i dzwonków zostały odrzucone na bok, jasnymi, splątanymi korzeniami do góry, a w poprzek ogrodu pojawił się szeroki pas wzruszonej ciemnej ziemi. Gliniarze poruszali się wzdłuż niego tam i z powrotem, przystając co jakiś czas, by coś podnieść, obejrzeć, naradzić się i odrzucić to z powrotem, a robili wszystko bez większego pośpiechu. Nad nimi wisiały nieruchomo gęste szare chmury.

– Nie wiedziałem, że tak się to skończy – powiedział Hugo. Opierał się ramieniem o framugę drzwi pod takim kątem, że wyglądał swobodnie, wręcz nonszalancko, widziałem jednak, jak drży mu noga. – A powinienem się domyślić.

Nad murem z tyłu ogrodu pojawiła się czyjaś głowa; potem ręka z telefonem, która lekko się zakołysała, gdy jej właściciel, stojąc na czymś, usiłował zachować równowagę.

– Co to, do cholery? – warknąłem.

– Reporter – odparł ponuro Hugo. – Rano, zanim zeszliście, przed domem kręciło się kilku. Jeden próbował porozmawiać z panią O’Loughlin z domu obok, kiedy wychodziła, ale w ogóle nie zamierzała go słuchać.

W pierwszym odruchu chciałem tam pobiec i kazać facetowi spieprzać, ale na drodze stali gliniarze, którzy kompletnie nie zwracali na niego uwagi. Gościowi udało się utrzymać rękę nieruchomo na tyle długo, by pstryknąć kilka zdjęć, po czym

opadł z powrotem za mur. Po chwili ukazała się inna głowa, też z ręką i telefonem.

– Podsadzają się nawzajem – powiedziała Melissa, odsuwając się od okna.

– Kanalie – wycedził Hugo z prawdziwym gniewem. – Przed domem to co innego, ale tu jest teren prywatny. Policjanci nie mogą się ich pozbyć? Będą tak po prostu stać?

Drugi facet zrobił zdjęcia i zniknął. Czekaliśmy, ale widocznie na razie im wystarczyło. Chmury zgęstniały, pociemniało i na ogród zaczęło spływać sine i niepokojące światło.

Gliniarze skończyli przeszukiwać pas ziemi i zabrali się do rozkopywania drugiego. Przez dłuższą chwilę zmagali się z największym krzewem rozmarynu, w końcu jednak zdołali go wyrwać. Potem Rafferty zbliżył się do nas w paru długich krokach i uprzejmie spytał, nie racząc podać powodu, czy moglibyśmy się przenieść gdzie indziej.

\* \* \*

Cały poniedziałek padał deszcz, gęstą, niezmordowaną ścianą. Wieczorem wziąłem następną tabletkę xanaxu, przez którą dręczyły mnie popieprzone sny – wysoki gliniarz w mundurze, który miał nocną wartę, jakimś sposobem dostał się do naszej sypialni, siedział na krześle w kącie i grał na telefonie, a w niebieskawobiałym świetle jego twarz wyglądała na chorobliwie obrzmiałą. Budziłem się i szukałem go wzrokiem, po czym zapadałem w niespokojną drzemkę, w której śniło mi się, że daliśmy z Melissą za wygraną i przenieśliśmy się do wolnego

pokoju na górze, a tam czekał na nas ten gliniarz z telefonem w ręce, oparty o nasz stary fort.

Poszliśmy z Melissą w deszczu na przystanek, z pochylonymi głowami, nie rozmawiając. Potem ja i Hugo wałęsaliśmy się po domu; załadowaliśmy zmywarkę i opróżniliśmy pralkę, podczas gdy w tle gliniarze – otuleni impregnowanymi kurtkami, ociekający deszczem, którego strużki spływały po rękawach i kapturach – z ponurą zawziętością wbijali w ziemię łopaty i szarpali kępy stokrotek. Suszarka bębnowa była zepsuta, co nie byłoby żadnym problemem, gdybyśmy mogli wywiesić pranie na dworze, ale sznurek został zdjęty i wisiał w smętnych pętlach na haku wbitym w mur ogrodu, a jego koniec tonął w błocie. Hugo miał tylko jedną rozstawianą suszarkę i kiedy była pełna, resztę prania rozwiesiliśmy na grzejnikach i oparciach krzeseł, przez co jadalnia upodobniła się do pokoju sponiewieranych przez los lokatorów czynszówek. Minęło sporo czasu, zanim w końcu pozbieraliśmy się na tyle, by sięść do pracy w jego gabinecie.

Przeszukiwałem w laptopie Hugo spis ludności z 1901 roku – jakiś Australijczyk nie potrafił znaleźć prababki, która powinna była mieszkać gdzieś w pobliżu Fishamble Street. Przeglądałem oryginalne formularze, by sprawdzić, czy nie wkradł się błąd w trakcie przepisywania danych. Hugo siedział przy biurku i powoli, rytmicznie przewracał kartki, robiąc dłuższe przerwy, w których albo nad czymś się zastanawiał, albo rozpraszał go zgrzyt łopat i sporadycznie dobiegające z za okna głosy – coraz bliższe, ponieważ gliniarze miarowo posuwali się w naszą stronę – albo po prostu zapominał, co robi. Znowu szwankował mi wzrok; nie wiedziałem, czy ze zmęczenia, czy od xanaxu, ale

słowa na stronie ciągle dwoiły mi się w oczach. Niewiele udało nam się zrobić.

Około południa ktoś zapukał do drzwi: Leon z wykwintnymi włoskimi kanapkami, które kupił gdzieś w mieście. Byłem przekonany, że przestanie nad sobą panować, gdy zobaczy ogród – połowy już nie było, płócienny namiot porzucono na środku oceanu błota – on jednak tylko pokręcił głową, zacisnął szczęki i z odrobiną za dużą siłą rzucił kanapki na kuchenny blat.

– Kurwa mać – mruknął. – Sytuacja kompletnie wymyka się nam spod kontroli.

Wyjąłem trzy talerze i podałem mu.

– Co ty powiesz!

– Powinniśmy im kazać stąd spieprzać.

– Zrobiłem to. Facet zagroził, że przyjdą z nakazem. – Nie miałem ochoty na zaczepki Leona. – A ty co byś zrobił?

– Spokojnie. Zrobiłbym dokładnie to samo. Oczywiście. – Rozbrajający uśmiech. – Jak się czuje Hugo?

Zastanawiałem się, czy przyszedł namawiać go do spisania testamentu – czaszka odsunęła sprawę domu na dalszy plan i potem nikt nie poruszał tego tematu.

– W porządku. Wkurzony.

– Bardzo chciałbym wiedzieć – Leon wytrząsnął kanapkę z torebki – co o tym wszystkim myśli. – Zerknął na mnie z ukosa.

– Nie wiem. – Znalazłem szklanki na wodę. – Gliniarze wytropili tego bezdomnego, o którym mówił. To nie on.

– I co? Hugo nie ma żadnych innych przypuszczeń?

– Tak naprawdę nie rozmawialiśmy o tym.

– Nie pytałeś go?

– Nie. Po co miałbym pytać?

Leon wzruszył ramionami.

– Przecież to on mieszka tu Bóg wie jak długo. Jeżeli ktoś ma o tym jakiegokolwiek pojęcie, to prawdopodobnie on.

– Wszystko pewnie zdarzyło się jeszcze przed jego urodzeniem. Twój ojciec uważa, że to mógł być jakiś donosiciel podczas wojny domowej.

Leon przewrócił oczami.

– No jasne. Ma nadzieję, że to jakieś wielkie odkrycie i trafimy do podręczników jako ci, którzy zmienili narrację historii Irlandii i tak dalej. – Ustawiając talerze na tacy, znowu ukradkiem na mnie zerknął. Kanapki były zapewne wspaniałe, ale odkąd zjawiała się u nas policja, nie czułem głodu, więc wszystkie te fałdy ciemnoczerwonego mięsa i wilgotne, blade kulki sera wyglądały po prostu obrzydliwie. – A ty? Co o tym sądzisz?

Szczerze mówiąc, nie miałem żadnej teorii, nawet w załączku. I bardzo mnie to martwiło: wszyscy inni zdążyli stworzyć rozbudowane opowieści, a ja odnowiłem wrażenie, że nie potrafię zupełnie niczego wymyślić z powodu ewidentnego defektu umysłu. Próbowałem, ale ilekroć myślałem o czaszce, moja wyobraźnia zderzała się z jej nieporuszoną, twardą realnością; nie sposób było pokonać ani ominąć tej przeszkody. Przywodziła mi na myśl moje nieliczne wspomnienia z chwil tuż po napaści, które wywoływało nieprzyjemny ucisk w żołądku: garść rozproszonych, wyrwanych z kontekstu i pozbawionych znaczenia obrazów, które są tylko sobą i niczym więcej.

– Nie mam pojęcia – przyznałem. – Jak zresztą wszyscy. Nie wiemy nawet, co znaleźli, więc skąd mamy wiedzieć, w jaki

sposób tam trafiło?

– To jasne, że nie wiemy. Pytam cię o domysły. Możliwości.

– Niczego się nie domyślam – odparłem, trochę zbyt zamaszyście stawiając szklanki na tacy – bo właściwie nic mnie nie obchodzi, co się stało. Chcę tylko, żeby ci goście – brodą wskazałem na przemoczonych gliniarzy za oknem – wypieprzali stąd jak najszybciej i nie psuli Hugo ostatnich miesięcy życia. Tylko na tym mi zależy, rozumiesz? – Tak jak sądziłem, te słowa skutecznie zamknęły Leonowi usta.

Spodziewałem się, że w trakcie lunchu będzie wypytywał Hugo, ale może dotarło do niego to, co powiedziałem. Snuł tylko radośnie wspomnienia z Ivy House z naszego dzieciństwa. Kiedy skończyliśmy jeść, wziął ze stosu połowę papierów Hugo i położył się z nią na dywanie na brzuchu; kołysał nogami jak dzieciak i od czasu do czasu wymachiwał jakąś kartką, by zwrócić naszą uwagę – „Boże, słuchajcie, facet nazywał się Aloysius Butt<sup>3</sup>, w szkole musiał mieć piekło...”.

Gdy wczesnym popołudniem wracałem z kuchni, gdzie parzyłem kawę, na schodach usłyszałem głosy, kiedy jednak otworzyłem drzwi, obaj milczeli, pogrążeni w pracy, a Leon ssał koniec długopisu, pogwizdując w zamyśleniu.

\* \* \*

We wtorek rano ogród był już niemal zupełnie zrównany z ziemią, zmieniony w wielką jednolitą przestrzeń rozgrzebanego błota; tylko przy tarasie, jak gorzki żart, pozostał ostatni pas trawy i maków. Wyglądało to jak pole bitwy

z pierwszej wojny światowej, usiane zwałami ziemi i zryte nierównymi dziurami, na które padał zimny, drobny deszcz; pobojuwisko, z którym nic nie da się już zrobić, więc pozostaje tylko czekać, aż trawa i maki odrosną i wszystko przykryją.

Gorsza sprawa, że nie było Rafferty'ego, a to sprawiało wrażenie, że ci ludzie mają tu zostać na zawsze, więc jego obecność jest zbyteczna. Zrobiliśmy kawę i grzanki i jak najszybciej wyszliśmy z kuchni. Kiedy wróciłem do domu, odprowadziwszy Melissę na przystanek, Hugo i ja od razu zamknęliśmy się w gabinecie, zasunęliśmy zasłony w oknach i zabraliśmy się do pracy. Słabe światło w pokoju potęgowało tylko atmosferę wojenną. Obaj, skuleni, ze zmarzniętymi dłońmi, w zaciemnionym pomieszczeniu, wzdrygaliśmy się na każdy dźwięk dobiegający z zewnątrz.

Około jedenastej, gdy masowałem sobie zdrętwiały kark i zastanawiałem się, czy chce mi się zejść do kuchni i zaparzyć kawę, rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Rafferty.

– Przepraszam, że przeszkadzam. Toby, możemy zamienić dwa słowa?

Miał na sobie inny elegancki garnitur, wyglądał jednak dość marnie; miał zwichrzone włosy i ciemny cień zarostu na policzkach. Nieogolona twarz z jakiegoś powodu wzbudziła mój niepokój – kryła się za nią sugestia, że detektyw nie spał przez całą noc, bo poświęcił ją na ważną pracę śledczą, w którą nie zamierza mnie wtajemniczać.

– Dobrze – odparłem.

– Dzięki. Zejdziemy do salonu? Żebyśmy nie przeszkadzali wujowi w pracy?

Hugo w roztargnieniu skinął głową – nie byłem pewien, czy rzeczywiście zdawał sobie sprawę, o co chodzi – i z powrotem odwrócił się do biurka. Zaznaczyłem miejsce w spisie, który studiowałem, i wyszedłem za Raffertym.

– Czym się zajmujecie? – zapytał na schodach życzliwym tonem. Na szczęście szedł pierwszy, więc nie widział, jak pokonuję stopnie, kurczowo trzymając się poręczy i lekko powłócząc nogą. – Ty i wujek?

– Jest genealogiem. Bada historie rodzin, wie pan, opracowuje rodowody. Pomagam mu trochę w pracy, dopóki u niego mieszkam. Na co dzień zajmuję się PR-em.

– Ma fantastyczny gabinet – zauważył Rafferty i otworzył przede mną drzwi salonu. – Jak Sherlock Holmes. Powinniśmy pozwolić mu dokładnie obejrzeć tę czaszkę, może potrafiłby powiedzieć, czy należała do praworęcznego spawacza rur, który miał problemy małżeńskie i labradora.

W salonie czekał inny mężczyzna, siedzący wygodnie w fotelu Hugo.

– O... – Przystanąłem.

– To detektyw Kerr – przedstawił go Rafferty. – Mój partner. – Kerr przywitał mnie skinieniem głowy. Był krępy i barczysty, miał wysuniętą szczękę jak u buldoga i włosy przystrzyżone maszynką do skóry, co nie maskowało jednak łysiny. Jego garnitur wyglądał, jakby pochodził z tego samego sklepu co strój Rafferty'ego. – Usiądź.

Ruszył w kierunku drugiego fotela, mnie została kanapa, więc z kolanami pod brodą przyglądałem się policjantom. Kerr albo ktoś inny otworzył okiennice, które zostawiliśmy zamknięte, na

wypadek gdyby pojawili się dziennikarze. Nie było ich, przynajmniej w tym momencie, ale widząc kątem oka fragment ulicy, trochę się zdenerwowałem. Próbowałem nie zwracać na to uwagi.

– Bardzo cierpliwie to znosicie – przyznał Rafferty. – Wszyscy. Zdajemy sobie sprawę, że ta sytuacja może wkurzyć człowieka, naprawdę to rozumiemy. Nie sprawialibyśmy tych kłopotów, gdyby to nie było konieczne.

– Wiem.

– A więc... – usadowił się w fotelu – opowiem ci, co robiliśmy przez tych kilka dni. Tyle jestem ci winien, prawda?

Wydałem jakiś niezrozumiały dźwięk.

– Po pierwsze, zakończyliśmy prace w ogrodzie. Na pewno cieszy cię ta wiadomość.

„Cieszy” nie było tu najodpowiedniejszym słowem.

– Świetnie.

– Czy mamy spróbować posadzić z powrotem część roślin? Czy wolelibyście zrobić to po swojemu?

– Zajmiemy się tym – powiedziałem. Chciałem tylko, żeby wreszcie stąd zniknęli. – Dziękuję.

– W porządku. – Zanim przeszedł do rzeczy, pochylił się i splótł ręce między szeroko rozstawionymi kolanami. Właśnie wtedy poczułem pierwszy nikły sygnał ostrzegawczy nakazujący mi ostrożność. – Otóż sprawa przedstawia się tak. W waszym ogrodzie był kompletny ludzki szkielet. Ale do tego już zapewne doszliście, prawda?

– Chyba tak. – Nie byłem pewien, do czego doszedłem. Myśl o kompletnym szkielecie, która powinna chyba przyprawić mnie

o dreszcz grozy, wydawała mi się kompletnie nieprawdopodobna, zbyt oddalona od rzeczywistości, by dotrzeć do mojego umysłu.

– Nie martw się, już go nie ma. Jest teraz u patologa.

– Gdzie był?

– Większość w drzewie. Brakowało jednej ręki, co wydało się nam ciekawe, ale znaleźliśmy ją zakopaną pod krzakiem. Czyli okazało się, że nie rozkopaliśmy ogrodu na próżno, jeśli to może być jakieś pocieszenie. Jeden z mundurowych – Rafferty nie mógł powstrzymać uśmiechu – był święcie przekonany, że to jakaś satanistyczna historia... Magiczna „ręka chwały”, tak? – Kerr prychnął z pogardą. – Jest nowy. Patolog znalazła na ręce ślady zębów, więc doszła do wniosku, że zawłókł ją tam szczur, żeby ją poobgryzać.

– Scanlon tak nie uważa – zwrócił się do Rafferty’ego Kerr. – Teraz doszedł do wniosku, że to byli sataniści kanibale.

– Jezu. – Rafferty przysłonił usta palcem, nie do końca ukrywając uśmiech. – Biedny gówniarz. Kiedy zobaczy, na czym naprawdę polega ta robota, będzie zdruzgotany. No dobrze. – Wrócił do ożywionego tonu. – Przede wszystkim musieliśmy ustalić, do kogo szkielet należał. Patolog stwierdziła, że to był biały mężczyzna, który w chwili śmierci mógł mieć od szesnastu do dwudziestu dwóch lat. U młodych ludzi można to dość precyzyjnie określić: wskazówką są zęby, zakończenia długich kości. Był dość wysoki, między metr osiemdziesiąt a metr dziewięćdziesiąt, prawdopodobnie był aktywny fizycznie... podobno było coś charakterystycznego w miejscach, gdzie wiązadła miały się łączyć z kością. Niesamowite, ile szczegółów

fachowcy potrafią ustalić! Powiedziała też, że miał złamany obojczyk, ale zdążył się zrosnąć, ten uraz nie miał nic wspólnego ze śmiercią.

Popatrzył na mnie z nadzieją, jakbym mógł dorzucić jakiś detal. Nie mogłem. Zaniepokoiłem się tym, że ci dwaj rozmawiają tylko ze mną. Dlaczego? Czemu nie ze wszystkimi jak ostatnim razem? Jasne, nie wszyscy są na miejscu, ale na górze jest Hugo i przecież nie ma powodu, żeby go nie wtajemniczać, chyba że...

– No i był pod współczesną opieką dentystyczną – dodał Rafferty. – Leczone go w ciągu ostatnich piętnastu lat.

Znowu chwila ciszy. Wcześniej zdążyłem już uwierzyć, że moja matka miała rację i ktoś z epoki wiktoriańskiej zabił nieuczciwego współnika albo wąsatego zbira, który uwiódł mu córkę. Absolutnie nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała sprawa.

– To znacznie ułatwiło nam zadanie. Mamy bazę danych osób zaginionych. Zajrzeliśmy do niej, poszukaliśmy wysokich, młodych białych mężczyzn, którzy zaginęli w rejonie Dublina piętnaście albo mniej lat temu. Liczba kandydatów skróciła się do pięciu. Potem wystarczyło już tylko porównać dane z kartoteki dentystycznej. Właśnie dostałem wyniki.

Wyjął telefon i przejechał palcem po ekranie, bez pośpiechu, spokojnie, opierając się łokciem o poręcz fotela.

– Proszę. – Nachylił się nad stolikiem, aby podać mi telefon. – Czy ten chłopak kogoś ci przypomina?

Chłopak na zdjęciu miał na sobie bluzę do rugby i szeroko się uśmiechał, obejmując osobę, którą wycięto. Mógł mieć osiemnaście lat, był barczysty i przystojny, miał rozwichrzone

jasne włosy, stał w nonszalanckiej pozie i... Tak, poznałem go od razu, ale najwyraźniej doszło do pomyłki.

– To Dominic Ganly – powiedziałem. – Ale to... to nie może być on. Ten w drzewie. To nie on.

– Skąd znasz tego chłopaka?

Nagle poczułem na sobie przenikliwy wzrok Kerra; obserwując mnie z boku, trzymał notes i długopis, które w magiczny sposób zmaterializowały się w jego rękach.

– Ze szkoły. Chodził do mojej klasy. Ale...

– Byliście dobrymi kumplami?

– Nie bardzo. To znaczy... – nie mieściło mi się to w głowie, musieli się strasznie pomylić – nie kłóciliśmy się, trzymaliśmy się z tą samą... tym samym towarzystwem, ale trudno powiedzieć, żebyśmy się przyjaźnili. Nie robiliśmy niczego tylko we dwójkę ani...

– Jak długo go znałeś?

– Zaraz – powiedziałem. – Chwileczkę.

Dwie pary chłodnych, zaciekawionych oczu zwróciły się w moją stronę.

– Dominic zginął. Ale nie tak, nie w naszym... Popełnił samobójstwo, latem, kiedy skończyliśmy szkołę. Skoczył z klifu na Howth Head.

– Skąd wiesz? – spytał Rafferty.

– Wszyscy tak mówili – odezwałem się po chwili konsternacji. Wiedziałem, że jakąś rolę odegrał jego telefon, chodziło o SMS-y, nie pamiętałem szczegółów...

– Wygląda na to, że wszyscy się mylili – skwitował Rafferty. – Jego ciała nigdy nie znaleziono. Przyjęto, że zginął na Howth

Head na podstawie informacji, którymi wtedy dysponowano. Dane z karty dentystycznej dokładnie odpowiadają uzębieniu ofiary z drzewa. Poza tym twój kolega Dominic złamał obojczyk podczas meczu rugby, kiedy miał piętnaście lat. – Nagle przypomniałem sobie, jak Dominic siedział rozparty z tyłu klasy z ręką na temblaku. – Pasują też zdjęcia rentgenowskie. Na wszelki wypadek przeprowadzamy jeszcze badania DNA, ale to on.

– No to jak, do cholery... – Miałem stuprocentową pewność, że byłem na pogrzebie Dominica. Pamiętałem szkolny chór śpiewający w kościele, pociąganie nosami w ławkach, chudą, jasnowłosą matkę o twarzy, na której toczył się groteskowy pojedynek między płaczem a przemysłową ilością botoksu, bluzę do rugby starannie rozłożoną na ciemnym mahoni trumny. – Co się z nim stało? Dlaczego on... jak trafił do naszego drzewa?

– Tego właśnie bardzo chcielibyśmy się dowiedzieć – odparł Rafferty. – Może się domyślasz?

– Nie, nie mam bladego... Przecież to jakiś obłąd. – Przejechałem dłońmi po włosach, próbując opanować rozbiegane myśli. – Jesteście... to znaczy, podejrzewacie, że ktoś go zabił?

– Możliwe – odparł rzeczowym tonem Rafferty. – Nie znamy przyczyny śmierci, możemy tylko stwierdzić, że nie roztrzaskano mu głowy. Prawdopodobnie sam to zauważyłeś. Niewykluczone, że sam w jakiś sposób wlaźł do tej dziury w drzewie. A może nie. Na razie niczego nie chcemy przesądzać. Staramy się znaleźć o nim trochę więcej informacji, żeby zobaczyć, czy to da nam jaśniejszy obraz sytuacji. Czyli spędzaliście razem czas?

– Tak, w pewnym sensie. Trochę. – W kilkunastu chłopaków tworzyliśmy luźną ekipę, bo chodziliśmy do tej samej klasy i wszyscy byliśmy lubiani, cool, fajni, jakkolwiek to nazwać. Byłem na jednym końcu tej grupy, Dominic na drugim i spędzaliśmy ze sobą czas bardziej z braku innych możliwości niż z wyboru, ale nie umiałem znaleźć odpowiednich słów, żeby im to wytłumaczyć. Mój mózg bez końca zacinał się jak komputer, który w kółko zawiesza się i resetuje: czaszka na trawie, gruda ziemi i korzeni w oczodole, Dominic ziewający w ławce z głową pochyloną nad ekranem telefonu, czaszka na trawie...

– Jaki był?

– Nie wiem. Zwyczajny chłopak.

– Inteligentny? Tępy?

– Nie bardzo. Ani jedno, ani drugie. Nie uczył się najlepiej, ale nie dlatego, że był tępy. Tylko... po prostu mu się nie chciało. – Czaszka, ziemia, ziewnięcie, siedziałem pod tym drzewem zaledwie parę dni wcześniej...

– Sympatyczny? Można było na nim polegać?

– Tak. Na pewno. Dominic był porządnym chłopakiem.

– Dobrze żył z innymi?

Kerr wszystko notował, a ja nie miałem pojęcia dlaczego. Czy w ogóle powiedziałem coś wartego zapisania?

– Tak. Dobrze.

– Był lubiany? Czy po prostu niegroźny?

– Lubiany. Pewny siebie, tak bym to nazwał. Roz, roz... – chciałem powiedzieć „rozrywkowy”, ale słowo mi umknęło. – Zawsze lubił się pośmiać, lubił, kiedy coś się działo, na przykład

jakaś impreza czy coś w tym rodzaju. No i nieźle grał w rugby, a to zawsze pomaga. Ale chodziło nie tylko o to... – Rytm tej rozmowy zaczynał mnie drażnić, nie było ani chwili przerwy, każdą odpowiedź łapali w locie, zmieniali w nowe pytanie i odrzucali z powrotem, jak gdybym wrócił do szpitala i leżał przykuty do łóżka z głową pękającą od pulsującego bólu, a Martin i Oldschoolowy zasypywali mnie gradem pytań...

– Przypominasz sobie kogoś, kto miał z nim jakieś tarcia?

Mgłście przypominałem sobie, jak Dominic robił sobie jaja z Leona, ale wielu chłopaków robiło sobie wtedy jaja z Leona, a w tych okolicznościach chyba wolałem w to nie brnąć.

– Nie bardzo.

– A dziewczyny? Miał powodzenie?

– Och, tak. Same rzucały mu się na szyję. Mielśmy nawet takie... taki rodzaj żartu. Kiedy jakaś dziewczyna podobała się nam wszystkim, to Dominic dobierał się do niej pierwszy.

– Znamy ten typ faceta. – Rafferty wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Drań. Wkurzył tym kogoś? Może odbił komuś dziewczynę?

– A skąd! Jak powiedziałem, to był porządny chłopak. Nigdy nie startował do czyjejs dziewczyny, taki mieliśmy kumpelski kodeks. Ale do innych... Tak im się podobał, że... Jak mówię, to był nasz dyżurny żart. Nikt się z tego powodu nie denerwował.

– Łatwo ci mówić, jeżeli nie ty na tym ucierpiełeś. Dominic podrywał kiedyś dziewczynę, która ci się podobała?

– Pewnie tak. Nie pamiętam. – To była prawda. Wtedy podobała mi się chyba każda dziewczyna, która była ładna albo sexy, albo jedno i drugie. Prawdopodobnie Dominic zaliczył

przynajmniej niektóre z nich, ale ja też miałem całkiem niezłe powodzenie, więc mi to nie przeszkadzało.

– Ograniczał się do takich jednorazowych akcji, czy miał swoją stałą dziewczynę?

– Nie, kiedy... Nie tamtego lata. Wydaje mi się, że spotykał się z jedną przez dłuższy czas jakiś rok wcześniej. Może z którąś ze Świętej Teresy, naszej bliźniaczej szkoły żeńskiej. Ale to nie była poważna sprawa.

– Kiedy się skończyła?

Zrozumiałem, do czego zmierza, ale...

– Nie. To było dawno, zanim... I myślę, że to on ją rzucił. Tak czy inaczej, nie cierpiał z tego powodu. Nie dlatego... – Urwałem. Coraz bardziej się gubiłem.

– A właśnie – powiedział Rafferty. – Kiedy się dowiedziałeś o jego samobójstwie, czy to miało dla ciebie sens? Byłeś zaskoczony?

– Nie... – Moja sypialnia na górze, przewracam się ze stęknięciem na brzuch, żeby sięgnąć po telefon, który natarczywie dzwoni, głos Deca: „Słyszałeś? O Dominicu?”. – No tak, to był szok. W ogóle nie sprawiał wrażenia takiego gościa. Ale wszyscy wiedzieli, że nie dostał się na wydział w college’u, na którym mu zależało. Chyba wybrał biznes, ale zabrakło mu punktów na maturze. I to go zdenerwowało. Dlatego tamtego lata był trochę wytrącony z równowagi.

– W depresji?

– Niezupełnie. Raczej wściekły, często się złościł. Jak gdyby wyładowywał się na nas za to, że dostaliśmy się tam, gdzie chcieliśmy.

– Wściekły – powtórzył w zamyśleniu Rafferty. – Czy to było powodem jakichś kłopotów?

– Jakich?

– Wdawał się w bójki? Wkurzał ludzi?

– Nie bardzo. Przeważnie zachowywał się wrednie, nie wiadomo dlaczego robił się wobec kogoś nieprzyjemny. Ale nikt nie miał mu tego za złe. Rozumieliśmy.

– Nadzwyczajna wyrozumiałość – zauważył Rafferty. – Jak na nastolatków.

Wykonałem gest przypominający wzruszenie ramion. Tak naprawdę tamtego lata niespecjalnie przejmowałem się Dominikiem, co najwyżej od czasu do czasu odczuwałem do niego coś w rodzaju litości z odcieniem lekceważenia. Myślałem o college’u, wolności, o tygodniu na Mykonos z Seanem i Dekiem. Ataki złości Dominica – który kiedyś na przykład za jakiś niewinny komentarz przygwoździł do ściany Darragha O’Rourke’a i wrzasnął mu w twarz, a kiedy ich rozdzieliliśmy, wybiegł jak oparzony – miały dla mnie niewielkie znaczenie.

– Czy patrząc z perspektywy czasu, nie sądzisz, że mógł być w gorszej formie, niż przypuszczaliście? Nastolatki nie zawsze potrafią zauważyć sygnały świadczące o tym, że ktoś ma prawdziwe kłopoty. Wszystkie są zresztą trochę stuknięte, więc nawet kiedy ktoś przeżywa załamanie, dochodzą do wniosku, że to niewiele odbiega od normy.

– Chyba rzeczywiście tak mogło być – przyznałem po chwili. – Na pewno był... – Nie umiałem odpowiednio opisać tej dzikiej, zjadliwej, nieprzewidywalnej energii, która tamtego lata kazała mi unikać Dominica. – Był wytrącony z równowagi.

– Zapytam inaczej. Czy gdyby teraz jeden z twoich przyjaciół zaczął się zachowywać tak jak Dominic tamtego lata, zaniepokoiłbyś się tym?

– Raczej tak. Tak, na pewno.

– No dobrze. – Rafferty siedział pochylony, opuściwszy splecione dłonie między kolana, i wpatrywał się we mnie, jak gdybym udzielał mu informacji niezwykle cennych dla śledztwa.

– Kiedy zaczął się zachowywać w nietypowy dla siebie sposób? Pamiętasz kiedy?

– Nie bardzo... – Nie myślałem o tym od wielu lat. – Hm, nie mógłbym przysiąc, na pewno nie. – Rafferty ze zrozumieniem pokiwał głową. – Ale wydaje mi się, że to się zaczęło mniej więcej podczas ustnych egzaminów, czyli w kwietniu. A potem znacznie się pogorszyło w czerwcu, po pisemnych. Wiedział, że je spieprzył. Większość z nas stresowała się wynikami, z wyjątkiem paru kujonów, którzy wiedzieli, że dostaną furę punktów. Jednego dnia mówiliśmy: „Spoko, powinno być dobrze”, a drugiego: „Niech to szlag, a jeżeli jednak...”. A Dominic powtarzał tylko: „Mam przesrane”. I koniec. Było widać, że to doprowadza go do szału. A kiedy w sierpniu przyszły wyniki i okazało się, że rzeczywiście poszło mu tak źle, jak przypuszczałem, jeszcze bardziej się wściekał.

– Dlaczego tak źle mu poszło? Mówiłeś, że nie był tępy.

– Nie był. Po prostu się nie uczył. Dominic... – Trudno to było wyjaśnić. – Jego rodzice byli bogaci. I chyba go rozpieścili. Zawsze miał wszystko, supertelefony, superwakacje, markowe ciuchy, a jeszcze przed szóstą klasą rodzice kupili mu bmw. – Nagle wróciło mgliste wspomnienie pretensji do losu, ojciec

zaśmiał mi się wtedy w twarz, mówiąc: „Lepiej zacznij oszczędzać”. – Chyba naprawdę nigdy nie przypuszczał, że może nie dostać tego, czego chce. Wliczając studia, jakie sobie wymyśli. Dlatego nie zawracał sobie głowy nauką. A kiedy do niego dotarło, było już za późno.

– Brał kiedyś narkotyki? – Na widok mojego wahania Rafferty dorzucił drwiąco: – Toby, minęło dziesięć lat. Gdybym nawet chciał przymknąć kogoś za odrobinę haszu albo parę tabletek, a nie mam takiego zamiaru, sprawa już się przedawniła. Poza tym nie pouczyłem cię o przysługujących ci prawach, a więc nic, co powiesz, nie zostanie wykorzystane w postępowaniu dowodowym. Muszę się po prostu zorientować, jak wyglądało życie Dominica.

– Tak – odparłem po chwili milczenia. – Czasem coś brałem.

– Co dokładnie?

– Wiem o haszu, ecstazy. Czasami kokę.

Dominic przepadał za koką. W naszych szkolnych czasach nie była taka popularna, ale kiedy się pojawiała, najczęściej pochodziła od niego. Potrafił się też podzielić z gospodarzem podczas imprezy. Klepał mnie w ramię – „Chodź no, Henno, chcę pogadać” – i wymykaliśmy się w głąb ogrodu, chichocząc i klnąc, bo stopy grzęzły nam w błocie, kreski koki na rdzewiejącym ogrodowym stoliczku.

– Może był i inny towar, nie wiem – dodałem. – Tylko to u niego widziałem. Ale nie był ćpunem. Po prostu... kiedy coś się trafiło.

– Nastolatki muszą eksperymentować. – Rafferty pokiwał głową. Kerr notował jak szalony. – Nie wiesz, czy miał jakieś

kłopoty z tego powodu? Z dilerem, któremu nie zapłacił, może ktoś go oskubał, coś w tym rodzaju?

– O niczym takim nie słyszałem. Zresztą on by mi o tym pewnie i tak nie powiedział.

– Racja. Przecież się nie przyjaźniliście. – Zrobił pauzę, która wzbudziła we mnie nieokreślony niepokój. – Czy Dominic był kiedyś w tym domu?

– Tak. – Prawdopodobnie nie powinienem się do tego przyznawać, ale nie miałem wielkiego wyboru. – Mieszkaliśmy tu z kuzynami w czasie wakacji. Urządzaliśmy imprezy. Nie mówię o całonocnych rave'ach, zawsze przecież był na miejscu Hugo, ale u siebie na górze. Zapraszaliśmy paru kumpli, puszczaaliśmy muzykę, gadaliśmy, czasem tańczyliśmy...

– I piliście – wtrącił z uśmiechem Rafferty. – I nie tylko piliście. Bądźmy szczerzy.

– No tak. Czasami. Nie robiliśmy tu narkomańskiej meliny ani orgii, ale... wtedy nie mieliśmy już dwunastu lat. Mówię o czasach, gdy mieliśmy szesnaście, siedemnaście, osiemnaście lat. Przeważnie było parę piw albo ktoś przyniósł butelkę wódki... i chyba czasami ludzie popalali hasz...

Wiedziałem, że jąkam się i plotę od rzeczy, zobaczyłem współczującą minę Kerra, jak gdyby zaczynał widzieć we mnie osobę pokrzywdzoną przez los. Miałem ochotę złapać go za kłapy i krzyknąć mu prosto w twarz, wbić mu do tępej głowy, że ja nie mam z tym nic wspólnego, że to wszystko wina dwóch cholernych, nędznych dresiarzy i że to na nich powinien patrzeć z taką miną, nie na mnie. Myśli rykoszetowały mi w głowie.

W trakcie tej rozmowy, choć nie potrafię dokładnie określić, w którym momencie, wszystko stało się realne. Do tej chwili cała sytuacja w zasadzie była tylko wkurzająca, choć owszem, okropna, szokująca i groteskowa. Ten biedny gość (albo dziewczyna, wszystko jedno) prawdopodobnie nie spodziewał się, że ktoś wyciągnie jego czaszkę z drzewa i Bóg jeden wie, jaka tragedia się za tym kryła, ale naprawdę byłoby cholernie miło, gdyby wybrał sobie jakieś inne drzewo. Pomijając aspekt geograficzny, historia nie miała żadnego związku z nami. Jeszcze w pierwszej części rozmowy tak myślałem, nawet gdy Rafferty powiedział, że szkielet nie pochodzi z dawnych czasów, nawet gdy pokazał mi zdjęcie – *Dominic, Jezu Chryste, tego się nie spodziewałem, jak tu, do cholery, trafiłeś?* Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że już nie jesteśmy widzami, nagle znaleźliśmy się na scenie.

– Dominic bywał na tych imprezach? – spytał Rafferty.

– Tak. Nie na każdej, ale chyba na większości.

– Ile ich było?

Nie miałem pojęcia.

– Tamtego lata może trzy, cztery, a on przyszedł na dwie albo trzy. I mniej więcej na tyłu był poprzedniego lata i jeszcze rok wcześniej. Ale nie mam... To tylko moje przypuszczenia.

– W porządku. Minęło sporo czasu, trudno się spodziewać, żeby każdy miał doskonałą pamięć. Opowiedz nam, ile wiesz. Jeżeli nie pamiętasz, nie krępuj się, śmiało o tym mów. – Rafferty dodał mi otuchy uśmiechem. – Kto zwykle zapraszał go na imprezy? Ty? A może był bliżej z twoim kuzynem albo kuzynką?

– Pewnie ja. Wysyłałem jedną wiadomość do wszystkich chłopaków.

– Bywał tu kiedyś przy innej okazji niż imprezy? Na przykład wpadał sam? Albo z kilkoma waszymi kolegami?

– Nie jestem... – Przemknął mi w pamięci widok siebie, Susanny i Leona na tarasie, kiedy pierwszy raz się upaliliśmy; wszyscy troje chichotaliśmy jak wariaci i byłem niemal pewien, że z ciemności dobiega śmiech kogoś jeszcze. Czyżby to był zaraźliwy chichot Dominica? – Chyba tak. Nie pamiętam żadnego... żadnego konkretnego razu, ale czasem chyba wpadał.

– Przypominasz sobie, kiedy był tu ostatni raz?

Dominic leżący na trawie i wsparty na łokciach uśmiechał się do Susanny... Czy to na pewno była Susanna? Dominic ryczący ze śmiechu w kuchni nad żółtą plamą piwa i rozbitą butelką, którą upuścił na podłogę.

– Nie wiem – powiedziałem. – Przykro mi.

– W takim razie kiedy widziałeś go ostatni raz?

– Nie mam pojęcia. Nie sądzę, żeby to było tuż przed jego zaginięciem, bo to bym zapamiętał. – Być może. – Wydaje mi się, że mówiłbym o tym potem ludziom, prawda? „Boże, widziałem go tego dnia i wyglądał zupełnie normalnie”. Nie pamiętam, żebym coś takiego mówił, więc...

– To ma sens – przyznał Rafferty, co było miłe z jego strony. – Ostatni raz widziano Dominica... Zobaczmy – sięgnął po notes i przerzucił kilka kartek – dwunastego września. To był poniedziałek. Latem pracował w klubie golfowym, skończył około piątej, wrócił do domu w okolicy szóstej i zjadł kolację z rodziną. Wszyscy poszli spać około wpół do dwunastej. W nocy

Dominic wymknął się z domu i już nie wrócił. – Zerknął na mnie. – Nie przypominasz sobie, co robiłeś tego dnia? Czy w ogóle byłeś wtedy w kraju?

– Byłem tutaj. Ja, Susanna i Leon spędzaliśmy tu większą część lata. Ale nie...

Kerr poprawił się w fotelu i mebel skrzypnął.

– Dlaczego? – zapytał Kerr.

Wbiłem w niego tępe spojrzenie.

– Co dlaczego?

– Spędzaliście tu lato – wyjaśnił cierpliwie. – Czemu?

– Zawsze tak było. – Wciąż mi się przyglądał, więc dodałem: – Nasi rodzice wyjeżdżają razem.

– Ale tamtego lata mieliście po osiemnaście lat. Nie woleliście zostać sami w domu rodziców? Chata wolna, żaden wujek nie ma was na oku. Można imprezować do woli.

– Może i tak, ale... – Jak miałem mu to wytłumaczyć? – Wszyscy lubiliśmy tu być. I fajniej nam było w trójkę. Tamtego lata każde z nas było same, więc nikt nie miał ochoty bawić się w dom z dziewczyną czy chłopakiem. Chcieliśmy po prostu spędzić ten czas razem.

– Wygląda na to, że nawet przy wujku imprezy były udane – zwrócił się do kolegi Rafferty, uśmiechając się szeroko. – Mam rację, Toby?

– Tak. – Zdobyłem się na blady uśmiech. – Ale nie mam pojęcia, czy tego dnia tu byliśmy. Każde z nas miało pracę na lato, więc pewnie pracowaliśmy.

– Chyba że kac okazał się silniejszy, co? Znam to. Gdzie pracowaliście?

– Miałem staż w agencji PR, BlueSky. Susanna była wolontariuszką w jakiejś organizacji non profit, nie pamiętam której. A Leon pracował w sklepie płytowym w mieście.

– O której kończyłeś pracę?

– Chyba o piątej. Potem pewnie przyjechaliśmy tu na kolację, jak zwykle... Może później gdzieś wyszliśmy albo ktoś do nas przyszedł... Ale jeżeli to był poniedziałek, to raczej nie... Nie bardzo pamiętam.

– Nic nie szkodzi. Popytamy, sprawdzimy, może ktoś z waszej paczki prowadził pamiętnik. Sprawdzimy media społecznościowe... Wtedy działał już chyba Myspace, prawda? Zobaczymy, czy ktoś zamieścił post z tego dnia. – Rafferty wyprostował się, kładąc dłonie na poręczach fotela: sygnał, że rozmowa zbliża się do końca. – Ponieważ zmarły miał związki z tym domem, będziemy go musieli przeszukać.

Gorąca fala oburzenia zaparła mi dech w piersiach.

– Ale... – Urwałem.

– Między innymi dlatego chciałem z tobą porozmawiać na osobności – ciągnął Rafferty, jak gdyby nigdy nic. – Chodzi o twojego wuja. Nie wiem, czy nie strzelam gafy, ale czy on się dobrze czuje?

– Nie – odparłem. – Jest umierający. Guz mózgu. Zostało mu może kilka miesięcy.

Jeżeli miałem nadzieję, że to da Hugo immunitet, byłem w błędzie. Rafferty się skrzywił.

– Przykro mi to słyszeć. Dobrze, że najpierw rozmawiam z tobą. Liczę na to, że pomożesz mi ułożyć jakiś plan, żeby jak najmniej to odczuł. Postaramy się szybko uwinąć, ale

realistycznie rzecz biorąc, sędzę, że trzeba będzie poświęcić na to prawie cały dzień. Macie dokąd się przenieść na ten czas? Gdzie wujkowi będzie miło i wygodnie?

– Nie – odpowiedziałem. Nie miałem pojęcia, czy Hugo będzie miał coś przeciwko temu, by ewakuować się z domu na resztę dnia, ale ja się na to nie zgadzałem. Sprzeciwiałem się z zjadłością, która była bezsensowna, ale miałem to gdzieś. – Hugo musi tu zostać. Ledwie chodzi. I często czuje się zagubiony.

– Problem polega na tym, że w kwestii rewizji domu nie mamy wyboru – tłumaczył bardzo rozsądnie Rafferty. – To trzeba zrobić. Mamy nakaz i tak dalej. I chyba rozumiesz, że nie możemy pozwolić, żebyście nam zaglądali przez ramię.

Patrzyliśmy na siebie ponad stolikiem. Najgorsze w tym wszystkim było to, że z niezachwianą i straszliwą pewnością wiedziałem, że jeszcze parę miesięcy temu potrafiłbym ich przekonać, bez najmniejszego trudu. Cóż to dla mnie, czarujący uśmiech i jakieś idealne rozwiązanie, które zadowoliloby wszystkich. Bełkocząca galareta, którą się stałem, nie umiałaby przekonać pięciolatka, nawet gdyby potrafiła znaleźć odpowiednie rozwiązanie. Wpadłem jedynie na pomysł, by ogłosić okupację Ivy House i oświadczyć tym dwóm, że będą musieli zakuć mnie w kajdanki i wywlec stąd siłą, ale miałem przeczucie, że pomijając stopień żenady takiej sytuacji, zrobiliby to z ochotą, gdyby było trzeba.

– Wiesz co, zawrzyjmy kompromis – ustąpił Rafferty. – Ty i twój wujek zwolnicie dom na... powiedzmy, godzinę? – Zerknął na swojego partnera.

– Może półtorej godziny – poprawił go Kerr. Jego notes zniknął.

– Półtorej godziny. Zjedzcie lunch, idźcie na jakieś zakupy. Kiedy was nie będzie, sprawdzimy gabinet i kuchnię. Po powrocie będziecie mogli korzystać z tych pomieszczeń, zająć się pracą, zaparzyć herbatę, jeżeli będziecie mieli ochotę... I nie będziemy wzajemnie wchodzić sobie w drogę. Co ty na to?

– Okay – odparłem po chwili. – Chyba może być.

– Świetnie – rzucił wesoło Rafferty. – Czyli załatwione.

Kiedy wstałem, on też się podniósł. Z początku nie zrozumiałem dlaczego. Dopiero gdy poszedł za mną po schodach do gabinetu Hugo, zdałem sobie sprawę. *Ponieważ zmarły miał związki z tym domem, będziemy go musieli przeszukać. Mamy nakaz i tak dalej...* A jeszcze parę minut wcześniej odnosiłem wrażenie, jakby dopiero przed chwilą dowiedział się, kim był zmarły.

\* \* \*

Nie wolno mi było prowadzić samochodu, ale Hugo na pewno nie mógł się za kierownicą, a za cholerę nie pozwoliłbym mu chodzić po ulicach, dopóki Rafferty i jego kompani nie skończą. Miał długiego białego peugeota z 1994 roku, w wielu miejscach zardzewiałego i poklejonego taśmą, ale kiedy już poznałem dziwactwa tego wozu, prowadziło się go całkiem dobrze. Najtrudniejsze było otoczenie, gdy wyjechaliśmy na główną drogę: wszędzie nerwowy ruch i kolorowe światła, jakby wyrwano mnie z głębi stojącej zielonej wody i rzucono w środek

nadmiaru wszystkiego. Modliłem się w duchu, żeby podczas jazdy nie popełnić żadnego błędu; przysięgam, naprawdę nie zniósłbym jeszcze jednego kontaktu z policją.

Miałem straszną ochotę na papierosa. Nie paliłem jeszcze na tyle długo, by się poważnie uzależnić, ale w tej sytuacji – z jednej strony gliny, z drugiej dziennikarze, a pośrodku ja, udający niepalącego i od poprzedniego wieczoru niemający papierosa w ustach – dzień już okazał się cholernie trudny. Zjechałem z głównej drogi i kluczyłem po bocznych uliczkach, dopóki nie znalazłem zaułka osłoniętego rachitycznymi drzewkami, przy którym stały małe domki staruszków.

– Możemy się tu na chwilę zatrzymać? – spytałem, wyłączając silnik i szukając papierosów po kieszeniach. – Muszę zapalić.

– Mało brakowało, żebym dał mu w zęby – powiedział nagle Hugo. Wiadomość i plan ewakuacji przyjął spokojnie, skinął tylko głową i starannie zanotował coś w papierach, zanim odłożył je na bok, a podczas wyjścia z domu i jazdy prawie nie odezwał się słowem. – Temu Rafferty’emu. Wiem, że to nie jego wina, że to trzeba zrobić, ale mimo wszystko. Kiedy powiedział o przeszukaniu i wyobraziłem sobie, jak on i jego ludzie myszkują po domu i zaglądają we wszystkie kąty, o mały włos mu nie przywaliłem. Wprawdzie nie mam niczego do ukrycia, ale to przecież nasz dom... – Uniósł i wyprostował ramiona, a ja zobaczyłem, jakiej jest postury, jakie ma szerokie plecy i długie ręce. – Trochę żałuję, że tego nie zrobiłem.

– Próbowałem ich powstrzymać – oznajmiłem, choć nie byłem pewien, czy można to uznać za prawdę. – Przed przeszukaniem domu. A przynajmniej postarać się, żeby nas nie wyrzucali.

Hugo westchnął.

– Wiem. Nie szkodzi. Wyjście z domu pewnie dobrze nam zrobi. – Odchylił głowę na zagłówek i gwałtownie przetarł twarz dłonią, przymykając oczy. – Nie umiałem odgadnąć, co ten detektyw myśli, ani w ząb. Bardzo trudno go rozgryźć, prawda? Pewnie na tym polega jego praca. O co cię pytał?

– Tylko o Dominica. Jaki był. Ile czasu spędzał w domu.

– Mnie pytał o to samo. – Rafferty rozmawiał z Hugo w gabinecie, podczas gdy Kerr zabawiał mnie uprzejmą pogawędką w salonie (o genealogii, która dała mu pretekst, by mówić o swoim stryjecznym dziadku, zaangażowanym w jakiś sposób w powstanie w 1916 roku), tuszując w ten sposób fakt, że mnie pilnuje. Trwało to tak długo, że ogarnęło mnie silne, nieuzasadnione zdenerwowanie, o czym tak gadają, podczas gdy Kerr, jakby nieświadomy upływającego czasu, głądził do znużenia. – Ledwie pamiętam tego chłopaka – dodał Hugo. – Bóg mi świadkiem, że próbowałem sobie przypomnieć. Nie wiem, czy nie wywarł na mnie większego wrażenia, czy pamięć mi... Myślę, że sprawiłem temu detektywowi pewien zawód.

– To jego problem. – Papieros poprawiał mi samopoczucie, nadal jednak nie znalazłem w sobie wyrozumiałości dla Rafferty'ego.

– Twarz na zdjęciu wydała mi się znajoma, ale nic więcej. Pamiętam, że ktoś z twojej klasy popełnił samobójstwo latem, kiedy skończyliście szkołę, nie sądziłem jednak, że to był ktoś szczególnie bliski któremuś z waszej trójki.

– Bo nie był. Należał do tej samej paczki co ja, nic więcej.

– Jaki był?

– W zasadzie porządny gość – odparłem. – Trochę imprezowicz. Chyba niezbyt często bywał w Ivy House. Pewnie dlatego go nie pamiętasz.

– Biedny chłopak. Naprawdę chciałbym wiedzieć, w jaki sposób trafił do tego drzewa. To chyba nie jest chorobliwa ciekawość, tak przynajmniej sędzę... ale tak się zdarzyło, że jego śmierć wypadła w trakcie mojej śmierci. Może to dziecinne, ale uważam, że mam pewne prawo wiedzieć, co się stało.

– Jeżeli gliniarze zrobią, co do nich należy, wszyscy powinniśmy się niedługo dowiedzieć – powiedziałem.

Hugo uśmiechnął się gorzko.

– Dla mnie to może być za późno.

– Masz jeszcze czas – pocieszyłem go niedorzecznie. – Przecież lekarze nic nie... nie podali ci ostatecznego terminu. Twój stan się nie pogarsza ani... – Nie mogłem tego ciągnąć.

Nie patrzył na mnie. Zauważyłem, jak urosły mu włosy: gęste, zmierzwiłone ciemne loki przetykane srebrem sięgały ramion. Jego dłonie spoczywały na kolanach, wielkie, kwadratowe, sprawne ręce, wiotkie jak gumowe rękawiczki.

– Czuję to, wiesz? – powiedział. – Mniej więcej od zeszłego tygodnia. Moje ciało odwraca się od tego wszystkiego. Skupia energię na czymś innym, jakimś nowym procesie, którego nie rozumiem i nie mam pojęcia, jak się do niego zabrać, ale moje ciało wie i już to robi. Z początku mówiłem sobie, że to musi mieć podłoże psychologiczne, bo poczułem to po tym, jak się dowiedziałem, że szwajcarski ekspert Susanny nic nie może zrobić... ale nie.

Nie umiałem nic powiedzieć. Chciałem wziąć go za rękę i fizycznie go zatrzymać, wiedziałem jednak, że sam mam za mało siły, by to zmienić.

Po chwili głęboko nabrał powietrza.

– No i tak to wygląda. Poczęstuj mnie, dobrze?

Przytrzymałem mu zapalniczkę.

– Z drugiej strony – odezwał się już innym tonem, unosząc brew nad płomykiem – dobrze cię widzieć na szlaku prowadzącym w przeciwną stronę. Już w ciągu tych paru tygodni nastąpiła prawdziwa zmiana.

– Tak. – Wypaliłem papierosa i wyrzuciłem niedopałek przez okno. – Hm.

– Nie?

– Może. Ale... – Nie wiedziałem, że to powiem, dopóki nie usłyszałem tych słów; cały dzień był wykolejony, wciąż miałem wrażenie, jakbym trafił do jakiegoś symulatora, w którym wszystko wiruje w oślepiających kolorach, zawieszony w powietrzu. – Nawet jeżeli coś działa u mnie lepiej, na przykład noga, to co z tego? Bo nie w tym tkwi problem. Chodzi o to, że nawet gdybym pobiegł w maratonie, nie będę już tym samym człowiekiem.

Hugo zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Według mnie – ostrożnie wydmuchał dym przez uchylone okno – jesteś mniej więcej sobą.

– Hm. – To było miłe, ponieważ oznaczało, że całkiem dobrze udaję, choć biorąc pod uwagę stan Hugo, trudno było przywiązywać wagę do jego słów. – To dobrze.

– Wiem, że wkładasz w to wiele wysiłku. Widzę to... co nie znaczy, że każdy może to zauważyć. Widzę, bo mieszkam z tobą i znam cię przez całe twoje życie. Chodzi mi o coś innego. – Dopiero za drugim razem udało mu się wysunąć papierosa przez okno, by strząsnąć popiół. – Wydaje mi się, że pod spodem, w głębi duszy, nadal jesteś Tobym. Oczywiście poturbowanym i pokaleczonym, ale w gruncie rzeczy tym samym człowiekiem.

Milczałem, więc spytał:

– Naprawdę czujesz się tak bardzo inny?

– Jezu, pewnie, że tak, cholernie inny. Ale nie chodzi nawet o to. – Nigdy wcześniej nie starałem się ubierać tego w słowa i gdy podjąłem tę próbę, dygotały mi ręce, trudno mi było oddychać. – Nie chodzi o faktyczne zmiany. Z nimi pewnie bym sobie poradził... to znaczy są całkiem do dupy i cholernie ich nie znoszę, ale dałbym radę... Mówię o samym fakcie. Nigdy nie zastanawiałem się szczególnie nad swoją... swoją osobowością, ale kiedy o niej myślałem, z góry zakładałem, że jest moja. Że ja to ja. A teraz wydaje mi się, że mógłbym się obudzić rano jako... bo ja wiem... fan *Star Treka* albo gej, albo geniusz matematyczny, albo jeden z tych gnojków, którzy wrzeszczą do dziewczyn na ulicy, żeby pokazały cycki. I stałoby się to całkiem nieoczekiwanie, a ja nie mógłbym nic z tym zrobić. Po prostu... bach! Proszę bardzo, masz i radź sobie.

Zamilkłem. Mój poziom adrenaliny sięgał zenitu; drżał mi każdy mięsień.

Hugo skinął głową. Przez pewien czas siedzieliśmy w ciszy. Kiedy się poruszył, przez straszną sekundę myślałem, że chce mnie objąć czy coś w tym rodzaju, on jednak wyrzucił

niedopałek przez okno i pochylił się nad płócienną torbą, która leżała na podłodze u jego stóp. Przypomniałem sobie, że przed wyjściem wstąpił do kuchni (Rafferty dyskretnie ruszył za nim) i wyszedł stamtąd z tą torbą, nie zwróciłem jednak na to uwagi.

– Proszę – powiedział, wyjmując zawiniątko w folii. – W każdym razie jeść trzeba.

Była to resztką ciasta, która została po zaimprovizowanym niedzielnym lunchu. Hugo pamiętał nawet o nożu. Rozłożył folię na kolanach i przekroił ciasto na dwie równiutkie części.

– Masz. – Podał mi mój kawałek na papierowej serwetce.

Jedliśmy w milczeniu. To był biszkopt z dżemem i okazał się przepyszny; cudowna fala słodyczy z dzieciństwa podziałała niemal upokarzająco. Wciąż padało, wiatr rysował na przedniej szybie chaotyczne wzory z kropli deszczu. Minęła nas kobieta z małym dzieckiem w jasnożółtej pelerynie przeciwdeszczowej, które skakało po kałużach, a ona rzuciła nam podejrzliwe spojrzenie spod kaptura puchowej kurtki.

– No dobrze. – Hugo strzepnął ze swetra okruchy i cukier puder i zgarnął je do ręki. – Chcesz zadzwonić do Susanny i Leona i dać im znać.

– Cholera jasna – jęknąłem. Nawet nie przyszło mi to do głowy, ale było przecież jasne, że Rafferty, gdy tylko skończy rozpieprzać Ivy House, pomknie ich przesłuchać. – Tak, powinienem to zaraz zrobić.

– Masz. – Hugo podał mi zwinięte w kulkę serwetki i folię. – Przy okazji znajdź jakiś kosz i nie zapomnij o niedopałkach. Ja tymczasem zdrzemnę się chwilkę. Mamy jeszcze trochę czasu do powrotu do domu, prawda?

Włączył radio nastawione na Lyric FM, gdzie leciał jakiś spokojny utwór kwartetu smyczkowego, i oparł głowę o zagłówek. Wsiadłem z samochodu, postawiłem kołnierz kurtki i ruszając na poszukiwanie kosza na śmieci, zadzwoniłem do Susanny.

Odebrała dość szybko.

– Co tam?

– Gliniarze znaleźli cały szkielet. W drzewie. I ustalili, kto to jest. Pamiętasz Dominica Ganly’ego?

Cisza.

– Su? – Nie przypominałem sobie, żeby Susanna w ogóle kumpłowała się z Dominikiem, zupełnie nie była w jego typie, ale skoro robił takie wrażenie na dziewczynach... – Dobrze się czujesz?

– W porządku. Po prostu nie spodziewałam się, że to będzie ktoś, kogo znaliśmy. – W tle zabrzmiała straszliwa kakofonia pianina. – Zach! Przestań!!! Wiedzą, co się z nim stało?

– Nie, w każdym razie jeszcze nie. Mówią, że być może... – słowo wydawało się nierealnie, jak aura migrenowa, od której wszystko wokół niebezpiecznie faluje – ...być może został zamordowany.

– Być może? – powtórzyła ostrym tonem. – Czy został?

– Być może. Nie wiedzą. Nie znają nawet przyczyny śmierci.

Znowu chwila ciszy.

– Czyli myślą, że mógł sam tam wleźć.

– Tak twierdził Rafferty. Mnie wydaje się to idiotyczne. Jak, do cholery...

– Jest mnóstwo możliwości – przerwała mi. Zach ciągle tłukł w klawisze pianina, ale dźwięk był słabszy, dobiegał z oddali; Susanna zostawiła go w spokoju. – Może wszedł na drzewo, pośliznął się i skręcił kark, wpadając do dziury. Może naćpał się czegoś i przyszło mu do głowy, że wejdzie tam, żeby poszukać skarbu krasnoludów, a potem nie mógł wyjść i... nie wiem, udusił się. Udławił wymiocinami.

– Detektywi pytali mnie o to... czy brał narkotyki.

– No właśnie. I co powiedziałaś?

Odwróciłem się bokiem do deszczu, starając się osłaniać telefon.

– Powiedziałem, że tak. Nie miałem zamiaru wciskać im kitu. Przecież i tak by się dowiedzieli.

– Racja – przytaknęła Susanna. W jej głosie brzmiała nuta roztargnienia; intensywnie myślała. – A może rzeczywiście popełnił samobójstwo.

– Dlaczego miałby się zabijać w naszym drzewie, do cholery? I jak?

– Może przedawkował. Nie mam pojęcia. Ledwie go znałam. To nie nasz problem, niech policja to ustali.

– A właśnie, to drugi powód, dla którego dzwonię. Rozmawiali ze mną... czy raczej mnie przesłuchiwali, nie wiem, jak to nazwać. I z Hugo. A teraz przeszukują dom. Wyrzucili nas za drzwi.

To przykuło uwagę Susanny.

– Przeszukują dom?! Po co?

– Skąd mam wiedzieć? – Wreszcie znalazłem kosz i wepchnąłem do niego śmieci. – Bo Dominic „miał z nim

związki”, jak powiedzieli. Chciałem cię tylko uprzedzić: jak skończą, pewnie zapukają do ciebie.

– Te gnoje wyrzuciły was za drzwi? Gdzie jesteście? Gdzie jest Hugo?

– Tylko na półtorej godziny. Siedzimy w samochodzie. Hugo właśnie drzemie. Wszystko w porządku.

Przez sekundę wahała się, czy poważnie się wkurzyć, czy odłożyć to na później.

– O co cię pytali? – odezwała się w końcu.

– W zasadzie głównie o Dominica. Jaki był, jak dobrze go znałem. Czy tamtego lata był w depresji. Jak często bywał w Ivy House. Takie rzeczy.

Znowu umilkła. Niemal słyszałem myśli kłębiące się jej w głowie.

– Nie zachowywali się bezczelnie, nic z tych rzeczy – dodałem.

– Było w porządku. Pomyślałem, że wolałabyś wiedzieć wcześniej, zanim do ciebie przyjdą.

– Wolę. Dzięki, Tobie. Serio. – Odetchnęła i jej ton się ożywił. – Słuchaj. Dam ci znać, kiedy wyjdą. Wtedy zastanowimy się, co dalej.

Nie byłem pewien, o czym mówi – nad czym mielibyśmy się zastanawiać? Co właściwie jej zdaniem mogliśmy zrobić w tej sprawie?

– Okay – rzuciłem.

– Muszę kończyć. Wpadnę później albo jutro. Tymczasem pamiętaj: oni mogą kłamać. I to nie są twoi kumple.

Chciałem spytać, dlaczego uważa, że wie więcej o gliniarzach niż ja, ale...

– Su? Zaczekaj.

– Tak?

– Ten pierwszy raz, kiedy się upaliliśmy. Na tarasie. Pamiętasz?

– Mówiłeś Leonowi, że zamieniłam się w małego duszka. A on zaczął świrować.

– Właśnie. Był tam też wtedy Dominic?

– Nie. Dlaczego miałby być?

– Nie pamiętam, kto z nami był. Pomyślałem, że może on.

– Nie było nikogo więcej – odparła Susanna. W jej głosie zabrzmiał ton, którego nie rozpoznałem: konsternacji, zaciekawienia, czego? – Byliśmy tylko my troje.

„Nie, nie tylko”, chciałem powiedzieć, ale powstrzymał mnie paskudny skurcz żołądka.

– Dobra – odparłem. – Pewnie ten towar był mocniejszy, niż myślałem.

– To chyba musiał być czysty skun albo coś takiego. Nawet ja o mało nie uwierzyłam, że zamieniłam się w duszka. Martwiłam się, że nie będę mogła wrócić do dawnej postaci, ale pomyślałam, że pewnie masz jakiś plan i nie pozwolisz mi zostać taką małą na zawsze.

– Boże, nie. – Uśmiechnąłem się mimo woli. – Miałem przygotowane antidotum.

– No właśnie. Pogadamy później. Pa.

Telefon Leona był zajęty. W poszukiwaniu kosza zawędrowałem tak daleko, że potrzebowałem chwili, by znaleźć drogę powrotną do samochodu – brzydkie, mokre uliczki i maleńkie puste ogródki były nie do odróżnienia, wyobraziłem

sobie nawet z niesmakiem, że będę musiał zadzwonić do Hugo i spytać, gdzie jest – ale gdy w końcu znalazłem peugeota, wciąż siedział z odchyloną głową i zamkniętymi oczami. Wyglądał na pogrążonego we śnie. Oparłem się o mur czyjegoś ogródka i zapaliłem papierosa, po czym jeszcze raz spróbowałem zadzwonić do Leona. Tym razem nie odbierał.

Było wpół do drugiej. Uznałem, że gliniarze z całą pewnością skończyli już to, co robili w gabinecie, a nawet jeśli nie, był to ich problem. Wrzuciłem papierosa do kałuży i ruszyłem do samochodu.

\* \* \*

Rafferty przywitał nas na progu jak gospodarz – „Zapraszam, znakomite wycucie czasu, właśnie skończyliśmy gabinet, bardzo proszę na górę!” – i poprowadził nas korytarzem. Gdy mijaliśmy salon, mignął nam jakiś mundurowy, który kucał i przeglądał bałagan na stoliku. Potem Rafferty skierował nas na schody i do gabinetu – „Proszę bardzo, będziemy was informować na bieżąco!” – i zniknął, zamaszycie i głośno zamykając za sobą drzwi.

W gabinecie coś było nie tak, coś nieokreślonego i subtelnego, drewniane słonie nad kominkiem stały zbyt równo, grzbiety książek na regałach układały się w niewłaściwy wzór, wszystko było o pół centymetra odsunięte od swojego stałego miejsca. Miałem ochotę cofnąć się na korytarz.

– No dobrze – odezwał się po chwili Hugo, patrząc z zaskoczeniem na stertę papierów, którą zostawił. – Na czym

skończyliśmy?

Przeglądałem pliki PDF ze spisem ludności jak automat: zaznaczałem ulicę, numer domu, potem klikałem na oryginalny formularz spisu, sprawdzałem nazwiska, przycisk powrotu i następny dom. Nie miałem pojęcia, co widzę. Z mojego pokoju na górze dobiegał tupot kroków, huknęła zamykana szuflada. Wcześniej nie bardzo do mnie docierało, co naprawdę oznacza „przeszukanie domu”, i na myśl o tym, jak Rafferty dotyka swoimi łapskami bielizny Melissy, ogarnęła mnie bezsilna wściekłość, która prawie mnie zamroczyła i gapiłem się w ekran laptopa niewidzącym wzrokiem, ciężko dysząc.

Szuranie przesuwanego mebla za ścianą, stłumione głosy, kroki po schodach w górę i w dół. Trwało to bez końca. Wiedziałem, że powinienem czuć głód, Hugo też, ale żaden z nas nie zaproponował, że przygotuje coś na lunch.

W pewnym momencie, po nieskończonej długim czasie, do drzwi zapukał Rafferty.

– Przepraszam, krótkie pytanie – powiedział. Trzymał naręcze dużych toreb z brązowego papieru, które po obu stronach miały foliowe okienka. – Czyje to jest?

Rozłożył torby na dywanie, żebyśmy obejrzeliby ich zawartość.

– To chyba moje – odparł Hugo, wskazując jakąś grubą kurtkę khaki z dużymi kieszeniami, wytartą i z brudnymi plamami. – Nie widziałem jej od lat. Gdzie była?

– Pamięta pan, od kiedy ją pan ma?

– Boże... pewnie od jakichś dwudziestu lat. Zakładałem ją do ogrodu, kiedy jeszcze żyli rodzice i traktowaliśmy ogród trochę poważniej.

– Kiedy widział pan ją ostatni raz?

– Nie mam pojęcia – odparł spokojnie Hugo. – Dawno temu. Potrzebuje jej pan?

– Tak, będziemy musieli zabrać to wszystko. – Rafferty obserwował naszą reakcję na tę zapowiedź. Jego zarost pociemniał, nadając mu wygląd zawadiackiego buntownika. Żaden z nas się nie odezwał, więc dodał: – Damy wam pokwitowanie. Któraś z pozostałych rzeczy wygląda znajomo?

– To było moje – powiedziałem, wskazując na starą bluzę do rugby. – Kiedy chodziłem do szkoły. To... – czerwona bluza z kapturem – też mogło być moje, nie jestem pewien. Te buty – para brudnych czarnych creepersów na grubych podszewkach – mogły być Leona. A to – oblepiony pajęczynami niebieski śpiwór – było wspólne. Używaliśmy go, kiedy w dzieciństwie spaliśmy w ogrodzie, a później spali w nim znajomi, gdy u nas nocowali. Tego – zakurzony bordowy wełniany szal z pomponami – nie znam. Nie pamiętam, żebym to wcześniej widział.

– Ja też – potwierdził Hugo, trzymając się biurka i wychylając się, żeby uważniej przyjrzeć się rzeczom. – Przypuszczam, że to mogło być Leona. Albo któregoś z waszych kolegów. Nastolatki, gdziekolwiek się znajdują, wszędzie rozrzucają swoje rzeczy, prawda?

– Popytamy – rzucił Rafferty. – Dobra wiadomość jest taka, że skończyliśmy. Chłopaki już się zwijają i zaraz się od was odczepimy. Dziękuję za cierpliwość przez te ostatnie...

Na dole trzasnęły drzwi wejściowe i rozległ się świeży jak letni wietrzyk głos Melissy:

– Cześć, już jestem! Uff, przez ten deszcz mam... – Nagle nastąpiła cisza.

– To Melissa – powiedziałem, wstając. – Lepiej będzie...

Gdy schodziłem do niej, żeby wyjaśnić, co się dzieje, na schodach zadudniły kroki policjantów, którzy wynosili torby z dowodami, aparaty fotograficzne i Bóg wie co jeszcze, a Rafferty i Kerr ściskali nam ręce na progu, wylewnie wygłaszając nic nieznaczące formułki, jacy są nam głęboko wdzięczni za współpracę. Potem zamknęły się za nimi drzwi i wreszcie zostaliśmy sami w trójkę w nagle ogromnej pustce domu.

Wyszliśmy na taras, by obejrzeć zniszczenia. Przestało padać, w powietrzu unosiła się tylko lekka mgiełka i od czasu do czasu z liścia spadała z szelestem pojedyncza kropla. Ostatni pas trawy i maków zniknął: ogród był jedną połacią błota, gdzie nie zostało nic prócz rzędów drzew wzdłuż bocznych murów, które wyglądały jak skazana na zagładę ostatnia linia obrony. Wyrwane z korzeniami krzewy zostały uprzejmie ułożone przy murze w głębi, na wypadek gdybyśmy mieli wobec nich jakieś plany. W rogu tarasu piętrzyła się góra rzeczy, które gliniarze musieli znaleźć podczas wykopalisk: skorupy starej porcelany w ładne biało-niebieskie wzory, oblepiona ziemią Barbie, plastikowa łopatka plażowa, ozdobny wspornik z kutego żelaza pokryty grubą warstwą rdzy. W powietrzu unosił się wszechogarniający zapach skopanej ziemi, tak gęsty i przenikliwy, że trudno było oddychać. W brzdach wszędzie panował ożywiony ruch: wiły się dżdżownice, dreptały stonogi, mrówki wdrapywały się na świeżo powstałe wzgórza.

W bezpiecznej odległości od nas latały i dziobały dwa kosy i rudzik.

– Jutro posadzimy krzewy z powrotem – zapowiedziała Melissa. – Zadzwoń do centrum ogrodniczego, żeby przyjechali i położyli trawę, darni czy jak to się...

– Nie – odezwał się łagodnie Hugo. – Daj spokój.

– Tobie i ja wszystkiego przypilnujemy, nie będziesz musiał...

Wyciągnął rękę i delikatnie położył dłoń na jej głowie.

– Ciii. Mieliśmy dość ruchu w domu.

Po chwili Melissa westchnęła i skinęła głową.

– Posadzimy krzewy. I kupimy jakieś nowe rośliny.

– Dziękuję, moja droga. Byłoby wspaniale.

Staliśmy na tarasie dość długo, podczas gdy ptaki i owady zajmowały się swoimi sprawami, a z drzew kapały resztki deszczu. Powietrze było rozrzedzone i chłodne, niebo powoli szarzało, ale żadne z nas nie potrafiło znaleźć powodu, by się stamtąd ruszyć.

Nazajutrz późnym rankiem zjawił się Leon, a krótko po nim Susanna. Hugo poszedł się zdrzemnąć, a ja krążyłem po domu, podnosząc bibeloty i odkładając je z powrotem, a ponieważ nie potrafiłem się do pracy ani zająć się czymś innym, z ulgą przyjąłem ich wizytę, ale to nie trwało długo. Rafferty i Kerr byli u Susanny rano, a u Leona jeszcze poprzedniego dnia wieczorem; oboje byli zdenerwowani, każde na swój sposób, i z jakiegoś powodu, którego nie rozumiałem, Leon dąsał się na Susannę.

– Dzwoniłam do ciebie – powiedziała do niego, wieszając kurtkę na oparciu krzesła w kuchni. – Chyba z pięć razy. Zamierzałam cię tu podwieźć.

Leon, który wyładowywał zmywarkę i zbyt zamasyście stawiał talerze na blacie, nie uniósł wzroku.

– Przyjechałem autobusem.

– Myślałam, że chcesz ze mną pogadać.

– Chciałem. Wczoraj. Żeby ci powiedzieć, o co pytały mnie gliny.

– Sallie miała jakieś koszmary. Musiałam się nią zająć. I nie chciałam wiedzieć, o co cię pytali. To by niczego nie zmieniło.

– Ale dla mnie coś by zmieniło. Chciałem z tobą pogadać.

– Możemy to zrobić teraz – odparła spokojnie Susanna. – Ale na dworze. Mam ochotę na papierosa. Kawa jest jeszcze ciepła?

– Tak. – Podałem jej kubek z szafki, w której chowałem naczynia. – Jezu, Leon, trochę ciszej. Obudzisz Hugo.

– Nie obudzę. Jest daleko stąd. – Przestał tłuc talerzami. – Co o tym wszystkim myśli Tom? – zapytał. – Dobrze się bawi?

Susanna naląła sobie kawy z dzbanka na kuchence i podeszła do lodówki po mleko.

– Rozumie to.

– Założę się, że ze strachu traci rozumek. To pewnie najbardziej przerażająca rzecz, jaka go kiedykolwiek spotkała, może z wyjątkiem tamtego razu, kiedy zaszalał i pojechał przystanek dalej bez dopłaty i gdy wsiadł kontroler, o mało nie zesrał się w spodnie...

– Słuchaj – odparowała ostro Susanna, nie odwracając się od lodówki – nie masz najmniejszego pojęcia, jaki jest Tom. Musiałoby się wydarzyć coś znacznie poważniejszego, żeby go wytrącić z równowagi. W odróżnieniu od niektórych.

– Uuu – powiedział Leon w chłodnej ciszy, która zapadła.

– Co u Carstena? – spytałem. Nie zamierzałem się w to mieszać, wszystko jedno, o co im chodziło. Z powodu ciężkich nocy i xanaxu byłem wykończony, przygniatało mnie ciężkie jak ołów zmęczenie, które, jak sądziłem, zostawiłem u siebie w mieszkaniu, poza tym dokuczał mi ćmiący ból głowy, zbyt lekki, by warto go było uśmierzać tabletką.

Leon się skrzywił.

– Cały czas chce przyjechać. Próbuję mu to wybić z głowy, bo nie chcę go wplątywać w tę całą historię. Zaraz by wyjechał z tą

swoją nadopiekuńczością, wściekłyby się na gliniarzy. – Drwiąco zerknął spod rzęs na Susannę, która prawdopodobnie nie uskarżała się na nadopiekuńczość małżonka, ale zignorowała jego uwagę. – Nigdy nie wyjeżdżałem na tak długo. Odkąd się poznaliśmy. Nie znoszę go zostawiać.

– Przecież możesz wrócić do domu – zauważyła Susanna. – Kiedy tylko zechcesz.

– Nie mogę. Nie teraz. To by wyglądało, jakbym uciekał, bo mam coś do ukrycia.

– To by wyglądało, jakbyś wracał do domu. Do swojego chłopaka i swojej pracy. Co i tak chciałeś zrobić.

– Nie, dzięki.

– W takim razie – Susanna wydobyła z głębi torebki paczkę marlboro light – chodźcie.

Nie zaczęło jeszcze padać, ale deszcz wisiał w powietrzu. Chudy szary kot, który między skibami błota podkradał się do kosa, na nasz widok śmignął pod mur, wspiął się na niego i uciekł.

– Ale pobojuwisko... – Susanna westchnęła. Przyniosła ze sobą starą ścierkę kuchenną; rzuciła ją na taras i nogą starła z niego resztki deszczu. – Powinniśmy posadzić to wszystko z powrotem, zanim zwiędnie.

– Kiedy Melissa wróci, zamierzamy to zrobić – powiedziałem.

– Jak Melissa to znosi?

– Dobrze. Cieszy się, że się wreszcie od nas odczepili.

– Hm. – Susanna rzuciła ścierkę w stronę drzwi i usiadła na szczycie schodków, po czym przesunęła się w bok, by zrobić mi miejsce. – Mniej więcej.

– O Boże. – Leon opadł ciężko po jej drugiej stronie. Wydarzenia tego tygodnia najwyraźniej odcisnęły się na jego stylizacji: platynowy kosmyk opadał mu smętnie na twarz jak dziecięca grzywka, a rozciągnięty szary sweter nie pasował do oryginalnych przetartych dżinsów. – Nie znoszę gliniarzy. Nie lubiłem ich nawet wcześniej, zanim zostałem aresztowany, a teraz, jak Boga kocham, na sam ich widok...

– Zostałeś aresztowany?! – zdumiałem się. – Za co?

– Za nic. To było dziesięć lat temu. W Amsterdamie.

– Nie wiedziałem, że w ogóle można zostać aresztowanym w Amsterdamie. Co zrobiłeś?

– Nic nie zrobiłem. To było głupie. Miałem... wiesz co... zresztą nieważne, wszystko się wyjaśniło po dwóch godzinach. Chodzi o to, że zapaliłbym teraz wielkiego jointa.

– Masz. – Rzuciłem mu paczkę papierosów. – Nic lepszego nie mogę ci zaproponować. – W gruncie rzeczy sprawiało mi to pewną satysfakcję, po wszystkich przytykach Leona o tym, że nie umiałbym stawić czoła trudnej sytuacji. Może nie poradziłem sobie po mistrzowsku z gliniarzami, ale przynajmniej nie dostałem waporów i nie trzeba mi było podawać soli trzeźwiących. – Po prostu spokojnie oddychaj. Nic ci nie będzie.

– Kurwa, nie traktuj mnie jak głupka. Nie mam na to najmniejszej ochoty. – Mimo to wziął papierosa i nachylił się nad zapalniczką. Drżała mu ręka.

– Byli dla ciebie nieprzyjemni?

– Odpierdol się.

– Pytam serio. Byli? Mnie potraktowali w porządku. – A nawet trochę zbyt w porządku; myśl o współczuciu Kerra, który litował

się nad moim stanem, wciąż wywoływała u mnie skurcz w żołądku, ale to nie była sprawa Leona.

– Nie, nie byli nieprzyjemni. Nie musieli. To są detektywi. Człowiek zawsze się ich boi.

– Dla mnie byli zaskakująco uprzejmi – powiedziała Susanna.

– Zadzwonili wcześniej, żeby spytać, kiedy mogą przyjść, tak by w domu nie było dzieci. O co cię pytali?

Leon oddał mi paczkę fajek.

– Jaki był Dominic. Czy byłem z nim w dobrych stosunkach. W jakich stosunkach był z innymi. Jak często tu przychodził. I tak dalej.

– Mnie o to samo – rzuciłem. – Co powiedziałaś?

Wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że czasami tu wpadał, że był typowym szpanerem z bogatej rodziny, dla którego ważne było tylko rugby, ale niewiele o nim pamiętam, bo właściwie głównie mnie obchodził. To był kumpel Toby'ego, nie mój.

– Wcale nie był moim kumplem – zaprotestowałem.

– W każdym razie na pewno nie moim. Znałem go tylko dlatego, że ty go przyprowadziłaś.

– Dominic Ganly w innych okolicznościach nie zadawałby się z takimi jak ja ani Leon – zauważyła Susanna. – Broń Boże.

– Nie był moim kumplem, do cholery! Był tylko chłopakiem, którego znałem. Dlaczego wszyscy ciągle mi...

– Tak powiedziałaś gliniarzom?

– Mniej więcej.

Z aprobatą pokiwali głowami.

– Sprytnie.

Co?!

– Żadne sprytnie. Przecież to prawda.

– Zamierzam powtarzać, że w ogóle niczego o niczym nie pamiętam – oznajmił Leon. Palił w pośpiechu, zaciągając się szybko i łapczywie. – Mam to gdzieś, nie mogą mi udowodnić, że pamiętam. Im mniej im powiemy, tym lepiej. Liczą na to, że kogoś w to wrobią, a wolałbym nie być tym kimś, serdeczne dzięki.

– Czegoś ty się, kurwa, naoglądał? – spytałem ostro. Kawa i papieros pomagały mi stłumić ból głowy, zmęczenie i lekkie uczucie ogólnego niepokoju, ale nie do końca. – „Wrobią w to kogoś”! W co wrobią? Przecież nawet nie wiedzą, co się z nim stało.

– W wiadomościach powiedzieli, że „śmierć prawdopodobnie nastąpiła w podejrzanych okolicznościach”. I że „każda osoba posiadająca informacje na ten temat jest proszona o kontakt z policją”.

– Bo to jest podejrzane – stwierdziła Susanna. Nie wyglądała na szczególnie przejętą: siedziała wygodnie po turecku, trzymając w dłoniach kubek kawy i wystawiając twarz do nieba, jakby była piękna pogoda. – Znaleziono go w cholernym drzewie. To jeszcze nie znaczy, że został zamordowany. Tylko tyle, że muszą ustalić, jak się tam dostał.

– Mnie powiedzieli, że podejrzewają morderstwo – oznajmił Leon.

– Oczywiście. Chcieli sprawdzić, co zrobisz. Spanikowałeś?

– Nie, nie spanikowałem. Zapytałem ich, dlaczego tak myślą.

– I co powiedzieli?

– Nic. Oczywiście, że nic. Zapytali mnie tylko, czy znam jakiś powód, dla którego ktoś mógłby chcieć go zabić.

– No i?

– No i oczywiście odparłem, że nie.

– Naprawdę? – spytała z lekkim zdziwieniem Susanna. – Ja powiedziałam, że tamtego lata bywał denerwujący. Miły chłopak, ale wyraźnie działał się z nim coś złego. To mogło doprowadzić do jednego albo drugiego: albo z tego powodu ktoś go zabił, albo popełnił samobójstwo. Ale to już będzie ustalać Rafferty, nie ja.

– Powiedziałem im to samo – wtrąciłem.

Leon wyrzucił w górę ręce.

– No to świetnie, teraz będą myśleć, że ich okłamałem...

– Nie będą – odparła Susanna. – Nie są głupi. Ludzie zapamiętują różne rzeczy, a oni zdają sobie z tego sprawę. Pytali cię, czy pamiętasz tamtą noc, kiedy zaginął?

– Och, tak. Powiedziałem, że skąd, zupełnie nic. Naciskali, robili te swoje zmartwione miny, jak gdyby to naprawdę było podejrzane. „Jesteś pewien? Niemożliwe, musisz coś pamiętać, zastanów się...” Kto pamięta pierwszą lepszą noc sprzed dziesięciu lat? Gdybym pamiętał, to by dopiero było podejrzane.

– Ja przyznałam się, że pamiętam. – Susanna bez zmrużenia oka sięgnęła po papierosa. – Pamiętam, bo to nie była pierwsza lepsza noc, ale noc, kiedy zaginął Dominic. Dlatego potem wszyscy mówili o tym, co wtedy robili: „Boże, siedziałam w łóżku i pisałam esemesy ze swoimi najlepszymi przyjaciółkami, a ten biedny Dominic czuł się taki samotny, gdybym tylko do niego zadzwoniła, może wszystko potoczyłoby się inaczej”... pierdu-pierdu... Byliśmy tu wtedy w czwórkę. Zjedliśmy kolację,

oglądaliśmy telewizję, potem Hugo poszedł spać, a my troje jeszcze przez jakiś czas gadaliśmy i położyliśmy się koło północy.

– Zaraz – rzuciłem. Właśnie udało mi się uświadomić sobie coś, co nie dawało mi spokoju. – Dlaczego wtedy wszyscy przypuszczali, że popełnił samobójstwo? A teraz tak nie myślą? Jeżeli wtedy były powody, by tak sądzić, to czemu teraz...

– Wysłał ze swojego telefonu wiadomość do wszystkich, pamiętasz? – wyjaśniła Susanna. – Tamtej nocy, kiedy zaginął, późno, o trzeciej czy czwartej nad ranem. Z jednym słowem, *Przepraszam*. Na pewno ją dostałeś. Nawet ja dostałam... nawet nie wiem, skąd Dominic miał mój, a ja jego numer... może po tym, jak dawałam mu korki z francuskiego przed ustnym egzaminem? Pamiętam, bo telefon mnie obudził i nie miałam pojęcia, o co mu chodzi, więc uznałam, że pomylił numery i spałam dalej.

Rzeczywiście miałem jakieś mętne wspomnienie tej wiadomości, tak przynajmniej mi się wydawało, choć zapewne było niewiele warte, skoro pamiętałem też pogrzeb Dominica.

– Chyba też dostałem – powiedziałem.

– Było sporo szumu – dodał Leon. – Kto dostał wiadomość, kto nie dostał. Mnie się wydaje, że połowa ludzi, którzy twierdzili, że dostali esemesa, wciskała kit, żeby udawać najlepszych kumpli Dominica. Lorcan Mullan? Dajcie spokój. Nie ma mowy, żeby Dominic Ganly w ogóle wiedział o istnieniu Lorcana, a co dopiero miał jego numer.

– Boże – westchnęła Susanna. – I wszyscy twierdzili, że gdy tylko zobaczyli wiadomość, po prostu już wiedzieli, mieli takie straszne przeczucie! Isabelle Carney przysięgała każdemu, kto

chciał słuchać, że zobaczyła Dominica, jak stał w nogach jej łóżka i świecił. Wolę myśleć, że nawet Dominic miał lepszy gust i nie chciał marnować wielkiej chwili objawienia na taką idiotkę jak Isabelle Carney. – Przechyliła kubek, by wysączyć ostatnie krople kawy. – Teraz gliniarze pewnie doszli do wniosku, że jeżeli ktoś go zabił, to rozesłał wiadomość, żeby wszyscy uznali, że to było samobójstwo. I mu się udało.

– A ta historia z Howth Head? – spytałem. – Wszyscy mówili, że tam skoczył do morza. Skąd to się wzięło?

– Namierzyli tam telefon – odparła Susanna. – Stamtąd został wysłany esemes albo telefon miał ostatnie połączenie ze stacją bazową, coś w tym rodzaju. I dlatego wszyscy przyjęli takie założenie.

– A to oznacza – wtrącił Leon – że teraz gliny podejrzewają morderstwo. Bo gdyby z siebie tylko znanych powodów popełnił samobójstwo w drzewie, to jak jego telefon trafiłby na Howth Head? – Znowu zaczął podnosić głos.

– Spokojnie – powiedziała Susanna. – Jest mnóstwo możliwości. Chciał skoczyć z klifu, ale nie zdobył się na odwagę, więc wyrzucił telefon, wrócił tu i zrobił sobie coś w drzewie...

– Czemu tutaj?

Wzruszyła ramionami.

– Może dlatego, że tu było spokojniej niż w jego domu. Skąd mam wiedzieć? Albo w ogóle nie pojechał na Howth Head, popełnił samobójstwo tutaj... czy przedawkował, wszystko jedno... a potem ktoś spanikował i zrobił ten numer z telefonem, żeby nikt tego nie skojarzył z...

– Och, świetnie. Jeżeli tak pomyślą... chociaż w to wątpię, bo to przecież gliniarze i ich praca nie polega na wymyślaniu niewinnych wyjaśnień... Ale przyjmijmy, że tak pomyślą. Zaczną wtedy podejrzewać, że to któreś z nas. Zwłaszcza że to nasz ogród.

– Nie, nie zaczną. Jeżeli Dominic mógł się dostać do ogrodu, mógł przyprowadzić kogoś ze sobą. Kogoś, kto patrzył, jak bierze złoty strzał albo wpada do drzewa, wszystko jedno, a potem spanikował. Albo kogoś, kto go zabił, jeżeli chcesz iść w tę stronę.

Leon przejechał dłońmi po twarzy.

– Ja pierdolę.

– Jak dostał się do ogrodu? – dopytywałem się. – Bo mur... Pamiętacie, jak Marcus O’Halloran i ten gość z Blackrock zaczęli się bić na imprezie halloweenowej? A Sean i ja wyrzuciliśmy ich z ogrodu? Marcus próbował wleźć na mur i wrócić, ale nie potrafił. A to był wysoki chłopak. Wyższy niż Dominic.

– Przypuszczam, że Dominic znalazł jakąś skrzynię czy coś innego, żeby na tym stanąć, a może przyniósł coś ze sobą. W każdym razie... – Susanna zaciągnęła się papierosem. Jej profil na tle szarego nieba był spokojny i wyraźny jak u gipsowej figury świętej. – Jestem pewna, że nie musiał. Pamiętacie, jak gliny szukały dodatkowych kluczy do drzwi do ogrodu? A Hugo powiedział, że jeden wisiał kiedyś przy drzwiach, ale zginął? Zniknął tamtego lata. Jakiś miesiąc czy dwa przed śmiercią Dominica.

– Dlaczego nie powiedziałaś tego gliniarzom, kiedy pytali? – zdumiałem się. – Ani nam?

– Wtedy nie pamiętałam. Później zaczęłam się zastanawiać. Co mówiłeś o Faye? Moja „dziwna koleżanka blondynka, która się cięła”? – Zerknęła na mnie z boku spod uniesionej brwi. – To mi przypomniało. Na początku tamtego lata po cichu wpuszczałam ją przez ogród. Uznałam, że im mniej Hugo będzie wiedział, tym lepiej. Po co jej okropni rodzice mieli się go czepiać? Poza tym miałam osiemnaście lat, więc im mniej dorośli wiedzieli, tym w ogóle lepiej. Pod koniec lata musiałam ją jednak wpuścić od frontu, bo zginął klucz, a nie chciałam pytać Hugo, gdzie jest zapasowy.

– Powiedziałaś to dzisiaj glinom? – spytał Leon.

– Oczywiście. – Susanna zgasiła papierosa o stopień schodów i wsunęła niedopałek z powrotem do paczki. – Nie umiałam im oczywiście podać dokładnej daty, mimo to bardzo się zainteresowali. Kto wie, może Dominic miał już jakieś plany?

– O Boże. – Leon zgiął się wpół, jakby rozboleł go brzuch. – Mam naprawdę straszną ochotę na skręta. Nic nie macie?

– Nie – odparła Susanna. – Jeżeli masz trochę oleju w głowie, lepiej nie szukaj. Rafferty i jego kumple będą o nas wypytywać. Może nawet mieć nas na oku.

– I co z tego? – rzuciłem. – Twierdzisz, że nie mają żadnego powodu przypuszczać, że coś zrobiliśmy...

– Nie mają. Dlatego lepiej nie dawać im powodu. Zwłaszcza ty.

– Co? – spytałem. – Dlaczego ja?

– Bo to ty znałeś Dominica. Jeżeli wbiją sobie do głowy, że przyszedł tu, żeby się z kimś spotkać, to jak myślisz, kogo wezmą na pierwszy ogień? – Przewróciłem oczami. – Wiem, znam to twoje „Przecież policja to nasi przyjaciele, jeżeli nie zrobiłeś nic

złego, nie masz się czego bać”. Może jednak na razie warto udawać, że to niekoniecznie musi być prawda. Przez jakiś czas być nudnym.

– Dobrze ci mówić – prychnął Leon. – Niektórzy z nas mają w życiu coś więcej niż dzieciaki, ich koszmary i...

– Jeszcze jedna rzecz – przerwała mu Susanna. – Nie mówcie przez telefon niczego, czego gliniarze nie powinni usłyszeć. Nasze telefony mogą być na podsłuchu.

– Och, na litość boską – jęknąłem.

– Zaraz. – Leon gwałtownie odwrócił się w jej stronę. – To dlatego nie chciałaś ze mną rozmawiać wczoraj wieczorem? I ty mi mówisz, żebym nie popadał w paranoję?

– Pewnie nie są na podsłuchu – przyznała. – Ale lepiej dmuchać na zimne.

Z pewnym zdumieniem zdałem sobie sprawę, że Susanna w jakimś sensie czerpie z tego satysfakcję. W szkole to zawsze ona była tą najinteligentniejszą, tą, która bez trudu celująco zdawała wszystkie egzaminy, podczas gdy ja beztrąsko jechałem na samych czwórkach, a Leona niewiele to obchodziło; była tą, której nauczyciele przepowiadali wspaniałą przyszłość. Nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem, tylko serdecznie jej gratulowałem, kiedy mi czymś zaimponowała, i zdziwiłem się w duchu, gdy porzuciła wielkie plany robienia doktoratu i zamieniła je na życie w pieluchach i smarkach. Nagle jednak przyszło mi do głowy, że ta jej niepospolita inteligencja od lat czekała na jakieś wyzwanie.

– Cholera – szepnął nagle Leon, otwierając szeroko oczy. – A dom? Mogli coś podłożyć, kiedy go przeszukiwali...

Prychnąłem. Susanna pokręciła głową.

– Nie. Podobno o wiele łatwiej dostać nakaz na podsłuch telefonów niż podłożenie pluskwy w domu. Musieliby mieć na nas coś poważnego, a oczywiście nie mają.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – zapytałem.

– Dzięki cudowi internetu.

– Pamiętasz zeszły miesiąc? – Leon przycisnął palce do oczu, jakby go bolały. – Zaraz po moim przyjeździe z Berlina zwała się tu na lunch cała banda, a my siedzieliśmy i umieraliśmy ze strachu o Hugo? Wtedy myśleliśmy, że mamy kłopoty.

– Nie mamy kłopotów – powiedziała Susanna. – W każdym razie nie więcej niż wtedy.

Leon ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął śmiechem. Słysząc w nim było nutę hysterii.

– Och, weź się w garść. Policjanci przyszli z tobą porozmawiać. Świat się nie zawalił. A potem wyszli.

– Wróć.

– Być może. I jeżeli nie chłapiesz niczego niewiarygodnie głupiego, znowu wyjdą.

Leon przetarł twarz. Przestał się śmiać.

– Chcę wracać do domu – oświadczył. – Podrzucić mnie.

– Dobra, za jakiś czas. – Susanna wstała i otrzepała siedzenie dżinsów. – Chodźcie. Posadźmy to zielsko.

\* \* \*

„Wróć”, powiedział Leon, tyle że ani ja, ani oni nie wiedzieliśmy, co mamy o tym myśleć. Ciągle na nich czekałem,

w napięciu nasłuchując pukania do drzwi, przez co nie mogłem zanurzyć się z powrotem w naszym łagodnie zielonym podwodnym świecie. Dźwięki w domu brzmiały trochę dziwnie: były za głośne, surowe i ostre, jak gdyby okna stały się cieńsze i każdy ptasi świergot, podmuch wiatru czy stukot pokrywy kubła na śmieci u sąsiadów rozlegał się w środku, budząc mój strach – znowu płoszyłem się jak dziki koń na każdy niespodziewany odgłos. Przez kilka paskudnych dni byłem pewien, że coś złego dzieje się z moim słuchem, dopóki sobie nie uświadomiłem, o co chodzi: zmieniła się akustyka ogrodu, wiatr i dźwięki bez przeszkód gnały przez płaską połąć błota i pustą przestrzeń, gdzie wcześniej stał wiaz.

Nie wrócili, wyczuwało się jednak ich obecność. Wszędzie znajdowaliśmy pozostawione przez nich ślady, ustawione inaczej rondle w kuchennych szafkach, źle złożone ubrania, zamienione buteleczki w łazience. Jakbyśmy mieli ukrytego w domu intruza, goblina mieszkającego za listwą przy podłodze albo przyczajonego na strychu nieproszonego gościa o zapadniętych oczach, który nocą wymyka się i krąży po domu, wyjadając nasze zapasy i myjąc się w naszej łazience.

Minęły trzy dni, cztery, pięć, a Rafferty nie pojawiał się na progu, nie dzwonił telefon, nawet nic nie mówiono w wiadomościach. Dziennikarze zajęli się nowymi sprawami; obumarł potok wiadomości w grupie absolwentów na Facebooku (*Jezu, co się tam stało, myślałem, że się rzucił do morza w Howth Head???*... *Chłopaki, informuję, że przyszło pogadać ze mną dwóch detektywów, nie wiem, co się dzieje, ale wypytywali o Dominica...* *Niech spoczywa w pokoju. Nigdy nie zapomnę tego trzeciego*

*przyłożenia w meczu z Clongowes. To były czasy... O co chodzi z tym ogrodem? Gdzie go znaleźli? Czyj to dom?).*

– Może trop się urwał – powiedział z nadzieją w głosie Leon. – Czy jak to nazywają. Odłożyli sprawę na bok.

– Chcesz powiedzieć, że ją zupełnie zarzucili – zauważyłem. – To za trudne, lepiej popracujmy nad czymś, co się da wyjaśnić, żebyśmy lepiej wypadli przed szefem.

– Och. – Susanna rozdzielala ogromny bukiet potarganych pąsowych jaskrów azjatyckich. My byliśmy w kuchni, Hugo drzemał. – Chcą, żeby ludzie właśnie tak myśleli.

– O Boże, jesteś naszym cholernym promyczkim radości – warknął Leon. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tylko mówię. Jak chcesz, możesz nie zwracać na mnie uwagi. – Rozłożyła kwiaty na blacie. – Kto to przyniósł?

– Jakaś kobieta w czerwony kapeluszu – odparłem. – Julia jakaś tam.

– Juliana Dunne? Wysoka, z ciemnymi kręconymi włosami? Wydaje mi się, że kiedy byliśmy mali, między nią a Hugo coś było.

– Nie było – powiedział Leon. Siedział na blacie, podjadał orzeszki z miseczki i miarowo stukał obcasem w drzwi szafki. Miałem ochotę kazać mu, żeby przestał, ale był w takim nastroju, że to tylko pogorszyłoby sprawę.

– Ależ na pewno było. Raz, kiedy mieliśmy po jakieś czternaście lat, wybuchła straszna kłótnia... to znaczy Hugo niezupełnie się kłócił, jak to on, ale naprawdę podniósł głos, a Juliana wrzeszczała, a potem wybiegła z domu, trzaskając

drzwiami. Typowa kłótnia kochanków. Pamiętasz? – zwróciła się do mnie.

– Nie bardzo – przyznałem. Cała historia wydawała się mało prawdopodobna. Przez moment zdjął mnie paranoiczny lęk, że Susanna wszystko zmyśliła, żeby mi namieszać we łbie.

Przycinając łądygi jaskrów, przewróciła oczami.

– Cały ty. Pewnie już tydzień potem w ogóle zapomniałeś, że to się wydarzyło. Typowe: kiedy coś psuje ci samopoczucie, zaraz wyrzucasz to z głowy. Byliśmy w pokoju Leona, a oni w korytarzu. Wyczołgaliśmy się jak komandosi na schody, żeby podsłuchiwać. A kiedy Juliana trzasnęła drzwiami, wstrzymaliśmy oddech, czekając, żeby Hugo sobie poszedł, ale on popatrzył w górę, warknął: „Mam nadzieję, że mieliście w trójkę dobrą rozrywkę”, a potem wrócił do kuchni i z hukiem zamknął drzwi. Było nam tak wstyd, że resztę wieczoru spędziliśmy na górze i na kolację zjedliśmy tylko jeden batonik z granoli, który Leon gdzieś zabunkrował. Naprawdę tego nie pamiętasz?

– Ja też nie pamiętam – powiedział obojętnie Leon, grzebiąc w miseczce orzeszków.

– Może – przyznałem. Rzeczywiście, im dłużej o tym myślałem, tym bardziej znajomo brzmiało. Kurz z wykładziny przy schodach łaskoczący mnie w nos, przyspieszony oddech Susanny tuż obok mojego ucha... potem wszyscy troje siedzieliśmy na podłodze u Leona, patrząc na siebie z poczuciem winy... – Chyba tak. Mniej więcej.

– Hm. – Niespodziewanie obrzuciła mnie nieprzyjemnym, taksującym spojrzeniem, które przypomniało mi detektywa Martina. Zanim jednak zdążyłem coś powiedzieć, odwróciła się

i kwiatem trzepnęła Leona w rękę. – Przestań, inni też lubią nerkowce, poza tym to obrzydliwe. – I rozgorzała między nimi następna sprzeczka.

Susanna była w Ivy House, ponieważ przywiozła Hugo z sesji radioterapii, która okazała się ostatnia, co wywołało u nas szok i gorzkie rozczarowanie. Lekarze beznamiętnie pomachali mu na pożegnanie i odwrócili się plecami, zostawiając go na pastwę losu. Według tego, co mówiła Susanna, próbowali go namawiać na hospicjum, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. Nie byłem pewien, po co przyszedł Leon. Wtedy zaczął się pojawiać znacznie częściej. Wpadał z sushi, gdy Hugo, Melissa i ja właśnie przygotowywaliśmy kolację; przez pół ranka krążył po gabinecie, bawiąc się bibelotami Hugo; rozciągał się na podłodze i przeszukiwał listy nazwisk przez całe pięć minut, a potem unosił się jak surykotka i zaczynał rozmowę. „O Boże, czy moja matka mówiła wam, że chce się uczyć gry na skrzypcach, to będzie koszmar, założę się, że sąsiedzi pozwą ją do sądu, będę musiał wracać do Berlina i nawet mnie nie obchodzi, co policja sobie pomyśli”... „Toby, znasz mojego kumpla ze szkoły, Liama? Wpadłem na niego wczoraj. Okazuje się, że wydaje to nowe czasopismo, to by było doskonałe miejsce na artykuł o sklepie Melissy”... Było w tym jakieś szaleńcze rozgorączkowanie, które nasunęło mi podejrzenia, że Leon coś bierze, chociaż wybór pobudzacza w tych okolicznościach wydawał się dość dziwny.

– Przeżywa trudne chwile – powiedział Hugo, gdy znowu załomotała kołatka u drzwi, a ja zirytowanym tonem zaproponowałem, żeby nie zwracać na niego uwagi, dopóki sobie nie pójdzie. – Już i tak jest bardzo nerwowy, a teraz to wszystko

naraz... W końcu mu przejdzie, ale na razie musisz go cierpliwie znosić.

Mniej więcej to samo powiedziała mi Susanna, tyle że w mniej pocieszającym duchu. Byliśmy razem w kuchni, sprzątaaliśmy po niedzielnym lunchu – z tygodnia na tydzień tym spotkaniom towarzyszyła atmosfera coraz większego obłędu: nikt nie zdołał wymyślić nowych hipotez, które mogłyby zastąpić teorie o donosicielu z czasów wojny domowej albo celtyckich ofiarach składanych na granicach plemiennych, a jeśli nawet tak, to nie zamierzał się nimi dzielić z pozostałymi, więc wszyscy wkładali wiele wysiłku w udawanie, że w ogóle nic się nie wydarzyło. Aby nawet na sekundę nie zapadła niezręczna cisza, mój ojciec i wszyscy wujkowie mozolnie odgrzebywali wspomnienia o wybrykach z dzieciństwa, a reszta reagowała na nie zbyt głośnym śmiechem. Leon zachowywał się tak, jakby został wypuszczony z małpiarni; sprzątałem właśnie dlatego, że nie mogłem znieść przebywania z nim w jednym pomieszczeniu.

– Zdaje się, że radziłaś Leonowi na jakiś czas odstawić prochy – powiedziałem, gdy z salonu dobiegł kolejny wybuch opętańczego śmiechu.

– Odstawił. – Susanna przykrywała folią naczynia z resztkami lunchu, zerkając jednym okiem na Zacha i Sallie, którzy ochoczo kopali rów na pobojuwisku za domem.

– W takim razie czym się usprawiedliwia? – Przystawiałem rzeczy w lodówce, żeby zrobić więcej miejsca. Zostało sporo jedzenia. Nikt nie miał wielkiego apetytu prócz Olivera.

– Jest po prostu spięty. A ty mu nie pomagasz. Przestań się go czepiać.

– Przecież nic nie robię.

– Daj spokój. Gdy tylko otworzy usta, przewracasz oczami...

Wsunąłem w głąb półki przeterminowany cheddar.

– Trajkocze jak ta... jak jej było, ta z *Przyjaciół*. Głowa mi od tego pęka.

– Słuchaj. – Susanna przełożyła ziemniaki do mniejszej miski.

– Z Leonem lepiej być ostrożnym. Już i tak jest przerażony glinami. A twoje złośliwe komentarze typu „Mam nadzieję, że trzymasz się lepiej niż przy Raffertym” raczej nie pomagają.

Nie sądziłem, by ktokolwiek inny to usłyszał.

– Żartowałem, na litość boską.

– Nie mam pewności, czy on jest w takim szampańskim humorze.

– To już jego problem.

Dostrzegłem drgnienie brwi, ale odpowiedziała lekkim tonem:

– Jasne. Ale gdy Leon się zestresuje... Pamiętasz, jak stłukł ten dziwny stary barometr, który mój tato miał na biurku? Mieliśmy może dziewięć lat. A ty go drażniłeś, „Boże, ale się wpakowałeś, wujek Phil uwielbia ten barometr, będzie strasznie wściekły...”. Pamiętasz?

Nie byłem pewien.

– Mówisz o mnie, jakbym był skończonym gnojkiem. Przecież nie byłem taki zły.

– Nie, gnojkiem nie byłeś. Tylko się z niego nabijałeś. Sam nigdy się nie bałeś, że będziesz miał kłopoty, bo i tak zawsze umiałeś się wykręcić, więc nie sądzę, że rozumiałeś, jak bardzo Leon się przestraszył. Kiedy mój tato przyszedł do domu, Leon był już w totalnej panice, popatrzył tylko na niego i wrzasnął:

„Toby zjadł miętówki z szuflady w twoim biurku!”. Naprawdę nie pamiętasz?

Wydawało mi się, że pamiętam, mniej więcej, trochę. Otwarte usta Leona i jego dłonie, które na próżno usiłowały złożyć ze sobą pęknięte krawędzie, Susanna zbierająca odłamki szkła z dywanu i ja, chuchający miętą i przyglądający się temu wszystkiemu. Ale na pewno poszedłem poszukać kleju, próbowałem pomóc.

– Trochę – odparłem. – Jak to się skończyło?

– Z tego też się wykręciłeś. – Posłała mi przez ramię drwiące spojrzenie. – Oczywiście. Uroczy, potulny uśmiech, „Och, udawałem, że jestem tobą, wujku, chciałem usiąść przy twoim biurku i napisać pismo sądowe o tym, że nauczyciel nie powinien nam dawać zadań domowych, bo to jest niezgodne z prawem, ale wiem, że kiedy piszesz pismo sądowe, zawsze jesz dużo miętówek...”. A tato roześmiał się i oczywiście nie mógł się już gniewać. Muszę jednak przyznać, że wprawiliś go w taki dobry humor, że nawet nie za bardzo się wkurzył z powodu barometru. Czyli wszystko skończyło się dobrze.

– No więc o co ci chodzi? – Z salonu znowu dotarł ryk, Jezu... – Myślisz, że jeżeli zdenerwuję Leona, to co zrobi? Poszczuje na mnie gliniarzy?

Susanna wzruszyła ramionami, zręcznie oddzierając kawałek folii.

– Celowo nie. Ale on nie rozumuje racjonalnie. Jeżeli napędzisz mu stracha i go rozdrażnisz, kto wie, co może wymyślić? Dlatego lepiej o tym pamiętaj i zostaw go w spokoju. Bo tym razem być może nie dasz rady się wykręcić.

– Och, daj spokój. – Zaśmiałem się, lecz nie zareagowała na to.  
– Nie zrobiłby tego. Tu nie chodzi o dziecinne miętówki, to cholernie poważna sprawa. I Leon o tym wie.

Susanna odwróciła się z miskami w obu rękach i w drodze do lodówki spojrzała mi prosto w oczy.

– Wiesz, Leon nie zawsze aż tak cię lubi.

Co?

– No – powiedziałem po chwili milczenia. – To też nie mój problem.

Uniosła brwi, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach salonu ukazała się głowa Toma.

– Hej – rzucił wesoło. – Chodźcie do nas, musicie tego posłuchać, twój ojciec opowiadał nam o... – Jego wzrok powędrował w stronę ogrodu. – Jezu. Su, tylko na to popatrz.

Zach właśnie podnosił się z ziemi, gdzie przed chwilą rozciągnął się jak długi albo wskoczył do wykopanego rowu. Uśmiechał się od ucha do ucha, od stóp do głów oblepiony błotem. Sallie wyglądała niewiele lepiej. Trzymała przed oczami ubłocony kosmyk włosów i oglądała go z zaciekawieniem.

– Mamusiu! – krzyknęła. – Jesteśmy brudni!

– Niech to szlag – mruknęła Susanna. – Rewelacja.

– Jak my ich zabierzemy do domu? Cały samochód będzie...

– Do wanny – zdecydowała Susanna. – Na górze są czyste ubrania. Będziemy je musieli zanieść, bo wszędzie napaskudzą... Dzieci! Dość brudu na dzisiaj!

Zach i Sallie, jak było do przewidzenia, zaczęli kwękać i miauczeć, aż wreszcie Susanna i Tom zgarnęli ich i trzymając z daleka od siebie, ruszyli w stronę schodów. Sallie chichotała

i mazała matce na policzkach błotne smugi, a Susanna ze śmiechem próbowała się uchylać; Zach popatrzył na mnie obojętnie ponad ramieniem Toma, wyciągnął rękę i zostawił mi na rękawie białego T-shirtu równy ślad wszystkich palców.

– No, to wygląda fajnie – powiedział Leon, omijając ich i wchodząc do kuchni. – Żart. Cholera, spóźniłem się na sprzątanie?

– Aha.

– Ojoj. – Przyłożył palce do ust z udawanym zażenowaniem. Był odrobinę wstawiony. – Naprawdę chciałem pomóc, przysięgam. Ale twój tato opowiadał tak kurewsko śmieszne historie. Myślałeś, że broimy za plecami rodziców? Byliśmy amatorami. Słuchaj, oni kiedyś przebrali psa za...

– Znam tę opowieść. – Tak naprawdę tato nie znosił tej historii, nie pamiętałem dlaczego. Jeżeli sięgnął po nią, to znak, że był zdesperowany. – I wszystkie inne też.

– Uuu. – Leon zagrzechotał lodem w szklance i posłał mi spojrzenie, które mimo pijackiej mgiełki w oczach wydawało się zaskakująco trzeźwe. – Któż cię tak rozjuszył?

– Po prostu nie jestem w nastroju.

– Susanna coś ci mówiła? – Nie odpowiedziałem. – Bo chociaż Kocham ją na zabój, to... rany... kiedy chce, potrafi napsuć krwi jak nikt inny...

– Nie. – Ocierając się o niego, poszedłem do salonu poszukać Melissy i spytać jej, czy ma jakiś pomysł, jak zmusić tych wszystkich ludzi, żeby się stąd zabrali.

\* \* \*

Niedzielny lunch, godziny w gabinecie Hugo, wieczory przy kominku: na pierwszy rzut oka wyglądało to, jak gdybyśmy we trójkę bez trudu wrócili do swojego stałego rytmu. Hugo posunął się nawet o krok w wyjaśnieniu zagadki rodziny McNamarów w rodowodzie pani Wozniak: wytropił całą nową czeredę kuzynów, z których jeden okazał się posiadaczem mnóstwa nieczytelnych dziewiętnastowiecznych pamiętników jakiegoś przodka rodziny, i spędzaliśmy długie godziny na próbach ich odcyfrowania, ale znajdowaliśmy tam przede wszystkim zjadliwe monologi na temat jego teściowej oraz jakości duszonych mięs.

– Ach – westchnął z zadowoleniem Hugo, przysuwając sobie krzesło do stosu niewielkich tomików o pożółkłych stronicach, oprawionych w sfatygowaną na brzegach brązową skórę. – O wiele pewniej czuję się, używając staroświeckich metod. Centymorgany i sekwencje nukleotydów doskonale się sprawdzają, ale program wycina mnóstwo nieistotnych szczegółów, a ja bardzo lubię nieistotne szczegóły. Niech no tylko dostanę jakiś stary brudny dokument, który trzeba godzinami oglądać przez lupę, a jestem szczęśliwy.

To już jednak nie było to samo. Hugo miał się coraz gorzej; nie było to ostateczne załamanie sił, jeszcze nie, ale koniec zbliżał się tak szybko, że wyczuwaliśmy, jak będzie wyglądać. Już dostrzegaliśmy zarys jego przytłaczającej sylwetki, która niebawem wynurzy się z cienia i stanie na progu. Melissa i ja coraz częściej gotowaliśmy sami – Hugo nie mógł już stać dłużej niż kilka minut, nie potrafił chwycić noża na tyle mocno, by ukroić coś twardszego niż masło; złapaliśmy się na tym, że po

cichu tak planujemy posiłki (chińszczyzna z woka, risotto), aby nie musiał długo siedzieć przy stole i mozolnie piłować niczego nożem. Kiedy wpadał Phil, nie grali już w warcaby i długo nie mogłem zrozumieć dlaczego. Bywały chwile, gdy uświadamiałem sobie, że ustał miarowy rytm cichych ruchów Hugo w jego części gabinetu, a kiedy spoglądałem w tę stronę, patrzył szklanym wzrokiem w przestrzeń z rękami bezwładnie leżącymi na biurku. Raz siedziałem i przyglądałem mu się tak przez piętnaście minut; kiedy nie mogłem już tego dłużej znieść i powiedziałem „Hugo?”, obrócił się do mnie twarzą dopiero za trzecim razem – nieskończenie powoli, jak ktoś naćpany po uszy – i spojrzał z takim zainteresowaniem i uczuciem, jakby patrzył na krzesło czy kubek. Wreszcie coś mu błysnęło w oczach, zamrugał i zapytał: „Tak? Coś znalazłeś?”. Zacząłem coś pleść, a on stopniowo wracał do siebie. Czasem rano, gdy schodził do kuchni, miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia, mocno pogniecione, jakby przespał w nim całą noc. Kiedy z wahaniem zaproponowałem, że może pomogę mu się przebrać, warknął: „Uważasz mnie za idiotę?” i zmierzył mnie wzrokiem z tak wielkim, nieskrywanym obrzydzeniem, że zszokowany bąknąłem coś niezrozumiałego i schowałem nos w książce. Nieznośna cisza ciągnęła się w nieskończoność, dopóki nie rozległy się jego ciężkie kroki, gdy wyszedł z pokoju i poczłapał po schodach na górę. Nazajutrz trochę się bałem schodzić na dół, ale odwrócił się do mnie od kuchenki z uśmiechem, jakby nic się nie stało.

Nie chodziło zresztą tylko o Hugo. Przy nim Melissa była jak zwykle radosna i rozszczebiotana (nawet teraz nigdy na nią nie

fuknął, zawsze zwracał się do niej tak łagodnie, że czułem wręcz coś w rodzaju absurdalnej zazdrości), kiedy jednak przyjeżdżała moja rodzina, Melissa milkła i z uśmiechem czujnie przyglądała się wszystkiemu z kąta. Nawet gdy byliśmy tylko we dwoje, wyczuwałem w niej subtelny półcień dystansu. Wiedziałem, że coś ją dręczy, i kilka razy próbowałem to z niej wyciągnąć, choć może za mało zdecydowanie; sam naprawdę nie byłem w odpowiedniej formie na skomplikowane emocjonalne negocjacje. Co wieczór brałem xanax, a ostatnio czasem i w ciągu dnia, dlatego trudno mi już było stwierdzić, czy cały szereg moich nawracających felerów – mgiełka otulająca mózg, wyczuwanie zapachu środka dezynfekującego i krwi w najbardziej nieprawdopodobnych momentach i całe mnóstwo innych pierdół, przewidywalnych, ale zbyt nudnych, żeby wchodzić w szczegóły – to przyczyna czy skutek, choć oczywiście byłem daleki od optymizmu. Hugo, Melissa i ja udawaliśmy, że niczego nie zauważamy. Wszyscy troje omijaliśmy się ostrożnie, jak gdyby gdzieś w domu coś ukryto (minę, pas szahida) i wystarczy jeden nierozważny krok, a eksplozja rozerwie nas na kawałeczki.

Winą za to wszystko obarczałem policję, choć wiedziałem, że to bez sensu. Roznieśli nam dom jak tornado, przesłuchiwali nas, jakbyśmy byli przestępcami, wyrzucili nas na ulicę; cały ten stres najwyraźniej namieszał mi we łbie i musiał nadwątlić siły Hugo, pchając go w kierunku ostatecznego załamania. A potem wyparowali, zostawiając nas z wieloma niepokojącymi pytaniami, na które z pewnością nie zamierzali odpowiadać. Wszystko sprowadzało się do tego, że zanim się pojawili,

mieliśmy się świetnie, a teraz już nie. W jakiś sposób, na razie dla nas niejasny, naruszyli fundamenty i cała budowla niebezpiecznie zakołysała się i zaskrzypiała, a my mogliśmy tylko przygotować się i czekać.

\* \* \*

Tydzień, dziesięć dni i nic. I pewnego wieczoru – zimnego i wietrznego jak w Halloween, wiatr ciskał opadłe liście w szyby, wąski rogalik księżycy przesłaniały pędzące chmury – ktoś zapukał do drzwi. Siedziałem w salonie przy kominku, czytając starą książkę Geralda Durrella, którą znalazłem na półce i odkryłem, że potrafię się w niej nie pogubić, ponieważ nie charakteryzowała się zbyt skomplikowanym wątkiem fabularnym. Melissa pojechała na jakieś targi, Hugo położył się zaraz po kolacji. Odłożyłem książkę i podszedłem do drzwi, żeby gość go przypadkiem nie obudził.

Do domu wpadł potężny powiew wiatru i zakręcił się w korytarzu, strącając coś z klekotem ze stołu kuchennego. Na progu stał przygarbiony z chłodu, zdyszany i ciepło opatulony detektyw Martin.

– Jezuniu. – Rozpromienił się na mój widok. – Oczom nie wierzę. Strasznie ciężko cię znaleźć, Toby, wiesz?

– Och. – Poznałem go dopiero po długiej chwili. – Przepraszam. To dom mojego wujka, jest chory, więc mieszkam tu, żeby...

– To akurat wiem. Mówię o drodze. Przez pół wieczoru kręciłem się w kółko i jej szukałem, a mój wóz jest w warsztacie.

Chyba jaja sobie odmroziłem.

– Wejdzie pan?

– Och, cudownie – odparł szczerze Martin i kiedy mnie minął, poczułem bijące od niego zimno. – Miałem nadzieję, że mnie zaprosisz. Tylko na parę minut, trochę odtaję i wyjdę z powrotem na to... Tutaj, prawda? – Był już w połowie drogi do salonu.

– Napije się pan czegoś? – spytałem.

Zamierzałem zaproponować mu kawę albo herbatę, ale on, zdejmując płaszcz, ochoczo wskazał ruchem głowy na moją szklaneczkę whisky stojącą na stoliku.

– Chętnie się przyłączę, jeżeli została ci kropelka. Czemu mam nie skorzystać na tym, że nawalił mi wóz?

Poszedłem do kuchni i znalazłem drugą szklanekę. Myśli kłębiły mi się w głowie – *To akurat wiem?* Skąd to akurat wiedział? I co w ogóle tu robił?

– Świetna chata – powiedział Martin, kiedy wróciłem. Usadowił się w fotelu ustawionym najbliżej kominka i z uznaniem rozglądał się po salonie. – Moja ślubna uwielbia, gdy wszystko się błyszczy, rozumiesz, o czym mówię? Dużo chromu, dużo jaskrawych kolorów, wszystko schowane jak w pudełeczku. No i wspaniale, nie zrozum mnie źle, ale gdybym był kawalerem... – poklepał poręcz zdezelowanego starego fotela obitego adamaszkiem – mieszkałbym właśnie tak. Albo prawie tak, o ile pozwoliłaby mi na to pensja.

Odruchowo zaśmiałem się i podałem mu szklaneczkę. Uniósł ją.

– Zdrówko.

– Zdrówko – powiedziałem, siadając na brzeżku kanapy i sięgając po swoją szklankę.

Martin wychylił spory łyk i wypuścił powietrze z płuc.

– Aaach. Pierwszorzędna whisky. Trzeba przyznać, że twój wujek ma gust. – Od wiosny trochę przybrał na wadze i ostrzygł krócej włosy. Rumiany od chłodu, z wyciągniętymi przed siebie nogami, które grzał przy ogniu, wyglądał jak u siebie, bogaty mieszczanin odpoczywający po ciężkim dniu pracy. Modliłem się w duchu, żeby Hugo nie wybrał właśnie tej chwili, aby się obudzić i zejść na dół. – Jak się miewasz?

– W porządku. Zrobiłem sobie przerwę w pracy, żeby zająć się wujkiem.

– To miło ze strony twojego szefa, że dał ci wolne. Porządny człowiek. Bardzo cię lubi.

– Nie na długo – palnąłem idiotycznie.

Skinął głową.

– Przykro mi to słyszeć. Jak się czuje wujek?

– Chyba na tyle dobrze, na ile może. Ale... – Drewniane ręce na biurku, pustka w oczach, zanim coś w nich odżyło i skierowały się na mnie. Szukałem w głowie słowa „dogorywa”, nie umiałem go znaleźć, a zresztą i tak bym go nie użył. – Szybko się męczy.

Martin ze współczuciem pokiwał głową.

– Mój dziadek odchodził tak samo. Ciężko jest patrzeć i czekać. Cholernie trudno. Mogę ci tylko powiedzieć, że nigdy go nic nie bolało. Stawał się coraz słabszy, aż pewnego dnia rano upadł i... – cicho pstryknął palcami – ...już. Wiem, że to marna pociecha. Ale

w porównaniu z tym, czego się baliśmy... Mogło wyglądać o wiele gorzej.

– Dzięki. Po prostu oswajamy się z tym dzień po dniu.

– Nic innego nie możecie zrobić. A właśnie, zanim zapomnę...

– Zaczął szukać czegoś po omacku w płaszczu, który niedbale powiesił na poręczy fotela. – Właśnie po to przyszedłem. – Wydobył skręconą plastikową torebkę i ze stęknieniem wychylił się w moją stronę, żeby mi ją podać.

Tkwiał w niej świecznik z kutego żelaza od Melissy. Wydawał się cięższy, niż pamiętałem, zimniejszy i gorzej leżał mi w ręce, jakby został zrobiony z innej, nieznannej substancji. Miałem nawet ochotę spytać Martina, czy to na pewno ten.

– Przepraszam za opóźnienie. – Poprawił się w fotelu i wychylił następny łyk. – Biuro kryminalistyki zawsze ma zaległości, a sprawy, w których nikt nie zginął i nie ma na celowniku żadnych podejrzanych, nie są traktowane priorytetowo.

– No tak – powiedziałem. – Czy coś... To znaczy... nie wiem, czy mi wolno zapytać? Znaleźli coś na nim?

– Ależ pytaj, jasne. Kogo ma to interesować, jeżeli nie ciebie? Nie ma odcisków palców, w kwestii rękawiczek miałeś rację. Dużo krwi i fragmentów skóry i włosów, ale wszystko twoje... nie martw się, kazałem to porządnie wyczyścić. – Poczulem krótkie, przenikliwe klucie w miejscu blizny i zdążyłem się powstrzymać, by go nie dotknąć.

– Dzięki.

– Chcę cię uspokoić. To wcale nie znaczy, że dajemy sobie spokój. Nic podobnego. Wszystko jedno, jak długo trwa śledztwo,

zawsze domykam swoje sprawy. Cały czas pojawiają się nowe tropy. A tamci goście raczej nie byli geniuszami zbrodni. – Jego twarz rozjaśnił szeroki, pewny siebie uśmiech. – Nic się nie martw: dopadniemy ich.

– Tak... To dobrze.

– Nic ci nie jest? Nie zamierzałem ci tu otwierać puszek Pandory.

Przyglądał mi się zza szklaneczki niby mimochodem, ale w jego oczach dostrzegłem błysk czujności.

– Wszystko w porządku – odparłem. Włożyłem świecznik z powrotem do torebki i postawiłem na podłodze obok siebie. – Jeszcze raz dziękuję.

– Nie byłem pewien, czy teraz ci to przynieść, czy trochę z tym poczekać. W końcu masz za sobą ciężkie dwa tygodnie. – Gwałtownie uniosłem wzrok. – Przy tym wszystkim... – Wskazał głową w stronę tyłu domu, w kierunku ogrodu.

– Ach – bąknąłem. – Tak. – To musiało być logiczne, że wiedział o Dominicu; pasowało do mojego mglistego wyobrażenia o pracy detektywów, którzy przy biurkach zavalonych masą nieczytelnych papierów i kubków z kawą opowiadają sobie nawzajem pikantne szczegóły związane z pracą.

– Moim zdaniem to ostatnia rzecz, jaka była ci potrzebna. Taki szok.

– Rzeczywiście, niesamowita sprawa.

Martin wycelował we mnie palec, jakbym powiedział coś niezwykle odkrywczego.

– Bez kitu, Toby. Otóż to, niesamowita. W ciągu... ilu, pięciu miesięcy? Włamują ci się do domu, o mały włos nie zostajesz zabity i w twoim ogrodzie odkrywają szkielet? Nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Włamanie i próba zabójstwa to jedno i to samo zdarzenie – odparłem ostrzejszym tonem, niż zamierzałem. – Nie dwa oddzielne. A szkielet wcale nie był w moim ogrodzie.

Ku mojemu zaskoczeniu Martin odchylił się i roześmiał.

– Jesteś w znacznie lepszej formie niż wcześniej – orzekł. – Prawda?

Z niewiadomego powodu czułem, że nie powinienem przyznawać mu racji. Ta cholerna Susanna i jej ponure aluzje, że mamy przeciwko sobie całą policję; przewróciłem wtedy oczami, ale coś z tego musiało mi utknąć w głowie.

– To dobrze, dobrze... – zapewnił mnie serdecznie, klepiąc w poręcz fotela. – Naprawdę miło mi to słyszeć. Ale rozumiesz mój punkt widzenia, prawda, Toby? Gdybyś był dresiarzem z bloków, to by był dla ciebie chleb powszedni: włam, napaść, trup, przeciętnie raz do roku. Porządny młody człowiek, taki jak ty, nigdy wcześniej nie miał do czynienia z glinami, jeżeli nie liczyć mandatów za przekroczenie prędkości... – Dlaczego w ogóle sprawdzałeś, czy dostawałem mandaty? To było lata temu, mimo to wciąż miałem wyrzuty sumienia, że zostałem przyłapany! – Tu jednak chodzi o zupełnie inną historię. Jasne, to może być gigantyczny zbieg okoliczności. Ale muszę sobie zadać pytanie: a jeżeli nie?

Przez chwilę wpatrywałem się w niego, nie mając pojęcia, co na to odpowiedzieć.

– Ty to powiedziałaś, Toby. Trafiłeś w samo sedno. Niesamowita sprawa.

– Zaraz – wykrztusiłem. Z moją głową działo się coś dziwnego, miałem wrażenie, jakbym z zawrotną prędkością pędził długim tunelem, trzymając się za blisko ścian. – Sądzi pan... Zaraz. Sądzi pan, że ktoś, ktoś zabił Dominica...

– Tak w tym momencie przypuszczają chłopaki. To jeszcze nic pewnego, więc może się zmienić, ale na razie patrzą na to pod takim kątem.

– A potem ten... ten ktoś zaatakował mnie?

Martin zakołysał resztką whisky w szklance, pilnie mnie obserwując.

– Ale właściwie dlaczego? I to po dziesięciu latach?! Zresztą dlaczego w ogóle, dlaczego ktoś miałby...

– Jeszcze nie wiemy, dlaczego Dominic został zabity – zauważył logicznie Martin. – Jeżeli w ogóle został zabity. Kiedy to ustalimy, łatwiej będzie się domyślić, o co temu komuś mogło chodzić. Masz jakieś przypuszczenia na ten temat?

– Nie. Tamci... to znaczy tamci detektywi już mnie pytali o Dominica. Powiedziałem im wszystko, co pamiętam. – Wrażenie karkołomnego pędu cały czas się potęgowało. Wychyliłem spory łyk whisky w nadziei, że to pomoże mi odzyskać jasność myśli. Nie pomogło.

– Nie robiliście razem niczego, co mogłoby kogoś zdenerwować?

– Na przykład?

Wzruszenie ramion.

– Może na przykład trochę dokuczaliście klasowej ofierze. Jasne, wszyscy to robimy, to tylko wygłupy, nikt nikogo nie chce skrzywdzić. Ale ludzie tego typu zwykle noszą w sobie urazę, popadają w obsesję...

– Nie byłem taki. Nad nikim się nie znęcałem.

– A Dominic?

– Trochę. Czasami. Ale nie bardziej niż wielu innych chłopaków.

– Mhm. – Martin zastanawiał się nad tym, wysuwając nogi trochę bliżej ognia. – Może narkotyki?

– To znaczy?

– Powiedzmy, że nie udał się jakiś deal. Albo kogoś wciągnęły twarde narkotyki, a może miał ciężki zjazd albo przedawkował i oskarżył o to was dwóch?

– Nie – odparłem. – Nigdy niczego nie sprzedawałem. I nigdy nie było... – Czuję, że nie mam ochoty prowadzić rozmowy na ten temat z detektywem. – Nic w tym rodzaju.

– No dobra. – Martin uniósł szklaneczkę do przymrużonych oczu i popatrzył przez nią na ogień. – Inna możliwość to zemsta.

– Zemsta? – powtórzyłem po sekundzie kompletnego osłupienia. – Za co?

– Rafferty słyszał, że miałeś parę problemów z Dominikiem Ganlym.

– Co?! Nie miałem. – Sceptycznie uniósł brew. – Kto tak powiedział?

– Chłopaki słyszały to od paru osób. – Martin wykonał nieokreślony gest. – Tu i ówdzie takie coś powtarza się

w rozmowach. To jedna z takich informacji, którą wszyscy od kogoś słyszeli, ale nikt nie jest pewien, skąd się wzięła.

– Nigdy nie miałem żadnych problemów z Dominikiem. Nie byliśmy najlepszymi kumplami, ale stosunki między nami dobrze się układały.

– W porządku – powiedział ze spokojem Martin. – Ale faktem jest, że skoro chłopaki z zabójstw to usłyszały... wszystko jedno, czy to prawda, czy nie... mógł to usłyszeć ktoś jeszcze. I w to uwierzyć.

– I... – Nie nadążałem za natłokiem informacji, które spiętrzały się w mojej głowie jak samochody w karambolu na autostradzie. – I co? Ktoś pomyślał, że samobójstwo Dominica to moja wina? I za to mnie zaatakowali?

– Niewykluczone. Albo ten ktoś wcale nie pomyślał, że to było samobójstwo.

– Pomyślał, że to ja go zabiłem?

Martin wzruszył ramionami, nie odrywając ode mnie wzroku.

– To jakiś obłąd – rzuciłem. Przez dłuższą chwilę milczał, a mnie nie przychodziło na myśl nic, co mógłbym powiedzieć. – Nie. Ci dwaj, którzy mnie napadli, mówili z akcentem dresiarzy. Dominic nie znał nikogo takiego. Na pewno nikogo, kto mógłby być z nim na tyle blisko, żeby chcieć zemsty. Nie ma mowy.

– Znał ludzi, którzy mogliby kogoś wynająć.

– Ale to obłąd – powtórzyłem. – Dziesięć lat później? Dlaczego tak nagle, skąd by w ogóle wiedzieli, jak...

Martin westchnął.

– Może za długo w tym pracuję – powiedział. – Widziałem, jak to się przytrafia innym: przez tyle lat zawsze szukali związku, że

zaczynają wszędzie widzieć związki. Był taki jeden. Absolutnie przekonany, że jego sprawa zabójstwa w Sallynoggin ma związek z awanturą w bazie w Carlow. Był gotowy założyć się o swój dom. Setki godzin przesłuchań, maglowania tych biednych gnojków z Carlow, sprawdzania alibi, odcisków palców, starań o nakazy analizy DNA i tak dalej. Wszystko dlatego, że w obu sprawach w pobliżu znaleziono czapkę bejsbolową z logo Budweisera. Do dzisiaj nazywają go „Bud”.

Nie mogłem odwzajemnić uśmiechu.

– Czy jestem... – Słowo wydawało mi się zbyt absurdalne i jednocześnie zbyt niebezpieczne, by je wypowiedzieć, jak wielki czerwony guzik z kreskówki, którego dotknięcie może zdetonować cały dom. – Myślę, że ja to zrobiłem? Tamci detektywi?

Oderwał wzrok od ognia i spojrzał na mnie skonsternowany.

– Pytasz, czy jesteś podejrzany?

– No tak. Jestem?

– Oczywiście, że tak. Jeżeli ktoś zabił Ganly’ego, to osoba, która miała dostęp do tego ogrodu. A w tamtym czasie tylko garstka osób miała do niego dostęp. Wszystkie są podejrzane.

– Ale... – Serce waliło mi tak okropnie, że każde uderzenie przeszywało mnie na wskroś; byłem pewien, że Martin usłyszy to w moim głosie. Wiedziałem to wszystko w głębi duszy, oczywiście, że wiedziałem, ale gdy zostało powiedziane wprost...

– Przecież ja nic nie zrobiłem.

Skinął głową.

– Myślę, że to zrobiłem?

– Nie mam pojęcia. Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby zaszli aż tak daleko. Na razie bawią się różnymi hipotezami i sondują, która bardziej trzyma się kupy. Nie wybrali jeszcze żadnej.

– A pan myśli, że to zrobiłem?

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparł pogodnie Martin. – Nie prowadzę sprawy, a za mało mi płacą, żebym miał teorie na temat teorii innych. Interesuje mnie tylko, czy to ma jakiś związek z moją sprawą włamania i napaści. – Wpatrywałem się w niego nieruchomym wzrokiem. – Zastanów się, chłopie. Gdybym myślał, że jesteś zabójcą, siedziałbym tu, pił twoją whisky i gawędził z tobą?

– Nie wiem.

Spojrzał na mnie. Rozgoryczonym tonem, z coraz wyraźniejszą nutą napastliwości odparł:

– Chwileczkę. Wychodzę na deszcz, poświęcam swój wolny wieczór, żeby wyświadczyć ci uprzejmość – wskazał na świecznik w torebce, o którym kompletnie zapomniałem – a ty mnie oskarżasz, że wciskam ci kit?

– Nie. Naprawdę. Przepraszam.

Nie byłem pewien, za co właściwie go przepraszam, ale Martin jeszcze przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, po czym złagodniał.

– Dokładniej dwie uprzejmości. Ten świecznik mógłbym ci przysłać. Ale myślę, że jesteś porządnym młodym chłopakiem i ostatnio wystarczająco dużo przeszedłeś. Dlatego uznałem, że warto cię uprzedzić, jakby nieoficjalnie. Jeżeli nie miałeś na pieńku z Ganlym, to powinieneś się dobrze zastanowić, dlaczego ktoś rozpowiada, że jednak miałeś.

– Nie mam pojęcia dlaczego. Nie wiem nawet, kto mógłby...

On jednak podciągnął mankiet, by spojrzeć na zegarek, i dźwignął się z fotela.

– Jezu, jest później, niż myślałem. Lepiej już pójde, zanim moja ślubna dojdzie do wniosku, że uciekłem od niej z młodszą... No nie, żartuję, za dobrze mnie zna. Pomyśli, że uciekłem gdzieś do słońca, na Lanzarote czy coś w tym stylu. Nie wytrzymuję tej pogody, doprowadza mnie do szału... – Zerknął na mnie, narzucając płaszcz. – Co mówiłeś?

– Nie rozumiem. W ogóle. Tego, co się dzieje.

Przerwał klepanie się po kieszeniach i spojrzał na mnie.

– Jeżeli ty nie masz z tym nic wspólnego – powiedział „jeżeli”?! – w takim razie musiał to być ktoś z twojej rodziny albo spośród znajomych. I ten ktoś próbuje cię pogrążyć. Na twoim miejscu poświęciłbym cały swój czas na to, żeby się dowiedzieć, kto to jest i dlaczego to robi. I zacząłbym od razu.

\* \* \*

Po jego wyjściu przez następną godzinę chodziłem w kółko po salonie – nie był to ten okropny kuśtykający kołowrót, ale szybki i nerwowy marsz; żałowałem tylko, że nie mogę w domu zapalić. Hugo nie zszedł na dół i modliłem się, żeby spał dalej, a targi Melissy trwały bardzo długo. Musiałem pomyśleć.

Można by przypuszczać, iż fakt, że stałem się podejrzanym o zabójstwo, będzie najważniejszy, ale w rzeczywistości, gdy już ochłonąłem z początkowego szoku, nie wydawał się mieć aż tak wielkiego znaczenia. W końcu Martin słusznie zauważył, że

każdy, kto mógł się dostać do tego drzewa, musiał się znaleźć na liście podejrzanych, a miałem poważne wątpliwości, czy trafię za kratki tylko dlatego, że ktoś powiedział komuś, że ktoś mówił, że miałem jakieś bliżej niesprecyzowane problemy z Dominikiem. Stopniowo docierała do mnie reszta tego, co mówił Martin, i im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej wydawało mi się to oczywiste, nieuniknione, wibrowało tak fundamentalną prawdą, że przyciągało moje myśli z siłą gigantycznego magnesu: to, co stało się z Dominikiem, było – musiało być – związane z nocą, kiedy na mnie napadnięto.

Nie pojmowałem tylko, na czym polega ten związek. Wciąż nie mogłem doszukać się sensu ani w hipotezie o źle skierowanej zemście, ani w przypuszczeniu, że zaatakowali mnie ci sami ludzie – przecież leżałem bez czucia na podłodze, jeżeli przyszli mnie zabić, mogliby to zrobić bez trudu (chodząc po pokoju, uważnie omijałem świecznik, bezkształtną bryłę opakowaną w plastik). Najwidoczniej był jednak ktoś – prawdopodobnie ta sama osoba, która próbowała mnie pogrążyć – kto doskonale wiedział, jaki to związek. Jak powiedział Martin, krąg podejrzanych nie był duży. Kumple, którzy tamtego lata mogli zabrać zapasowy klucz do drzwi do ogrodu – żałowałem, że nie mogę skrócić tej listy – Susanna, Leon i Hugo.

Nikt z nich nie wydawał się w najmniejszym stopniu prawdopodobnym kandydatem ani na mordercę, ani na makiawelicznego architekta skomplikowanych intryg. A jednak, jednak... Coraz jaśniej uświadamiałem sobie – a Martin musiał to wiedzieć od początku – że historyjka o kradzieży samochodu jako motywie włamania nie ma sensu. Przez cały tamten dzień i pół

nocy nie było mnie w mieszkaniu, mieli mój samochód i kluczyki na wyciągnięcie ręki, a skoro mieli na oku mój dom, to po co czekali na mój powrót?

*Te szuflady przekopali dość dokładnie.* Zniknął stary aparat, który dostałem na osiemnaste urodziny. Ze zdjęciami z dawnych imprez.

Szukali czegoś, co miało związek ze śmiercią Dominica. Samochód, telewizor, xbox, to wszystko była zasłona dymna – patrzcie, zwyczajny, pospolity włam, nie ma tu nic ciekawego! Zaczekali, aż wrócę do domu, żeby – gdyby nie znaleźli tego, czego szukali – wyciągnąć to ode mnie... nawet nie chciałem się zastanawiać, w jaki sposób. Tyle że się obudziłem, gotów się bronić, więc wszystko wzięło w łeb.

*Szczerze mówiąc, mam z tego powodu pewne wyrzuty sumienia. Zwykle po takim czasie wiedzielibyśmy już z grubsza, kogo szukamy... A tym razem nikt się nam nie kojarzy. ...* Martin wiedział od początku. Oczywiście nie o Dominicu, ale że to nie było żadne przypadkowe włamanie; ci ludzie nie przyszli do mnie, bo traf tak chciał, ale przyszli z absolutnym rozmysłem.

Powinno to wywołać we mnie jeszcze większą grozę – namierzyli mnie, śledzili i wytropili – ale nie wywołało. Jeśli napadli mnie celowo z powodu czegoś, co zrobiłem albo miałem, to nie byłem przygodną ofiarą jak potrącone zwierzę, nie byłem obiektem, który stanął im na drodze, więc trzeba go było rozjechać. Byłem rzeczywistą, konkretną postacią, nie nieistotnym śmieciem, który należało zlekceważyć, lecz głównym elementem całej historii. A skoro byłem tu centralną postacią, to mogłem coś z tym zrobić.

Mój umysł od miesięcy nie pracował tak sprawnie, z krystaliczną jasnością, która zapierała mi dech w piersiach jak mroźne powietrze. Zdążyłem już zapomnieć, jakie to uczucie myśleć w ten sposób.

Mimo swoich fantazji o ponurym mścicielu à la Liam Neeson nie mogłem wytropić włamywaczy i zmusić ich, żeby wszystko wyśpiewali. Był jednak drugi koniec tego wątku, który krył się gdzieś tu, w Ivy House. A ten być może mogłem znaleźć i ruszyć po tej nitce do kłębka.

Bez względu na pogodę musiałem zapalić. Narzuciłem kurtkę i wyszedłem na taras. Wiatr huczał wysoko na drzewach, w padającym z kuchni świetle pagórki i doliny błota rzucały ostre, zdeformowane cienie. Fruwały liście, płytki na tarasie lśniły od deszczu. Czując w gardle bicie serca, uświadomiłem sobie, że z niewiadomego powodu szeroko się uśmiecham.

\* \* \*

– Co to? – spytała Melissa, wskazując na plastikową torebkę.

Wróciła potargana przez wiatr, ze zziębniętymi policzkami, a ja otuliłem ją kocami na kanapie, napiłem gorącą czekoladą i słuchałem opowieści z targów, grzebiąc w torbie z próbkami, którą przyniosła do domu.

– Ach. – Uniosłem wzrok znad przedmiotu, który wyglądał jak małe prezerwatywa z dzianiny. – Twój świecznik. Ten, który zabrała policja. Przyniósł go z powrotem jeden z tych detektywów, Martin.

– Po co? – zapytała ostrym tonem.

– Skończyli go badać. Ludzie od kryminalistyki.

– Czemu z nim przyszedł? Dlaczego po prostu nie przysłał?

Nie chciałem jej nic mówić, w każdym razie jeszcze nie teraz, dopóki nie ustalę czegoś konkretnego.

– Chyba był w pobliżu – odparłem.

– O czym chciał z tobą rozmawiać?

Siedziała wyprostowana, zapominając o czekoladzie.

– O niczym. – Wróciłem do torby z próbkami. – Po prostu zostawił to i wyszedł. To jest kondom dla skrzatów?

Melissa roześmiała się uspokojona.

– To pacynka na palec, głuptasie! Popatrz, ma twarz. Widziałeś kiedyś kondom z...

– Widziałem dziwniejsze. Pewnie można...

– Przecież to wełna!

Ze skurczem paniki dostrzegłem dwie puste szklanki po whisky, które oczywiście zapomniałem sprzątnąć, ale Melissa albo ich nie zauważyła, albo przypuszczała, że wypiliśmy po jednym z Hugo.

– No więc to były zboczone skrzaty – powiedziałem. – Co to w ogóle za targi?

– Szalone. Ludzie zwisali z ręcznie dmuchanych żyrandoli.

Cieszyła się, bo sypałem żartami, a ja dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak mnie zmroziło, gdy pierwszy raz zobaczyłem Rafferty'ego i Kerra, jak głęboko wycofałem się do wielkiej mrocznej przestrzeni.

– Nalewaliście do jacuzzi organicznego szampana z jagód i czarnego bzu – dodałem. – No jasne.

– Jesteśmy bandą wariatów.

– I dzięki Bogu. – Nachyliłem się, żeby ją pocałować. – Inaczej nigdy byś ze mną nie wytrzymała. – Poczułem pod wargami, jak się uśmiecha.

Wróciliśmy do oglądania próbek, żebym mógł się nabijać z co dziwaczniejszych okazów, a po paru minutach przyczłapał z góry Hugo w szlafroku, przecierając oczy, więc zrobiliśmy mu gorącą czekoladę i Melissa wydobyla z torby paczkę ekologicznych owsianych herbatników. Żadne z nas nie wspomniało o wizycie Martina.

Następnego ranka, otwierając kubel, by coś wyrzucić, zobaczyłem świecznik: wystawał z głębi śmieci, gdzie został mocno upchnięty w plastikowej torebce, zaciśniętej na nim ciasno jak garota.

\* \* \*

Odprowadziłem Melissę do pracy, pokręciłem się trochę pod drzwiami łazienki, gdy Hugo brał prysznic, pomogłem mu usadowić się w gabinecie, a potem powiedziałem, że idę przejść się po ogrodzie, żeby przewietrzyć głowę. Uśmiechnął się do mnie z roztargnieniem, skinął mi ręką i odwrócił się do biurka. Byłem pewien, że nie zorientował się, co powiedziałem ani nawet kim jestem.

Wiatr uspokoił się, zostawiając pod murami zwały liści. Zasadzone z powrotem krzewy, drzewko od mojej matki i rośliny, które Melissa przywiozła z centrum ogrodniczego, wyglądały na niezadowolone z nowego miejsca; niektóre zaczynały więdnąć. Poprzedniego wieczoru nie wziąłem xanaxu,

więc wszystko wydawało mi się chropowate i zgrzytliwe, każda gałąź rysowała się za ostro na tle szarego nieba, uschnięte liście poruszane lekkimi podmuchami wiatru wydawały nieprzyjemny metaliczny grzechot. Odgrodziłem się roslym dębem od okna gabinetu Hugo i wyjąłem telefon.

Nie robiłem sobie zbyt wielkiej nadziei, że nadal mam numer telefonu Faye, jasnowłosej koleżanki Susanny, która ochoczo chwytala się brzytwy. Tamtego lata, gdy bywała w Ivy House, trochę z nią flirtowałem, nawet całowaliśmy się parę razy, ale przezornie się wycofałem, gdy tylko dostrzegłem w niej oznaki szaleństwa. Okazało się jednak, że numer jest; jakimś cudem ocalał podczas przenoszenia kontaktów do wielu telefonów, których używałem przez dziesięć lat. Oparłem się o pień i zadzwoniłem. Czułem się jak zakochany nastolatek, pociły mi się ręce, serce tłuło o korę dębu, której dotykałem plecami, modliłem się w duchu, aby nie okazało się, że zmieniła numer.

– Halo?

– Faye? – Życzliwie, ale nieśmiało, z odpowiednią dozą przyjemności, choć bez przejęcia. – Mówi Toby, Toby Hennessy, kuzyn Susanny. Nie wiem, czy mnie pamiętasz...

– Oczywiście, że pamiętam, Toby. O rany. Cześć. – Miło, ale z dystansem. Nie wiedziałem, czy na ekranie wyświetliło się jej moje imię, czy zdążyła mnie już usunąć.

– Trochę minęło. Co słyhać?

– W porządku. Wszystko gra. A co u ciebie?

Wydawała się znacznie bardziej pozbierana, niż ją pamiętałem. W tle dzwonił telefon, ozywiony męski głos wylewał potok biznesowego żargonu: była w pracy.

– Też dobrze. – W obojętnej ciszy, jaka potem zapadła, powiedziałem: – Dzwonię, bo... hm, pewnie wiesz o tym, co się dzieje w domu mojego wujka Hugo.

– Z grubsza wiem. Widziałam migawki w wiadomościach. A potem przyszli do mnie dwaj detektywi, żeby o tym pogadać.

Nie dowiedziały się od Susanny, czyli się nie kontaktowały, co dawało mi szersze pole manewru.

– U mnie też byli. Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłem. Wspomnieli, że mają zamiar z tobą rozmawiać, a ci dwaj potrafią napędzić stracha. Nie podobało mi się, że będą ci zawracać głowę. Chciałem spytać, czy wszystko w porządku.

Głos Faye odrobinę odtajał.

– Och, tak. Nie było tak źle.

– Na pewno?

– Naprawdę. W ogóle mnie nie przestraszyli. Może dlatego, że wtedy na prawie cały wrzesień wyjechałam z rodzicami do Francji, więc nie bardzo wiedziałam, co się działo. Przede wszystkim pytali o moje nocowanie w domu twojego wujka... Pamiętasz? Żarłam się wtedy trochę z rodzicami i kiedy się kłóciliśmy, uciekałam przez okno i przychodziłam do was.

– Tak, pamiętam. – Powiedziałem to z nutką rozbawienia i czułości. – Gadaliśmy przez pół nocy, a rano spóźnialiśmy się do pracy. Warto było.

Zaśmiała się cicho.

– No, tak. Tych detektywów interesował klucz do wejścia od ogrodu. Ten, który tamtego lata zginął. Chcieli wiedzieć, jak Susanna wpuszczała mnie do domu, kiedy zaczęłam wchodzić od frontu.

– Mnie też pytali o to wszystko. Nie mam pojęcia. Czułem się jak skończony idiota. A ty pamiętałaś?

– Trochę. Wiem, że klucz zginął na jakiejś imprezie, bo Susanna próbowała mnie wpuścić na drugi dzień i nie mogła, więc zaczęła świrować. Mówiłam jej: „Nie przejmuj się, pewnie jakiś idiota zabrał go dla kawału”, a ona nic, tylko: „Teraz trzeba będzie zmienić zamki, tyle że Hugo nigdy się do tego nie zabierze, a ten ktoś będzie sobie wchodził, kiedy zechce...”. Ale nie mam pojęcia, kiedy była ta impreza, o którą pytali, więc nie jestem pewna, czy im w czymś pomogłam.

– W każdym razie bardziej niż ja – odparłem ze smętnym uśmiechem. Nie mogłem uwierzyć, jak spokojnie i beztrudnie brzmi mój głos; opanowanie i luz jak u prywatnego detektywa. – Rozmowa ze mną była chyba dla nich kompletną stratą czasu. Nic dziwnego, że się na mnie wkurzyli. Cieszę się, że ciebie potraktowali uprzejmie.

– O nie! Jak sobie z tym radzisz? A Susanna?

Faye zawsze była słodka, narwana, ale słodka; raczej nie miała zwyczaju pytać o czyjeś problemy, ale głęboko się nimi przejmowała, kiedy się jej przypomniało o ich istnieniu.

– Nie najgorzej – odparłem. – Choć w głowie się nie mieści, że Dominic przez ten cały czas tkwił w dziurze w drzewie. I bardzo chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego ze wszystkich miejsc na świecie trafił właśnie tam.

– Ten ogród był piękny. Miał w sobie tyle spokoju. To akurat rozumiem.

Powiedziała to bez wahania, bez cienia niepewności; nadal zakładała, że to było samobójstwo. Detektywi nie wspomnieli jej

o morderstwie. Zostawili to dla nas, co nie mogło mnie uspokoić.

– Tak czy inaczej... – powiedziałem. – Jezu, biedny Dominic. Nie wiem, co mu siedziało w głowie, ale szkoda, że nie znalazł lepszego rozwiązania. Dobry chłopak. – Zamilkłem i czekałem.

Chwila ciszy.

– Tak myślisz?

Zastanawiałem się, czy Dominic ją zaliczył, a zaraz potem rzucił – była ładna na swój kruchy i płochliwy sposób; gdy skrzyżowała z kimś spojrzenie swoich wielkich błękitnych oczu, zaraz odrzucała głowę ruchem, który uważałem za bardzo seksowny. A może...

– No, pewnie nie był święty – rzuciłem. – Ale nie pamiętam, żeby sprawiał jakieś poważne problemy.

– Wiem, że się kumpłowaliście. Pomyślałam tylko...

– Co?

– Nieważne. To było tak dawno. Pewnie coś mi się myli.

Co?

– Posłuchaj – zacząłem ciszej, trochę niepewnie, trochę bezradnie. – Powinienem ci chyba coś powiedzieć. Parę miesięcy temu miałem wypadek, dosyć mocno dostałem w głowę. Od tego czasu moja pamięć nie bardzo... To znaczy, nie pamiętam niektórych rzeczy, które powinienem pamiętać.

– O Boże. – Głos Faye zupełnie się zmienił, usłyszałem w nim szok i współczucie. Trafiłem. – Strasznie mi przykro. Dobrze się czujesz?

– W zasadzie tak. Lekarze twierdzą, że samo przejdzie, ale na razie to trochę straszne. Po prostu... jeżeli czegoś nie pamiętam, pomóż mi, dobrze? Bo naprawdę nie mogę... a w takiej sytuacji

nie można sobie pozwolić na to, żeby czegoś nie wiedzieć. Tymczasem ja zagubiłem się w tym wszystkim.

Wyjąkana z taką szczerością prośba okazała się skuteczna.

– Miałam po prostu wrażenie, że Dominic trochę wrednie traktował Leona i Susannę. To wszystko. I przypuszczałam, że nie byłeś z tego powodu zadowolony. Ale dokładnie nie wiem, jak to było, może...

– Był wobec nich wredny? W jaki sposób? – Nie odpowiedziała. – Faye, naprawdę potrzebuję pomocy. Nie chcę palnąć jakiegoś głupstwa przy Susannie czy Leonie, nie mówiąc już o policji. Proszę cię.

– Szczegółów nie pamiętam. Naprawdę. Tamtego roku miałam na głowie dość własnych kłopotów.

– Wiem – powiedziałem przyciszonym głosem, z nutą bólu. – Żałuję, że nie pomogłem ci bardziej, naprawdę chciałem, ale nie wiedziałem jak, więc po prostu mnie sparaliżowało. Nastolatki to idioci.

– Nie, byłeś w porządku. Mówię tylko, że powinnam była poświęcić więcej uwagi problemom Susanny, zwłaszcza że była dla mnie taka miła i ciągle pozwalała mi do was przychodzić. Przecież nie byliśmy najlepszymi przyjaciółkami, po prostu wasz dom stał najbliżej, a twój wujek nie wtykał nosa w sprawy dzieciaków jak niektórzy rodzice... Ale ja przejmowałam się tylko własnymi kłopotami, wiesz? Pamiętam jedynie jak przez mgłę, że Dominic im dokuczał. Chyba uderzył Leona czy coś? A Susanna się zdenerwowała. Ale jak mówię, mogłam to wszystko zrozumieć nie tak... – Męski głos w tle zaczął zadawać jakieś

pytania. – T oby, muszę kończyć. Dzwoń, kiedy chcesz, jeżeli będziesz chciał zapytać o coś, co mogę wiedzieć. Okay?

Pod tą nową maską opanowania, pogody ducha czy cokolwiek to było, kryła się jednak ta sama Faye. Mówiła absolutnie serio, ale wiedziałem, że w ciągu pół godziny zupełnie o mnie zapomni, i nie miałem nic przeciwko temu.

– Zadzwoń – rzuciłem. – Stokrotne dzięki, Faye. Jesteś nieoceniona, jak zawsze. I mam wrażenie, że świetnie ci się układa. Miło to słyszeć.

– Tak, nieźle. Dzięki. Mam nadzieję, że szybko wrócisz do formy.

Ręce tak mi dygotały, że dopiero za trzecim razem udało mi się wsunąć telefon do kieszeni dżinsów. Nigdy wcześniej nie robiłem niczego takiego. Rola szcwanego lisa, który działa w pojedynkę z własnej inicjatywy, nie była w moim stylu; zawsze wolałem przyłączać się do innych, wybierając to, co wydawało mi się ciekawe, a z resztą dając sobie spokój. Przede wszystkim dziwnie się czułem, podejmując samą akcję, i nie byłem przygotowany na to, że pierwszy krok tak dobrze mi pójdzie i że sprawi mi satysfakcję. Jeszcze mroczniejszą zagadkę stanowił fakt, że odżyła przy tym spora część dawnego mnie: wróciły tamta swoboda, tamten urok, dar przekonywania, ale w zasadniczy sposób odmienione, jak dziwnie zniekształcone błyski odbite w ciemnym lustrze.

Mógłbym wziąć xanax, ale chciałem zachować jasność myśli. Zapaliłem więc papierosa i mocno się zaciągnąłem. Kos przerwał dziobanie w błocie i obrócił ku mnie bystre, srogie oko; kiedy

dmuchnąłem w niego długą smugą dymu, poderwał się z gwałtownym łopotem skrzydeł i zniknął za murem.

Wiedziałem, że tamtego lata urządzaliśmy imprezę na początku lipca, kiedy skończyły się egzaminy, nasi rodzice wyjechali w podróż, a my troje wprowadziliśmy się do Hugo. Była też impreza z okazji urodzin Leona, więc musiała się odbyć około trzeciego tygodnia sierpnia; i jeszcze jedna we wrześniu, łabędzi śpiew przed college'em, który zaczynał się z początkiem października. Jeżeli Faye spędziła wrzesień we Francji, ta ostatnia odpadała. Pierwsza była natomiast za wcześnie; dopiero się zainstalowaliśmy, Faye nie zaczęła jeszcze przychodzić. Czyli zostały urodziny Leona.

Leon nie miał zbyt wielu znajomych, których mógłby zaprosić, ale byłem pewien, że pojawiła się spora grupa moich kumpli i towarzystwo Susanny, plus prawdopodobnie ludzie, których trudno było zaliczyć do naszych kumpli. Wszyscy wiedzieli, że warto przychodzić na imprezy w Ivy House. Sean i Dec na pewno byli, stadko koleżanek Susanny i chyba parę fajniejszych dziewczyn z jej szkoły, które miały ochotę złowić rugbystę. No i Dominic, nie miałem wątpliwości, że też był, jeśli mogłem polegać na swojej kulawej pamięci: jego śmiech i oczy błyszczące od koki i blasku księżyca, Leon z głową uwięzioną w jego chwycie, na próżno szarpiący go za ramię, zapach jaśminu i wrzaskliwy śpiew dobiegający z rozkołysanej ciemności, *Sto lat, sto lat!*

I jeszcze to, co mówiła Faye: że Dominic dokuczał Leonowi i Susannie. Czyżby o to chodziło Martinowi? Musiała powiedzieć Rafferty'emu, że pewnie nie byłem z tego zadowolony, a ten

przetłumaczył to sobie w ten sposób, że dyszałem żądzą wendety na Dominicu? Wniosek wydawał się mało przekonujący, ale to najbardziej sensowna rzecz, jaka przychodziła mi do głowy.

No i zakładając, że Faye niczego sobie nie wyobraziła ani nie zrozumiała źle, to co właściwie działo się między Dominikiem a Susanną i Leonem? Nie pamiętałem, żeby w ogóle zwracał uwagę na Susannę – nie przepadał za typem kujonek. Czasem rzucał sprośnym żartem albo seksistowskim komentarzem, więc mógł się śmiać z jej postawy Oburzonej Feministki, lecz na pewno nie był jedyną osobą, która to robiła. Dobrze pamiętałem, jak czasem robił sobie jaja z Leona, ale to też nie było nic wyjątkowego, wielu ludzi dokuczało Leonowi, odkąd skończyliśmy mniej więcej dwanaście lat – opowiadali dowcipy o pedałach, seplenili, przedrzeźniali zniewieściałe gesty. Kiedy działo się to przy mnie, mówiłem chłopakom, żeby dali mu spokój, ale to nie było nic wielkiego. Chociaż biorąc pod uwagę stan Dominica tamtego lata, kto wie? Może trochę podkreślił poziom i potraktował go ostrzej niż zwykle? Leon na pewno by mi jednak o tym powiedział; nie mógłbym nie zwrócić uwagi ani zapomnieć, że...

Nie zamierzałem pytać o to wszystko Susanny i Leona. Odwiedziny Martina bardzo subtelnie zmieniły mój punkt widzenia na tych dwoje, na nasze pozycje na tej surrealistycznej szachownicy, na której się nagle znaleźliśmy. Chociaż wiedziałem, że Martin prawdopodobnie właśnie do tego dążył, nie mogłem nic na to poradzić. Zadzwoiłem za to do Seana i spytałem, kiedy mógłby wpaść do nas z Declanem.

\* \* \*

Przyjechali następnego dnia wieczorem, co wzruszyło mnie bardziej, niż potrafiłbym im powiedzieć, nawet gdybym chciał. Dałem im to do zrozumienia, nabijając się z Seana, że przytył o parę kilo, oraz z Deca i jego przygód z Jenną.

– Stary, w Dublinie mieszka jakieś pół miliona kobiet, nie? Przynajmniej jedna z nich musi być samotna i do rzeczy, ale nie...

– I być mało wybredna – dorzucił Sean.

– Otóż to.

– O co wam chodzi? – obruszył się Dec. – Mam pracę i wszystkie włosy. Więcej niż wielu facetów.

– Jesteś marudnym głąbem – poinformowałem go. – Nie mógłbym z tobą wytrzymać.

– Nie jestem... Melissa, powiedz mi szczerze. Czy jestem marudnym głąbem?

– Jesteś super.

– Widzisz?

– A co innego miałyby ci powiedzieć? Jest miłą osobą, a ty siedzisz obok.

Stół w kuchni, przy którym spędziliśmy tyle wieczorów jako nastolatki, ugiął się teraz pod ciężarem salatek w jaskrawe wzory – z makaronem, sałatą, parmezanem – wylizanych do czysta talerzy i do połowy opróżnionych kieliszków wina, zmierzwionych pomarańczowych kwiatów i zmatowiałych srebrnych świeczników. Hugo śmiał się, opierając brodę na

splecionych dłoniach; w jego okularach odbijały się pełgające płomyki świec.

– Zawsze tacy byli – powiedział na stronie do Melissy, która też się śmiała; miała na sobie żółtą sukienkę promienną jak słońce. Splotłem palce z jej dłonią na stole i lekko ją uściśnąłem.

– Przynajmniej nie jestem tłuściochem – zwrócił się do Seana Dec.

Sean wystawił brzuch i z czułością go poklepał.

– Same mięśnie.

– Jezu, stary – powiedziałem. – Weź się w końcu za to, bo się nie zmieścisz w ślubny garnitur.

– On się nie zmieści nawet na ślubnych zdjęciach...

Przynieśli prezenty dla Hugo, tak jak i mnie do szpitala: wykwintne czekoladki, książki, płyty DVD, armaniak – nawet ja zapomniałem, że lubi armaniak, ale Dec opowiedział długą historię o tym, jak w wieku piętnastu lat zrobiliśmy nalot na barek i omal nie zabiliśmy się paroma tęgimi łykami tego trunku, bo żaden nie chciał wycofać się pierwszy.

– Toby wyglądał, jakby zaraz miał eksplodować, czerwony jak burak, miał łzy w oczach. Powiedziałem mu, że jest żalonym cwelem... przepraszam za wyrażenie... i złapałem za butelkę, nie? Zanim się obejrzałem, cały pokój zawirował mi w głowie, pomyślałem, że dostałem wylewu do mózgu. Wiedziałeś, Hugo, że urznięliśmy się w sztok, ale szacunek, nigdy nie pisnąłeś ani słowa...

– No... – Hugo z uśmiechem odchylił się na bok, żeby wydobyć butelkę z torby z prezentami. – Za to teraz możecie wypić tyle

armaniaku, ile sobie życzy, i to jak należy. Tobi, przyniesiesz kieliszki?

Sean i Dec wstali razem ze mną, żeby posprzątać ze stołu.

– Ogród jest kompletnie przeorany – powiedziałem, wskazując w stronę drzwi tarasu. – Próbujemy posadzić wszystko z powrotem, ale wydaje mi się, że jest przez to jeszcze gorzej.

– Odrośnię – rzucił Sean. – Wystarczy fura nasion trawy, dużo nasion polnych kwiatów...

Przez cały wieczór nie wspominaliśmy o Dominicu. Sean i Dec omijali temat; pytali Hugo, jak się czuje, jak przebiega terapia, opowiadali zabawne historyjki z pracy, Sean pokazał w telefonie zdjęcia z jego zaręczyn z Audrey („Boże, to już dorosła kobieta, a ja ciągle pamiętam taką kruszynę z aparatem na zębach...”). Gryzłem się w język, dygocząc z niecierpliwości i czekając na odpowiedni moment, ale nie mogłem już dłużej zwlekać: zorientowałem się, że Sean i Dec zamierzają wyjść zaraz po armaniaku.

– Tamten pieńek – zacząłem – został po drzewie, w którym... Po tym dużym wiązcie, pamiętasz?

Dec przystanął ze stosem talerzy w rękach, żeby wyrzeć przez oszklone drzwi.

– Mniej więcej. Policjanci pytali mnie o to drzewo. Ktoś im powiedział, że na nim siedziałem na jakiejś imprezie. I śpiewałem *Wonderwall*.

– Pewnie Susanna – zasugerowałem.

– Podziękuj jej ode mnie serdecznie. Pamiętam, że siedziałem na drzewie i śpiewałem. Jezu, ale musiałem być podcięty. Ale nie

jestem arborystą, rozumiesz? Dla mnie to mógł być wiąz, dąb, a nawet pieprzona choinka.

– To musiało być na urodzinach Leona – ciągnąłem. Nie miałem pojęcia, czy to prawda, czy nie. – Ci detektywi ciągle o nich mówili. Chcieli wiedzieć, kto na nich był.

– Chyba jeszcze nigdy nie próbowałam armaniaku – powiedziała Melissa, pochylając się w stronę Hugo, żeby obejrzeć butelkę. – Jaki jest?

– Powiem ci, jaki jest – rzucił przez ramię Sean, który stał przy zlewozmywaku. – Armaniak jest jak piękna kobieta, normalnie bogini, która ma czarny pas w karate. Jeżeli odpowiednio do niej podejdziesz, sprawi, że poczujesz się jak król świata. Ale jeżeli nie okażesz jej właściwego szacunku, da ci wycisk wszech czasów. Do dzisiaj czuję tego kaca.

Hugo się zaśmiał.

– Jeżeli piłaś koniak – zwrócił się do Melissy – to smakuje trochę podobnie, ale armaniak ma głębszy, bardziej ziemisty smak. Mocna rzecz, kiedy ktoś ma piętnaście lat i pije prosto z butelki, ale to doskonały trunek, a ten na pewno będzie łagodny jak balsam. Ci chłopcy porządnie przykładają się do wszystkiego.

Nie chcieli rozmawiać o Dominicu.

– Guzik pomogłem policji – oznajmiłem. – Podejrzewali pewnie, że kręcę, ale problem w tym, że nie mogłem im nic powiedzieć o tej imprezie, bo mam kompletnie zrypaną pamięć. – W ciszy, która nagle zapadła, drwiąco wzruszyłem ramionami ze wzrokiem wbitym w kieliszki, które stawiałem przed Hugo, by nikomu nie spojrzeć w oczy. Na samą wzmiankę o tym skręcał mi się żołądek, to było upokarzające, obrzydliwe i niebezpieczne, ale

skoro w końcu znalazłem pozytywną stronę ruiny mojego umysłu, postanowiłem wycisnąć z niej, ile się da. – Tak, prawdopodobnie powinienem im o tym powiedzieć, ale...

I rzeczywiście po ułamku sekundy milczenia Sean odezwał się spokojnie:

– To ta impreza, na której Nessa, koleżanka Audrey, przepłakała pół wieczoru w łazience. – Płukał talerze, by włożyć je do zmywarki. – Bo kilka dni wcześniej całowała się z Marcusem O’Halloranem, a on potem traktował ją jak powietrze. To nie była jedna z tych dużych imprez, zjawilo się niewielu ludzi. Urządziliście ją parę dni po wynikach matur i informacjach o przyjęciu na studia, więc towarzystwo zdążyło się wybawić. Była nasza trójka, Susanna i Leon, a Audrey przyprowadziła Nessę i Larę...

– Leon zaprosił tych swoich trzech kumpli emo – przypomniał z uśmiechem Dec. – Siedzieli w kącie i grali w *Dungeons and Dragons* czy coś w tym rodzaju. Przyszło też parę koleżanek Susanny... taka drobna blondynka i ta pyskata z szaloną fryzurą...

– No i kilku chłopaków – dodał Sean. – Na pewno był Dominic. I oczywiście Marcus. Pamiętam też, że Bren narzekał, bo Nessa zajęła łazienkę, a skoro był Bren, to moim zdaniem musieli też być Rocky i Mal...

Melissa milczała, siedząc na podwiniętej nodze, a jej oczy, ciemne w nikłym blasku świateł, poruszały się między nami tam i z powrotem.

– Brzmi znajomo – stwierdziłem. – Nessa zamknięta w kiblu. Nie zrobiliśmy wtedy Leonowi tortu z haszem?

– Aha. – Twarz Seana rozpromieniła się z zadowolenia. *Widzisz, jak ci pomagamy, Toby? Pamięć poprawia ci się na naszych oczach!* – Wyszło do dupy, nawet nie przypominało tortu, ale działało. Jeden z tych emo zjadł chyba ze cztery kawałki i nie mógł przestać się śmiać z płytek na podłodze.

Hugo wciąż mocował się z butelką, którą próbował odkorkować, ale dłoń stale mu się ześlizgiwała. Melissa wyciągnęła rękę i z lekkim skrzywieniem warg oddał jej armaniak.

– Zaraz – rzucił Dec. – Ale dlaczego gliny w ogóle tak się dopytują o tę imprezę? Przecież była na długo przed zaginięciem Dominica.

– Chodzi chyba o klucz do drzwi w murze ogrodu – odparłem. – Zginął właśnie na tej imprezie. Chcą wiedzieć, kto mógł go zabrać.

– Rzeczywiście, pytali mnie o ten klucz. Czy wiedziałem, gdzie go trzymano. Wiedzieli, że nocowałem tu parę razy latem rok wcześniej. Powiedziałeś im?

– Nie. Ten klucz nie był jednak nigdzie schowany, wisiał po prostu na haczyku przy drzwiach. Mógł go zauważyć każdy, kto do nich podszedł.

– A, tak, pamiętam – odezwał się Sean. – Na dużym breloczku z czarnym psem. Metalowym.

– To ten. Myślałem, że dostanę szau, kiedy próbowałem sobie przypomnieć, czy widziałem go u kogoś na tamtej imprezie, ale...

– Wzruszyłem ramionami. – Nic.

Dec i Sean spojrzeli po sobie.

– Ja nie widziałem – powiedział Sean. – Gdybym widział, że ktoś kombinuje coś z kluczem, na pewno bym go powstrzymał.

– Ja też nie – dołączył Dec. – Czy to nie na tej imprezie nie mogliśmy nawet pójść na koniec ogrodu? Był rozkopany i cały w błocie. Hugo, coś tam urządzałeś, coś z kamieni...

Hugo uniósł wzrok, jak gdyby Dec go przestraszył, ale odpowiedział bez wahania:

– Pewnie skalniak. To na pewno było tamtego lata. Pomagaliście mi w trójkę, pamiętacie? – Rzeczywiście, jak przez mgłę przypominałem sobie, jak taszczyłem kamienie w ciepłym letnim słońcu, bolały mnie ramiona, przez otwarte okna płynęły skoczne kawałki z list przebojów, Hugo przechylał głowę... „Może trochę bardziej w prawo, jak sądzisz?...” – Ostatecznie wyszedł bardzo ładnie.

– Aha, to wtedy – rzucił Dec. – Bren próbował tam pójść, ale potknął się, wpadł do dziury i ubłocił sobie całe superdrogie džinsy, więc później trzymaliśmy się tylko tej strony ogrodu. I dlatego Bren był wkurzony na Nessę za to, że przesiaduje w łazience. Chciał zdjąć džinsy i je przepłukać.

– W końcu zrobił to tutaj, pamiętasz? – Sean wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Machał tymi spodniami o tak... – Zakręcił ręką jak striptizerka i zakołysał biodrami. – Wszystkie dziewczyny się darły, a potem Rocky i Mal wyrwali mu džinsy i rzucili na drzewo.

– Mój Boże... – Hugo się uśmiechnął. – Ominęła mnie cała zabawa. Miałem wtedy pod ręką wielki zapas przemysłowych zatyczek do uszu. Dziękuję, moja droga – zwrócił się do Melissy, która naląła armaniak i podawała wszystkim kieliszki.

– No i co myślą gliniarze? – spytał Dec. – Dominic ukradł klucz i potem przyszedł tu skończyć ze sobą? Czy ktoś inny zwinął klucz i przyprowadził tu Dominica?

– Nie mam pojęcia, co myślą – odparłem. – Nie wiem, czy w ogóle wiedzą.

Sean wytarł mokre ręce i usiadł.

– Skoro pytają o klucz, myślą, że to ktoś z zewnątrz – zauważył. – Przynajmniej tyle. Nie przypuszczają, że ktoś z was wpuścił go i zabił. Czyli dobrze.

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy i choć sam wniosek mi się spodobał, trudno mi było uwierzyć, że to takie proste.

– Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek go zabił – oświadczyłem. – Dominic Ganly, na litość boską! Kto mógłby to zrobić?

Przynęta dla Deca: zawsze uwielbiał okazje, gdy mógł czemuś zaprzeczyć. Od razu chwycił.

– Serio? Dobra... – Ożywiony perspektywą kłótni, przysunął sobie krzesło do stołu. – Nie do wiary, że znamy kogoś, kto być może został zamordowany. Ale skoro tak jest, skoro, powiedzmy sobie jasno, wszystko na to wskazuje, że tak jest, naprawdę dziwisz się, że to był Dominic?

– A ty nie?

– Jeżeli mam być całkiem szczery, to nie. Wiem, nie wypada źle mówić o zmarłych. Ale minęło tyle czasu, że chyba możemy to powiedzieć, nie? Z Dominica był kawał gnoja.

– Daj spokój. Ktoś z nas był inny? Mieliśmy po osiemnaście lat. Dec energicznie pokręcił głową, odrzucając lok z czoła.

– Nie, nie. Nie w tym sensie.

– Dec ma rację – wtrącił Sean. – Przynajmniej raz. To był sukinsyn.

– Codziennie dogryzał mi z powodu mojego akcentu – powiedział Dec. – Udawał, że nie rozumie, co mówię.

– Wszyscy sobie dogryzaliśmy – przypomniałem mu. – Zresztą ciebie i tak nikt nie rozumie.

– To nie było zabawne. Nie wtedy. Przez całą pierwszą klasę bałem się otworzyć gębę przy Dominicu, bo wiedziałem, że ośmieszyłby mnie przed wszystkimi. W końcu Sean kazał mu się odpierdolić – uniósł kieliszek w stronę Seana, a ten skinął głową i odwzajemnił gest – i potem było już lepiej, ale mimo wszystko... Pamiętasz, jak w trzeciej klasie zaczęły ginąć rzeczy z szatni? Dominic rozповідаł, że to ja kradnę, bo przecież jestem dresiarzem, nie, a wiadomo, jacy oni są, pewnie sprzedają te rzeczy, żeby mieć na towar... I ludzie mu wierzyli. Przestali zapraszać mnie do swoich domów, żeby przypadkiem nie wyszedł z ich xboxem pod swetrem.

– Jezu. – To zupełnie nie pasowało do obrazu Dominica, jaki zapamiętałem. Nie był święty, nic podobnego, ale taka zajadła złośliwość... – Jesteś pewien, że on to rozповідаł?

– Jestem. Zarzuciłem mu to wprost. Zaśmiał mi się w twarz i zapytał, co zamierzam z tym zrobić. A ja oczywiście... – uśmiechnął się, ale nie było w tym cienia radości – nie mogłem nic zrobić, bo był dwa razy wyższy ode mnie.

Cisnęło mi się na usta pytanie, czy rzeczywiście jest absolutnie pewien; po tylu latach mógł coś pomylić. Dla mnie zawsze było oczywiste, że Dominic to zwykły, porządny chłopak, ale gdy się uważniej nad tym zastanowiłem, nie byłem pewien, dlaczego tak

twierdziłem. Jeszcze kilka tygodni wcześniej powiedziałbym bez namysłu, że znałem go dość dobrze; teraz wydawał mi się raczej kimś obcym, człowiekiem siedzącym naprzeciwko mnie w pociągu, gościem, z którym przez lata jeździłem do pracy, ale właściwie nigdy nie rozmawialiśmy.

– Jezu – mruknąłem znowu. – Nie wiedziałem.

– No, bo nie chciałem, żebyś wiedział. To było wystarczająco poniżające. Nie chciałem, żebyście jeszcze uznali, że powinniście wkroczyć do akcji i mnie uratować.

– Ja też nie miałem pojęcia – zwrócił się do mnie półgłosem Sean. – Myślałem, że to się skończyło, kiedy kazałem mu się odpierdolić. Nikt nie chciał nam powiedzieć.

– Nie mówię tego, żeby się żalić na Dominica – ciągnął Dec. – Nie został we mnie żaden trwały uraz, nie ronię łez do armaniaku... który, nawiasem mówiąc, jest doskonały. Hugo, wreszcie w pełni czuję wstyd za to, jak potraktowaliśmy wtedy twój...

Hugo skinął głową. Sącył armaniak i obserwował nas w milczeniu; kiedy siedzieli tak obok siebie z Melissą i w półcieniu poruszali tylko oczami, wydawali się dziwnie do siebie podobni.

– Mówię o tym – kontynuował Dec – bo chodziło nie tylko o mnie. Było mnóstwo ludzi, którym Dominic robił znacznie gorsze rzeczy niż mnie. Nie twierdzę, że ktoś z nich go zabił. Szczerze mówiąc, nie sądzę, że w ogóle ktokolwiek go zabił. Myślę, że matura to był pierwszy raz w jego życiu, gdy ani siłą, ani kasą nie mógł zdobyć tego, czego chciał, no i nie dał sobie

z tym rady. Chcę powiedzieć jedno: wcale nie tak trudno uwierzyć, że ktoś mógł chcieć go zabić.

– Zapamiętałem – odezwałem się – że nigdy nie było między nami zupełnie żadnych tarć. Problem tylko w tym... – nie udało mi się sfingować gwałtownego wdechu przed kontynuowaniem zdania, to nie było łatwe – że mogę nie pamiętać. I mam wrażenie... tak myślę, że wobec tego wszystkiego, co się teraz dzieje, muszę wiedzieć.

– Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek miał z nim jakieś kłopoty – odparł Sean, wyciągając się nad stołem, by napełnić kieliszki. – Ja też nie. Nie mówię, że go lubiłem, ale mnie osobiście nigdy nie zrobił nic złego.

– Pomyślałem... nie wiem, czy tylko tak mi się wydaje, czy... czy trochę nie dokuczał Leonowi?

– Och, tak – potwierdził Dec. – Traktował Leona paskudnie, znacznie gorzej niż mnie. Chyba nawet parę razy dał mu wycisk.

Hugo drgnął i skrzywił się gwałtownie, ale zamaskował to, unosząc kieliszek do ust.

– Pamiętasz coś takiego? – zwrócił się do mnie.

– Nie – powiedziałem odrobinę za głośno; wprawdzie w jego głosie nie zabrzmiał ton oskarżenia, pytanie było zupełnie neutralne, ale sama myśl, że mógłbym stać z boku, gdy Leon dostawał lanie... – Widziałem tylko, jak czasem się z niego nabijał, ale zwyczajnie, nic takiego, co...

– Mogłem coś źle zrozumieć – zauważył Dec. – Niczego nie widziałem na własne oczy. Powtarzam tylko to, co się mówiło.

– A Susanna? – spytałem. – Dominic chyba nigdy się jej nie czepiał, prawda?

Dec wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam, żeby w ogóle czepiał się dziewczyn. Zresztą nie spotykał jej za często.

– Wydaje mi się, że w jakimś momencie próbował się nawet do niej przystawiać – dorzucił Sean. – Ale dość szybko go zastopowała. Susanna to bystra dziewczyna.

– Chyba powinienem już się położyć – oznajmił Hugo. – Nie. – Łagodnym, ale stanowczym ruchem położył mi dłoń na ramieniu, gdy zacząłem się podnosić i otwierałem usta, żeby przeprosić ich pod pretekstem pójścia do łazienki. – Nie dziś. – A gdy Sean i Dec zerwali się z krzeseł, uspokoił ich: – Nie, nie, wcale was nie wyrzucam. Zostańcie i pogadajcie z Tobym i Melissą, przyda im się towarzystwo, siedzą zamknięci z takim niedołącznym starcem jak ja. – Uściskał obu jedną ręką, uśmiechając się do nich. – Bardzo wam dziękuję za odwiedzin. To był wspaniały wieczór, nawet nie wiecie, jak dla mnie ważny. Dobranoc. Wracajcie bezpiecznie.

W milczeniu słuchaliśmy powolnego kuśtykania po schodach („Zaraz” – powstrzymałem Deca, kiedy chciał coś powiedzieć), a potem szelestów i stukotów na górze, gdy Hugo szykował się do spania: skrzypnęła podłoga w korytarzu, kiedy szedł do toalety. Po jakimś czasie rozległy się przytłumione kroki w pokoju i wreszcie jęknęły sprężyny łóżka. Wszystkie te odgłosy były tak ciche, że nie pochwyciłbym ich, gdybym nie wiedział, czego nasłuchuję.

– Dobra – rzuciłem w końcu. – Chyba wszystko w porządku.

– Zmęczyliśmy go? – zapytał Dec, który siedział wyprostowany, czujnie spoglądając to na mnie, to na Melisę,

próbując zdecydować, czy powinien się zaniepokoić. – Dlatego tak wcześnie się położył?

– Zwykle chodzi spać o tej porze – uspokoiła go Melissa. – Na wszelki wypadek nasłuchujemy.

– Nie zrobiliście mu żadnej krzywdy – dodałem. – Bardzo się ucieszył, że przyjechaliście.

– Przyjedziemy znowu – odparł Sean. – Niedługo.

Nie zorientowałem się, dopóki nie spojrzałem na Hugo ich oczami: zobaczyłem zgarbioną nad laską sylwetkę, mozolne człapanie, zapadnięte policzki i wyostrzony kontur nosa.

– Tak, byłoby dobrze – przyznałem.

– Lekarze coś powiedzieli? – zapytał Dec. – Ile mu jeszcze zostało?

– Prawdopodobnie parę miesięcy. Latem mówili o czterech, sześciu, więc pod koniec roku. Ale naprawdę dobrze zareagował na radioterapię, więc może dostanie parę dodatkowych. Nie ma jednak żadnej gwarancji. Prawdopodobnie trochę przesadzili. Może dociągnie do wiosny, a może jutro mieć udar.

– Jezu – mruknął Dec.

– No.

– Przyjedziemy – powtórzył Sean.

– Słuchaj – zwrócił się do mnie Dec, zniżając głos. Pochylił się nad stołem i zerknął na sufit, jakby Hugo mógł go podsłuchiwać.

– Nie chciałem mówić wcześniej, bo Hugo wyglądał mi trochę niewyraźnie, ale Dominic naprawdę poniewierał Leonem jak ostatnie bydło. Zrobiło się poważnie. Mówił ludziom, że Leon ma AIDS, więc lepiej się do niego nie zbliżać. A raz... on i paru innych przyłapali Leona pod prysznicami, wcisnęli mu do ust jego

własne majtki, żeby go uciszyć, i próbowali mu coś wepchnąć do tyłka... słyszałem, że butelkę coli. A potem chcieli go zmusić, żeby ją wypił. Nie wiem, jak daleko się posunęli, ale... – Widząc moją minę, zapytał: – Pamiętasz coś z tego?

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą. To nie miało nic wspólnego nie tylko z Dominikiem, którego pamiętałem, ale z całym światem, jaki zapamiętałem. Jakby to była scena z zupełnie innej szkoły, nie z mojej, może z filmu o angielskiej szkole z internatem, utrzymanym w klimacie horroru, z mocnym przesłaniem o ciemnym jądrze natury ludzkiej. – Jesteś pewien, że usłyszałeś prawdziwą historię? Stary, to brzmi jak skończone wariactwo. Nigdy nie widziałem w szkole niczego takiego. Niczego, co w ogóle dałoby się z tym porównać. Kocham Leona, ale lubi strasznie przesadzać.

Dec patrzył na mnie z zupełnie innym wyrazem twarzy, a raczej z zupełnym brakiem wyrazu, jakby absolutnie odrzucał moje słowa.

– Nasza szkoła nie była rajem, stary. To były nie tylko wesołe kawały, z których wszyscy się potem śmiali. Czasami zdarzały się hardcorowe sytuacje.

– Daj spokój. Nie takie. Chodziłem do tej szkoły. Może i mam spierdoloną pamięć, ale nie do tego stopnia. – Bezwiednie zerknąłem na Melisę, bo zwykle starałem się nie przeklinać w jej obecności, ona jednak ze spuszczonego wzrokiem lepiała różne kształty z kawałku wosku i nie uniosła głowy.

– Nie mówię, że chodzi o twoją pamięć. Nie mówię nawet, że się mylisz. Szkoła rzeczywiście nigdy tak nie wyglądała... dla ciebie. To nie znaczy, że dla innych wyglądała tak samo.

– Przecież nie jestem ślepy i głuchy. Nie jestem tępy. Gdyby takie rzeczy działy się obok mnie...

– Obok ciebie, ale nie na twoich oczach. Nie jesteś bydlakiem, porządny z ciebie gość, więc nikt nie próbował cię w to wciągać. Nikt nie próbował ci też robić czegoś takiego, bo nie jesteś typem, który daje sobą poniewierać. Ale ktoś taki jak Leon...

– Leon to histeryk, ze wszystkiego robi pieprzony dramat. Potrafi rozdmuchać jakąś bzdurę bez znaczenia do rozmiarów apokalipsy. Tak było przez całe moje życie. Dostałem szlaban, bo...

– O tej butelce coli nie dowiedziałem się od Leona – przerwał mi Dec. – Usłyszałem od Eoghana McArdle’a. Był przy tym, ale bał się coś zrobić, żeby potem nie zabrali się za niego, więc dał nogę. Powiedział, że poszedł po nauczyciela. Może tak było, nie wiem. Eoghan nie miał zwyczaju robić dramatów. W ogóle. I był naprawdę roztrzęsiony. Dlatego mi o tym powiedział, wiedział, że kumpluję się z tobą, więc pomyślał, że może słyszałem, jak to się skończyło.

Nie mogłem wykrztusić słowa. Jednym z powodów było oburzenie na Dominica i – zupełnie bez sensu – na Deca. Bardzo lubiłem szkołę, wspominałem ją z prawdziwą czułością i uśmiechałem się w duchu, myśląc o wszystkich numerach, które nam uszły płazem, a teraz okazywało się, że szkoła, o której tak ciepło myślałem, nigdy nie istniała. Ale znacznie silniejsze było piekące podniecenie, bo wszystko, bardzo powoli i niepewnie, zaczynało się logicznie układać.

– Próbowałem cię wybadać – kontynuował Dec. – Delikatnie, rozumiesz? Pomyślałem, że może Leon ci powiedział. Ale

sprawiałeś wrażenie, że nie masz o tym pojęcia. Więc uznałem, że może Leon ma to samo co ja, nie chce, żeby ktokolwiek wiedział. Bądźmy szczerzy, to nie jest historia, którą człowiek chce się dzielić z innymi, nie? No więc trzymałem język za zębami. Uznałem, że to Leon powinien zdecydować.

– Powinien mi powiedzieć – stwierdziłem. W gardle czułem kołatanie serca. – Przecież coś bym zrobił.

– Posłuchaj. – Dec nachylił się nad stołem, żeby spojrzeć mi w oczy, i dla podkreślenia wagi swoich słów wycelował we mnie kieliszek. – O nic nie oskarżam Leona, jasne? Wszyscy wiemy, że nic nie zrobił Dominicowi. Leon to porządny gość. Poza tym, powiedzmy sobie jasno, nawet gdyby chciał, to byłoby tak, jakby chihuahua próbował załatwić King Konga.

– Wiem.

– Mówię ci o tym wszystkim, bo chyba powinieneś o tym wiedzieć. Nie? Jeżeli wrócą detektywi, żeby zadać ci więcej pytań.

– Boże, tak. Dzięki. – Zdawałem sobie sprawę, że mój głos brzmi dziwnie, jest napięty i zdyszany, ale nie przejmowałem się, bo były ku temu racjonalne powody. – Nie powiedziałaś im o tym, co?

– Kurwa, nie.

– To dobrze. Jak mówisz, Leon nie dałby rady... Czyli nie ma powodu kierować gliniarzy na fałszywy trop.

Dec z zapalem kiwał głową.

– Aha.

Leon. Nie miałem pojęcia, jak to się ze sobą wiąże, ale się wiązało, na pewno. Leonowi strasznie zależało na tym, żeby nie dopuścić do sprzedaży domu. Nowy właściciel mógł postanowić

ściąć drzewa, a tu: niespodzianka! Leon chciał wyrzucić czaszkę i o wszystkim zapomnieć, Leon reagował na detektywów, jakby usiadł na rozżarzonych węglach. Leon, który tak się odgrażał, że musi wracać do pracy i swojego chłopaka, ciągle tkwił na miejscu, chociaż upłynęło już parę tygodni: nie mógł wyjechać, dopóki wszystko stoi pod znakiem zapytania. Leon miał doskonały powód, żeby chcieć śmierci Dominica. I Leon pamiętałby, że tamtym aparatem robiłem zdjęcia na jego urodzinach, mógł mieć powody do obaw, co się na nich znalazło...

Sean, Dec i Melissa obserwowali mnie z identycznym zaniepokojeniem na twarzach, więc uświadomiłem sobie, jaką muszę mieć minę.

– Powinienem był wiedzieć – powiedziałem.

– Jak? – zdziwił się Sean. – Dominic nie wycinałby tych numerów przy tobie. A jasnowiedzem nie jesteś. Ja też nic nie wiedziałem.

Melissa wsunęła dłoń do mojej leżącej na stole ręki.

– A może Leon jednak z tobą rozmawiał i kazałeś Dominicowi dać mu spokój – powiedziała cicho. – Możesz nie pamiętać.

– Tak. – Parsknąłem krótkim śmiechem. Bardzo wątpiłem w taką możliwość. Leon i jego złośliwe przytyki, że nigdy nie miałem problemów. Leon, dla którego historia z Dominikiem byłaby całkowicie uzasadnionym powodem, żeby mieć do mnie żal i popchnąć gliniarzy w moją stronę. To ja byłem tym, którego słuchano, więc powinienem coś zrobić, powinienem stanąć w jego obronie; dla kogoś takiego jak Leon nie miało znaczenia,

że zupełnie nie wiedziałem, co się dzieje. – Może to i prawda. W najlepszym wypadku.

Ścisnęła moją dłoń.

– Pamięć ci wróci – próbował mnie pocieszyć Sean. – Daj jej trochę czasu. Zresztą chyba już jest dużo lepiej.

– Jest.

– Jest – przytaknęła Melissa, gdy Sean na nią zerknął.

– Przynajmniej raz ten tępy łeb się do czegoś przydał – dorzucił Dec.

– Tamta noc... – musiałem zaczerpnąć powietrza – tamta noc, kiedy to się stało, właściwie wyleciała mi z głowy. Sporo sobie przypomniałem, ale ciągle brakuje sporych kawałków. To mnie doprowadza do szału.

– Zupełnie jak wtedy, kiedy ja miałem wstrząs mózgu – odparł spokojnie Sean. – Pamiętasz tamten mecz ze szkołą Gonzagi? Mieli w drużynie filara z posturą łosia. Zablokowałem go i straciłem przytomność. Dograłem mecz do końca, ale zupełnie nic z niego nie pamiętam.

– Ty – Dec wycelował we mnie palec – przez cały wieczór robiłeś sobie jaja z moich włosów. Bo jesteś głabem. Wiesz, twój chłopak – zwrócił się do Melissy – zauważył, jak podziwiam bardzo piękną kobietę przy sąsiednim stoliku. I chyba trudno się dziwić, prawda? Zwłaszcza że byłem wtedy samotny. Ale on, drąc się na całe gardło, oskarżył mnie o to, że mam implanty włosów...

Krok po kroku – cały czas zwracając się do Melissy, jak gdyby chcieli ją rozbawić tym opowiadaniem – zrekonstruowali dla mnie przebieg całego wieczoru (a przynajmniej większą część:

dyskretnie przemilczeli fakt, że brunetka zerknęła na mnie, nie wspomnieli też o moich kłopotach w pracy). W miarę jak mówili, moja pamięć drgnęła i ożyła – niespokojnie, niemal figlarnie, tu wypełniła szeregiem żywych obrazów jedną lukę, tam dodała jakiś detal, a potem uleciała, zostawiając dręczącą zagadkę w kilku pustych albo zaciemnionych miejscach.

Sean pokazywał palcem Deca.

– ...dokąd mamy pojechać na wakacje, no i Toby i ja chcemy do Tajlandii, a ten przekorny bałwan po prostu musi mieć inne zdanie, więc bez przerwy truje o Fidzi...

Mignęła mi w pamięci scena, jak wymachuję telefonem, pokazując Decowi ekran... „Popatrz, popatrz, facet pisze, że na plażach na Fidzi jest pełno dzikich psów, chcesz, żeby nas zeżarły?” Śmiałem się razem z Melissą, ale każdy przebłysk wspomnień przeszywał mnie jak iskra elektryczna.

Kiedy Sean i Dec relacjonowali przebieg tamtego wieczoru, powoli zacząłem sobie jednak zdawać sprawę, że nic się za tym nie kryje. Liczyłem na to, że znajdę kluczowy fragment, który ułoży w całość wszystkie rozsypane kawałki, a tymczasem usłyszałem tylko opis zwykłego spotkania w pubie, które nie wyróżniało się absolutnie niczym szczególnym, tyle że opowieść przefiltrowana przez świadomość tego, co się stało potem, nabierała rysów złowieszczej zapowiedzi. Co gorsza, tak bardzo skupiłem się na tej nadziei, że zupełnie zapomniałem wziąć pod uwagę własne reakcje na tę historię. Miałem wrażenie, jakby opowiadali o kimś innym, kto dawno temu był mi bardzo bliski, może o ulubionym bracie, tak radosnym, pewnym siebie i niewinnym, że pękało serce, który znał swoje miejsce na

świecie, a teraz zaginął. Pragnienie, by go odzyskać, przypominało siłę fizycznie wysysającą ze mnie wnętrzości i pozostawiającą ziejącą pustkę.

Dziwne, ale ocalił mnie fakt, że sam to na siebie sprowadziłem. Wrażenie wciągania w wir było tak samo silne i okropne jak zawsze, ale po raz pierwszy nie zaatakowało mnie znikąd; miałem je pod kontrolą, wykorzystywałem je dla swoich własnych powodów. Rewelacja o Leonie mogła nie wystarczyć, ale to było coś, początek, i zdobyłem ją sam. Panowałem nad tym wieczorem i było to miłe uczucie. Minęło sporo czasu, odkąd ostatni raz czułem, że potrafię zapanować nad czymś bardziej skomplikowanym niż mikrofalówka.

– No i zapakowaliśmy Deca do taksówki – ciągnął Sean. – Zanim zaczął nam mówić, że nas kocha.

– Akurat. Zrobię to na twoim ślubie, co ty na to? Tylko po to, żeby twoi teściowie i cała nowa rodzina zobaczyli, jak wzbiera w tobie płacz jak w wielkim, pękającym...

– A kto powiedział, że jesteś zaproszony?

– Jesteśmy twoimi друзbami, fiucie. Mam to zrobić przez Skype'a?

– Tak by było najlepiej...

– Pojechaliście w końcu do Tajlandii? – spytałem. – Czy na Fidżi?

– Nie – odparł Dec. – Ten duży dureń – wskazał na Seana – chciał na ciebie zaczekać. Ja byłem za tym, żebyś został i siedział tu na dupie, tyle że...

– Powiedział, że nie ma kasy – wtrącił Sean. – Czyli że chce zaczekać na ciebie, ale nie ma odwagi się przyznać. Pojedziemy

w przyszłym roku.

– Jeżeli Audrey wypuści cię z domu – zauważył Dec.

– Wtedy będzie już zachwycona, że może się go pozbyć – powiedziałem. – Pewnie sama wypchnie go za drzwi. – Wino do spółki z armaniakiem uderzyło mi do głowy. Poza tym w intensywnym złotym blasku świec wyglądali jak para ponadczasowych i niezłomnych bohaterów jakiejś legendy. Miałem ochotę sięgnąć przez stół i uścisnąć ich ramiona, poczuć ich ciepło i twardość. – Zdrówko, chłopaki! – Uniosłem kieliszek. – Dzięki. Za wszystko.

– Jezu – mruknął z niesmakiem Dec. – Następny.

\* \* \*

– Dobrze było się z nimi zobaczyć – powiedziała Melissa, kiedy sprzątaaliśmy po wyjściu Seana i Deca. Było późno, świece wypaliły się do obrosłych stalaktytami ogarków, z radia nastawionego na stację grającą standardy jazzowe sączył się głos wokalisty, ale na tyle cicho, żebyśmy mogli usłyszeć wołanie Hugo, gdyby nas wzywał. Po ogrodzie hulał niespokojny wiatr. – Prawda?

– Hm? – Właśnie ładowałem zmywarę, nucąc piosenkę z radia. Ze zmęczenia i od alkoholu powinienem się ślaniać, ale czułem się jak na speedzie. Równocześnie zastanawiałem się, jak sprowadzić Leona do Ivy House i co mu powiedzieć, gdy już tu będzie. Jeżeli w jakiś sposób stał za tym wszystkim, w głębi duszy byłem pod wrażeniem: nie podejrzewałbym go o zapal organizacyjny, by zaplanować coś tak skomplikowanego. Nie

potrafiłem tylko zrozumieć, dlaczego do włamania doszło akurat o takiej porze. Gdyby chodziło mu o aparat fotograficzny, dlaczego nie powiedział swoim znajomym bydlakom, żeby weszli do mnie w ciągu dnia, gdy byłem w pracy i mogli w spokoju przetrząsnąć cały dom? Chyba że sami postanowili zrobić to po ciemku, bo w środku nocy łatwiej przecież wynieść wielki telewizor... albo Leon chciał, żebym na nich wpadł i przeżył wstrząs, może nawet żebym został pobity. Może miał to być jakiś wredny akt sprawiedliwości, *zobaczmy, jak ci się spodoba...* – No, było super.

– Sean bardzo się cieszy na ślub, prawda? Próbował zgrywać zblazowanego, ale to cudowne. A Dec po tej historii z Jenną jest w lepszej formie, niż myślałam. – Melissa bardzo starała się zaprzyjaźnić z Jenną, ale nawet ona miała granice cierpliwości.

– Jest mu teraz znacznie lepiej. I w głębi serca o tym wie.

Melissa zgarnęła do ręki okruchy z obrusu.

– A ty dobrze się bawiłeś?

Pytała o to już drugi raz.

– Jasne – rzuciłem wesoło. Dostrzegłem jej przelotne spojrzenie. – A co, nie wyglądałem?

– O tak! Prawie cały czas. Tylko... ta historia z Dominikiem i Leonem.

– Hm. – Skrzywiłem się: smutek, ale nie zdenerwowanie, wszystko z właściwej perspektywy. – Tak. Paskudna sprawa. Tylko że to było tak dawno temu. Zresztą chyba mieliście rację: zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie będę się za to biczować.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się przelotnie, wciąż jednak miała maleńką zmarszczkę troski między brwiami. Zbierając bryłkę

wosku z obrusu, odezwała się po chwili: – Zadawałeś Seanowi i Decowi mnóstwo pytań.

Wstawiałem do zmywarki kieliszki w szybkim, równym rytmie; nawet chwyt lewej ręki wydawał się silniejszy.

– Tak? Może.

– Dlaczego?

– Uznałem, że pamiętają Dominica o wiele lepiej niż ja. I najwyraźniej miałem rację.

– Tak, ale dlaczego to ma znaczenie? Po co chcesz tyle o nim wiedzieć?

– Szukam jakiejś wskazówki, która wyjaśniłaby mi, o co tu chodzi – odpowiedziałem, jak mi się wydawało, dość rozsądnie. – Skoro zostaliśmy w to wplątani.

Melissa raptownie uniosła wzrok i spojrzała mi w oczy.

– Myślisz, że coś wiedzą o tej historii? Sean i Dec?

– Nie w tym sensie. – Zaśmiałem się, lecz ona nie wyglądała na rozbawioną. – Ale tak, może wiedzą o czymś, tylko nie zdają sobie sprawy, że to coś może znaczyć. Pewnie nie, ale warto spytać, prawda?

– Tym zajmuje się policja.

– Jasne. Ale oni mogą nam nie zdradzić, czego się dowiedzieli, albo dowiedzą się za późno. Hugo chce wiedzieć, uważa, że ma do tego prawo, tak mówi. Można go zrozumieć.

Wyrzuciła garść okruchów do śmieci, nie patrząc na mnie.

– Chyba tak – przyznała.

– Poza tym może uda mi się dowiedzieć czegoś, czego policja nie będzie mogła ustalić.

Chwila ciszy.

– Czyli zamierzasz dalej pytać. Próbować się dowiedzieć, co się stało.

Wzruszyłem ramionami.

– Naprawdę nie zastanawiałem się nad tym.

Jednym płynnym ruchem zdjęła obrus ze stołu i odwróciła się do mnie.

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – oznajmiła mi stanowczo.

– Co? – Tego się nie spodziewałem. Przeciwnie, sądziłem, że mogę liczyć na jej pełne wsparcie. Jeśli tylko Hugo sobie tego życzy, jeśli tylko to mnie interesuje i dodaje mi skrzydeł... – Czemu nie?

– Być może Dominic został zamordowany. To nie jest zabawa. Detektywi są zawodowcami, to jest ich zadanie. Niech oni się tym zajmują.

– Kochanie, to nie jest Agatha Christie. Nie zostanę zakłuty w bibliotece nożem do papieru za to, że za bardzo zbliżyłem się do prawdy.

Nie uśmiechnęła się.

– Nie o to się martwię.

– W takim razie o co?

– Nie wiesz, czego się możesz dowiedzieć.

– Właśnie chyba o to w tym chodzi. – Nadal nie odwzajemniała mojego uśmiechu. – Na przykład czego?

– Nie wiem. Ale czy to może być dla ciebie coś przyjemnego? Tobo... – jej ręce zacisnęły się na obrusie – twój stan tak bardzo się poprawił. Wiem, jakie to trudne, ale jest coraz lepiej i bardzo się cieszę. A teraz to... Nie wydaje mi się, żeby to cię doprowadziło do czegoś dobrego. Nawet dzisiaj widziałam, jak

się zdenerwowałeś... Najbliższy czas nie będzie łatwy, mówię o Hugo. – Próbowałem coś powiedzieć, ale nie dała mi dojść do słowa. – I to jest w porządku... nie... nie jest w porządku, ale to się po prostu dzieje i poradzimy sobie. Zrobimy wszystko, co będzie trzeba. Ale jeżeli pakujesz się w coś świadomie, chociaż wiesz, że to cię porani, jeżeli sam to sobie robisz, to coś zupełnie innego, Toby. I to nie jest w porządku. Naprawdę wołałabym, żebyś dał sobie z tym spokój.

Spojrzałem na nią: stała krucha i poważna pośrodku sypiącej się kuchni mojego wujka, ściskając jego stary, wytarty obrus, za jej plecami w ciemnych szybach drzwi na taras odbijały się migoczące płomyczki świec. W myślach widziałem tylko siebie, jak przynoszę jej rozwiązanie całej zagadki, nadziane na trzymanej wysoko włóczni, i triumfalnie składałem u jej stóp. Ta wizja przeszła mnie jak pocisk smugowy, jak jeszcze jeden potężny i cudowny łyk tamtego armaniaku. To był jedyny sposób, żeby... może nie odwdzińczyć się, bo nic nie mogłoby jej tego wynagrodzić, ale przynajmniej usprawiedliwić długie miesiące jej cierpliwości, lojalności, oddania, niezmiernie i zupełnie nieuzasadnionej szlachetności.

– Kochanie – powiedziałem, zostawiając resztę naczyń i podchodząc do niej. – Wszystko będzie dobrze. Przysięgam.

– Proszę.

– Nie zamierzam się tym zadrećcać. Jestem tylko ciekawy. I bardzo chciałbym znaleźć odpowiedź dla Hugo. Wiem, że pewnie niczego się nie dowiem, ale co tam.

Melissa wyglądała na prawie przekonaną, ale tylko prawie. Radio grało właśnie *Little Green Apples*, głos Deana Martina

zabarwiał radosne słowa jakimś smutkiem i nostalgią; to była piosenka na długą ciemną drogę daleko od domu. Nagle zapragnąłem poczuć Melissę blisko siebie.

– Chodź. – Wyjąłem z jej rąk obrus i rzuciłem z powrotem na stół. – Zatańcz ze mną.

Po chwili głęboko odetchnęła, a jej ciało przytulone do mnie wyraźnie się rozluźniło. Wziąłem ją w objęcia i zaczęliśmy się wolno kołysać. Świece mrugały i gasły jedna po drugiej, wiatr poruszał niewidocznymi koronami drzew, szumiąc jak morze i lekko trącając drzwi.

Moglibyśmy wziąć ślub w tym ogrodzie, dobry architekt zieleni przywróciłby mu blask w ciągu tygodnia. Od Seana wiedziałem, że trzeba zawiadomić o ślubie kilka miesięcy wcześniej, ale Hugo nie mógł tak długo czekać; wiedziałem, że jeśli się o tym dowie, wytrzyma, a może mają tam specjalne zwolnienie w nagłych wypadkach? Matka płakałaby przez całą uroczystość, ojciec uśmiechałby się pierwszy raz od wielu miesięcy, Sean i Dec z satysfakcją robiliby sobie ze mnie jaja, Zach znalazłby sposób, żeby rozwalić tort weselny, Carsten okazałby się dwumetrowym gościem w typie wujka Festera, który wygłasza ponure uwagi z niezrozumiałym akcentem; Miriam odprawiłaby jakiś rytuał z czakrami, żeby zapewnić nam długie i szczęśliwe małżeństwo, i wszyscy tańczylibyśmy do świtu. Moglibyśmy zaprosić detektywów, ślubnej Martina mógłby się nie spodobać wystrój wewnątrz, a Rafferty sprawiał wrażenie kogoś, kto dość wcześnie zniknie z czyjąś kuzynką w drugiej linii... Melissa westchnęła z ustami wtulonymi w moje ramię. Zanurzyłem twarz w jej włosach.

Wreszcie detektywi wrócili. Zjawili się następnego ranka, kiedy zmagalem się z grzejnikami. Nastaly jesienne chłody, Hugo bardzo źle znosił zimno i wszystkie kaloryfery trzeba było odpowietrzyć, ale oczywiście nikt nie wiedział, gdzie jest przeznaczony do tego klucz, walczyłem więc za pomocą klucza francuskiego i starych ręczników, pokryty warstwą kurzu i WD-40. Stojący na progu Rafferty i Kerr byli odprasowani i gładko ogoleni, wypucowani na błysk i gotowi na podbój świata.

– Dzień dobry – przywitał mnie wesoło Kerr. – Pewnie myślałeś, że cię porzuciliśmy, co? Tęskniłeś za nami?

– Tylko żartuje – wtrącił Rafferty. – Nikt nigdy za nami nie tęskni. Przyzwyczailiśmy się już do tego. Przestało nam się nawet robić przykro.

– A – powiedziałem po idiotycznej chwili milczenia. – Proszę wejść. Wujek jest na górze i pracuje. Zaraz mu...

– Och, nie. – Rafferty wytarł buty o wycieraczkę. – Nie przeszkadzaj mu. Zajmiemy ci tylko parę minut. Zanim się spostrzeżesz, już nas nie będzie. Możemy wejść do kuchni?

Zaproponowałem im kawę albo herbatę, ale stanęło na wodzie. Zmyłem brud z rąk i usiadłem przy stole naprzeciwko nich, podczas gdy Kerr wyjął notes, a Rafferty oglądał ogród – w którym walały się zwiędłe liście, blade słońce odbijało się od

skrawków plastikowej folii naniesionych w nocy przez wiatr – i wygadywał bzdury o tym, jak świetnie wyglądają nowo posadzone rośliny. Na widok gliniarzy przez całe moje ciało przebiegł dobrze znany dreszcz, tym razem jednak nie czułem się sparaliżowany. Skoro wrócili, to znaczy, że mają coś nowego, a jeśli mi się poszczęści i dobrze to rozegram, zdradzą mi co.

– Chcieliśmy tylko coś potwierdzić – odezwał się Rafferty, kiedy już wygodnie siedzieliśmy przy stole. – W zeszłym tygodniu zabraliśmy to ze sobą, pamiętasz? Mówiłeś, że to twoje.

Przesunął palcem po ekranie telefonu i pokazał mi zdjęcie starej czerwonej bluzy z kapturem, rozłożonej obok papierowej torby na jakiejś białej powierzchni. Ktoś przyczepił do bluzy kartonik z numerem, co wyglądało groźnie i zarazem idiotycznie.

– Być może – przyznałem. – To znaczy miałem czerwoną bluzę z kapturem, ale nie jestem pewien, czy akurat...

– Twoi kuzyni twierdzą, że miałeś właśnie taką.

– Chyba tak. Wiele osób ma czerwone bluzy z kapturem. Nie mogę zaświadczyć ze stuprocentową pewnością, czy ta była...

– Chwileczkę – powstrzymał mnie Rafferty, zabierając telefon. – Może to coś wyjaśni. – Przesunął zdjęcie i znowu pokazał mi ekran.

Fotografia przedstawiała mnie siedzącego w stokrotkach, opartego plecami o pień drzewa, z jakąś puszką w ręce i uśmiechającego się do obiektywu. Wyglądałem bardzo młodo – szczupły, z opadającymi na oczy włosami, o jasnym, szczerym spojrzeniu – musiałem na sekundę zamknąć oczy. Miałem ochotę krzyknąć na tego chłopaka, żeby uciekał jak najszybciej, zanim go dopadnę i będzie za późno.

– To ty, prawda? – upewnił się Rafferty.  
– Tak. Skąd to...  
– Kiedy twoim zdaniem zrobiono to zdjęcie?  
– Tu, w ogrodzie, latem. Być może tamtego lata po skończeniu szkoły. Skąd to wzię...  
– Zgadzałyby się data na zdjęciu. Spójrz, co tutaj masz na sobie.

Dżinsy, biały T-shirt i rozpiętą czerwoną bluzę z kapturem.

– Tak.  
– Przypuszczasz, że to ta sama bluza, którą zabraliśmy?  
– Nie wiem. Możliwe.  
– Kieszenie są tego samego kształtu – zauważył Rafferty, pochylając się, by przesunąć obydwa zdjęcia. – Ta sama szerokość mankietów. Taka sama skórzana przywieszka na suwaku. Takie samo okrągłe logo z przodu po lewej. Taka sama lamówka przy kapturze... Widzisz w środku? Biała z czarnym paskiem?

– Tak – przyznałem. – Wygląda na to, że ta sama.

– A jednak nie do końca – włączył się Kerr. – Wytęż wzrok i znajdź różnicę.

Wiedziałem już, że nie znajdę tego, co mieli na myśli. Czekali cierpliwie, podczas gdy porównywałem zdjęcia, przesuważąc palec tam i z powrotem i z sekundy na sekundę czując się coraz głupiej.

– Nie mam pojęcia – rzuciłem w końcu, oddając telefon Rafferty’emu.

– Nie? – Obracał go zręcznie w dłoni jak magik talię kart. – Nie ma sprawy. To tylko drobiazg. Wydaje mi się, że możemy

potwierdzić, że to twoja bluza, prawda?

– Zdaje się... prawdopodobnie.

Kerr zanotował tę informację.

– To nie jest żadna pułapka – powiedział z rozbawieniem Rafferty. – Nie zamierzamy cię aresztować za posiadanie niedozwolonej bluzy. Twój kuzyni zachowywali się tak samo: nie wiem, być może to jego, być może nie, jest na świecie tyle bluz, sprawdziliście, ile sztuk tego modelu sprzedano w Irlandii... Bardzo się o ciebie troszcza, prawda?

Nie użyłbym tego słowa, przynajmniej wtedy.

– Chyba tak – odparłem.

Wycelował we mnie palec.

– Tylko nie wmawiaj mi, że to nic wielkiego. To wspaniała sprawa. Fajnie mieć przyjaciół, ale gdy przychodzi co do czego, liczą się przede wszystkim więzy krwi. Na przykład ty. Kiedy wujek cię potrzebuje, zaraz się wprowadzasz, żeby się nim zaopiekować. Właśnie o to chodzi: żeby trzymać się rodziny.

– Robię, co mogę – bąknąłem kretyńsko.

Rafferty z aprobatą pokiwał głową.

– Tak też mówią twoi kuzyni. To wiele dla nich znaczy, że tu mieszkasz. Zdajesz sobie z tego sprawę? Leon ma lekkie wyrzuty sumienia, że ci tego nie powiedział, ale naprawdę to docenia. Zresztą nie są zaskoczeni, twierdzą, że zawsze bardzo się o nich troszczyłeś.

Wydawało mi się to mało prawdopodobne, zwłaszcza by Leon mówił coś takiego... Chociaż kto wie, w co naprawdę grał.

– Może. Staram się.

– Brawo. – Pstryknął palcami, jakby coś sobie przypomniał. – Skoro mowa o opiece nad twoim wujkiem, miałem zamiar ci powiedzieć: powinieneś rzucić okiem na zabezpieczenia domu.

– Co? Dlaczego? – Przeszył mnie zwierzęcy popłoch: aluzje Martina o zemście, wyłamany zamek w moich drzwiach na patio, otwartych na oścież...

– Ach, nie, nie przypuszczamy, żeby ktoś zamierzał cię napaść – pospieszył z wyjaśnieniem Kerr. – Ale w tym drzewie oprócz ludzkich szczątków znaleźliśmy masę innych rzeczy. Mnóstwo żołądzi, orzechów laskowych... Pewnie macie tu teraz kilka wkurzonych wiewiórek, które nie mogą zrozumieć, co się stało z ich zapasami. Parę ołowianych żołnierzyków... Miałeś takie w dzieciństwie?

– Nie sądzę. – Poziom adrenaliny opadał, zostawiając po sobie lekkie mdłości.

– Jezu! – Rafferty się uśmiechnął. – Zdradzam, ile mam lat. Musiały należeć do twojego taty albo jednego z wujków... wszyscy pamiętają, że w dzieciństwie chowali tam różne rzeczy. Żołnierzyki były razem, zawinięte w kawałek szmaty, być może były w płóciennej torbie, która zgniła. Wygląda na to, że jeden z nich ukrywał przed pozostałymi trzema braćmi swoje najlepsze rzeczy. Muszę ustalić, komu je oddać. Jest jeszcze fura kulek do gry. I to. Wiesz, co to jest?

Znowu telefon. To samo białe tło, długi mosiężny klucz, pokryty zaskorupiałą ziemią i zawieszony na metalowym breloku z czarną sylwetką owczarka niemieckiego.

– To klucz do wejścia od ogrodu – powiedziałem. – W każdym razie tak wygląda. Ten, który zaginął tamtego lata. Też był

w drzewie?

– Tak – potwierdził Rafferty. – I pasuje do tych drzwi. Właśnie o tym mówię: kiedy zginął klucz, twój wujek powinien był wymienić zamek. Ponieważ nie zawracał tym sobie głowy, nie wiadomo, ile takich kluczy ktoś mógł dorobić. Jeszcze mu tylko brakuje włamania.

– No tak – rzuciłem. – Dobrze, zajmę się tym.

– Dobra myśl. Nie żebym się skarżył... Kiedy się okazało, że klucz pasuje do zamka, znacznie ułatwiło nam to zadanie. Ciekawe jest jednak... – pochylił się, opierając łokcie na stole i przechodząc do rzeczy – ...ciekawe jest miejsce, w którym był klucz. Ubranie Dominica było w strzępach... czas, pleśń, zwierzęta i owady zrobiły swoje, zmieniając je w garść szmat. Klucz był przy jego nodze, ale nie sposób ustalić, czy tkwił w kieszeni dżinsów i wypadł, kiedy materiał przegnił, czy w ogóle go przy nim nie było. Sam rozumiesz, na czym polega różnica.

Obaj przyglądali mi się badawczo i z zaciekawieniem, czekając, czy rozwiążę zagadkę. Na twarzy Kerra igrał kpiący uśmieszek.

– Oczywiście, że rozumiem – oświadczyłem trochę za głośno. Zaskoczeni unieśli brwi. Zdusiłem w sobie kipiącą złość i powiedziałem, wymawiając jak najwyraźniej każde słowo: – Jeżeli klucz trafił do drzewa oddzielnie, to znaczy, że w chwili śmierci Dominica był tam ktoś jeszcze... chyba że upuścił klucz przypadkiem, kiedy z jakiegoś powodu wspiął się na drzewo, więc wszedł do dziury, żeby go poszukać. Ale jeżeli miał go

w kieszeni, to by wskazywało, że dostał się do ogrodu i do drzewa bez niczyjej pomocy.

– Świetnie – pochwalił mnie z uśmiechem Rafferty.

– Hm – odchrząknął Kerr. – Doszedłeś do tego szybciej niż nasz kolega Scanlon, ten, który podejrzewał satanistów kanibali, pamiętasz? Tłumaczyłem mu to trzy razy i ciągle nie kumał.

*Sądzi pan, że ktoś zabił Dominica, powiedziałem do Martina, a ten odparł: Tak w tym momencie przypuszczają chłopaki.*

– Czyli mógł się tam dostać sam? – spytałem.

Rafferty wzruszył ramionami, drwiąco opuszczając kącik ust.

– Sądząc po szczątkach, obie możliwości są prawdopodobne. Tkwił w masie błota i innego paskudztwa, więc albo ktoś próbował go przykryć, albo to po prostu nagromadzone przez dziesięć lat liście i Bóg wie co jeszcze. Nie można ustalić, czy trafił tam żywy, czy martwy. Jeśli martwy, to musiał umrzeć krótko wcześniej, zanim nastąpiło stężenie pośmiertne, bo inaczej nikt nie zdołałby go wpakować do tej dziury. Niestety, patolog nie potrafi stwierdzić niczego więcej. Na szkielecie nie znaleziono niezagojonych uszkodzeń: nie został zatłuczony na śmierć, a jeżeli zginął od strzału albo ostrego narzędzia, to żadna kość nie została nawet draśnięta. Nie można wykluczyć przedawkowania narkotyków, zwłaszcza że wspomniałeś o jego eksperymentach... Nie przejmuj się, nie byłeś jedyny, wielu jego kumpli mówiło to samo. – Uniósł rękę w geście, który miał mnie pocieszyć albo uciszyć, choć w ogóle nie otworzyłem ust. – Poza tym tkwił tam w dziwnej pozycji. Miał zgięte nogi, ręce przed sobą, przyciśnięte do ciała, kręgi szyjne ułożone w łuk, jakby miał nisko pochyloną głowę, w każdym razie tyle udało się

ustalić. Niektóre kości trochę się obsunęły, ale większość trzymała się całkiem niezłe. To mogła być asfiksja pozycyjna, do której dochodzi, kiedy człowiek przyjmuje pozycję uniemożliwiającą mu normalne oddychanie. Może wlaź tam, żeby poszukać klucza, jak powiedziałaś, a może czegoś się naćpał, po czym nie mógł się wydostać i po prostu się udusił. W dziurze było ciasno, zwłaszcza dla takiego dryblasza.

Umilkł i czekał, żebym coś powiedział albo żeby te obrazy wytrąciły mnie z równowagi.

– Jezu – mruknąłem, by wyświadczyć mu uprzejmość.

– Albo umarł bez niczyjej pomocy – ciągnął Rafferty – tylko ktoś pomógł mu się dostać do drzewa. Powiedzmy, że przedawkował. Osoba, która mu towarzyszyła... chociaż niekoniecznie, mogła go po prostu znaleźć, gdy było za późno... wpadła w panikę. Przerazona, że z powodu prochów trafi za kratki, że zostanie oskarżona o jego śmierć. I robi coś głupiego... bo ma kilkanaście lat, a spanikowane nastolatki, powiedzmy sobie wprost, na ogół robią głupstwa... chowa ciało i ma nadzieję, że sprawa przyschnie.

– Idioci – stwierdził Kerr. Rysował w notesie coś, co przypominało herb jakiegoś hrabstwa. – Ukrycie zwłok to przestępstwo. Tyle że prawdopodobnie parę lat temu się przedawniło i ma znacznie mniejszą wagę niż zabójstwo.

– Jeżeli masz jakiś powód przypuszczać, że tak mógł wyglądać przebieg zdarzeń – Rafferty spoglądał na mnie ze złotym błyskiem oczu, który mnie zaskoczył – jakikolwiek powód, choćby niejasne przeczucie, musisz mi o tym teraz powiedzieć. Dzisiaj. Bo w tym momencie wszyscy podchodzą do sprawy

z otwartą głową. Jeżeli ktoś nam wyjaśni, że chodziło o przedawkowanie i parę przerażonych dzieciaków, naprawdę będziemy gotowi wziąć to w rachubę. Ale jeśli sprawa przeciągnie się jeszcze trochę i moi chłopcy wbiją sobie do głów, że to morderstwo? Znacznie trudniej będzie ich przekonać, że było inaczej.

Mówił tak spokojnie i rozsądnie – jakbyśmy wszyscy byli po tej samej stronie i wspólnie pracowali nad rozwiązaniem tajemnicy – że przez chwilę naprawdę żałowałem, że nie mogę spełnić jego prośby.

- Nie wiem – powiedziałem. – Nie mam pojęcia.
- Na pewno? Bo to nie pora na mydlenie oczu.
- Nie mydlę nikomu oczu. Nie wiem.

Rafferty milczał, na wypadek gdybym chciał zmienić zdanie. Nie zmieniłem, więc westchnął z żalem.

– No dobrze. Wobec tego, jak powiedziałem, nie mamy nic, żeby stwierdzić, czy to był wypadek, samobójstwo czy morderstwo. Ale znaleźliśmy jeszcze to. Przy jego prawej ręce. – Znowu przeciągnął palec po ekranie i położył telefon przede mną na stole.

Białe tło, w rogu przymiar kątowy. Pośrodku długi i splątany czarny zawijas. Dopiero po chwili zorientowałem się, co to jest: jakiś sznurek z zawiązanymi na obu końcach pętlami.

- Co to jest? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

- Dokładnie nie wiadomo. Jakies hipotezy?

Pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła na myśl, były tworzone przez nas w dzieciństwie skomplikowane sznurkowe konstrukcje

do transportu listów i zaopatrzenia, wiele godzin wspinaczki na drzewa, kłótni i prób. Raz złamała się gałąź i cała nielegalna tarta z jabłkami wylądowała prosto na głowie Susanny...

– Kiedy byliśmy dziećmi, rozciągaliśmy sznurki przez ogród – powiedziałem. – Żeby przenosić rzeczy między oknami, drzewami i naszym namiotem. Być może któryś wpadł do tej dziury?

Kerr wydał cichy dźwięk przypominający prychnięcie, ale gdy zerknąłem na niego, zawzięcie gryzmolił w notesie.

– Niewykluczone – zgodził się uprzejmie Rafferty. – Tyle że gdyby to trafiło tam wiele lat przed śmiercią Dominica, można by się spodziewać, że będzie pod nim. Nie obok jego ręki. Nie sądzisz?

– Chyba... pewnie tak.

– Ja bym tak sądził. Jakies inne domysły?

– Może... – Nie chciałem tego mówić, ale samo się narzucało: dwie pętle... – Nie wiem, to brzmi niedorzecznie, ale może to kajdanki? Może ktoś próbował skrępować tym Dominica? Albo on zamierzał kogoś zwięzać?

– Nieźle – odparł Rafferty, pocierając w zamyśleniu ucho i przechylając głowę, by przyjrzeć się fotografii. – Między tymi pętlami jest jednak około sześćdziesięciu centymetrów sznurka. Niezbyt skuteczna metoda skrępowania. Chyba że...

Raptownie uniósł głowę – eureka! – i wymierzył we mnie palec.

– Może miał tym obwiązać kogoś w pasie? – podsunąłem. – Albo przywiązać do drzewa czy czegoś innego?

Rafferty westchnął z rezygnacją.

– Też tak przez chwilę myślałem. Ale kiedy przyjrzałem się jeszcze raz... Widzisz te węzły? Żeby kogoś skrępować, należałoby użyć ruchomych pętli, prawda? Zaciskałyby się, gdyby się szamotał. A to są węzły kłusownicze. Bardzo mocne, nie przesuną się, nie rozwiążą nawet na śliskim sznurze, nie rozluźnią się przy braku obciążenia, nie obniżą wytrzymałości sznura. Komuś zależało na tym, żeby ten sznurek wytrzymał duże napięcie, ale nie chciał, żeby pętle się zaciskały.

– Czyste wariactwo, czego się można nauczyć w tej robocie. – Kerr nachylił się, żeby popatrzeć. – Nigdy nie słyszałem o węźle kłusowniczym.

– Musisz spędzać więcej czasu na wodzie – odparł z uśmiechem Rafferty. – Nauczyłem się wiązać węzeł kłusowniczy, zanim skończyłem osiem lat. Żeglowałeś kiedyś, Toby?

– Trochę. Wujek Phil i ciotka Louisa mają łódź, pływaliśmy z nimi, gdy byliśmy dziećmi, ale nigdy mnie to nie wciągnęło... – Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. – No więc co to jest?

– Nie masz już żadnych innych podejrzeń?

– Nie. Skończyły mi się pomysły.

– Jak powiedziałem, jest za wcześnie na jednoznaczne wnioski. Ale osobiście... – Rafferty delikatnie poprawił telefon na stole, by leżał w idealnie równoległej linii do krawędzi blatu – ... osobiście sądzę, że to garota własnej roboty.

Utkwiłem w nim wzrok.

– Każdą pętlę nakłada się na dłoń. – Uniósł ręce i zacisnął je w pięści. – Potem krzyżuje się ramiona w ten sposób. A potem... –

Ni stąd, ni zowąd zerwał się z miejsca jak pantera, przypadł do swojego kolegi od tyłu, zarzucił mu na szyję wyimaginowany sznurek i gwałtownym ruchem rozsunał pięści.

Kerr złapał się za gardło, otworzył usta i wybałuszył oczy. Cała scena była tak zdumiewająca i brutalna, że zanim zdążyłem się opanować, odskoczyłem z krzesłem od stołu, omal nie przewracając się na bok.

– I jeżeli uda ci się powalić go do tyłu – ciągnął Rafferty, zwracając się do mnie nad głową partnera, nadal zaciskając pięści i napinając ramiona – tym lepiej. Wystarczy kopniakiem z tyłu podciąć kolana albo mocno pociągnąć – odgrywał całą pantomimę przy czynnym udziale Kerra – i pada na ziemię, zahacza brodą o sznurek i całym ciężarem ciała zwiększa nacisk. A potem raz, dwa...

Kerr bezwładnie zwiesił głowę i wystawił język.

– Koniec – ogłosił Rafferty. Opuścił ręce i spokojnie wrócił na krzesło. – Szybko, cicho i skutecznie. Ofiara nie zdąży nawet zawołać o pomoc.

– No i nie ma krwi – dodał Kerr, sięgając po szklankę z wodą – jeżeli sznurek jest dość gruby. Drut przeciąłby gardło, byłoby dużo sprzątanina, a taki sznurek po prostu odcina dopływ powietrza. Może trwa to odrobinę dłużej, ale na dłuższą metę oszczędza kłopotów.

– Najlepsze w tym wszystkim jest to – kontynuował Rafferty – że nie musisz być wyższy ani silniejszy od ofiary. To może być chłop jak byk, ale jeśli go zaskoczysz i masz w miarę sprawną górną połowę ciała, facet ma przesrane.

Obaj uśmiechnęli się do mnie z drugiej strony stołu.

– Słowo daję, dziwię się, że ludzie nie duszą się nawzajem garotą każdego dnia tygodnia – skwitował Rafferty. – To bułka z masłem.

– Ale... – wykrztusiłem. Serce tłukło mi się w piersi jak dzięcioł, czułem je w gardle. – Przecież nie wiecie na pewno, że to – wskazałem na zdjęcie – ma cokolwiek wspólnego z... z Dominikiem. To może pochodzić z czasów naszego dzieciństwa. Może zaczepiło się o... o coś w dziurze...

Rafferty zastanawiał się nad tym, obracając w palcach telefon i przyglądając mu się spod ściągniętych brwi.

– Uważasz, że to prawdopodobne? – spytał w końcu.

– W każdym razie bardziej prawdopodobne niż... garota. Nie miałem pojęcia o niczym, co mówiliście. Większość ludzi nie ma pojęcia. Jak ktoś w ogóle mógłby na to wpaść?

– Rzeczywiście – zgodził się Rafferty, kiwając głową. – Słusznie. Jest jednak pewien problem z wersją, że to fragment z waszych dziecięcych zabaw.

Znowu wziął telefon i wykonywał spokojne, oszczędne ruchy długimi palcami.

– Widzisz?

Ja oparty o pień drzewa, z radosnym uśmiechem od ucha do ucha. Rafferty postukał w ekran.

– Bluza ma sznurek do ściągania kaptura. Czarny, wygląda na linkę spadochronową. A tu...

Przeciągnął zdjęcie w bok. Rozłożona na białym stole bluza, którą zabrali.

– Zauważyłeś coś?

Czekali, dopóki nie powiedziałem:

– Nie ma sznurka.

– Nie ma. Natomiast... – ruch palca i na ekranie ukazał się splątany kawałek sznurka – ...czarna linka spadochronowa. Długość taka jak typowego sznurka do ściągania kaptura.

Zapadła cisza. Coś się stało z powietrzem wypełniającym kuchnię: wydawało się namagnesowane, naładowane, brzęczało jak mikrofalówka. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że z jednej z osób z kręgu podejrzanych stałem się podejrzanym.

Rafferty i Kerr przyglądali mi się spokojnie i wyczekująco, bez natarczywości, jakby mogli czekać cały dzień, by usłyszeć wszystkie te fascynujące rzeczy, które mam im do powiedzenia.

– Czy muszę z wami o tym rozmawiać? – spytałem.

– Oczywiście, że nie – odparł zdziwiony Rafferty. – Masz prawo nic nie mówić, jeżeli nie chcesz, ale wszystko, co powiesz, zostanie zapisane i może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym. W każdej chwili możesz nam kazać się odpieprzyć. Tylko po co?

„Jeżeli jakiegokolwiek pytanie wywoła waszą niepewność... – powtarzał nam wszystkim mój ojciec, powtarzał wujek Phil. – Jeżeli pojawi się chociaż cień możliwości, że mogą was o coś podejrzewać, jeżeli pouczą was, jakie prawa wam przysługują, natychmiast przestańcie mówić i dzwońcie do któregoś z nas”. Ale jeżeli ci dwaj mogli mi jeszcze coś zdradzić, wszystko jedno co, musiałem to wiedzieć.

– Bo z tego, co mówicie, wynika, że przypuszczacie, że to ja zabiłem Dominica – odparłem. – A nie zabiłem. W ogóle go nie tknąłem.

Rafferty pokręcił głową.

– Nie twierdzę, że go zabiłeś. Twierdzę, że został zabity sznurkiem z twojej bluzy. Przecież widzisz, że chcemy posłuchać, co o tym sądzisz.

Zakręciło mi się w głowie, ogarnęło mnie poczucie nierzeczywistości, jak gdyby podłoga pod moimi stopami się zdematerializowała, i zakołysałem się w tym brzęczącym powietrzu.

– Ale... – wyjąkałem. – Ale to wszystko domysły. Nie wiecie, czy ten sznurek pochodzi z mojej bluzy. Nie wiecie, czy miał być użyty jako ga... garota. Nie wiecie, czy ktoś udusił nim Dominica. A nawet jeżeli tak, to nie znaczy, że to byłem ja. Bo to nie byłem ja.

– Racja. – Rafferty pokiwał głową. – To wszystko prawda. Niczego nie wiemy na pewno, nie na tym etapie. Na szczęście dla nas wszystkich większość tych rzeczy da się udowodnić. Być może trochę to potrwa...

– Już przycisnąłem laboratorium – zwrócił się do niego Kerr starannie ustawionym półgłosem. – Powiedzieli, że prawdopodobnie dadzą radę w tym tygodniu.

– Świetnie – rzucił Rafferty. – Czyli nie mamy aż tyle czasu. Chodzi o to, że jeżeli ten sznurek został mocno zaciśnięty na szyi Dominica, to na środkowym odcinku zostały komórki jego naskórka. Czyli DNA. Po dziesięciu latach w wilgoci oczywiście uległy rozkładowi, ale mamy pierwszorzędných techników, potrafią je zbadać, potrzebują tylko trochę więcej czasu. Jeśli ktoś ciągnął za te pętle, to też zostawił na nich ślady swojego naskórka.

– Zaraz – powstrzymałem go. Chciałem przez sekundę pomyśleć, nie widząc wpatrzonych we mnie oczu gliniarzy. Miałem ochotę poprosić o przerwę na papierosa. – Chwileczkę. Jeżeli to rzeczywiście sznurek z mojej bluzy, to przecież i tak będą na nim komórki... komórki mojego naskórka. Na końcach. Tam gdzie są zawiązane pętle.

– Poza tym – ciągnął Rafferty, nie zważając na moje słowa – dotarliśmy do producentów tej bluzy. Szukają specyfikacji sznurka, którego użyli w tym modelu, żebyśmy mogli sprawdzić, czy to ten sam. Jeżeli okaże się, że nie, to jeszcze nie przekreśli całej teorii... może trafiła się inna partia, może sznurek wymieniono później... Ale jeśli będzie się zgadzał... to ciekawe.

– Ta bluza nie była... nie trzymałem swoich rzeczy pod kluczem. Leżały na wierzchu. Nawet jeżeli... jeżeli to ten sznurek, każdy mógł go wziąć. Na imprezie albo przy innej okazji. Nawet Dominic.

– I udusić się garotą? – spytał z szerokim uśmiechem Kerr. – Nie jestem pewien, czy to wchodzi w grę.

– Słyszeliśmy od wielu źródeł – powiedział Rafferty – że Dominic wyjątkowo paskudnie traktował twojego kuzyna Leona. Oczywiście Leon sam się do tego przyznał. Nie chciał, przez jakiś czas kręcił, co wydało się nam ciekawe. Jak mówiliśmy wcześniej, troszczycie się o siebie nawzajem, prawda? W końcu jednak puścił farbę.

W to akurat nie wątpiłem. Starłem się nie patrzeć w oczy Rafferty'emu, poszukać znajomych przedmiotów, dzięki którym to wszystko stałoby się realne. Na parapecie czerwony dzbanek do herbaty z odłupaną tu i ówdzie emalią, ścierka w kratkę

zawieszona krzywo na uchwycie piekarnika. Nastroszone pomarańczowe aksamitki w popękkanym kubku.

– Ten Dominic był niezbyt sympatycznym gościem, prawda? Ludzie opowiadali nam takie rzeczy... Myślałem, że w szkole widziałem parę przypadków dręczenia, ale od niektórych historii, które teraz słyszeliśmy, włos się jeży na głowie. – Zmrużył oczy i skrzywił się z niesmakiem, pocierając szczękę. – Dlaczego nie powiedziałeś nam o tym ostatnim razem? Mówiłeś, że Dominic był „porządnym chłopakiem”. Że z nikim nie miał na pieńku.

– Nie miałem pojęcia. O tych złych rzeczach. Wiedziałem, że czasem drażni się z Leonem, ale myślałem, że to nic poważnego.

– Mówiła nam o tym połowa twojej szkoły. To ty byłeś najbliżej z Leonem i twierdzisz, że niczego nie zauważyłeś?

– Leon nic mi nie powiedział. Nikt mi nie powiedział. Nie jestem jasnowidzem.

Rafferty drwiąco uniósł brew, jakby mówił: „Daj spokój”.

– Czujesz się do dupy z tego powodu? – zapytał Kerr. – Ja bym się czuł.

– Co mógłbym... – Brzęczenie w powietrzu wciskało mi się w uszy. Kerr zdrapywał coś z zęba, wpatrując się we mnie z zaciekawieniem. – Co miałem zrobić?

– Przerwać to, a cóż innego? – odparł rozsądnie Rafferty. – Moim zdaniem nie jesteś typem gościa, który stoi z boku i pozwala, żeby tak pomiatano jego kuzynem. Mam rację?

– Pewnie tak. Gdybym o tym wiedział. Tylko że nie wiedziałem.

Na moment dali temu spokój. Kerr oglądał drobinę znaną na zębie. Rafferty ostrożnie balansował telefonem na krawędzi stołu.

– Postawiłbym duże pieniądze – odezwał się niemal w roztargnieniu, koncentrując całą uwagę na subtelnej sztuczce z telefonem – że zamierzałeś tylko przestraszyć Dominica. Nie wyglądasz mi na zabójcę, w najmniejszym stopniu, a wielu widziałem. Planowałeś tylko trochę nim wstrząsnąć, nic poważnego, po prostu ostrzeżenie: „Przestań się dopierdalać do mojego kuzyna”. Tak należało postąpić i żaden porządny człowiek na świecie nie pomyślałby o tobie źle z tego powodu. – Uniósł wzrok i złote oczy błysnęły dziko w zbłąkanym promieniu słońca. – Mówię serio. Kiedy wcześniej powiedziałem, że najważniejsza rzecz na świecie to trzymać się rodziny, nie żartowałem. Jeżeli nawet połowa tego, co słyszeliśmy o Dominicu, jest prawdą, musiałeś to przerwać, nie miałeś wyboru.

Pnącza jaśminu za oknem kołysały się hipnotycznie tam i z powrotem, na ścianie wisiała przekrzywiona akwarela: jaskółki zastygłe w zawrotnym pikującym locie. Oślepiające promienie słońca padające na stół.

– Problem z garotami polega na tym, że ludzie ich nie doceniają. Zajrzyj do internetu, na każdej stronie na ich temat jest milion ostrzeżeń: nie próbujcie tego robić na poważnie, szyja jest delikatna i łatwo ją uszkodzić, nawet jeżeli sądzą, że to tylko ćwiczenie albo zabawa, możecie przypadkiem kogoś zabić. – Jego wypuszczony z palców telefon spadł na stół z głośnym stukaniem. – Ale nastoletni chłopcy nie zważają na takie

ostrzeżenia. Są niezwycciężeni: „E tam, wiem, co robię, nic się nie stanie”. I nie są świadomi własnej siły. Bardzo łatwo popełnić drobny błąd. Troszeczkę za mocno pociągnąć, o sekundę za długo przytrzymać i nagle jest za późno.

Wpatrywałem się w niego. Nie mogłem inaczej; cała reszta pomieszczenia wokół Rafferty’ego rozplynęła się w plamę wirujących wielobarwnych punkcików.

– Jeżeli tak się stało – ciągnął łagodnie – musimy to wiedzieć teraz. Zanim dostaniemy wyniki testów DNA. Jeśli od razu to ustalimy, będę mógł załatwić sprawę dyskretnie. Pójdę do prokuratora, wszystko wyjaśnię, skończy się na zarzucie nieumyślnego spowodowania śmierci, a może nawet napaści. Ale gdy będziemy mieli DNA, sprawa pójdzie wyżej. Wszyscy wytoczą najcięższe działa: prokurator, mój szef, dowództwo, cała góra. Nikt nie będzie wyciszać prostej jak drut sprawy zabójstwa.

Nic z tego do mnie nie docierało; mój umysł kompletnie się zablokował jak porażony skurczem mięsień.

– Chcę, żebyście stąd wyszli – powiedziałem głosem, który brzmiał, jakby należał do kogoś innego.

Nastąpiła długa chwila ciszy, w której obaj przypatrywali mi się badawczo. Drżały mi ręce. Wreszcie Rafferty westchnął, przeciągle i z żalem, po czym odsunął krzesło.

– Jak chcesz – rzucił, chowając telefon. Spodziewałem się kłótni i nie wiadomo dlaczego to, że jej nie było, przejęło mnie jeszcze większą grozą. – W każdym razie próbowałem. Masz jeszcze moją wizytówkę, prawda? Jeżeli zmienisz zdanie, zaraz do mnie zadzwoń.

– Chcesz nam dać próbkę DNA? – spytał Kerr, ostentacyjnie zamykając notes jedną ręką.

– Nie – odparłem. – Chyba że pokażecie mi nakaz czy co się wtedy...

– Nie ma potrzeby. – Kerr uśmiechnął się do mnie promiennie. – Chłopcy pobrali już w kwietniu, kiedy cię napadnięto. Pobrali do porównania i eliminacji. Nie ma sprawy, skorzystamy z niej. Chciałem tylko sprawdzić, co powiesz.

Przyłożył do skroni dwa palce, jakby salutował, i pogwizdując, ruszył w stronę drzwi.

– Zadzwoń – powtórzył cicho Rafferty. – O każdej porze dnia i nocy, kiedy zechcesz. Ale zrób to. Jasne? Kiedy to okno się zamknie, już się nie otworzy.

– Chodź – ponaglił go z korytarza partner. – Mamy jeszcze parę adresów, parę rozmów.

– O każdej porze – powiedział Rafferty. Skinął mi głową i wyszedł za Kerrem.

\* \* \*

Zaczekałem, aż zamkną się drzwi, i wyszedłem na korytarz – nie wiadomo czemu na palcach – żeby sprawdzić, czy naprawdę ich nie ma. Nawet gdy usłyszałem odjeżdżający samochód – zbyt szybko i gwałtownie jak na tę ulicę – nie ruszałem się z miejsca; przyciskając dłonie do popękanej białej farby na drzwiach, czułem lekkie podmuchy spomiędzy szpar, które owiewały chłodem moją szyję i kostki. Jeszcze przed chwilą drżałem

z emocji na myśl o tym, że powiedzą mi coś nowego; trzeba uważać z życzeniami, bo mogą się spełnić.

Skoro wyszli i mogłem normalnie pomyśleć, uświadomiłem sobie, że Rafferty pieprzył bzdury. Prosta jak drut sprawa zabójstwa... Akurat! Zignorował mnie, bo miałem rację: nawet jeżeli wynik badania DNA i porównania sznurka z bluzy będzie pozytywny, to przecież każda z co najmniej kilkunastu osób mogła udusić Dominica tą garotą. Mętny niby-motywny, który mi podrzucił, czyli dręczenie Leona przez Dominica, wskazywałby raczej na Leona niż na mnie. Osiemnastoletni Leon był wątki i chudy jak szczypiołek, to jednak nie miało znaczenia. *Najlepsze w tym wszystkim jest to, że nie musisz być wyższy ani silniejszy od ofiary. To może być chłop jak byk, ale jeśli go zaskoczysz...*

Najstraszniejsze było to, że Rafferty też musiał o tym wiedzieć; mimo to był pewien, na tyle pewien, by próbować zmusić mnie do przyznania się, że to nie Leon ani żadna z tych kilkunastu osób, ale ja. I z wściekłym bólem, który rozsadzał mi mostek, doskonale zrozumiałem dlaczego. Pół roku temu siedziałbym przed nimi bystry, wyprostowany, o jasnym spojrzeniu, i wyraźnym głosem odpowiadałbym na każde pytanie bez namysłu, z absolutną pewnością siebie, każda moja komórka emanowałaby naturalną i niepodważalną wiarygodnością. Oskarżanie mnie o zabójstwo byłoby idiotyczne. Dzisiaj jękałem się, bełkotałem, powłóczyłem nogą i łypałem spod opadającej powieki, wzdrygając się na każde słowo detektywów. Byłem ułomny, niepewny, pozbawiony wiarygodności, autorytetu i powagi, miałem winę wypisaną na twarzy.

W przypiływie wściekłości, która zaparła mi dech w piersiach, zastanawiałem się, czy na tym od początku polegał plan Leona: zrobić ze mnie kalekę śliniącego się nad miską papki dla niemowląt albo podłączonego do popiskujących maszyn, człowieka, na którego w łatwy i naturalny sposób można będzie zwalić winę.

I prawie się udało. Gdyby Rafferty wskazał na mnie parę miesięcy wcześniej, poddałbym się bez walki: czemu nie, co miałem do stracenia? Przyznać się do winy, porzucić nędzne życie i zostawić za drzwiami całą tę ruinę: przyjąłbym to niemal z ulgą. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Czułem, że moje szczęście odżywa, wraca, odżywa się jak cichy i wolny rytm bębnow dobiegający z trzewi domu. Być może nie do końca wiedziałem, co tu się dzieje, ale doskonale zdawałem sobie sprawę z jednego: nie ma absolutnie żadnej możliwości, żebym spokojnie czekał, aż odstawią mnie do więzienia.

Nadal nie mogłem uwierzyć, że Leon naprawdę planował posunąć się aż tak daleko, na to jednak wyglądało. Moje niby-przypadkowe zdjęcie w bluzie, z której wyjęto sznurek, by zrobić z niego garotę, musiało pochodzić od kogoś z bliskiego mi kręgu. To była dobra, wyraźna fotografia, nie żadna rozpikselowana plama zarejestrowana starym telefonem. W szkole nikt z nas nie miał jeszcze smartfonów, niektórzy nie mieli nawet aparatów cyfrowych. Ale ja miałem. W moje osiemnaste urodziny, w styczniu w ostatniej klasie, matka z uśmiechem przejechała mi ręką po głowie – „Kiedy wyjedziemy latem, będziesz nam mógł przysłać porządne zdjęcia, obiecujesz?”. I oczywiście aparat krążył po całym Ivy House, każdy pstrykał wszystko, co mu

wpadło w oko, a ja od czasu do czasu przypominałem sobie, żeby wrzucić trochę zdjęć do komputera, skasować parę fotek czyjegos włochatego tyłka, które oczywiście musiały się tam znaleźć, i wysłać matce te najbardziej obyczajne. Tymczasem stałem się posiadaczem smartfona i aparat przez pewien czas poniewierał się gdzieś niemal zapomniany, aż w końcu wylądował w szufladzie w moim mieszkaniu, gdzie leżał sobie spokojnie, dopóki ktoś nie uznał, że jest mu bardzo potrzebny.

Leon przeoczył tylko to, że dobrze go znam i wiem, jakie stosuje taktyki. Nie potrafił utrzymać języka za zębami, w każdym razie nigdy do końca: jeżeli coś zaprzętało mu myśli, nie mówił o tym wprost, ale uciekał od tematu, po czym wracał i trącał go raz za razem, tak jak w przypadku testamentu Hugo. Gdybym dał mu odpowiednią szansę, zdradziłby mi jakieś wskazówki.

Oczywiście jedno z zasadniczych pytań brzmiało: jaka jest w tym wszystkim rola Susanny? Trudno było sobie wyobrazić, że brała w tym udział. W szkole była dobrze ułożonym dzieckiem, wszystkie zadania zawsze oddawała w terminie i z przypisami, nigdy nie odpowiadała niegrzecznie nauczycielom. A jeśli zobaczyłaby, że ktoś się nad kimś znęca, prędzej zawiadomiłaby odpowiedzialną dorosłą osobę, niż zabrała się do przygotowywania garoty. Równie trudno było jednak wyobrazić sobie, że mogła być aż tak niczego nieświadoma jak ja. Zawsze zachowywała się bardziej powściągliwie niż Leon, znacznie trudniej było ją rozgryźć, nabrać albo zaskoczyć, ale ją też dobrze znałem i wiedziałem, jaka jest jej słabość: uwielbiała być tą inteligentną. Gdyby wiedziała o Dominicu, a ja nie,

najprawdopodobniej trudno byłoby się jej powstrzymać od skorzystania z okazji, żeby mi to wypomnieć.

Miałem nad obojgiem jedną przewagę: sądzili, że jestem pieprzonym wrakiem – co było prawdą, ale już nie do tego stopnia, jak przypuszczali. Jąkanie i dziury w pamięci, które tak mnie doprowadzały do szału, mogły mi się przydać. O wiele łatwiej ulec pokusie i jak gdyby nigdy nic rzucić okrucieństwo informacji komuś, kto niczego nie zapamięta, a jeśli nie zapomni, to raczej nie będzie potrafił powtórzyć. Zresztą nawet gdyby potrafił, i tak nikt mu nie uwierzy.

– Ktoś zamykał drzwi? – zapytał Hugo, stojąc na schodach za mną. Byłem taki zamyślony, że zupełnie nie zwróciłem uwagi na jego człapanie i stukot laski. – Melissa już wróciła?

Miał na sobie stary szlafrok w kratkę, narzucony na spodnie i sweter.

– Nie – odparłem. – Jeszcze jest wczesnie.

Zerknął na blady i zimny blask słońca za półkolistym oknem nad drzwiami.

– Rzeczywiście. W takim razie kto to był?

– Policjanci.

– Aha – rzucił zmienionym tonem, kierując na mnie wzrok. Nie odezwałem się, więc spytał: – Czego chcieli?

Omam mu nie powiedziałem. Wydawało się, że to najbardziej naturalna rzecz, jaką powinienem zrobić; odżyło we mnie całe dzieciństwo, wybuchając pragnieniem, żeby wyjawić mu wszystko, wykrzyknąć z rozpaczą: „Hugo, pomóż mi, myślą, że go zabiłem, co mam robić?!”. Ale to ostatnia rzecz, jakiej mu było trzeba. Z rękawów szlafroka wystawały kościste nadgarstki,

klatka piersiowa zmieniła się w głębokie zapadlisko, szerokie dłonie zaciskały się na lasce i poręczy schodów – był słaby, niknął w oczach i zostało go zbyt mało, by mógł dokonać upragnionego przeze mnie cudu. Ale chyba przede wszystkim dobrze wiedziałem, że to, co Hugo zechce zrobić, prawdopodobnie nie będzie miało nic wspólnego z tym, co ja chciałem zrobić.

– Myślą, że ktoś zabił Dominica – powiedziałem.

Przez chwilę milczał.

– To chyba nie jest wielka niespodzianka.

– Został uduszony garotą. Tak myślą.

Na tę wiadomość jego brwi powędrowały w górę.

– Wielkie nieba! Nie przypuszczam, żeby często mieli z tym do czynienia. – Znowu zrobił pauzę. – Mówili, kogo podejrzewają?

– Nie sądzę, żeby mieli na myśli kogoś konkretnego.

– Strasznie wszystko komplikują – stwierdził z rozdrażnieniem Hugo, odchylając głowę do tyłu. – Co za przekłety absurd! Same zagadki... jak dzieci, które bawią się w wielkie tajemnice i zmuszają nas do udziału w tej zabawie... – Zadygotał, gdy od drzwi znowu powiało zimnem. – I do tego ta pogoda. Przecież to jeszcze nie październik, chyba powinienem czuć własne stopy, gdy siedzę w gabinecie.

– Zaraz skończę odpowietrzać grzejniki – obiecałem. – Będzie lepiej.

– Tak sądzę. – Z grymasem bólu oparł się biodrem o balustradę, aby puścić poręcz i okryć się szczelniej szlafrokiem. – Nie powinniśmy się zająć kolacją? Melissa już wróciła?

– Niedługo będzie pora lunchu – powiedziałem ostrożnie po krótkim wahaniu. – Kiedy skończę z grzejnikami, przyniosę coś na górę, dobrze?

– Hm – odchrząknął zirytowany po chwili konsternacji. – W takim razie przynieś. – Powolutku obrócił się i powlókł po schodach do gabinetu, a potem trzasnął drzwiami.

\* \* \*

Kiedy wreszcie uporałem się z grzejnikami i przyniosłem mu lunch, wydawało się, że wszystko z nim już w porządku, przynajmniej jak na jego ówczesny stan. W każdym razie zjadł zapiekaną kanapkę i pokazał mi kilka odcyfrowanych stron nudnego pamiętnika, który w epoce wiktoriańskiej prowadził krewny pani Wozniak (kucharka przypaliła pieczeń wołową... na ulicy usłyszał od jakiegoś dzieciaka brzydkie słowo... w dzisiejszych czasach dzieciom brakuje kształcenia moralnego). Dziwne było jednak – siedząc przy stoliku, przyglądałem się Hugo, jak dzielnie przypatruje się następnej stronie pamiętnika – że choć choroba stopniowo pożerała go z brutalną zachłannością, wcale nie wydawał się drobniejszy. Stracił mnóstwo wagi, ubrania wisiały na nim luźnymi falami, co jednak tylko podkreślało jego masywną posturę. Wyglądał jak jeden z tych tajemniczych gigantycznych szkieletów łosia czy niedźwiedzia z zamierzchłej prehistorii, które stoją samotnie w wielkich salach muzealnych.

Trochę się ożywił, kiedy wróciła Melissa; żartował z tego, co przyniosła na kolację – „Paella! Wielkie nieba, jesteś jak biuro

podróży dla kubków smakowych” – i z rozbawieniem wysłuchał opowieści o pogodnej i ekscentrycznej staruszce, która pojawiła się w sklepie z naręczem zupełnie niesprzedawalnych jedwabnych chust, farbowanych ręcznie na wszystkie kolory tęczy, i nalegała, by Melissa zatrzymała sobie jedną. Hugo narzucił sobie na ramiona tę ogromną fioletowo-złotą płachtę i ze śmiechem usiadł przy stole niczym czarodziej w jakiejś dziecięcej zabawie. Coraz częściej to Melissa potrafiła poruszyć w nim najlepsze struny.

On też zdawał sobie z tego sprawę.

– Już od dawna chcę ci powiedzieć – zwrócił się do niej, gdy wieczorem graliśmy w remika przy stoliku, na którym leżały rozłożone karty, stały kubki nie do kompletu i talerz herbatników, a w kominku wesoło trzaskał ogień – jak bardzo się cieszę, że cię tu mam. Wiem, jakie to musi być poświęcenie z twojej strony, i nie sędzę, żebym znalazł właściwe słowa, by wyrazić, ile to dla mnie znaczy. Tak czy inaczej, chciałem, żebyś o tym wiedziała.

– Z początku nie byłem pewna, czy powinnam tu przyjeżdżać – odparła Melissa. Siedziała zwinięta w kłębek na kanapie, ze stopami na moich kolanach; ogrzewałem je wolną ręką. – Pojawić się na progu twojego domu, kiedy była tu cała rodzina. A potem tak po prostu zostać. Dziesiątki razy zastanawiałam się, czy nie powinnam przestać ci przeszkadzać, ale... – Zatoczyła ręką łuk, wskazując pokój, a na koniec otworzyła dłoń, jak gdyby coś z niej wypuszczała, w geście oznaczającym „Skończyło się, jak się skończyło”.

– Cudownie, że tu jesteś. Ogromnie się cieszę, nie tylko z twojego towarzystwa, ale także z możliwości patrzenia na to, jak dorosły Toby układa sobie życie w związku. To trochę jak weekendy, kiedy miałem tu Zacha i Sallie: wspaniałe i naturalne następstwo wszystkich wakacji, gdy w tym domu mieszkali Toby, Susanna i Leon. Kolejna część... życie toczy się dalej. Pewnie to śmieszna fantazja, ale wydaje mi się, że dzięki temu mam wyobrażenie, jak by to było mieć własne dzieci.

Zdenerwował mnie trochę pożegnalny ton tych słów; chciałem zmienić temat.

– Dlaczego ich nie miałeś? – zapytałem.

Susanna, Leon i ja przez te lata parę razy snuliśmy domysły w tej kwestii. Ja uważałem, że Hugo jest zbyt rozsądnym człowiekiem, żeby burzyć sobie spokojną i uporządkowaną egzystencję czeredą rozwrzeszczanych bachorów; Susanna sądziła, że od dawna jest w tajemniczym związku na odległość, być może z kobietą, która mieszka za granicą i co parę miesięcy przyjeżdża do Dublina; Leon oczywiście uważał, że Hugo jest gejem i że zanim Irlandia dojrzała do tego, by mógł się ujawnić, doszedł do wniosku, że już za późno. Każda z tych możliwości wydawała się logiczna.

Hugo zastanawiał się nad odpowiedzią, przekładając karty w ręce. Miał kolana przykryte kocem jak staruszek, mimo że w kominku palił się ogień, a mnie rzeczywiście udało się uruchomić kaloryfery.

– Jeśli mam być szczery – odezwał się w końcu – trudno mi jednoznacznie powiedzieć. Jeden z powodów był najbanalniejszy pod słońcem: byłem zaręczony, ona ze mną zerwała, schroniłem

się w domu, żeby lizać rany, i na zawsze wyrzekłem się kobiet. Łatwo byłoby rzucić na to winę za wszystko, prawda? – Zerknął na nas z przelotnym uśmiechem. – Ale coś takiego przytrafia się wielu ludziom i najczęściej dochodzą do siebie po roku czy dwóch. Tak samo było ze mną... to nie tak, że przez te wszystkie lata cierpię z powodu nieodwzajemnionej miłości. Ale w którymś momencie twoi dziadkowie zaczęli się starzeć, dziadkowi coraz bardziej dokuczał artretyzm, potrzebowali kogoś, kto się nimi zajmie. A ja byłem na miejscu, nie miałem żadnych innych obowiązków, podczas gdy pozostali wyfrunęli z domu, pożenili się, urodziły im się dzieci... Prawda jest chyba taka, że nigdy nie byłem człowiekiem czynu. – Znów przelotny uśmiech, uniesiona brew. – Raczej człowiekiem inercji. Nie mącić niepotrzebnie, nie robić zamieszania, wszystko ostatecznie się ułoży, jeżeli nie będziesz przeszkadzać... Oczywiście z roku na rok coraz trudniej było to zmienić. Nawet po śmierci twoich dziadków, gdy mogłem zrobić wszystko, co chciałem, ruszyć w świat, ożenić się, założyć rodzinę, okazało się, że właściwie na niczym nie zależy mi aż tak, żeby zdecydować się na taki przełom w życiu.

Wziął kartę, obejrzał ją i wsunął z powrotem.

– Chodzi chyba o to – ciągnął – że człowiek przyzwyczaja się do takiego siebie, jakim jest. I trzeba jakiegoś wielkiego wstrząsu, żeby przebić tę skorupę i zajrzeć, co się może pod nią kryć. – Uniósł wzrok, uśmiechnął się i poprawił okulary. – Dość tego filozofowania. Zapomniałem, czyja teraz kolej. Czy właśnie położyłem...

Urwał. Gdy cisza zaczęła się przedłużać, spojrzałem na niego zza kart. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w drzwi

w takim skupieniu, że obejrzałem się w tę stronę, by sprawdzić, czy jest tam ktoś lub coś. Niczego nie zobaczyłem.

Kiedy odwróciłem się z powrotem, Hugo nadal patrzył w tamten punkt, oblizując wargi.

– Hugo – powiedziałem bardzo głośno. – Dobrze się czujesz?

Wyciągnął przed siebie sztywną rękę, z krogulczo zakrzywionymi palcami.

Zerwałem się z kanapy i rzuciłem w jego stronę, rozrzucając karty na wszystkie strony, trącając stolik i przewracając kubki. Melissa i ja przypadliśmy do niego jednocześnie i uklękliśmy przy nim. Bałem się go dotknąć, żeby niczego nie pogorszyć. Bez przerwy mrugał; groteskowo skrzywione ramię wykonywało szerokie niezrozumiałe gesty, jak gdyby coś grabił. Te ruchy były tak dokładne i zdecydowane, że wydawały się zamierzone.

A więc tak to wyglądało: zupełnie niespodziewanie, poprawia się okulary i zastanawia nad królem pik, i nagle koniec. Po miesiącach strachu i napięcia okazało się, że to proste i błyskawiczne.

– Pogotowie – powiedziałem, choć wiedziałem, że karetka nie zdąży. Miałem wrażenie, że serce nie mieści mi się w piersi. – Dzwon. Szybko.

– To atak – odezwała się spokojnie Melissa. Przypatrywała się twarzy Hugo, położywszy mu dłoń na ramieniu lekko, ale zdecydowanie. – Nie potrzebuje pogotowia. Hugo, masz atak. Wszystko w porządku, za chwilę minie.

Nie wiedziałem, czy ją słyszy. Grabił przed sobą powietrze i cały czas mrugał. Z kącika ust sączyła się strużka śliny.

Minęło parę sekund, zanim zrozumiałem, że nie umiera na naszych oczach.

– Ale... – powiedziałem. Z zakamarków pamięci wyłowiłem wykład neurologa palanta, nieistotne słowa, lekceważące spojrzenie jak u dyrektora szkoły. – Mimo wszystko powinniśmy wezwać karetkę. Pierwszy raz ma atak.

– Nie pierwszy. Ma je od jakiegoś czasu. – Wlepiłem w nią zdumiony wzrok. – Kiedy wpatruje się w przestrzeń i nie słyszy cię przez chwilę. Myślałam, że wiesz.

– Nie.

– Mówiłam mu, żeby powiedział o tym lekarzom. Nie wiem, czy posłuchał. – Gładziła Hugo po ramieniu w wolnym, miarowym rytmie. – Już dobrze – powiedziała cicho. – Już wszystko dobrze.

Gwałtowne ruchy stopniowo słabły, traciły precyzję, aż ręka opadła na kolana, kilka razy drgnęła i bezwładnie zastygła. Język przestał oblizywać wargi. Oczy zamknęły się, a głowa opadła na bok, jak gdyby Hugo po prostu drzemał w fotelu po kolacji.

Drewno w kominku strzelało wesoło. Na stoliku rozlewały się kałuże herbaty, która kapiała na dywan. Kręciło mi się w głowie, serce mi waliło.

– Hugo – powiedziała łagodnie Melissa. – Możesz na mnie spojrzeć?

Zadrżały mu powieki. Otworzył oczy: były zaczerwienione i śpiące, ale ją widziały.

– Miałeś atak. Już po wszystkim. Wiesz, gdzie jesteś?

Skinął głową.

– Gdzie?

Poruszył ustami, jakby coś żuł, i przez straszną sekundę wydawało mi się, że zaczyna się nowy atak, ale ochryple wymamrotał:

– W salonie.

– Tak. Jak się czujesz?

Jego twarz była blada i lepka, dłonie wydawały się bielsze niż zwykle.

– Nie wiem. Jestem zmęczony.

– Nic nie szkodzi. Po prostu posiedź sobie, dopóki nie poczujesz się lepiej.

– Chcesz się napić wody? – spytałem, wpadając w końcu na jakiś pożyteczny pomysł.

– Nie wiem.

Mimo to pobiegłem do kuchni i drżącymi rękami nalałem do szklanki wody z kranu, rozchlapując ją dookoła. Moja twarz w ciemnym oknie nad zlewem zastygła w głupawym wyrazie zdumienia, z otwartymi ustami i wybałuszonymi oczami.

Kiedy wróciłem do salonu, Hugo wyglądał lepiej: głowę trzymał prosto, twarz trochę odzyskała kolor. Melissa znalazła papierową serwetkę i ścierała mu ślinę z brody.

– O – powiedział i sprawną ręką wziął ode mnie szklankę. – Dziękuję.

– Pamiętasz, co się stało? – zapytałem.

– Niezupełnie. Po prostu nagle... wszystko zaczęło wyglądać dziwnie. Inaczej. Strasznie. Nic więcej. – Z nutą lęku w głosie, której nie umiał ukryć, spytał: – Co zrobiłem?

– Nic takiego – uspokoiłem go. – Trochę patrzyłeś przed siebie, zrobiłeś parę dziwnych ruchów ręką. Żadnego filmowego

rzucania się po podłodze, nic z tych rzeczy.

– Miałaś już wcześniej takie ataki? – dopytywała się Melissa.

– Chyba tak. Raz. – Znowu napił się wody, otarł kącik ust, którym wyciekła jej odrobina. – Parę tygodni temu. W łóżku.

– Powinieneś nas wtedy zawołać – powiedziałem.

– Nie zdawałem sobie sprawy, co się stało. I co byście zrobili?

– Mimo wszystko, jeżeli to się powtórzy, zawołaj nas, dobrze?

– poprosiła Melissa.

– Dobrze, moja droga. – Na chwilę położył dłoń na jej ręce. – Obiecuję.

– Mówiłeś lekarzowi?

– Tak. Dał mi coś. Lekarstwo. Ale uprzedził, że może nie działać. – Usiłował dźwignąć się w fotelu, by usiąść prosto. – I znowu zaczął o tym hospicjum. Oczywiście powiedziałem, że nie. Absolutnie nie.

– Chcesz się położyć? – spytałem. Wyglądał już prawie całkiem normalnie, co wydawało się wręcz nienaturalne, ale nie wyobrażałem sobie, żebyśmy mogli wrócić do remika. Nawet gdyby on był w stanie grać, ja bym nie potrafił.

– Chciałbym tu trochę posiedzieć – odparł. – Z wami. Jeżeli można.

Melissa przyniosła ścierkę i zebrała nią rozlaną herbatę; ja pozbierałem karty, wytarłem je wilgotnym papierowym ręcznikiem i odłożyłem na inny raz. Potem wróciliśmy na swoje miejsca na kanapie, Melissa przytuliła się do mnie, a ja objąłem ją ramieniem i splotłem palce z jej palcami.

Nie rozmawialiśmy. Melissa wpatrywała się w ogień, którego blask tańczył na miękkim łuku jej policzka. Hugo

w roztargnieniu gładził kciukiem koc na kolanach, jak zwierzaka. Od czasu do czasu unosił wzrok i uśmiechał się do nas uspokajająco, jakby mówił: „Patrzcie, nic mi nie jest”. Siedzieliśmy długo, w okna cichutko postukiwał deszcz, wokół lampy stojącej bez przekonania krążyła ćma, a ogień spalał się na rozżarzony popiół barwy kamieni szlachetnych.

\* \* \*

Tamtego wieczoru chyba nie zwracałem szczególnej uwagi na nastrój Melissy. Mimochodem zauważyłem, że jest dość milcząca, nawet przed atakiem Hugo, miałem jednak wystarczająco zaprzątniętą głowę. Melissa była jedynym błogim elementem mojego świata, który nie wymagał czujności. Dlatego kiedy już zaprowadziliśmy Hugo bezpiecznie do pokoju, zczekaliśmy na znajome odgłosy wieczornych zabiegów i skrzypnięcie łóżka i zdejmowałem w sypialni sweter, zupełnie mnie zaskoczyła, mówiąc:

- Detektywi z policji przyszli ze mną porozmawiać. W sklepie.
- Co?! – Zdębiałem do tego stopnia, że sweter wypadł mi z rąk.
- Jacy detektywi? Martin i... i... – Nie potrafiłem sobie przypomnieć nazwiska Oldschoolowego. – Czy Rafferty i ten drugi, Kerr?
- Rafferty i Kerr.

Stała plecami do mnie, wieszając sweter na wieszaku. Jej odbicie – jasne włosy, jasna sukienka, smukłe jasne ramiona – falowało w oknie jak duch.

– Nie spodziewałam się, że będą chcieli ze mną rozmawiać, bo przecież nie znałam jeszcze nikogo z was, kiedy... Nie wiem, skąd wiedzieli, gdzie pracuję. Kazali mi wywiesić na drzwiach tabliczkę ZAMKNIĘTE. Ta kobieta z chustami pierwszy raz przyszła, kiedy tam byli, i nie chciała odejść, szarpała za klamkę. Zamierzałam iść i powiedzieć jej, że za kilka minut otworzę, ale Kerr mi nie pozwolił. Powtarzał: „Nie, zostaw ją, za chwilę da sobie spokój”. Ona jednak stała tam i stała, przyciskała twarz do szyby i zaglądała do środka...

*Mamy jeszcze parę adresów, parę rozmów.*

– Czego chcieli, do cholery?

– Pokazali mi kilka zdjęć.

Miałem ochotę kopniakiem wybić Rafferty’emu zęby.

– Tak? Jakich?

– Bluzy, którą tu znaleźli. I ciebie w tej bluzie, jak byłeś młodszy. I jeszcze sznurka od bluzy. – Głos Melissy był wyraźny i opanowany. Nie patrzyła na mnie, ale na sweter, starannie wyrównując go na wieszaku. – Znaleźli te rzeczy w drzewie. Myślą, że to było...

– Tak, wiem. Mnie pokazali te same zdjęcia.

Raptownie obróciła głowę.

– Kiedy?

– Dzisiaj rano.

– Nie zamierzałeś mi o tym powiedzieć.

– Nie zamierzałem zawracać ci głowy tymi bredniami. Po co pokazywali ci te zdjęcia? Czego chcieli?

– Chcieli wiedzieć, czy kiedykolwiek wspominałeś mi o Dominicu Ganlym. I czy widziałam, jak robisz coś takiego... to

z tymi pętlami. Czy robiłeś podobne węzły. I jeszcze... – nie odrywała wzroku od swetra, wieszając go w szafie; nie zmienił się spokojny ton jej głosu, tylko lekko drgnęły jej rzęsy – ...czy kiedykolwiek byłeś agresywny. Oczywiście powiedziałam, że nie. Nigdy.

Jak na ironię, właśnie całą siłą woli próbowałam się powstrzymać przed uderzeniem pięścią w ścianę, kopnięciem w drzwi szafy albo czymś równie widowiskowym i bezsensownym. Podniosłam swój sweter z podłogi i równo go złożyłam.

– Wiedzieli o tym człowieku. Tym, który w zeszłym roku nie chciał mnie zostawić w spokoju, dopóki go nie przegoniłeś. Chcieli usłyszeć, co dokładnie zrobiłeś: czy go dotykałeś, kiedy go wyrzucałeś, czy mu groziłeś, że go pobijesz. Powiedziałam, że nie, ale naciskali. „Przecież każdy normalny facet byłby wściekły, na pewno chciał mu dać jasno i wyraźnie do zrozumienia, co o nim myśli... Twój chłopak naprawdę nie miał odwagi, żeby to zrobić?” Chciałam im powiedzieć, żeby wyszli, ale bałam się, że to będzie wyglądać, jakbym coś ukrywała. Są bardzo... Trudno wytrzymać te pytania, prawda? Cały czas powtarzałam „nie, nie, nie” i próbowałam zachować spokój, aż w końcu sobie odpuścili. W każdym razie wyszli.

– No – powiedziałam jak gdyby nigdy nic, gdy odzyskałam mowę. – Wygląda na to, że przytarłaś im rogów. Jeżeli znowu się pojawią, każ im spadać. Albo zadzwoń do mnie, sam im powiem.

– Toby. – W końcu głos jej zadrżał i odwróciła się do mnie. – Oni myślą, że zabiłeś Dominica.

Parsknąłem śmiechem, choć nawet ja usłyszałem w nim ostrą nutę goryczy.

– Nie, nie myślą. Nie mają powodu. Nie mają nawet cienia powodu. Mają tylko sznurek od bluzy, który każdy mógł wziąć. Próbują zmusić kogoś do przyznania się do winy, żeby mogli zamknąć śledztwo. Dlatego cię tak męczyli: żeby wpłynąć na mnie. Tak naprawdę nie przypuszczają, że cokolwiek wiesz, ani nie przypuszczają, że byłem agresywny... – Podnosiłem głos. Nabrałem powietrza.

– Myślą, Tobie. Może rzeczywiście nie sądzą, że coś wiem. Ale myślą, że to ty go zabiłeś.

Jej blada i skupiona twarz była nieobecna jak tamten duch w szybie. Jak obuchem uderzyła mnie myśl, że Melissa może myśleć tak jak oni. Ciekawe, czy ukrywała przede mną coś, co powiedzieli jej detektywi.

– Nie zabiłem Dominica.

– Wiem – odparła bez wahania i zdecydowanie. – Wiem o tym. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to zrobiłeś.

Uwierzyłem jej. Fala ulgi i wstydu – jak mogłem przypuszczać, choćby przez sekundę? – zmyła ze mnie część napięcia.

– Więc teraz chyba już rozumiesz, że muszę coś z tym zrobić – powiedziałem.

Twarz jej stężała.

– To znaczy?

– To znaczy porozmawiać z ludźmi. Spróbować ustalić, co się naprawdę wydarzyło. Żebyśmy już więcej nie musieli znosić tych cholernych oskarżeń.

– Nie – odparowała ostro. Dotąd tylko raz usłyszałem w jej głosie tę żelazną nieugiętość, gdy mówiła o matce. – Jedyne, co powinieneś robić, to trzymać się jak najdalej od tej okropnej sprawy. Wziąć adwokata, niech on z nimi rozmawia. To nie jest twój problem. Nie ma powodu, żebyś dał się w to wplątać. Zostaw to.

– Melissa, przecież oni mnie wprost oskarżyli o zabójstwo. Z tego chyba wynika, że to zdecydowanie mój problem.

– Wcale nie. Sam mówiłeś, że nie mają dowodu i nigdy żadnego nie znajdą. Wystarczy, że nie będziesz zwracał na nich uwagi, a prędzej czy później dadzą sobie z tobą spokój.

– A jeżeli nie? Jeżeli okażą się nadgorliwi i aresztują mnie w nadziei, że dzięki temu mnie złamią? Nie wiem jak ty, ale ja nie mam ochoty siedzieć tu i tydzień po tygodniu zastanawiać się, czy to może już dzisiaj, czy wybiorą akurat moment, kiedy Hugo będzie miał jakiś kryzys...

– Co się stanie, jak się dowiedzą, że wypytyujesz ludzi? Pomyślą, że próbujesz ustalić, kto co wie, bo się denerwujesz. Wtedy przycisną cię jeszcze mocniej, a to przekreśli wszystko...

– Jezu, Melissa! – Przestałem uważać, żeby nie podnosić głosu, niech Hugo się obudzi, pieprzyć to wszystko. – Myślałem, że będziesz zadowolona. Parę miesięcy temu miałbym gdzieś, czy wsadzą mnie do pudła, czy nie. Sądziłem, że się ucieszysz, że się pozbierałem, że chce mi się przed tym bronić. Wolałabyś, żebym dalej siedział na tyłku i próbował znaleźć motywację do zrobienia grzanki?

To do niej trafiło, właśnie tak, jak się spodziewałem.

– Wracasz do siebie, to wspaniale. – Głos jej złagodniał, twardy ton zniknął. – Masz rację, bardzo się cieszę. Ale nie możesz tego wykorzystać w inny sposób? Zadzwoń do Richarda, zapytaj, czy mógłbyś w domu robić dla niego jakieś drobne rzeczy albo... Zawsze mówiłeś, że chcesz się nauczyć nurkować.

– Albo wyplatania koszyków, albo garncarstwa? Nie jestem niepełnosprawny. Nie jestem upośledzony umysłowo. – Zobaczyłem, jak Melissa wzdryga się na mój ton, ale nie zamierzałem się cofać. Nigdy wcześniej, ani razu, nie byłem na nią zły, dlatego ogarnęła mnie jeszcze większa wściekłość na Rafferty’ego i Kerra, Leona, a nawet w pewnym sensie na Dominica. Ja i ona spędziliśmy trzy lata w spokoju i harmonii, na dobre i na złe, a teraz to... – Nie potrzebuję żadnego hobby, nie muszę szukać sobie zajęcia. Muszę się dowiedzieć, dlaczego, kurwa, zostałem oskarżony o zabójstwo!

– Toby, przecież ja nie, ja nigdy nie mówiłam... – Atak okazał się celny: powietrze uszło jej z płuc, bezwładnie oparła się o drzwi szafy. – Chcę tylko, żebyś był szczęśliwy.

– Wiem. Ja też. Chcę, żebyśmy oboje byli szczęśliwi. Właśnie dlatego to robię.

Na jej twarzy malowała się rezygnacja... oddałbym wszystko, żeby zobaczyła to tak samo jak ja, żeby zrozumiała, że to może wszystko zmienić.

– Kochanie, proszę, zaufaj mi – powiedziałem. – Poradzę sobie. Nie zamierzam tego spieprzyć.

– Wiem. Nie o to... – Pokręciła głową, zaciskając powieki. – Tylko nie rób czegoś, co mogłoby wszystko pogorszyć. Błagam.

– Nie zrobię. – Podszedłem do niej. – Przecież nie miałem zamiaru czaić się na gangsterów w ciemnych uliczkach z coltem czterdziestkąpiątką. Chcę tylko pogadać z ludźmi i przekonać się, czy mają coś ciekawego do powiedzenia. Nic więcej. – Nie odpowiedziała ani nie przytuliła się do mnie. – Obiecuję. Okay?

Melissa głęboko nabrała powietrza i położyła mi dłoń na policzku.

– Może. – Odsunęła się, kiedy się pochyliłem, żeby ją pocałować. – Chodźmy spać. Jestem wykończona.

– Jasne. Ja też. – Nic dziwnego... po takim dniu. Ale jeszcze długo po tym, jak oddech Melissy zwolnił do znajomego rytmu, leżałem całkiem rozbudzony. Tym razem jednak nie wzdrygałem się na nieoczekiwane odgłosy, nie liczyłem godzin, które upłynęły od ostatniej dawki xanaxu. Obserwując grę subtelnych odcieni ciemności na suficie, rozmyślałem i planowałem.

Następnego dnia rano, gdy Melissa pojechała do pracy, zadzwoniłem do Susanny i Leona, aby zaprosić ich na kolację i parę drinków – trzeba się odstresować po tym całym cholerstwie, wrzucić na luz i tak dalej, i tak dalej. Żadne z nas nie wspominało o garotach, bluzach z kapturem ani policji, co jeszcze bardziej wzbudziło moje podejrzenia. Przecież Rafferty dał mi jasno do zrozumienia, że rozmawiał z obojgiem o tej pieprzonej bluzie, i wydawało mi się, że jeżeli są po mojej stronie, to o czymś takim powinni mi powiedzieć mniej więcej chwilę po jego wyjściu.

Tamtego dnia nawet przez telefon ich głosy brzmiały inaczej; były jak nierówna, skrząca się powierzchnia minerału, która kojarzyła mi się z moimi kilkoma eksperymentami z kwasem. Dopiero po pewnym czasie udało mi się zrozumieć, co to jest: zagrożenie. Zawsze uważałem, że Leon i Susanna są całkiem niegroźni. W każdym razie nie w negatywnym sensie tego słowa – najczęściej drażniliśmy się i sprzeczailiśmy, ale z czułością. W głębi serca wiedziałem, że są w porządku; jeśli mam być szczery, dotąd trudno mi było traktować ich na tyle poważnie, by widzieć w nich coś tak poważnego jak zagrożenie. Przy tym, co teraz wiedziałem, w każdym ich słowie i oddechu czaiły się niedopowiedzenia i podteksty, których nie umiałem wychwycić.

Mogło się w nich kryć wszystko, mogły być śmiertelnie niebezpieczne, a ja niczego nie zauważyłem.

Przed tym wieczorem byłem jednak dobrej myśli. Wabiąco połyskiwał na horyzoncie, czekałem na niego jak na czwartą randkę, jak na ostatni etap rozmów kwalifikacyjnych, ten najważniejszy, po którym czeka mnie wielka nagroda. Byłem więc zwarty i gotowy, bo zamierzałem przejść go śpiewająco. Nie spodziewałem się, że Leon się podda i przyzna do wszystkiego, racząc nas drastyczną opowieścią – chociaż nigdy nie mów nigdy. Kto wie, może dopisze mi szczęście? Jeżeli jednak chował do mnie jakąś urazę, nie mogłem się doczekać, by o niej usłyszeć. Byłem przekonany, że wystarczy parę drinków, kilka szpil i uda mi się coś z niego wyciągnąć; być może, jeśli dobrze to rozegram, wyciągnę z niego szczegóły na temat włamania.

Najważniejsze pytanie brzmiało: co z tym wszystkim zrobię, jeżeli się powiedzie? Przecież to był Leon, na litość boską. W jednym z moich najwcześniejszych wspomnień siedzieliśmy razem w kałuży w ogrodzie w Ivy House i polewaliśmy sobie nawzajem głowy błotem. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zrobić coś, przez co trafiłby za kratki, nawet jeżeli on próbował zrobić dokładnie to samo mnie.

Chyba że... Jeżeli naprawdę stał za włamaniem, wtedy wszystko mogło się zdarzyć. Mogłem mu odpuścić próbę wrobienia mnie w zabójstwo, ale sama myśl, że świadomie czy nawet na wpół świadomie przyczynił się do tego, co się ze mną stało, za każdym razem porażała i paraliżowała. Wiedziałem, że to prawdopodobnie bardzo źle świadczy o moim charakterze, ale mało mnie to obchodziło, gdy z czekoladowym ciastkiem

w ustach wbiegałem po schodach sprężystym krokiem, prawie w ogóle już nie utykając, aby powiedzieć Hugo, że na kolację przyjdą do nas Leon i Susanna.

Gdy wróciła Melissa, na łóżku leżało przygotowane ubranie – niebieskie lniane chinosy i naprawdę ładna koszula, jasnokremowa w drobny niebieski geometryczny rzucik, które spakowała z jakiegoś powodu. Od tak dawna się nie stroiłem, więc czemu nie? Przy goleniu na całe gardło śpiewałem z przerwami jakąś ckliwą piosenkę Robbiego Williamsa.

– Cześć – powiedziała Melissa, zaglądając do łazienki. – Jak się czuje Hugo?

– W porządku. Nic straszego się nie działo. Dowiedział się, że Haskins, ten facet od pamiętnika, nie cierpiał psów i wyrzucił z pracy pokojówkę, bo dziwnie pachniała.

– Widziałam twoje ubranie. Co to za okazja?

– Jestem w dobrym humorze. Chodź tu.

Podeszła do mnie na palcach, żeby mnie pocałować, nie dotykając pokrytej pianką twarzy. Złapałem ją i pomazałem policzkiem jej nos, a ona pisnęła i zaśmiała się.

– Głuptasie! – Wytarła nos o mój nagi tors. – Będziesz wyglądać fantastycznie. Więc ja też się wystroję.

– Koniecznie muszę się ostrzyc – oznajmiłem, patrząc w lustro. – Z takim wyglądem mógłbym siedzieć w jakimś syfiastym pubie w Galway, próbując przekonywać turystki, że jestem surferem.

– Mam ci podciąć włosy? Wprawdzie nie jestem fachowcem, ale mogłabym to trochę ogarnąć, zanim pójdziesz do fryzjera.

– Naprawdę? Byłoby super.

– Tylko znajdę nożyczki.

– Aha – powiedziałem, gdy była już na progu. – Su i Leon przyjdą dzisiaj na kolację. Mamy dość jedzenia? Czy coś zamówimy?

Melissa odwróciła się raptownie, ale bez wahania odpowiedziała:

– Weźmy coś z tej indyjskiej knajpki. Hugo uwielbia ich dania, poza tym łatwo sobie poradzi z jedzeniem.

– Świetnie. Umieram z głodu. Curry, to brzmi nieźle. – Przechyliłem głowę, by dostać się do zarostu z boku pod szczęką. Nie patrząc na Melissę, powiedziałem: – Posłuchaj, wczoraj wieczorem... Wiem, że to brzmi, jakbym obsesyjnie myślał o tym, co się stało z Dominikiem. Ale to nie tak.

Dostrzegłem ją w lustrze, jak patrzy na mnie od drzwi.

– A jak?

Musiałem być ostrożny. Żeby wieczór potoczył się gładko, potrzebowałem jej pomocy, wiedziałem jednak, że nie będzie zachwycona tym pomysłem.

– Trudno to wyjaśnić – odparłem. – Mam wrażenie, że wiele rzeczy się pogmatwało... Dobra, powiedzmy sobie jasno, od paru miesięcy wszystko się gmatwa, ale nie byłem w formie, żeby cokolwiek z tym zrobić. Teraz, nie wiem, czy dlatego, że czuję się coraz lepiej, czy z innego powodu, wydaje mi się jednak, że powinienem to uporządkować. Jasne, chodzi o Dominica, ale nie tylko.

Słuchała uważnie, drapiąc paznokciem jakąś plamkę na drzwiach.

– O co jeszcze?

– O to, co Sean i Dec mówili o Dominicu i Leonie. Miałaś rację: to mi nie daje spokoju.

– Przecież to nie była twoja wina. Nie wiedziałeś.

– I w tym właśnie tkwi problem. Słowo daję, niczego takiego sobie nie przypominam, ale z pamięcią w takim stanie jak moja... kto wie, ile to warte? – Posłałem jej krzywy uśmiech w lustrze. – Naprawdę nie sądzę, żebym pozwolił Dominicowi spuszczać lanie Leonowi, ale dobrze by było się upewnić.

– Czy to coś teraz zmienia? – spytała Melissa.

– No tak – rzuciłem zdziwiony i trochę urażony. – Oczywiście, że zmienia. Jeżeli zawiodłem wtedy Leona, to popsuło nasze relacje, nawet jeżeli byłem zbyt tępy, żeby to sobie uświadomić. Wiem, że nie widuję go za często, ale on i Su... są dla mnie prawie jak brat i siostra. Może wszystko gra i byłem kuzynem idealnym. Mam nadzieję. Ale jeżeli nie, muszę wiedzieć, żebym mógł to naprawić. – Znowu uśmiechnąłem się półgębkiem, zadzierając głowę, żeby ogolić się pod brodą. – Ludzie zawsze mówią tak o morderstwach, nie? Wychodzą przy nich przeróżne inne rzeczy i wszyscy muszą sobie z nimi jakoś poradzić.

Nie odpowiedziała.

– Słuchaj, pewnie to nie ma sensu, ale... ta sprawa z włamaniem i napaścią na mnie. Chcę, żeby to było coś ważnego. Nowy początek. Pobudka, sygnał, żebym uporządkował sobie życie. Inaczej będzie do dupy... Powiedzmy sobie szczerze, dotąd było do dupy. Jeżeli mogę zrobić z tym coś dobrego... Rozumiesz?

Oczywiście poczciwe serce Melissy nie mogło się od tego odwrócić, jak słonecznik podążający za blaskiem słońca. Twarz

jej pojaśniała.

– Tak! Byłoby wspaniale. I powiedz o tym Leonowi. Zrozumie.

– Powiem. – To był nawet niezły pomysł. – Muszę jednak wiedzieć, co mu zrobiłem. Jeżeli rzeczywiście zrobiłem mu coś złego. Mogłabyś mi w tym pomóc?

Ściągnęła brwi.

– Ja? Jak?

– Mogłabyś zapytać Leona i Susanny, jaki wtedy byłem? Całkiem naturalna ciekawość, po to na przykład chciałaś obejrzeć stare zdjęcia Hugo. Oczywiście powiedzą ci, że byłem supergościem, ale gdybyś ich bardziej przycisnęła... Ułatwię ci to, ale chciałbym, żebyś to ty zadawała pytania.

– Czemu nie ty? Skoro mówisz, że jeżeli zrobiłeś coś złego, nie będą chcieli mi powiedzieć? Możesz ich zapytać, kiedy mnie przy tym nie będzie. Położę się wcześniej.

Chodziło o to, że jeśli zacznę ich ciągnąć za język, w Leonie na pewno obudzi się czujność, może też w Susannie.

– Posłuchaj – nabrałem tchu i spojrzałem w oczy Melissy w lustrze – wolałbym, żeby nie wiedzieli, jak kiepsko jest z moją pamięcią. Wiem, że to głupie. Pewnie i tak się domyślają, że nie jestem w najlepszej formie, ale przy nich naprawdę staram się zachowywać w miarę normalnie i mam nadzieję, że mi się udaje. Gdybym zaczął: „Hm, słuchajcie, tak się zastanawiam, czy jest szansa, żebyście odświeżyli mi pamięć i opowiedzieli mi wszystko o naszych nastoletnich czasach?”, to wszystko wzięłoby w łeb. A ja po prostu... nie zniósłbym tego, gdyby się nade mną litowali.

Tego nie mogła podważyć.

– Rozumiem. Nie wydaje mi się, żeby było z tobą aż tak źle, Toby, naprawdę, ale... – Dostrzegła mój grymas. – Zapytam.

Odetchnąłem z ulgą.

– Boże, kamień spadł mi z serca. Przez cały dzień kręcę się w kółko i kombinuję, jak to zrobić samemu. Na pewno jest jakiś sposób, ale ta moja głowa... Gdybyś mogła to zrobić, byłoby fantastycznie. Spytałabyś też o Dominica? Jaki był? Jeżeli nie będą chcieli mnie wsypać, może zdradzą na tyle, żebym się domyślił, co było grane. Twoje pytanie nie powinno wydać im się dziwne. Wiadomo, że zajął dość istotne miejsce w naszym życiu, więc to całkiem logiczne, że chciałabyś coś o nim wiedzieć. – Po raz pierwszy zastanowiło mnie, dlaczego Melissa ani razu nie spytała o Dominica.

– Chodzi ci o to, co się z nim stało? – zapytała.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą i odwróciłem się do niej. – Ale istnieje prawdopodobieństwo, że to, jaki był Dominic, ma związek z tym, co się z nim stało... Nie wiem na razie jaki. Ale to nie jest najważniejsze.

Przez moment myślałem, że będzie się opierać, skinęła jednak głową.

– Dobrze. Zapytam o niego.

– Zaczekaj z tym, aż Hugo pójdzie się położyć. Jeżeli rzeczywiście wyskoczą z czymś okropnym, co mam na sumieniu, nie musi tego słyszeć. – No i oczywiście potrzebowałem paru godzin, żeby upić Leona. Rano w monopolowym zaopatrzyłem się w imponujący zapas ginu i toniku, zamierzałem też osobiście nalewać.

– Nie, masz rację. Tak zrobię.

– I... nie zapominaj, że wszystko, o co będziesz pytała, zdarzyło się dziesięć lat temu. Byłem głupim gnojkiem. Pamiętaj też, że i Su, i Leon lubią przesadzać. Jeżeli powiedzą, że zrobiłem coś naprawdę przerażającego, niekoniecznie będzie to oznaczać, że to prawda. Cokolwiek by wypłynęło, mogłabyś mnie z góry nie osądzać i dać mi szansę?

Ostatnia prośba była szczerą i płynęła prosto z serca – istniało w końcu prawdopodobieństwo, niewielkie, ale większe od zera, że Leon będzie próbował dawać do zrozumienia, że jestem zabójcą. Chyba uwierzyła teraz w moją szczerą, bo podeszła do mnie, położyła dłonie na moich ramionach i zajrzała mi w oczy.

– Oczywiście, że dam ci szansę – powiedziała bardzo poważnie. – Zawsze.

– Dzięki. – Objąłem ją jedną ręką i przytuliłem. – Bardzo ci dziękuję, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy zgranym zespołem, co?

– Jesteśmy – przytaknęła. – A teraz... – szybko nabrała tchu i kiwnęła głową – ...pójdę poszukać tych nożyczek. – Wspięła się na palce, żeby pocałować mnie w nos, i odeszła, a ja wróciłem do golenia i w jeszcze lepszym nastroju parodiowania Robbiego Williama.

\* \* \*

Susannie towarzyszył Tom, co nie bardzo pasowało do mojego planu, wolałem się jednak tym nie martwić. Był wczesny wieczór, więc uznałem, że wpadnę na pomysł, jak się go pozbyć. Kiedy czekaliśmy na zamówione jedzenie, podałem gin

z tonikiem jako aperitif (na razie porcje alkoholu były niewielkie, nie było pośpiechu) i śmiałem się z każdego żartu. Moja fryzura prezentowała się całkiem nieźle, a koszula okazała się twarzowa. Wkładając ją, zdałem sobie sprawę, że odzyskałem nieco straconej wagi; wyglądałem i czułem się lepiej niż kiedykolwiek od tamtej nocy. Pamiętałem, żeby odpowiednio często się zacinać, kiedy Leon i Susanna mnie słyszeli („Tom, podać ci drinka?”... „Aha, racja, przecież prowadzisz, przepraszam, już trzeci raz cię pytam, ha, ha!”... „Tak, praca Hugo idzie świetnie, dzisiaj przez cały dzień przeglądał ten... jak to się nazywa, Jezu, mam głowę dziurawą jak sito!”). Radosny idiota, zupełnie nieszkodliwy, którego nie trzeba traktować serio. Wybór muzyki przypadł Melissie, więc w tle pulsowały dźwięki francuskiego bistra, pełne jasnoczerwonych ust i zalotnie rozkołysanych bioder. Melissa dopasowała się do mnie strojem i w rozkloszowanej białej sukience w bukietki zielonych kwiatów dzielnie słuchała Toma, opowiadającego o jakimś drętwym projekcie dioramy, którym pokarał swoich pierwszoklasistów. Nie zbliżała się do Leona i Susanny, jeszcze nie, czekała na odpowiedni moment, tak samo jak ja. Nasza zmowa sprawiła, że opanowało mnie rozkoszne i figlarne poczucie triumfu: oto bierzemy udział w sekretnej misji, brakuje nam tylko tajnego szyfru. Pochwyciłem jej spojrzenie i za plecami Toma puściłem do niej oko, a ona po chwili odmrugnęła.

Hugo siedział uśmiechnięty pośrodku zgromadzenia, ostrożnie sącząc gin, by żadna kropelka nie wyciekła z opadającego kącika ust. Wydawał się jakiś roztargniony i nieobecny – śmiał się z żartów o parę sekund za późno, „Hm?”,

odpowiadał, kiedy pytałem go, co ma ochotę zjeść – co mnie niepokoiło. Wszystko wyglądało jak początek nowego ataku, który, oprócz oczywistych konsekwencji, zastopowałby mój plan na cały wieczór.

Dowiedziałem się, o co naprawdę chodzi, dopiero podczas kolacji. Wszyscy mówili trochę za szybko i za głośno. Kiedy zacinając się, z kretyńskim rozradowaniem oddawałem się kolejnym wspomnieniom z dzieciństwa, Melissa położyła mi dłoń na nadgarstku i ruchem głowy wskazała na Hugo, który starał się zwrócić naszą uwagę.

– Oj – bąknąłem. – Przepraszam.

– Nic się nie stało – odparł, ostrożnie nalewając sobie sos na talerz. – Chciałem wam tylko powiedzieć, zanim zapomnę. Na pewno wszyscy odetchniecie z ulgą, bo już postanowiłem, co się stanie z domem. Zresztą najwyższy na to czas.

Przestaliśmy jeść.

– Odziedziczycie go wszyscy – oznajmił. – Wy troje i wasi ojcowie, w równej części. Mogłoby się wydawać, że uchylam się od odpowiedzialności, pozostawiając wam najważniejsze decyzje... i pewnie tak jest... ale moim zdaniem to jedyne wyjście, które uwzględnia wszelkie zmiany, jakie mogą zajść w waszym życiu. Ktoś się ożeni albo będzie miał dzieci, albo więcej dzieci, albo wyprowadzi się z kraju, albo wróci, albo chwilowo znajdzie się w trudnej sytuacji finansowej i będzie potrzebował dachu nad głową... Chciałbym wyobrazić sobie wszystkie możliwości, ale nie jestem w stanie, po prostu wszystko mi się miesza. Kilka dni temu – zwrócił się do Leona z krzywym uśmiechem – byłem

święcie przekonany, że masz córeczkę. Maleńką, z czarnymi, kręconymi włosami.

– Uchowaj Boże – odparł Leon, wzdrygając się z udawaną zgrozą i częstując się chlebkiem naan. Nie wyglądał za dobrze: podkrążone oczy, sprany sweter i nieogolona twarz w zderzeniu z wyzywającym młodzieżowym stylem dawały wrażenie zaniedbania i znużenia. W rozmowie starał się sypać żarcikami, ale było w tym widać spory wysiłek. – Wolałbym już mieć szympana chorego na wściekliznę. Bez urazy, Su, wasze dzieci to słodkie aniołki, tak tylko mówię.

– Martwiłem się, bo wiedziałem, że nie jesteś już z matką tej dziewczynki – ciągnął Hugo – i bałem się, że nie pozwolą ci się widywać z dzieckiem, jeżeli nie będziesz miał porządnego domu. Pomyślałem więc, że to ty potrzebujesz go najbardziej.

– Dużo bym dał za to, żeby zobaczyć Leona z dzieckiem – wtrąciłem. Nie miałem ochoty tego słuchać. – Jak w kiepskim sitcomie, gdzie dziecko trafia pod niewłaściwy adres. Następuje lawina zwariowanych przygód.

– Próbowałem sobie przypomnieć, jak mała ma na imię – ciągnął Hugo, nie pozwalając zmienić tematu – żeby umieścić ją w testamencie, ale oczywiście nie potrafiłem. Potem uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, żebyś w ogóle wspominał o dziecku, a później, idąc tym tropem, odtworzyłem sobie resztę. Ale rozumiecie, dlaczego nie sądzę, żebym był właściwą osobą do podejmowania decyzji o dalekosiężnych skutkach. – Uśmiech, który nam posłał, był zbyt promienny; zdradzał, jaki to dla niego bolesny fakt. – Więc dom odziedziczy wasza trójka i wasi ojcowie. To w każdym razie powinno rozwiązać główny problem:

nie można go sprzedać bez zgody wszystkich. Reszta należy do was.

– Dzięki – powiedziała cicho Susanna. – Dobrze o niego zadbamy.

– Na pewno – potwierdziłem.

– Nie pozwolę dziecku mazać farbami po ścianach – dołączył się Leon. – Przyrzekam.

Hugo zaśmiał się i sięgnął po ryż, a potem wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

Dostrzegłem jednak coś w twarzy Leona. Później – kiedy Hugo poszedł się już położyć, a reszta zajęła się sprzątaniami po kolacji i mnie i Leonowi przypadło zadanie załadowania naczyń do zmywarki – spytałem mimochodem:

– Masz coś przeciwko temu, że Hugo zapisał dom nam wszystkim?

– To jego dom. Może z nim robić, co chce. – Leon nie podnosił wzroku. Mówił bezbarwnym, oschłym głosem. Kiedy Hugo nie było w pobliżu, przestał udawać beztroskę. – Wydaje mi się tylko, że to koszmarny pomysł. Tak rodzą się właśnie rodzinne.

– Wybrał najlepsze wyjście, jakie przyszło mu do głowy – zauważyła Susanna, przekrzykując szum wody w kranie, pod którym płukała pojemniki po jedzeniu. Prezentowała się znacznie lepiej niż Leon, wyglądała na świeżą i wypoczętą, miała na sobie szarzielony twarzowy sweter, we włosach błyskały spinki z jasnopomarańczowymi kwiatkami, z którymi, jak przypuszczałem, miała związek Sallie. – Jakoś to rozwiążemy.

– Rozwiązujcie to sobie w piątkę. Ja nawet nie chcę wiedzieć. Kiedy zdecydujecie, co chcecie zrobić, przyślijcie mi tylko papier

do podpisania.

– Co? – zdumiałem się. – Przecież to ty odchodziłeś od zmysłów ze strachu, że dom pójdzie na sprzedaż...

– Zanim w ogrodzie pojawił się szkielet i rozpieprzył nam życie w drobny mak. Przepraszam, jeżeli to odrobinę popsuło moje dobre skojarzenia z domem.

Raczej zanim nie minęło zagrożenie, że nowy właściciel o ambicjach odpali tę ukrytą minę. Skoro już eksplodowała, zniknęła potrzeba obrony swojego terytorium. Nie był to przekonujący dowód, ale dodatkowo wzmacniał we mnie przecucie, że dziś jest mój wieczór i wiatr dmie tylko w moje żagle.

– Racja – przyznałem życzliwie.

– Mnie to nie przeszkadza – oświadczyła Susanna. – Już go nie ma. Mamy poświadczenie policji, że teren jest w stu procentach wolny od szkieletów. O ilu domach można to powiedzieć?

Leon z hałasem załadował do zmywarki następny talerz.

– To się wprowadź. Powiedziałem: mnie to nie obchodzi. Czego w tym nie rozumiesz?

Poznałem ten nastrój, podszyty niepokojem i naelektryzowany przekorą, nastrój, który w dzieciństwie zawsze kończył się tym, że dostawaliśmy szlaban albo musieliśmy chować rozbite rzeczy, a pewnego razu zostaliśmy przyłapani przez ochroniarza, który wsadził nas do pokoiku na zapleczu ze sprzętem do sprzątnięcia i trzymał tam, dopóki nie udało mi się go przekonać, aby nas wypuścił, wyjaśniając mu w przejmujących szczegółach, że gdyby mój biedny niepełnosprawny kuzyn został aresztowany, byłby to straszny

cios dla jego niedomagającej matki (muszę przyznać, że również Susanna i Leon pięknie odegrali swoje role; on kołysał się i stukał obcasem w nogę krzesła, ona głaskała go po ręce, wydając uspokajające dźwięki). Próba wyciągnięcia z Leona czegokolwiek, gdy był w takim stanie jak teraz, przypominałaby wyrywanie zębów.

– Dobrze ci zrobi następny gin z tonikiem – zawyrokowałem. – Zresztą wszystkim nam dobrze zrobi. Z ogórkiem czy limonką, czy z jednym i drugim?

– Z ogórkiem – powiedziała Susanna.

– Z limonką – wtrącił natychmiast Leon. – Na ogórek jest za zimno.

– Co to ma do rzeczy? Zresztą jest ciepło, nie wiem nawet, po co w ogóle brałam płaszcz...

– Zaraz, tylko sprawdzę: mamy czerwiec? Siedzimy na pełnym stokrotek trawniku? Nie? W takim razie ogórek nie powinien...

– Mamy jedno i drugie – powiedziała wesoło Melissa. – I chyba są cytryny, chociaż zdaje się, że odrobinę przechodzone. Niech każdy sobie wybierze, co woli.

– Tom, za czym jesteś? – spytałem.

– Hm, mnie nie liczcie – odparł Tom. – Chyba pojedę do domu.

– Nie! – Odegrałem głębokie rozczarowanie. – Jeszcze jest wcześnie. Na jednego możesz sobie pozwolić.

– E, nie. Jestem samochodem...

– Racja! Mówiłeś mi! Jezu, ta moja głowa...

– ...i nie chcę zostawiać mojej mamy z dziećmi na tak długo – wyjaśnił Tom. – Zach ostatnio sprawia trochę kłopotów.

Nie dziwiłem mu się, że się spieszy; „trochę kłopotów” w wykonaniu Zacha oznaczało prawdopodobnie konieczność wezwania antyterrorystów i oddziału zwalczania broni biologicznej.

– Wiem, że czasami z Zacha wychodzi półdiablę, ale pracujemy nad tym – powiedziała Susanna, widząc moją minę. – Wystarczy tylko, żeby pojął, że inni ludzie też są prawdziwi, i wszystko wróci do normy. Zachowywał się już dużo lepiej, ale kiedy znalazł tę czaszkę, to jakby dostał obuchem. Jeżeli inni ludzie są prawdziwi, to oczywiście oznacza, że czaszka była kiedyś rzeczywistą osobą, a z tym nie potrafi sobie poradzić. To mu się nie mieści w głowie, więc jest nie do wytrzymania.

– No tak – bąknąłem. – Jasne.

– Bo to naprawdę przeżycie. – Tom klepał się po kieszeniach, rozglądając się, jakby coś zgubił. – Nawet nam z trudem mieści się to w głowach, chociaż jesteśmy dorośli. W końcu mu przejdzie. Miłego wieczoru. – Pomachał dobrotliwie do nas wszystkich, a do Susanny, która nadstawiła mu twarz do pocałowania, powiedział: – Nie musisz się spieszyć. Baw się dobrze.

– Przepraszam – zwrócił się do wszystkich Leon, gdy Tom wyszedł. – Że się tak wrednie czepiam.

– Nic się nie stało – uspokoiłem go.

Melissa uśmiechnęła się i rzuciła mu limonkę.

– Proszę. Dla poprawienia nastroju.

– Jestem dzisiaj kłębkiem nerwów. Wkurzył mnie telefon od szefa, który wydzierał się na mnie i dopytywał, kiedy wrócę...

– Szczerze mówiąc, trudno mu się dziwić, że chciałby się dowiedzieć – powiedziała Susanna, starannie krojąc ogórek.

– Ale nie musiał tego robić jak ostatnie bydlę. – Leon oparł się łokciami o blat i przycisnął palcami kąciki oczu. – Nie wiem nawet, dlaczego tak się tym przejmuję. Prawdopodobnie i tak wyjadę. Berlin mnie nudzi.

– Co? – Odwróciłem się zaskoczony z butelką ginu w ręce. – A co z tym... Jak on ma na imię?

– Carsten. Czy ja ciągle zapominam imienia Melissy?

– Pewnie byś zapominał, gdyby cię parę razy walnęli w głowę – odparłem. Coraz łatwiej mówiło mi się takie rzeczy, co mi pomagało, a równocześnie mnie niepokoiło.

– W życiu. – Leon uśmiechnął się do Melissy, choć z wyraźnym trudem. – Kogoś takiego się nie zapomina. W każdym razie... – wziął od Susanny nóż i zabrał się do limonki – Carsten jakoś to przeżyje. Chyba zresztą i tak mnie zdradza, a przynajmniej o tym myśli.

– Nie zdradza cię – powiedziała Susanna, jak mówiła już kilka razy wcześniej.

– Ciągle wspomina o swoim byłym.

– Jak o nim wspomina? „Boże, jak ja tęsknię za moim cudownym byłym, całe szczęście, że nie skasowałem jego numeru”? Czy raczej „Ach, tak, pamiętam ten film, chyba oglądałem go z tym... jak mu było?”.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Wspomina o nim i tyle.

– Szukasz pretekstu.

– Nie szukam. Mam już dość Berlina i nie zamierzam tam tkwić dla kogoś, kto nie potrafi przestać kłapać dziobem o innym

facecie. Co was to obchodzi? Nawet nie znacie Carstena... zresztą wcale nie z mojej winy, zapraszałem was do siebie tysiąc razy...

– Szukasz pretekstu jak nic. Dlatego ciągle tu jesteś. Liczysz na to, że w pracy stracą do ciebie cierpliwość i cię wywalą.

– Możemy już o tym nie rozmawiać? – spytał nagle. Mówił o pół tonu za głośno. – Proszę.

– Twoje życzenie jest dla nas rozkazem. – Mijając Leona, klepnałem go w ramię, aż się skrzywił. – Dzisiaj mamy się wyluzować, pamiętasz?

– A właśnie, dobrze, że przypomniałeś! – Susanna poszperała w kieszeni dzinsów, wyjęła coś małego i rzuciła mu. – Proszę.

Złapał przedmiot i w zdumieniu rozdziawił usta.

– Boże drogi. Serio?

– Dla ciebie wszystko, skarbie. Poza tym, jeżeli dalej będziesz się stresował, zaczniesz też stresować mnie.

– Królowo – powiedział Leon ze szczerym podziwem.

– Skręć. Zanim dostaniesz udaru.

– Jesteś królową – przyznałem mu rację. Doskonale, właśnie tego potrzebowałem, żeby wszyscy się rozluźnili. Powinienem sam o tym pomyśleć, ale fakt, że Susanna zrobiła to za mnie, był jak dar z niebios, który wpadł prosto w moje ręce. – Wydawało mi się, że nie chcecie robić niczego ryzykownego, żeby policja się nie dowiedziała.

– Bo nie chcę – rzuciła. – Ale nie chcę też, żeby Leon doprowadził się do załamania nerwowego.

– Próbowałem nawet szukać – powiedział. – Kręciłem się przy toaletach w jednym okropnym nocnym klubie. Już zapomniałem, jakie syfiaste są kluby w Dublinie, mógłbym wrócić do Berlina

choćby dla nocnego życia. Proponowano mi kilka ciekawych rzeczy, ale nikt nie miał haszu. Jakież braki na rynku?

– Na to wygląda. Żeby to zdobyć, musiałam uruchomić prawie wszystkie swoje kontakty.

– Tom wie, że palisz?

Susanna uniosła brew.

– Pytasz, jakbym była nałogowym trawiarzem. Przypalam najwyżej parę razy w roku.

– Czyli nie wie.

– Właśnie, że wie. A Carsten wie, że jesteś głąbem?

– Przestańcie się kłócić! – zawołałem. – Proponuję wynieść towar na zewnątrz i zawrzeć z nim znajomość.

Zabraliśmy wszystko – szklanki, gin, tonik, pojemnik z lodem, limonki, ogórki, przechodzone cytryny – i postawiliśmy na tarasie. Leon rozłożył bibułę i zaczął rozrywać zioło. Melissa i ja przynieśliśmy z salonu narzuty i poduszki – Susanna przesadzała: wieczór wprawdzie nie był zimny, ale ściemniało się, a po ogrodzie hulał niespokojny wiatr i nie napotykając bariery w postaci krzewów i wysokich traw, kołysał gałęźmi drzew i wciskał się w najdalsze zakątki. Nalałem drinki – ze sporą porcją ginu dla Leona i Susanny – a Melissa uzupełniła je dodatkami.

– Proszę. – Postawiłem szklankę przy łokciu Leona. – Mnóstwo limonki.

– A dla mnie mnóstwo ogórka. – Susanna rozciągnęła się na wznak i uniosła szklankę w kierunku Leona. – Jako że mamy czerwiec na trawniku pełnym stokrotek.

– Bądź już cicho. – Pokazał nam sporego, fachowo zrobionego skręta. – Sprawdźmy, co się nam trafiło.

Zapalił, głęboko się zaciągnął i wstrzymał oddech.

– Matko święta... – Z załzawionymi oczami wydał z siebie zduszony pisk szczerego uznania. – Co za towar. Jesteś prawdziwą świętą – zwrócił się do Susanny. – A ty – popatrzył na mnie – geniuszem. Pomysł tego wieczoru był naprawdę genialny.

– Uznałem, że wszystkim przyda się chwila wyluzowania – odparłem skromnie. Usadawiłem się pod ścianą domu, wyprostowałem nogi i przytuliłem do piersi Melisę, która przykryła nas narzutą. – Jak powiedział Tom, coś takiego nikomu się w głowie nie mieści.

– Tamci to para skurwieli – oznajmił Leon. Oparł się o ścianę i znowu zaciągnął się jointem. – Ci detektywi. Naprawdę. Myślę, że to kompletni sadystyczni psychopaci, którzy po prostu znaleźli sposób, jak na tym zarabiać.

– To ich praca. – Susanna naciągnęła na siebie narzutę. – Zależy im na tym, żeby namieszać ludziom w głowach i ich skłócić. Nie daj się na to nabrać.

– I kto to mówi?

– Ciii. Weź jeszcze bucha.

– Znalazł się klucz do wejścia do ogrodu – powiedziałem. Nie zamierzałem wspominać o sznurku od bluzy, jeśli oni nic o nim nie powiedzą. – Mówili wam?

– Boże, tak – potwierdziła Susanna. – Dramatyczne napięcie, werbel, ta-dam, patrzcie, co odkryliśmy w drzewie! A potem ci dwaj siedzą i mierzą cię wzrokiem dyrektora szkoły, który mówi:

„Czekam na wyjaśnienia, młoda damo, nie wyjdziemy stąd, dopóki ich nie usłyszę”.

– Jezusie kochany, ten wzrok. – Leon podał skręta Melissie. – Boję się, że chlapnę coś okropnego. Wiecie, to jest takie uczucie, jakie ma dzieciak w kościele. Zaczynasz się zastanawiać, co się stanie, jeżeli wrzaśniesz „Dupa!” w najbardziej podniosłej chwili, a potem nie możesz przestać o tym myśleć i jesteś przerażony, że naprawdę to zrobisz. Słowo daję, jeżeli ci goście będą tak na mnie patrzeć, prędzej czy później nie wytrzymam i krzyknę „Dupa Dominica Ganly’ego!”.

– „Jaki był charakter twoich relacji z dupą Dominica Ganly’ego?” – zapytała Susanna, całkiem nieźle naśladując niewzruszony ton Rafferty’ego i jego wyraźny akcent z Galway. Ilekroć słyszałem ten akcent, coraz bardziej działał mi na nerwy. – „Czy dochodziło do jakichś nieporozumień między tobą a dupą Dominica Ganly’ego?”

– Przestań. – Leon dostał ataku chichotu. – Teraz na pewno to zrobię i aresztują mnie za bezczelność i to będzie tylko twoja wina...

– „Czy tamtego lata dupa Dominica Ganly’ego zachowywała się dziwnie?” – podchwyciłem. – „Czy nie wydawało ci się, że dupa Dominica Ganly’ego jest w depresji?”. – Leon zgiął się wpół, rozpaczliwie machając ręką i rżąc ze śmiechu.

Melissa też się śmiała i pryskała kropelkami śliny – nie była amatorką haszu, zwykle wystarczało jej parę drinków.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

Kiwnęła głową, podając mi skręta ponad ramieniem i wciąż nie mogąc wykrztusić słowa.

– Łaaa – sapnąłem, gdy uderzyła mnie pierwsza fala. –  
Faktycznie niezły towar.

– Mówiłem. – Leon błogo westchnął. Opierał głowę o ścianę  
i miał zamknięte oczy.

– Zawsze myślałam, że to ty – powiedziała do mnie Susanna. –  
Że ty wzięłeś klucz.

Dym trafił mi do nosa.

– Ja?!

Wzruszyła ramionami.

– Zginął na urodzinach Leona. Wcześniej zapomniałam, ale po  
tym, jak się nad tym zastanowiłam, jestem pewna, że to było  
wtedy. Po południu jeszcze wisiał... Pamiętasz, Hugo rozkopywał  
ziemię, żeby urządzić skalniak, a my wynosiliśmy śmieci na  
uliczkę? Ale następnego dnia, kiedy poszłam wpuścić Faye, już go  
tam nie było. A tylko ty i Dominic w czasie imprezy byliście w tej  
części ogrodu. Ziemia była strasznie zryta, ktoś wpadł do dziury  
i cały się ubłocił, więc później wszyscy zostaliśmy po tej stronie,  
na trawie.

– Tak – właśnie udało mi się opanować kaszel – wiem. Po co  
mielibyśmy się tam zapuszczać z Dominikiem?

– Wciągaliście koks... Daj spokój, Toby, wiem, że byłam  
naiwna, ale nie kryliście się z tym zbyt subtelnie. Wymknęliście  
się tam razem, a kiedy wróciliście, rechotaliście, pocieraliście  
sobie nosy, zakładaliście sobie nawzajem chwytę na głowę  
i gadaliście jak nakręceni. Pamiętasz?

Niestety, pamiętałem. *Chodź no, Henno, chcę pogadać.*  
Biegniemy w głąb ogrodu... Dominic klnie, bo wdepnął głęboko

w błoto... śmieję się z niego... kreski zrobione na starym stoliczku przy świetle mojego telefonu.

– Do czego miałyby mi być potrzebny ten klucz?

Susanna wzruszyła ramionami, po czym usiadła, żeby wziąć ode mnie jointa.

– Skąd mam wiedzieć? Pomyślałam sobie, że skoro Faye przestała ci się podobać... oczywiście, że wiedziałam, że do niej startujesz... to może wolisz, żebym jej więcej nie wpuszczała.

– Guzik mnie obchodziło, czy wpuszczasz co wieczór Faye, czy nie. I to wcale nie tak, że przestała mi się podobać. Nie chodziliśmy ze sobą, tylko... Zresztą to nie ma żadnego znaczenia. Daj spokój. – Nie miałem ochoty rozmawiać na ten temat przy Melissie.

– Pomyślałam też, że może Dominic próbował rąbnąć klucz dla kawału, a ty mu go zabrałeś i zgubiłeś... Nie wiem, Toby, nie analizowałam tych możliwości aż tak dokładnie. Po prostu doszłam do wniosku, że ty go masz.

– Nie miałem. Jezu.

Susanna spojrzała na mnie z ukosa.

– Nie pamiętasz nawet, że wciągałeś kokę. Skąd możesz mieć pewność, że nie wzięłeś klucza?

– Bo nie było żadnego powodu, żebym go brał.

– Hm. – W zamyśleniu wypuściła długą smugę dymu. – W takim razie to musiał być Dominic.

– Mówiłaś detektywom? Że myślałaś, że to ja? Powiedz, że nie.

– Oczywiście, że nie. Powiedziałam „dupa Dominica Ganly’ego”.

Leon znowu zaczął chichotać.

– Su, pytam serio. Mówiłaś...

– Nie, nie mówiłam. Przecież powiedziałam, że nie miałam pojęcia. Uspokój się.

Przez złość na Susannę mało brakowało, żebym nie zwrócił uwagi na jedną rzecz: miała rację. Jeżeli nie zabrałem klucza i nikt inny nie zapuszczał się do tamtej części ogrodu, musiał go mieć Dominic.

– Po co Dominic chciałby mieć klucz do naszego ogrodu? – spytałem.

Susanna wzruszyła ramionami.

– Skąd mam wiedzieć? Może kradł różne przypadkowe drobiazgi, bo myślał, że to zabawne.

Hasz robił swoje; gin z tonikiem zyskał zupełnie nowy roziskrzony smak; czułem, jak każdy bąbelek pęka mi na języku.

– Kiedyś dla kawału Dec ukradł panu Galwinowi listę zakupów – powiedziałem. – Rąbnął ją prosto z biurka, kiedy oddawaliśmy zadania domowe. Było na niej napisane „keczup, heineken, pianka do golenia, prezerwatywy”. No więc Dec pstryknął zdjęcie listy i zrobił z niej wygaszacz ekranu w całej sali komputerowej.

– To był Dec? – zdziwił się Leon, wyraźnie pod wrażeniem tego wyczynu. – Wszyscy mówili, że to Eoghan McArdle.

– Ciii. Nikt nie musi wiedzieć.

– Szkoda, że was wtedy nie znałam – odezwała się Melissa; powiedziała to w rozmarzeniu, patrząc na ciemniejący ogród, ale odczytała sygnał, jaki jej dałem. Poczulem, jak jej ciało spręży się i spina, do biegu, gotowi, start. Zachęciłem ją lekkim uściskiem.

– Nie żałuj – rzuciła Susanna. – Uwierz mi.

– Czemu?

– W wieku osiemnastu lat nikt nie jest sobą w swoim najlepszym wydaniu. Pewnie w ogóle byś nas nie polubiła.

– Nie słuchaj jej. – Pochyliłem głowę, żeby musnąć nosem włosy Melissy. – Mnie byś pokochała. – Leon wydał dźwięk przypominający prychnięcie, choć w tak niewielkim stopniu, że w razie czego mógłby zaprzeczyć. – A ja pokochałbym ciebie.

– Wyobrażam sobie, że było wam wspaniale – ciągnęła Melissa. Leon podał jej skręta; pokręciła głową i oddała go mnie. – Bawiliście się razem i wygłupialiście, urządzaliście pikniki na trawie i gadaliście całymi nocami. Toby czasem mi o tym opowiada.

Tym razem prychnięcie Leona nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

– Nie wierz w ani jedno jego słowo.

Miało to zabrzmieć żartobliwie, ale przebijał z tego tak cierpki ton, że Melissa odwróciła się i spojrzała na niego zdziwiona.

– Uwielbiam te historie. Było inaczej? – spytała. – Toby nie był szczęśliwy?

– Och, był strasznie szczęśliwy – przytaknął Leon. – Naszego Toby’ego nie trapiły żadne egzystencjalne lęki.

– Jaki był? Sympatyczny?

– Byłem święty – oznajmiłem. – Uczyłem się dwadzieścia cztery godziny na dobę, a w wolnym czasie czytałem sierotom bajki na dobranoc i ratowałem przed śmiercią małe foki.

– Ciii, głuptasie. Nigdy nie mówisz o tym poważnie. Pytam ich.

– Toby był w zasadzie Tobym – powiedziała Susanna. – Miał osiemnaście lat, więc bywał trochę bardziej hałaśliwy i antypatyczny, ale zawsze był mniej więcej sobą.

– Dzięki – odparłem. – To chyba miłe.

– Był hałaśliwy i antypatyczny? – zwróciła się Melissa do Leona.

– Jesteśmy ostatnimi ludźmi, których powinnaś o to pytać. – Susanna obróciła się na brzuch, by sięgnąć po szklankę. – Za dobrze się znamy, trudno nam się nawzajem oceniać.

– Chciałabym mieć takich kuzynów. – Melissa wtuliła głowę w zagłębienie mojego ramienia i słuchała z tym samym bezkrytycznym zachwytem, jaki u niej widziałem, gdy opowiadałem historie z dzieciństwa. – Moi są sympatyczni, ale nigdy nie widywaliśmy się za często. Taka bliska więź musiała być cudowna.

– Wcale nie była aż tak bliska – sprostował Leon. – Gdy byliśmy mali, może tak, ale kiedy skończyliśmy osiemnastkę... już nie tak bardzo.

– Co? Oczywiście, że tak – zaprotestowałem. – Spędzaliśmy tu razem całe wakacje...

– Jasne, a w trakcie roku szkolnego prawie w ogóle się nie spotykaliśmy. Zresztą to nie tak, że przez wakacje siedzieliśmy przytuleni do siebie i zwierzałyśmy się sobie ze wszystkiego.

Nie byłem pewien, co o tym myśleć. Jeśli o mnie chodzi, dawna więź przetrwała przez całą szkołę średnią, dopóki nie zaczął się college i każde z nas poszło w swoją stronę. Czułem do nich dokładnie to samo co zawsze i zakładałem, że oni też, dlaczego miałyby być inaczej? Nie wiedziałem, czy Leon pisze historię na nowo, żeby złagodzić wyrzuty sumienia z powodu numeru, jaki próbował mi wyciąć, czy rzeczywiście po drodze przegapiłem jakąś subtelną, ale istotną zmianę.

– Jasne, nadal się kochaliśmy i tak dalej – powiedziała Susanna na widok mojej miny. – Po prostu nie byliśmy już swoimi najlepszymi kumplami. To całkiem naturalna rzecz.

– A wy dwoje? – zapytała Melissa. – Byliście wtedy mniej więcej tacy sami?

– Ja byłam skończonym kujonem – poinformowała ją wesoło Susanna. – Kompletnie oderwanym od rzeczywistości. Ktoś mógł ze mnie kpić w żywe oczy albo przystawiać się do mnie, a ja zupełnie nie kumałam, o co chodzi. Przypuszczam, że teraz mam więcej zdrowego rozsądku, ale trudno się dziwić, że wolę tak myśleć, prawda?

– A ja byłem ofermą – oznajmił lakonicznie Leon, strzepując popiół.

– Nie byłeś – odparła zdecydowanie i bez namysłu Susanna. – Byłeś super. Inteligentny, dobry, zabawny, odważny, bez zarzutu.

Uśmiechała się do niego. Jej twarz była pełna ciepła, malowało się na niej coś w rodzaju nieskrywanego podziwu, który zupełnie mnie zaskoczył. Leon? Co takiego wspaniałego było w Leonie? Uśmiechnął się w odpowiedzi, ale krzywo.

– Pewnie, że tak – odparł. – Niestety, nikt oprócz ciebie tego nie zauważał. – Zwracając się do Melissy, wyjaśnił: – Byłem takim chłopakiem, któremu wsadzali głowę do kibla i podrzucali różne świństwa do pudełka z kanapkami.

– Biedny Leon. – Melissa wyciągnęła rękę, żeby uścisnąć mu dłoń. Nie wiedziałem, czy naprawdę jest trochę wstawiona, czy udaje. Jeżeli grała, to była w tym wyjątkowo dobra. – To okropne.

– Jakoś przeżyłem. – Odwzajemnił uścisk.

– Toby dobrze się tobą opiekował?

– Nawet nie tak źle – powiedziała Susanna. – Zabierał nas na fajne imprezy. Ostrzegał mnie, kiedy chłopak, który próbował do mnie zagadywać, był debilem. W zasadzie udzielał mi wystarczająco dużo informacji, żebym nie robiła z siebie kompletnej idiotki, przynajmniej nie za często. I był przy tym nawet taktowny... przeważnie.

– Dziwne – odezwała się rozmarzonym głosem Melissa. – Nie spodziewałabym się tego po nim.

Nawinąłem na palec kosmyk jej włosów.

– A czego byś się spodziewała?

– Wyobrażałam sobie, że byłeś mniej troskliwy. Za bardzo zajęty swoimi sprawami, żeby zauważyć problemy kogoś innego.

– Ej! – Udałem urażonego.

– Nie w negatywnym sensie. Po prostu brykałeś sobie z głową pełną tylu rzeczy, że nie było tam miejsca, żeby się zorientować... Mnóstwo nastolatków tak się zachowuje. On też? – spytała Leona i Susanny.

Szczerze mówiąc, poczułem lekki niepokój. Wyglądało na to, że Melissa ma rację, nie rozumiałem jednak, skąd mogła wiedzieć takie rzeczy. Jeżeli nawet byłem zaabsorbowanym sobą smarkaczem, to dawno temu, wiele lat przed tym, jak mnie poznała.

– Czasami nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje – przyznała Susanna. – Ale nie było w tym złych intencji. Po prostu, jak powiedziałaś, był nastolatkiem.

Pochwyciłem jednak ostrzegawcze spojrzenie, jakie posłała Leonowi. Zamierzał coś powiedzieć, lecz zamknął usta i skupił się na gaszeniu skręta na podłodze tarasu. Dziwnie się poczułem,

widząc w nich wrogów. Ogarnął mnie głęboki niepokój, jakbym nagle zobaczył świat przez ciemne, zniekształcające szkło i nie miał pojęcia, która wersja jest prawdziwa.

Melissa też dostrzegła to spojrzenie, w każdym razie zauważyła coś, co kazało jej przejść do następnego zadania.

– A Dominic Ganly? Jaki był?

– Nie znaliśmy go za dobrze – odparła Susanna. – Toby widywał go o wiele częściej.

– Toby twierdzi, że nigdy nie poświęcał mu uwagi.

– Bo to prawda – przytaknąłem. – Dominic po prostu był. Tak samo, jak prawie nie zauważasz ludzi, których cały czas widzisz. Zresztą może masz rację, pewnie czasem nie zdawałem sobie sprawy z niektórych rzeczy. – Dostrzegłem uniesioną drwiąco brew Leona, jakby pytał „Tak sądzisz?”, nie odezwał się jednak ani słowem.

– Ciągle mnie zastanawia – kontynuowała Melissa. – Z początku myślałam tylko: szkoda, biedny chłopak. Przecież właściwie był jeszcze dzieckiem, prawda?

Leon gwałtownie się poruszył, ale zamaskował to, udając, że zamasyście sięga po bibułki Rizla. Melissa była w tym naprawdę dobra. Nie spodziewałem się tego po niej i przeniknął mnie słodki dreszcz triumfu: kiedy działaliśmy we dwoje, nie było na nas mocnych.

– Tyle że przedwczoraj byli tu na kolacji Sean i Declan – powiedziała. – Oni naprawdę nie lubili Dominica. Prawda? – zwróciła się do mnie.

– Na to wygląda – potwierdziłem.

– Co mówili? – zainteresowała się Susanna.

– Nie wchodzili w szczegóły – odparła Melissa. – Może nie chcieli źle mówić o zmarłym. Ale najwyraźniej nie uważali go za bardzo dobrego człowieka.

Leon zaczął pracować nad drugim skretem; nie unosił wzroku znad płomyka zapalniczki.

– Mieli rację? – zapytała Melissa.

– Sean i Dec to nie są idioci – zauważyła Susanna, wylawiając ze szklanki plasterki ogórka i skubiąc go. – W każdym razie wtedy nie byli... dawno ich nie widziałam. Jeżeli uważali go za nieprzyjemnego typka...

– Przecież mieli po kilkanaście lat – wtrąciłem. – W tym wieku wszystko jest czarno-białe. Wystarczy jedna głupia kłótnia... nie wiem... o mecz rugby i nagle...

– Dominic był zwykłym bydlakiem – odezwał się ostrym tonem Leon.

– W zasadzie tak – zgodziła się Susanna. – Z tego, co widziałam.

– Bydlakiem w jakim sensie? – pytała dalej Melissa.

Susanna wzruszyła ramionami.

– W typowym. Był wysoki, przystojny, miał powodzenie, dobrze grał w rugby...

– Co w naszej szkole oznaczało, że dosłownie wszystko uchodziło ci na sucho – wyjaśnił Leon.

– Właśnie – potwierdziła Susanna. – No więc jemu też uchodziło. Na ogół znęcał się nad ludźmi. Wcale nie był kimś wyjątkowym... w szkole często się to zdarzało. A jednak pamiętam, że nawet na tym tle wyróżniał się dość paskudnym zachowaniem.

Czekałem, by Melissa naciskała dalej – „Dlaczego, co takiego robił, nad tobą też się znęcał?” – ale nie zrobiła tego. Usiadła, odgarnęła włosy z twarzy i sięgnęła po szklankę.

– Niektórzy ludzie są po prostu nieprzyjemni – skwitowała. – Nie lubię tak myśleć, ale są. Najlepiej trzymać się od nich z daleka. Jeżeli tylko się da.

Próbowałem złowić jej spojrzenie, ale nie patrzyła na mnie.

Susanna zaśmiała się cicho, odwracając się w stronę nieba: było już granatowe, nad drzewami wisiał ciężki księżyc.

– Amen – rzuciła.

– No dobra – odezwałem się, podnosząc rękę, by zwrócili na mnie uwagę. – Pytanie. Mam jedno pytanie. Jaka jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiliście?

– Boże drogi, jakbyśmy znowu mieli po dziesięć lat – odparł Leon. Robił skręta z niezwykłą precyzją, pochylony, niemal dotykając nosem dłoni. – Gramy w „Prawda czy Wyzwanie”, tak? Czy jeżeli wybiorę wyzwanie, znowu będę musiał wleźć na drzewo i pokazać sąsiadom goły tyłek?

– Jezu, zapomniałam o tym – powiedziała Susanna i wyjaśniła Melissie: – Starsza pani, jak jej tam, z domu obok była wtedy w ogrodzie, ale nie miała okularów, więc nie domyśliła się, co widzi. Stała tam i wpatrywała się w lśniący biały tyłek...

Leon wybuchnął śmiechem.

– „Księżniczko? Nie umiesz zejść? Chodź tu, kici, kici, kici...”

– Leon tak się śmiał, że bałam się, że zleci z drzewa...

– Przestańcie – zgasilem ich. – Mówię serio.

– Jezu. – Susanna wysoko uniosła brwi. – Coś ty takiego robił? Handlowałeś bronią w tej swojej galerii?

– Nic nie wyjdzie poza ten ogród. Przysięgam. Po prostu chcę wiedzieć.

– Z jakiego powodu?

– Bo tak. Dużo myślałem. W związku z tym... – Wiotką ręką zakreśliłem łuk, pokazując ogród, dom i wszechświat w ogóle. Nie byłem tak wstawiony i upalony, jak udawałem, ale moje ręce i nogi zyskały interesującą autonomię, a oświetlone okna w apartamentowcu w przedziwny sposób oderwały się od ścian i wesoło podrygiwały. – No bo weźmy Dominica. Pewnie uważał się za dobrego chłopaka. I większość ludzi tak uważała... na przykład ja, a przynajmniej zakładałem, że pewnie jest dobry, bo większość ludzi jest, prawda? Z tego jednak, co mówicie, i co mówili Sean i Dec... rany, wynika, że może jednak wcale nie był taki dobry. – Udałem, że nie zauważam sardonicznego spojrzenia Leona. – A z drugiej strony jest ktoś taki jak Hugo. To dobry człowiek. Nie wiem, czy sam zdaje sobie z tego sprawę, ale my tak. No i nie ma gwarancji, że kiedy go już nie będzie, niektórzy nie będą mówić o nim inaczej. Ale przynajmniej my powiemy światu, gdyby oczywiście było trzeba, że był dobrym człowiekiem. Bo jest. No więc... – trochę zapomniałem, do czego właściwie zmierzam – ...chyba rozumiecie, o co mi chodzi.

– Nie bardzo – przyznała Susanna, dolewając do szklanek i przypatrując mi się z zaciekawieniem.

– No dobra... – znalazłem zgubiony wątek. – W każdym razie to daje do myślenia, nie? Zawsze uważałem się za przyzwoitego gościa. Ale czy świństwa, jakie zrobiłem w życiu... Kto ich nie robi? Ale czy te świństwa są aż takie złe, żebym przestał się zaliczać do dobrych ludzi? – Spoglądałem zdziwionym wzrokiem

to na Leona, to na Susannę. – Nie myślcie o tych sprawach? Serio?

– Nie. – Leon jednym wprawnym ruchem języka zwilżył brzeg bibułki. – I nie zamierzam, dziękuję.

– Ja to chyba widzę inaczej – odparłem po chwili. – Z innej... z innego punktu widzenia. Nie wiem, czy ktoś wam to mówił, ale wiosną mogłem umrzeć... po włamaniu... o mało wtedy nie umarłem.

Melissa wydała cichy dźwięk, gwałtowny wdech. Nie patrzyłem na nią.

– Takie coś może cholernie namieszać we łbie – ciągnąłem. – Bo nie wiem... czy gdybym umarł... to czy przestałbym się zaliczać do dobrych ludzi, czy nie. Nie mówię o niebie i piekle, nie chodzi mi... To po prostu ważne. Dla mnie. Dlatego naprawdę chciałbym, żebyście o tym pomyśleli. Przez parę minut. Zależy mi.

Susanna odwróciła głowę, żeby na mnie popatrzeć; w ten sposób połowa jej twarzy znalazła się w cieniu i nic nie mogłem wyczytać z jej wyrazu.

– Okay – powiedziała. – Zagram z tobą. Jeżeli ty też zagrasz.

– Dzięki, Su. – Uniosłem szklankę w jej stronę i udało mi się nie uронić ani kropli. – Poważnie. Jesteś wielka. Wymiatasz. Rządzisz.

– No to posłuchajmy. Co takiego zrobiłeś?

– Ty pierwsza – rzuciłem.

– Dlaczego?

– Bo tak. Muszę najpierw posłuchać innych.

Susanna rozciągnęła się na wznak z rękami pod głową i spojrzała w niebo. Krzywizna szyi, wzburzona fala okrywającej ją narzuty, długie linie wyprostowanych nóg – wszystko skąpane w białym, zimnym blasku księżyca. Wyglądała jak posąg wyrzucony przez morze na pustą plażę, gdzie nikt go nigdy nie znajdzie.

– No dobrze – zaczęła. – Mogłam kogoś zabić... w pewnym sensie.

Leon, który właśnie zapalał skręta, zakrztusił się i kaszel zgiął go wpół.

– Co?! – bąknąłem.

– Su... – wyrzęził gorączkowo Leon.

– Przecież nie Dominica – z rozbawieniem wyjaśniła nam obu Susanna. – Jezu. Dwóch histeryków.

– Co jest, kurwa... – wychrypiał Leon, wachlując się z załzawionymi oczami.

– Oddychaj.

– O mało nie dostałem zawału.

– Napij się.

– Okay – uciałem. – No więc kogo zabiłaś, do cholery? Czy raczej w pewnym sensie zabiłaś?

– No... – Susanna uniosła plecy, żeby coś spod nich usunąć, po czym ułożyła się wygodniej. – Pamiętasz, jak ci mówiłam, że lekarz, który odbierał Zacha, był skończonym gnojkiem?

Pamiętałem dobrze tę rozmowę, nawet jeśli umknęły mi szczegóły.

– Tak.

– To był czubek góry lodowej. No więc zmuszanie mnie do rzeczy, których nie chciałam robić, sprawiało mu prawdziwą przyjemność, naprawdę lubił mi zadawać ból. Przy każdej wizycie... nigdy wcześniej nie rodziłam i byłam taka młoda, że żadna z moich koleżanek też nie miała jeszcze dzieci, więc nie miałam pojęcia, że to nie są standardowe zabiegi. Nawet do głowy mi nie przyszło, żeby go zostawić i poszukać sobie innego lekarza. Ale przy Sallie pomyślałam, pieprzyć go, poszłam gdzie indziej i po prostu rewelacja. Okazało się, że te tortury wcale nie były standardowe.

– Nigdy mi nie mówiłaś – powiedział Leon.

– To nie był temat na pogaduszki przy kawusi. Na pewno nie chciałbyś słuchać o wszystkich drastycznych szczegółach.

– Byłoby mi wszystko jedno. Okropne, że wolałaś radzić sobie z tym zupełnie sama... – Był upalony, wytrzeszczał oczy i wyglądał na autentycznie zdenerwowanego. – Powiedziałaś przynajmniej Tomowi?

– Nie. Miał inne sprawy na głowie. Ja zresztą też. Wtedy naprawdę o tym nie myślałam. – Susanna uśmiechnęła się do niego. – Nic mi się nie stało. Słowo daję. Wiedziałam, że załatwię to, gdy będę miała okazję.

– No i co? – Wyciągnąłem rękę, żeby wziąć skręta od Leona; uznałem, że już mu wystarczy. Ukradkiem zerknąłem na Melisę, która prawdopodobnie usłyszała dużo więcej, niż się spodziewała, ale w milczeniu siedziała po turecku z kocem na kolanach, trzymając w obu rękach szklankę i przyglądając się Susannie.

– No i załatwiłam to – ciągnęła Susanna. – Kiedy urodziła się Sallie i sytuacja się uspokoiła, wpadłam na pomysł. Jeżeli facet robił mi takie rzeczy, to było jasne, że robił to wielu innym. Był po pięćdziesiątce, musiał mieć tysiące pacjentek. Umówiłam się do niego na wizytę pod fałszywym nazwiskiem, żeby nie mógł mnie potem szukać. Wykluczone, żeby po trzech latach pamiętał, jak się naprawdę nazywam. Powiedziałam mu, że jestem jego byłą pacjentką i zamierzam złożyć na niego skargę. Roześmiał mi się prosto w oczy: niespodzianka. No więc powiedziałam mu, że przez internetowe forum młodych matek namierzyłam dwadzieścia parę jego pacjentek, że wszystkie chcą złożyć skargi, a osiem z nich nagrywało telefonami wizyty u niego.

– Łaaa! – Bez trudu wyobraziłem ją sobie, jak tego dokonuje: spokojna, wyprostowana, skrupulatnie wylicza po kolei wszystkie punkty jak podczas prezentacji. Susanna zawsze była zabójczo skuteczną pokerzystką. – I co on na to?

– Kompletnie przestał nad sobą panować. Ale nie ze strachu, z wściekłości. To było najbardziej zdumiewające. Nie udawał, był naprawdę święcie oburzony. Wymachiwał mi palcem przed nosem, groził, że wsadzi mnie do czubków, zadzwoni do urzędu i załatwi, żeby odebrali mi dzieci. Powiedziałam mu, że mogę wrzucić do sieci nagrania szybciej, niż on zdąży zadzwonić, i zapytałam, co zamierza zrobić z tamtymi dwudziestoma sześcioma kobietami. Czy wszystkie chce wysłać do czubków? I z resztą, których jeszcze nie znalazłam, ale na pewno się zgłoszą, kiedy się o tym dowiedzą? Wyrzucił mnie z gabinetu. A potem... – Susanna wyciągnęła do mnie rękę po skręta – ...pięć dni później w internecie pojawił się jego nekrolog. Nie wiem, czy

to był zawał, czy coś innego, czy sam to sobie zrobił. Tak czy inaczej, jest spore prawdopodobieństwo, że miałam z tym coś wspólnego.

– Nie mogłaś wiedzieć – odezwała się Melissa, choć Susanna wyraźnie nie potrzebowała żadnych słów pocieszenia. – Skąd mogłabyś wiedzieć, że choruje na serce albo...

– Tak naprawdę... – Susanna wstrzymała oddech, machając do nas ręką, żebyśmy zaczekali, po czym wydmuchała dym na ogród – był trochę gruby i często robił się czerwony na twarzy. Ale nie, niczego nie wiedziałam na pewno. Myślałam, że w najlepszym razie rzuci pracę, chociaż prawdopodobnie nawet tego by nie zrobił, ale przynajmniej przestraszę go na tyle, że przestanie robić kobietom te okropne rzeczy. Chociaż miałam jakąś nadzieję.

– Dlaczego naprawdę nie złożyłaś skargi? – spytałem.

Susanna roześmiała się głośno, a Leon, ku mojemu zdziwieniu, też parsknął. Nawet Melissa patrzyła na mnie tak, jakbym powiedział coś żałośnie głupiego.

– Mówisz serio? Do rady złożonej z jego kumpli? Powiedziałby im, że jestem rozhisteryzowaną babą, wszystko zmyślam, i koniec. Nie mogłam zresztą wykluczyć, że naprawdę mógłby pociągnąć za jakieś sznurki i wsadzić mnie do szpitala psychiatrycznego albo odebrać mi dzieci. Pewnie mogłabym rzeczywiście namierzyć inne pacjentki i przekonać niektóre, żeby nagrały wizytę, ale taki sposób był szybszy i znacznie prostszy.

Rozmowa odkrywała tereny, na które nie spodziewałem się wkroczyć. Najwidoczniej moje wyobrażenie o Susannie –

grzecznej dziewczynce, która przestrzega zasad, a gdy ktoś się nad kimś znęca, biegnie zawiadomić nauczyciela – było nieaktualne.

– Miał niezłą minę. – Obróciła się na brzuch, by dać skręta Leonowi. – Kiedy mu powiedziałam, że wrzucę nagrania do internetu. Bardzo mi się podobała.

W gęstych oparach ginu i haszu nie mogłem się zorientować, czy powinienem być zbulwersowany. Wydawało mi się bardzo prawdopodobne, że wyolbrzymia albo łajdactwa lekarza, albo jego straszny los, albo jedno i drugie, istniało też większe od zera prawdopodobieństwo, że całą historię zmyśliła. W każdym z tych przypadków, im dłużej o tym myślałem, tym bardziej niepokoiła mnie jej nonszalancja, w każdym z tych przypadków nasuwało się też pytanie, po co właściwie nam to opowiada. Jedyne powód, jaki przychodził mi na myśl, był taki, że chciała wyraźnie dać do zrozumienia mnie, Leonowi albo nam obu: jeżeli będziecie ze mną zadzierać, macie przesrane.

– No dobra – rzuciłem. – Więc jeżeli miałaś coś wspólnego z jego śmiercią, to dalej uważasz, że jesteś dobrym człowiekiem?

Susanna zastanawiała się nad tym, opierając brodę na rękach.

– Może nie – przyznała w końcu. – Ale gdybym była facetem albo postanowiła nie mieć dzieci, w ogóle nie musiałabym do niego chodzić. Albo na przykład miałabym szczęście i trafiłabym do przyzwoitego lekarza. Wtedy bym tego nie zrobiła. Byłabym jednak tą samą osobą. Wprawdzie nie miałabym nikogo na sumieniu, ale tylko dlatego, że tak zdecydował los. Czy byłabym wtedy dobrym człowiekiem?

To stanowczo przerastało moje możliwości. Leon zrobił jeszcze mocniejszego skręta niż poprzednio. Miałem wrażenie dziwnego, musującego mrowienia w rękach i nagle z niezwykłą ostrością poczułem, że mam nos. Wydawało mi się, że w tym, co mówiła, kryje się jakiś poważny błąd, lecz nie bardzo umiałem go zidentyfikować.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – odparłem po długim milczeniu.

Susanna zaczęła chichotać. Nie była w stanie przestać i po chwili wszyscy się do niej dołączyliśmy. Okna w apartamentowcu kołysały się tam i z powrotem, jasne, prostokątne wahadła, tik-tak, tik-tak, tik-tak, i wyglądało to nieodparcie zabawnie, jak cudowny żart prosto z *Alicji w Krainie Czarów*. Zastanawiałem się, czy Susanna też nie żartowała, czy cała historia z lekarzem nie była jedną wielką ściemą, a ja, głupi, dałem się nabrać!

– No? – zwróciła się do Leona. – Co ty na to?

Uniósł dłoń.

– Cholera jasna, w życiu. Ja w to nie gram. Bawcie się w trójkę.

– Musisz zagrać. Inaczej nie dam ci już więcej haszu i będziesz musiał dalej łązić po tych zapuszczonych klubach. – Wyprostowała nogę i trąciła go stopą. – No, dawaj.

– Przestań.

– Dawaj, dawaj – zacząłem skandować.

– Dawaj, dawaj! – niosły się nasze głosy po spustoszonej ogrodzie, Melissa się śmiała.

– Dawaj, dawaj! – Wychyliłem się i zacząłem dźgać Leona w ramię, aż w końcu też nie mogłem opanować chichotu i na wpół

ze złością odtrącał moją rękę.

– Przestań!

Założyłem mu chwyt na szyję i runęliśmy na Susannę. Poczułem między żebrami jej łokieć, a w ustach włosy Leona; w mgnieniu oka cofnąłem się do czasów dzieciństwa, kiedy ciągle się szarpaliśmy. Nawet pachnieli tak samo...

– Już! – wrzasnął Leon. – Już, dobra! Odczep się!

Rozplątaliśmy się ze śmiechem, zdyszani, po czym Leon z przesadną pieczołowitością otrzepał ubranie.

– Boże, banda dzikusów...

Niemіłosiernie wirowało mi w głowie; klapnąłem z powrotem na taras i utkwilem wzrok w śmigających po niebie gwiazdach w nadziei, że w końcu się zatrzymają. Rozważałem możliwość, że wszyscy ciągle mamy po szesnaście lat, upalamy się pierwszy raz w życiu, a wszystko, co zdarzyło się potem, było tylko skomplikowaną halucynacją, trudno to było jednak ogarnąć. Postanowiłem więc po prostu nie zwracać na to uwagi.

– Twoje włosy – powiedziała ze śmiechem Melissa, wyciągając do mnie rękę. – Jesteś cały w liściach, chodź tu...

Położyłem głowę na jej kolanach, aby mogła obrać ją z liści.

– No dobrze. – Leon grzebał w kieszeni w poszukiwaniu papierosów. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, o czym mamy rozmawiać. – Kiedy mieliśmy po pięć lat, ugryzłem cię w twarz.

– Jezu, rzeczywiście, przypominam sobie! – zawołałem. – Do krwi. Co cię wtedy ugryzło?

– Nie pamiętam. Chociaż na pewno sobie zasłużyłeś.

– Zacząłem szkołę z takim wyglądem, jakbym uciekł Hannibalowi Lecterowi – powiedziałem do Melissy.

– Biedny mały Toby. – Poglaskała mnie po policzku. – Pochwalileś się przed dziećmi, że walczyłeś z superzłoczyńcami?

– Żeby to! Chyba skłamałem, że to kot sąsiadów.

– To tyle. – Leon zdążył się zorientować, że o mało nie zapalił papierosa od niewłaściwego końca. – Toby, teraz ty.

– Co? Jeszcze nie. To się nie liczy.

– Dostałeś, to podziękuj. Przecież zagrałem.

– Po tym, co mówiła Su, wyskakujesz z czymś takim? To pierdoły. Postaraj się trochę.

Dmuchnął mi dymem w twarz.

– Sam się postaraj.

– Nie, dopiero po tobie.

– Ja zagram – wtrąciła Melissa.

Usiadłem, żeby przyjrzeć się jej twarzy: spokojna, opanowana, nieprzenikniona. Nie miałem pojęcia, jak bardzo się upaliła.

– Ty nie musisz – rzuciłem.

– Czemu nie? – zdziwiła się Susanna.

– Bo ledwie was zna. To nie to samo.

– Dlaczego nie pozwolisz jej samej zdecydować?

– Moja mama jest alkoholiczką – zaczęła Melissa. Mówiła wyraźnym, trochę zamysłonym głosem. – Kiedy miałam dwanaście lat, spadła ze schodów i złamała nogę. Kładłam się już spać, ale narobiła strasznego hałasu. Nie mogła wstać. Tato chodził do pracy na noc, więc nie było go w domu. Krzyczała do mnie, żebym jej pomogła, ale udałam, że śpię. Pomyślałam, że jeżeli sobie tak poleży i przez jakiś czas będzie ją okropnie bolało,

to ją odstraszy od picia. Wiedziałam, że może się zakrztusić na śmierć, bo wymiotowała, mimo to zostawiłam ją samą. Słuchałam jej przez całą noc, dopóki nie wrócił tato i jej nie znalazł.

– Jezu. – Słyszałem urywki różnych historii, ale tej nie. – Kochanie... – Objąłem ją w pasie i przyciągnąłem do siebie.

– To było dawno temu. Wyszła z tego, noga się jej zrosła. I w ogóle tego nie pamięta. Ale mnie się nie udało – wyjaśniła Leonowi i Susannie. – Dalej pije.

– Och, biedactwo. – Leon zrobił wielkie oczy i przechylił się, żeby uścisnąć jej rękę. – Oczywiście, że nie jesteś z tego powodu złym człowiekiem.

– Amen – potwierdziła Susanna. – Gdyby się udało, zostałąbyś bohaterką.

– Chyba nią nie jestem – powiedziała Melissa. – Mam nadzieję. To, co zrobiłam, było straszne, ale miałam tylko dwanaście lat. Nie sądzę, żeby przez jedną rzecz można się było stać złym człowiekiem, zwłaszcza gdy się jest dzieckiem.

– Na pewno nie. – Przytuliłem ją jeszcze mocniej i pocałowałem w czubek głowy. – Jesteś jedną z najlepszych osób, jakie znam.

Odpowiedziała na to lekkim uśmiechem.

– Pewnie nie aż tak. Ale... – Cicho westchnęła i położyła mi głowę na piersi. – Staram się, żeby życie było lepsze. Jeżeli to coś zmienia... Twoja kolej – zwróciła się do Leona.

Po tym trudno byłoby mu odmówić. Melissa znowu mnie zadziwiła. Pewnie zastanawiała się, co, do cholery, próbuję zrobić, przecież w ogóle nie chciała, żebym się w to pakował,

a jednak stawiała za mnie w szranki, angażując się duszą i sercem, aby mi pomóc.

– Okay – odezwał się po chwili Leon. Jeszcze raz ścisnął rękę Melissy, odsunął się i oparł o ścianę, chowając twarz w cieniu. – No więc kiedy mieszkałem w Amsterdamie, chodziłem z Johanem... Pamiętacie go?

– Tak – odparłem, chociaż nie była to prawda. Leon zawsze miał jakiegoś chłopaka, ale nigdy nie dłużej niż rok, góra dwa lata, więc straciłem rachubę.

– Pamiętam – powiedziała Susanna. – Co się między wami stało? Myślałam, że to było coś poważnego.

– Bo było poważne. Rozmawialiśmy o ślubie. I pewnego dnia, kiedy Johan był w pracy i zajmował się swoimi sprawami, wywaliłem wszystkie jego rzeczy na korytarz przed naszym mieszkaniem z listem, że to koniec, i wymieniłem zamek w drzwiach.

– Dlaczego? – Susanna znowu leżała na tarasie z kilkoma zwiędłymi liśćmi we włosach i zimnym odblaskiem księżyca w oczach. – Co takiego zrobił?

– Nic. Nie zdradził mnie, nie uderzył, prawie się na mnie nie złościł. To niesamowity facet, szalał za mną, a ja za nim.

– No więc dlaczego?

– Bo i tak to nie mogło trwać wiecznie – odparł Leon. – Zamknij się, Toby, nie dramatyzuję, tylko stwierdzam oczywisty fakt: wszystko jedno, z jakiego powodu ludzie oddalają się od siebie, kłócą się, zdradzają albo po prostu starzeją się i umierają. Związki nie trwają wiecznie. Nie zamierzam was dołować... – Rozgniatając niedopałek, posłał nam ponure, krzywe spojrzenie.

– Nigdy wcześniej się tym nie martwiłem, nawet mi się podobało. Załóżmy, że zrobię coś głupiego i wszystko koncertowo spieprzę. Ale to przecież nic wielkiego, bo i tak nic nie może trwać wiecznie. Nie zrównuję z ziemią egipskich piramid. Mogę zacząć od początku gdzie indziej.

Sięgnął po gin i dolał sobie, nie troszcząc się o pozostałych.

– Naprawdę byłem zakochany w Johanie. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie szczeniacko, ale nie umiałem sobie z tym poradzić. Stresowało mnie to jak jasna cholera. Leżeliśmy przytuleni w łóżku albo wychodziliśmy gdzieś potańczyć, albo po prostu jedliśmy razem śniadanie i patrzyliśmy na gołębice na naszym balkonie, a ja nagle nie mogłem myśleć o niczym innym poza tym, że pewnego dnia nie będziemy już tego razem robić. Nie „być może”. Nie mogłem w żaden sposób temu zapobiec: to było pewne. I chciało mi się wyć, uciec, wszystko porozbijać. Więc w końcu to zrobiłem. To znowu był krzyk „dupa” w kościele, tyle że tym razem zrobiłem to naprawdę.

– Co się stało, kiedy Johan wrócił do domu? – spytałem. Z niewiadomego powodu wyobrażałem sobie Johana jako typ wiecznego magistranta o szczupłej, życzliwej twarzy, w małych okularach w drucianych oprawkach, jako kogoś, kto kompletnie nie potrafi sobie poradzić z czymś nieoczekiwanym.

Leon wpatrywał się w szklanę, jakby nie był pewien, co jest w środku.

– Mniej więcej to, czego się można spodziewać. To było straszne. Mnóstwo krzyków. Walenie do drzwi. Obaj płakaliśmy. Ludzie wystawiali głowy z mieszkań, żeby się gapić. Staruszka z końca korytarza darła się na nas, żebyśmy się zamknęli,

a potem wyskoczył jej okropny ujadający piesek i ugryzł Johana w kostkę... W końcu Johan wezwał policję. Nie po to, żeby ściągać mi na głowę kłopoty, po prostu myślał, że straciłem rozum. Gliniarze byli wyjątkowo wredni, ale ponieważ nie zwariowałem i mieszkanie było moje, ostatecznie niewiele mogli zrobić. Zresztą i tak się wyprowadziłem. Miałem dość Amsterdamu.

Z powodu, którego nie umiałem sprecyzować, w ogóle nie podobała mi się ta historia. Odsunąłem się od Melissy i znalazłem swoją szklankę, która jakimś cudem nie została przewrócona.

– No więc to była najgorsza rzecz, jaką zrobiłem – dodał Leon.  
– Złamałem Johanowi serce.

Z moich ust wyrwał się chichot.

– Śmiesz cię to? – zjeżył się, unosząc gwałtownie głowę.

– Nie, nie, nie... – Zakryłem ręką usta, kiepsko maskując czknięcie. – Wszystko w porządku, stary. Nie śmieję się z ciebie, tylko z siebie. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że jestem spokrewniony z Matką Teresą.

– Co ty wygadujesz?

– Nic takiego... oj... – Szklanka o mało nie wyśliznęła mi się z dłoni, ale uratowałem ją i pociągnąłem duży łyk. – Aach. Cudowny gin. Co to ja... ? – Pstryknąłem palcami i pokazałem na Leona, który piorunował mnie wzrokiem. – A, tak. Słuchaj, stary, znam sporo ludzi. I nie ma wśród nich nikogo, ani jednej osoby, która mogłaby z ręką na sercu powiedzieć, że najgorszą rzeczą, jaką zrobiła w życiu, było rzucenie chłopaka albo dziewczyny. Może moi znajomi to banda bydlaków, nie wiem. Albo ty po prostu jesteś święty.

Kątem oka dostrzegłem, jak Melissa ze strapioną miną bawi się kosmykiem włosów: zaniepokoił ją ton mojego głosu. Próbowałem posłać jej ukradkiem uspokajające spojrzenie, dać znak, że wiem, co robię, że mam plan, ale byłem w takim stanie, że wyszło mi tylko zezowate łypnięcie.

– Johan naprawdę mnie kochał – powiedział Leon. – Biedak. A teraz, gdziekolwiek jest, do końca życia będzie robił to samo co ja: obsesyjnie myślał, że prędzej czy później wszystko, co robi, zupełnie się posypie. Zaraziłem go tym. – Popatrzył na mnie wyzywająco. – Jeżeli chcesz usłyszeć, że jestem przez to złym człowiekiem, to myślę, że pewnie tak. Masz teraz lepsze zdanie o tym, co sam zrobiłeś?

– Nie bardzo – przyznałem. – Ale przecież nie o to ci chodziło, prawda?

Nie byłem pewien, co z tym zrobić, ale mu wierzyłem. Susannie nie wierzyłem, w każdym razie nie do końca, ale każde słowo Leona brzmiało wiarygodnie – takie egzystencjalne bzdety były bardzo w jego stylu. I w końcu, z ogromnym trudem, pojąłem, dlaczego ta historia przeszła mnie lodowatym dreszczem. Jeżeli najgorszą rzeczą, jaką Leon zrobił w życiu, było zranienie uczuć okularnika Johana, to najwidoczniej nie zabił Dominica. Bez względu na to, o co tu chodziło, wszystko zrozumiałem na opak.

– A ty co zrobiłeś? – natarł na mnie. – Przecież to był twój idiotyczny pomysł, a teraz siedzisz i przypieprzasz się do mnie, że moja historia jest dla ciebie za mało dramatyczna. Jaka jest twoja?

To nie mogła być również Susanna. Chuda nastolatka nie dałaby rady wciągnąć Dominica na drzewo. Co oznaczało, że popychali policję w moją stronę – a wiedziałem, że to robią, jedno z nich albo oboje, bo była nie tylko bluza, ale też zdjęcie, kto inny powiedziałby gliniarzom, że miałem problemy z Dominikiem? – z innego powodu niż chęć ratowania własnej skóry. Z czystej złośliwości? Naprawdę tak mnie nienawidzili, a ja nigdy się nie zorientowałem? Co takiego zrobiłem któremuś z nich, żeby sobie na to zasłużyć?

Znajdowałem się na skraju narkotycznej paranoi. Okna apartamentowca znowu kiwały się tam i z powrotem, ale tym razem nie było to zabawne; wydawało się złowrogie, jak gdyby brały zamach, żeby zupełnie oderwać się od budynku i runąć prosto na nas. Wiedziałem, że jeżeli do niczego nie dojdę, skończę w kęcie, kołysząc się i pochlipując.

– Daj spokój. – Susanna ziewnęła, usiadła i potarła jedno oko.  
– Wracajmy do domu. Tobie wypowiada się następnym razem.

– Nie – zaprotestował Leon. – Skoro ja musiałem się wywnętrzać, to chcę posłuchać, co on ma do powiedzenia.

Melissa patrzyła na mnie pytająco, przechylając głowę. Równowagę przywrócił mi widok niepokoju w jej oczach. Po historii, którą opowiedziała, nie było mowy, żebym ją zawiódł i skończył ten wieczór z pustymi rękami; to było nie do pomyślenia. Coś tu się kryło, nawet jeżeli myliłem się co do sedna, musiałem to wydobyć.

Zamknąłem oczy i kilka razy głęboko odetchnąłem. Kiedy je otworzyłem, okna były mniej więcej nieruchome. Uśmiechnąłem

się do Melissy i lekko skinąłem głową: „Nie martw się, kochanie, wszystko idzie zgodnie z planem”.

Susanna trącała Leona stopą, próbując go nakłonić, żeby się ruszył.

– Jestem kompletnie złachana. Jeżeli nie pójdziemy, zaraz tu zalegnę. Ileś ty tego skręcił?

– Napij się wody albo czegoś. Chcę posłuchać Toby’ego.

– Jeżeli chcesz, wracaj – zwróciłem się do Susanny. Spodobał mi się nawet ten pomysł; bez niej łatwiej będzie mi poradzić sobie z Leonem. – Zach już pewnie związał Toma i podpalił.

– Chodź, Leon. Weźmiemy taksówkę na spółę.

– Nie.

Oboje znaleźliśmy ten zacięty kąt jego brody: nigdzie się nie wybierał. Susanna przewróciła oczami i padła z powrotem na taras, ale uważnie się nam przyglądała.

– No dobrze – rzuciłem. – Musicie przysiąc, że nikomu nie powtórzycie.

– Och, na litość boską – jęknęła Susanna. – Gwarancja wzajemnego zniszczenia. Myślisz, że chcę, żeby ktoś się dowiedział o mnie i doktorze Mengele?

– Mówię serio. Mógłbym mieć poważne kłopoty.

Znowu przewróciła oczami i uniosła mały palec.

– Przysięgam.

– Niech ci będzie – zgodził się Leon. – Wal.

– Dobra. – Nabrałem powietrza. – No więc tej wiosny mieliśmy otwarcie nowej wystawy w galerii.

Zacinałem się i szukałem słów, ale niczego nie musiałem udawać; nigdy nie chciałem opowiedzieć Melissie tej historii.

Zerkałem jednym okiem na nią (nie była zadowolona; zdenerwowana, rozczarowana, zła, jaka?), a drugim na Leona, który nonszalancko oparty o ścianę, patrzył na mnie z coraz większym niesmakiem i od czasu do czasu, gdy jakiś szczegół wyjątkowo nie przypadł mu do gustu, pociągał spory łyk ginu.

– No więc – powiedziałem na koniec, po jeszcze jednym głębokim oddechu – tyle ode mnie.

Celowo wybrałem coś stosunkowo niewinnego, coś, co mogło dać Leonowi pretekst, żeby na mnie naskoczył, zwłaszcza po tym, jak ja naskoczyłem na niego. Nie myliłem się.

– Boże drogi. – Wydął wargi. – Twierdzisz, że to najgorsza rzecz, jaką zrobiłeś w życiu. To?!

– Posłuchaj. – Z odpowiednio skruszoną miną pocierałem nos. – To mogło pogрузić całą wystawę. Dla tych dzieciaków to była jedyna szansa, żeby poprawić sobie życie, a ja mogłem to zniszczyć. Po prostu... – jak to wtedy powiedział Dec? – kpiłem sobie z nich i z ich życia. Robiłem sobie z nich żarty. Naprawdę wtedy nie rozumiałem, jaka to ważna rzecz, ale teraz...

Susanna spoglądała na mnie z głębokim powątpiewaniem.

– Powinienem ci być powiedzieć, ale nie chciałem cię denerwować – zacząłem się przed nią usprawiedliwiać. – Powoli do tego dojrzywałem, a potem...

Pokręciła tylko głową, jakby mówiła: „Nie przejmuj się tym” albo „Nie chcę tego słuchać”, albo „Pogadamy później”... Nie miałem pojęcia.

– Chwila, moment. – Leon uniósł rękę. – To ma być twój wielki kryzys moralny? Nabrałeś ludzi na jakieś obrazy? I czepiałeś się mnie, że moja historia jest za mało dramatyczna?

– Każdy z kimś czasem zrywa. Nie każdy wstawia totalny kit setkom ludzi...

– Totalnie obcym ludziom. I nikomu nie stała się krzywda.

– No tak – przyznałem nieco dotknięty. – Totalnie obcym. Nikomu, kogo kocham, nie zrobiłbym nic złego. Wiem, że ty tak, właśnie to powiedziałaś, ale...

– A może – odezwała się spokojnie Susanna – Leon uważa, że to, co zrobił ludziom, których kocha, jest poważniejsze niż rzeczy, które robi totalnie obcym. W odróżnieniu od ciebie.

Mimochodem zwróciłem uwagę, że wygląda na znacznie mniej ujaraną od nas, co mi się nie spodobało.

– Nie, nie, nie. – Pogroziłem jej palcem. – Właśnie ci to mówię. Nie robię nic złego tym, których kocham. Tym, którzy mnie kochają.

Wygłosiłem to z dumą i moralną wyższością, a Leon naturalnie odrzucił głowę do tyłu.

– Boże... drogi. Jesteś nie-wia-ry-god-ny, zdajesz sobie z tego sprawę? Żyjesz w swoim własnym świecie. Jakbym rozmawiał z kosmitą...

– Stary, o czym ty mówisz? Daj mi choć jeden przykład, kiedy zrobiłem coś złego komuś, kogo...

– Dobra. W porządku. Jeden przykład: kiedy cholerny Dominic Ganly zaczął zamieniać moje życie w piekło, przyszedłem ci o tym powiedzieć. W ogóle to pamiętasz?

Siedział wyprostowany jak struna, patrząc na mnie wściekle przez zasłonę włosów jak zjeżony kot.

– O czym ty mówisz? – spytałem.

Leon parsknął gorzkim śmiechem.

- Nie dziwię się. Wtedy gównem cię to obchodziło.
- Jezu. – Wyrzuciłem w górę ręce. – Su, daj mu jeszcze haszu, szybko.
- Leon – odezwała się Susanna.
- Nie, nie obchodzi mnie, w jakim on jest stanie, ale jest skończonym...
- Spokojnie, powoli – powstrzymałem go. – Wróc. Dominic ci dokuczał?
- Wszyscy mi dokuczali. Miałaś rację, w szkole często się to zdarzało, od czasu do czasu zadawałeś sobie nawet tyle trudu, żeby rzucić: „Hej, chłopaki, odczepcie się od mojego kuzynka”, i na jakiś czas sobie odpuszczali... Ale tylko Dominica naprawdę się bałem. Pozostali byli stukniętymi neandertalczykami, on był skończonym sadystą. Bezwzględny. Przy tobie się hamował, ale kiedy cię nie było... Boże... i wreszcie ci powiedziałem. A ty... – warga mu drgnęła, niemal jak u rozjuszonego psa, który obnaża zęby – ...a ty na to: „Spoko, tylko się wygłupia, pogadam z nim”.
- Co w tym złego? – obruszyłem się. – Byłem obok, gotów ci pomóc. Czego ode mnie chciałeś?
- Nie chciałem, żebyś z nim gadał. Chciałem, żebyś wziął Seana, żebyście we dwóch wybili Dominicowi zęby i zapowiedzieli mu, że jeżeli kiedykolwiek znowu się do mnie zbliży, urwiecie mu łeb i wsadzicie w tyłek. Ale ty powiedziałaś... Boże... jakiś ty był rozsądny... Powiedziałeś: „No nie, tak się tego nie załatwia”. Powiedziałeś, że nie możesz mnie pilnować przez cały czas i gdybyś pobił Dominica, znalazłby okazję, żeby się na mnie zemścić. Powiedziałeś, że muszę się nauczyć sam rozwiązywać swoje problemy.

Nareszcie wiedziałem. Jego głos drgał od urazy, tak świeżej i głębokiej, jakby to wszystko działo się wczoraj.

– No to... – Serce tłukło mi się jak szalone. Nie miałem pojęcia, w jakim stopniu z powodu tego, co przed chwilą usłyszałem, a w jakim z powodu haszu (głupi, powinienem był zachować jasny umysł). – Miałem trochę racji, prawda? Co w tym jest nie tak?

– Wszystko. Tak nie jest, może dobrze brzmi, ale... Pogadałeś z Dominikiem i oczywiście zaczął mnie traktować jeszcze gorzej. Było dokładnie tak, jak ci mówiłem. Bo później to już nie były przypadkowe rzeczy, które robił bez okazji, ot tak sobie, na przykład walił mnie w głowę drzwiami szafki w szatni, bo to zrobiłby każdemu, kto był od niego słabszy. To, co działo się potem, było zaplanowane. Zaczął mnie naprawdę prześladować. I wiedział, że może ze mną zrobić, co zechce, ponieważ potem tylko z nim pogadasz i poprosisz, żeby może traktował mnie troszeczkę lepiej, jeżeli oczywiście nie ma nic przeciwko temu.

Oddychał szybko i ciężko przez rozszerzone nozdrza.

– Jezu – bąknąłem. – Przykro mi. Ale to było jakieś piętnaście lat temu. Może czas trochę odpuścić?

Oczywiście Leon natychmiast chwycił przynętę. Uderzył plecami o ścianę.

– Kurwa, naprawdę jesteś niewiarygodny. Boże, Dominic mnie torturował. Całymi latami. Myślałem o samobójstwie. Myślisz, że pobicie namieszało ci w głowie? To był jeden raz. Wyobraź sobie, co mogą zrobić lata czegoś takiego. Nie wiem... – podniósł głos, bo próbowałem coś powiedzieć – nigdy się nie dowiem, co by ze mną było, gdybyś wtedy chciał mnie bronić.

Więc... – z furią odgarniał z oczu opadający kosmyk – ...więc nie nadymaj się tak i nie mów, że nigdy nie skrzywdziłbyś bliskiej osoby.

Melissa mocniej szarpała włosy, okręcając je ciasno na palcu. Wiedziałem, że to wszystko nie sprawia jej przyjemności, i żałowałem, że ta rozmowa odbywa się przy niej, ale nie było innego wyjścia. Zrozumie, kiedy przyniosę jej piękne i błyszczące rozwiązanie zagadki...

– Jezu, przecież nie miałem pojęcia, że było aż tak źle – odezwałem się. – Kurwa mać, Leon, nie jestem jasnowidzem. Powinieneś mi powiedzieć. Gdybym wiedział, że był jeszcze gorszy, na pewno...

– ...wpadłbyś w szal – dokończyła za mnie Susanna. – Coś byś zrobił.

– Właśnie. Ale nie wiedziałem.

Obróciłem się do niej triumfalnie, ale w jej twarzy było coś, czego nie umiałem odczytać, rozmyty cień, ciemność przeplatana nitkami żółtego światła sączącego się zza przeszkłonych drzwi kuchni.

– Na pewno? – spytała.

– Co? Oczywiście.

– Bo myślałam... To znaczy, Faye mówiła... – Urwała.

– Faye? – powtórzyłem. – Co Faye mówiła?

– Nic konkretnego. Tylko że tamtego lata byłeś trochę wkurzony na Dominica.

– Nie byłem... – Kiedy, do cholery, Susanna zdążyła pogadać z Faye i po co? – Nie byłem na niego wkurzony. – Milczała. – Powiedziałaś o tym Rafferty'emu? Su, kurwa, co jest grane?

- Nie mówiłam mu. Już wiedział.
- W takim razie chyba już wszyscy wiemy, kto mu powiedział
- odparłem po chwili ciszy.  
Leon poderwał głowę.
- Co? Masz na myśli mnie? Nigdy...
- Oczywiście, że ciebie. Właśnie o tym mówię. –  
W rzeczywistości trudno mi było panować nad tym, co mówiłem. Jak wszystkie kłótnie po haszu, przypominało to koszmarne pływanie w wodorostach, których nie można ominąć ani przed nimi uciec. – Bo ja... kiedy mi w końcu raczyłeś powiedzieć, że miałeś prawdziwe problemy z Dominikiem, nie pobiegnę z tym do Rafferty'ego. Ponieważ nie mam zwyczaju pakować własnych kuzynów w szambo. Ale ty mnie obwiniasz o całe swoje życie, a właśnie nam mówiłeś... Leon, przed chwilą to powiedziałeś, że potrafisz być skurwysynem wobec swoich najbliższych, kiedy to dla ciebie wygodne...
- To zupełnie nie to samo. Wiedziałem, że tego nie zrozumiesz, dlatego nie chciałem ci mówić, wiedziałem, że zrobisz z tego...
- Źle się czuję – odezwała się nagle Melissa. Siedziała zgarbiona i okropnie blada, zmierzwione włosy opadały jej na twarz.
- Kochanie. – Wyciągnąłem do niej rękę. – Co się dzieje? Niedobrze ci?
- Nie. Trochę mi się kręci w głowie.
- Cholera – rzucił Leon, patrząc na nią okrągłymi oczami. – Zrobiłem za mocnego skręta? Jesteś taka drobna...

– Chodź. – Objąłem ją w pasie. Jej dłoń zacisnęła się mocno na moim nadgarstku. – Położymy cię do łóżka.

Kiedy szliśmy przez kuchnię, opierała się o mnie, z głową na mojej piersi, ale w korytarzu odsunęła się tak gwałtownie, że omal nie straciłem równowagi.

– Aj! – Chwyciłem się poręczy schodów. – Nic ci nie jest?

– Ja już dłużej nie chcę – rzuciła.

– W porządku – powiedziałem ostrożnie. – Przypuszczasz, że dowiem się od nich więcej, kiedy cię nie będzie?

– Nie. Już dość. – Patrzyła na mnie z drugiej strony korytarza jak na kogoś niebezpiecznego, mocno oplatając się ramionami. – Chodźmy do domu.

– Co? – zdumiałem się po chwili milczenia. – Przecież jesteśmy w domu.

– Nie. Jedźmy do mnie albo do ciebie.

Ukośne smugi słabego światła, które wpadało przez okno nad drzwiami, kładły się prążkami na jej nieruchomej twarzy; płytki na podłodze były ozdobione geometrycznymi kwiatami... wszędzie za dużo wzorów. Mój wzrok nie mógł się na niczym skupić.

– Dzisiaj? Teraz?

– Tak, teraz. Albo połóż się ze mną i wyjedziemy jutro z samego rana. Leon może zostać z Hugo. Wiesz, że nie chcę go zostawiać, ale możemy go odwiedzać...

Byłem w znacznie gorszej formie, niż sądziłem wcześniej, zanim wstałem. To, co mówiła, nie miało sensu.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Nie jest ci niedobrze?

– Chcę jechać do domu.

– Ale dlaczego? Jesteś na mnie zła o to... o tę sprawę w galerii?  
Bo...

– Nie. To nie było nic dobrego, przecież wiesz, ale teraz nie o to... To straszne, Toby. Wy troje. Popatrz tylko, co sobie nawzajem robicie.

– Zaraz – powstrzymałem ją. – Chodzi ci o to, że nie zmusiłem Dominica, żeby odczepił się od Leona? To cię dręczy? Jasne, rozumiem, że powinienem to wtedy zrobić, ale byłem tylko głupim dzieciakiem, nie zdawałem sobie sprawy... Wrócę i go przeproszę.

Melissa ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

– Nie. Nie o to chodzi. Możesz przeprosić kiedy indziej, ale teraz... Widzę, co robisz. Nie jestem głupia. Ale oni też coś robią, Toby. – Niespokojnym ruchem odwróciła głowę w kierunku tarasu. – Próbują coś ci zrobić, nie wiem, co to jest, ale nic dobrego. Musimy jechać do domu.

– Nie musimy. – Czułem, że mam prawo się oburzyć. Przecież to ona nalegała, żebyśmy tu przyjechali, ja się tylko zgodziłem, żeby sprawić jej przyjemność, więc o co jej teraz chodzi? – Wszystko jest w porządku. Wiem, co robię.

– Tak? I jak myślisz, co na tym zyskasz?

– Słyszałaś ich. – Ciągle trzymałem się poręczy, drugą ręką pokazując na taras. Zdawałem sobie sprawę, że wyglądam jak wymachujący ramionami pijak, ale nic mnie to nie obchodziło. – Coś wiedzą. Zamierzam ustalić, co to jest.

– Po co? Kogo obchodzi, co oni wiedzą? Czy to w czymś może pomóc?

Gdybym nawet był trzeźwy, nie umiałbym tego ubrać w słowa; wezbrało to we mnie, tak ogromne, że niemal czułem w gardle.

– Staram się to naprawić. – Te słowa wydawały się za miłąkie, by pomieścić coś tak doniosłego. – Próbuję wszystko naprawić.

Melissa zniecierpliwionym ruchem odchyliła głowę.

– Niczego nie naprawiasz, Toby. Pogarszasz wszystko tysiąc razy.

Poczułem się dotknięty.

– Uważasz, że nie potrafię? Mam umysł w takim stanie, że spieprzę sprawę i przejrzą mnie na wylot...

– Nie. Naprawdę dobrze to robisz: udajesz głupiego i pijanego, a oni dają się nabrać.

– W takim razie co jest? Myślisz, że sobie nie poradzę? Dowiem się czegoś, co mi się nie spodoba, i stracę głowę, będę... będę biegał w kółko i rozpaczliwie gdakał...

– Nie wiem! Mówienie nie bardzo mi wychodzi, Toby, staram się, ale... Wiem tylko, że to wszystko jest złe. Po prostu złe. Poza tym... – też była pijana, chwiała się, machając drobnymi białymi dłońmi, które wirowały w półmroku jak zimne ognie – ...kiedy coś jest od początku do końca złe, wtedy możesz jedynie... nie tylko ty, każdy... może tylko uciekać. Nie można mówić: „Nic się nie stało. Zaraz to naprawię”. Tak się po prostu nie da. – Na jej policzkach zalśniły łzy, ale kiedy zrobiłem krok w jej stronę, wyciągnęła przed siebie ręce, żeby mnie powstrzymać. – Nie, staram się tylko... Jeżeli dasz się wplątać w to, co się tutaj dzieje, jeżeli celowo wskoczysz w sam środek, to cię zniszczy. Nie zamierzam siedzieć i patrzeć, jak to sobie robisz. Zwłaszcza że

włożyłeś tyle pracy w to, żeby wyzdrowieć, że oboje tak bardzo... Nie, nie zamierzam. – Nie kryła już płaczu, a ten widok rozdzierał mi serce. – Wracam do domu. Proszę, Toby, jedź ze mną. Proszę.

– Nie możesz prowadzić – oznajmiłem z idiotyczną stanowczością, jak gdyby to miało ostatecznie zamknąć całą sprawę. – Jesteś za bardzo pijana.

– Weźmiemy taksówkę. Proszę. Jedźmy.

Gdybym mógł, zrobiłbym to, w mgnieniu oka. Byłbym gotów zrobić wszystko, wyrwać sobie rękę, żeby powstrzymać łzy płynące po jej twarzy. Ale to była moja jedyna szansa na wyrwanie się z tego duszącego mroku i znalezienie się w jasnym i ciepłym świetle. Teraz albo nigdy.

– Idź się położyć – powiedziałem. – Jestem za bardzo otumaniony na tę rozmowę. Pogadamy rano.

– Chodź ze mną.

– Przyjdę za dwie minuty. Powiem tylko Susannie i Leonowi, że idziemy spać. – Najbardziej kojącym tonem, na jaki umiałem się zdobyć, dodałem: – Idź pierwsza, kochanie. Nagrzej łóżko, zaraz przyjdę, dobrze?

Tym razem Melissa pozwoliła mi podejść do siebie, pogłaskać się po włosach i pocałować w mokrą twarz.

– Ciii – uspokajałem ją. – Ciii. Wszystko jest w porządku. – Zarzuciła mi ręce na szyję i mocno mnie pocałowała. Kiedy się jednak odsunęła i ruszyła po schodach na górę, miała pochyloną głowę i przyciskała dłoń do ust, a ja wiedziałem, że ciągle płacze.

Niewiele brakowało, a poszedłbym za nią. W nienaturalnie szarym świetle korytarza pomyślałem nagle o tamtym

niedawnym telefonie, kiedy późną nocą wracałem pijany do domu, wśród latarni z kutego żelaza i smakowitych zapachów indyjskich przypraw. *Wpadnij*. Mogłem wtedy pójść do niej; wówczas o tym nie wiedziałem, ale byłoby to dla mnie ocalenie. Przez oszałamiającą chwilę w narkotycznym widzie pomyślałem, że czas się złożył i dostałem drugą szansę: jeżeli wejdę po tych schodach, znajdę się w mieszkaniu Melissy, gdzie spotkam okropną Megan z zaciśniętymi wargami, która będzie robiła złośliwe przytyki, że zupełnie nie liczę się z innymi, a ja roześmieję się i zanurzę w uwitym z kołder gniazdku Melissy, spędzę tam długi i leniwy sobotni poranek, potem na późne śniadanie zjemy naleśniki i pójdziemy na spacer wzdłuż kanału.

Melissa zapaliła w naszej sypialni światło i schody zalała jasność, od której wzdrygnąłem się i zmrużyłem oczy. Potem drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem i w korytarzu znowu zaległa ciemność. Stałem jeszcze przez chwilę, opierając się o słupek balustrady i wpatrując się we wzory na płytkach, aby je zmusić, by przestały pulsować i podskakiwać. A potem wróciłem do Leona i Susanny.

Susanna leżała na wznak na tarasie z rękami pod głową, patrząc w niebo. Światło księżycyca oświetlało jej całą twarz, bieląc ją na marmur.

– Nic jej nie jest? – zapytała.

– Trochę się wstawiła – odparłem. Okrążyłem ją bardzo ostrożnie i usiadłem na schodach. – Poszła się położyć.

Leon siedział skulony z pięścią przy ustach; był wyraźnie za bardzo upalony, żeby sobie z tym poradzić.

– Boże. Zdenerwowaliśmy ją. Prawda? Ta nasza kłótnia ją zdenerwowała. Trzeba pójść przeprosić...

– Nie sądzę, żeby miała ochotę cię teraz oglądać. Po tym wszystkim.

– Och, nieee... – jęknął Leon, ukrywając twarz w dłoniach. – Niech to szlag...

– Nie powinieneś z nią zostać? – zasugerowała Susanna. – Na wszelki wypadek, gdyby na przykład zrobiło się jej niedobrze?

– Nie jest z nią aż tak źle. Po prostu musi się przespać.

Byłem pod wrażeniem swojego swobodnego tonu, żadnych śladów kryzysu, w ogóle nie mówiłem jak facet, od którego właśnie odchodzi dziewczyna. W rzeczywistości w ogóle nie wierzyłem, że odejdzie. Tyle rzeczy wytrzymała przy moim boku, wytrwała przez te koszmarne miesiące, gdy ledwie można mnie było uznać za istotę ludzką. Nie mogłaby mnie rzucić tylko dlatego, że stałem się niepokojąco wścibski. Kiedy przyjdę się położyć, będzie już spała, w ubraniu, zwinięta w kłębek na pościeli; na podłodze będzie stała otwarta walizka z wrzuconą garścią przypadkowych ubrań, aby mi dać do zrozumienia, że mówiła serio. Przyciągnę ją do siebie i otulę kołdrą nas oboje, a rano, gdy minie kac, jakoś to wszystko doprowadzimy do porządku. Boże, gdybym mógł przyjść do niej z jakimś konkretem, żebym mógł jej pokazać, że to wszystko nie było niepotrzebne, głupie ani autodestrukcyjne...

– Szczerze mówiąc, dobrze się składa – powiedziałem. – Bo chyba musimy porozmawiać, Leon, prawda? I lepiej, żeby Melissy przy tym nie było.

– Co? – Uniósł głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Porozmawiać? O czym? Przysięgam, Tobie, nic nie powiedziałem Rafferty’emu, nic...

– Nie o tym. Pieprzyć to. – Znalazłem szklanę, swoją albo czyjąś, i pociągnąłem potężny łyk. – Chcę pogadać o włamaniu do mojego mieszkania.

Susanna przekręciła się na bok i podparła łokciem, by na mnie popatrzeć.

– Dlaczego? – spytała.

– Dlatego, że ci dwaj... ci dwaj, którzy się włamali, mieli plan. Działali z preme... premyde... – Nie umiałem sobie poradzić z tym słowem. – Czekali specjalnie, aż wrócę do domu. Dopiero wtedy się włamali i zabrali mnóstwo rzeczy, które wtedy nie wydawały się takie ważne w porównaniu z resztą, wiesz? Chociaż teraz zaczynam się zastanawiać. Bo przy okazji sprawili mi taki łomot, że ledwie przeżyłem. Nie... – powstrzymałem Leona, kiedy się poruszył – zamknij się, Leon. Nie masz pojęcia, co to było. Wszystko jedno, co sobie wyobrażasz, cokolwiek, to było sto razy gorsze. Więc po prostu się zamknij.

Leon skulił się w sobie, gryząc paznokcie i spazmatycznie oddychając. To tylko utwierdziło mnie w podejrzeniach: nieczyste sumienie, nie umiał nawet na mnie spojrzeć. Nareszcie byłem na właściwym tropie.

– Detektyw, który prowadzi w tej sprawie śledztwo... – ciągnąłem, nachylając się bliżej niego. – Wiesz, co mi powiedział? Że gdyby to było przypadkowe włamanie, gdyby to byli zwykli dresiarze, którym spodobał się mój wóz, to już by ich namierzył. Zna wszystkich stałych cwaniaków. Ale on nie miał pojęcia. Bo...

kurwa, zamknij się, Leon... – Mój głos przeszedł w ryk, który mógł obudzić Melissę, Hugo, sąsiadów, nic mnie to nie obchodziło. – Bo tu chodziło o mnie osobiście. To nie był przypadek. Jakiś wredny gnojek miał do mnie o coś żal i chciał, żeby ktoś mi spuścił porządny wpierdol. Jezu Chryste, udało mu się, prawda? Próbuję ci wyjaśnić, że zwykle nikt nie ma do mnie o nic żalu, bo nie robię świństw ludziom, którym na mnie zależy. A ty robisz.

– To okropne – jęknął Leon, prawie ze szlochem. – Możemy przestać? Proszę.

– Sam zacząłeś. Te wszystkie bzdety, że nie opiekowałem się tobą jak trzeba, jak gdyby to wszystko było moim problemem, a ty nie masz żadnego pieprzonego obowiązku troszczyć się o siebie... – Tego w ogóle nie planowałem, zamierzałem wyciągnąć to z niego po dobroci i łagodnie, nie przyszło mi do głowy, żeby go zastraszać, ale to było miłe uczucie i nie miałem pewności, czy mogę przestać, nawet gdybym chciał. – Przynajmniej w końcu znaleźliśmy jedną osobę, która ma do mnie żal...

– Toby – warknęła ostro Susanna. – Przestań.

– Jediną osobę, która... Patrz na mnie, gnojku! Jediną osobę, która nienawidzi mnie do tego stopnia, że potrafi przysłać dwóch bydlaków, żeby pobili mnie prawie na śmierć. Co to miało być? Karma? Bo nie kazałem Dominicowi, żeby przestał cię bić?

– Nie, Toby, co ty wygadujesz? Przecież cię nie nienawidzę, przestań...

– A teraz jeszcze wciskasz Rafferty'emu te kity... – Niezdarnie złapałem go za sweter i szarpnąłem, żeby na mnie spojrział, ale

miałem tyle siły co dziecko, więc nie odwrócił się do mnie, tylko jeszcze bardziej się skulił. – Za pierwszym razem za mało spieprzyłeś mi życie, teraz próbujesz wsadzić mnie za kratki? Coś ty... coś ty mi zrobił?

Chciałem go uderzyć. Wziąłem zamach i czułem już podniecenie, gdy moja pięść z cudownym trzaskiem wylądowała na jego twarzy, lecz nagle Susanna chwyciła mnie za rękę. Z ustami tuż przy moim uchu spytała:

– Gdzie wtedy byłeś?

Obróciłem się, żeby na nią krzyknąć, ale jej widok mnie powstrzymał. Rozwichrzona włosy, z których wysunęły się spinki, opadały jej na twarz; oczy były ciemne i szkliste, źrenice rozszerzone.

– Co?

– Tamtej nocy, Toby. Dokąd poszedłeś?

Tamtej nocy. Myślałem, że chodzi jej o tę lukę w czasie, o dziurę w pamięci między pubem a salonem w moim mieszkaniu.

– Nie wiem. – Miałem wrażenie, że głowa niebezpiecznie kołysze mi się na szyi. – Próbowałem sobie przypomnieć. Nie umiem.

Patrzyła na mnie, chwiejąc się lekko i przytrzymując się mojej ręki, żeby nie stracić równowagi.

– Czemu pytasz? – Znowu odezwała się paranoja. – Wiesz? Skąd...

– Weszłam do twojego pokoju.

To nie miało żadnego sensu.

– Co?

– Kiedy dostałam wiadomość od Dominica. Przestraszyłam się. Nie rozumiałam, co się dzieje. Chciałam o tym komuś powiedzieć. Poszłam do Leona, ale spał jak zabity. Próbowałam go obudzić, ale rzucił tylko „Odpieprz się” i naciągnął kołdrę na głowę. No więc poszłam do twojego pokoju. A ciebie nie było.

– Nie... – Puściłem pociągającego nosem Leona. – Co? Nie o to mi chodziło.

– Siedziałam całe wieki na łóżku, nasłuchując, czy nie wracasz. Długie godziny. Bałam się, myślałam, że może Dominic coś ci zrobił i o tym był ten esemes... W końcu zasnęłam. A rano już byłeś.

– Ale... – Jej palce sprawiały mi ból. – Przecież mówiłaś, że nie zwróciłaś uwagi na tamtą wiadomość. Tak powiedziałaś.

– Nie chciałam nikomu mówić. Nie chciałam wyjść na... Nie powiedziałam glinom. Ale gdzie wtedy byłeś? Dlaczego nie pamiętasz?

– To nie ta... nie ta noc. Mówię o tamtej, kiedy na mnie napadli. W moim mieszkaniu. Tamtej nocy, kiedy Dominica, kiedy Dominic... byłem w łóżku.

– Nie.

– Byłem.

– Nie. Zaglądałam.

Patrzyłem na nią, a ona na mnie. Gdzieś w głębi domu, na tyle daleko, że bardziej się domyśliłem, niż usłyszałem, ktoś zamknął drzwi.

Wolno, kropla po kropli, przedarło się to przez liczne warstwy gąszczu w moim mózgu i dotarło do mnie. Leon i Susanna zidentyfikowali moją bluzę, powiedzieli Rafferty’emu, że miałem

problemy z Dominikiem, dali mu zdjęcie. Żeby mnie wrobić, nie był potrzebny żaden makiaweliczny plan. Gdyby zależało im na wpakowaniu mnie po uszy w gówno, mogliby to zrobić o wiele lepiej. Mogliby powiedzieć, co chcieli: tę historyjkę, którą właśnie opowiedziała mi Susanna, albo skłamać, że przyznałem im się do winy, i dodać kilka drastycznych szczegółów. A ja ze swoją rozsypaną pamięcią nie mógłbym się zrewanżować. Pokazali mnie Rafferty'emu, bo się bali, że zajmie się nimi, a nie zamierzali – przypomniałem sobie te drobne złośliwości, że wszystko uchodzi mi na sucho – nadstawiać za mnie karku. Naprawdę myśleli, że to zrobiłem.

To było absurdalne, debilne, zupełnie obłąkane. Przecież taki gość jak ja, radosny i niczego nieświadomy jak labrador, który beztrudnie dawał się unosić fali, nie mógł być mordercą. Pobić Dominica to co innego; gdybym znał całą historię, pewnie razem z Seanem przyłożylibyśmy mu trochę. Ale garota! Nie, do jasnej cholery, absolutnie nie, w życiu niczego takiego bym nie wymyślił; przecież powinni o tym wiedzieć. Kto jak kto, ale oni powinni mnie na tyle dobrze znać, żeby nawet przez ułamek sekundy nie przypuszczać, że mógłbym...

– Zaraz – powiedziałem. – Myślisz, że ja... Co?!

– Nic nie myślę, Toby. Nic. Chcę tylko wiedzieć.

– Daj spokój – rzuciłem, chyba dość cicho. – Całe te, te, te podchody... Pieprzyć to! Jeżeli chcecie mi coś powiedzieć, chcecie mnie o coś oskarżyć, to mówcie.

– Nie chcemy – odezwał się Leon wysokim i rozdygotanym głosem. – Naprawdę, Toby, nie...

– Ty gnojku. Za mało mi jeszcze zrobiłeś?

Kiedy chciałem go znowu złapać, cofnął się gwałtownie i wtedy to usłyszałem. Jakiś hałas na dachu: dziwną serię skrobnięć, coś dużego drapało łupki pazurami, szponami?

– Co to, do cholery? – Zanim się spostrzegłem, zszedłem z tarasu i cofnąłem się w głąb ogrodu. Moje buty ślizgały się i zapadały w miękką ziemię, mój głos zabrzmiał jak krzyk: – Co to było, do jasnej cholery?

– Co? – Leon wybiegł za mną i rozpaczliwie pomachał rękami w powietrzu, gdy wykręcił kostkę na jakimś kamieniu. – Jezu, co?

– Ten hałas. Na dachu.

– Ptak. – Susanna dołączyła do nas i odwróciła się, żeby spojrzeć w górę. – Albo nietoperz.

– Nie. Patrz. Patrz!

Na szczycie dachu, czarne, przycupnięte obok komina. Nieokreślonego kształtu, z pierzastymi wypustkami wystającymi z głowy jak skrzydła. Wierciło się, szykowało do czegoś, a widząc przemyślane ruchy, mógłbym przysiąc, że to człowiek. Rafferty szpiegował nas, uczeplił się i podsłuchiwał, gdziekolwiek mógł, wszędzie...

– Kurwa, żaden ptak, zobacz, jakie to wielkie...

– Jezu, Toby, to jest cień, uspokój się.

– A to na głowie? Co to jest? Jaki ptak ma...

– Boże – jęczał Leon coraz wyższym głosem. – Boże...

Stworzenie uniosło się i rozpostarło na tle nieba, szeroko, szerzej, niż można sobie wyobrazić. A potem wzbiło się w powietrze, kierując się prosto na nas.

Leon i ja wrzeszczeliśmy ochrypłymi, zduszonymi głosami. Usłyszałem szum i stworzenie runęło w moją stronę. Zrobiłem

unik i potknąłem się, lądując na czworakach w miękkiej ziemi. Pęd powietrza uniósł mi włosy, poczułem zapach – ziemny, sosnowy, zwierzęcy – i skuliłem się, czekając, aż szpony z bezlitosną precyzją sięgną mojego karku...

Nie wiem, ile to trwało, zanim się zorientowałem, że stworzenie zniknęło. Przystałem krzyczeć; Leon już tylko ciężko dyszał przez ściśnięte gardło. Poza tym w ogrodzie panowała niezmacona cisza.

Podniosłem się z kolan i usiadłem – to nie było proste, cały się trząsałem. Dach był pusty, na drzewach nic nie było; obok mnie klęczała zgięta wpół Susanna i sapała. Złapałem ją w panice, szukając śladów krwi.

– Su, popatrz na mnie. Nic ci nie jest?

– Nic. – Dopiero po sekundzie zorientowałem się, że pęka ze śmiechu.

– Co, do cholery...

– O Boże... – Leon kucał na ziemi, przyciskając dłoń do piersi.

– Nie mogę oddychać.

– Jezu Chryste, co to było?

– So... – wykrztusiła Susanna – sowa uszata. Kretyni.

– Nie – odparłem. – Niemożliwe. Takie ogromne, to niemo...

– Nigdy nie widziałeś uszatki? To wielkie ptaszyska.

– Ale to się na nas rzuciło.

– Pewnie pomyślała, że chcecie ją zaatakować. Narobiliście takiego hałasu...

– Leon. To nie była sowa. Prawda?

W świetle księżyca błysnęły białka jego oczu.

– Boli. Chyba mam atak serca... błagam, jak to boli...

– Masz atak paniki – powiedziała Susanna, ocierając oczy i opanowując chichot. – Wystarczy parę długich i spokojnych oddechów.

– Nie mogę oddychać!

– To nie był żaden pieprzony ptak – powtórzyłem z uporem.

Patrzyła na mnie przez chwilę. Brudne palce zostawiły jej na twarzy smugi jak barwy wojenne. A potem powoli osunęła się na wznak, z włosami na ziemi, i utkwiała wzrok w pustym niebie. Leon wydawał dźwięki, jakby miał wybuchnąć płaczem.

Na rękach i w butach miałem grudki ziemi; dygotałem, byłem spocony i o wiele za mocno upalony. Brzydki krajobraz księżycowy w ogóle nie przypominał Ivy House, który towarzyszył mi przez całe życie. Uderzyła mnie myśl, która wywołała dreszcz śmiertelnego przerażenia: że to wcale nie jest to samo miejsce, lecz tylko imitacja, ciemny, spowity w mgłę model, jakaś wypaczona, ale wiarygodna makietka, którą stworzył Rafferty i zwabił nas do niej, a kiedy się tu znaleźliśmy, nie możemy się już wydostać. Miałem wrażenie, jakbym w głębi duszy wiedział o tym od początku, tylko nie potrafiłem się zorientować. Omal nie krzyknąłem, ale wiedziałem, że Rafferty na pewno słucha i jeżeli to odkryje, grozi nam jakaś niewyobrażalna katastrofa.

Nad drzewami poświstywały nocne ptaki. Światło w oknie mojej sypialni nad nam już zgasło.

– Kurwa, co jest z wami? – Mój głos brzmiał chrypliwie i głucho. – Co?

Żadne z nich nie odpowiedziało. Leon szlochał, w ogóle już się z tym nie kryjąc.

– Jesteście cholerne świnie, wiecie? Walcie się.

– Chcę wracać do domu – oświadczył przez łyżę Leon, ocierając dłońmi twarz. W bladym świetle wyglądał groteskowo: oblepiony ziemią, z włosami rozrzuconymi w obłąkane zawijasy i z wykrzywioną twarzą.

– Tak – powiedziała Susanna. Z trudem usiadła, a potem wstała na chwiejnych nogach. – To chyba dobry pomysł. Chodź.

Wyciągnęła ręce do Leona. Złapał je i po kilku bezładnych próbach udało im się postawić go do pionu. Objęci ramionami, zataczając się, ruszyli wolno przez nierówną ziemię. Kostki Susanny wyginały się pod nieprawdopodobnym kątem. Żadne z nich nie obejrzało się na mnie.

Zostałem w ogrodzie. W jasnej kuchni Susanna bezwładnie oparła się o blat i usiłując skupić szklisty wzrok na telefonie, zaczęła stukać palcem w ekran jak w zwolnionym tempie. Leon stanął przy zlewie, ochlapał sobie wodą twarz i szyję, nalał pełny kubek i wychylił. Susanna coś powiedziała, a on skinął głową, nie odwracając się od kranu. Powietrze wokół mnie było gęste od ciem; te drobne stworzenia trzepotały mi na karku i pełzały po rękach, przez ubranie przenikał chłód ziemi.

Po chwili Susanna popatrzyła na telefon i powiedziała coś jeszcze: „Taksówka”. Po omacku znaleźli kurtki, upuścili je, wreszcie narzucili na ramiona i wytoczyli się na korytarz.

Hasz przestawał działać i zaczął mi się zjazd, chociaż ogród nadal wydawał się strasznie obcy – niby ten sam, a nie ten sam. Na myśl, że mam wstać i przejść ten nieosłonięty kawałek ziemi, ciarki przebiegły mi po plecach. Kto wie, co czyhało w niewidzialnych zakątkach? Pułapki, zaplątane pnącza, dzikie

psy i reflektory... Ale drżałem z zimna, miałem mokry tyłek i nawet jeżeli to stworzenie było tylko sową, nie chciałem być tu z nim sam. W końcu dźwignąłem się na nogi, opanowałem uderzenie krwi do głowy i przemknąłem przez ogród, kryjąc się w cieniu jak mysz.

Wspinaczka po schodach po omacku trwała bardzo długo. Zapach kurzu, ciche, równe pochrapywanie z pokoju Hugo, skrzypienie podłogi, na którego dźwięk trzepotało mi serce. Nie mogłem się zdecydować, czy obudzić Melissę. Z jednej strony potrzebowała snu, z drugiej musiałem jej o tym powiedzieć – o tej bredni, przez którą pokłóciliśmy się jedyny raz w życiu. Nie mogłem czekać z tym do rana.

– Kochanie – rzuciłem cicho w ciemność sypialni, w każdym razie tak cicho, jak umiałem. – Nie śpisz?

Mówiąc to, już wiedziałem. Powietrze w pokoju wydawało się chłodne i sterylne; nie było jej oddechu ani zapachu, nie wyczułem ciepła jej ciała.

Wymacałem wyłącznik światła. Łóżko ciągle było pościelone, w otwartej szafie wisiały puste wieszaki.

Usiadłem ciężko na łóżku. W uszach mi huczało. Znalazłem telefon i zadzwoniłem do Melissy. Odezwała się poczta głosowa. Spróbowałem jeszcze raz – to samo. I jeszcze raz. Musiała wyłączyć.

*Nigdy nie pomyślałam, że to zrobiłeś*, powiedziała, patrząc mi prosto w oczy, i uwierzyłem jej, bo chciałem uwierzyć. Nic dziwnego, że była ostatnio zmartwiona; nic dziwnego, że tak bardzo chciała mnie stąd wyciągnąć – w środku nocy, pijanego, upalonego – żebyśmy zostawili wszystko i uciekli w tym, co

mieliśmy na sobie. Próbowwała mnie ochronić. Bała się, że jeżeli będę dalej pytać, dowiem się, co zrobiłem.

Zabolało mnie nie to, że uwierzyła, iż mogę być mordercą. Wtedy przecież w ogóle mnie nie znała, nastolatki są skołowane, zagubione i na wpół obłąkane, mogłaby się spodziewać po mnie wszystkiego. Chciałem ukryć twarz w dłoniach i wybuchnąć płaczem, bo naprawdę wierzyłem, że Melissa wiedziała, kim teraz jestem, wiedziała tak dobrze, że potrafiłaby mnie posklejać z powrotem, nawet gdybym sam przestał znać samego siebie. A jednak się myliłem. Nie byłem bezdusznym draniem, psychopatą, który umie ukryć morderstwo w najgłębszym zakątku umysłu i żyć dalej, jak gdyby nigdy nic się nie zdarzyło... Ale znowu robimy kółeczko i wracamy do punktu wyjścia – skąd mógłbym mieć pewność, jakim typem człowieka jestem, co mogłem, a czego nie mogłem zrobić?

Melissa, Leon, Susanna, Rafferty, Kerr, nawet Hugo – tamtego dnia w samochodzie... *Naprawdę chciałbym wiedzieć, w jaki sposób trafił do tego drzewa... Może to dziecinne, ale uważam, że mam pewne prawo wiedzieć, co się stało...* Gdy o tym teraz myślałem, było jasne, że ostrożnie, delikatnie zachęcał mnie, żebym się przyznał. Kto jeszcze? Który z chłopaków z grupy absolwentów na Facebooku? Dec, Sean? Mój ojciec? Moja matka?

Rosochate pąsowe kwiaty na kamiennym blacie, rytmiczny błysk noża w słońcu. Drwiący i rozbawiony głos Susanny: *Cały ty... kiedy coś psuje ci samopoczucie, zaraz wyrzucasz to z głowy.*

Po tym wszystkie kawałki wskoczyły na miejsce. Potrzebowałem szokująco dużo czasu, żeby zauważyć jedyny

przeraźliwie jasny powód, dla którego wszyscy ci ludzie mogli myśleć, że zabiłem Dominica: bo go zabiłem.

Panowała kompletna cisza, nie skrzypiało drewno, nie słyszałem nawet chrapania Hugo. Miałem to samo straszne wrażenie, co w ogrodzie: że ten dom jest monstrualnym oszustem przechodzącym niezrozumiałe i niepowstrzymane transformacje; drewniane podłogi uginały się pod stopami jak mech, ceglane ściany falowały jak miękkie zasłony pod działaniem napierającej na nie z zewnątrz tajemniczej siły.

*Tamtej nocy. Dokąd poszedłeś?*

Próbowałem sobie powtarzać, że pamiętam. Po uderzeniu w głowę mogło mi z niej wylecieć słowo „durszlak” albo informacja, kiedy ostatni raz widziałem Phila, ale nie coś takiego. Nie miałem jednak pojęcia, czy to prawda.

*Faye mówiła... że tamtego lata byłeś trochę wkurzony na Dominica. Zanim Dominic zginął, wszyscy skończyliśmy szkołę, na resztę życia mieliśmy ruszyć w różne strony. Leona nie czekał kolejny rok znoszenia numerów Dominica w szatni, to już była przeszłość. Po co miałby go zabijać?*

*Postawiłbym duże pieniądze, że zamierzałeś tylko przestraszyć Dominica... Planowałeś tylko trochę nim wstrząsnąć, nic poważnego...*

Ale przecież, pomyślałem (ściany kołysały się niespokojnie, na krawędziach pola widzenia pulsowały ciemne punkciki), gdybym to zrobił, na pewno miałyby to wpływ na każdy następny dzień mojego życia: koszmary, wspomnienia, ataki paniki na widok policjanta albo po wejściu do ogrodu... Uraz głowy nie mógł tego wszystkiego wymazać i zapisać na nowo...

*Pewnie już tydzień potem w ogóle zapomniałeś, że to się wydarzyło... Było nam tak wstyd, że resztę wieczoru spędziliśmy na górze, powiedziała Susanna, kiedy mówiła o kłótni Hugo z jakąś kobietą. To nie miało nic wspólnego z uszkodzeniem mózgu. To zrobił mój umysł – wtedy cały i zdrowy, taki jak zawsze.*

Poczułem się podle, nie od ginu, nie od haszu, lecz od przenikającej na wskroś bezsilności, jak od zatrucia albo infekcji, skóra stała się lepka, oczy zaczęły łzawić, zbuntował się cały organizm. Zdałem sobie sprawę, że niewiele widzę, i po chwili znalazłem się na czworakach, z czołem przyciśniętym do podłogi. Oddychałem wolno i płytko, czekając, aż zwymiotuję albo zemdleję. Gdzieś w zakamarku duszy cieszyłem się, że nie widzi mnie teraz Melissa.

Nie mogłem otworzyć oczu. Nie wiedziałem, czy zasypiam, czy tracę przytomność; jedno i drugie wydawało się błogosławieństwem. Udało mi się jakoś po omacku wgramolić na łóżko i gdy palce zaplątały się w kołdrę, a żołądek niebezpiecznie się rozkołysał, ze wszystkich stron nadciągnęła ciemność, która mnie pochłonęła.

Obudziłem się, bo słońce świeciło mi prosto w twarz. Udało mi się lekko rozchylić oczy; było późno, światło cudownego jesiennego dnia wlewało się zza zasłon. Każda cząstka mnie na swój własny sposób czuła się do dupy. Obróciłem się na brzuch i jęknąłem w poduszkę.

Przypominałem sobie minioną noc kawałek po kawałku. Niczego tak nie pragnąłem, jak zasnąć z powrotem i najlepiej spać kilka tygodni, miesięcy albo wiecznie, ale się poruszyłem i to okazało się dla mnie zabójcze. Ledwie zdążyłem do łazienki.

Torsje wstrząsały mną jeszcze długo po tym, jak opróżniłem żołądek. W końcu poczułem się na tyle bezpiecznie, by się wyprostować, przepłukać usta i ochlapać twarz zimną wodą. Ręce mi drżały; w lustrze zobaczyłem plamistą twarz o błędnym spojrzeniu, bardzo podobną do tej, którą oglądałem w szpitalu.

Byłem przerażony. Podejrzenie o popełnienie morderstwa oznaczało co innego, kiedy wierzyłem w swoją niewinność: to nie był szmirowaty hollywoodzki dramat, raczej nie groziło mi więzienie za coś, czego nie zrobiłem. Teraz, gdy rzeczywiście mogłem być winny, wyglądało to zupełnie inaczej. Rafferty był bystrym i doświadczonym gliniarzem, którego przebiegłości pewnie nie potrafiłem sobie wyobrazić. Jeśli zostawiłem jakieś dowody – zresztą jak mógłbym nie zostawić, skoro miałem

osiemnaście lat i siano w głowie – na pewno je znajdzie. Mógł mnie zagadywać, myśleć kilka razy szybciej ode mnie, a ja nawet nie wiedziałem, co przed nim ukryć, bo nie miałem pojęcia, co się wtedy stało i dlaczego, na litość boską, w ogóle miałbym coś takiego zrobić. Nie mogłem uwierzyć, że tak długo udawałoby mi się – prawdopodobnie, przypuszczalnie? – pozostać bezkarnym.

Koniecznym musiałem nad tym pomyśleć, ale przeszkadzał mi dokuczliwy łomot w głowie. Przekopawszy swoje rzeczy w poszukiwaniu środków przeciwbólowych, znalazłem i połknąłem dwie tabletki. Zastanawiałem się, czy nie wziąć jeszcze xanaxu, ale musiałem mieć jasny umysł, a przynajmniej tak jasny, jak się dało. Później – nie zważając na to, że nadal mam na sobie swoją szalową koszulę i lniane spodnie z wczoraj, oblepione ziemią i zalatujące potem i haszem – ostrożnie stawiając stopy na każdym stopniu, zszedłem na dół w poszukiwaniu kawy.

Kuchnię zalewała oślepiająca jasność, od której pękała głowa; zegar pokazywał, że już minęło południe. Przy kuchence stał Hugo w szlafroku i kapciach, pilnując perkoczącej radośnie kawiarki.

– O – rzucił, odwracając się z uśmiechem. Miał chyba dobry dzień, wydawał się wręcz w znacznie lepszej formie niż ja. – Powstają z martwych. Rozumiem, że noc była udana?

Usiadłem przy stole i zakryłem twarz dłońmi. Kawa to nie był dobry pomysł; na sam zapach znowu ogarnęły mnie mdłości.

Hugo parsknął śmiechem.

– Czyli miałem rację, żeby was nie budzić. Pomyślałem, że przyda się wam trochę dłużej poleżeć. Jak tylko usłyszałem na

górze ruch, nastawiłem kawę.

– Dzięki.

– Mam dla ciebie niespodziankę... kiedy się już naprawdę obudzisz. Zjadłbyś coś? Grzanekę? Może jajecznicę?

– O Boże.

Znowu się zaśmiał.

– Więc za jakiś czas. – Zajrzał do kawiarki, wyłączył gaz, nalał mi duże espresso i przyczłapał do mnie, opierając się na lasce. – Proszę.

Mój mózg nie wpadł wcześniej na pomysł, żeby przyjść z tym wszystkim do niego, dopóki nie będzie za późno.

– Melissa też się napije? – spytał. – Jest jeszcze w łóżku? Zdąży do pracy?

– Melissa nie zejdzie.

– Boże drogi. Jestem pod wrażeniem. – Ostrożnie zgiął drżący nadgarstek i wlał sobie resztę kawy. – O której się położyliście?

Zastanawiałem się, czy tego przed nim nie ukryć. Uwielbiał Melissę i ta wiadomość złamie mu serce. Pewnie udałoby mi się go zwodzić przez parę dni, wymyślić jakiś powód, dla którego wieczorami nie ma jej w domu – remanent w sklepie, chora matka – dopóki nie wpadłbym na jakiś pomysł, co z tym wszystkim zrobić... Nie znalazłem jednak w sobie tyle energii.

– Nie – powiedziałem. – Nie zejdzie, bo odeszła. Na zawsze.

– Co? – Hugo gwałtownie obrócił głowę i spojrzał na mnie. – Dlaczego?!

– To skomplikowane.

Po długiej chwili odstawił kawiarkę, wlał odrobinę mleka do kawy i postawił ją na stole. Usiadł naprzeciwko mnie i objął

kubek dłońmi. Szlafrok rozchylił się, ukazując krzywo zapiętą flanelową piżamę; szare oczy powiększone szklami okularów wpatrywały się we mnie nieruchomo – czekał.

Kiedy zacząłem mówić, nie mogłem przestać. Wszystko wylało się ze mnie jedną bezładną falą – moje wspomnienia z tamtej nocy były dość mgliste, brakujące elementy pojawiały się bez ładu i składu, kiedy opowiadałem, ale sedno było chyba wystarczająco jasne. Przemilczałem tylko ostatni krok, tę ostateczną rewelację. Hugo, który w milczeniu popijał kawę miarowymi łykami, prawdopodobnie sam się domyślił, ale nie byłem w stanie się zmusić, aby powiedzieć to głośno.

– No więc – bełkotałem, powtórzywszy wszystko co najmniej raz – to było wtedy, jak już poszli do domu... czy nie wiem dokąd... zaraz potem. Myślałem, że Melissa będzie na górze, ale... Próbowałem do niej dzwonić, dzisiaj rano jeszcze nie próbowałem, ale teraz nie wiem, czy w ogóle powinienem... Jasne, chcę wszystko naprawić, ale nie mam pojęcia, co się stanie. Może rzeczywiście lepiej dla niej, żeby nie było jej przy tym, kiedy...

Wreszcie udało mi się zamknąć. W głębokiej ciszy, gdy patrzyłem na swoją nietkniętą kawę, poniewczasie przyszło mi do głowy, jaką zrobiłem straszną rzecz, zwalając to wszystko na barki Hugo. Zostało mu zaledwie parę miesięcy życia. Dlaczego nie znalazłem lepszego sposobu? Musiałem mu je zepsuć swoimi pieprzonymi zmartwieniami? Nie mogłem na niego spojrzeć; bałem się, że zobaczę załamanego człowieka z wyrazem szoku na twarzy, zalewającego się łzami rozpacz. Nie unosząc głowy, skrobałem paznokciem nieistniejącą plamę na blacie

z jasnoszarego drewna w miejscu, gdzie słoje zwijały się wokół czarnego punkcika, tworząc kształt przypominający rozdziawionego ducha z kreskówki. Myślałem o spędzonym tu czasie, przy grzance z dżemem, projekcie z geografii, na pijackich imprezach, a teraz przy tym.

– No dobrze – odezwał się Hugo, stawiając z hukiem kubek na stole. Jego głos tak mnie zaskoczył, że uniosłem wzrok; odzyskał swoją siłę i autorytet. Pamiętałem Hugo z dzieciństwa, gdy mocny jak dąb, zawsze potrafił osadzić nas w miejscu i natychmiast przerwać nam każdą kłótnię albo dzieło zniszczenia. – To zaszło za daleko.

Nie umiałem nic powiedzieć. Nagle poczułem, że jestem bliski upokarzającego płaczu.

– Nie zawracaj sobie tym dłużej głowy. Załatwię to. – Położył dłoń na blacie i dźwignął się na nogi. – Ale najpierw obaj musimy coś zjeść. Zrobimy omlet... Tak, tak, wiem, że nie chcesz, ale jeszcze mi podziękujesz. I zjemy go w spokoju. Potem pójdziesz wziąć prysznic, a ja zajmę się tą mętną sprawą, zanim zupełnie wymknie się spod kontroli.

Wiedziałem, że to niemożliwe, ale w głębi duszy chciałem mu wierzyć. Wysoki, z przysłoniętą cieniem twarzą, stojący naprzeciw powodzi światła za oknami, z dłonią zaciśniętą na lasce, rozrzuconymi na ramionach włosami i w powłóczystym szlafroku, wyglądał jak postać z karty tarota, kryjąca w sobie mnóstwo tajemnych przepowiedni. Wciąż nie mogłem wykrztusić słowa. Nasadą dłoni otarłem oczy.

Hugo pokuśtykał do lodówki i zaczął wyjmować produkty na omlet: jajka, masło, mleko.

– Chyba z szynką i serem, i ze szpinakiem... Pewnie o wiele lepiej zrobiłby ci ogromny talerz smażonej chińszczyzny, ale nie mamy składników.

– Przykro mi – wyjąkałem. – Naprawdę przykro.

Zignorował to.

– Chodź i pokrój to. Nie ufam już swojej ręce.

Posłusznie podszedłem do blatu, znalazłem nóż i zabrałem się do krojenia szynki. Tabletki przeciwbólowe zaczynały działać; głowa przestała mi tak nieznośnie pulsować, ale wydawała się teraz luźniej osadzona i zasnuta zwiewnymi rzeczami: strzępami pajęczyn, mgły i puchem ostu.

Hugo wbił trzy jajka do miski i zaczął je roztrzepywać.

– No więc niespodzianka – odezwał się łżejszym tonem. – Ta, z którą czekałem, aż bardziej się obudzisz. Nie uwierzysz.

Postanowiłem, że zagram jak najlepiej, przynajmniej tyle byłem mu winien.

– Naprawdę?

– Chyba rozwiązałem zagadkę pani Wozniak.

Jego twarz pojaśniała w szerokim i szczerym uśmiechu.

– Żartujesz – rzuciłem.

– Nie, jestem prawie pewien. Haskins, nasz autor pamiętnika, w listopadzie tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego zaczyna gderać, że żona zwała mu na kark rodzinne kłopoty. Zwykle tak narzeka, że z początku nie zwróciłem na to szczególnej uwagi... niewiele brakowało, a opuściłbym prawie cały ustęp, na szczęście jednak przeczytałem. Siostra jego żony z Clare... sam rozumiesz, dlaczego tak mnie to zainteresowało... chce, żeby jej szesnastoletnia córka na kilka miesięcy zamieszkała

u Haskinsów w Tipperary. Haskins skarży się przede wszystkim na to, że będzie zmuszony ponosić koszty karmienia i ubierania dziewczyny, ale kipi z oburzenia, ponieważ panienska może mieć demoralizujący wpływ na jego dzieci. Te mają w tym momencie trzy, cztery i siedem lat, są więc moim zdaniem w wieku, w którym trudniej o demoralizację. Chyba że... – Wrzucając masło na patelnię, zerknął na mnie spod uniesionej brwi, jakby pytał: „Rozumiesz, w czym rzecz?”.

Potrzebowałem chwili, by wyłowić cokolwiek z grzęzawiska w mojej głowie.

– Była w ciąży?

– Trudno mieć pewność. Haskins był tak wściekły, że jego pismo zmienia się w zupełnie nieczytelną plątaninę, wszędzie podwójne podkreślenia, ale sądząc po tym, ile razy wspomina o wstydzie, hańbie i rozpuszcie, chyba była. Podaj mi sól i pieprz, dobrze?

Spełniłem jego prośbę. Jego spokój zaczynał mnie przejmować lękiem. Zastanawiałem się, czy mógł zapomnieć o całej rozmowie. Czy będę musiał powtórzyć wszystko od początku wieczorem, kiedy Melissa nie wróci z pracy.

– Dzięki. – Z promienną miną posolił i popieprzył omlet. – Zgadnij, jakie nazwisko nosiła siostrzenica.

– McNamara?

– Otóż to. Elaine McNamara. – Uśmiechnął się, patrząc spod przymrużonych powiek na pokrętko palnika, by dokładnie wyregulować płomień, nie mogłem jednak nie zauważyć jego ogromnej satysfakcji. – Dotąd nie pojawiła się w żadnym z drzew rodziny, prawda? A może się mylę?

– Nie przypominam sobie.

– Wytropimy ją. Potem, niestety... – wlał na patelnię jajka, które zasyczały i zaskwierczały – ...trochę straciłem cierpliwość i zacząłem opuszczać duże fragmenty, szukając jakiejś wzmianki o O’Haganach, żeby potwierdzić naszą teorię. I rzeczywiście, w pierwszych tygodniach tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku pani Haskins mówi, że ich cudowni sąsiedzi, państwo O’Haganowie, chętnie zgodzą się „ukryć wstyd Elaine”. To powinno być proste jak drut, bo w tamtych czasach w aktach urodzenia często zdarzały się kłamstwa. O’Haganowie mogli po prostu iść do urzędu i zapisać dziecko jako własne, bez potrzeby udowadniania, skąd je wzięli. Nasz Haskins nie jest zachwycony tym pomysłem, uważa, że byłaby to zbyt łagodna kara dla Elaine. Nie będzie mogła w pełni uzmysłwić sobie... jak on to napisał, *wagi swojego występku*. Chce ją wysłać do domu dla panien z dziećmi. Wydaje mi się jednak, że w tym sporze ostatecznie zwyciężyła żona.

Spokojny rytm jego głosu, smakowity zapach smażonych jajek, jasny błękit nieba za szybami drzwi tarasu. Pomyślałem o swoim pierwszym dniu po tym, jak sprowadziłem się tu z Melissą – siedzieliśmy obaj w jego gabinecie, po szybie spływał deszcz, a gdy Hugo mówił, błądziłem myślami po jego bibelotach.

– Tyle zdążyłem ustalić – ciągnął – dopóki nie usłyszałem, jak wstajesz. Mimo wszystko uważam, że to nieźle jak na poranek.

Rzucił mi niemal wstydlive spojrzenie.

– Niesamowite – powiedziałem, przywołując na twarz szeroki uśmiech. – Gratuluję.

– Sobie też możesz pogratulować. Razem tego dokonaliśmy. Powinniśmy to uczcić kieliszkiem... Mamy jakieś prosecco czy coś w tym rodzaju? Czy to byłoby za dużo na twoją głowę?

– Nie, brzmi świetnie. Na pewno gdzieś mamy.

– Oczywiście teraz... – wsypał na patelnię sporą garść startego sera i dodał pokrojoną szynkę – ...muszę się zastanowić, jak powiedzieć o tym pani Wozniak.

– Powinna być wniebowzięta – zauważyłem. Znalazłem w barku butelkę prosecco; nie było schłodzone, ale do diabła z tym. – Na tym jej zależało, prawda? Przecież nie znalazłeś w jej drzewie rodzinnym mordercy.

Hugo w zamyśleniu zerknął na mnie przez ramię.

– Jeżeli wszystkiego tu nie pomyliłem, tym dzieckiem był dziadek Amelii Wozniak, Edward O’Hagan – powiedział. – Ten, który wyemigrował do Ameryki. Zmarł nie tak dawno, bo w siedemdziesiątym szóstym, więc całkiem możliwe, że dobrze go znała. Tyle że w świetle tych informacji może się wydawać, że wcale nie znała go aż tak dobrze. Nie był Edwardem O’Haganem, ale Edwardem McNamarą. Trochę... albo zupełnie inną osobą. Poza tym... – dorzucił na patelnię liście szpinaku – ...ta nowa osoba wnosi ze sobą wielki bagaż bólu, wielką niesprawiedliwość. Ta szesnastolatka, która w hańbie została wypędzona przez rodzinę i której wbrew jej woli odebrano dziecko, była prababką Amelii. Cały ten ból i niesprawiedliwość są ściśle związane z istnieniem Amelii. Bez nich mogłaby się nazywać Amelia McNamara albo w ogóle by jej nie było.

– Może. – Trudno mi było wykrzesać z siebie współczucie. Z wielką radością zamieniłbym swoje kłopoty albo kłopoty Hugo

na kryzys egzystencjalny pani Wozniak.

– Kto wie, być może spojrz na to tak jak ty – przyznał. – Wolałbym jednak na wszelki wypadek przeprowadzić to delikatnie. – Po kilku próbach udało mu się złożyć omlet. – W każdym razie to jeszcze nie jest problem na dziś. Najpierw trzeba będzie odcyfrować resztę pamiętnika. Chciałbym się dowiedzieć, jaki był ostatecznie los Elaine i czy uda się natrafić na trop ojca dziecka. Później moglibyśmy spytać panią Wozniak, czy są jacyś potomkowie męskiej linii rodziny, żeby zrobić test chromosomu Y, na razie jednak może zacząłbyś sprawdzać księgi parafialne, żeby ustalić, czy Elaine w końcu wyszła za mąż. Wątpię, by mąż okazał się ojcem dziecka, bo wtedy po prostu wyszłaby za niego od razu... bardziej prawdopodobne, że nie spełniał jakichś warunków. Ale warto sprawdzić.

– Dobrze. – Najwyraźniej mieliśmy wrócić do naszej miłej codzienności i udawać, że nic, co działo się ostatniej nocy, nie zdarzyło się naprawdę, choć nie wyobrażałem sobie, jak Hugo mógł przypuszczać, że to się uda. Nie wspominając już o tym, jak zamierzał to wszystko „załatwić”. Zacząłem się zastanawiać, czy zapomniał, że w ogóle to powiedział, czy może jego plan był jakąś zrodzoną przez chorobę mrzonką, która zakłada użycie komiksowego batsygnału albo laleczki voodoo Rafferty’ego czy czegoś w tym rodzaju. Czy to możliwe, że w ogóle nie zrozumiał, co się dzieje? I uważał, że jedyny problem to sprzeczka kuzynów, drobny kryzys w związku, że wszyscy zachowują się trochę niepoważnie pod wpływem stresu i sytuację naprawi tylko zdecydowana reprimenda? – Nasze zdrowie.

– I zdrowie Elaine McNamary. – Hugo wziął ode mnie kieliszek i odsunął się na bok, żebym zdjął omlet z ciężkiej patelni. – Biedne dziecko.

Ku własnemu zaskoczeniu, spałaszowałem swoją połowę omletu tak szybko, że Hugo się zaśmiał.

– Jeżeli jeszcze jesteś głodny, mamy więcej jajek.

– Miałeś rację – przyznałem. – Tego potrzebowałem.

– Oczywiście, że miałem rację. Może kiedy następnym razem coś ci powiem – uśmiechnął się znad kieliszka – przestaniesz grymasić i uwierzysz mi na słowo. – Gdy wyskrobywałem z talerza resztki omletu, dodał: – Przyniesź teraz papierosy, dobrze? Skoro już mamy dekadencją ucztę.

Siedzieliśmy w milczeniu, paląc papierosa, potem następnego, i dolewając prosecco. Hugo odchylił głowę do tyłu i spod półprzymkniętych powiek spoglądał na sufit z powagą i rozmarzonym spokojem. Z oddali dobiegł krzyk dzikich gęsi, niosący ze sobą jesienny nastrój, pierwsze mrozy i dym palonego torfu. Wielka dłoń Hugo strzepywała popiół do wyszczerbionego spodka, z którego zrobiliśmy sobie popielniczkę, promienie słońca ożywiały sfatygowane drewno stołu nieprawdopodobnym świętym blaskiem.

\* \* \*

Pod prysznicem spędziłem bardzo dużo czasu. Poprzednia noc wżarła mi się w skórę; mimo że szorowałem się ze wszystkich sił, wciąż czułem stęchły zapach ginu, haszu i ziemi w ogrodzie. W końcu dałem spokój i po prostu stałem pod

maksymalnie silnym i gorącym strumieniem wody, który chłostał mi głowę.

Kiedy zostałem sam, szybko wrócił mi kac po haszu, przynosząc ze sobą paskudny miszmasz fizycznej i psychicznej, wszechogarniającej, paraliżującej rozpaczy i przecucia nieszczęścia, które nie miały źródła w głowie, lecz raczej w głębi brzucha i w plecach. Melissa od początku miała rację: szukanie odpowiedzi było najgłupszą rzeczą, jaką mogłem zrobić, ale było już za późno.

Wciąż czepiałem się wątłej nadziei, że zrozumiałem wszystko na opak i jeśli tylko uda mi się odzyskać jasność myśli, potrafię odtworzyć prawdziwy przebieg wydarzeń. Mimo gorączkowych wysiłków każdy trop doprowadzał mnie jednak do tego samego miejsca: bluza należała do mnie, byłem jedyną osobą, która mogła mieć klucz, żeby wpuścić Dominica, tylko do mnie mógłby przyjść, gdybym go wezwał („Hej, stary, mam parę kresek, jestem ci winien, wpadniesz?”), i to mnie tamtej nocy nie było w pokoju. I co najważniejsze: któż by inny, jeśli nie ja? Susanna i Leon myśleli, że to ja. Hugo? Nie ma mowy! W domu nie było nikogo innego. Oczywiście Dominic mógł rąbnąć klucz, sprytnie przynieść własną garotę i przyprowadzić swojego zabójcę, ale mimo mojej czarnej rozpaczy ta ewentualność wydawała się ciut nieprawdopodobna, więc zataczałem koło i wracałem do tego samego koszmarnego miejsca.

Nie miałem czym się przed tym bronić. Jedyne kontrargument był taki, że nic nie pamiętałem i nie byłem facetem tego typu. Ale ile to było warte? W sądzie być może, nawet niewykluczone – „Panie i panowie przysięgli, wiem, że

DNA mojego klienta znaleziono na całej garocie, ale proszę na niego spojrzeć, czy taki sympatyczny jasnowłosy chłopiec z takiej miłej bogatej rodziny, taki przystojny, który nigdy w życiu nie miał żadnych poważnych kłopotów, wygląda na mordercę?”. Gdybym jeszcze mógł coś zrobić z opadającą powieką i bełkotliwą wymową, może nawet nie spotkałaby mnie kara. Ale tu, gdzie nie było nic prócz bezlitosnego szumu wody, obłoków pary i potępieńczego pisku rur, wszystko wyglądało inaczej. To, co sobie myślałem i czego nie myślałem, za kogo się uważałem, nie znaczyło zupełnie nic.

Oburącz przekręcony klucz w zardzewiałym zamku, szept „Wchodź stary” i uśmiech Dominica w skrawku księżycowego blasku. Garota wrzynająca się w ciało, zduszone jęki, stopy na próżno ryjące ziemię. Nieprawdopodobny ciężar ciała, które trzeba było przeciągnąć przez bezkresną przestrzeń trawy, moje przeraźliwie głośne dyszenie, ciemność, oszalałe „Nie dam rady” – nie miałem pojęcia, które z tych rwanych obrazów są wspomnieniem, a które wynikiem mrocznych halucynacji, powstających głębiej niż wyobraźnia, bezwiednych i niepowstrzymanych, tętniących własną siłą i realnością.

Każdy z nich wydawał się obcy, obłąkany, jakby narzucony siłą. Jak mogłem myśleć o takich rzeczach, ja? Należałem do innego świata, chodziłem na piwo z chłopakami, sprytnie kierowałem dyskusjami na Twitterze, w senne deszczowe niedziele jadłem z Melissą rogaliki w łóżku. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałem, dlaczego to wrażenie wydaje mi się straszliwie znajome. Ciągle stałem pod prysznicem, patrząc w pustkę – stałem tak pewnie przez pół godziny, woda była już

zimna – gdy nagle wróciło tamto wspomnienie. Pierwszego dnia, który spędziłem w szpitalu, lekarz z beznamiętną miną cedził monotonnym głosem „...neurolog... ataki... terapeuta zajęciowy...”, jak gdyby to wszystko miało coś wspólnego ze mną. A potem coraz większa gorycz świadomości, że jednak ma, że to teraz moje życie.

W końcu woda zrobiła się tak zimna, że szczękałem zębami. Wycierając się, usłyszałem dyskretne stuk-stuk do drzwi wejściowych; chwila ciszy; potem szmer kilku spokojnych słów Hugo, z którymi przeplatał się głos kogoś innego. Uprzejmy, życzliwy ton, pełen cierpliwości, ale poznałbym go natychmiast przez wszystkie ściany i piętra, wszędzie, po najciszej wypowiedzianym słowie, jak kochanek: Rafferty.

Nogi mi się ugięły. Tak szybko. Wiedziałem, że kiedyś to musi nastąpić, ale liczyłem na parę tygodni, miesięcy; chwilami błyskała mi nawet idiotyczna nadzieja, że może nie spotkają mnie żadne konsekwencje. Przez sekundę myślałem o ucieczce – Hugo ich zagada, a ja wyskoczę oknem, przejdę przez mur z tyłu i... Zanim zdążyłem skończyć myśl, zdałem sobie sprawę, jaka jest niedorzeczna. I co potem? Miałbym zapaść się pod ziemię, zamieszkać w jaskini w górach Wicklow? Zamiast wiać, szybko się ubrałem, drżącymi rękami z trudem zapinając guziki – przynajmniej nie będę musiał dygotać w samych bokserkach, kiedy po mnie przyjdą. Zaprzeczaj, powiedziałem sobie, idąc w dół po schodach jakby w zwolnionym tempie; z przerażenia i poczucia obcości robiło mi się niedobrze i kręciło w głowie do tego stopnia, że musiałem się trzymać poręczy. Zaprzeczaj,

zaprzeczaj, zaprzeczaj i weź adwokata, niczego ci nie udowodnią...

Rafferty, Kerr i Hugo stali w korytarzu. Gwałtownym ruchem obrócili jednocześnie głowy w stronę schodów. Detektywi byli ubrani w jesienne płaszcze, a Kerr miał kapelusz Ala Capone; Hugo – jak mimochodem zauważyłem, choć nie rozumiałem powodu – przebrał się i zamiast szlafroka i pizamy miał na sobie całkiem porządne tweedowe spodnie oraz czystą koszulę i sweter. Było coś niepokojącego w ich widoku: stali w pewnej odległości od siebie, zajmując precyzyjnie wyznaczone pozycje na geometrycznej posadzce, jak figury szachowe.

– O co chodzi? – spytałem.

– Toby – przywitał mnie wesoło i swobodnie Rafferty, jakby nasza ostatnia rozmowa w ogóle się nie odbyła. – Ładna fryzura. Posłuchaj, twój wujek pojedzie z nami i spędzi trochę czasu na komisariacie. Nie martw się, odwieziemy go bezpiecznie z powrotem.

– Co? – wykrztusiłem po chwili konsternacji. – Po co?

– Musi złożyć zeznanie – wyjaśnił Kerr.

– Ale... – Czuję się dezorientowany.

Wszyscy trzej patrzyli na mnie, jakbym przeszkodził im w prywatnej transakcji, jakimś ciemnym interesie, zakupie prochów, w sprawie, która w ogóle mnie nie dotyczyła, więc byłem osobą niepożądaną.

– Przecież może zeznawać tutaj – rzuciłem.

– Nie tym razem – odparł przyjaznym tonem Rafferty. – Są różne sytuacje.

Nie rozumiałem i nie podobało mi się to.

– Jest chory – zauważyłem. – Ma...

– Tak, wiem. Zajmiemy się nim w odpowiedni sposób.

– Ma ataki.

– Dobrze wiedzieć. Będziemy uważać. Przyjmuje pan na to jakieś leki? – zwrócił się do Hugo.

– Mam je tutaj. – Hugo dotknął kieszeni na piersi.

– Hugo, o co chodzi? – spytałem.

Odgarnął sobie włosy z czoła. Były starannie uczesane. Ich długość w połączeniu z porządnym ubraniem dawała wrażenie dekadencjonalnej elegancji; wyglądał jak słynny dyrygent przeżywający trudności.

– Zadzwoiłem do detektywa Rafferty’ego i wyjaśniłem, że to ja odpowiadam za śmierć Dominica Ganly’ego – odparł łagodnie.

Nastąpiła sekunda absolutnej ciszy.

– Że co, do cholery?!

– Powinienem to zrobić już kilka tygodni temu... hm... ściślej mówiąc, powinienem to zrobić już wiele lat temu. Ale do takiego kroku byłby zdolny tylko określony typ człowieka, którym najwyraźniej nie jestem, a raczej do tej chwili nie byłem.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Hugo, co ty wyprawiasz?

Przyglądał mi się posępnie zza okularów jak z ogromnej odległości.

– Nie wydaje mi się, żebym w tym momencie mógł dalej ukrywać ten fakt – wyjaśnił. – Ten ostatni atak był czymś w rodzaju dzwonka alarmowego.

Kerr przestępował z nogi na nogę, chcąc już iść.

– Proszę pamiętać – odezwał się Rafferty, który tymczasem wycofał się na dalszy plan – ma pan prawo nic nie mówić, jeżeli

pan nie chce, ale wszystko, co pan powie, zostanie zapisane i może zostać wykorzystane w postępowaniu dowodowym. Pamiętaj pan o tym, tak?

– Wiem – odparł Hugo. Znalazł na wieszaku swój płaszcz i niezdarnie zaczął się ubierać, przekładając laskę z ręki do ręki.

– Jest pan pewien co do decyzji o prawniku? – spytał Rafferty.  
– Bo uprzedzam już teraz: przy tym zeznaniu powinien panu towarzyszyć adwokat.

– Jestem pewien.

– Zadzwoń do taty – oświadczyłem bardzo głośno. – Zaraz przyjedzie. Niczego nie mów, dopóki...

– Nie zadzwonisz – przerwał mi Hugo, szarpiąc w zdenerwowaniu krnąbrny rękaw. – Słyszałeś? Nie będziesz zawracał głowy ojcu ani wujkom, ani kuzynce i kuzynowi. Pozwól mi to spokojnie zrobić.

– Musi mieć adwokata – zwróciłem się do Rafferty’ego. – Nie może pan z nim rozmawiać bez adwokata.

Rozłożył ręce.

– Decyzja należy do niego.

– Nie może podjąć takiej decyzji. Nie jest... umyślowo nie jest... Bywa rozkojarzony. Zapomina różne rzeczy.

– Toby – rzucił zirytowanym tonem Hugo. – Proszę cię, przestań.

– Mówię poważnie. Nie jest... nie ma... – przypomniałem sobie odpowiednie wyrażenie – ...nie ma pełnej zdolności do czynności prawnych.

– Nie decydujemy o zdolności do czynności prawnych. – Kerr poruszył ramieniem i skrzywił się na dźwięk chrupnięcia

w stawie. – Tym się zajmuje sąd.

– Jeżeli sprawa trafi tak daleko – dorzucił Rafferty.

– Owszem, jeżeli trafi – zgodził się z nim partner. – Teraz wiemy tylko tyle, że pan Hennessy chce nam coś powiedzieć, więc musimy odebrać zeznanie.

– Ależ on to sobie wszystko wyobraził. Nikogo nie zabił. To jakiś rodzaj halucynacji, to... – Hugo mocował się z guzikami płaszcza. – Hugo, proszę!

– Dziękuję ci za wotum zaufania – mówił na wpół z rozbawieniem, na wpół ze złością – ale naprawdę, Toby, doskonale wiem, co robię.

– Jeżeli to halucynacja, to nie ma się czym przejmować – powiedział Rafferty. – Wyjaśnimy to i natychmiast odwieziemy go do domu.

– Ależ on umiera. – Byłem zbyt zrozpaczony, żeby bawić się w dobre maniery. – Lekarz twierdzi, że powinien być w hospicjum. Nie możecie go wsadzić do celi i...

Kerr zarechotał.

– Jezu, człowieku, czy ktoś mówił coś o celi? Wyluzuj. Na tym etapie jedziemy tylko sobie pogadać.

– Wujek będzie mógł wyjść, kiedy zechce – oznajmił Rafferty.

– W najgorszym razie, w najgorszym z najgorszych, wróci do domu jutro.

– Jutro?!

– Nikt się nie sprzeciwi, kiedy złoży wniosek o kaucję – pocieszył mnie Kerr. – Przecież trudno mówić o ryzyku ucieczki.

– Na litość boską, Toby – zirytował się Hugo. – Wszystko jest w porządku. Przestań nam zawracać głowę.

– Spokojnie – poradził mi Kerr, ruszając w stronę drzwi. – Może nalej sobie małego drinka, pomyśl o czymś innym. Nie ma sensu się podniecać, skoro nie ma czym.

Hugo zdjął z wieszaka szalik i owinął nim szyję.

– Idziemy? – spytał.

Rafferty otworzył drzwi i do środka wpadł zimny wiatr, gęsty od zapachów jesieni. Hugo uśmiechnął się do mnie.

– Chodź tu – poprosił, a kiedy podszedłem, objął mnie za szyję.

– Nic się nie martw. Zabierz się do pracy nad pamiętnikiem, znajdź dla mnie coś ciekawego, kiedy wrócę. I na miłość boską, wyjaśnij sprawę z Melissą, dobrze?

– Hugo – powiedziałem, ale już mnie puścił i mając po bokach Rafferty’ego i Kerra, wyszedł w blask słońca drżący na żółtych liściach.

\* \* \*

Usiadłem ciężko na schodach i spędziłem tam sporo czasu. Oczywiście zrozumiałem, co Hugo robił. Przemyślał to i spokojnie dokonał smutnych obliczeń; doszedł do wniosku, że zostało mu na tyle mało czasu, że – biorąc pod uwagę zwolnienie za kaucją i opieszałość działania systemu sprawiedliwości – nie powinien trafić do więzienia. Uznał, że aby uratować mi skórę, warto spędzić ostatnie dni życia w pokojach przesłuchań, warto przejść do historii jako Wiązowy Dusiciel, czy jak go tam ochrzczą tabloidy.

Nie zgadzałem się z tą decyzją, ale nie wyobrażałem sobie, jak mógłbym ją zmienić. Zastanawiałem się, czy nie wskoczyć do

taksówki i nie popędzić za nimi na komisariat, aby dorzucić do śledztwa moje zeznanie i wziąć winę na siebie, ale prócz instynktownego przerażenia na samą myśl o tym, były przeszkody natury logistycznej: nie wiedziałem, na który komisariat pojechali, nie byłem też pewien, jak się przyznać do czegoś, czego nie pamiętam. Odnosiłem wrażenie, że ogromna większość moich procesów myślowych po prostu ustała.

Ani przez sekundę nie brałem pod uwagę możliwości, by Hugo mówił prawdę. Oczywiście nikt nikogo nigdy nie zna na wylot, nawet gdyby bardzo chciał w to wierzyć, lecz Hugo znałem na tyle dobrze, by nie mieć wątpliwości co do kilku kwestii, między innymi co do tego, że nikogo nie udusiłby garotą. Znacznie mniej byłem przekonany, czy ja nie byłbym do tego zdolny, co samo w sobie mówiło wiele o stopniu mojej pewności.

Wreszcie w odruchu posłuszeństwa poszedłem do gabinetu. Tom pamiętnika Haskinsa, nad którym pracował Hugo – z samoprzylepnymi karteczkami na kilku pożółkłych stronicach – leżał otwarty na jego biurku. Obok znalazłem transkrypcję zrobioną przez Hugo. Była niekompletna, wszędzie widniało sporo luk; przeskakiwał fragmenty tekstu, szukając najciekawszych informacji. Usiadłem przy jego biurku i zabrawszy się do pracy, próbowałem uzupełnić puste miejsca.

W każdych okolicznościach byłaby to żmudna i frustrująca praca, ale moje zamglone od kaca oczy ślizgały się po literach, a z koncentracji zostały strzępy. Wydawało mi się, że na każde zdanie poświęcam pół godziny, wszystkie strony były usiane małymi kleksami, które wesoło podskakiwały. *Słyszałem, jak Georgie czyta z podręcznika. Czytanie jest wielce zadowolające,*

*lecz nadal brakuje mu pewnej żwawości. Zaprezentowałem mu to, czytając opowiadanie autorstwa [???] ku naszej wielkiej uciesze... Dziś piękny dzień, wróciłem z mszy z apetytem, liczyłem na smakowity posiłek, ale... [znowu narzekania na kucharkę]. W mieście wybuch epidemii odry i podobno najmłodsze dziecko [kogo, Sullivanów?] jest bliskie śmierci, ale [coś tam, coś tam] nadzieję...*

Popołudnie wlokło się bez końca, a Hugo nie wracał. W pewnym momencie, kiedy już wirowało mi w oczach i w głowie, zadzwoniłem do Melissy. Powiedziałem sobie, że jestem jej winien wiadomość o tym, co się stało, ale w rzeczywistości miałem nadzieję, że wróci w te pędy, aby być przy mnie w obliczu nowego kryzysu. Nie odebrała. Nie nagrałem wiadomości; nie wydawało się, żeby coś takiego można było zostawić na poczcie głosowej.

*Dziś spodziewałem się wyruszyć do Limerick, ale ponieważ droga jest zalana po deszczu, jechać nie mogłem. Byłem ogromnie rozczarowany i nie... [niezadowolony?] z mojej żony...*

Dochodziła szósta, przesłuchanie na pewno już się skończyło, chyba że zeznanie Hugo zamieniło się w epos. Zadzwoniłem pod numer jego komórki, ale nie odbierał. Przekopałem kieszenie i szuflady, wreszcie znalazłem wizytówkę Rafferty'ego i z sercem w gardle wbiłem jego numer; od razu włączyła się poczta głosowa.

Dotarłem do kryzysu z Elaine McNamarą, podczas którego Haskins rozpałał w sobie moralne oburzenie. *Z jednej strony możemy, jak twierdzi Caroline, przyuczyć ją do cnoty, czystości i... [pracowitości?]. Wydaje się to jednak zbyt lekka pokuta za jej*

*grzech...* Ciągnęło się to przez wiele stron, więc przeskoczyłem dalej.

Niebo za oknem przygasało, przez szyby wciskał się wieczorny chłód. Hugo bardzo stanowczo zabronił mi komukolwiek o tym mówić, ale odchodziłem od zmysłów. Susanna prawdopodobnie ciągle się na mnie złościła, ale była jedyną osobą, która mogła wpaść na jakiś sensowny pomysł, co z tym zrobić.

Zdecydowała się odebrać dopiero po kilku dzwonkach.

– Toby. – Chłód i nieufność. – Jak głowa?

– Słuchaj – powiedziałem. – Coś się stało.

Kiedy skończyłem, w słuchawce panowała cisza. W tle słychać było Sallie, która beztrąsko i odrobinę fałszywie śpiewała: *Uparty mały pajak na rynnę kiedyś wlaźł...*

– No dobrze – odezwała się w końcu Susanna. – Rozumiem. Rozmawiałeś z Leonem?

– Jeszcze nie. Tylko z tobą.

– To dobrze. Nie mów nikomu. Zostaw to.

– Dlaczego?

Chłupot wody: Sallie siedziała w wannie.

– Nie wiem, jak twój tato, ale mój już jest mocno zestresowany. Nie ma sensu bardziej go denerwować, zwłaszcza że rano wszystko może się rozejść po kościach.

– Twoim zdaniem nie zauważą, że Hugo został aresztowany?

– Jeszcze nie został. To przedwczesny alarm... Sal, powinnaś to trochę namydlić...

– Ale on się przyznał do winy. To jasne, że zostanie...

– Ludzie często przyznają się do rzeczy, których nie zrobili. Policja nie uwierzy Hugo na słowo. Sprawdzą... czy jego wersja zgadza się z ich dowodami, czy wie o rzeczach, o których mógł wiedzieć tylko zabójca. I tak dalej.

*Po chwili tęcza wysuszyła świat...*

Rozmowa przebiegała nie tak, jak powinna, inaczej, niż się spodziewałem.

– To dlaczego nie chcesz, żeby Leon wiedział? Skoro to nic wielkiego?

– Leon nie za dobrze radzi sobie z tym wszystkim. Mówię, na wypadek gdybyś nie zauważył. Nie chcę, żeby świrował ze strachu.

– Co? Nie jest wrażliwym kwiatuszkiem, który musimy chronić przed... przed... Nie jesteśmy już dziećmi... – A może jednak próbowałem go chronić, kiedy naprawdę byliśmy dziećmi, jak sądził Rafferty? I proszę, w co się przez to wpakowałem... – To dorosły facet. Jeżeli my potrafimy sobie z tym poradzić, on też potrafi.

Susanna westchnęła.

– Słuchaj – powiedziała ciszej. – Nie wiem, czy się orientujesz, ale Leon myśli, że to ty zabiłeś Dominica. – Chwila ciszy, by sprawdzić, jak na to zareaguję. Milczałem. – Właściwie uważa tak od początku. Przeżywa teraz jakiś skomplikowany proces i wkurza go myśl, że mogłoby ci to ująć na sucho.

– Niech spierdala – rzuciłem w przypiływie złości, podnosząc głos. – Powiedział to gliniarzom? Dlatego tak się gnoje nade mną pastwią?

– Nie. I nie zamierza powiedzieć, nie bój się. Rozmawiałam z nim, jest pod kontrolą. Tak naprawdę nie chce, żebyś poszedł siedzieć. Uważa po prostu, że zawsze wszystko uchodziło ci na sucho i że to niesprawiedliwe.

– Jezu Chryste! Ile my mamy lat, sześć?

– Jasne, wiem, to tylko głupia pozostałość z dzieciństwa. Ale jeżeli dowie się, że Hugo zeznaje na policji, nie wiem, co zrobi. I wolałabym się nie dowiedzieć, chyba że będzie trzeba.

– Okay – odparłem po chwili. Nie podobało mi się to. Jasne, wiedziałem, że Leon jest zestresowany, ale Susanna mówiła o tym tak, jakby znalazł się na krawędzi totalnego załamania, a wszystko wskazywało na to, że to ja zostanę pierwszą przypadkową ofiarą tego dramatu. – Co mam zrobić, jeżeli przyjdzie i zapyta, gdzie się podział Hugo?

– Nie przyjdzie.

– Skąd wiesz?

– Wczoraj bardzo się zdenerwował. Wydaje mi się, że przez jakiś czas nie będzie miał ochoty z tobą rozmawiać.

– Och, wspaniale! – Ja też nie miałem szczególnej ochoty rozmawiać z Leonem, ale nie byłem zachwycony tym, że jest na mnie taki cięty. – Cholernie mnie uspokoiłaś.

– Na mnie też będziesz się wściekał? Jak mówię, Leon jest pod kontrolą. Nie próbuj go nakręcać, to nic złego się nie stanie.

Co to miało znaczyć? Czy ja też byłem „pod kontrolą”?

– Nie wściekam się na ciebie. Próbuję tylko wykombinować, co powinniśmy zrobić w sprawie Hugo.

– Nic nie powinniśmy robić. Po prostu czekać.

– Kurwa, siedzi u nich już parę godzin, Su. Bez adwokata.

– No i co? Nawet jeżeli mu uwierzą, to nie mają dość dowodów, żeby postawić mu zarzuty. A jeżeli nawet, to kiedy sprawa trafi do sądu, za pół roku, za rok? To nie jest katastrofa, Toby. Wiem, nie jest fajnie, ale na dłuższą metę to niczego w żaden sposób nie zmieni.

W końcu zrozumiałem, co jest nie tak w tej rozmowie. Susanna w ogóle nie raczyła zwrócić uwagi na to, że Hugo zabił Dominica – w każdym razie tak twierdził.

– Nie przypuszczasz, że to zrobił? – spytałem.

– A ty?

– Nie.

– Sam widzisz.

*Uparty mały pajak na rynnę znowu wlażł...*

– Nie tylko Leon myśli, że ja to zrobiłem, prawda? – powiedziałem. – Ty też.

– Słuchaj – odezwała się po krótkim milczeniu Susanna. Mówiła dobitnym, wyważonym i stanowczym tonem, a monotony szczebiot Sallie trochę przycichł. Susanna najwyraźniej odeszła na bok, żeby mi to dobrze wbić do głowy. – Zależy mi tylko na tym, żeby żadne z nas nie trafiło za kratki. To wszystko. Reszta niewiele mnie obchodzi. I myślę, że to, co robi Hugo, daje nam na to największą szansę. Nie przeszkadzaj mu w tym. – Nie odpowiedziałem. – Dobra? Możesz to zrobić?

– Tak. Jak sobie chcesz.

– A Melissa? Zgodzi się?

– Z nią nie będzie problemu.

Nagle w tle rozległ się lament:

– Weszło mi do oczu!

– Muszę kończyć – rzuciła Susanna. – Dzisiaj wytrzymaj. Zobaczymy, co będzie jutro rano, wtedy się zastanowimy... Już dobrze, skarbie, tu masz ręcznik... – I rozłączyła się.

W oknie błysnęły pierwsze gwiazdy, okulary do czytania Hugo leżały na skraju płamy światła lampy na biurku, jakby właśnie je tam położył. Próbowałem wrócić do dziennika, ale oczy i mózg odmówiły mi posłuszeństwa: to był bełkot. Wiedziałem, że chyba powinienem coś zjeść, ale nie chciało mi się tym zajmować. Powiedziałem sobie, że zjem z Hugo, kiedy wróci do domu – na pewno będzie głodny, więc zamówimy coś z restauracji. Tymczasem siedziałem przy stole w kuchni, paliłem papierosa za papierosem i słuchałem dobiegających z ciemności pohukiwań młodych sów.

Pragnąłem Melissy tak bardzo, że chciało mi się wyć. Myślałem o niej, jak w swoim ciasnym mieszkanku wypakowuje sukienki ciągle pachnące Ivy House, herbatą, dymem z kominka i jaśminem, a okropna Megan krąży wokół niej, wypytuje i z satysfakcją rzuca wredne komentarze, jak to zawsze wiedziała, że nie jestem nic wart. Pragnąłem tak nieprzytomnie, że niemal uniosło mnie z krzesła, żeby pojechać do niej taksówką, walić do drzwi, dopóki nie otworzy, a potem mocno ją objąć; powiedzieć, że miała absolutną rację, że już nigdy nie będę się z nią kłócił, że jutro wsiądziemy do samolotu i odlecimy gdzieś daleko od tego całego przekłętego bagna, tak jak chciała.

Tylko że nie mogłem tego zrobić. Bardzo długo to do mnie docierało, lecz wreszcie dotarło: nie mogłem do niej jechać, nie mogłem nawet zadzwonić, już nigdy. Niemal na pewno zabiłem człowieka. Gdybym nawet jakimś cudem uniknął kary, gdyby

nawet plan Hugo się powiódł, a Rafferty zamknąłby sprawę i zniknął, byłem mordercą.

Melissa... ta myśl omal mnie nie zdruzgotała. Melissy w ogóle to nie obchodziło. Zależało jej jedynie na tym, by mnie ochronić przed ujawnieniem prawdy. Gdybym tylko chciał od tego uciec, z radością i entuzjazmem uciekłyby razem ze mną.

Mnie to jednak obchodziło. Melissa, słoneczna, poraniona i dzielna Melissa, nieustrudzenie starała się wszystko naprawiać... dla kogoś takiego jak ja nie było miejsca w jej życiu. Zasługiwała na takiego faceta, jakim – tak oboje sądziliśmy – byłem ja... zasługiwała na kogoś lepszego. Zmierzałem do tego celu, układałem już plany. Nawet po tamtej nocy, gdy na mnie napadnięto, w najciemniejszym zakamarku duszy wierzyłem, że być może wrócę do siebie. Teraz już nie wierzyłem. Nie wiedziałem, jak można to naprawić, jak mógłbym się z tym uporać. Czułem się zbyt wyczerpany, skacowany i nieszczęśliwy, żeby płakać.

Usłyszałem sygnał swojego telefonu, złapałem go gorączkowo jak postać z sitcomu. Wiadomość głosowa.

– Hej, Toby, tu Rafferty. – W Ivy House miałem czasem kłopoty z zasięgiem, ale byłem pewien, że celowo zadzwonił na pocztę głosową. – Przepraszam, że wcześniej nie odebrałem. Posłuchaj, ciągle wyjaśniamy pewne rzeczy, więc Hugo zostanie tu na noc. Nie martw się: zamówiliśmy pizzę, wziął leki, wszystko z nim w porządku. Pomyślałem, że powinieneś wiedzieć, żeby na niego nie czekać. Do jutra. – Klik.

Zadzwoniłem na komórkę Hugo; włączyła się poczta głosowa.

– Hugo, to ja. Chciałem spytać, czy nic ci nie jest. Posłuchaj, jeżeli zmienisz zdanie, jeżeli chcesz, żebym po ciebie przyjechał albo zdecydujesz się na adwokata, zadzwoń albo napisz, o każdej porze. – Czy mógł to zrobić? Pozwoliliby mu na to? W ogóle miał przy sobie telefon, czy mu odebrali? – A ja się tym zajmę, dobrze? Jeżeli nie, to... uważaj na siebie. Proszę. Spróbuję zadzwonić rano. Na razie.

Długo siedziałem nad telefonem leżącym na stole, na wypadek gdyby Hugo oddzwonił, ale się nie doczekałem. Próbowałem dodzwonić się do Rafferty’ego z niejasnym planem, aby zażądać rozmowy z Hugo, lecz oczywiście nie odbierał.

Robiło się późno. Przyszło mi na myśl, że to pierwsza noc, którą spędzam sam, odkąd wyniosłem się z mieszkania. Byłem tak zmęczony, że ledwie mogłem się ruszać, ale nie chciałem iść spać. Leżałbym rozebrany, pogrążony we śnie, zbyt daleko od wszystkich wejść, by cokolwiek usłyszeć, gdyby ktoś włamał się do domu. Przyniosłem więc kołdrę z sypialni i wyciągnąłem się na kanapie, nie gasząc lampy stojącej. Nie liczyłem na sen – wzdrygałem się na każde skrzypnięcie podłogi i szmer w kaloryferze – w pewnym momencie jednak, gdy była już głęboka noc, musiałem przysnąć.

\* \* \*

Gdzieś dzwonił telefon, ale nie mogłem się do końca otrząsnąć ze snu. To był jeden ze starych czarnych ściennych aparatów z ciężką zdobioną słuchawką, lecz w niewyraźnym złotym blasku nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie on jest. W korytarzu na

piętrze, w sypialni Hugo? Moje ciało nie działało normalnie, nie potrafiłem nad nim zapanować. Telefon ciągle dzwonił, a ja uświadomiłem sobie, że chyba wszystko mi się pomyliło i to musi być moja komórka. Oczy nadal nie działały, widziałem tylko gęstą mgłę złożoną z szarych plamek, ale po omacku odnalazłem telefon i przesunąłem palcem po ekranie.

– Toby. – Głęboki, ciepły głos przez moment brzmiał niemal pocieszająco, koło ratunkowe w szalejącym odmiecie. – Mówi detektyw Mike Rafferty. Posłuchaj, twój wujek stracił przytomność. Jest w karetce, jedzie do szpitala St Ciaran’s.

– Co? – odpowiedziałem po chwili. Udało mi się usiąść, choć kiwałem się i miałem zawroty głowy. – Co się stało?

– Jeszcze nie wiemy. Kto jest jego najbliższym krewnym?

– Co? Nie ma... to znaczy...

– Jest najstarszym bratem, zgadza się? Kto jest drugi w kolejności? Twój ojciec?

– Phil. Mój wujek Phil. – Stopniowo odzyskiwałem wzrok, ale pokój wyglądał nie tak jak trzeba, wydawał się niebezpieczny i rozchwiany: fotele nachylone pod lekkim kątem, pofałdowany dywan, ciemność z odcieniem szarości, która mogła być świtem, zmierzchem czy burzą.

– Możesz mi przesłać jego numer? Teraz, natychmiast?

– Hugo nie żyje?

– Pięć minut temu jeszcze żył. Ratownicy go stabilizowali. Jadę za nimi do szpitala. – Teraz dopiero usłyszałem w tle hałas, warkot silnika; Rafferty rozmawiał ze mną z samochodu. – Powinniśmy być na miejscu za dziesięć minut, jeżeli chcesz się tam z nami spotkać. Najpierw jednak przyślij mi numer.

– Dobrze, już jadę – rzuciłem, ale zdążył się rozłączyć.

Mój telefon pokazywał za kwadrans siódmą rano. W oszołomieniu, z walącym sercem, niepewny, czy to się dzieje naprawdę, czy ciągle jestem uwięziony we śnie, udało mi się wysłać SMS-em numer Phila, zamówić taksówkę, znaleźć kurtkę i buty.

Ostre wilgotne powietrze, nadal palące się latarnie. Taksówka trzęsła się na boki. Duszący waniliowy zapach odświeżacza, lusterko przystrojone różańcami, cudownymi medalikami i pożółkłymi portretami świętych. Taksówkarz był zgarbionym, chudym staruszkim, który nie odezwał się ani słowem, odkąd wsiadłem. Miałem ochotę pochylić się i powiedzieć mu, że nastąpiła zmiana planów i muszę jechać do Donegal albo Kerry, niech jedzie dalej, żebym tylko nie musiał wysiadać.

\* \* \*

Pierwszy krok w szpitalu uderzył mnie jak potężna fala. Przyniosła nieustanny gwar głosów, nieznośne ciepło, ale przede wszystkim zapach: przykrytą środkami dezynfekującymi trującą woń setek ciał, chorób i lęków stłoczonych w za ciasnej przestrzeni. To miejsce przypominało fachowo skonstruowaną broń, która miała obedrzeć cię z człowieczeństwa, wydrążyć i zmienić w skorupę, gotową zrobić wszystko, co jej każą, w zamian za nikłą szansę, że pewnego dnia wydostanie się z powrotem do świata żywych. Niewiele brakowało, a zawróciłbym i uciekł.

Jakoś udało mi się wyjaśnić cel mojej wizyty kobiecie z grubą warstwą podkładu na twarzy, ale w momencie, gdy odwróciłem się od recepcji, zapomniałem wskazaną drogę i zagubiłem się w labiryncie korytarzy i schodów, wyłożonych kilometrami gumowatych niebieskich płytek, po których biegali zaaferowani ludzie w strojach szpitalnych, nie zwracając na mnie uwagi. Sale były szczelnie wypełnione metalowymi łózkami, które rozdzielały wesole jasnoniebieskie zasłony. Widziałem wymizerowane, szare twarze, słyszałem elektroniczne piski urządzeń, czyjeś jęki; minąłem faceta o kulach, który włókł się korytarzem, utkwivszy w oddali szklisty niewidzący wzrok, jaki znałem aż za dobrze. Straciłem rachubę, na którym piętrze jestem, ogarnęła mnie fala paniki – nie ma stąd wyjścia, utknę tu na zawsze – lecz gdy skręciłem za róg, ujrzałem ciemną szczupłą sylwetkę na końcu korytarza, odwróconą do mnie plecami, z rękami w kieszeniach płaszcza. Mimo że stała na tle białego trupiego światła, od razu wiedziałem, że to Rafferty.

W tym miejscu wyglądał jak zbawienie. Jak najszybciej ruszyłem w jego stronę.

– Toby. – Odwrócił się do mnie. Był ogolony, świeży i skupiony; pachniał tą swoją wodą po goleniu o sosnowym zapachu. Wydawał się całkowicie odporny na szpitalną atmosferę. – Czekałem na ciebie.

– Gdzie on jest?

Wskazał głową podwójne drzwi. Obok nich był interkom z dużą tabliczką DZWONKI, na której widok poczułem, jak wzbiera we mnie histeryczny śmiech. Udało mi się go opanować.

– Właśnie kładą go do łóżka – dodał Rafferty. – Powiedzieli, że możemy wejść, kiedy go do wszystkiego podłączą.

– Co się stało?

– Jeszcze nie wiadomo. Zostawiłem go wieczorem około wpół do jedenastej. Był zmęczony, chciał się trochę przespać, ale był w dobrej formie. Nawet żartował, mówił mi, że gdyby miał wyjechać z domu na ostatni weekend, wybrałby Pragę. Dopilnowałem, żeby ktoś zaglądał do niego co pół godziny, sprawdzał, czy czegoś nie potrzebuje, czy nie chce lekarza.

Wydawało mi się, że powinienem usłyszeć u Rafferty’ego przynajmniej cień obronnego tonu – Hugo był przecież pod jego opieką, i proszę, co się stało – ale nic podobnego: oaza spokoju, jak gdyby zdawał relację innemu detektywowi z nocnych wydarzeń.

– Według oficera dyżurnego – ciągnął – położył się spać między jedenastą a wpół do dwunastej. Na nic się nie skarżył, nic go nie bolało, nie było mu niedobrze, niczego nie chciał. Ostatni raz zaglądano do niego o szóstej: spał, równo oddychał. Kiedy przyszedłem dwadzieścia po szóstej, leżał nieprzytomny na podłodze. Natychmiast wezwaliśmy karetkę. Powiedziałem im o raku i atakach.

Niewiele widziałem przez podwójne drzwi, jedynie pusty, niebiesko-biały korytarz i błyski chromu.

– Co powiedzieli lekarze? – spytałem.

– Niewiele. Zbadali go na ratunkowym i zabrali na tomografię. Kiedy wyszli, mówili, że zabierają go tutaj, na OIOM. Nie jestem z rodziny, niewiele mi mogą powiedzieć, ale tyle się dowiedziałem. – Rafferty przesunął się, żeby pochwycić moje

spojrzenie, ponieważ bez przerwy obracałem głowę, usiłując zorientować się w przestrzeni, bo wydawało mi się, że perspektywa jest zaburzona. – Toby, kiedy osoba zatrzymana trafia do szpitala – mówił dalej – zwykle stawiamy przy niej funkcjonariusza, żeby pilnował jej cały czas. Na wypadek gdyby próbowała prysnąć albo kogoś zaatakować, albo powiedzieć coś, co chcemy usłyszeć. Lekarz powiedział, że w przypadku twojego wujka nie ma takiej potrzeby. Dlatego czekam tutaj.

– Ale... – Próbował mi coś powiedzieć, nie byłem jednak pewien, czy dobrze rozumiem. – Jeżeli to był następny... następny atak, mają na to leki. Mogą coś zrobić...

Drzwi za mną skrzypnęły. Obróciłem się gwałtownie i zobaczyłem krępego, siwowłosego faceta w zielonym stroju, który zdejmował lateksowe rękawiczki.

– Pan jest z rodziny Hugo Hennessy’ego?

– Tak – odparłem. – Jestem jego bratankiem. Co się stało? Czy... czy wszystko z nim dobrze?

Lekarz zaczekał, aż do niego podejść. Był koło sześćdziesiątki, barczysty, choć przy tym pulchny, ale poruszał się jak bokser, w arogancki sposób całkowicie kontrolując przestrzeń, jak gdyby każdy mógł się w niej znaleźć tylko za jego zgodą. Prześliznął się po mnie spojrzeniem – opadająca powieka, utykanie – taksując mnie od niechcienia, co było irytujące.

– Wie pan o guzie mózgu, tak? – powiedział.

– Tak. Został zdiagnozowany kilka... chyba w sierpniu.

– Miał udar krwotoczny. To się często zdarza. Guz rozrywa tkanki, stopniowo je niszczy i w rezultacie dochodzi do wylewu. Krew wywarła ciśnienie na mózg. Dlatego stracił przytomność.

– Czy on... – Chciałem zapytać „Czy już się obudził” albo „Czy jeszcze żyje”, ale lekarz mówił, jakbym w ogóle nie istniał.

– Ustabilizowaliśmy go. Krwotok tego rodzaju może wywołać wahania ciśnienia. Kiedy pana wuj do nas trafił, miał wielkie skoki. Podaliśmy mu leki, żeby to opanować. Teraz będziemy go monitorować, zobaczymy, jak zareaguje. Mamy nadzieję, że niedługo się obudzi. Wszystko zależy od stopnia uszkodzeń.

Uświadomiłem sobie, kogo mi przypomina: tego neurologa palanta, który rozmawiał ze mną, gdy byłem w szpitalu, i oganiał się od moich pytań, jakby wszystko, co miało związek ze mną, było za mało istotne, by poświęcać temu uwagę.

– Czy on... – „Wyzdrowieje” brzmiałoby bez sensu, Hugo na pewno nie wyzdrowieje, nie wiedziałem jednak, jak inaczej...

– Musimy uzbroić się w cierpliwość – powiedział lekarz. Grubymi, krótkimi palcami wstukał kod na klawiaturze przy drzwiach. – Może pan wejść i go zobaczyć. Druga sala po lewej. – Przytrzymał drzwi i czekał na Rafferty’ego. Ten trzymał się z boku; przepuścił mnie, po czym skinął głową i ruszył za mną korytarzem.

Gęsty smród śmierci i środka do dezynfekcji rąk, skądś dobiegał dziewczęcy płacz. Sala była mała i przegrzana. Hugo leżał na wznak; powieki miał odrobinę rozchylone i na chwilę wstąpiła we mnie szalona nadzieja, ale zobaczyłem, jaki jest nieruchomy. Miał poszarzałą skórę, która obwisała na twarzy, wyostrajając jej rysy. Z jego ciała biegły cienkie, elastyczne i paskudne rurki i przewody: jedna rurka tkwiła w uchylonych ustach, druga w kościstej ręce, jakiś wężyk zniknął pod prześcieradłem, spod koszuli na piersi wytryskał pęk

przewodów. Wszędzie stały urządzenia, które wydawały piski, wyświetlały na monitorach kolorowe zygzaki, błyskały cyframi. Wszystko wyglądało przerażająco, ale mimo to kurczowo uczepliłem się tych maszyn – przecież nie podłączyliby go do nich, gdyby nie sądzili, że ma szansę na przeżycie. Na pewno by tego nie zrobili, prawda?

Pielęgniarka – ładna Hinduska o łagodnej twarzy i lśniących włosach związanych w kok – pisała coś na karcie.

– Niech pan do niego mówi. – Zachęcająco kiwnęła głową w stronę Hugo. – Może słyszy.

Przysunąłem sobie do łóżka brązowe plastikowe krzesło i usiadłem.

– Hugo – powiedziałem. Kątem oka dostrzegłem Rafferty’ego, który ruszył do drugiego krzesła stojącego w kącie i usadowił się wygodnie, szykując się na długi dyżur. – To ja, Toby.

Nic, nie drgnęła powieka, usta się nie poruszyły. Maszyny miarowo popiskiwały, nic się nie zmieniło.

– Jesteś w szpitalu. Miałeś wylew.

Nic. Nie czułem, że tu jest.

– Wyjdiesz z tego – dodałem niedorzecznie.

– Niedługo wrócę – poinformowała nas pielęgniarka, wieszając kartę na ramie łóżka. – Gdyby pan mnie potrzebował, proszę nacisnąć ten przycisk, dobrze?

– Dobrze. Dziękuję – odpowiedziałem.

Zniknęła, poruszając się po gumowatej podłodze niemal bezszelestnie. Przez otwarte drzwi wpadł daleki odgłos szłochu, zanim zamknęły się z cichym szmerem.

Hugo poczułby do tego miejsca głęboką odrazę. Może celowo był w śpiączce, żeby nie patrzeć na to wszystko, zresztą nie dziwiłbym mu się...

– Hugo – odezwałem się znowu. – Im szybciej się obudzisz, tym szybciej wrócisz do domu. Wiesz?

Przez moment wydawało mi się, że jego wargi napięły się wokół rurki, jakby próbował coś powiedzieć, ale wrażenie zaraz minęło i nie byłem pewien, czy tylko tego sobie nie wyobraziłem.

Chciałem mu powiedzieć jeszcze setki rzeczy, zadać setki pytań. Może coś z tego dotarłoby do niego w głębi spowitego pajęczynami mroku. Nie tak dawno temu sam się w nim znajdowałem, więc jeśli ktoś mógł trafić do Hugo przez ten rozedrgany labirynt i wyprowadzić go stamtąd, to na pewno ja.

Ale był Rafferty, kanciasty cień przysłaniający mi z boku pole widzenia, który sprawiał, że wszystkie słowa musiały pozostać niewypowiedziane.

– Co mówił? – zapytałem, gdy nie mogłem go już dłużej ignorować. – Na komisariacie?

Rafferty pokręcił głową.

– O tym nie mogę rozmawiać. Przepraszam.

Nie potrafiłem nic wyczytać z utkwionych we mnie złotych oczu. Nie miałem pojęcia, czy wie, że Hugo go okłamał i dlaczego, ani co on chce z tym zrobić. Aresztować mnie, zawlec na przesłuchanie – „Mów, a pozwolimy ci wrócić do wujka”? Zastanawiałem się, czy nie powiedzieć tego wprost, jak gdybyśmy w tym pokoju byli tylko my dwaj: „Obaj wiemy, jak było. Proszę mi pozwolić zostać tu do końca, wszystko jedno, jak będzie, a potem zrobię wszystko, co pan zechce. Zgoda?”.

Nie uwierzyłem w to, że uda mi się to zrobić. Odwróciłem się z powrotem do Hugo. Jego wielka dłoń leżała bezwładnie na prześcieradle tuż obok mnie, więc położyłem na niej rękę, bo pomyślałem, że chyba tak powinienem zrobić. Wydawał się chłodny, jakby kościsty i elastyczny równocześnie; to nie był dotyk ludzkiego ciała i miałem ochotę cofnąć dłoń, zmusiłem się jednak, by wytrzymać, bo może on coś tam czuł. Może wyszedłem z powrotem na światło, prowadzony za rękę przez matkę albo ojca, kto wie? Obserwowałem twarz Hugo, słuchałem bezustannego, monotonnego popiskiwania, przy każdym oddechu czułem ostry sosnowy zapach wody Rafferty'ego i starałem się nie poruszać, żeby coś się nie stało.

\* \* \*

W szpitalu straciłem poczucie czasu i nie wiem, jak długo tam byliśmy. Pamiętam fragmenty, ale nie w porządku chronologicznym; czas funkcjonował tam inaczej, brakowało mu jakiegoś elementu, więc zdarzenia nie łączyły się w żadną sekwencję, lecz krążyły oderwane od siebie w wielkiej szumiącej białej pustce.

Był tam mój ojciec, miał przekrzywiony kołnierzyk koszuli i tak mocno ścisnął mi bark, że bolało. Przypomniałem sobie, że gdy był u mnie w szpitalu, u jego stóp krążyło długonogie jasnobrązowe stworzenie. Miałem na końcu języka pytanie, czy tym razem też je przyprowadził, na szczęście jednak przyszło mi do głowy, że tamto było pewnie halucynacją. Pielęgniarka zapisywała coś na karcie Hugo, regulowała pokrętła, wymieniała

worki. „Kiedy wyszedłeś z domu, próbowałem odcyfrować pamiętnik Haskinsa – powiedziałem do niego. – Nie uwierzysz, ale znalazłem coś, co nie budzi w nim niechęci, wiesz? Uwielbia czytać dziecku. Nie umiem tylko ustalić, co czytał. Będziesz musiał sam to zrobić, kiedy wrócisz, zaznaczyłem tę stronę...” Wyraz twarzy Hugo się nie zmienił. Phil płakał bezgłośnie, co chwilę ocierając ręką oczy.

„Niestety, tylko dwie osoby na łóżko” – oznajmiła inna pielęgniarka, więc czasem wychodziłem do poczekalni. Rzędy czarnych plastikowych krzeseł, szumiący automat z kawą i herbatą w kącie, przysadzista kobieta w średnim wieku trzymająca za rękę jasnowłosą nastolatkę, obie wpatrzone pustym wzrokiem w przestrzeń. Moja matka pochyliła się, żeby pocałować mnie w głowę, a kiedy się nie cofnąłem, przytuliła mnie do zapachu skoszonej trawy i zimnego powietrza, potem głęboko odetchnęła i mnie puściła.

Rodzina zasypywała mnie pytaniami – „Dlaczego tam był...”, „Za co go...”, „Ależ nie...”, „Nie...”, „Nie, to szaleństwo...”, „Oczywiście, że nie, on...”, „Cóż za...”. Wyobraziłem sobie ich miny, gdybym powiedział im prawdę: „Słuchajcie, powinniście już chyba wiedzieć. Zdaje się, że od początku chodziło o mnie, to wszystko moja wina, przepraszam was za to...”. Przez sekundę myślałem, że może rzeczywiście to zrobię albo zemdleję, nie byłem pewien. Osunąłem się na krzesło i ukryłem twarz w dłoniach, co okazało się dobrym ruchem: wycofali się i dali mi spokój. Leon kręcił się po poczekalni, trzymając się z boku, obgryzając paznokiec i nie patrząc na mnie.

„Hugo, chciałem cię o to zapytać, wiesz, co znaleźli w tym drzewie, powiedzieli ci?” Nachyliłem się bliżej, by zobaczyć, czy drgnęła mu dłoń. „Ołowiane żołnierzyki. Były twoje?” I śmiech mojego ojca, który w suchym powietrzu zabrzmiał zaskakująco głośno: „Moje! Z Olivera był taki urwis, że kiedy któryś z nas miał ulubioną zabawkę, zaraz się nią interesował i próbował nam ukraść, więc zawsze chowaliśmy przed nim rzeczy... Pewnie zapomniałem, gdzie je wsadziłem!”. A potem w ciszy czekaliśmy, aż Hugo uśmiechnie się i powie, co ukrył przed Oliverem i gdzie mamy tego szukać.

„Powinieneś wrócić do domu i trochę się przespać” – poradził mi ktoś, ale wydawało mi się to stanowczo zbyt skomplikowane. Drzemałem na plastikowych krzesłach, a potem budziłem się z czerwonymi oczami i zeszywniałym karkiem. Susanna pisała wiadomości, śmigając palcami po ekranie. Zobaczyłem pielęgniarkę do złudzenia podobną do ładnej brunetki, która tamtego wieczoru zerknęła na mnie w pubie, tyle że zamiast obcisłej czerwonej sukienki miała na sobie szpitalny uniform i ani grama makijażu na twarzy, ale byłem gotów przysiąc, że to ona; prześliznęła się po mnie wzrokiem i nie wiedziałem, czy mnie poznała. Chciałem chwycić ją za ramię, gdy mnie mijała, i zapytać, ale zawsze była za daleko.

Z jednego z urządzeń, do których podłączono Hugo, rozległ się przeraźliwy, natarczywy pisk alarmu. Z sercem w gardle rzuciłem się do przycisku, mój ojciec krzyczał obok, ale zanim zdążyłem znaleźć guzik, do sali weszła pielęgniarka – energiczna i nonszalancka jak kelnerka, powinna przecież wbiec, prawda? – i wyłączyła alarm. „Troszkę zwiększymy. – Wyregulowała coś

jakimś pokrętłem, odsunęła się, by przyjrzeć się niezrozumiałym kolorowym liniom na monitorze, po czym posłała nam pokrzepiający uśmiech. – Teraz lepiej”.

Światło za oknami pojawiała się i zniknęło w nienaturalnym rwanym rytmie, raz było jasno, chwilę później zapadała noc. „Hugo, musisz mi powiedzieć, co przekazać pani Wozniak, pamiętasz? I jak to zrobić? Czy mam, to znaczy, co mam jej...”

I zawsze Rafferty, który cicho siedział w rogu. Był w płaszczu, jakby nieczuły na wysoką temperaturę, fałdy okrycia tworzyły na nim cieniste wzory pod dziwnymi kątami. Raz Oliver zaczął mu robić wyrzuty, wypinając brzuch i potrząsając palcem – „To niedorzeczne oskarżenia, na litość boską, zwykła przyzwoitość nakazywałaby dać rodzinie odrobinę prywatności”. Rafferty ze zrozumieniem i współczuciem kiwał głową, zgadzając się z nim w stu procentach, ale potem Oliver wyszedł, a on został z głową swobodnie opartą o ścianę.

„Hugo. Ściśnij moją rękę, zrób coś”.

Jakaś starsza kobieta śpiewała gdzieś cicho drżącym i ochrypłym głosem *Roses of Picardy*. Znowu włączył się alarm i zjawiała się inna pielęgniarka. „Co to? – zapytał Phil, wskazując maszyny sztywną z napięcia ręką. – Co się dzieje?” Pielęgniarka dokonała tajemniczych manipulacji i coś zanotowała. „Mamy mały kłopot z zapanowaniem nad ciśnieniem krwi. Kiedy przyjdzie doktor, porozmawia z państwem”.

Gdy odwracała się, by wyjść, rozjazgotał się inny alarm i nagle sytuacja się zmieniła, pielęgniarka przypadła do łóżka Hugo z otwartymi ustami, Rafferty wyprężył się jak struna. „Proszę

wyść – rzuciła ostrym tonem pielęgniarka, wciskając jakiś przycisk. – Niech wszyscy natychmiast wyjdą”.

Gdy znaleźliśmy się na korytarzu, Rafferty położył ręce na ramionach moim i Phila, po czym szybko zaprowadził nas do poczekalni – utykałem, bo zdrętwiała mi noga – a kiedy otwierał drzwi, za nami czyjś głos krzyknął jak w telewizji: „Odsunąć się!”.

W poczekalni moja rodzina z pobielającymi twarzami jak jeden mąż zerwała się na nogi. „Co? Co się stało?” Phil tłumaczył stoicko spokojnym głosem, a Rafferty wtopił się w tło w jakimś kącie. Nie mogłem na nich patrzeć. Przysadzistej kobiety z nastolatką już nie było, pojawił się natomiast staruszek o przekrwionych oczach basseta, w garniturze z wyświeconymi kolanami; nawet nie uniósł wzroku znad herbaty w styropianowym kubku.

Przez dłuższy czas nic się nie działo. Mój ojciec, Phil i Oliver stali blisko siebie, bladzi i przynajmniej tym razem wyglądający jak bracia. Chciałem podejść do taty, ale nie wiedząc, co zrobiłem, nie mogłem. Żałowałem, że nie ma matki. Leon z zamkniętymi oczami opierał się o ścianę, zawzięcie gryząc paznokiec. Czerwony od krwi.

Kiedy wreszcie przyszedł siwowłosy lekarz, otoczyliśmy go ciasnym pierścieniem; zachowując pełną szacunku odległość i nie otwierając ust, jak pokorni petenci czekaliśmy, aż raczy się odezwać.

– Stan pana Hennessy’ego jest stabilny – powiedział spokojnym, wyważonym tonem, którego staranna modulacja miała nas przygotować na to, co za moment mieliśmy usłyszeć. – Niestety, to nie jest dobra wiadomość. Mieliśmy nadzieję, że

wylew zacznie się wchłaniać, ale sytuacja, zamiast się poprawiać, zmierza w przeciwną stronę. Pan Hennessy potrzebuje coraz intensywniejszych działań.

– Dlaczego? – spytał mój ojciec opanowanym i skupionym głosem adwokata. – Co się dokładnie dzieje?

– Uszkodzenie mózgu wywołane krwotokiem doprowadziło do skoków ciśnienia krwi. Podajemy mu na to lek, ale musieliśmy już kilkakrotnie zwiększyć dawkę, a jednym ze skutków ubocznych jest arytmia serca. Właśnie do niej doszło. Przeprowadziliśmy defibrylację, na razie skutecznie, lecz jeżeli epizody arytmii będą się powtarzać, naprawdę nic nie można będzie zrobić.

– Dlaczego nie drenowaliście krwiaka? – odezwała się Susanna tak ostro, że się wzdrygnąłem. – Po wylewie?

Lekarz ledwie rzucił na nią okiem.

– Podejmujemy wszystkie stosowne działania.

– Natychmiastowy drenaż to standardowa procedura, żeby zmniejszyć ciśnienie na mózg. Dlaczego...

– Może według doktora Google'a. – Półuśmiech, ale zwierzęcy, który odsłaniał zęby i był ostrzeżeniem. – Kiedy pani wujek do nas trafił, rokowania nie były dobre. Nie wiemy, jak długo był nieprzytomny, zanim go znaleziono, to mogło trwać do dwudziestu minut. Udało się nam przywrócić oddychanie, ale nie wiadomo, do jakich uszkodzeń doszło. Do tego mamy stan terminalny poprzedzający udar. Nawet jeśli krwiak się wchłonie, istnieje duże prawdopodobieństwo, że pani wujek będzie w stanie wegetatywnym.

– Jest stary i umierający – powiedziała Susanna. – W dodatku przywieziono go z aresztu policyjnego, więc nie warto było zawracać sobie głowy zabiegiem chirurgicznym.

Lekarz prześliznął się po niej wzrokiem, jakby go nudziła.

– Muszą państwo przyjąć do wiadomości, że wszystko, co robimy, jest zgodne z przyjętymi procedurami medycznymi – odparł, co zabrzmiało dziwnie, jakbym już to kiedyś słyszał. Przez sekundę nawet jego głos brzmiał inaczej, ześliznął się w inną tonację... Ale po chwili lekarz odwrócił się bokiem do Susanny i własnym głosem zwrócił się do mojego ojca, Olivera i zwłaszcza do Phila: – Musimy zdecydować, co robić, jeśli następnym razem dojdzie do arytmii. Mamy zastosować defibrylator? Wykonać RKO? Czy zrezygnować?

– „Następnym razem” – powiedział ojciec. – Sądzi pan, że to się powtórzy.

– Nie mogę tego wiedzieć na pewno. Ale prawdopodobnie tak.

– I nie uważa pan, że istnieje jakiegokolwiek prawdopodobieństwo, że się obudzi i krwiak się wchłonie, jeżeli nadal będziecie stabilizować pracę serca?

– Nie, nie ma mowy o żadnej jakości życia. Wszyscy znamy historie ludzi, którzy budzą się ze śpiączki po dziesięciu latach, ale tutaj to się nie zdarzy.

Cisza. Leon wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować.

– Zrezygnować – odezwał się Phil.

Mój ojciec nieznacznym ruchem skinął głową. Susanna nabrała powietrza i wypuściła je.

– Zadbamy o jego komfort – obiecał niemal łagodnym tonem lekarz. – Mogą państwo iść go zobaczyć.

Wchodziliśmy i wychodziliśmy po kolei, dwójkami. Wiedziałem, że mamy się pożegnać i przekazać mu ostatnie słowa, ale nie miałem do powiedzenia nic, co przy Raffertym, który z zarostem na twarzy i podkrążonymi oczami czekał na krześle w kącie, nie brzmiałoby albo idiotycznie, albo niebezpiecznie, albo jedno i drugie. „Hugo – powiedziałem w końcu do ucha wuja. Pachniał stęchlizną i szpitalem, w ogóle nie sobą. – To ja, Toby. Dziękuję ci za wszystko. I bardzo cię przepraszam”. W kącikach ust miał drobiny czegoś zaskorupiałego. Susanna znalazła w torebce nawilżaną chusteczkę i delikatnie to usunęła, opowiadając mu jakąś długą historię, ale za cicho, żebym mógł cokolwiek usłyszeć.

Wszyscy gdzieś dzwoniли, pisali wiadomości. Oliver chodził po poczekalni tam i z powrotem z telefonem przyciśniętym do jednego ucha, a drugie zatykając palcem; mówił coś szybko i szorstko. Tom biegał i bredził coś o zorganizowaniu opieki nad dziećmi, ale nikt go nie słuchał. Moja matka była z Louisą i Miriam, która z twarzą zalaną łzami gorączkowo szukała kogoś, by go przytulić. Reszta z nas odwracała wzrok.

I tak czekaliśmy. Za oknem daleko w dole samochody utknęły w korku; światła odbijały się od mokrego asfaltu, ludzie przemykali w deszczu z łopotem parasoli.

– Mogą się mylić – powiedział stojący obok mnie Leon. – Lekarze często popełniają błędy. – Wyglądał okropnie, miał tłustą cerę i mizerną, ściągniętą twarz.

– O czym ty mówisz? – spytałem.

– Może się obudzić. Nie podoba mi się ten lekarz i to, jak zmusił naszych ojców do...

– Jeżeli nawet się obudzi, dalej będzie miał raka. Za parę tygodni będziemy musieli przerabiać to wszystko od początku. Ale się nie obudzi.

– Nie jestem w stanie myśleć – rzucił. – To napięcie trwa już tak długo, że mój mózg nie daje rady... – Wierzchem nadgarstka odgarnął włosy z twarzy. – Posłuchaj. Jeżeli chodzi o tamtą noc...

– Byłem wobec ciebie wredny – powiedziałem. – Przepraszam.

– Nie ma za co. Ja pewnie też byłem ostatnio okropny.

– Nieważne.

Obejrzał się przez ramię.

– Chyba właśnie o to jej chodziło, wiesz? – dodał, zniżając głos. – Ciągle mi powtarzała, żebym się wyluzował, „Po co ta panika, nie mogą nawet udowodnić, że został zamordowany”. Ale potem kompletnie zmieniła zdanie i radziła: „Nie otwieraj gęby przy Tobym, nie można mu ufać...”.

– Susanna?

– „Nie bronił cię, kiedy Dominic tobą pomiatał, a teraz popieprzyło mu się w głowie. Nie wiemy, co może zrobić, więc lepiej na niego uważaj...” Tobie też mówiła coś takiego? O mnie?

– Mniej więcej. – Nie byłem w stanie się nawet rozzłościć. Wszystko jedno, w co grała Susanna, ale co do mnie rzeczywiście się nie myliła: gorączkowo szukałem sposobu, żeby zwalić wszystko na nią i Leona. Miło wiedzieć, że przynajmniej jedna osoba miała jasny obraz sytuacji.

– „Po prostu mi zaufaj, wiem, co robię...” No i zobacz, co z tego wyszło. – Leon rysował palcem zygzaki na zaparowanej szybie. – Przynajmniej teraz powinno się to skończyć. Prawda?

– Co?

– Jeżeli Hugo się przyznał, to koniec. Nie będą nas więcej dręczyć.

– Pewnie nie – odparłem. Nie miałem pojęcia, czy Hugo był na tyle przekonujący, że udało mu się oszukać Rafferty’ego, ani co ten może z tym zrobić, jeżeli Hugo się nie udało, ani co ja zrobię w każdym z tych przypadków. Wiedziałem, że muszę wymyślić jakiś plan, i to szybko, ale tam, w szpitalu, gdy wszystkie ocalałe komórki mózgu były zajęte nasłuchiowaniem alarmu, z równym powodzeniem mógłbym rozłożyć skrzydła i odfrunąć.

– Boże, mam nadzieję. – Leon uniósł ręce, pokazując, że trzyma kciuki. – Nie mogę tego już dłużej znieść. – Gwałtownym ruchem głowy wskazał w stronę tabliczki DZWONKI i drzwi sali Hugo. – Nie wierzę, że on tam naprawdę jest. Jesteśmy u Hugo, żegnamy się z nim, a on siedzi i słucha każdego... – Głos mu się załamał. – Strasznie chce mi się palić. Nie wyszedłbyś na fajkę?

– Nie. – Szpital najwyraźniej wprowadził moje ciało w rodzaj nienaturalnego stanu zawieszenia; odkąd tu wszedłem, przestałem odczuwać głód i pragnienie, nie mówiąc o chęci na papierosa.

– Powinienem sobie sprawić ten elektroniczny wynalazek albo plastry, albo... Gdyby coś się działo, zadzwoń – powiedział Leon i truchtem wybiegł za drzwi, już po drodze sięgając po fajki.

Dalej patrzyłem przez okno. Jakiś rowerzysta wdał się w pyskówkę z facetem w garniturze; ten drugi wysiadł z range rovera i kłócili się, wymachując rękami. Inny rowerzysta za chwilę miał się z nimi zderzyć.

Jakiś żalosny wewnętrzny głos coraz gwałtowniej domagał się, żeby to się już skończyło. Mój ojciec stał oparty o ścianę,

blady, z odbitym na twarzy napięciem, i patrzył w przestrzeń, ściskając rękę matki; nie byłem pewien, jak długo jeszcze będzie mógł to znosić. Nie byłem zresztą pewien, jak długo wszyscy będziemy mogli to znosić. Każdy z moich obwodów był tak przeciążony od stłumionej reakcji na stres, że byłem niemal sparaliżowany. Tyłek bolał mnie od długiego siedzenia na plastikowych krzesłach i chciałem się poprawić, ale wydawało się, jakby myśl nie mogła dotrzeć do mięśni – nic się nie działo.

Deszcz na szybie. Pielęgniarki krążyły w strojach, których kolory miały jakieś niezrozumiałe znaczenie, słyszałem energiczne i przytłumione klapanie ich butów. Od gorąca tak mi wyschły oczy, że ledwie mogłem mrugać.

– Melissa przyjdzie? – spytała mnie matka. Trzymała mnóstwo kubków kawy umieszczonych w skomplikowanym kartonowym uchwycie.

– Wróciła do siebie – odparłem. Miałem zdętwiałe usta. – To długa historia.

Przez chwilę bałem się, że matka palnie mi jakąś mowę – „Och, Toby, co się stało?! Wszystko u was w porządku? Jesteście taką wspaniałą parą. Wiem, że cokolwiek się stało, możecie to wyjaśnić... Oboje mieliście tyle stresu...” – albo, co gorsza, będzie próbowała mnie przytulić. Ona jednak po sekundzie milczenia powiedziała:

– Masz. Weź sobie kawę. To nie jest to paskudztwo z automatu. Wyszłam po nią ze szpitala.

– Dzięki – odparłem. – Może za chwilę. – Siedzieliśmy w milczeniu obok siebie. Susanna bardzo cicho śpiewała kołysankę do telefonu.

Kiedy w końcu rozległ się alarm, w pokoju byliśmy ojciec i ja. Przestałem już szukać słów, ale ojciec siedział wychylony do przodu, z łokciami opartymi na kolanach i splecionymi dłońmi, i bardzo spokojnie snuł cichy monolog. Większości nie pamiętam – mój umysł oderwał się od tego wszystkiego, miałem wrażenie, jak gdybym kołysał się tuż pod sufitem, a moje ciało było workiem mokrego piasku o dziwacznym kształcie, który nie ma nic wspólnego ze mną – ale fragmenty do mnie docierały: „... pozwalali nam zaczynać od deseru, zawsze były jabłka z kruszonką, bo Phil nie znosił świątecznego puddingu, siedzieliśmy pod choinką i...”, „...poszliśmy za tą muzyką na dół i zobaczyliśmy, jak tańczą i tulą się do siebie, wtedy bardzo cicho się odwróciłem i...”, „A pamiętasz tamtą łódkę? Staruszka, który pożyczał ją nam każdego lata, a my wypływaliśmy na środek jeziora i łowiliśmy ryby? Nigdy nic nie złapaliśmy, bo Oliver nie przestawał gadać, ale do dzisiaj pamiętam tamto światło, mgłę na drugim brzegu jeziora i plusk wody o burtę naszej łódki...”.

Kiedy zaczął wyc alarm i ojciec zadygotał, jakby poraził go prąd, a krzesło Rafferty’ego gwałtownie skrzypnęło po podłodze, dopiero po chwili znalazłem drogę powrotną do swojego ciała i zdałem sobie sprawę, co się dzieje.

Rafferty zerwał się z miejsca i wybiegł z pokoju; chciał sprowadzić pozostałych, ale był za wolny. Po tak długim czekaniu wszystko odbyło się błyskawicznie.

– Hugo – powiedział głośno ojciec, łapiąc go za ramię. – Hugo.

Odzywały się następne alarmy, atakowały mnie i zapierały mi dech w piersiach.

– Hugo – odezwałem się – słyszysz mnie? – Ale wyraz jego szarej twarzy się nie zmienił, nie poruszył się, tylko linie na monitorze wymknęły się spod kontroli i skakały jak szalone, zdradzając nam, co się dzieje w wypełniającym go mroku.

W sali była pielęgniarka. Wyłączyła alarmy i w nagłej ciszy, która dzwoniła w uszach, odsunęła się od urządzeń, składając dłonie na brzuchu.

Przysięgam, chociaż wiem, że to nie może być prawda, przysięgam, że uśmiechnął się do mnie tym dawnym, wspaniałym, pełnym miłości uśmiechem; przysięgam, że mrugnął do mnie rozchylonym okiem. Po chwili wszystkie ostre szczyty na monitorze spłaszczyły się w idealnie proste linie, mój ojciec wydał przeraźliwy pomruk, ale wiedziałbym nawet bez tego, bo powietrze wokół nas rozstąpiło się, zawiroowało, a potem na nowo scaliło i w pokoju było o jedną osobę mniej.

W Ivy House było strasznie zimno, panował wilgotny, przenikliwy chłód, jakby dom stał pusty przez wiele miesięcy, a nie parę dni. Wziąłem gorący prysznic, a wszystko, co na sobie miałem, wrzuciłem do pralki i wyprałem we wrzątku, wciąż jednak czułem w nozdrzach smród szpitala. Wszystko nim zalatywało: woda z kranu w kuchni, mój szampon, wewnątrz szafy. Od czasu do czasu łowiłem uchem monotonne popiskiwanie monitorów, które nieustannie brzmiało gdzieś w tle, tuż na progu słyszalności.

Jedyną rzeczą, jakiej pragnąłem, był sen, ale chciałem też zawiadomić Melissę. *Cześć, Melissa, wiem, że nie chcesz, żebym się z Tobą kontaktował, i rozumiem to, ale, niestety, mam złe wiadomości. Hugo stracił przytomność i trafił do szpitala...* – Przyszło mi na myśl, że powinienem napisać do niej jeszcze ze szpitala, poprosić, żeby przyjechała; może jej głos zdołałby dotrzeć do Hugo. Wtedy w ogóle nie przemknęło mi to przez myśl. – *...ale nic już się nie dało zrobić. Zmarł wczoraj w nocy* – to była noc, wczesny ranek? – *Chcę Ci podziękować w imieniu całej rodziny za niezwykłą dobroć, jaką mu okazałaś. To bardzo wiele dla niego znaczyło. Ogromnie Cię lubił.* Brzmiało to tak, jakbym pisał do obcej osoby. Nie potrafiłem zdecydować, jak się do niej zwracać; wydawała mi się kimś z innego świata, kimś dawno

utraconym. *Mam nadzieję, że zobaczymy się na pogrzebie, ale gdybyś wolała nie przychodzić, proszę, nie czuj się do tego zobowiązana. Serdecznie pozdrawiam, Toby.*

Przespałem czternaście godzin bez przerwy i zbudziłem się tylko po to, żeby coś zjeść, po czym wróciłem do łóżka. W ten sposób spędziłem kilka następnych dni: spałem, ile się dało. Co nie znaczy, że udało mi się odpocząć. Wielokrotnie śniło mi się, że nie zabiłem Dominica, ale Hugo; leżał jak długi na podłodze salonu, a ja stałem nad nim z rękami unurzanyimi po łokcie we krwi, z rozpaczą zachodząc w głowę, dlaczego to zrobiłem; czaszka Hugo pękała od ciosu siekiery w moich rękach, przy wtórze mojego jęku, „Nie, nie, nie”. We śnie czasem byłem dorosły, czasem nastolatkiem, raz nawet małym dzieckiem; kilka razy działo się to w moim mieszkaniu i zrobiłem to, bo wziąłem go za jednego z włamywaczy. Budziłem się ze szlochom i krążyłem po domu – ciemne korytarze, jaśniejsze plamy okien; nie miałem pojęcia, czy to świt, czy zmierzch, dopóki sen nie zatarł się do tego stopnia, że mogłem wrócić do łóżka.

To było coś, do czego bez przerwy i wbrew woli wracałem, na jawie i we śnie; trącałem to jak bolący ząb: śmierć Hugo to była moja wina, może nie sam fakt, że umarł, ale sposób, w jaki odszedł. Jeśli nie zadzwoniłby na policję, udar zaatakowałby go w jego własnym łóżku. Umarłby tam, wśród znajomych zapachów, pod własną kołdrą, gdy za oknem budził się dzień i odzywały się ptaki. A tymczasem umarł w koszmarnym szpitalu, gdzie szarpali go, sondowali i nakłuwali jak płat mięsa wśród smrodu środków dezynfekujących, moczu i cudzej śmierci – tylko dlatego, że postanowił mnie chronić.

Któregoś dnia przyszła matka, żeby wybrać ubranie dla Hugo i przynieść mi czarny garnitur, który wzięła z mojego mieszkania. Mgliście zdawałem sobie sprawę, że reszta mojej rodziny jest niezwykle zajęta: Phil zajmował się przygotowaniem do pogrzebu, Susanna wybierała muzykę i była pewna, że Hugo lubił Scarlattiego – „Czy to będzie dobrze brzmiało?”. Mój ojciec organizował czytanie – „Może zechcesz uczestniczyć?”. Pomyślał, że mógłbym...

– Nie – odparłem. – Dziękuję.

Byliśmy w pokoju Hugo, do którego nie wchodziłem od jego śmierci. Był ładny, ze starymi drewnianymi meblami z różnych kompletów; obok łóżka piętrzyła się sterta książek, na ścianie wisiało wypłowiałe zdjęcie moich pradziadków zrobione przed wejściem do domu. Pokój miał jego zapach, kojącą woń mokrej wełny, starych zakurzonych książek i dymny aromat herbaty. Na kominku stał wazonik żółtych frezji, które przyniosła kiedyś Melissa, tak dawno, że nie było już w nich życia.

– W porządku, jak chcesz. – Matka przeglądała koszule w szafie Hugo. Robiła to delikatnie, mimo to zdenerwowało mnie naruszenie jego prywatności. – Ale poniesiesz trumnę, prawda? Z tatą, wujkami, Leonem i Tomem. Nie masz nic przeciwko temu?

Zwłaszcza z tą nogą i tak dalej.

– Nie – powiedziałem. – Oczywiście, że nie.

– Zresztą nie będzie się roilo od dziennikarzy, a przynajmniej nie powinno. W gazetach nie podano jego nazwiska.

Nie od razu zrozumiałem, o czym mówi – kiedy zapukała do drzwi, jeszcze spałem.

– Aha – odparłem. – To dobrze.

– W każdym razie dotąd się nie pojawiło. – Wyjęła białą koszulę i uważnie obejrzała, unosząc ją do światła. – Nie wiem, czy to uprzejmość ze strony policji, że pozwoliła się nam zająć organizacją pogrzebu...

– Nie podejrzewam policji o uprzejmość – rzuciłem. – Jeżeli są dyskretni, to dlatego, że tak im wygodniej.

– Niewykluczone, że masz rację. Może po prostu nie chce im się przyjeżdżać i nie dopuszczać fotografów i gapiów w pobliże grobu. Tak czy inaczej, wzięłabym tę.

To słowo – „grób” – wydobyło coś z mętnego kłębowiska mojej pamięci.

– Chciał, żeby go poddano kremacji – przypomniałem jej.

Matka odwróciła się raptownie od szafy z rozłożoną koszulą w rękach.

– Na pewno?

– Tak, mówił mi w... – Nie umiałem sobie przypomnieć, kiedy to było. – Parę tygodni temu. Chciał, żeby jego prochy rozsypano w ogrodzie.

– Cholera. Nie przypuszczam, żeby Phil o tym wiedział. Rozmawiał o kwaterze twoich dziadków... Będę musiała do niego zadzwonić. – Ponownie zajrzała do szafy, z większym pośpiechem niż wcześniej. – Ten krawat? Czy ten?

– Nie – oznajmiłem nagle. – Bez krawata. I nie ta koszula. Tamta w paski. – Flanelowa, którą Hugo nosił po domu. – Do tego ciemnozielony sweter i brązowe sztruksy. – Nie znosił garniturów; na ślubie Susanny krzywił się i poprawiał uwierający go kołnierzyk. Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

– Oliver nie będzie zadowolony. Mówił, że granatowy garnitur... – Matka spod przymrużonych powiek spojrzała na koszulę i krawat, które miała w rękach. – Wiesz co, niech Oliver spada. Masz rację. Wybierz, co twoim zdaniem najlepiej się nadaje, a ja zadzwonię do Phila w sprawie kremacji.

Wyszła na korytarz. Sądząc po uspokajającym tonie jej głosu, Phil był straszliwie zajęty.

– Wiem, wiem, ale możemy do nich zadzwonić i... Bo dopiero teraz przyszło mu to do głowy. Pewnie sądził, że wiesz... Tak, jest pewien... Nie, Phil. Nie wie. Co „nie wiadomo skąd”? Przecież nie...

Jej głos wolno cichł na schodach. Na deski podłogi padało ponure jesienne światło. Po chwili podszedłem do szafy i zacząłem wyjmować ubrania, czyścić z kłaczków i równiutko układać je na łóżku.

\* \* \*

Dzień pogrzebu był szary i zimny, wiatr siekł ulicę strugami deszczu. Czarny garnitur wisiał na mnie jak na wieszaku; w lustrze wyglądałem idiotycznie, jak gdybym przypadkiem zaplątał się w strój jakiegoś nieznanego i trafił na bardzo zły dzień w jego życiu. Ktoś zorganizował nam kilka czarnych mafijnych limuzyn, które miały nas przewozić od miejsca do miejsca, do domu pogrzebowego, kościoła i krematorium – wszystkie znajdowały się w nieznanym mi okolicach zachodniego Dublina, więc bardzo szybko straciłem orientację i nie miałem zielonego pojęcia, gdzie jestem.

– Gdzie Melissa? – spytał mnie Leon w samochodzie, gdy jechaliśmy do domu pogrzebowego. Jego kupiony w pośpiechu garnitur miał za długie rękawy, więc Leon wyglądał w nim jak uczeń; lekko, ale wyraźnie czuć było od niego haszem. Nasi rodzice albo tego nie zauważyli, albo postanowili nie zwracać uwagi.

– Nie ma jej – odpowiedziałem.

– Dlaczego?

– Nie zabrałam parasoli – odezwała się matka, nachylając się nade mną, by popatrzeć przez okno. – Wiedziałam, że coś będzie nie tak.

– Jakoś przeżyjemy – rzucił Oliver. Wyglądał okropnie, stracił na wadze, w fałdach obwisłej skóry na twarzy było widać zacięcia po goleniu. – Przecież nie będziemy stać na cmentarzu. – Posłał mi złowrogie spojrzenie; widocznie w związku z kremacją moje notowania u niego gwałtownie spadły.

– Ale jeżeli jeszcze bardziej się rozpada... – zmartwiła się Miriam. Miała na sobie coś w rodzaju szerokiej czarnej peleryny i gdy wyszła z domu na wiatr, wyglądała, jakby za moment miała odfrunąć. – Kiedy się czeka przed kościołem, zawsze jest tyle stania...

– Nie ma obaw – wtrącił się spokojnie kierowca, mówiąc do nas przez ramię. – Jeżeli państwo potrzebują, mam parasole w bagażniku. Jesteśmy gotowi na wszystko.

– Hm, a nie mówiłam? – odparła triumfalnie i zagadkowo Miriam.

Nikt nie miał na to odpowiedzi. Leon ciągle mi się przyglądał. Odwróciłem głowę i spojrzałem przez okno na mijane nagie

rachityczne drzewa i klockowate domki.

Dom pogrzebowy był nieskazitelnie czysty i doskonale nijaki, pozbawiony jakichkolwiek elementów, które mogłyby komuś pogorszyć nastrój; każdy detal był tak dyskretny, że ulatywał mi z pamięci w momencie, gdy odrywałem od niego wzrok. Z boku sali, lśniąca w stonowanym świetle, stała trumna.

Dziwne, ale Hugo bardziej przypominał siebie niż przez ostatnie miesiące: gładko uczesane i przycięte włosy, policzki wypełnione i przyrumienione za sprawą technik, o których wolałem nie myśleć, na twarzy wyraz całkowitego zaabsorbowania, jaki miał podczas pracy, gdy badał interesujący trop. Nie wiadomo skąd powróciło do mnie wspomnienie Hugo pochylonego z igłą nad moim palcem, kiedy z taką samą zaabsorbowaną miną wyjmował mi drzazgę. Zimny, słoneczny dzień i jego włosy, wówczas jeszcze całkiem ciemne. „Tak, będzie bolało, ale tylko przez chwilę...Widzisz, już... A jaka wielka!”

Mój ojciec i wujowie, z twarzami stężałymi w wyrazie posępnej, powściągliwej cierpliwości, krążyli po sali, ściskając ręce osób, które tylko trochę rozpoznawałem. Jakaś puszysta kobieta o wydatnym biuście wykrzyknęła:

– Och, Toby, wyglądasz strasznie, musisz być zdruzgotany! – Po czym porwała mnie w wonne objęcia. Nad jej ramieniem posłałem Leonowi paniczne spojrzenie.

Bezgłośnie powiedział „Margaret”, co niewiele mi pomogło.

– Toby – szepnął mi do ucha ojciec. – Już czas. – Dopiero po chwili zrozumiałem, co ma na myśli.

Sam ciężar trumny był nieprawdopodobny. Ten dzień dotąd wydawał się zupełnie nierealny, jak jeden ze złych snów, przez

który trzeba przebrnąć – nie brałem nawet pod uwagę, że zniosę go bez xanaxu – ale ucisk drewna wrzynającego mi się w ramię był bezlitośnie, niezaprzeczalnie rzeczywisty. Powłóczyłem nogą, nie mogłem opanować jej drżenia... dysonans w powolnym marszu na oczach wszystkich... Kiedy wsuwaliśmy trumnę do karawanu, czując krople deszczu spływające za kołnierz, potknąłem się i omal nie wylądowałem kolanem na asfalcie.

– Oj – rzucił Tom, łapiąc mnie za ramię. – Ślisko.

Brzydki betonowy kościół, w którym wszędzie wisały długie chorągwie udające własnoręczne dzieła parafian, stylizowane obrazy i krągłe frazesy o zniwach. Przyszło więcej osób, niż się spodziewałem, w większości starszych – niektóre z nich rozpoznałem, odwiedzały Hugo – a wewnątrz kościoła wypełniał przytłumiony gwar szurania butów, pokasływań, szmeru rozmów. Ponad siwymi głowami dostrzegłem złoty błysk i serce mi się ścisnęło: przyszła Melissa.

W chłodnym powietrzu rozbrzmiały hymny; tylko starsi znali melodie, ale mieli zbyt wątle głosy, by wypełnić wielką przestrzeń. Ksiądz mówił z tą okropną obłudną i namaszczonej intonacją, której każdy z nich gdzieś się uczy. U stóp trumny stały wieńce, świece mrugały w przeciągu. Phil czytał coś z kartki, prawdopodobnie mowę pogrzebową, ale jego schrypnięty głos ledwie było słyhać, a akustyka kościoła zniekształcała słowa, więc dochodziły do mnie tylko strzępki: „...zawsze w sercu naszej...”, „...doszedł do...”. Potem coś, co wszystkich rozbawiło: „...wiedział, że będzie...”.

W blasku kominka Hugo ze śmiechem unosił głowę znad książki, aż włosy opadały mu na oczy, zaznaczał palcem miejsce,

w którym skończył – „Posłuchaj tego!”.

Ojciec obok mnie płakał w ciszy, nie poruszając żadnym mięśniem. Matka trzymała go za rękę, splatając z nim palce.

– Był chyba – powiedział głośniejszym i bardziej zdecydowanym głosem Phil, wyzywająco zadzierając głowę – jednym z najlepszych ludzi, jakich znałem w życiu.

Potem, w przedsionku kościoła – gdy ludzie tłoczyli się, by po kolei uścisnąć rękę mojemu ojcu i wujom – rozglądałem się gorączkowo, dopóki znowu nie dojrzałem tego złotego błysku, i roztrącając ludzi, w końcu precyzyjnie się do Melissy.

Stała samotnie, z boku, oparta plecami o ścianę.

– Melissa – powiedziałem. – Przyszłaś.

W stonowanej granatowej sukience wyglądała na bledszą i starszą, włosy miała spięte z tyłu w luźną kitkę. Pod jej oczami zobaczyłem rozmazany od płaczu tusz i ten widok chwycił mnie za serce; każda komórka mojego ciała zawyla z tęsknoty, żebyśmy się objęli i szlochali sobie nawzajem w obce, dorosłe ubrania.

– Toby... – Złapała mnie za rękę. – Tak mi przykro.

– Dzięki. Naprawdę cieszę się, że przyszłaś.

– Co u ciebie?

– W porządku. Daję radę. – Jej dłonie były tak zimne i drobne, że omal nie zacząłem na nie chuchać. – A tobie jak jest?

– Może być. Smutno.

Miała na myśli Hugo czy nas?

– Mnie też – powiedziałem i z mocniej bijącym sercem dodałem: – Później jedziemy do domu. Chodź z nami.

– Nie, dzięki, dziękuję, ale nie mogę, muszę... – Stała o pół kroku za daleko ode mnie, jak gdyby myślała, że ją przytulę, złapię. O co tu chodziło? – Przyszłam ci tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro... i twojej rodzinie też. Był wspaniałym człowiekiem, mam szczęście, że go poznałam.

– Tak. Ja też. – Nie mogłem uwierzyć, że to pożegnanie, tu, w zatłoczonym przedsionku kościoła. Miałem na końcu języka to, co powiedziałbym, gdyby to było normalne rozstanie: „Mogę do ciebie zadzwonić, możemy pogadać...”. Musiałem użyć całej siły woli, by się powstrzymać.

Skinęła głową, przygryzając wargi.

– Powinnam jeszcze iść do twojego taty, zanim pojedziecie na... chcę go jeszcze złapać... – Przez sekundę ścisnęła moje ręce tak mocno, że zabolęło, po czym zanurzyła się w tłum i zręcznie i delikatnie lawirowała między ludźmi, dopóki ten złoty blask nie zniknął mi z oczu.

Znowu dźwignęliśmy trumnę – z powrotem do karawanu. Wszyscy prócz mnie instynktownie wiedzieli, dokąd iść i na jaki znak czekać; ja przy każdym ruchu naśladowałem ojca. Wsiedliśmy z powrotem do samochodu.

– Te twoje prochy przeciwbólowe – szepnął mi do ucha Leon, gdy rodzice dyskutowali o tym, co zrobić z kwiatami. – Masz je przy sobie?

– Nie – odparłem.

– A w domu?

– Aha. Potem ci dam.

– Dzięki.

Przez chwilę myślałem, że Leon powie coś jeszcze, ale kiwnął głową i dalej patrzył przez szybę. Trumna zostawiła na ramieniu jego marynarki głębokie wgniecenie.

Wreszcie krematorium. Była to zdobiona kaplica na terenie cmentarza: lśniące drewniane ławki, eleganckie łuki, jasne i czyste oświetlenie, wszystko zaprojektowane z precyzją i empatią. W tle cicho brzmiał Scarlatti. Następne przemowy. Phil płakał z zamkniętymi oczami, przyciskając palec do ust.

Hugo, podsuwając palcem okulary, z rozdrażnieniem zerkał na mnie przez ramię, kiedy leżałem na podłodze gabinetu – „Toby, jeżeli zamierzasz bawić się telefonem, idź gdzie indziej, przeszkadzasz nam wszystkim”.

Przez cały dzień przygotowywałem się do tej wielkiej chwili: otworzy się ściana, trumna miarowo i wolno wsunie się w ciemność; szczęk zamykanych ciężkich drzwi, przytłumiony huk ognia. Tak to widziałem w snach. Tymczasem światła nad trumną stopniowo przygasły jak w teatrze, kurtyna pośrodku kaplicy drgnęła i powolutku zaczęła się opuszczać, zasłaniając trumnę. Wszyscy głęboko odetchnęli, odwrócili się do siebie, mówiąc coś półgłosem, i zaczęli się podnosić z ławek, zapinając płaszcze.

Gapilem się na to w zdumieniu, czekając, aż kurtyna się uniesie, dopóki matka nie złapała mnie lekko za łokieć i nie obróciła w stronę wyjścia. „Zaraz – miałem na końcu języka – chwileczkę, przecież jeszcze nie...” To na pewno była najważniejsza chwila tego dnia, dla której odprawialiśmy ten rytuał: włożyliśmy garnitury, śpiewaliśmy hymny, ściskaliśmy ludziom ręce. Wszystko sprowadzało się do tej chwili? Co się

stało z trumną? Zanim jednak zdążyłem znaleźć słowa, matka skierowała mnie do wyjścia i wyprowadziła z kaplicy.

Susanna stała na parkingu oparta o ścianę, patrząc, jak Zach i Sallie biegają w kółko w siąpiącym deszczu. Zach znalazł gdzieś lilię i chłostał nią siostrę; śmiech Sallie brzmiał odrobinę histerycznie.

– Chciały przyjechać – powiedziała Susanna. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam. Uznałam, że jeżeli tego potrzebują, to w porządku. Gdyby się okazało, że to dla nich za dużo, rodzice Toma mogą je zabrać do domu. Ale sama kremacja... już raczej nie.

– Nie było niczego strasznego – odparłem. Wciąż odtwarzałem tę scenę w myślach: kurtyna taktownie opada, trumna znika nam z oczu, koniec, można iść do domu. – Nie widać, jak wkładają go do pieca, nic z tych rzeczy. – Wiatr mógł swobodnie nabrać impetu na otwartej przestrzeni cmentarza i dął przez parking, uderzając w nas jak twardy przedmiot. W głębi tamtego szarawego budynku Hugo spalał się na popiół. Zmarszczka między jego brwiami w chwilach zamyślenia, jego żywy uśmiech...

– Hm, myślałam, że to zobaczymy. – Postawiła wyżej kołnierz. – Pewnie i tak musiałyby sobie pobiegać. Zach nie mógł już usiedzieć.

– Musieli coś ostatecznie zmienić. Widzieliśmy przecież, jak trumna babci wjeżdża do środka, prawda? I dziadka?

– Babcia i dziadek zostali pochowani – sprostowała Susanna. – Tam. – Brodą wskazała na cmentarz, na ciągnący się bez końca las nagrobków. – Nie pamiętasz?

– No... tak.

– Mam dość tego pieprzonego roku – rzuciła nagle Susanna. Wcisnęła ręce do kieszeni płaszcza i ruszyła przez mokry asfalt w stronę dzieci.

\* \* \*

Stypę zaplanowano w Ivy House. Bałem się jej – najazdu tłumu, hałasu, bezsensownych pogaduszek – ale po powrocie do domu ogarnęła mnie taka ulga, że omal nie osunąłem się bezwładnie na podłogę w korytarzu. Nie padłem jednak, tylko poszedłem do siebie na górę, wziąłem następny xanax i długo stałem z czołem opartym o chłodną ścianę.

Gdy wróciłem na dół, dom pękał w szwach od ludzi i gwaru. Szukałem Leona – w kieszeni miałem dla niego parę tabletek xanaxu – ale opowiadał właśnie jakąś historię w kącie salonu, otoczony wianuszkami starszych osób. Moja matka i ciotki roznosiły kieliszki wina, które pojawiły się nie wiadomo skąd, oraz półmiski pełne wymyślnych miniaturowych kanapek zrobionych z brioszek połączonych z nieprawdopodobnymi dodatkami i ozdobionych zieleniną. Zach znalazł na stoliku z boku niepilnowany talerz i lizał każdą kanapkę po kolei, po czym odkładał na miejsce.

– Toby! – zawołała moja matka. Wciąż stałem w drzwiach, próbując się domyślić, co powinienem robić z tym wszystkim. – Kończy mi się białe wino. Mógłbyś znaleźć jeszcze parę butelek?

W rogu kuchni stała już pokaźna bateria pustych butelek. Ojciec przy stole odwijał folię z następnego półmiska cudownych

kanapeczek.

– Sporo ludzi – powiedziałem, powtarzając to, co mówili wszyscy w przedsionku kościoła.

Nie uniósł wzroku.

– Wiesz co? Już nawet nie wiem, ilu ludzi pytało o palenie Hugo. „Czy on palił?“, „Ależ myślałam, że nie pali”. Oczywiście, że nie palił, w każdym razie nie przez ostatnie dwadzieścia lat, a zresztą gdyby nawet, to nie miałyby najmniejszego związku. Ten rodzaj raka nie ma nic wspólnego z paleniem, to po prostu... po prostu przypadkowe paskudne cholerstwo. Hugo miał zwyczajnie pecha, padło na niego. Ale bardzo pragniemy wierzyć, że pech spotyka tylko ludzi, którzy na to zasługują, prawda? Ludzie naprawdę nie potrafią zrozumieć, że ktoś może umrzeć na raka, chociaż nigdy w życiu nie palił!

Półmisek był przepełniony; bez folii, która trzymała wszystko w całości, kanapki spadały i tata próbował wciskać je z powrotem.

– Na litość boską, nawet Miriam, która znała Hugo trzydzieści parę lat! Nie jest żadną daleką znajomą, a przez ostatnie parę miesięcy bredziła w kółko o toksynach w czerwonym mięsie i przetworzonym jedzeniu, o ludziach, którzy co dzień rano ćwiczą jogę i dożywają stu lat. Nie mam pojęcia, po co bez przerwy to wałkuje, ale w tym momencie trudno mi z nią wytrzymać w tym samym pomieszczeniu.

Ręce mu drżały; kanapki nie chciały wejść na miejsce, a on bez przerwy upychał je z powrotem.

– Daj – rzuciłem. – Ja to zrobię.

Najwyraźniej mnie nie słyszał.

– Jeszcze ci detektywi. Domyślasz się, jaki mają plan? Ile zamierzają zdradzić dziennikarzom?

– Nie. Nie widziałem się z nimi.

– Bo jeżeli wszystko wyjdzie na jaw, to ci sami ludzie, którzy dopytują się o jego palenie, będą święcie przekonani, że Hugo zmarł na raka, bo zabił tego chłopca. Kara boska, karma albo negatywne fale mózgowe wywołane przez wyrzuty sumienia, albo... Nie, powiedzmy sobie wprost, nie dojdą nawet do takich wniosków, prawda? Zadowolą się jakimś ogólnym bezmyślnym przypuszczeniem. I nic w świecie nie zmieni ich zdania. Wiem, że dla Hugo to żadna różnica, ale to tak cholernie frustrujące... – Kanapki z powrotem wylądowały na stole. – I jeszcze te przekłete... te...

Zebrałem je i zacząłem układać w piramidę. Ojciec oparł się o zlew i dłońmi przetarł twarz. Nie wiedziałem, czy myśli, że Hugo naprawdę to zrobił. Wykluczone, żebym go o to zapytał.

– Powtarzam sobie, że mogło być o wiele gorzej – ciągnął. – Też powinieneś o tym pamiętać. Jak na kogoś, kto miał tak straszego pecha, Hugo okazał się szczęściarzem. Lekarze ostrzegali nas przed tyloma rzeczami: demencją, bólem, napadami, niekontrolowaniem fizjologii, paraliżem. Nie musiał przez to przechodzić. Ani... – przycisnął palce do oczu – ...przez więzienie, bo na to mógł wskazywać rozwój wypadków.

– Chciał być w domu – powiedziałem. Nie mogłem się powstrzymać. – Nie w tej parszywej umieralni.

Tato uniósł głowę i spojrzał na mnie. Miał czerwone i zapuchnięte oczy, a ktoś, jakaś kobieta, która cmoknęła go

w policzek, zostawiła ślad szminki w ulubionym przez starsze panie kolorze fuksji.

– Sam postanowił zadzwonić na policję – przypomniał mi. – To nie tak, że trafili na jego trop i przyszli po niego. Tak, pewnie przypuszczał, że wróci do domu, musiał się też jednak liczyć z możliwością, że nie wróci. Mimo wszystko zrobił to, co zrobił. Muszę wierzyć, że miał swoje powody i uznał, że są wystarczające.

Nie wiedziałem, czy kryje się w tym informacja, czy pytanie, tak starannie opakowane, że gdybym wolał, mógłbym je zignorować.

– Może – bąknąłem. Kanapki wyglądały w miarę bezpiecznie. Podszedłem do lodówki po wino.

– Nie wiem, czy chciałby ze mną o tym rozmawiać, gdyby zdążył – dodał ojciec. – Mam nadzieję, że tak.

Lodówka była pełna po brzegi; nie miałem pojęcia, jak cokolwiek z niej wyciągnąć, nie wywołując lawiny całej reszty.

– Mnie nic nie zdradził – odparłem.

– Hej. – Do kuchni weszła Susanna z Sallie uczepioną jej spódnicy. Miała na sobie świetnie skrojoną małą czarną i buty na wysokich obcasach, włosy gładko zaczesła; sprawiała wrażenie wyższej i niespodziewanie pięknej i eleganckiej. – Tamten starszy pan w wypchanej tweedowej marynarce właśnie zapalił fajkę. Mama i Miriam zaczęły szaleć i dyskutują o tym, kto mu powinien powiedzieć, żeby wyszedł na zewnątrz, ale moim zdaniem trzeba to olać. Dym z fajki jest chyba dzisiaj naszym najmniejszym zmartwieniem. Pod warunkiem że damy facetowi popielniczkę... Sal, puść mnie na chwileczkę, muszę... – Wspięła

się, opierając kolano na blacie, i z wysokiej półki w szafce wyjęła popękaną miseczkę. – To powinno się nadać. Kto to w ogóle jest?

– Chyba Maurice Devine – odparł ojciec, z grymasem na twarzy masując sobie kark. – Znaczący historyk społecznej. Pomagał kiedyś Hugo, kiedy ludziom zależało na pogłębionych badaniach... raportach. Nie wiem, jak to się nazywało. Niewiarygodne, ile osób przyszło. Nie zdawałem sobie sprawy, że Hugo był taki...

– Przyszło mnóstwo ludzi – zauważył wielce odkrywczo Tom, zaglądając do kuchni. – Su, masz tę popielniczkę? On korzysta z kominka i twoja mama zaraz kompletnie straci głowę.

– Porozmawiam z nią. – Susanna wygładziła sukienkę. Mijając mojego tatę, pokazała palcem na swój policzek. – Masz tu szminkę. Przydybała cię mama Toma.

– Są jeszcze kanapki? – spytał Oliver zza pleców Toma.

– Już niosę. – Ojciec wyprostował się, ostrożnie podniósł półmisek i ruszył do salonu.

\* \* \*

Miałem wrażenie, że ten dzień trwa wiele tygodni. Ale wreszcie, wreszcie skończyły się kanapki i wspominki, goście się rozeszli, Susanna i Tom zgarnęli do domu ziewające i marudzące dzieci, ojciec i wujowie z płaczem wzięli sobie każdy po pamiątkę, matka i ciotki (mimo moich protestów) wszystko uprzątnęły, załadowały zmywarę, wytarły stół w jadalni i szczegółowo omówiły kwestię, kto powinien oddać kieliszki

firmie cateringowej, a potem jeszcze, Boże drogi, odkurzyły cały parter. I znowu miałem dom dla siebie.

Przez kilka następnych dni nie płakałem po Hugo. Wydawało się, że to wstyd, sprzeniewierzenie się temu, co zrobił, i jeszcze jeden dowód na cholerną ruinę w mojej głowie, ale nie byłem w stanie płakać. Naprawdę próbowałem – nastawiłem jego ulubioną płytę Leonarda Cohena, otworzyłem ocalałą butelkę wina i myślałem o wszystkim, co stracił, o tym, że już nigdy nas nie zobaczy – lecz łzy nie popłynęły. Jego nieobecność była ogromną, namacalną dziurą, jak gdyby zniknęła część domu, a jednak miałem wrażenie, jakby na poziomie emocjonalnym jego śmierć w ogóle się nie wydarzyła.

Matka miała rację, że policja zachowała dyskrecję tylko na czas pogrzebu. Dwa dni później wieść rozniosła się po wszystkich internetowych serwisach informacyjnych w formie zgrabnie sformułowanego komunikatu prasowego: *Hugo Hennessy, właściciel ogrodu, w którym niedawno odkryto szczątki osiemnastoletniego Dominica Ganly'ego, zmarł śmiercią naturalną. Policja nie bada innych wątków i zaprzestała dalszych czynności śledczych w związku z tą sprawą.* Serwisy suto wypchały wiadomość watą informacyjną w postaci wzmianek o sukcesach Dominica w rugby, wypowiedzi jego kolegów i wszelkich faktów na temat Hugo, które udało im się wygrzebać – bardziej lub mniej prawdziwych. Jedna witryna musiała coś źle usłyszeć i przedstawiła Hugo jako ginekologa, co wywołało falę histerycznych komentarzy, z których jeden sugerował, że Hugo przeprowadzał aborcje na kuchennym stole, a Dominic zagroził mu, że na niego doniesie, po tym jak Hugo zrobił zabieg jego

dziewczynie. W ciągu paru godzin bzdura stała się niezaprzeczalnym faktem do tego stopnia, że nawet sprostowanie zamieszczone przez serwis nie zdołało zmienić przekonania ludzi – *No i co z tego, że nie lekarz!!! Wszyscy i tak wiedzą, że mordował, czyli że pewnie mordował też dzieci! Udało mu się, a powinien zgnić w pudle!* i szereg czerwonych z wściekłości emotikonów. Komentarze w innych serwisach nie były lepsze („Boże, komentarze! – powiedziała Susanna. – Nie czytam tego szamba”). Powszechnie zgadzano się, że to głęboko podejrzane, iż Hugo nigdy się nie ożenił, więc zapewne zamordował Dominica, kiedy ten odrzucił jego zaloty.

W tamtym tygodniu dużo myślałem o tym, co powiedział mój ojciec. W szpitalu byłem przekonany, że muszę mieć jakiś plan – albo się bronić, albo się zgłosić i pójść na jakiś układ – tylko nie pamiętałem dlaczego. Informacja o tym, że policja nie bada innych wątków, mogła zostać ujawniona po to, abym nabrał fałszywego poczucia bezpieczeństwa, lecz, tak czy owak, Rafferty niewiele mógł mi zrobić. Gdyby nawet znalazł jakiś niezbity dowód, to skoro do winy przyznał się ktoś inny, istniałyby chyba uzasadnione wątpliwości? Nie miałem też wrażenia, że gdybym oddał się w ręce policji, świat stałby się pod jakimś względem lepszy. Wręcz przeciwnie: sytuacja była już wystarczająco trudna dla mojej rodziny i nie wyobrażałem sobie, jak zareagowałiby moi rodzice, gdybym trafił do więzienia za zabójstwo. Zresztą powód, dla którego w ogóle rozważałem taki krok, nie wypływał ze szlachetnej chęci złożenia się w ofierze na ołtarzu sprawiedliwości. Częściowo chodziło o Hugo – tylko skończone bydlę kazałoby mu spędzić ostatnie miesiące życia za kratkami;

pozwolenie jednak, by zgraja idiotów wypisywała w internecie bzdury, o których on nigdy się nie dowie, to już zupełnie inna rzecz. Poza tym, jak powiedział mój ojciec, Hugo sam podjął decyzję. Jego umysł ulegał erozji, ale nie do tego stopnia, by nie wiedział, co robi. Zrobił to rozmyślnie, żeby mnie ochronić. Odrzucenie tego byłoby naprawdę wielką niewdzięcznością.

Drugim powodem, dla którego rozważałem możliwość ujawnienia się, było proste pytanie: czemu nie? Czy zostało mi coś, co powinienem chronić? Nawet gdy większość innych rzeczy się nie udała, trzymałem się jeszcze myśli, że przynajmniej jestem przyzwoitym gościem, tym dobrym. Tymczasem ogromne prawdopodobieństwo, że jestem mordercą, mocno podkopało tę wiarę. Dziwne jednak, jak szybko oswoiłem się z tą świadomością. Nie chodzi o to, że mi się podobała. Nigdy nie marzyłem, by zostać niebezpiecznym, wyjętym spod prawa zabójcą; w zasadzie zawsze chciałem być normalnym i szczęśliwym człowiekiem. Skoro jednak szansa na to zniknęła z horyzontu i minął pierwszy szok, wyjęty spod prawa zabójca wydawał się kimś lepszym niż beznadziejna, godna pogardy ofiara, której pomieszało się we łbie. W pewnym sensie był to wręcz krok w stronę wyjścia z roli ofiary. Dzięki temu fakt, że pozwoliłem dokopać sobie dwóm pieprzonym dresiarzom, wydawał się bardziej strawny. Bo mnie też – podobno – udało się kiedyś komuś nieźle dokopać.

Wszystko to oznaczało, że nie oddam się w ręce gliniarzy. Miałem w dupie Rafferty'ego. Niepotrzebny był mi żaden plan; gdyby przypadkiem się pojawił, wystarczyło po prostu trzymać język za zębami.

Ważne pytanie, którego dotąd jeszcze sobie nie zadawałem, brzmiało: co w takim razie zrobię? Nie mogłem przez resztę życia snuć się po Ivy House, choć była to kusząca perspektywa. Właściwie nie było powodu, żebym w ogóle tu dalej mieszkał. Miałem swoje mieszkanie – wciąż spłacałem kredyt, a moje oszczędności nie były niewyczerpane – pracę i wiele innych rzeczy, które ignorowałem, mając doskonałe usprawiedliwienie, czyli Hugo. Skoro go już nie było, wszystkie stanęły w szeregu, żeby z dnia na dzień coraz bardziej natarczywie mnie szturchać, przypominając o swoim istnieniu.

Wydawało mi się, że ostatecznie wszystko sprowadza się do kwestii, dlaczego zabiłem Dominica... jeżeli go zabiłem, bo czasem to „jeżeli” mi umykało. Nie kupowałem nieprzekonującego wytłumaczenia, którym nęcił mnie Rafferty – że chciałem go jedynie postraszyć, a skończyło się, jak się skończyło. Jeżeli chodziło mi tylko o to, czemu po prostu nie rzuciłem się na Dominica z pięściami albo nie pogroziłem mu nożem? Po co te barokowe intrygi z garotą, zastanawianie się, jak ją zrobić, a zwłaszcza jak jej użyć? Nie; jeśli go zabiłem, to dlatego, że chciałem to zrobić. Musiałem tylko poznać powód.

Analizowałem to w myślach metodycznie, krok po kroku, spacerując tam i z powrotem między pokojami i mówiąc do siebie na głos, by mieć pewność, że w niczym się nie pomylę. Czy zabiłem go, bo tamtego lata Dominic mnie denerwował (całkiem przekonująco, zwłaszcza że na ogół zachowywał się wrednie), czy może z powodu jakiejś idiotycznej, wywołanej burzą hormonów kłótni o łaskę? Kto w ogóle mi się podobał tamtego lata? Jasmine jakaś tam... ale nie do tego stopnia, żebym zakochał

się bez pamięci, to samo dotyczyło Lary Mulvaney i w zasadzie każdej choć trochę atrakcyjnej dziewczyny, jaką znałem. Nie uwierzyłbym, że mógłbym kogoś udusić garotą z powodu którejś z nich, chociaż najwyraźniej to, w co wierzę, zupełnie nic nie znaczyło. Nie sądziłem, że mógłbym tak łatwo sobie wybaczyć, gdybym zabił człowieka z powodu błahego wybuchu złości. Nie żebym czuł potrzebę pokuty i poświęcenia życia w służbie biednych czy coś w tym rodzaju, ale marzenie o białym georgiańskim domu w takiej sytuacji wydawało się niezbyt prawdopodobną możliwością. To był inny rodzaj wściekłości – gwałtownej, nieprzewidywalnej i przerażającej, na którą nie było miejsca przy, powiedzmy, małych dzieciach albo Melissie.

Jeżeli natomiast Rafferty miał rację i zrobiłem to, bo chciałem chronić Leona, wtedy wyglądałoby to zupełnie inaczej. Na czyn kogoś, kto zasługiwałby na to, co zrobił dla niego Hugo; kto miał prawo, a może nawet obowiązek odzyskać od życia wszystko, co się da.

Nie wiem, jakie nadzieje sobie robiłem. Nigdy nie uważałem się też za szlachetnego rycerza, który zuchwale rusza do boju, żeby ratować uciśnionych, chciałem jednak nadal wierzyć, że w jakimś sensie byłem przyzwoitym gościem. Leon mówił o mnie jak o odrażającym bydlaku, który nigdy nie kiwnął palcem dla dobra kogokolwiek oprócz samego siebie, ale przecież uwolniłem go od innych, którzy się nad nim znęcali, pogoniłem palanta zwracającego głowę Melissie, zostałem w Ivy House przy Hugo do samego końca. Chyba nie było więc nadużyciem przypuszczenie, że jeśli jakoś dowiedziałbym się o tym, co Dominic robił Leonowi, być może starałbym się bronić kuzyna?

Nie ufałem już swojej głowie nawet na tyle, by próbować sobie przypominać. Gdybym wygrzebał coś z pamięci, to zapewne brednie wyplute przez tę samą grupę poplątanych synaps, które stworzyły i przechowały wspomnienie o kremacji dziadków. Choć Leon i Susanna najwidoczniej nie mieli pewności, że zabiłem Dominica, musieli wiedzieć – jeśli nawet nie umieli tego skojarzyć – jaki splot okoliczności mógł mnie do tego doprowadzić. A zatem jeszcze raz włożyłem kostium Małego Detektywa Toby’ego i napisałem wiadomość do obojga z prośbą, żeby wpadli któregoś popołudnia.

Zapewne rozsądniej byłoby wyłączyć z tego Susannę. Z Leona mógłbym coś wyciągnąć, perswazją, złośliwością, grą na poczucie winy. Ale Susanna, nawet zanim mój umysł rozsypał się od potężnego ciosu, przerastała mnie o głowę, więc jeżeli chciała coś przede mną ukryć, nie zbliżyłbym się do tego nawet na kilometr. W ogóle jednak nie przyszło mi na myśl, aby ją pominąć. Ci dwoje oplatali przecież jak pnącza korzenie mojego dawnego życia. W głębi duszy miałem silniejsze od myśli przekonanie, że jeśli ktokolwiek może mi wskazać drogę powrotną do tego życia, to tylko oni. Mogłem też chyba powiedzieć – i mimo wszystko nie byłoby to kłamstwo – że potrzebowałem ich obojga, bo ich kochałem.

Sądziłem, że jestem bardzo przebiegły, zapraszając ich ot tak, przypadkowo, ale z perspektywy czasu jest jasne, że wiedzieli. Mimo to przyszli. Nadal nie jestem pewien, choć minęło tyle czasu, czy powinienem być im za to wdzięczny, czy przynajmniej jedno z nich albo oboje pomyśleli, że wyświadczają mi przysługę.

\* \* \*

Po tak długim czasie spędzonym samotnie w cichym domu przeżyłem szok w zderzeniu z ich energią. Susanna przyniosła kielbaski w cieście, wrzuciła je do piekarnika, brzęcząc blachami, i z łomotem zamknęła drzwiczki. Leon miał wielką torbę minibatonów Mars – zbliżało się Halloween, o czym zapomniałem, dopóki nie zobaczyłem łypiących z opakowań duchów i wampirów – a ja wyciągnąłem wino, które zostało po stypie.

– Pierwszorzędny zestaw – powiedział Leon, klękając na podłodze w salonie i odsuwając na bok sterty papierów, swetrów i talerzy, żeby wysypać batoniki na stolik. Było zimno, rozpałem w kominku i salon był jedynym ciepłym pomieszczeniem w domu. – Możesz mówić o nas, co chcesz, ale mamy klasę.

– Następnym razem możemy być strasznie kulturalni i spotkać się przy herbatce, kanapkach z ogórkiem i babeczkach – zaproponowała Susanna, szturchając go, by zrobić miejsce na talerz z kielbaskami. – Ale wszyscy od tak dawna działamy w trybie awaryjnym, że w tym momencie najbardziej potrzebny nam klin na splin. Ja, Tom i dzieciaki odżywiamy się wyłącznie pizzą i chińszczyzną. Niedługo pewnie znowu zostanę Mamusią Organicznej Zdrowej Kuchni, ale na razie pieprzyć to.

– W czym problem? – spytałem, odkorkowując butelkę czerwonego wina. – Lubię kielbaski w cieście, lubię marsy, lubię wino, wszystko jest dobre. Czerwone pasuje do wieprzowiny, prawda? – Przygotowałem się do tego spotkania, wlewając w siebie litry kawy, więc czułem się jak na lekkim hajcu,

niebezpiecznie kruchym, jak na speedzie z domieszką czegoś podejrzanego.

– Paskudnie wyglądasz – poinformował mnie Leon z niepokojem w głosie, nachylając się i uważnie przyglądając mojej twarzy. – Dobrze się czujesz?

– Wielkie dzięki, stary.

– Serio. Jesz coś?

– Czasami.

– Masz prawo być najbardziej złachany – orzekła Susanna. – Miałeś z nas najgorzej. I spisałeś się na medal, od początku do końca.

– A nabijaliście się ze mnie, że nie dam sobie rady – odparłem. – Pamiętasz?

– Wiem. Cofam. Przepraszam. – Rozciągnęła się na kanapie i sięgnęła po zmechaconą wełnianą narzutę. – Nie jestem pewna, czy prosiłabym cię, żebyś się tu wprowadził, gdybym wiedziała, jak się wszystko potoczy.

– A ja bym się tu nie wprowadził. Możesz mi wierzyć.

– Jesteśmy ci coś winni.

– Owszem, jesteście.

– Poczęstuj się – powiedział z troską Leon, podsuwając mi kielbaski. – Póki gorące.

– Nie, dziękuję. – Na ich zapach robiło mi się niedobrze. Dziwne, ale miałem ogromną ochotę na marsy; nigdy nie przepadałem za słodyczami, ale chciałem sobie wpakować do ust trzy batony naraz. – Proszę. – Podąłem im wino.

– Za Hugo – rzuciła Susanna, wznosząc kieliszek.

– Za Hugo – powtórzyliśmy z Leonem.

Brzęknęło szkło.

– Aaach – westchnął Leon. Usiadł na dywaniku przed kominkiem, oparł się plecami o fotel naprzeciwko mojego i zdjął adidas i skarpetki. – Przepraszam, że bosy, ale przemokłem do suchej nitki. Muszę je wysuszyć. – Powiesił skarpetki na osłonie kominka.

– Mam nadzieję, że czyste – powiedziała Susanna.

– Odchrzań się. Sama siedzisz w skarpetkach...

– Które nie śmierdzą...

– Moje też nie. Czyściutkie jak pupa niemowlęcia. Chcesz powąchać? – Pomachał jej skarpetką, a Susanna udała, że zbiera się jej na wymioty.

– Nieźle wyglądasz – zwróciłem się do Leona. To była prawda. Nie miał już ściągniętej twarzy, nałożył żel na włosy i wrócił do tej głupiej wyzywającej garderoby, czego osobiście nie uważałem za plus, ale była to oznaka lepszego samopoczucia. – O wiele mniej stresu.

– Wiem. – Wyciągnął bosc stopy w stronę kominka i z lubością poruszył palcami. – Czuję się znacznie lepiej. Czy to nie okropne? Nie mogłem wytrzymać czekania na najgorsze. A kiedy najgorsze się wydarzyło, jakoś umiem sobie z tym poradzić.

– Co teraz zamierzasz? – spytałem z ustami pełnymi batonika.

– Kiedy wracasz do Berlina? A raczej czy w ogóle wybierasz się do Berlina?

Wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie zdecydowałem.

– Co z twoją pracą? – Susanna sięgnęła po kielbaskę w cieście.

– I z Carstenem?

– Nie wiem. Nie podjąłem jeszcze decyzji. Dajcie mi spokój. A ty? – Spojrzał na mnie. – Kiedy wracasz do pracy?

– Też nie wiem – przyznałem. Kremowa fala czekolady uderzyła mi do głowy cudownie obezwładniająco jak koka. Wziąłem następny batonik. – Odczepcie się. To dopiero tydzień.

– Powinieneś wrócić – poradził mi Leon. – Siedzenie samemu całymi dniami nie robi dobrze na głowę.

– Skoro o tym mowa, co u Melissy? – spytała Susanna.

– W porządku.

– Dokąd poszła wtedy z kościoła? Była gdzieś umówiona?

– Melissa przeprowadziła się z powrotem do siebie – odparłem.

Na ułamek sekundy zapadła cisza.

– Chodzi o jej mamę? – odezwał się Leon z nadzieją w głosie.

– Nie. Jestem właściwie pewien, że mnie rzuciła. Od pogrzebu nie mam od niej wiadomości.

– Ale... – Leon siedział prosto jak struna. – Była tu, kiedy przyszliśmy ostatnim razem. Tamtej okropnej nocy, dwa dni, zanim Hugo...

– Tak, wiem. A kiedy poszedłem wtedy na górę do sypialni, już jej nie było.

Susanna zdejmowała okruszki ze swetra; nie wiedziałem, o czym myśli.

– Czy to...? – Leon zastygł z kielbaską w powietrzu, w pół drogi do ust. – Chodziło o rzeczy, o których mówiliśmy wtedy w nocy?

– Co ty powiesz, Sherlocku?! Trudno się jej dziwić.

– Melissa myśli, że zabiłeś Dominica? – zapytała Susanna.

– Raczej na pewno tak myśli – przytaknąłem.

- Mówiłam ci – zwróciła się do Leona.
- Och nie. – Wyglądał jak rażony gromem. – Lubię ją.
- Ja też – odparłem. – Bardzo.
- Była dobra dla ciebie. Myślałem, że się z nią ożenisz.

Liczyłem na to.

– Ja też.

– Czy ona kiedyś naprawdę powiedziała, że myśli, że ty to zrobiłeś? – spytała Susanna.

– Nie musiała.

– Może więc wcale tak nie sądzi – zauważył Leon. – Może w ogóle nie dlatego odeszła. Miała tyle stresu z Hugo, że to nie mogło być bez wpływu...

– Tym razem chodzi o to... – Odchrząknąłem. To wszystko nie było trudniejsze, niż się spodziewałem, ale znacznie dziwniejsze. Właśnie zamierzałem ich zapytać, dlaczego zostałem mordercą, i wydawało mi się niemożliwe, że życie zaprowadziło mnie do tego miejsca. – Chodzi o to, chociaż to brzmi dziwnie, że myślę, że macie trochę racji: nie dlatego mnie rzuciła. Pewnie poradziłyby sobie ze świadomością, że to zrobiłem... Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale sami mówicie, Melissa jest naprawdę wyjątkowa. Chyba dałaby sobie z tym wszystkim radę... w zależności od tego, dlaczego to się zdarzyło. Tyle że ona nie wie. I to ją pewnie przeraża. Możliwe, że zrobiłem to, bo jestem kompletnym psycholem, tylko zwykle świetnie to maskuję. Problem w tym, że... nie mogę jej powiedzieć. Bo nie pamiętam. Ani trochę. No i dlatego mam przesrane.

Zapadła cisza. Wypiłem spory łyk wina – dopiero gdy unosiłem kieliszek, zorientowałem się, że drży mi ręka. Susanna

i Leon wymieniali wzrokiem jakieś skomplikowane sygnały.

– Jeżeli cokolwiek pamiętacie – ciągnąłem – coś, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego to... Tylko tyle jesteście mi winni. Pomóżcie mi to wyjaśnić. Melissa wpakowała się w to wszystko tylko dlatego, że chcieliście, żebym tu przyjechał. Gdybym został...

– Dobra – przerwała mi Susanna. – Coś ci opowiemy.

– Su – odezwał się Leon – wydaje mi się jednak, że to nie jest dobry pomysł.

– Spokojnie. Będzie dobrze.

– Su. Mówię serio.

Spojrzała na Leona z drugiej strony stolika. Rękawy swetra naciągnęła na dłonie i trzymała kieliszek oburącz jak kubek herbaty. W blasku ognia scena wyglądała niezwykle idyllicznie; wytarty adamaszek foteli połyskiwał w świetle trzaskających płomieni, których refleksy tańczyły w sfatygowanym miedzianym kubelku na drewno, pozbawiając ostrości stary grawerowany wzór.

– Tak trzeba – powiedziała.

– Wcale nie.

– Przynajmniej tyle powinniśmy. – Zwróciła się do mnie: – Jeżeli komukolwiek to powtórzysz, nawet Melissie, powiemy, że to kompletna bzdura, że cała rozmowa to pewnie skutek twoich halucynacji, wpadliśmy do ciebie na sentymentalne pogaduchy o Hugo, a potem wróciliśmy do domu. Uwierzą nam. Co ty na to?

– Mam jakiś wybór? – spytałem, a ona wzruszyła ramionami.  
– Okay. Rozumiem.

– Chcę zapalić. – Leon podniósł się z dywanika. – Rób, co chcesz. Gdzie ta popielniczka?

– Ciągłe jest trochę podminowany, prawda? – zauważyła Susanna, gdy wyszedł do kuchni. – Dlatego, że waha się, co zrobić z Carstenem. Mam nadzieję, że z nim zostanie. Dobrze im ze sobą.

– Su. – Serce mi waliło. Nie spodziewałem się, że to będzie proste. Nie wiedziałem, czy mam się martwić tym, że postanowiła wszystko mi opowiedzieć, jeszcze zanim tu przyszła.

– Wiem. – Przechyliła się przez poręcz kanapy, by sięgnąć do torebki po papierosy. – Poczęstujesz się?

– Nie, dzięki.

– Masz ogień?

– Su! – rzuciłem, podając jej zapalniczkę.

– Dobra, dobra. Zastanawiam się, od czego zacząć. – Wyprostowała nogi i poprawiła narzutę, moszcząc się wygodnie na kanapie. – No więc zaczęło się to w ostatniej klasie. Zdaje się, że marzec, ferie wielkanocne. Nasi rodzice gdzieś wyjechali, my zostaliśmy w Ivy House, uczyliśmy się do ustnej matury. Pamiętasz?

– Tak.

– Kumple wpadali pouczyć się z nami. Między innymi Dominic.

– No.

– To było straszne – powiedział Leon, wracając z popękana miseczką, którą Susanna po pogrzebie wyciągnęła z szafki. – Na litość boską, to miało być bezpieczne miejsce, a tu nagle wparowuje ten bydlak, zrzuca na podłogę moje wszystkie książki i rechocze przy tym jak hiena.

– Na początku zastanawiałam się, co tu robi – ciągnęła Susanna. – Przecież wy dwaj nie byliście takimi bliskimi kumplami. A potem cały w uśmiechach zaczął się do mnie przymilać i prosić o pomoc we francuskim. Nie zrobiło to na mnie wrażenia... Zawsze traktował mnie jak powietrze, a teraz, kiedy potrzebuje pomocy, nagle wdzięczy się do mnie i robi słodkie oczy? Wtedy uważałam jednak, że koniecznie należy pomagać innym. Odpowiedzialność społeczna i tego typu dyrdymały. Jezu, ależ byłam przemądrzałą gówniarą, prawda?

– I tak cię kochaliśmy – zapewnił ją Leon, odsuwając więcej rzeczy na bok stolika, by postawić popielniczkę.

– Wielkie dzięki. W każdym razie pomyślałam sobie: dobra, niech będzie, spróbuję wbić parę czasowników nieregularnych do tępej głowy Dominica. I całkiem nieźle szło przez dzień czy dwa, dopóki pewnego wieczoru... zresztą w tym pokoju, bo wy dwaj z paroma innymi zajęliście stół w kuchni... nie zaczął mnie głaskać po udzie i mówić mi, jaka jestem seksowna. – Wyciągnęła rękę; Leon rzucił jej zapalniczkę. – Zakładałam, że robi sobie jaja, i do dzisiaj tak myślę. Że na przykład zorganizowali sobie z kumplami konkurs, który poderwie najbrzydszą laskę. Robiliście coś takiego?

– Nie! Jezu Chryste, Su. Za kogo mnie masz? – Byłem prawie pewien, że słusznie się oburzam, nie dałbym się wplątać w coś takiego, prawda? – Poza tym – dodałem i co do tego nie miałem wątpliwości – niemożliwe, żebym mu pozwolił wciągnąć w to ciebie. Kurwa, nie ma mowy.

– No więc wiedziałam, że wkręca mnie w taki czy inny sposób – kontynuowała Susanna. – Może to nie był konkurs ani żaden

zakład, może po prostu pomyślał, że łatwo mu ze mną pójdzie, bo będę zachwycona, że taki superchłopak zechciał zauważyć taką myszkę jak ja. A może pomyślał, że w ten sposób odwdzięczy się za pomoc w nauce. W każdym razie zdjęłam z siebie jego rękę i powiedziałam, że nie jestem zainteresowana. Tego wyraźnie się nie spodziewał.

Leon prychnął.

– Dlaczego miałby cię wkręcać? – spytałem. – Albo zakładać, że łatwo mu pójdzie? Może naprawdę mu się spodobałaś.

Posłała mi spojrzenie znad płomyka zapalniczki.

– Daj spokój. Przecież wiesz, jaki typ dziewczyn podobał się Dominicowi. Cara Hannigan, Lauren Malone. Śliczne, wypindrzone blondynki, które miały największe wzięcie.

– Nie powinnaś się tak nisko oceniać – palnąłem. – Jesteś piękna. Nie każdemu podobają się te...

– Toby – przerwała mi Susanna na wpół rozbawiona, na wpół zirytowana. – Naprawdę nic złego w tym, że nie jestem piękną. To nie jest ułomność. Nie musisz obchodzić się ze mną jak z jajkiem i udawać, że nie zauważasz...

– Wcale nie...

– Tak czy siak, mnie Dominic się nie podobał, więc nie ma znaczenia, czy naprawdę mu się podobałam, czy nie. Chociaż on oczywiście patrzył na to inaczej. Powiedział mi, żebym się wyluzowała, i znowu położył mi rękę na nodze. Miałam dość. Kazałam mu się odczepić, bo wolałabym raczej zjeść własne rzygowiny.

– Ooo. – Odruchowo się skrzywiłem. Nawet po tylu latach z nagłym przyływem adrenaliny domyśliłem się, jak bardzo nie

spodobałoby się to Dominicowi.

– Tak, dzisiaj wydaje mi się, że to może nie była najlepsza reakcja. Człowiek ciągle się uczy. – Wyciągnęła stopę i zahaczyła palce o spód stolika, żeby przysunąć go bliżej i mieć popielniczkę pod ręką. – Właściwie zachowywał się tak, jakby to przyjął do wiadomości. Odskoczył jak kiepski aktor, podniósł ręce, zaśmiał się, mówił, że przydałoby mi się więcej luzu, a w ogóle o co chodzi, jestem lesbą czy co... takie tam teksty. Wstałam, a on na to: „Co, nie będziesz mi już pomagać?”. Odpowiedziałam, że nie, że już skończyliśmy naukę. A wtedy... – uniosła brew – naprawdę się oburzył. „O co ci chodzi, chciałem się tylko pośmiać, jesteś walnięta...” Wyszłam. Byłam trochę roztrzęsiona, ale myślałam, że na tym się skończy.

Leon parsknął śmiechem.

– Wiem – prychnęła Susanna. – Pocziwe biedactwo.

Może to żalosne, wszystko mi jedno, byłem jednak bardzo podekscytowany kierunkiem, w jakim zmierzała ta historia. Co do Leona nie byłem pewien, ale Susanna... Nie miałem wątpliwości, że gdyby tego potrzebowała, broniłbym jej bez względu na to, co musiałbym zrobić. Serce biło mi, jakbym siedział w kolejce górskiej, która wolno wspina się na zawrotnie wysoki szczyt i za moment w niepowstrzymanym pędzie pogna w dół.

– Potem – mówiła dalej Susanna – za każdym razem, jak go spotykałam, na przykład w parku, do którego wszyscy chodzili po lekcjach, wtrącał jakiś komentarz, że jestem oziębła czy sztywna. Ktoś rzucał sprośnym dowcipem, a Dominic zaraz: „Hej, lepiej się nie wyrażaj, jest wśród nas Matka Przełożona!”. I sporo

ludzi się śmiało. Próbowałam mu powiedzieć, żeby się zamknął, ale skutek był jeszcze gorszy: „Ooo, komuś brakuje poczucia humoru, pewnie ma okres, przydałoby się porządnie ją przelecieć, żeby się rozluźniła...”. I wszyscy śmiali się jeszcze głośniej. Po jakimś czasie po prostu przestałam się odzywać.

Próbowałam to sobie przypomnieć. Wszyscy ze sobą flirtowali, na ogół w bardzo marnym stylu, każdy nabijał się z każdego, niektórzy nie wiedzieli, kiedy przestać – byliśmy w końcu gówniarzami, mieliśmy po siedemnaście, osiemnaście lat. Gdybym nawet był świadkiem tych scen, wydawałyby się czymś tak normalnym, że mógłbym w ogóle nie zwrócić na nie uwagi.

– Wtedy to jeszcze nie było nic poważnego. – Susanna jakby czytała mi w myślach. – Jasne, wkurzało mnie, ale nie wykraczało poza granice zwykłych, pospolitych idiotyzmów... to nie było nic straszego. Po egzaminach ustnych sytuacja się pogorszyła. Dominic wiedział, że totalnie je spieprzył, i uznał, że to moja wina, bo przestałam mu pomagać. Wtedy już nie nabijał się ze mnie dla żartu. Podchodził do mnie blisko, nachylał się i prosto do ucha mówił mi różne rzeczy, „Myślisz, że jesteś taka bystra, głupia suko, myślisz, że jesteś bystrzejsza ode mnie? Ktoś ci powinien pokazać, gdzie twoje miejsce”, i takie obrzydlistwa. No i nietrudno zgadnąć, że chciał się przekonać, czy w innych ustnych konkurencjach jestem tak samo dobra jak na egzaminach. – Pokazała na migi, co ma na myśli.

– Ze mną robił tak samo. – Leon odwrócił się, by ogrzać przy ogniu drugą stronę ciała. – Ograne numery. Kawały o dupie. O AIDS. Jeżeli już poświęcasz swój czas i wysiłek, żeby się nad

kimś znęcać, to przynajmniej postaraj się być trochę oryginalniejszy.

– Nie wiem – rzuciła Susanna, zastanawiając się nad tym. – Gdyby miał odrobinę wyobraźni, mogłoby to wyglądać jeszcze gorzej. Ale nie miał. Wiesz co? To chyba od początku mógł być jego prawdziwy problem. Oczywiście oprócz tego, że był bydlakiem.

– I psycholem – dodał Leon. – W tamtym czasie już zaczynał sprawiać takie wrażenie... to znaczy zawsze był psycholem, ale dopiero wtedy było widać, że coś z nim jest poważnie nie tak. Podchodził do ciebie nie wiadomo skąd, walił pięścią w brzuch, a potem gapił się i ryczał ze śmiechu. To było straszne. – Spojrzał na mnie. – Jak to się stało, że ty i twoi kumple nigdy nie zauważyliście...

– Trzeba przyznać... – Susanna wychyliła się, by zgasić papierosa – że nikt z nas nie był wtedy szczególnie spostrzegawczy, zwłaszcza w czasie matur. Był już maj, zbliżały się pisemne, a to oznaczało, że Dominic jeszcze mocniej się stresował, co z kolei oznaczało, że stawał się bardziej złośliwy. To, co mówił, coraz częściej brzmiało jak autentyczne groźby: „Jesteś taka brzydka, że nie można cię pieprzyć twarzą w twarz, wezmę cię od tyłu...”.

– Jezu, Su... – Skrzywiłem się.

– Przepraszam, jeżeli to razi twoje uszy. Dla mnie to też nie było nic miłego. – Z powrotem rozciągnęła się na kanapie, wsuwając sobie poduszkę pod plecy. – I nie poprzestawał już tylko na gadaniu. Z początku to nie miało nawet seksualnego charakteru, było po prostu dziwne. Raz zaczęłam coś do niego

mówić, a on wsadził mi palec do ust. Powinnam mu go odgryźć, ale zanim się zorientowałam, co się dzieje, już go nie było. Innym razem pociągnął mnie za bluzkę z tyłu i napluł do środka.

– Zwierzę – prychnął Leon. – Raz nasikał mi na buty.

– Seks pojawił się jednak dość szybko – ciągnęła Susanna. – Któregoś dnia podszedł do mnie, kiedy stałam przed tym sklepikiem obok szkoły i czekałam na koleżanki. Popatrzył mi w oczy, obiema rękami złapał mnie za tyłek i mocno ścisnął. A przy tym otarł się o mnie krocem. I odszedł.

– Powinnaś mi to powiedzieć – odezwałem się najbardziej naturalnym tonem, na jaki mogłem się zdobyć, i wstrzymałem oddech w oczekiwaniu.

Brwi Susanny powędrowały w górę.

– Powiedziałaś – odparła spokojnie i rzeczowo, prawie z rozbawieniem. – Oczywiście, że powiedziałaś. Właśnie wtedy poszłam z tym do ciebie. Do swojego cudownego superkuzyna, który na pewno wszystko załatwi.

– Aach – westchnął Leon odwrócony twarzą do kominka. – Nasz pocziwiec.

– Miałam osiemnaście lat. Byłam głupia. Nic na to nie poradzę. Coś było nie tak, nie rozumiałem.

– Co? – spytałem. – Co było głupie?

– Nawet nie pamięta – wtrącił Leon.

– Pamiętasz? – zapytała. Było jasne, że sobie nie przypominam. – Nie martw się, nie zaśmiałeś mi się w twarz, nic podobnego. Byłeś bardzo miły. Wy tłumaczyłeś mi, że to tak naprawdę bardzo dobrze, że zaczynam podobać się chłopakom, nie ma się czego bać, że życie byłoby o wiele fajniejsze, gdybym

znalazła sobie chłopaka, zamiast poświęcać je na ratowanie Tybetu. I że prawdopodobnie dobrze zrobiłam, że nie wybrałam Dominica, bo trochę z niego drań, ale może ktoś taki jak Lorcan Mullan? A potem dostałeś jakiegoś esemesa i o wszystkim zapomniałeś.

– Nie... – Coś mi nie grało. – Musiałem nie zrozumieć, że to poważna sprawa. Na pewno bym...

– Nie – odparła Susanna. – Na pewno nie sądziłeś, że to poważna sprawa. Szczerze mówiąc, trochę z mojej winy. Za bardzo się wstydziłam, żeby opowiadać o wszystkich drastycznych szczegółach. Nakreśliłam z grubsza istotę problemu.

– No więc sama widzisz. – Musiałem dojść do wniosku, że złapanie za tyłek i parę obleśnych tekstów to nic wielkiego. Susanna zawsze denerwowała się z byle powodu, na przykład jakiś tydzień wcześniej wpadła w szal, bo z jakiegoś testu dostała minus sześć. – Gdybyś mi powiedziała...

– Chyba się spodziewałam, że uwierzysz mi na słowo. Ale nie. Poprosiłam cię, żebyś przynajmniej kazał mu dać mi spokój. Twierdziłeś jednak, że to skomplikowałoby ci układy z chłopakami. Byłeś nawet trochę urażony, że w ogóle cię o to proszę. Chyba uważałeś, że nie powinnam cię stawiać w takiej sytuacji.

A więc kiedy... Może właśnie dlatego to się stało? Z wściekłości na siebie i na Dominica, gdy dowiedziałem się, na co mu pozwoliłem, chciałem to jakoś naprawić, zagalopowałem się i...

– Cholera – mruknąłem. – Naprawdę mi przykro.

Wzruszyła ramionami.

– Było, minęło.

– Co zrobiłaś? Powiedziałaś komuś jeszcze?

– W pewnym sensie... koleżankom. Wiedziały, że mnie dręczy, ale im też nie zdradzałam szczegółów. Dziwnie się czułam. Jakbym była brudna. Teraz byłoby inaczej, ale wtedy miałam przecież osiemnaście lat. – Filozoficznie wzruszyła ramionami. – Zresztą one tak samo nie miały pojęcia, co powinnam zrobić. „Boże, co za bydlę, może przestanie, jeżeli nie będziesz na niego zwracała uwagi, może powinnaś mu powiedzieć, że masz chłopaka za miastem...”

– Chodzi mi o rodziców – uściśliłam. – Albo o tego nauczyciela od angielskiego, którego lubiłaś.

Uniosła brew nad kieliszkiem.

– Pytasz, czy powiedziałam „zaufanej dorosłej osobie”? Nie. Pewnie powinnam, tylko że się wstydziłam. Dziewczyny niechętnie opowiadają rodzicom, że jakiś chłopak je obmacuje. Nie byłam zresztą pewna, czy nie rozdmuchuję całej sprawy, bo on to traktował bardzo lekko. Jakby to był zwykły kawał. Poza tym, gdybym poszła z tym do nauczyciela i Dominic dostałby opieprz w szkole, wszyscy by się dowiedzieli i to byłby totalny koszmar.

– Zgadza się – potwierdził Leon, odwracając skarpetki na osłonie kominka. – Pamiętasz, jak Lorcan Mullen zakablował Seamusa Dooleya za to, że schował mu okulary? Był trędowaty. Przez parę miesięcy.

– Zresztą Dominic sprytnie to rozgrywał – dodała Susanna. – Im gorsze rzeczy robił, tym bardziej uważał. Łapał mnie za rękę,

przyciągał ją sobie do fiuta i mówił, że będę go ssala, ale tylko wtedy, jak nikt nie widział. Podchodził do mnie w parku z filmikiem w telefonie... bo oczywiście zawsze miał najbardziej wypasiony telefon, pamiętasz? Na filmiku kobieta bzykała się z kimś w bardzo pomysłowy sposób, a Dominic mówił: „Coś takiego ci zrobię”. Nie wysyłał mi jednak żadnych fotek fiuta, nic z tych rzeczy. Bo wtedy miałabym dowód. A tak wystarczyłoby, żeby oświadczył, że nie ma pojęcia, o czym mówię, i że jestem stuknięta. Gdybym komuś powiedziała, w sumie nic nie mogłabym wskórać.

– Miałem dokładnie to samo odczucie – wtrącił Leon. – Na to właśnie liczył. Boże, on naprawdę był upiorny...

– Na tym etapie – kontynuowała Susanna – jeszcze mi się wydawało, że sobie z tym poradzę. Co nie znaczy, że dobrze sobie z tym radziłam. Stałam się cholernie nerwowa. Organizowałam sobie życie w taki sposób, żeby nigdy nie znaleźć się przypadkiem w pobliżu Dominica Ganly’ego, i za każdym razem, kiedy wychodziłam z domu, co dwie sekundy odwracałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nikt się za mną nie skrada. Przez cały czas każdą cząstką duszy bałam się, że zaraz ktoś mnie złapie. Ale w tym momencie nie doszło jeszcze do tego, że wokół Dominica obracało się całe moje życie. Uczyłam się jak szalona, myślałam przede wszystkim o egzaminach i chciałam, żeby tak było dalej. Nie zamierzałam pozwolić, żeby on przesłonił mi wszystko. To była ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam. – Sięgnęła po następnego papierosa. – Patrząc na to z perspektywy czasu, nie sądzę, żebym radziła sobie z tym tak

dobrze, jak mi się wydawało. Mniej więcej wtedy zaczęła mi chodzić po głowie myśl, żeby go zabić.

Dech zamarł mi w piersi. Oczywiście powinienem wiedzieć wcześniej... nie, wiedziałem, tyle że nie mogłem w to uwierzyć. Wiedziałem, że nie potrafiłbym wpaść na pomysł tak skrupulatnie obmyślonego zabójstwa. I gdybym tylko zastanowił się nad tym spokojnie przez pół minuty, domyśliłbym się, kto by potrafił.

– Nie na poważnie – dodała Susanna, widząc moją minę. – To po prostu był sposób, żeby lepiej się poczuć, jak na przykład wbijanie igieł w lalkę. Marzyłam, żeby go rozwalić z broni maszynowej i rzucić jakimś kpiąco-cwaniackim tekstem, żeby to były ostatnie słowa, które usłyszysz.

– Pozdrowienia od Su, skurwysynu – odezwał się z uśmiechem Leon.

Dmuchnęła na niego dymem.

– I ciągle myślałam, że dam sobie radę. Wystarczyło zacisnąć zęby i wytrzymać jeszcze kilka tygodni. Przecież zaraz kończyliśmy szkołę, prawda? Dlaczego w ogóle miałabym spotykać tego bydlaka, kiedy już zdamy egzaminy?

– Chciałabyś – mruknął Leon.

– Właśnie. Okazało się, że po egzaminach tak naprawdę było jeszcze gorzej. Kiedy mieszkałam w domu, Dominic nie mógł do mnie wpadać o dowolnej porze i żądać, żebym go wpuściła, ale gdy wszyscy latem byliśmy tutaj, przychodził co drugi dzień. Kilka razy czekał na mnie pod pracą... nie wiem nawet, skąd się dowiedział, gdzie pracuję. Ja mu na pewno nie mówiłam.

Zerknęła z ukosa na mnie. Nie miałem pojęcia; być może coś powiedziałem. Skąd mógłbym wiedzieć, że to jakaś straszna zbrodnia? Wiele z tych słów wydawało się wyjątkowo niesprawiedliwych; byłem oskarżany o rzeczy, których nie zrobiłem i o których nie mogłem wiedzieć.

– Mógł się dowiedzieć od kogokolwiek – rzuciłem. – Przecież to nie była tajemnica państwowa.

– W każdym razie ktoś mu powiedział. Odprowadził mnie na przystanek, a po drodze szczypał mnie w różne miejsca i opisywał ze szczegółami, co zamierza ze mną zrobić. Powtarzałam mu, żeby zostawił mnie w spokoju, ale tylko się śmiał i mówił, żebym przestała mu wciskać kit, bo wie, że go kocham. Nie wiem, czy chciał mnie tylko zdenerwować, czy rzeczywiście wbił sobie do łba, że tak jest.

– Nie wiadomo, co siedziało w tej jego popieprzonej głowie – wtrącił Leon. – Prawdę mówiąc, nikogo to nie obchodziło. Chodziło tylko o to, żeby ten koszmarne gnojek przestał być naszym problemem.

– Chyba w głębi duszy myślał, że przynoszę mu pecha – powiedziała Susanna. – Zawsze dostawał wszystko, czego chciał, bez żadnych starań ze swojej strony. Nagle pojawiłam się ja, a zaraz potem były egzaminy. Wiedział, że poległ na całej linii, i jedyna oferta, jakiej może się spodziewać, to wyplatanie koszyków w Instytucie Technicznym w Sligo. Rozleciały mu się wszystkie plany życiowe... z mojej winy, bo nie chciałam mu więcej pomagać w nauce... a wątpię, żeby miał jakiś plan B. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że może go potrzebować. I chyba doszedł do wniosku, że wszystko zaczęło się ode mnie. –

Zamyśliła się nad tym, przechylając na bok głowę opartą o poręcz kanapy. – Więc gdyby się mnie pozbył, jeśli pokazałby mi, gdzie moje miejsce, wszystko znowu potoczyłoby się tak, jak powinno.

– Nie wiem, czy nie przypisujesz mu zbyt wysublimowanych motywacji – powiedział Leon. – Może po prostu lubił zastraszać i gnębić ludzi, a że lubił też zaliczać dziewczyny, zobaczył w tobie świetną okazję do jednego i drugiego.

– Nie wiem – odparła Susanna. – Myślę, że wtedy już mu poważnie odwalilo. Nie wiem, czy to była choroba psychiczna, przypadek kliniczny, ale zaczął się zachowywać jak kompletny świr. Miał sukcesy, powodzenie, autorytet, reputację ogiera... i wszystko stracił. To go załamało. Zresztą musiał być dość delikatny, jeżeli to wystarczyło.

– Och, na litość boską, wcale się nie załamał – sprzeciwił się Leon. – Zawsze był skończonym gnojem. Czy gdyby ktoś z nas poległ na egzaminach, zacząłby grozić gwałtem przypadkowym osobom? Nie sądzę.

Susanna zastanawiała się nad tym, strzepując popiół.

– Może – przyznała w końcu. – Może rzeczywiście się nie załamał, ale raczej pękł i wtedy było widać, co ma w środku. Tylko że to w zasadzie niczego nie zmienia.

Zacząłem się zastanawiać – trochę za późno – jaką rolę odgrywał w tym wszystkim Leon. *Su, wydaje mi się jednak, że to nie jest dobry pomysł.* Najwyraźniej znał całą historię i to od dłuższego czasu. Co to mogło, do cholery, oznaczać? Wszyscy byliśmy w to zamieszani? Nie zdziwiłbym się, gdyby Susanna

wymyśliła jakąś bizantyjską intrygę w stylu morderstwa w Orient Expressie. Wziąłem następny batonik.

– W każdym razie zachowywał się coraz gorzej – podjęła Susanna. – Któregoś dnia, kiedy pojawił się u mnie w pracy i znowu odprowadził mnie na przystanek, tym razem nikogo tam nie było, więc zorientowałam się, że nie jest dobrze. Przyparł mnie do wiaty i zaczął obmacywać. Trzasnęłam go w twarz, a on mi oddał, bardzo mocno, nie przerywając tego, co robił. Uderzyłam głową o wiatę... miałam guza przez dobre parę dni. Kiedy przestałam widzieć gwiazdy, próbowałam go odepchnąć, ale był silny. Złapał mnie jedną ręką za obydwa nadgarstki i przytrzymał je nad moją głową, a drugą wsadził mi pod spódnicę. Próbowałam go kopnąć, ale zaśmiał się tylko i przygniótł mnie całym ciężarem ciała, tak że nie mogłam się ruszyć. Nie byłam w stanie nawet zaczerpnąć powietrza i wrzasnąć. Nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby akurat nie przechodziła grupka starszych kobiet.

– Przecież to napaść – powiedziałem. Niepokoił mnie ton jej głosu: spokojny i obojętny, jak gdyby opowiadała o wyjściu na zakupy. Na litość boską, przecież to była Susanna, która potrafiła wpaść w złość z powodu krzywdy, jaka działa się komuś na innej półkuli! – Dlaczego nie poszłaś na policję?

– Wyobraź sobie, że na to wpadłam, łaskawco. – Uniosła brew. – Poszłam. Po tym, co się stało, opowiedziałam o wszystkim Leonowi. Nie spodziewałam się wprawdzie, że wkroczy do akcji i załatwi sprawę, ale chciałam, żeby ktoś rano odprowadzał mnie do pracy, a potem czekał, gdy będę wychodziła. To było dość upokarzające... jakbym była małym dzieckiem, które nie umie

sobie poradzić ze złym światem. Wiedziałam też, że Leon nie uzna mnie za mięczaka, bo dobrze znał Dominica.

– Oczywiście, że go znałem – potwierdził Leon. – Nawiasem mówiąc, ciągle poniewierał mną po staremu... widocznie umiał obsłużyć dwie ofiary naraz. Wielozadaniowość! Świetnie poradziłby sobie z zarządzaniem. Ale zdarzało się to już rzadziej. Właściwie znęcał się nade mną tylko przy swoich kumplach. To było coś w rodzaju rytuału, jak u szympanków. Chciał pokazać innym samcom swoją dominację, a kiedy nikt już nie chciał się z nim kumpłować, nie bardzo mu się chciało mnie dręczyć. Czasem tylko tak przy okazji. Na przykład wytrącał mi kubek i wylewał mi kawę na brzuch.

– Leon był przerażony, kiedy mu powiedziałam. – Susanna zerknęła na niego z prawdziwą czułością. – I oburzony. „Co za gnój, nie pozwolimy, żeby mu to uszło na sucho...” Gdybym mu pozwoliła, pewnie od razu popędziłby do niego, żeby dać mu nauczkę, a to nie skończyłoby się dobrze... Nie obraź się, Leon, ale...

– Nie obrażam się – odparł pogodnie. – Zjadłby mnie na śniadanie.

– W każdym razie Leon przekonał mnie, żebym poszła z tym na policję. Długo mnie musiał przekonywać, ale kiedy zobaczyłam, jaki jest wściekły, dotarło do mnie, że niczego nie wyolbrzymiam, że to naprawdę poważna sprawa i najwyższy czas, żeby ktoś wszedł skurwielowi w paradę. Leon przekonywał mnie także, że nie chodzimy już do szkoły i nie muszę się martwić, że wszyscy się dowiedzą i stanę się trędowatą. –

Uśmiechała się do Leona. – Poszedł ze mną i w poczekalni cały czas trzymał mnie za rękę.

– Strasznie mi wstyd z tego powodu. – Leon zasłonił twarz dłońmi. – Boże. Za każdym razem, jak o tym pomyślę, mam ochotę dzwonić do ciebie z przeprosinami. Nie wiem nawet, czego się po nich spodziewałem. Żeby poszli i palnęli mu surowe kazanie. Zastraszili go tak, żeby dał ci spokój.

– Nie masz za co przepraszać – powiedziała Susanna. – Serio. Ja też liczyłam na to, że coś zrobią. Para rozpieszczonych gówniarzy z klasy średniej...

– I co, nic nie zrobili? – spytałem. – Zupełnie nic? – Wydało mi się to przedziwne. Martin i Oldschoolowy byli beznadziejni, ale przynajmniej trochę się starali.

– Zaśmiali mi się w twarz. Nie chcieli nawet odebrać zeznania, napisać raportu czy jak to się u nich nazywa.

– Dlaczego? O co im chodziło?

Wzruszyła ramionami.

– Nie miałam żadnych dowodów. Guz zdążył zniknąć. Nie miałam esemesów, maili, liścików, świadków. Tylko moje słowa i jego słowa, a widocznie moje miały znacznie mniejszą wagę. Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby chodziło tylko o to, że jestem dziewczyną. Dominic był bogatym dzieciakiem z dobrej szkoły, jego rodzice wpadliby w szal, wzięli najlepszych adwokatów, złożyli tysiące skarg... Gliniarze nie mieli ochoty się w to pakować, zwłaszcza że nie było dowodów. Pogłaskali mnie po główce, powiedzieli, że pewnie robi to tylko dla kawału, więc powinnam iść do domu i zająć się miłym spędzaniem wakacji, zamiast denerwować się z powodu chłopaków.

– Co wtedy świadczyło o ich lekkim braku wrażliwości – dodał Leon, wyciągając z paczki następnego papierosa. – Ale lepiej nie mogło się zdarzyć. Gdyby w aktach znalazł się raport...

– No więc na tym się skończyło. – Susanna zgasiła papierosa i popchnęła popielniczkę w stronę Leona. – Skoro policja nie chciała się tym zająć, nie było większego sensu iść z tym do rodziców, nawet gdybym chciała. Co by zrobili? Złapali jakiegoś gliniarza i zaprowadzili go siłą do Dominica, żeby go aresztował? Poszliby do jego rodziców, żeby mamusia i tatuś oburzyli się na myśl, że ich najdroższe książątko zrobiło coś złego? Szkoła już nawet nie wchodziła w grę. Zostałam praktycznie bez wyjścia.

– Przecież szłaś do college’u – przypomniałem jej. Wiedziałem, że to może źle zabrzmieć i ją wkurzyć, musiałem jednak usłyszeć, że miała jakieś wyjście, z którego sama zrezygnowała. – Mogłaś się dostać wszędzie. Nie starałaś się o przyjęcie do Edynburga?

– Staralam się – odparła z niezmaconym spokojem. – I byłam prawie pewna, że się dostanę. Myślałam o wyjeździe. Oczywiście wolałam zostać tutaj, ale bezpieczeństwo było najważniejsze. Tylko że któregoś dnia Dominic podszedł do mnie w kuchni i powiedział: „Podobno myślisz o Edynburgu”. Nie wiadomo, skąd się dowiedział. – Posłała mi krzywe spojrzenie. – Coś tam bąknęłam, a on na to: „Super. Zawsze szukałem pretekstu, żeby posiedzieć trochę w Edynburgu”. Strzelił do mnie z palców ułożonych w pistolet i zniknął.

Wzruszyła ramionami.

– Może wcale by za mną nie pojechał, może zapomniałby, że w ogóle istnieję. Ale na tym etapie do tego stopnia świrował, że mu uwierzyłam. Wiadomo, że z pieniędzmi nie miałby

problemu, nie miał też po co zostawać tutaj. Nawet wy, jego kumple, odsuwaliście się od niego, i naprawdę wcale się nie dziwię. Nie miał chyba żadnych przyjaciół, prawda? Mnóstwo koleśków gotowych gwizdać i krzyczeć, kiedy robił coś kretyńskiego, ale nie miał przyjaciół z prawdziwego zdarzenia. Tak jak ty miałeś Seana i Deca.

– Chyba nie miał – potwierdziłem. Nigdy specjalnie się nad tym nie zastanawiałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć, żeby Dominic trzymał się bliżej z jedną czy dwiema osobami. Albo był w środku rozwrzeszczanego tłumu, albo, zwłaszcza pod koniec, snuł się samotnie z błyskiem szaleństwa w oczach, na którego widok człowiek wolał trzymać się od niego z daleka.

– Czyli pewnie nie zamierzał zostawać w Dublinie tylko po to, żeby spotykać się z chłopakami. A ja cały czas byłem tak cholernie przerażona i tak zmęczona tym przerażeniem, że nie umiałam logicznie myśleć. Byłam pewna, że mnie wytropi, a wtedy będzie jeszcze gorzej, bo będę daleko od domu i rodziny. I w tym momencie przestałam go traktować jak zwykłego bydlaka. Wydał mi się ogromny, jak demon, który może mnie znaleźć wszędzie. – Zerknęła w moją stronę. – Myślisz, że powinnam wyjechać i trzymać kciuki, żeby mnie nie namierzył. Nie zrobiłam nic złego, ale powinnam schronić się w Mongolii Zewnętrznej, bo jakiś gnojek nie umiał sobie poradzić z tym, że coś nie układa się po jego myśli. Ty byś wyjechał?

– Nie wiem. – Jej spokój, a właściwie spokój jej i Leona, który wylegiwał się przed kominkiem, sprawdzając, czy wyschły mu już buty, coraz bardziej mnie niepokoił. Nie chciałem, żeby zanosili się szlochom, ale zważywszy na fakt, do czego to

wszystko doprowadziło, powinni przynajmniej być spięci, roztrzęsieni, cokolwiek. – Nie mam pojęcia, co bym zrobił.

– Wtedy sama zaczęłam już nieźle świrować – ciągnęła Susanna. – Czułam się jak w koszmarze, w którym musisz się skądś wydostać, ale za wolno się poruszasz i nie możesz krzyknąć. Często się cięłam. Jediną rzeczą, która odrobinę poprawiała mi samopoczucie, były marzenia o zamordowaniu Dominica. Nadal nie brałam pod uwagę, że naprawdę mogę to zrobić, ale zaczęłam podchodzić do tego bardziej realistycznie. Pomysł nafaszerowania go kulami z broni maszynowej wydawał się głupi, trochę jak upuszczenie mu na głowę rysunkowego kowadła. Potrzebowałam jakiegoś realnego sposobu.

– Nie wiedziałem – powiedział Leon, nie wiadomo, czy do niej, czy do mnie. – To znaczy wiedziałem, ale nie miałem pojęcia, że zaszło to tak daleko.

– Dopiero po dłuższym czasie znalazłam metodę, która mogła się okazać skuteczna. Dominic był dwa razy wyższy ode mnie, a nie chciałam, żeby krwawił, bo sprzątanie byłoby zbyt kłopotliwe, więc większość sposobów odpadała. Myślałam o truciznie, ale to ruletka. Gdybym nawet zdołała coś mu podać, większość trucizn działa z dużym opóźnieniem. Zdążyłby trafić do szpitala, dostać antidotum, może powiedzieć o mnie komuś... Nie mam pojęcia, ile czasu poświęciłam na czytanie stron o przestępstwach i studiowaniu metod. Wiem, jak otruć kogoś tak, żeby badania toksykologiczne niczego nie wykazały, tylko musiałabym zdobyć suksametonium. Znam najlepszy sposób utopienia człowieka i to byłoby świetne rozwiązanie, gdybyśmy mieli w ogrodzie jezioro... W końcu dowiedziałam się o garotach.

Z początku nie wierzyłam, że to takie proste, ale czytałam coraz więcej i oświeciło mnie: jasna cholera, to naprawdę może się udać!

Znowu to samo: powinienem wiedzieć. I wiedziałem. Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby studiować sposoby zabijania garotą. Ale to było dokładnie w stylu Susanny. Wydawało mi się, jakby mój umysł wywracał się na lewą stronę. Od początku mogłem wierzyć, że to nie ja jestem winny.

– To było miłe uczucie – kontynuowała Susanna. – Wprawdzie niewiele zmieniało, ale po tym, jak byłam tak cholernie bezbronna... Wiedziałam już, że kiedy następnym razem złapie mnie za cycek albo zrobi coś podobnego i wyszczerzy się do mnie w tym uśmiechu palanta w stylu „No i co mi zrobisz?”, będę mogła pomyśleć: „Skurwysynu, mogę cię udusić garotą, kiedy zechcę”.

– Boże, ale masz minę – zwrócił się do mnie Leon. – Nie bądź taki zszokowany. Ja długie lata marzyłem o tym, żeby wsadzić go do rębaka. Na moim miejscu też byś marzył.

Kiedy krążyłem po swoim mieszkaniu, kuśtyk, kuśtyk, w kółko snułem fantazje, w których odnajdowałem obu włamywaczy i tysiąc razy ciosem karate strącałem ich z wysokich budynków.

– Wcale nie mam zszokowanej miny – zaprotestowałem.

– Nie masz powodu zgrywać świętoszka.

– Wiem. Przecież wiem.

– A potem – ciągnęła Susanna, nie zwracając na nas uwagi – przyszedł sierpień i ogłoszono wyniki egzaminów. Na swoje ledwie rzuciłam okiem, wiesz? Powinnam szaleć ze szczęścia, ale

interesowały mnie tylko wyniki tego sukinsyna Dominica Ganly'ego, bo jeśliby mu się udało, byłaby szansa, że się pozbiera, ale jeżeli nie, to miałam przesrane. I oczywiście zawalił.

– Ja jej powiedziałem. – Leon wydmuchał obłok dymu. – Kiedy poszliśmy do szkoły po wyniki, zaraz wyszedłem, pamiętasz...? – Spojrzał na mnie. – Co ja mówię! Oczywiście, że nie pamiętasz, na nic nie zwracałeś uwagi, bo skakałeś z Seanem i Dekiem i wydawałeś dźwięki jak orangutan. Ale Dominic stał w kącie i patrzył. Miał taką minę, jakby za moment miał wyjąć kałasznikowa. Ledwie zerknąłem na swoje wyniki. Myślałem tylko o tym, żeby od razu powiedzieć Susannie.

– Doszłam do wniosku, że moje jedyne wyjście to zamknąć się na klucz w pokoju i nie wychodzić do końca życia. Tyle że nawet to nie mogło mi się udać, bo tydzień później wypadały urodziny Leona i oczywiście Dominic miał na nich być. Dosłownie mnie sparaliżowało. Zastanawiałam się, czy nie wykręcić się chorobą, ale co miałabym wtedy robić? Siedzieć w pokoju, w którym w każdej chwili mógł mnie przydybać samą? W czasie imprez Hugo zawsze wkładał sobie zatyczki do uszu, niczego by nie usłyszał, a nie mogłam zostać na całą noc w jego pokoju... to znaczy, chyba mogła, gdybym mu wszystko opowiedziała, ale uważałam, że sprawy zaszły już za daleko. Mogłam wrócić do swojego domu, ale na myśl, że miałabym tam być całkiem sama, umierałam ze strachu.

Poprawiła się na kanapie, żeby było jej wygodniej, i zwinęła się na boku z łokciem opartym o poręcz.

– Ostatecznie jednak wszystko poszło w sumie nieźle – powiedziała, w zamyśleniu podpierając dłonią policzek. – Przez

całą imprezę udało mi się unikać Dominica, a on nawet mnie nie szukał. Bardzo się cieszyłam. Dwa dni wcześniej przysły oferty z college'ów, więc pomyślałam, że może zdarzył się cud, że dostał się do jakiejś porządnej szkoły i trochę się opamiętał... Dopiero kiedy kogoś zapytałam, dowiedziałam się, że nie, nie dostał żadnej oferty. Złożył papiery tylko na najlepsze kierunki i nie miał niczego w rezerwie. To nie była uspokajająca wiadomość.

Przypomniałem to sobie: przyciszone, pełne zdumienia głosy – „Cholera, nie dostał zupełnie nic?” – i stary uszczypliwy żart o McDonalddie. Tyle że na imprezie Dominic zachowywał się zupełnie normalnie, był głośniejszy niż zwykle, ryczał ze śmiechu, zeskakiwał ze stołu w kuchni. Zamierzałem trzymać głowę na kłódkę, żeby nie dostać w zęby, ale w głębi ogrodu koka rozwiązała mi język – „Stary, do dupy wyszło z tym college'em, poważnie, co teraz zrobisz?”. I skierowane na mnie oczy Dominica w białych od księżyca obwódkach – „Gównno cię to obchodzi. Wszystkich to gównno obchodzi. Wiem, że lejecie ze śmiechu. Banda skurwieli”. A potem, na widok mojej przestraszonej miny, wybuchnął śmiechem i trzepnął mnie w ramię, aż się zatoczyłem. „Spoko, stary, nic mi nie będzie, wciągnij jeszcze trochę!”

– A potem dowiedziałam się, że w czasie imprezy zwinął klucz do ogrodu – dodała Susanna.

Westchnęła.

– To ostatecznie przesądziło sprawę. Bo oznaczało, że może się do mnie dostać, kiedy tylko zechce. I to tutaj.

W jej głosie zabrzmiała twarda nuta wzburzenia; ruchem głowy wskazała na pokój i przez chwilę zobaczyłem w Ivy House

taki dom, jakim był dawniej – ciepły, trochę zaniedbany, szczęśliwy – nas w nim hałaśliwych, zaszytych w naszym forcie i konstrukcjach, które zbudowaliśmy, Hugo stojącego u stóp schodów i wołającego przez mgłę smakowitych zapachów: „Kolacja!”.

– I rzeczywiście korzystał z niego – mówiła dalej Susanna. – Parę dni później Hugo wysłał mnie do ogrodu po rozmaryn do jakiegoś dania, które gotował. Pamiętasz, gdzie rosły krzewy rozmarynu? Tam zupełnie z tyłu. Kiedy się pochyliłam, żeby zerwać parę gałązek, coś nagle wypadło zza dębu i runęło na mnie, zwalając mnie z nóg jak w szarży w meczu rugby. Upadłam jak długa na brzuch w truskawkach. Powietrze uszło mi z płuc; przyciskał mnie do ziemi ogromny ciężar, nie mogłam odwrócić głowy, ale oczywiście wiedziałam, kto to jest. Znałam już jego zapach: tandetny dezodorant, *eau de Szorty Rugby*sty. Wsunął przede mnie rękę i próbował mi rozpiąć dżinsy, podczas gdy ja starałam się wbić w niego paznokcie, a drugą ręką złapał mnie za szyję i zaczął zaciskać. Wszystko w oczach mi poszarzało, zamgliło się i oddaliło.

Obejrzała kieliszek, zdjęła z brzegu jakąś prawdziwą albo wyimaginowaną drobinę. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale odezwała się dopiero po chwili.

– Na szczęście w tym momencie z drzwi do kuchni wyrzął Hugo i zawołał mnie – powiedziała spokojnie. – Dominic stoczył się ze mnie, wyszczerzył zęby i szepnął: „Mecz przełożony”. Pociągnął mnie za włosy i zniknął za dębem.

– Wiesz – odezwał się ściśniętym głosem Leon – czasem żałuję, że nie wybrałaś innej metody. Wolniejszej i bardziej bolesnej.

– Hugo zauważył, że jestem cała w ziemi i trawie – kontynuowała Susanna – ale powiedziałam mu, że się potknęłam, i niczego się nie domyślił, bo któż mógłby się domyślić? Zastanawiałam się, czy mu powiedzieć. Byłam mocno roztrzęsiona... oględnie mówiąc. Ale... – Lekko wzruszyła ramionami. – Co Hugo mógłby zrobić? Przecież nie wybiegłby i nie sprawił lania Dominicowi. Gdyby nawet chciał.

„Powinnaś powiedzieć mnie”, miałem na końcu języka.

– Jezu – rzuciłem tylko.

– Mnie też o tym nic nie mówiła – wtrącił Leon. – W każdym razie nie wtedy.

– Rzuciłbyś się na niego – zauważyła Susanna – i dostałbyś lanie, a to nikomu nie wyszłoby na dobre. Musiałam to skończyć. Następnym razem Dominic równie dobrze mógł mnie zabić, a cały czas na mnie czatował. Nie mogłam się uspokajać, że po prostu korzysta z nadarzających się okazji i nic mi się nie stanie, jeżeli uda mi się schodzić mu z drogi. Szukał mnie. Nawet gdybym namówiła Hugo na wymianę zamka, niewiele by to zmieniło. Dominic miał swoje konkretne plany, więc ja też potrzebowałam czegoś konkretnego.

Powiedziała to tak naturalnym tonem, jak gdyby to była najoczywistsza rzecz na świecie.

– Poświęciłam wiele czasu, żeby to przemyśleć. Tak naprawdę wiedziałam, że zabić go będzie łatwo, a trudniej postarać się, żeby mnie nie złapali. Wydaje mi się, że jak na dzieciaka poradziłam sobie całkiem nieźle. – Zerknęła na nas. – Zdziwiło mnie, jak dobrze to zrobiłam, wiesz? Zawsze uważałam się za kogoś trochę oderwanego od rzeczywistości, osobę, która czerpie

wiadomości z książek, ale nie ma żadnej wiedzy życiowej, kiedy jednak zostałam przyparta do muru...

– Poradziłaś sobie świetnie – stwierdził z pewnym smutkiem Leon. – Byłaś niesamowita.

Susanna wypila łyk wina.

– Na początku, oprócz tego oczywiście, że trzymałam się z daleka od ogrodu, a wieczorem dwa razy sprawdzałam, czy dom jest zamknięty, zaczęłam przed koleżankami bagatelizować aferę z Dominikiem. I tak nie znały całej historii. Jak mówiłam, wstydziałam się, krępowałam i tak dalej... Trochę jednak wiedziały, a nie chciałam, żeby ktokolwiek mówił potem glinom, że miałam z Dominikiem jakieś kłopoty. Żartowałam sobie z tego, przewracałam oczami, „Boże, co za idiota, jakby skakał na ciebie czyjś głupi szczeniak, naprawdę nie można się na niego o to wściekać, ale ma się wielką ochotę trzepnąć go w nos gazetą...”. Zaczęłam też rzucać pełnymi współczucia uwagami, że biedak gryzie się wynikami egzaminów, że chyba przeżywa prawdziwe załamanie, mam nadzieję, że rodzice zaprowadzą go do terapeuty, tyle się dzisiaj słyszy o tym, że ludzie odbierają sobie życie, kiedy nie dostaną się na wybrany kierunek... Oczywiście każdy w tym wieku uwielbia dramaty, więc w ciągu kilku dni wszędzie już krążyły plotki, że Dominic chodzi na terapię, bo próbował się powiesić.

– Byłem rozczarowany, kiedy się okazało, że to nieprawda – wyznał Leon. – Czy to by wszystkiego nie uprościło? Gdyby sam to sobie zrobił?

– Drugą rzeczą, którą musiałam uporządkować – ciągnęła – była historia w komputerze. Kiedy zaczęłam myśleć o metodzie

uśmiercenia go, korzystałam z komputera Hugo. W historii przeglądarki były więc strony w rodzaju „Jak zrobić garotę”. Gdyby gliny zaczęły węszyć, na pewno nie chciałam, żeby to znalazły.

– Myślę, że wszyscy mamy w historii przeglądarki rzeczy, które najchętniej ukrylibyśmy przed innymi. – Leon uniósł brew.

– Miałam jednak ogromne szczęście. Nie chciałam, żeby nawet Hugo znalazł takie dziwne hasła w historii wyszukiwania. Używał Explorera, prawda? Jak większość w tych czasach. Kiedy więc zaczęłam szukać, ściągnęłam Firefoxa i korzystałam z niego. A kiedy skończyłam, odinstalowałam tę przeglądarkę, uruchomiłam program do czyszczenia i proszę: komputer czyściutki jak łąza. Miło.

Dokończyła wino.

– Mimo to wiedziałam, że jeżeli ruszy śledztwo w sprawie zabójstwa, będę załatwiona. Gliniarze nie są głupi; gdyby na serio zabrali się do szukania, nie mogłabym wszystkiego ukryć na tyle dobrze, żebym była bezpieczna. Musiałam od początku upozorować samobójstwo. To było możliwe, bo Dominic był w takim stanie, że nikt specjalnie by się nie zdziwił. Ale żeby się udało, nikt nie mógł znaleźć ciała, przynajmniej do czasu, aż się na tyle rozłoży, żeby zniknęły ślady po garocie.

Ze spokojem tłumaczyła punkt po punkcie, jakby omawiała problem w naszym zadaniu z geometrii. Cała scena wyglądała nierealnie, migotała i drżała w powietrzu, gotowa się rozwiać i ukazać nas w wieku czternastu lat leżących przed telewizorem i Hugo w fotelu obok, który nuci nad książką.

– Zastanawiałam się, czy zrobić to w górach, w jakimś odległym miejscu, i po prostu go tam zostawić. Albo na Howth Head czy Bray Head, a potem zepchnąć ciało do wody. Kłopot w tym, że w takich przypadkach bardzo dużo zależy od szczęścia. W górach można spotkać ludzi z psami, turystów i kłusowników. Ktoś mógłby się pojawić w najmniej odpowiednim momencie albo następnego dnia natknąć się na zwłoki. W wodzie, nawet gdybym dobrze obliczyła czas przyływu i morze nie wyrzuciłoby go na brzeg, mógłby go zauważyć ktoś z łodzi. Nie lubię polegać na szczęściu.

Przechyliła w moją stronę butelkę wina; gdy pokręciłem głową, wzruszyła ramionami i napełniła swój kieliszek.

– Kiedy się już dobrze zastanowiłam, zdałam sobie sprawę, że najbezpieczniej będzie mieć wszystko pod kontrolą – powiedziała. – Co oznaczało, że należy to zrobić, a potem ukryć ciało w miejscu, nad którym będę miała co najmniej częściową kontrolę. Czyli... – uniosła brodę, wskazując dom, ogród – ...tutaj.

– Tutaj – powtórzyłem. – Wybrałaś Ivy House. – Wiedziałem, że nie świadczy to o mnie dobrze, ale ten fakt naprawdę mnie zszokował.

– Dom oczywiście nie wchodził w grę z powodu zapachu. To musiał być ogród, i to jak najdalej od wejścia. Zastanawiałam się, czy nie pogrzebać zwłok, ale wykopanie odpowiednio głębokiej dziury trwałoby wieki, a nie byłam pewna, czy to w ogóle da się zrobić... Pamiętasz, jak Hugo bez przerwy trafiał na twarde grunty i skałę, kiedy urządzał skalniak? Poza tym, gdyby ktokolwiek znalazł zakopane zwłoki, to by skreślało wersję samobójstwa, Dominic nie mógłby przecież sam się pogrzebać. A potem – lekko

się uśmiechnęła – przypomniałam sobie o wiązce. I dziurze. Wspięłam się tam, kiedy was nie było w domu, i weszłam do środka. I przekonałam się, że zmieściłaby się tam osoba dwa razy większa ode mnie. Nie mogłam wyeliminować czynnika szczęścia... na przykład dwa tygodnie później wiązka mógł się złamać podczas burzy. Ale ryzyko było minimalne. – Nachyliła się, by dolać wina Leonowi. – Teraz chodziło tylko o to, jak tam zwabić Dominica. Do tego potrzebowałam pomocy. Chętniej zrobiłabym to wszystko sama, ale...

W końcu... W końcu nadszedł ten moment. Trudno mi było oddychać.

– Wtedy przyszedł do nas – powiedziałem.

Oboje zmierz yli mnie kompletnie skonsternowanym wzrokiem.

– Do mnie i Leona.

W ciszy, która zapadła, coś było nie tak. Papierosy i ogień na kominku wypełniały salon gęstą chmurą dymu.

– Co? – spytałem.

– Poszłam do Leona – wyjaśniła.

– No to kiedy... – Nie wiedziałem, jak zadać to pytanie: kiedy zostałem wmieszany, jak? – Jak...

– Tobie – odezwała się łagodnie Susanna. – Niczego nie zrobiłeś. W ogóle o tym nie wiedziałeś.

– Ale... – bąknąłem po bardzo długiej chwili. W głowie miałem absolutną pustkę. To, co usłyszałem, do mnie nie docierało. Czyżby Susanna kłamała? Jaką część tej historii zmyśliła i dlaczego...? – Kiedy byliśmy upaleni haszem, powiedziałaś, że poszłaś do mojego pokoju, twierdziłaś, że mnie...

– To chyba było wredne z mojej strony. Ale tak atakowałeś Leona... Dotąd nie traciliśmy głowy. Gdybyś dalej tak go męczył, a Leon nie wytrzymałby i wszystko wygadał, zwłaszcza przy Melissie... Musiałam ci zamknąć usta. Tylko taki sposób przyszedł mi na myśl.

– A potem, kiedy mówiłaś, że Leon podejrzewa mnie? To... Co to, do cholery, miało być?

– Tak mu powiedziałaś? – spytał ostrym tonem Leon. – Dlaczego? Mówiłaś, że to on mnie podejrzewa.

– Słuchajcie – odparła zirytowana. – Improvizowałam, starając się utrzymać kontrolę nad, co sami musicie przyznać, totalnym burdelem, w jaki zmieniała się sytuacja. Wy dwaj nakręcaliście się nawzajem; musiałam was rozdzielić, dopóki wszystko się nie uspokoi. I nie chciałam, żebyście stracili czujność. Tylko tego mi brakowało, żebyś ty – spojrzała na mnie – zaczął się zaprzyjaźniać z glinami, a ty – teraz na Leona – zaczął się z nimi kłócić i przy okazji coś chlapanął. Mówię ci teraz – zwróciła się do mnie.

– Aha – bąknąłem. Oboje patrzyli na mnie z mieszaniną zaciekawienia i litości. – W porządku.

– Nic nie zrobiłeś. Przysięgam.

Wiedziałem, że powinienem zemdleć z ulgi. Nie wisiała nade mną groźba dożywocia, nie miałem krwawej plamy na duszy, mogłem wrócić do Melissy i pokazać jej czyste ręce... To absurd, ale czułem się zdruzgotany. Bardziej, niż sądziłem, przywiązałem się do wizerunku samego siebie jako pogromcy smoków. Kiedy się rozpadł, znowu stałem się beznadziejną ofiarą.

Ale chodziło o coś więcej. Susanna i Leon znali mnie od urodzenia. Znali mnie na długo wcześniej, zanim nauczyliśmy się nakładać maski i ukrywać prawdę; znali mnie, odkąd byliśmy sobą w swojej pierwotnej, niezmienionej postaci. Już wtedy zobaczyli we mnie coś, co świadczyło o tym, że nie nadaję się na pogromcę smoków, nie nadaję się nawet na giermka, który stoi z boku i trzyma zapasowe miecze; nadawałem się tylko do tego, by plątać się w tle, wysuwać mnie na plan pierwszy, kiedy trzeba było odwrócić od czegoś uwagę, a potem wyprowadzać mnie z powrotem za kulisy.

– Ale dlaczego nie? – zapytałem.

– Nie chciałbyś w tym uczestniczyć – wyjaśnił Leon. – Dominic nic złego ci nie zrobił.

– No ale... ale to by nie miało znaczenia. Krzywdził Su. Gdybyście mi powiedzieli...

– Już raz ci mówiła, pamiętasz? Nie znalazła u ciebie wielkiego wsparcia. Po co mielibyśmy próbować jeszcze raz?

– Nie powiedziała mi wszystkiego. Nie od początku do końca. Mówiła... mówiła, że tylko...

– Nie, to nie tak – wtrąciła Susanna. – Gdybym nawet nie próbowała powiedzieć ci wcześniej, nie mieszałabym cię w to w takim momencie. Chodziło przecież o zabicie człowieka, jednego z twoich kumpli. Dość ekstremalna sytuacja, a ekstremalne sytuacje nie są w twoim stylu, prawda? Powiedzmy sobie wprost, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent byłbyś przerażony. Uznałbyś, że wyolbrzymiam sprawę, że zwariowałam, że powinnam iść do rodziców albo zgłosić to na policję, albo wybrać college gdzieś daleko...

– Wszystko to zresztą właśnie powiedziałeś – zauważył ironicznie Leon.

– ...albo chciałbyś mu dołożyć, a to nie przyniosłoby nic dobrego. Dominica nie udałoby się już odstraszyć paroma ciosami. Oskarżyłby o to mnie, bo przecież to ja przynosiłam mu pecha, i jeszcze bardziej zależałoby mu na tym, żeby mnie zniszczyć. – Posłała mi chłodne spojrzenie. – Nie mogłam ryzykować, że postanowisz zepsuć nam cały plan. Ostrzec Dominica albo...

– Nie zrobiłbym tego. Nie zrobiłbym nic, co ściągnęłoby na was kłopoty. Nie... – Nie miałem pojęcia, co bym zrobił.

– Potraktuj to jako komplement – zaproponowała Susanna. – Wiedziałam, że z takim czystym serduszkiem nie możesz być dobrym zabójcą. Natomiast Leon...

– Nie musiałem się nawet zastanawiać – wszedł jej w słowo. – To znaczy zastanawiałem się, bo nie miałem ochoty iść do więzienia. Ale tylko kiedy się dowiedziałem, że Su ma dokładny plan, byłem zachwycony, że mogę brać w tym udział. Żałowałem tylko, że nie zdecydowała się na to parę lat wcześniej.

– Powinnam, wiedząc, co z tobą robił – przyznała Susanna. – Ale słowo daję, nigdy wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Nie wiem, czy byłam za młoda, czy musiałam zostać doprowadzona do ostateczności, żeby o tym pomyśleć. Chyba jednak dobrze się stało. Gdy byłam młodsza, spieszyłabym to. Nie umiałabym się dobrze przygotować i złapałoby nas.

– Byliśmy przygotowani jak trzeba – pochwalił się Leon. – Ćwiczyliśmy. Pamiętasz te kamienie, które Hugo sprowadził na skalniak? Któregoś razu wieczorem wyszedłeś z chłopakami,

Hugo był zaproszony do kogoś na kolację, a my załadowaliśmy kupę tych kamieni do worka, żeby ważyły ile trzeba. Wzięliśmy z szopy sznur, przywiązaliśmy do worka i przerzuciliśmy przez gałąź wiązu. Potem ja pociągnąłem za sznur, a Susanna stała na drabinie obok drzewa i dźwignęła worek na górę. Razem udało nam się wciągnąć go na wysokość dziury w pniu.

– Nie było łatwo, ale w końcu daliśmy radę – wtrąciła Susanna. – Codziennie podnosiliśmy ciężary, czyli kamienie Hugo, żeby wzmocnić mięśnie. Trenowaliśmy też z garotą. We wszystkich informacjach, które czytałam, ostrzegano, że jest bardzo niebezpieczna, że zanim się spostrzeżesz, możesz komuś zmiażdżyć tchawicę, więc zrobiłam garoty treningowe z papieru toaletowego, żeby się zrywały, gdybyśmy za mocno je zaciągnęli.

– Robiliśmy to w naszych sypialniach przy zgaszonym świetle, żebyśmy umieli to zrobić w ciemnościach – dodał Leon. – I w ogrodzie, żeby się nauczyć robić to na trawie i kamieniach. Chyba potrafiłbym to zrobić przez sen.

– Oczywiście w ogrodzie ćwiczyliśmy nocą – powiedziała Susanna. – Nie tylko z powodu ciebie, Hugo i sąsiadów, ale także z powodu Dominica. Wcześniej robił już użytek z klucza, więc można było przypuszczać, że to powtórzy. Nie chcieliśmy, żeby wpadł któregoś popołudnia i przyłapał nas na ćwiczeniach z garotą. – Leon prychnął. – Byłoby to dość niezręczne. A w nocy, nawet gdyby przyszedł, nie mógłby nas zobaczyć.

– Wydaje mi się, że naprawdę kiedyś się kręcił. – Leon zerknął na nią kątem oka. – Parę razy w nocy, gdy byliśmy w ogrodzie, słyszałem jakieś hałasy. Coś się poruszało na uliczce z tyłu.

Szurało o mur, raz stuknęło. Nic nie mówiłem, bo nie chciałem cię przestraszyć. Uznałem, że może to tylko lisy...

– Ja też słyszałam. Kilka razy rano były poprzestawiane rzeczy. Krzesła w ogrodzie odwrócone do góry nogami. Na tarasie były dziwne kupki gałęzi. Nie wiem, o co chodziło.

– To też mogła być sprawka lisów. Albo wiatru.

– Nie. – Susanna wypła łyk wina. – Widziałam go parę razy z okna sypialni w środku nocy... nie spałam wtedy za dużo. Łaził po ogrodzie. Zrywał rośliny, kiedyś przeżuł parę gałązek rozmarynu i wypluł. Przyciskał twarz do okien jadalni, próbował otworzyć drzwi do kuchni.

– Jezu Chryste – powiedziałem. Kiedy kipiało całe to szaleństwo, ja błogo chrapałem parę metrów dalej, zadowolony, niegroźny, niezdatny do niczego. Półmrok salonu mąciły niepokojące cienie. Żałowałem, że nie zapaliłem lamp.

Susanna wzruszyła ramionami.

– Wtedy to nie miało już wielkiego znaczenia. Na noc przysuwałam komodę do drzwi sypialni i nie wychodziłam z pokoju, kiedy wszyscy spaliście.

– Powinnaś była mi powiedzieć – odezwał się z wyrzutem Leon.

– Ty mi nie powiedziałaś o hałasach w ogrodzie. Ja też nie chciałam cię przestraszyć. Kiedy mieliśmy już przećwiczony każdy krok – zwróciła się do mnie – zrobiłam prawdziwą garotę. Potrzebowałam czegoś, co nie będzie za cienkie, żeby nie rozcięło mu szyi, bo wszędzie byłoby pełno krwi...

– I uznałaś, że doskonale będzie się nadawał sznurek z mojej bluzy – dokończyłem za nią.

Uniosła brew. Miałem ochotę zetrzeć jej ten niezmacony spokój z twarzy, zobaczyć, jak pojawiają się pod nim szok i cierpienie.

– Sprawdził się, prawda? – rzuciła.

– Nie mieliście swoich bluz?

– Na litość boską – zirytowała się Susanna. – Nie próbowałam cię wrobić. Nie bardzo chciałam iść za to do więzienia, to prawda, ale pomyślałam, że na wypadek gdyby policja znalazła ciało i połapała się, że ktoś go zabił, jedynym sposobem, żeby ochronić nas przed podejrzeniem i nie pogrążyć nikogo innego, będzie zagmatwać wszystko tak, jak tylko się da. Namieszać i wciągnąć do tego jak najwięcej osób. Jeżeli nie będą mogli zawęzić kręgu podejrzanych, nie będą mogli przeciwko nikomu wysunąć oskarżeń. Moje DNA miało być na Dominicu, a Leon miał motyw. Gliniarzom wystarczyłoby dziesięć minut, żeby się dowiedzieć, co Dominic z nim robił. Miałam mieć na sobie kurtkę Hugo i postarać się, żeby znalazło się na niej DNA Dominica. Przygotowałam jeszcze trochę innych przypadkowych rzeczy, które zamierzałam wrzucić do drzewa: parę włosów Faye, jakieś niedopałki papierosów, listę zakupów, którą znalazłam na ulicy, chusteczkę, w którą wytarł nos twój kumpel Sean. Trzymałam to wszystko w woreczku na kanapki, w szufladzie z bielizną. Ciekawe, czy gliniarze znaleźli te rzeczy. – Skinęła mi głową. – Sznurek z twojej bluzy to nie było nic osobistego.

– Postarałaś się też zrobić mi zdjęcie w tej bluzie, zanim ukradłaś mi sznurek – przypomniałem jej. – Żebyś mogła je dać policji, gdyby było trzeba. Czym je zrobiłaś?

– Aparatem, który dostałeś na urodziny. Mój telefon robił za mało wyraźne zdjęcia.

– Jasne. Tak myślałem. – Złość była zbyt wielka i zimna, żebym krzyczał. – Więc kiedy się dowiedziałaś, że Hugo umiera i wszystko wyjdzie na jaw, był ci potrzebny mój aparat.

Susanna popatrzyła na mnie, marszcząc czoło.

– Co?

Zaskoczenie wyglądało na autentyczne, ale za dobrze ją znałem, by sądzić, że to cokolwiek oznacza. Kolejna rzecz, której powinienem się domyślić: Leon nigdy nie potrafiłby zaplanować czegoś takiego, ale Susanna...

– Włamanie. Chodziło o aparat, żebyś mogła dać zdjęcie glinom. Powinienem się już dawno połapać, prawda? Bardzo się śmiałaś z mojej tępoty?

– Włamanie?!

– Do mojego mieszkania. Kiedy... Chciałaś, żeby tak się to dla mnie skończyło? Bo nie stanąłem w twojej obronie i nie rozprawiłem się z Dominikiem? Chciałaś, żeby zrobili ze mnie takiego... takie coś...

– Toby... Przegrałam to zdjęcie z aparatu i wysłałam mailem do siebie tego samego dnia, kiedy je zrobiłam. Po co miałabym je zostawiać w cudzym aparacie?

Nie umiałem odpowiedzieć.

– Myślałeś, że to włamanie to moja sprawka? Myślałeś, że kazałam cię pobić?

Leon wydał teatralne prychnięcie.

– Nic więcej nie zabrali – powiedziałem. Serce biło mi mocnymi, nierównymi uderzeniami. – Oprócz... oprócz typowych

rzeczy... telewizora i samochodu. Tylko aparat. Po co? Na co komu potrzebny stary, tandetny...

– Jezu Chryste, Toby. Nie!

– No więc dlaczego mieliby... po co...

– Słuchaj. Włamanie było wiosną. Zgadza się? Hugo nie był jeszcze nawet chory. Nie miałam pojęcia, że to wszystko się wydarzy. Nawet gdybym zgubiła to zdjęcie, to co? Sądzisz, że zamieściłabym ogłoszenie w internecie, że poszukuję włamywaczy, którzy splądrują ci dom, bo miałam nadzieję, że gdzieś u siebie masz aparat i po dziesięciu latach ciągle jest tam to zdjęcie? Zamiast wpaść do ciebie i zapytać, czy masz jeszcze ten stary aparat, powiedzcie: „Popatrz, jakie świetne zdjęcia, mogę je pożyczyć i wrzucić je sobie do komputera?”.

Poczułem się za głupi, by istnieć. Jasne, że miała rację, najoczywistszą rację i każdy obdarzony odrobiną rozumu pomyślałby o tym wszystkim, ale na tym właśnie od pewnego czasu polegał mój problem.

– No tak – bąknąłem. – Oczywiście. Przepraszam.

– Jezu, Toby. Na litość boską.

Trochę zabawne, że poczuła się dotknięta oskarżeniem o kradzież, zważywszy na resztę naszej rozmowy, ale dałem temu spokój. Ogarnęły mnie mdłości; za dużo batoników, w ślinie czułem osad słodczy, jakbym miał zaraz zwymiotować.

– W porządku – rzuciłem. – Rozumiem. Skończmy z tym. Co potem zrobiliście?

Susanna patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, po czym zirytowana pokręciła głową i zostawiła ten temat.

– No więc wszystko zostało w zasadzie zaplanowane. – Znowu usadowiła się na kanapie, wracając do rytmu opowieści. – Musiałam tylko zwabić Dominica we właściwe miejsce o właściwej porze. Parę tygodni wcześniej bez trudu mogłabym zorganizować spotkanie, praktycznie tu koczował, ale od urodzin Leona przestał się tak często pokazywać, przynajmniej w ciągu dnia. Wiedziałam też, że mam niewiele czasu. Nie przypuszczałam, żeby miał się wiecznie zadowalać łażeniem po ogrodzie.

Ogarnęła mnie chęć, by wstać i wyjść, byle dalej od tych dwojga i tej chorej rozmowy. Nie pamiętałem już, dlaczego w ogóle uważałem, że to dobry pomysł.

– Musiałam się wykazać kreatywnością – kontynuowała Susanna. – Dotąd nie wychodziłam sama do ogrodu, ale zaczęłam to robić przy każdej okazji. Przycinałam róże i tak dalej... gównie wiem o różach... pewnie je zabiłam. Ale poskutkowało. Kilka dni później byłam któregoś popołudnia w ogrodzie, gdy nagle coś mocno szturchnęło mnie w tyłek i Dominic zapytał, czy tak lubię.

– Musiał się naoglądać za dużo kiepskich pornoli w internecie – wtrącił Leon, sięgając po następną kiełbaszkę w cieście.

– O mało nie wylądowałam twarzą w różach – powiedziała Susanna – co mogło się źle skończyć. Miałam szczęście: zdążyłam złapać się krzaka i nie straciłam równowagi. Rozciąłam sobie rękę o kolce, ale zauważyłam to dopiero później. Kiedy się odwróciłam, Dominic krzyknął: „Niespodzianka!”. – Jej usta drgnęły drwiąco. – Przysięgam, że się do mnie uśmiechał. Szeroko, z satysfakcją, jakby zrobił coś wyjątkowo oryginalnego i spodziewał się medalu. „Cieszysz się, że mnie widzisz?” „Nie

lubię niespodzianek”, odparłam. Pomyślał, że to bardzo zabawne, przyparł mnie do róz i wsadził mi rękę pod bluzkę. „Hugo jest w kuchni”, uprzedziłam go. To się Dominicowi nie spodobało. Zabrał rękę i powiedział: „Któregoś wieczoru cię zaskoczę. Już niedługo”.

– Pieprzony kompletny świr – odezwał się Leon z pełnymi ustami. – Dalej myślisz, że Su powinna wyjechać do Edynburga? Że gdyby przestała go wodzić na pokuszenie, abrakadabra, Dominic zmieniłby się w miłego, normalnego faceta?

– Dotąd nie byłam pewna, czy rzeczywiście sobie z tym poradzę – mówiła dalej Susanna. – Ale to mi ułatwiło sprawę. Powiedziałam mu: „Dobra, dłużej tego nie zniosę. Wygrałeś. Jeżeli zrobisz mi laskę, zostawisz mnie w spokoju?”. Szczeka mu opadła. Miał minę, jakby naprawdę nie rozumiał, o co chodzi, ale sekundę później spytał: „Mówisz serio?”. „Tak, jeżeli przysięgniesz na swoje życie, że potem już nigdy nie będziesz mi zawracać głowy”, odpowiedziałam. Szkoda, że nie widziałeś tego uśmiechu. „Jasne, na bank, przysięgam!” Oczywiście gównem prawda, zamierzał mnie dalej dręczyć. „Teraz?”, spytał. Powiedziałam, że nie, że ktoś nas może przyłapać, Hugo może się zjawić w ogrodzie w każdej chwili. Że będzie musiał przyjść w nocy, może w poniedziałek? Jasne, zapewnił mnie, nie ma sprawy, czyli do poniedziałku w nocy. Powiedziałam, żeby przyszedł o wpół do drugiej. Myślałam, że będzie marudzić, ale zgodziłby się na wszystko.

Sprawdziła pod światło poziom wina w kieliszku.

– No więc wycisnęłam z tej sytuacji, ile się dało. Kazałam mu obiecać, że przyjdzie pieszo, żeby nikt nie zauważył jego

samochodu. I że nikomu nie powie, bo jeśli usłyszę chociaż jedną plotkę, nici z naszej umowy. Tak samo, jeżeli do mnie napisze albo zadzwoni. On na to: „Jasne, mała, nie ma sprawy, przysięgam na własne życie”. Oczywiście zamierzał roztrąbić całemu światu już po wszystkim, ale nie miałam nic przeciwko temu. Dodał jeszcze: „Nie musisz sobie robić kłopotu i mnie wpuszczać, będę tu czekał. I nie muszę ci nic pisać, bo wiem, że nie zmienisz zdania”. Pomachał mi kluczem, puścił oko i wyszedł.

W oknie za Susanną niebo ciemniało, na kasztanowcach wisały ciężkie od deszczu rdzawe liście.

– Ani trochę niczego nie podejrzewał, wiesz? – powiedziała. – Postarałam się wyglądać na przerażoną i zniesmaczoną, co nie było takie trudne, a on tak się napalił, że nie zwracał uwagi na nic innego. Czasami się zastanawiam, co by się stało, gdyby jednak wrócił.

Ogień przygasł i w salonie robiło się chłodno; Leon sięgnął po drewno i wrzucił do kominka polano. Z cichym trzaskiem wzbił się snop pomarańczowych iskier.

– No więc trzeba było tylko zaczekać do poniedziałku – dodała Susanna.

– Byłeś dla nas sporym kłopotem – zwrócił się do mnie Leon. – Hugo zawsze kładł się i gasił światła o wpół do dwunastej, jak w zegarku. Fabrykę w tamtym czasie przebudowywano na apartamentowiec, nikt tam jeszcze nie mieszkał, a sąsiedzi mieli po mniej więcej sto dziesięć lat. Chodzili spać po wiadomościach o dziewiątej, a nawet gdyby wstali i spojrzeli przez okno, większość była ślepa jak krety. Ale gdybyś ty postanowił

posiedzieć dłużej, na przykład oglądać porno czy co tam robiłeś na komputerze Hugo, mielibyśmy poważny problem.

– Nie taki poważny – rzuciła Susanna z lekkim uśmiechem nad kieliszkiem.

– Co? – Siedziałem wyprostowany jak struna. – Co mi zrobiliście?

– Boże drogi, wyluzuj. – Leon uniósł brwi. – Nic ci nie zrobiliśmy.

– Na niedzielę wieczorem przynieśliśmy tylko butelkę wódki – wyjaśniła Susanna. – I trochę haszu. Żadne z nas prawie nie tknęło ani jednego, ani drugiego.

– Nawet się nie zorientowałeś – zapewnił mnie Leon. – Byłeś podcięty jak lilia. W pewnym momencie kołysałeś się na gałęzi, chichotałeś i mówiłeś nam, że jesteś człowiekiem-małą.

– Postaraliśmy się, żebyś zerwał się wcześniej w poniedziałek do pracy. Nie było łatwo, ale się udało.

– Byłeś w strzępach. Zielony. Chyba nawet rzygałeś. Chciałeś zadzwonić do pracy, że nie przyjdiesz, ale nie pozwoliliśmy.

– No więc w poniedziałek wieczorem koło jedenastej – podjęła Susanna – dosłownie leciałeś z nóg. Siedzieliśmy tutaj i oglądaliśmy telewizję, *Newsnight* czy coś podobnego, na co na pewno nie miałeś ochoty. Jęczałeś, żeby przełączyć, ale się nie zgodziliśmy, więc w końcu dałeś za wygraną i poszedłeś do łóżka. Byliśmy prawie pewni, że zostaniesz tam do rana.

– To dobrze – odparłem. Już nawet nie patałach przy linii bocznej, po prostu przedmiot, który należy usunąć z drogi, żeby się o niego nie potknęli podczas ważnych spraw, irytująca zabawka, której trzeba wyczerpać baterię, żeby się zatrzymała

i nie zakłócała toczącej się akcji. I tak poturlałem się drogą, którą mi pokazali, prawie bez zachęty z ich strony. Tak dobrze mnie znali. – Nie chciałbym... was ograniczać.

– Nie ograniczałeś – zapewniła mnie Susanna. – Sprawowałeś się jak należy. Właściwie wszystko było jak należy. Moim drugim zmartwieniem był deszcz: nie chciałam, żeby Dominic próbował się przenieść do środka...

– Nie zrobiłby tego. – Leon zlizął z palców płatki ciasta francuskiego z kiełbaski. – Myślisz, że zamierzał poprzestać na lasce? Na pewno nie chciał znaleźć się w miejscu, w którym mogłabyś wezwać pomoc.

– Rzeczywiście – zgodziła się Susanna. – Ale gdyby padało, mógł nie przyjść, może próbowałby zmienić termin. A to by mi się nie podobało.

– Znowu musielibyście mnie spławić – powiedziałem. – Co za pech.

– Poradzilibyśmy sobie – odparła Susanna. – Mieliśmy jednak szczęście. Była piękna noc. Chłodna, ale bez żadnej chmurki. Gdy tylko ty i Hugo przestaliście się kręcić po domu, przygotowaliśmy się...

– To chyba naprawdę było najgorsze – przyznał się Leon. – Su włożyła kurtkę Hugo i sprawdziła, czy ma przy sobie woreczek z rekwizytami, które miała wrzucić do drzewa... Ten woreczek był obrzydliwy, wiesz? Wyglądał jak zestaw majsterkowicza do laleczki voodoo. – Susanna prychnęła. – Ja znalazłem ciemne ubranie, żeby Dominic mnie nie zobaczył, i schowałem garotę w kieszeni, sprawdzając dziesięć razy, czy się nie zaplątała... To całe przedsięwzięcie wydawało się nieprawdopodobne. Byłem

pewien, że gdy zmrużę oczy, zaraz wszystko zniknie i obudzę się we własnym łóżku z myślą „Boże drogi, co to był za przedziwny sen!”. Ale to trwało i dalej było rzeczywistością.

– Dla mnie najgorsze było czekanie – stwierdziła Susanna, częstując się papierosem Leona. – Kiedy już znaleźliśmy się na miejscu, stałam w głębi ogrodu, bo nie chcieliśmy, żeby Dominic podchodził za blisko domu, na wypadek gdyby coś poszło nie tak albo gdyby któryś z was, ty albo Hugo, zerknął przez okno. Leon schował się za wiązem. Mogliśmy tylko czekać. To było okropne. – Spojrzała na mnie spokojnie znad zapalniczki. – Wiem, nie podoba ci się, że zrobiliśmy to tutaj. Ogród wybrałam między innymi dlatego, że na swoim terenie mogliśmy bardziej nad sobą panować. Opowiadamy ci o tym, jakby to była bułka z masłem, ale nie była.

– Nie sądzę, żeby któreś z nas przez kilka dni przed tym coś jadło – dodał Leon. – Albo spało. Ludzie musieli do mnie wszystko mówić po trzy razy, bo ich nie rozumiałem. Trudno mi było ich nawet usłyszeć. Jeżeli cokolwiek mogło choć odrobinę ułatwić nam zadanie...

– Tylko że kiedy przyszło co do czego – weszła mu w słowo Susanna – ogród nie wyglądał wcale tak sielankowo. Wszystkie te odgłosy, chroboty, szelesty... pewnie tylko liście spadały z drzew, ale...

– Ale zawsze tuż przy moim uchu. – Leon zadrżał. – No więc co chwila podskakiwałem jak na drążku pogo. Gałęzie układały się w różne wzory, jakby na drzewach coś się czaiło... ptaki, ludzie, węże. Dostrzegałem je kątem oka, ale kiedy patrzyłem na wprost, oczywiście nic tam nie było.

– Nasza krew w dziewięćdziesięciu procentach musiała się składać z adrenaliny – powiedziała Susanna. – Myśli kłębiły mi się w głowie... A jeżeli on podjedzie samochodem, a jeżeli garota się zerwie, a jeżeli komuś powiedział, a jeżeli to, jeżeli tamto... W pewnym momencie uświadomiłam sobie jasno: stracę głowę, zacznę się drzeć i nie będę mogła przestać.

Puściła równiutkie kółko dymu i patrzyła, jak delikatnie się unosi.

– Brzmi jak kwękanie mięczaka – zauważyła – jeśli nie weźmiesz poprawki na to wszystko, co się działo przez parę poprzedzających ten dzień miesięcy. W każdym razie nie straciłam głowy. Ugryzłam się mocno w rękę, zabolalo i szybko się pozbierałam... Jeszcze tydzień później miałam na skórze ślady zębów. Po paru minutach otworzyły się drzwi w murze i wszedł. Ruszył spacerkiem, z rękami w kieszeniach, rozglądając się, jakby zamierzał kupić dom.

– Zaraz – powstrzymałem ją. Nie nadążałem za tempem opowieści i zostałem kilka kroków z tyłu. – To Leon miał mój... sznurek z mojej bluzy? Leon to zrobił?

– Tego nie było w pierwotnej wersji planu – odparła Susanna tak ostrym tonem, że się wzdrygnąłem. – Ja miałam to zrobić. Czekać za drzewem, wybrać moment, gdy Dominic odwróci się do mnie plecami, i trach. Leon miał mi tylko pomóc w sprzątaniu.

– Ale kiedy omawialiśmy szczegóły – Leon podniósł się z dywanika do pozycji siedzącej – okazało się, że to nie jest dobry plan. Zbyt ryzykowny, za duże niebezpieczeństwo, że obejrzy się

w niewłaściwym momencie albo w ogóle nie stanie tam, gdzie powinien. To by była kłapa.

– Powinnam wiedzieć od początku – dodała Susanna. – Wyobrażałam sobie, że to sprawa, którą załatwia się czysto i z dystansu... dosłownie, bo sądziłam, że nawet nie będę musiała go dotykać, zanim umrze. Ale to nie tak. Zabieraliśmy się do czegoś naprawdę poważnego. Jeżeli chcesz coś takiego zrobić, musisz się ubabrać.

Nie byłem pewien, czy jest mocno wstawiona – wypięła tylko półtora kieliszka, ale na początku nalałem dość sporo, zależało mi na tym, żeby się rozluźnili. Jej oczy w blasku ognia były ciemne i matowe, pełne pełgających refleksów.

– Nie chciałam, żebyś się w tym babrał – zwróciła się do Leona. – Żebyś musiał odwalać brudną robotę. Ale nie przyszedł mi do głowy żaden pomysł, żeby mogło być inaczej.

– Ja też nie chciałem, żebyś to robiła – powiedział. Patrzyli na siebie w skupieniu, z czułością; przez chwilę miałem wrażenie, że zapomnieli, że też tu jestem. – Ale nie mieliśmy wielkiego wyboru.

„Ależ mieliście wybór”, chciałem powiedzieć. Gdybyśmy byli we trójkę, razem, moglibyśmy coś wymyślić... Widocznie nawet takie rozwiązanie uznali za lepsze niż wtajemniczenie mnie w swój plan.

– Co? – zapytałem głośno. – Co się stało?

Odwrócili się do mnie. Przyszło mi na myśl, że może powinienem się bać. Oto para morderców wyjawiała mi swoje sekrety. Gdyby to był serial, nie wyszedłbym żywy z tego pokoju. Nie znalazłem jednak żadnego powodu, by się tym przejmować.

– Zrobiliśmy to razem – poinformował mnie Leon. – Tak było znacznie bezpieczniej. Jedno z nas miało zaprowadzić Dominica na wyznaczone miejsce pod drzewem, zatrzymać go tam i odwrócić jego uwagę...

– To było moje zadanie – wtrąciła Susanna.

– A kiedy znalazł się tam, gdzie chcieliśmy – ciągnął Leon – podkradłem się od tyłu. To było okropne, musiałem iść bardzo wolno, bo gdyby mnie usłyszał, mielibyśmy przesrane. Ale nie chciałem zostawiać z nim Su ani sekundy dłużej, niż to było konieczne...

– Poszło doskonale – przerwała mu Susanna. – Chyba nawet się nie zorientował, kto go zaatakował, chociaż na pewno był moment, kiedy już wiedział. Widziałam to. W zasadzie stałam z nim twarzą w twarz. Jak tylko upadł, skoczyłam na niego i wepchnęłam mu do ust spory kawałek mojej kurtki... a właściwie kurtki Hugo. Tak głęboko do gardła, jak się dało. To pewnie nie było potrzebne, zupełnie wystarczyłaby sama garota, ale zależało mi na tym, żeby żadne z nas nigdy nie było pewne, kto go właściwie załatwił. Przynajmniej tyle mogłam zrobić dla Leona. Zresztą chciałam mieć na kurtce DNA Dominica.

Zerknęła na mnie. Błada, spokojna twarz, przysłonięta smugą dymu, która snuła się przy policzku. Czego ja w ogóle słucham? – pomyślałam. Co to jest?

– Szczerze mówiąc, chciałam to zrobić – dodała.

– Nie mogłem uwierzyć, że to się stało tak szybko – powiedział Leon. – Wyobrażałem sobie, że takie coś trwa okropnie długo, jak w horrorach, kiedy wydaje ci się, że czarny charakter już nie żyje, a on nagle zrywa się i znowu atakuje. Byłem przerażony, że

okażę się za słaby... Ale trwało to najwyżej minutę, może dwie. I po wszystkim. – Uniósł dłoń, odrobinę rozsuwając kciuk i palec wskazujący. – Tylko tyle.

– Wyglądało to paskudnie – przyznała Susanna – ale rzeczywiście działało się błyskawicznie. Kiedy byliśmy pewni, że przestało mu bić serce, musieliśmy go wpakować do dziury w drzewie. Zawiązaliśmy mu sznur pod pachami i tak jak ćwiczyliśmy, zrobiliśmy blok. Zawiesiłam go na grubej gałęzi, a potem oboje wspiealiśmy się na drabinę, żeby nakierować go do dziury.

– Okazał się znacznie bardziej nieporęczny niż worek kamieni. – Leon wyciągnął rękę po butelkę. – Włożyliśmy rękawice ogrodowe, żeby nie zostawić na nim śladów DNA, ale byliśmy w nich strasznie niezdarni. Musieliśmy zdjąć z niego sznur, zanim upuściliśmy go do środka, a ręce i nogi wyginały mu się we wszystkie strony, w dodatku spadł mu but...

– Nie było w tym nic zabawnego – rzuciła Susanna na widok mojej miny. – Ale jeżeli zamierzasz mieć wapory, to raczej nie należy skupiać się na tej fazie. Nic, co robiliśmy, nie miało już wtedy dla niego żadnego znaczenia.

Źle zrozumiała mój wyraz twarzy. Nie byłem przerażony. Nie potrafiłem tego objąć umysłem, zaczepiałem się o detale – *stałam z nim twarzą w twarz... Wyglądało to paskudnie, ale rzeczywiście działało się błyskawicznie...* Chciałem więcej, chciałem poznać każdy szczegół, ścisnąć go mocno niczym odłamki szkła. Nie wiedziałem jednak, jak o to zapytać.

– To brzmi okropnie – powiedział Leon, dolewając wina Susannie – ale słowo daję, nie traktowałem go już jak człowieka.

Właśnie to było najdziwniejsze i trochę makabryczne. Dominica już nie było. Ciało było tylko rzeczą, wielkim obwisłym przedmiotem, którego musieliśmy się pozbyć. Czasem na sekundę zapominałem dlaczego... jakbym wykonywał nierealne zadanie z baśni i wiedział, że jeżeli nie zdążymy przed świtem, wiedźma zmieni nas w kamień.

– Boże – westchnęła Susanna. – To było tysiąc razy trudniejsze niż samo zabójstwo. Wydawało mi się, że trwa całe wieki. Bałam się nawet myśleć, co zrobimy, jeżeli się nie uda.

– No i ta pieprzona garota.

– Boże, garota. Wreszcie wepchnęliśmy go środka. Byliśmy jeszcze na drzewie i Leon wyjął garotę...

– Kiedy go wciągaliśmy, schowałem ją do kieszeni.

– Mieliśmy rozwiązać supły i wrzucić sznurek do dziury – wyjaśniła Susanna. – Tylko że te cholerne węzły nie dały się rozplątać. Musiały się zacisnąć, kiedy go załatwialiśmy.

– Rękawice nam w tym nie pomagały. Po chwili ogarnęła nas rozpacz i zdjęliśmy je, ale to niczego nie zmieniło, bo supły były twarde jak kamienie...

– Siedzieliśmy na gałęzi jak dwie małpy i każde z nas jak oszalałe szarpało się z jednym węzłem...

– Połamały się nam paznokcie...

– I w końcu Leon wpadł w panikę – Susanna zerknęła na niego zirytowana – i wrzucił ją do dziury.

– A co mieliśmy z nią zrobić? Nie wrzucilibyśmy jej do kosza, gliniarze mogli zrobić rewizję, nie można też było jej porządnie spalić, to był nylonowy sznurek...

– Można było ją wyrzucić do kosza na drugim końcu miasta. Albo do kanału. Cokolwiek. Garota była jedyną rzeczą, która wskazywała na zabójstwo. Bez niej, jeżeli nie znaleźliby go przez tydzień czy dwa, można było przypuszczać, że popełnił samobójstwo, przedawkował albo po prostu wpadł do dziury, bo był idiotą, bo był pijany...

– Rafferty myślał, że to ja go zabiłem – powiedziałem. – Z powodu garoty.

– No tak. Przykro nam, że tak wyszło. Nie taki był plan...

– Hm, trudno.

– Próbowaliśmy ją wyciągnąć – dodał Leon. – Wsadziłem do dziury rękę i grzebałem. To było obrzydliwe... trafiłem palcami na jego usta i poczułem się, jakby ugryzł mnie zombie. Ale nie mogłem znaleźć tego cholernego sznurka, musiał spaść daleko na dół. Co mieliśmy zrobić? Wyciągnąć ciało z drzewa i dać nura do środka, żeby go znaleźć?

– W końcu daliśmy sobie spokój – opowiadała dalej Susanna. – Zeszliśmy na dół i padliśmy pod drzewem jak trafieni pociskiem usypiającym. Nigdy w życiu nie czułam się taka zmęczona. Nawet po porodzie. Gdybyśmy mogli, zasnęlibyśmy tam na miejscu.

– Ja chyba zasnąłem – przyznał się Leon. – Pamiętam, że leżałem z twarzą w trawie, dyszałem jak po długim biegu, pot się ze mnie lał, a chwilę potem Su szarpnęła mnie za ramię i powiedziała, żebym się obudził, bo musimy załatwić sprawę telefonu Dominica.

– Tak naprawdę martwiłam się przede wszystkim tym telefonem. Chociaż z drugiej strony to był nasz największy atut,

wystarczył jeden esemes i mogliśmy zasugerować wszystkim, że to było samobójstwo. Podrabianie listu pożegnalnego w czasach przed komórkami byłoby znacznie bardziej ryzykowne. Ale wiedziałam też, że policja może namierzyć telefon. Nie tak precyzyjnie, jak dzisiaj przez GPS, ale mogliby określić ogólnie obszar na podstawie wież przekaźnikowych, z którymi się łączył. Pamiętacie tego faceta, o którym mówili we wszystkich wiadomościach, tego, co zabił żonę i wpadł, bo jego telefon nie był tam, gdzie twierdził, że był? Przeczytałam mnóstwo na ten temat. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć Dominicowi, żeby wyłączył telefon, bo bałam się, że pstryknie mi zdjęcie, kiedy będę mu robić laskę, ale w końcu uznałam, że to zły pomysł. Gliniarze i tak mogli namierzyć telefon w tej okolicy, a jeśliby był wyłączony, doszliby do wniosku, że coś się tu stało. Gdyby telefon trafił gdzie indziej, wiedzieliby, że spędził w okolicy Ivy House jakiś czas, ale potem ją opuścił. Mogliby pomyśleć, że kręcił się tu, próbując zdecydować, czy skończyć ze sobą, czy nie... że może zastanawiał się nad kanałem, a potem zmienił zdanie. Zresztą miał w tej okolicy innych znajomych, więc nie było powodu, żeby policja powiązała sprawę z nami.

Spokojny głos analizujący szczegóły ciekawego problemu.

– Nawet jeżeli w najgorszym wypadku namierzyliby go tutaj, gdyby na przykład ktoś go widział, jak szedł uliczką za ogrodem, miałam plan. Zamierzałam wybuchnąć płaczem i przyznać się, że przyszedł mi powiedzieć, że szaleje za mną, a kiedy go odtrąciłam, wybiegł stąd wzburzony, krzycząc, że jeszcze tego pożałuję. Plan nie był doskonały, ale musiał wystarczyć. Leon miał potwierdzić tę wersję.

– Przeciwczyliśmy ją na wszelki wypadek – powiedział. – Miałem jednak wielką nadzieję, że nie będzie nam potrzebna. Gdyby trafili na nasz ślad, nie wiem, czy potrafiłbym zapanować nad sobą.

– Poradziłyś sobie – zapewniła go Susanna. – Tak czy inaczej, telefon musiał trafić w jakieś dobre, przyjazne dla samobójców miejsce. Na początku myślałam o Bray Head... ale Bray Head i Dominic? Nie ma mowy, żeby pojechał do Northside, nawet po to, żeby się zabić. A Howth Head jest bliżej, częściej zdarzają się tam samobójstwa, a z tego, co dowiedziałam się o prądach, było większe prawdopodobieństwo, że gdyby skoczył z Howth Head, nikt nie znalazłby ciała. No więc Leon pojechał tam z telefonem.

– Dlaczego Leon? – Gdybym miał wybierać między nimi, takie zadanie na pewno powierzyłbym Susannie. Takie zadanie powierzyłbym sobie, nie Leonowi, ale oboje uznali, że nawet do tego się nie nadają.

– Wielkie dzięki – mruknął.

– Nikt nie zwróci uwagi na młodego chłopaka, który chodzi sam po nocy – odparła Susanna. – Na dziewczynę tak. Ktoś mógłby mnie zapamiętać. Naprawdę nie chciałam zrzucić więcej zadań na Leona, myślałam nawet o tym, żeby schować włosy pod czapkę i udawać chłopaka, ale gdyby ktoś się połapał, to wtedy na pewno by mnie zapamiętał.

– Nie miałem nic przeciwko temu – rzucił Leon. – Naprawdę. Dzięki tobie to było bardzo łatwe. Susanna wszystko zaplanowała – wyjaśnił mi. – Mój każdy krok.

– Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Od początku wyciągałeś krótszą słomkę. – Patrzyła na niego z mieszaniną nieskrywanego

podziwu i serdeczności. Raz czy dwa zauważyłem wcześniej takie spojrzenie, ale wtedy go nie rozumiałem. – Trafiał ci się sam hardcore. I ze wszystkim poradziłeś sobie doskonale. Byłeś pieprzonym gladiatorem.

– Dzięki tobie. Myślałaś o rzeczach, które w ogóle nie przysłyby mi do głowy. Ja pogrążyłbym nas w jeden dzień. Powiedziała – zwrócił się do mnie – że nie mogę jechać taksówką stąd na Howth, bo taksówkarz mógłby mnie zapamiętać. No więc poszedłem do miasta i pojechałem taksówką do Baldoyle. Powiedziałem taksówkarzowi coś w rodzaju „Jezu, wszyscy inni ciągle się bawią, a ja rano muszę do roboty”, ale potem już trzymałem język za zębami. Udawałem, że drzemię oparty o szybę, żeby nie zachciało mu się pogawędki. Su zaplanowała nawet to.

– Policja na pewno próbowałaby odtworzyć poczynania Dominica tamtej nocy – tłumaczyła Susanna. – Musieliby ustalić, jak się dostał na Howth Head. Z prędkości, z jaką telefon przełączał się między bazami, wiedzieliby, że Dominic nie szedł pieszo. Byłoby najlepiej, gdyby Leon poszedł tam na piechotę, ale to by trwało co najmniej trzy godziny, więc zdążyłby wrócić w ostatniej chwili, a nie mogliśmy ryzykować, że się zgubi i będzie musiał pytać o drogę. Założyłam, że policja będzie sprawdzać taksówki i kiedy z żadną nie będą mogli powiązać Dominica, dojdą do wniosku, że albo podwiózł go ktoś, kto nie chce się do nich zgłosić, albo wziął lewą taksówkę, na przykład taką, którą jeździł facet bez licencji, bo pożyczył ją od kumpla, albo ktoś, kto nie powinien pracować, ponieważ pobierał zasiłek albo starał się o azyl. Gdyby jednak znaleźli faceta, który

w środku nocy jechałby taksówką stąd na Howth Head i z powrotem, ale nie odpowiadałby rysopisowi Dominica, pewnie by się zainteresowali.

– Z Baldoyle ruszyłem pieszo – powiedział Leon. – Nie wszedłem na sam klif... Po ciemku, tą wąską ścieżką? Nie, dziękuję bardzo. Poszedłem kawałeczek pod górę i kiedy się upewniłem, że nikt mnie nie widzi, wysłałem esemesa. Bałem się, że nie wyjdzie, że będzie za słaby zasięg, ale się udało. Jak tylko zobaczyłem „Wysłano”, wytarłem telefon z odcisków palców i wyrzuciłem jak najdalej.

– Nawet jeśli nie wpadłby do morza, nie miałoby to znaczenia – zauważyła Susanna. – Dominic mógł go wyrzucić po drodze na klif.

– A potem wróciłem do domu – powiedział Leon. – Szedłem pieszo aż do Kilbarrack i tam wsiadłem do taksówki. Jadąc w tamtą stronę, miałem na sobie białą bluzę włożoną na niebieską, a z powrotem zamieniłem je i na głowę wcisnąłem bejsbolówkę. Gdyby nawet gliny pytały i obaj taksówkarze pamiętaliby mnie, wyglądałoby na to, że chodzi o dwóch różnych chłopaków.

– To był twój pomysł – zwróciłem się do Susanny, a ona skinęła głową i obróciła się na bok, żeby patrzeć na Leona.

– Kazałem kierowcy, by wysadził mnie w Ranelagh... Su wybrała nawet konkretną ulicę, już nie pamiętam jaką. Tym razem powiedziałem mu, że pokłóciłem się z dziewczyną. I znowu „zasnąłem” przy szybie.

Obracał w dłoniach kieliszek, patrząc, jak blask ognia prześlizguje się po krzywiźnie szkła.

– To było najdziwniejsze w tym wszystkim – ciągnął. – Jazda taksówką. Wcześniej trzeba było zrobić różne rzeczy, poprawić to, nie zapomnieć o tamtym, nie spieprzyć tego i tak dalej. I nagle wszystko się skończyło; nie było nic więcej do zrobienia. Została nam tylko... reszta życia bez Dominica. Za to z tym. – Głęboko nabrał powietrza. – Taksówkarz miał radio nastawione na jakąś stację ze starymi kawałkami, grało dość cicho. R.E.M. David Bowie. Było jeszcze ciemno, ale niebo po jednej stronie zaczynało lekko szarzeć i nie wiadomo czemu, wyglądało to tak, jakby ziemia się przechyliła. Jakby koła taksówki oderwały się od jezdni i wzbiła się w powietrze. Nisko nad horyzontem wisiała jedna jasna gwiazda. Było pięknie.

Susanna leżała z głową opartą na łokciu na poręczy kanapy i nie odrywała od niego wzroku.

– Czuję wtedy to samo – przyznała. – Kiedy poszedł – powiedziała do mnie – wrzuciłam do dziury w drzewie rzeczy z torebki. Potem przykryłam to wszystko toną ziemi i liści, żeby nie było czuć smrodu. Odłożyłam na miejsce drabinę, sznur i rękawice, wygładziłam dziury po drabinie pod drzewem, odwiesiłam kurtkę Hugo do szafy. A potem usiadłam w swoim pokoju, ale nie zapalałam światła, na wypadek gdyby któryś z was, ty albo Hugo, szedł do toalety. Potem powtórzyłam wszystko w myślach, sprawdzając, czy o niczym nie zapomniałam. Nie miałam nic więcej do roboty. Nawet gdybym chciała wszystko cofnąć, już nie mogłam.

Odwróciła od nas wzrok i spojrzała w ogień.

– Byłam naprawdę spokojna, a przecież powinnam od adrenaliny chodzić po ścianach albo gryźć się wyrzutami

sumienia. Ja, ze swoimi krucjatami moralnymi, zabiłam człowieka. Ale po prostu siedziałam przy oknie i patrzyłam na ogród. Wyglądał inaczej... nie gorzej, po prostu inaczej. – Myślała o tym przez chwilę. – Może był czystszy? Chciałam na chwilę zatrzymać świat, siedzieć tak przez rok czy dwa i patrzeć.

Zwinięta na boku, rozmarzona w ciemności, z włosami rozsypanymi na wypłowiałej czerwieni kanapy, powinna bardzo przypominać siebie z dzieciństwa, zmęczoną po całym dniu zabawy. Leon, oparty o fotel, z wyciągniętymi przed siebie nogami, powinien przypominać tamtego ruchliwego chłopca z umazaną buzią i zadrapanymi kolanami. I prawie tak wyglądali. Byliśmy sobie wtedy tacy bliscy, w tak fundamentalny sposób, że nikt się nad tym nawet nie zastanawiał. Nie rozumiałem, dlaczego tak się oddalili.

– W końcu usłyszałam sygnał esemesa w moim telefonie – powiedziała Susanna. – Po chwili odezwał się twój, potem Leona. Musiał go zostawić w domu... nie podobało mi się to, bo gdyby coś poszło nie tak, nie moglibyśmy się skontaktować, ale jeśli policja zaczęłaby węszyć, nie mogliśmy dopuścić, żeby telefon Leona połączył się z bazą na Howth. Zaczekałam z przeczytaniem esemesa minutę, na wypadek gdyby policja sprawdzała czas w telefonach i miała sposób, żeby ustalić, o której przeczytałam wiadomość. Nie chciałam, żeby to wyglądało tak, jakbym na nią czekała.

A ja przespałem to wszystko jak aniołek. Kiedy rozległ się sygnał SMS-a, przewróciłem się na drugi bok i wyciągnąłem rękę, aby przeczytać wiadomość. Że niby co? I spałem dalej.

– Po jakimś czasie wrócił Leon i powiedział mi, że wszystko dobrze poszło – ciągnęła Susanna. – Na dworze robiło się już jasno. Oboje umieraliśmy z głodu, więc zrobiłam kanapki i herbatę...

– Szeptaliśmy przy stole w kuchni – dodał Leon. – Chichotaliśmy jak dwoje dzieci, które zakradły się na dół, żeby podjadać w nocy. Kręciło mi się w głowie. Wszystko smakowało cudownie, chyba nigdy wcześniej nie jadłem takich pyszności.

– A potem wróciliśmy do łóżek. Pewnie powinniśmy się przewracać z boku na bok i mieć koszmary, ale chyba nigdy wcześniej nie spałam tak twardo.

– Boże drogi. Jakbym dostał w łeb kijem bejsbolowym. Mógłbym spać dwadzieścia cztery godziny ciurkiem, gdyby Su nie przyszła i nie wyciągnęła mnie z łóżka, bo musieliśmy iść do pracy.

– Nie mogliśmy się spóźnić – wyjaśniła. – Musieliśmy się zachowywać zupełnie normalnie. To nie było takie trudne. Wystarczyło po prostu naśladować innych: „Dostałaś esemesa od Dominica Ganly’ego?”, „Boże, o co tu chodziło, ktoś z nim rozmawiał?”, „Och, nie, a jeżeli zrobił coś głupiego?!”. – Uniosła się na łokciu, by sięgnąć po następnego papierosa. – Potem już wszystko jakby potoczyło się samo.

Próbowałam przypomnieć sobie tamtą jesień. Niemożliwe, żebym niczego nie zauważył; pochłonęły mnie college, nowe znajomości, kluby sportowe, życie towarzyskie, ale przecież coś musiało do mnie dotrzeć. Zabili człowieka. Jak mogłem to przeoczyć?

– Nie baliście się? – spytałem. – Że was złapią?

– Pewnie powinniśmy. – Susanna potrząsnęła zapalniczką Leona. – Ale nie, nie bardzo. Musisz pamiętać, że byliśmy przyzwyczajeni do strachu. Wtedy w zasadzie to był nasz tryb domyślny. I myśl typu „Och, nie, policja pewnie się domyśla, że Dominic nie popełnił samobójstwa, i może nas z tym powiązać, znaleźć odpowiednio dużo dowodów, żeby nas aresztować, i zostaniemy skazani” była znacznie mniej przerażająca niż „Lada dzień Dominic Ganly może mnie zgwałcić albo zabić”.

– Ja bałem się od czasu do czasu – wyznał Leon. – Kiedy za dużo o tym myślałem. Chociaż wiedziałem, że wcale go tak intensywnie nie szukają. A gdyby go nawet znaleźli, nie znaczyło to jeszcze, że dowiedzą się, co zrobiliśmy. Mnie i Susanne uratowało to, że w ogóle nie brali nas pod uwagę.

– Mieliśmy szczęście – potwierdziła. – Dominic uważał, że jest bardzo sprytny, nie wysyłając mi żadnych ryzykownych wiadomości, żebym w razie czego nie miała na niego dowodów. Gdyby jego telefon był pełen obrzydliwych esemesów wysyłanych na moją komórkę, policja zaraz rzuciłaby się na mnie.

– Ale przyszli do nas wtedy – przypomniałem jej. – Prawda? – Żaden z obrazów, które podsuwała mi pamięć, nie był już wiarygodny, mimo to byłem pewien, że któregoś popołudnia, kiedy miałem kaca i wybierałem się na spotkanie z chłopakami, żeby go wyleczyć, na progu pojawiło się dwóch typków o wyglądzie kmiotków, obaj w garniturach. Pokazali legitymacje i zadawali bezsensowne pytania. Dopiero teraz sobie przypomniałem...

– Tak, przyszli – odparła Susanna. – Jakiś tydzień po. Rozmawiali z każdym, kto go znał, ale mnie potraktowali w specjalny sposób. Chyba któraś z moich koleżanek powiedziała im, że się mnie czepiał, więc gliniarze chcieli poznać szczegóły. Dzięki Bogu, to nie byli ci sami, którym próbowałam na niego donieść, tamci byli normalnymi mundurowymi. Do nas przyszli detektywi w cywilu, tacy jak Rafferty i Kerr. Tamci mundurowi pewnie zupełnie o mnie już zapomnieli, mimo to naprawdę mógł mnie oblecieć strach.

– Jezu. – Świat, w którym tak beztrąsko brykałem, był tak całkowicie oderwany od tej mrocznej, podziemnej rzeczywistości, że w myślach nie potrafiłem ich połączyć ze sobą.  
– I co powiedziałaś?

Susanna wzruszyła ramionami.

– Nie było tak źle. Potraktowali mnie całkiem miło. Przecież nie byłam podejrzana. Znajdowałam się na dziewięćdziesiątym którymś miejscu na liście znajomych i przyjaciół, których musieli odfajkować. Powiedziałam im w zasadzie to samo, co mówił mi jeden z tamtych mundurowych: że Dominic na pewno robił to wszystko dla kawału, widocznie go to bawiło. Wyraźnie w to uwierzyli. No bo... – Rozłożyła ręce i powiedziała rzeczowym tonem: – Popatrzcie na mnie i popatrzcie na Dominica. Potem bardzo się zdenerwowałam, bo jeżeli, Boże, jeżeli naprawdę zawsze się we mnie kochał, a ja w ogóle się nie zorientowałam, jeżeli nie mógł dłużej znieść tego cierpienia? Nawet trochę popłakałam. Pocieszyli mnie, że to w żadnym wypadku nie jest moja wina, że martwił się wynikami swoich egzaminów i że nie mam się czym przejmować. I poszli.

– Dzięki Bogu, że tak dobrze sobie z nimi poradziłaś. – Leon odwrócił się od niej, by wypuścić kłęb dymu. – Boże, mnie i Toby’emu poświęcili może pięć minut. Chyba nikt im nie powiedział, co Dominic ze mną robił. Prawdopodobnie nie chcieli przedstawiać w złym świetle takiego fantastycznego chłopaka albo mieli równie idiotyczny powód. A z tobą rozmawiali pół godziny. Przez cały czas siedziałem w swoim pokoju i tak się trząsałem, że nie mogłem wstać. Pot się ze mnie lał. Byłem pewien, że lada chwila załomoczą do drzwi i odwiozą nas do aresztu. Zastanawiałem się, czy nie podciąć sobie żył, póki jeszcze mogę. Jeśli coś by ci się wypsnęło... gdyby przemknęło przez ich głowy, że to może być nasza wina, mielibyśmy przesrane. Megapresrane.

– Na litość boską – rzuciłem. Z jakiegoś powodu dramatyczne chwytaki Leona podziałały mi na nerwy bardziej niż zwykle. Odnosiłem wrażenie, że celowo wszystko to wyolbrzymiał, żeby mi uprzytomnić, ile straciłem. – Przecież w zasadzie działaliście w obronie własnej. Gdyby was nawet złapali, nie zamknęliby was na zawsze. Teraz, po tym, jak zostawiliście go tam na dziesięć lat, to już nie takie proste, ale gdybyście od razu zgłosili się na policję...

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Co? Co was tak cholernie śmieszy?

– Boże – wykrztusił Leon przed nowym atakiem śmiechu. – Właśnie dlatego cię nie wzięliśmy.

– Dzięki Bogu – dorzuciła Susanna.

– O czym wy mówicie?

– „Przepraszam, panie policjancie, mam panu coś strasznie ważnego do powiedzenia, ale musimy się pośpieszyć, bo umówiłem się z chłopakami w pubie...”

– Oczywiście, że zamknęliby nas – powiedziała Susanna takim tonem, jakby tłumaczyła coś Sallie. – Nie mieliśmy żadnych dowodów na to, że to było w obronie własnej. Policja musiałaby nam uwierzyć na słowo. Myślisz, że by uwierzyła?

– Czemu nie? Oboje zeznacie to samo, twoje koleżanki mogłyby to potwierdzić...

– Nastolatki – prychnęła Susanna. – Które pewnie histeryzują albo kłamią, albo jedno i drugie. Gliniarze już wcześniej uznali, że histeryzuję. Dlaczego ktoś miałby nam uwierzyć?

– No i pedał – uzupełnił Leon. – Wtedy jeszcze się nie ujawniłem, ale zorientowaliby się po dwóch minutach. Cioty też histeryzują, nie mówiąc już o ich perfidii i zupełnym braku zasad moralnych.

– A z drugiej strony masz wspaniałego, przystojnego, szlachetnego młodego bohatera rugby takiego jak Dominic Ganly – powiedziała Susanna.

– Jasne, był trochę zdolowany – ciągnął Leon. – Dlatego że nie poszło mu na egzaminach i być może dlatego, że ta niewdzięczna suka – Susanna pomachała do mnie – nie chciała go docenić tak, jak na to zasługiwał. Nie był przecież chory psychicznie, nic podobnego. Może trochę dał się ponieść chłopięcemu temperamentowi i tyle. Był przyzwoitym gościem, sam to przecież mówiłeś. – Zerknął na mnie z ukosa. – Wszyscy go uwielbiali, a przynajmniej wszyscy, którzy się liczyli. Gazety piały z zachwytu nad tym, jaki był cudowny, jakie ogromne

możliwości w nim drzemały. Pisały o nim tak, jakby był Cúchulainnem, który powrócił, żeby ocalić naród przed samozagładą... Cały kraj żądałby naszych głów. Prawdopodobnie specjalnie dla nas przywrócono by karę śmierci. Oczywiście, że byłem przerażony.

– Ja nie – powiedziała Susanna. – Ani przez chwilę. Wcześniej tak, byłem zupełnie sparaliżowana, ale odkąd go nie było, już ani razu. Byłam...

Czekałem, aż dokończy, ale pokręciła głową, zaśmiała się i zgasła papierosa.

– No tak. – W głosie Leona też wyczułem nutę śmiechu. – Było jeszcze to.

– Co?! – zawołałem.

Spojrzeli na siebie. Ogień znowu przygasł, w poczerniałym drewnie pulsowały przyćmione czerwone plamy. Dym snuł się nad nim małym obłoczkiem, wijąc się w cienkich smużkach i spiralach.

– Chyba oboje zaczęliśmy trochę świrować – wyjaśnił Leon. – Każde na swój sposób. Wszystko wydawało się dziwne, mąciło się nam w głowach. Gdybym chciał to najlepiej opisać, to powiedziałbym, że miałem wrażenie, jakby nagle w powietrzu pojawiło się za dużo tlenu i moje ciało potrzebowało trochę czasu, żeby się do tego przyzwyczaić.

– Ja nie świrowałam, o nie – zaprotestowała Susanna. – Po prostu zaczęłam się dobrze bawić. Od dawna nie potrafiłam tego robić. Trzeba przyznać, że nie tylko z powodu Dominica. Jeszcze przed nim wszyscy przyklepili mi etykietkę grzecznej dziewczynki, bardzo rozgarniętej, poważnej i dobrze

wychowanej. Wydawało mi się, że nie ma sposobu, żeby się pozbyć takiej opinii, zresztą nie byłam nawet pewna, czy tego chcę. A kiedy Dominic zaczął mnie dręczyć... Jezu. Myślałam, że gdybym zrobiła cokolwiek rozrywkowego, wystroiła się, wyszła do pubu, upiła się albo z czegoś pośmiała, Dominic miałby usprawiedliwienie: „Paradowałaś z cyckami na wierzchu, kompletnie zalana, było jasne, że sama tego chcesz”. A jeżeli nie Dominic, to ktoś taki jak on. Potem... – Wzruszyła ramionami. – To już nie był taki problem. Zdanie Dominica w ogóle nie było już dla mnie problemem, ale inni też przestali być tacy straszni, bo wiedziałam, że nie muszę dać sobą pomiatać. Nie żebym zaraz sięgała po broń ostateczną za każdym razem, gdy ktoś wepchnie się przede mnie w kolejce do autobusu, ale sama świadomość, że naprawdę mogę coś z tym zrobić, sprawiała, że świat przestał się wydawać taki niebezpieczny. I na pewno gównu mnie obchodziło, czy mam być grzeczną dziewczynką.

– Chyba wtedy już dawno przestałaś się uważać za grzeczną dziewczynkę. – Leon uśmiechnął się szeroko.

– Byłam nie do uratowania – przytaknęła wesoło Susanna, unosząc kieliszek. – No więc po prostu dobrze się bawiłam. Pamiętacie tych hipisów w kamperze? Zabrali mnie do Kornwalii, gdzie pewien facet, Athelstan, uczył mnie grać na cymbałach.

– Twoi rodzice świrowali ze strachu – powiedziałem. Cały ten temat budził mój niepokój. – Bali się, że trafiłaś do jakiejś sekty albo cię porwali. Albo że zwariowałaś.

– Każdy dzieciak ma prawo się zbuntować. Przez całą szkołę byłam aniołkiem, więc to się wyrównało. – Położyła się na wznak

na kanapie. – Athelstan ciągle jest moim znajomym na Facebooku. Mieszka w Portugalii w jurcie.

Leon dostał ataku chichotu.

– Nie wiem, co cię tak bawi – prychnęła Susanna. – Kim był ten twój kumpel, który nosił wielkie fioletowe skrzydła?

– Boże, Eric! Był cudowny. Ciekawe, co się z nim stało. Raz mocno się upaliśmy i późnym wieczorem weszliśmy do budynku wydziału sztuki w Trinity, tuż przed zamknięciem. Próbowaliśmy tam zostać na noc. Tylko że zauważył nas ochroniarz i bawiliśmy się z nim w chowanego po tych wszystkich ogromnych salach, ukrywaliśmy się za krzesłami, ale skrzydła Erica ciągle wystawały...

– Wygląda na to, że mieliście ubaw po pachy. – Pobudzenie po kawie dawno mi już minęło. Bolała mnie głowa, miałem mdłości i byłem okropnie zmęczony. – Cieszę się, że tak miło spędzaliście czas.

– Wcale nie lekceważymy tej sprawy z Dominikiem – wyjaśniła Susanna. – Po prostu mieliśmy czas, żeby się do tego przyzwyczaić.

– To dlaczego nie mieszkasz w jurcie i nie grasz na cymbałach? – spytałem. – Skoro to dawało ci takie poczucie swobody? Dlaczego zostałam mamusią z przedmieścia?

– Ooo – westchnął Leon. – Ktoś tu jest złośliwy.

Susanna nie zwróciła uwagi na mój ton.

– Po jakimś czasie zauważyłam, że to, co robię, ma znaczenie – odpowiedziała mi. – Ma swoją wagę. Nigdy wcześniej tego nie czułam. Wszystkie te akcje, które organizowałam w szkole, pisanie setek listów do Amnesty International, zbieranie

pieniędzy na ofiary suszy, nigdy niczego nie zmieniały. Facet nadal siedział w jakimś strasznym więzieniu, dzieci ciągle umierały z głodu. Kiedyś płakałam z tego powodu. Raz mnie na tym przyłapałeś. – Spojrzała na mnie. – Pomyślałeś, że jestem skończoną idiotką, ale byłeś miły.

– No tak. To dobrze. – Przyszło mi na myśl, że powinienem czuć jakąś satysfakcję. Osiągnąłem to, na czym mi zależało; bawiłem się w detektywa i znalazłem odpowiedź na zagadkę, której nie zdobył nawet zły Rafferty. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego to wszystko wywołuje we mnie tak gigantyczne rozczarowanie.

– W pewnym sensie miałeś rację. Tak, naprawdę płakałam z powodu tego człowieka, którego torturowali w Birmie, ale płakałam też dlatego, że miałam wrażenie, jakbym była niczym. Piórkiem. Puszkiem. Mogłam do śmierci tłuc głową w mur, a mur w ogóle nie drgnął, nawet mnie nie zauważył. – Napila się wina. – Ale kiedy zabiliśmy Dominica... Wszystko jedno, co o tym sądzisz od strony moralnej, musisz przyznać, że to miało znaczenie. Bardzo konkretne.

– Tak – przyznałem. – Miało.

– Chciałam zrobić więcej takich rzeczy... to znaczy nie takich, ale rzeczy, które konkretnie coś zmieniają. Ważnych. Palenie haszu z Athelstanem i śpiewanie przy ogniskach było zbyt nieistotne. Lekkie. Miesiąc czy dwa przed wyjazdem do Kornwalii poznałam Toma i było jasne, że stracił dla mnie głowę, ale nie potrafiłam się nawet zastanowić, czy mi się podoba. Tyle że kiedy o nim myślałam, wydawało mi się, że to ważne. Gdybyśmy związali się ze sobą, to by była poważna sprawa, nie

taka jak całowanie się z Athelstanem dla zabawy. Wiedziałam, że gdybym pocałowała Toma, to skończyłoby się na ślubie. No więc wróciłam do domu i zadzwoniłam do niego.

– Dzięki Bogu – powiedział Leon. – Łaził za mną jak szczeniak. Patrzył na mnie wielkimi jak talerze oczami i ciągle się dopytywał, kiedy wrócisz. Byłbym dla niego dużo miłszy, gdybym wiedział, że ci się podoba. Powiedziałem mu, że wyszłaś za mąż za Ethelberta w nagim wiccańskim rytuale w Stonehenge.

– Wiem. Nie uwierzył ci. – Susanna pokazała mu środkowy palec. – Tak samo było z dziećmi. Nie wydawało mi się, że to ważniejsze od doktoratu czy innych rzeczy, które mogłam zrobić; wydawało się, że jest w tym coś solidniejszego. Konkret, który mogłam zobaczyć, dotknąć. Stworzyliśmy dwoje zupełnie nowych ludzi. Nic nie może być bardziej konkretne. Wiem – zwróciła się do mnie – zawsze uważałeś, że to szaleństwo tak szybko zachodzić w ciążę. I wiem, że nigdy nie przepadałeś za Tomem. Ale dla mnie to miało sens.

Leon przyglądał się jej z zaciekawieniem.

– Boże, ja nigdy czegoś takiego nie miałem. Wręcz odwrotnie.

– Ale też robiłeś rzeczy, które miały znaczenie. – Susanna odwróciła się do niego zdziwiona. – Jesienią dokonałeś coming-outu. Zawsze myślałam, że to z powodu Dominica. Nie?

– Och, pewnie, że tak. Gdyby nie to, kryłbym się pewnie do dzisiaj. Cierpiałem długie lata.

– Przecież to nie był rok pięćdziesiąty – wtrąciłem się. – Ludzie nie uciekaliby przed tobą ani nie... nie unurzaliby cię w smole i wytarzali w pierzu.

– Wiem, dzięki – odparł nieco szorstko Leon. – Doskonale wiedziałem, co się stanie. Usłyszę jeszcze więcej kretyńskich stereotypowych dowcipów, stracę paru znajomych, a tato będzie mnie próbował przekonywać, że to tylko trudny okres w rozwoju. Z tym wszystkim mogłem sobie poradzić. Chodziło o to, że ludzie zobaczą we mnie kogoś innego. Nie byłem już dla nich po prostu człowiekiem, nie byłem po prostu sobą... byłem gejem. Jeżeli zachowałem się arogancko, to nie dlatego, że miałem rację albo byłem w złym humorze, albo zawsze byłem trudnym gnojkiem, tylko dlatego, że geje są wredni. Jeżeli czymś się denerwowałem, to nie dlatego, że miałem powód, tylko dlatego, że geje lubią dramatyzować. Dla ciebie to pewnie bez znaczenia, ale nie dla mnie. Z drugiej strony, nie byłem zachwycony myślą, że całe życie mam się ukrywać. Chciałem mieć chłopaków, trzymać ich za rękę w pubie, przyprowadzać do domu i przedstawiać rodzicom... To chyba nie są zbyt wygórowane oczekiwania. Ale czułem się kompletnie sparaliżowany. Myślałem, że utknę tak na zawsze, między młotem a kowadłem. Ale po Dominicu...

Sięgnął po pogrzebacz i poruszył drewno w kominku; ogień strzelił w górę dziarskim płomieniem.

– Wszystko wyglądało zupełnie inaczej – ciągnął. – A że ludzie patrzyli na mnie inaczej, kiedy się ujawniłem... Trudno. I nie twierdzę, że jestem jakiś wyjątkowo odważny albo że w ogóle nic mnie nie obchodzi... – Wzruszył ramionami. – Wiedziałem, że ci ludzie niedługo i tak znikną z mojego życia. Nic nie trwa wiecznie, ale nie tak, jak widzą to emo. Mówię o faktach. Dominic przez długie lata miał ogromny wpływ na moje życie, wszystko

przytłaczał swoim ciężarem. Szedłem spać, myśląc o nim, przez całą noc dręczył mnie w koszmarach, budziłem się rano i śmiertelnie się go bałem. A potem zrobiliśmy jedną rzecz, która trwała najwyżej dwie minuty, i zniknął. Po prostu zniknął. Po czymś takim trudno sobie wyobrazić coś trwalszego. To, co ty masz – zwrócił się do Susanny – mąż, dzieci, kredyt, wszystko „na zawsze”, w moim przypadku nigdy nie wchodziło w grę.

– Żałujesz? – Susanna po raz pierwszy wyglądała na zaniepokojoną, gdy obróciła się na kanapie, żeby spojrzeć na ukrytego w półmroku Leona. – Chciałbyś ułożyć sobie życie tak jak ja?

Zastanawiał się, delikatnie przesuwając kawałki drewna w stronę środka ognia.

– Nie. Nie gardzę tym, co masz, ale to nie w moim stylu. Wolę żyć tak, jak żyję. To ma swoje minusy, rzuciłem każdego ze swoich chłopaków albo postarałem się, żeby to oni mnie rzucili, i za każdym razem czułem się jak szmata. Ale podoba mi się to uczucie, że wszystko jest możliwe. Za rok o tej porze mogę być na Mauritiusie albo w Dubrowniku. – Spojrzał z uśmiechem na Susannę. – Lubię miejsca, wiesz? Zawsze lubiłem. Im mniej o nich wiem, tym lepiej. Wrzosowiska w Yorkshire... Nie wydają się niezwykle? Ta cała przestrzeń, wrzos i nazwy miejscowości jak z języka wikingów. Nowy Jork, Goa i... Kiedy je trochę poznam, tracą blask i znowu nie mogę usiedzieć na miejscu, ale tak właśnie jest dobrze, bo nie jestem nigdzie uwiązany. Nie muszę wybierać jednego miejsca, mogę mieć wszystkie. – Rozpromienił się. – Podobają mi się faceci i też nie muszę wybierać tylko jednego.

Susanna również uśmiechnęła się do niego.

– To dobrze. Przysyłaj mi kartki. – Wyciągnęła rękę; Leon ujął jej dłoń i uściśnął. W kominku zajęła się sucha drzazga i błysnął płomień.

Wydawali się obcy, jakby zrobieni z materiału, którego nie znałem i którego nie powinienem dotykać. Białe i gładkie jak szlifowany kamień łuk policzka Susanny, przykryty ruchomym blaskiem ognia. Długi cień ręki Leona na ścianie, gdy odgarniał sobie włosy.

– A więc – Susanna oparła się w rogu kanapy, patrząc na mnie – tak to wygląda.

– No tak – bąknąłem.

– Nie tego się spodziewałeś?

– Nie bardzo. Raczej nie.

– Nie przeszkadza ci to?

– Nie mam pojęcia, co to może znaczyć – odparłem.

– Przyzwyczaj się. Daj sobie trochę czasu.

Leon przyglądał mi się z boku.

– Tylko nie mów, że zamierzasz pobiec do Rafferty’ego. – Żartowałem, tyle że to nie był do końca żart.

– Co? – W ogóle nie przyszło mi to do głowy. – Nie.

– Oczywiście, że nie – rzuciła Susanna. – Tobie nie jest głupi. Nawet gdyby chciał, żebyśmy poszli siedzieć, a nie chce, to wcale by nas nie zamknęli, gdyby powiedział Rafferty’emu. To by tylko doprowadziło do zamieszania i chaosu, a potem, kiedy opadnie kurz, byłibyśmy mniej więcej w tym samym miejscu co teraz. Dobrze jest, jak jest. – Spojrzała na mnie spod uniesionej brwi. – Prawda?

– Nie, jeżeli Rafferty ciągle myśli, że to ja.

– Och, nie myśli. A nawet gdyby, nic nie może z tym zrobić. – Nie odpowiedziałem. – Mówię serio, Toby. Wszystko jest pod kontrolą.

– Ale... – Patrzyłem to na nią, to na niego. Chciałem o coś spytać, o najważniejsze rzeczy, lecz nie miałem pojęcia, co to jest. – Nie jest wam przykro z tego powodu?

Mówiąc to, zdałem sobie sprawę, jak głupio brzmi to pytanie, świętoszkowato i naiwnie. Spodziewałem się jakiejś kąśliwej riposty, ale przez chwilę milczeli, spoglądając na siebie w zamyśleniu.

– Nie – odezwał się w końcu Leon. – To pewnie brzmi strasznie, ale nie.

– Nie z powodu Dominica – powiedziała Susanna. – Z powodu jego rodziców, owszem. Na początku nie było mi ich żal, bo to częściowo musiała być ich wina, że został takim patentowanym bydlakiem, odkąd jednak mam dzieci, tak. Jego nigdy nie żałowałam. Nawet kiedyś próbowałam. Ale nie wyszło. Pieprzyć go.

– Wolałbym, żeby to się nigdy nie zdarzyło – wyznał Leon. – W ogóle. Wolałbym, żebyśmy go nigdy nie spotkali. Ale spotkaliśmy, więc...

– Naprawdę? – zaciekawiała się Susanna. – Wolałbyś?

– Wolałbym, żebym nie musiał nikogo zabijać. Ty nie?

Zamyśliła się nad tym.

– Nie jestem pewna – odparła po chwili. – Nie wiem, czy miałabym odwagę urodzić dzieci, gdyby to się nie zdarzyło. Dominic nie był jedynym w swoim rodzaju superzłoczyńcą, świat

jest pełen ludzi takich jak on. Jeżeli naprawdę nic nie można na nich poradzić, tylko cierpliwie ich znosić, a potem słuchać, jak ludzie mówią, że to nic wielkiego... Narażać na to dzieci? – Przykryła kocem stopy; w salonie robiło się chłodno. – Teraz przynajmniej wiem, że jeżeli ktoś będzie próbował przypieprzać się do moich dzieci, mam duże szanse, żeby mu przytrzeć rogów.

– To nie jest *Serce oskarżycielem* Poego – powiedział do mnie Leon, włożył do ust następnego papierosa i pstryknął zapalniczką. – Przez ostatnie dziesięć lat nie słyszeliśmy palców szkieletu skrobiących w pniu za każdym razem, gdy przechodziliśmy koło wiązu.

– Od czasu do czasu, gdy była burza, myślałam sobie: mam nadzieję, że drzewo się nie przewróci – dodała Susanna. – Ale to mniej więcej tyle. Kiedy tu przyjeżdżaliśmy, zawsze widziałam wiąz i w dziewięciu na dziesięć przypadków w ogóle nie myślałam o Dominicu. Nawet siedziałam oparta o pień.

– Chociaż byłoby jeszcze lepiej – Leon posłał jej zirytowane spojrzenie – gdybyś pamiętała o nim przynajmniej na tyle, żeby nauczyć dzieciaki, że nie wolno się bawić na tym cholernym drzewie.

– Uczyłam, powtarzałam im tysiące razy. Zach próbował zwrócić na siebie uwagę, był zdenerwowany z powodu Hugo...

– Ale dobrze wiedziałaś, jaki jest. Mogłaś go zostawiać u rodziców albo...

– Nie miałam pojęcia, że Hugo zwołuje jakieś wielkie spotkanie. Zresztą czy wtedy byłoby lepiej? Dominic ciągle by tam tkwił. Prędzej czy później musielibyśmy się tym zająć. Teraz przynajmniej...

Kłócili się jak dzieci, jakby któreś upuściło telefon drugiego na ziemię albo oblało mu colą zadanie domowe.

– Nie rozumiem – odezwałem się na tyle głośno, że oboje umilkli i spojrzeli na mnie.

– Czego? – spytała Susanna.

– Kurwa, przecież zabiliście człowieka. Jesteście... – Patrzyli na mnie pytająco, z zaciekawieniem, trudno mi było się skupić. – Jesteście mordercami. Dlaczego... – „Dlaczego nie pomieszało wam się od tego w głowie? – chciałem spytać. – Powinno się wam pomieszać, to nie fair”. – Dlaczego traktujecie to tak lekko? Czemu nie czujecie się winni?

Znowu cisza i te spojrzenia. Czułem, jak się zastanawiają – nie nad tym, ile można mi powiedzieć, lecz nad tym, ile z tego zrozumieć.

Milczenie przerwała Susanna:

– Czy ktoś kiedyś traktował cię tak, jakbyś nie był człowiekiem? Nie dlatego, że zrobiłeś coś złego, po prostu za to, kim jesteś. Czy ktoś robił z tobą, co chciał? Wszystko, co mu się podobało? – Patrzyła na mnie nieruchomymi oczami, tak jasnymi, że przez chwilę czułem przed nią strach. – I byłeś kompletnie bezsilny, nic z tym nie mogłeś zrobić. Gdybyś próbował coś powiedzieć, wszyscy pomyśleliby, że jesteś śmieszny i narzekasz, że powinieneś przestać marudzić, bo to całkiem normalne dla kogoś takiego jak ty, bo tak ma być. Jeżeli ci się nie podoba, to powinieneś być kimś innym.

– Oczywiście, że nikt go tak nie potraktował – wtrącił się Leon. Ton jego głosu przypominał mi dzieciaka, którym kiedyś byłem,

przemykającego szkolnymi korytarzami ze spuszczoną głową, zgarbionego pod ciężarem torby z książkami. – Kto by śmiał?

– Był taki ktoś?

– Tak.

Nie wiadomo czemu, nie pomyślałem tylko o tych dwóch w moim mieszkaniu – oczywiście o nich też, o duszącym mlecznym zapachu potu, chrzęście kości pod ich ciosami – ale pojawił się skądś neurolog w szpitalu, jego lepka i blada twarz, fałda skóry na kołnierzyku koszuli i beznamiętne spojrzenie: *To zależy od wielu czynników.*

*Jakich czynników?* Spuchnięty język i bełkot idioty. Ledwie skrywana litość i niesmak w jego oczach, gdy uznał mnie za istotę, której nie warto niczego tłumaczyć – przybić pieczętkę i włożyć do kartoteki, brak możliwości odwołania.

*To bardzo skomplikowane.*

*Tak, ale, ale, czy mógłby pan...*

*Może lepiej skupi się pan na fizjoterapii. Kwestie medyczne proszę pozostawić nam.*

*Kopniak w żebra, coś pęka z trzaskiem. – Ty głupi chuju. Kurwa, myślisz, że taki z ciebie mistrzu?*

– No dobrze – rzuciła Susanna. – Co chciałbyś mu zrobić?

Zacisnąłem usta. Za nic w świecie nie mógłbym opisać słowami tego, co chciałem zrobić i jak bardzo. Pokręciłem głową.

– A jak się czułeś po tym, jak tego nie zrobiłeś?

Wspomnienie odezwało się w całym ciele: pulsująca bólem pięść, którą bez końca waliłem w ścianę, jeden wielki siniak na nodze, którą karałem każdym cięższym przedmiotem, jaki

znalazłem, porażający łomot w głowie od kolejnych ciosów. Nie mogłem oddychać.

– A teraz wyobraź sobie... – Susanna nadal patrzyła na mnie nieruchomo przez zasnuwane dymem powietrze. – Wyobraź sobie, że to zrobiłeś.

Pierś wypełniło mi powietrze i przez cudowną oszałamiającą chwilę czułem to: niewiarygodną rozkosz, zbyt intensywną, żeby ją przeżyć, gigantyczny przypływ sił, moje pięści i nogi bombardowały ciało, raz za razem, trzaskały kruszone kości, słyszałem ochryple wrzaski, które brzmiały i brzmiały, dopóki nie zapanował spokój; zostały tylko grudy miazgi u moich stóp i ja, wyprostowany, ociekający krwią i zdyszany jak człowiek wynurzający się z oczyszczającej rzeki i powracający do świata, który znowu był mój. Miałem wrażenie, że moje serce chce się wyrwać z klatki żeber i ulecieć jak chiński lampion, przez szybę w oknie i ponad ciemne drzewa. Przez sekundę myślałem, że zaraz się rozplaczę.

– To właśnie takie uczucie – powiedziała Susanna.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Wszystko poruszył niewidzialny przeciąg: płomienie, pajęczyny u sufitu, strony otwartej książki leżącej na stoliku, miękkie włosy Susanny.

– Nie cieszysz się? – spytał Leon.

Mój ochrypły, zaskoczony śmiech zabrzmiał za głośno.

– Mam się cieszyć?

– Nie zrobiłeś nic złego. W każdym razie nic, przez co mógłbyś mieć kłopoty. To nie jest dobra wiadomość? – Nie odpowiedziałem. – Nie powinniśmy ci mówić?

– Nie mam pojęcia – odparłem.

– Nie chciałem mówić. Pomyślałem, że będzie lepiej, jeżeli damy temu spokój. Ale Su uznała, że powinieneś wiedzieć.

– Miałam wyrzuty sumienia, że przeze mnie myślałeś, że mogłeś to zrobić – wyjaśniła. – Ale wtedy wydawało mi się, że to najlepszy sposób. Miałam rację, prawda? W końcu wszystko dobrze się ułożyło.

Zaśmiałem się bezgłośnie.

– Tak daleko bym się nie posunął.

– Już po wszystkim. Gliniarze odeszli. Możemy zapomnieć o sprawie.

– Tak. Melissa też odeszła.

– Tylko dlatego, że nie mogła dłużej znieść tego chorego pieprzenia i dramatyzowania. Wcale się jej nie dziwię. Możesz iść i powiedzieć jej, że już po wszystkim, że nie miałeś z tym nic wspólnego, że to już koniec. Nic złego ci się nie stanie.

– Będzie zachwycona – dodał Leon, wpatrując się we mnie przez półmrok. – Szaleje za tobą.

– Porwij ją w ramiona – poradziła mi Susanna, wrzucając niedopałek do dogasającego ognia. – Żyjcie długo i szczęśliwie.

Deszcz cicho bębnił w szyby, ogień pełgał. Czuję, że powinni mi powiedzieć o czymś jeszcze, o jakimś najgłębszym i najważniejszym sekrecie, który rzuci na całą historię nowe światło i wszystkie zgniłe cienie rozbłyszczą i ożyją, nabierając znaczenia, ale za nic nie mogłem wymyślić, co to może być.

Wydaje się oczywiste, że to odkrycie – tak jak mówił Leon – powinno poprawić mi samopoczucie. Okazało się, że jednak nie jestem mordercą. Czy może być lepsza wiadomość? Poza tym – brawa dla Małego Detektywa Toby’ego! – zgodnie ze swoim życzeniem, wreszcie dowiedziałem się, co się stało z Dominikiem, a wisienką na torcie było to, że Rafferty najprawdopodobniej nikomu nie mógł zrobić, cała nasza trójka była bezpieczna i wolna od podejrzeń. Wszystko – jak na moją obecną sytuację – powinno wyglądać super ekstra.

A jednak jakoś nie wyglądało. Nie miałem pojęcia, co począć z tym nowym stanem rzeczy. Przypuszczam, że powinienem przeżyć przynajmniej chwilę wahania na tle etycznym, zastanawiać się, czy komuś o tym powiedzieć (czy na przykład mój ojciec nie zasługiwał na to, by się dowiedzieć, że Hugo i ja jesteśmy niewinni?), ale nie doświadczałem takich rozterek. Nie byłem do tego zdolny; nie zostało mi nic, co pozwalałoby mi roztrząsać to, oceniać czy w ogóle o tym myśleć. Wyglądało to tak, jakby Susanna i Leon podrzucili do domu gigantyczną paczkę z IKEA: prawdopodobnie odmieniłaby scenerię, gdybym wykrzesał z siebie energię, by ją złożyć, ale na razie po prostu leżała na środku i co chwilę ocierałem się o nią łydka albo zahaczałem łokciem, ilekroć próbowałem ją ominąć.

Metodycznie ułożyłem sobie codzienny porządek zajęć: śniadanie i prysznic, potem praca na górze w gabinecie. Mimo że nie byłem w stanie zmusić się do gotowania, robiłem sobie przerwy o odpowiednich porach, by jeść rzeczy, których bogaty wybór znajdowałem w kuchni; ktoś – prawdopodobnie moja matka – stale uzupełniał ją ogromną ilością produktów, które nie wymagały przygotowania. Po kolacji siadałem w salonie z laptopem Hugo i surfowałem po internecie, dopóki nie wyłączył mi się mózg, a wtedy szedłem spać. Można by się spodziewać, że w nocy niespokojnie przewracałem się z boku na bok, zamartwiając się i dręcząc dylematami moralnymi albo czymś jeszcze, albo że znowu gnębiły mnie potworne koszmary, ale spałem jak zabity.

Praca nad pamiętnikami Haskinsa szła mi całkiem nieźle; odkąd poznałem dobrze jego charakter pisma, przedzierałem się przez kolejne strony w imponującym tempie. Haskins przeszedł fazę, w której usiłował wydobyć z Elaine McNamary nazwisko ojca dziecka, lecz ta nie chciała go ujawnić, czym szalenie go rozsierdziła. Jego głos bardzo wyraźnie brzmiał w mojej głowie: nosowy, mocno akcentujący słowa, niebywale dystyngowany, przerywany triumfalnymi odchrząknięciami, ilekroć wytaczał w rozmowie jakiś niepodważalny argument. Raz, gdy trochę za długo pracowałem na zbyt małej dawce xanaxu (znowu brałem go dość dużo, nie dlatego, że byłem spięty – nie chodziłem po domu całą noc, nie tłukłem się po nodze, nic z tych rzeczy – ale po prostu wydawało mi się, że to znacznie rozsądniejszy sposób na życie), spytałem Hugo, czy ma ochotę na kawę.

Jedyną prawdziwą zmianą mojej codzienności było to, że niedzielne lunche skończyły się na mocy jakiegoś milczącego porozumienia. Co parę dni ktoś mnie odwiedzał, pewnie po to, by sprawdzić, czy nie mamrocę i nie kołyszę się w szafie albo nie rozkładam się u stóp schodów, ale nie byłem zbyt rozmowny, więc gość nigdy nie zostawał na dłużej. Gdy Oliver wygłosił mi wykład o tym, że wszyscy jesteśmy pogrążeni w smutku, lecz życie toczy się dalej, nie miałem bladego pojęcia, jak na to zareagować. Miriam podarowała mi fioletowy kamień, który ponoć pomagał w powrocie do równowagi duchowej, a ja natychmiast go zgubiłem. Kilka razy dzwonił Leon; kiedy nie odbierałem, nagrywał długie, niepewne i zawile wiadomości. Susanna w ogóle się ze mną nie kontaktowała, o co nie miałem do niej ani trochę żalu.

W kwietniu 1888 roku Elaine McNamara urodziła dziecko – chłopca, jak podejrzewał Hugo, przypuszczalnie dziadka pani Wozniak. Kiedy odbierano jej synka, by oddać go miłym państwu O’Haganom, *protestowała z wielką gwałtownością i rozpaczą*. Haskins wytłumaczył jej, że to, co czuje, jest pokutą za grzech i powinna być wdzięczna Bogu, że wciąż kocha ją na tyle mocno, by wymierzyć jej tak łagodną karę. Nie sądził jednak, by to zrozumiała.

Dom podupadał, na tyle wolno i stopniowo, że nie zauważałem tego, dopóki coś przypadkiem nie zwróciło mojej uwagi: wąż zimowe światło ukazało girlandy pajęczyn w rogach pod sufitem salonu. Gdy przejechałem ręką po półce nad kominkiem, w powietrze wzbiły się drobiny kurzu, a na moim rękawie została gruba szara pręga. Przepalały się

niewymieniane żarówki. Na suficie w dawnej sypialni Leona rozrastała się plama, skądś dolatywał coraz silniejszy zapach wilgoci. Wiedziałem, że powinien to sprawdzić hydraulik, miałem jednak wrażenie, że nie mogę go sprowadzić, skoro nie jestem pewien, czy właściwie mieszkam tu, czy nie, ani jak długo potrwa taki stan. Nikt nie wspominał o testamencie, lecz czaiła się we mnie pewna obawa: czy Hugo naprawdę sporządził taki testament, o jakim nam mówił, czy zapisał dom całej naszej szóstce? A jeśli nie, to kto jest spadkobiercą? Czy rodzina wydeleguje do mnie kogoś, aby bardzo taktownie wyjaśnił mi, że oczywiście nie ma pośpiechu, jesteśmy ogromnie wdzięczni za wszystko, co zrobiłeś dla Hugo, możesz tu zostać, jak długo zechcesz, tylko że ceny nieruchomości wciąż utrzymują się na takim poziomie, a remont, który trzeba zrobić, zanim wystawimy dom na sprzedaż... Pomyślałem o swoim mieszkaniu, szczelnie zasuniętych zasłonach, stęchłym powietrzu, mrugających lampkach alarmu i ukrytym nisko przy łóżku czerwonym prostokątnym przycisku, który czekał na swoją chwilę.

Zastanawiałem się też, długo i intensywnie, czy porozmawiać z Melissą. Skoro nikogo nie zabiłem, nie widziałem powodu, dla którego nie powinienem się do niej odzywać. Nie do wiary, ale nie odeszła dlatego, że przestała mnie kochać; odeszła, bo zachciało mi się węszyć i bawić w detektywa. Miała rację, to był straszny pomysł, teraz jednak mogłem spojrzeć jej prosto w oczy i przysiąc, że skończyłem z tym raz na zawsze, a jeśli następnym razem coś mi każe, na pewno jej posłucham. Jakoś nie martwiłem się, czy przekonam ją, że nie jestem mordercą. Wzdrygałem się na samą myśl, że w ogóle przyszło mi do głowy,

że mogłaby w to uwierzyć. Melissa przez cały czas zostawiała mnie daleko w tyle.

A jednak nie zadzwoniłem do niej. Bo kiedy już zamierzałem to zrobić, miałem nawet telefon w ręce, zadawałem sobie pytanie: po co? Co mogłem jej zaofiarować w tym ciemnym domu, gdzie na okna wspinały się splątane pnącza bluszczu, a moje ubrania zalatywały pleśnią?

Na dworze było zimno. Rzadko opuszczałem dom; pomysł, by wyjść do sklepu albo na spacer, wydawał się dziwny i egzotyczny, a choć od czasu do czasu, wiedziony mglistą myślą o korzystnym wpływie świeżego powietrza na zdrowie, włóczyłem się po ogrodzie, nie podobało mi się to miejsce. Posadzone przeze mnie i Melisę wesołe aksamitki i inne rośliny w większości wyginęły – prawdopodobnie zasadziliśmy je w niewłaściwy sposób albo o niewłaściwej porze, albo w niewłaściwej ziemi... nie wiadomo. Wykiełkowało kilka kęp wątlej trawy o rachitycznym wyglądem, wyrosło też trochę wysokich i krzepkich szarozielonych chwastów, które przypominały dmuchawce na sterydach, ale prócz tego ziemia nadal była gołym grzędzawiskiem. Niepokoiła mnie wyrwa po wiązcie; nawet gdy nie patrzyłem w jej stronę, kłuła mnie w kącik oka, jakby brakowało tam czegoś najistotniejszego i trzeba było koniecznie uzupełnić tę lukę, jak najprędzej... Niebo zawsze było szare, wśród gałęzi dębów zawsze trzepotały i konferowały wrony, przenikliwe zimno zawsze przeszywało ciało i sięgało szpiku, a ja zawsze po kilku minutach wracałem do środka.

W domu też było zimno. Ogrzewanie nie radziło sobie z wielkością budynku, kończyło się drewno, a nikt nie pomyślał,

by zaopatrzyć mnie w większy zapas. Przeciągi pojawiały się nie wiadomo skąd, jak gdyby ktoś ukradkiem otworzył drzwi czy okno, ale gdy szedłem poszukać nieszczelności, nigdy nie udawało mi się jej znaleźć. Na zimę schodziły się pająki; widziałem ich coraz więcej, w kątach i na podłodze przy listwach, spore, szarobrązowe stworzenia z nieco groźnymi cętkami na grzbietach. Przez szparę pod przeszklonymi drzwiami na taras dreptały stonogi.

Kilka tygodni po urodzeniu dziecka Elaine McNamara, ku wielkiej uldze Haskinsa, wróciła do domu. Potem już w ogóle o niej nie wspominał. Nie pojawiała się nigdzie w spisie ludności Irlandii z 1901 roku, ale w hrabstwie Clare mieszkała kobieta, której część danych pokrywała się z informacjami o matce Elaine McNamary. Ta kobieta urodziła sześcioro dzieci i wszystkie nadal żyły, wyglądało więc na to, że Elaine wyszła za mąż albo wyemigrowała, albo jedno i drugie. Nie udało mi się znaleźć żadnego zapisu o jej ślubie. Hugo wiedziałby, jak się do tego zabrać i jak poszukać ojca dziecka, przeprowadzając porównania różnych profili DNA za pomocą skomplikowanych programów, ja nie miałem jednak pojęcia, od czego zacząć.

Napisałem natomiast raport dla pani Wozniak. Nie znałem odpowiedniej formuły, więc był to krótki tekst przedstawiający nagie fakty, uzupełniony kilkoma linijkami, w których starałem się zawrzeć to, co jak sądziłem, napisałby Hugo: *Niestety, nie mam odpowiednich kwalifikacji, aby prowadzić dalsze badania. Być może inny genealog będzie potrafił zrobić więcej. Mam nadzieję, że te nowe informacje nie są dla Pani zbyt dużym*

*zaskoczeniem, i szczerze życzę Pani powodzenia w poszukiwaniach.*

Kiedy skończyłem, przeczytałem to głośno w pustym gabinecie zakurzonej książkom, drewnianym słoniom i starym kapciom Hugo, które leżały krzywo pod jego krzesłem.

– Dobrze, Hugo? – spytałem.

Zacząłem od czasu do czasu zadawać mu pytania. Nie, nie postradałem na tyle zmysłów, by wierzyć, że odpowie, po prostu w domu zrobiło się okropnie cicho. Bywały dni, kiedy cisza nabierała cech prawdziwej, namacalnej substancji, która powolutku, lecz konsekwentnie gęstniała z godziny na godzinę, aż trudno było oddychać. Wysłałem pani Wozniak raport e-mailem razem z wynikami analiz DNA i skanami najistotniejszych stron z pamiętnika, a gdy odpisała, nie otworzyłem wiadomości.

Później sytuacja się pogorszyła. Ponieważ nie miałem nic do roboty i nikogo, kto pilnowałby, żebym działał zgodnie z planem, mój zegar biologiczny kompletnie się rozregulował. Z fazy, w której spałem za dużo, przeszedłem do fazy niedosypiania – xanax przestał już działać, kolejne tabletki powodowały tylko paskudny stan zawieszenia, w którym nie mogłem zasnąć, ale nigdy nie byłem pewien, czy rzeczywiście nie śpię. Krążyłem po domu tonącym w półmroku, między pokojami, w których panowała nieprzenikniona ciemność, a jaśniejszymi prostokątami, które mogły być oknami lub drzwiami. Czasem dostawałem zawrotów głowy – nigdy nie byłem pewien, kiedy jest czas posiłku – i musiałem na chwilę usiąść. Kiedy po omacku szukałem wskazówek, w którym jestem pokoju, trafiałem na

same nieznane przedmioty: stołową nogę z rzeźbieniami, których moje palce nie rozpoznawały, tłoczony wzór na tapecie, który wydawał mi się nieznany, wywiniętą krawędź linoleum... chociaż w Ivy House nigdy nie było linoleum. Przedmioty pojawiały się w nieoczekiwanych miejscach: ciężki stary pens z 1949 roku na mojej poduszce, fioletowy kamień równowagi duchowej od Miriam w umywalce w łazience, w lodówce książka.

O dziwo, kiedy myślałem o Susannie i Leonie, nie towarzyszyły temu zgroza, potępienie ani złość, ale zazdrość. W wyobraźni widziałem ich spowitych w głęboką, nieodłączną czerń, która dodawała im świetności; śmierć Dominica trwale nakreśliła ich postacie, nie upiększając ich ani nie deformując, ale po prostu ukazując ich takimi, jakimi byli, w sposób, który zapierał mi dech w piersiach. Własne życie rozmazało się i rozpląnęło na moich oczach; jego kontury zniknęły, zostały starte jednym przypadkowym pociągnięciem, jakby mimochodem, więc rozlewałem się poza swój obrys na wszystkie strony.

Myślę, że Rafferty wiedział. Gdziekolwiek był – nawet jeśli daleko stąd wyciągał notes na miejscu zabójstwa czy podnosił żagiel na solidnej i wytrzymałej łódce – uniósł głowę, zwietrzył mnie i wyczuł, że w końcu jestem gotowy.

\* \* \*

Przyszedł po mnie pewnego zimnego popołudnia, które miało zapach palonych opon. Do mojego mózgu jakoś przedarła się myśl, że od wielu dni, a może nawet tygodni, nie widziałem

słońca, więc wyszedłem usiąść na tarasie i zanim się zorientowałem, że zaczyna zapadać zmierzch i jest lodowato, nie mogłem wykrzesać z siebie energii, by wstać i wrócić do domu. Na niebie wisiały nieruchomo białe i gęste zimowe chmury; ziemię pod drzewami przykrywała gruba warstwa rozmokłych liści. Pod dębami przemykała i myszkowała wiewiórka, wrócił też szary kot i przyczajony w zrytym błocie, lekko poruszając końcem ogona, skradał się w stronę niczego nieświadomego ptaka.

– To twój kot? – odezwał się głos zza moich pleców, zdecydowanie za blisko.

Zanim zdążyłem sobie uświadomić, co robię, zerwałem się na równe nogi i rzuciłem na drugi koniec tarasu; z ust wyrwał mi się krzyk, ręka szukała broni, kamienia, czegokolwiek...

– Jezu, chłopie. – Rafferty uniósł ręce. – To tylko ja.

– O co, kurwa... co... – Z trudem łapałem oddech. – Co...

– Nie chciałem cię przestraszyć. Przepraszam.

– Co... – Wydawał się wyższy, niż go zapamiętałem, bardziej rumiany; mocne łuki szczęki i kości policzkowych rysowały się ostrzej niż kiedyś. Patrząc na niego w szarym świetle, przez moment nie byłem pewien, czy to on. Ale ten głos, głęboki i ciepły jak drewno, nie pozostawiał wątpliwości, że to Rafferty. – Co pan tu robi?

– Pukałem i pukałem, nie słyszałeś. W końcu nacisnąłem klamkę. Drzwi nie są zamknięte. Pomyślałem, że powinienem sprawdzić, czy nic ci się nie stało.

– Wszystko w porządku.

– Nie obraż się, ale wcale nie wyglądasz w porządku. Wyglądasz jak strzęp człowieka. – Wolnym krokiem ruszył przez taras w moją stronę.

Podskoczyła mi adrenalina i dalej rosła. Miał w sobie jakąś dudniącą i wibrującą energię, moc, która niczym ogień pochłaniała powietrze, nie zostawiając mi nic, czym mógłbym oddychać.

– Takie samotne siedzenie w czterech ścianach nie może dobrze wpływać na głowę – powiedział. – Nie chciałbyś na przykład pomieszkać trochę u rodziców?

– Daję sobie radę.

Drgnęła mu brew, postanowił jednak tego nie drążyć.

– Powinieneś zamykać drzwi. To świetna dzielnica, ale mimo wszystko... W dzisiejszych czasach lepiej dmuchać na zimne.

– Zamykam. Musiałem zapomnieć. – Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz otwierałem te drzwi. Możliwe, że były otwarte od wielu dni.

– Właśnie zepsuliśmy mu polowanie – powiedział Rafferty, ruchem głowy wskazując kota. Ptaki odfrunęły; kot zastygł z uniesioną łapą, zerkając na nas nieufnie i zastanawiając się, czy uciec. – Nie jest twój?

– Czasem się tu kręci – odparłem. Dygotałem cały czas. Wcale nie poczułem się lepiej, kiedy się okazało, że nie jest włamywaczem. Jak idiota uwierzyłem Susannie: *Już po wszystkim. Gliniarze odeszli. Możemy zapomnieć o sprawie.* – Nie wiem, czyj jest.

– Moim zdaniem bezdomny. Skóra i kości. Masz jakąś szynkę w plastrach... coś w tym rodzaju?

Nie wiadomo dlaczego, posłusznie poczłapałem do kuchni i zajrzałem do lodówki. Nic mi nie może zrobić, niedługo stąd wyjdzie, mówiłem sobie. Zapomniałem, czego szukam. W końcu dostrzegłem paczkę szynki z kurczaka w plastrach.

Kiedy wyszedłem na taras, Rafferty i kot nadal toczyli pojedynek na spojrzenia.

– Proszę – rzuciłem. Mój głos brzmiał jak zardzewiały.

– O, świetnie. – Rafferty wziął ode mnie wędlinę. – Teraz uwaga. Nie można mu tego rzucić, bo pomyśli, że to kamień albo coś w tym rodzaju, i zwieje. Trzeba... – Swobodnie zszedł po schodach do ogrodu, ciągle zwrócony twarzą do mnie, mówiąc spokojnym i łagodnym tonem: – Trzeba podejść do niego jak najbliżej, rozumiesz? Położyć i wycofać się. Moi zdaniem... – Kot wzdrygnął się, gotowy czmychnąć, i Rafferty natychmiast się zatrzymał. – Tak. Tu powinno wystarczyć. – Pochylił się i położył na ziemi plasterkę wędliny. Oczy kota śledziły każdy jego ruch.

Rafferty wyprostował się płynnym ruchem i krętą trasą wrócił na taras, upuszczając po drodze jeszcze kilka plastrów szynki wyraźnym, szerokim gestem, aby kot na pewno zauważył.

– No... – Odchylił połę płaszcz i usiadł na najwyższym stopniu schodów, tak swobodnie, jakby tu mieszkał. – Jeżeli będziesz to robił mniej więcej raz dziennie, będzie do ciebie przychodził. Wytępi ci szczury.

– Nie mamy szczurów.

– Nie? Jakieś stworzenie wywlokło z drzewa rękę Dominica, żeby sobie podjąć. Co to było, nie szczury?

– Nie wiem – odparłem. – Nie jestem ekspertem od fauny. – Zabrzmiało to trochę beczelnie. Zachowywał się, jakby to była

zwykła niezobowiązująca rozmowa, a ja nie wiedziałem, jak zareagować. Nie potrafiłem podchwycić tego tonu.

Rafferty się zamyślił.

– Lis mógłby przeleźć przez wysoki mur, ale nie ma takich pazurów, żeby się wspiąć na drzewo. Chociaż widziałem kiedyś, jak jednemu się udało. Szukał jajek albo piskląt. Macie tu lisy?

– Nie wiem. Nigdy nie widziałem. – Ręka Dominica chybcząca się w gorliwie pracujących drobnych zębach. Kostki wpadające głęboko w ziemię. Ogród wyglądał jak w tamtą okropną upaloną noc z Susanną i Leonem, był zdeformowany i obcy. Chciałem już wejść do domu.

– Pewnie to możliwe – rzucił Rafferty. Kot ciekawie wyciągał szyję w stronę wędliny. – Usiądź, chłopie. Dopóki będziesz stał, nie podejdzie bliżej.

Po chwili usiadłem na drugim końcu schodów. Wyjął paczkę marlboro.

– Zapalisz? – Na widok mojego wahania uśmiechnął się szeroko. – Toby, wiem, że palisz. Widziałem fajki w twoich rzeczach, kiedy robiliśmy rewizję. Obiecuję, że nie powiem mamusi.

Wziąłem papierosa, a on podał mi ogień, zmuszając mnie, żebym się do niego nachylił. Od tej bliskości napięły mi się wszystkie nerwy. Nie wiedziałem, jak zapytać, co tu w ogóle robi.

Wypełnił płuca dymem, zamknął oczy i powoli go wypuścił.

– Aach. Tego mi było trzeba. Jak sobie radzicie, ty i rodzina? Wszyscy wzięli się w garść?

– Na tyle, na ile się da. – Z niewiadomego powodu była to standardowa odpowiedź, którą powtarzałem kilkaset razy

podczas pogrzebu. – W końcu to nie spadło na nas jak grom z jasnego nieba. Tylko że nie spodziewaliśmy się tego tak szybko.

– To zawsze trudne, wszystko jedno, w jakich okolicznościach do tego dochodzi. Długo się trzeba przyzwyczajać. Popatrz... – Krok za krokiem, ruszając nosem, kot pomalutku podchodził coraz bliżej. – Najlepiej nie zwracaj na niego uwagi – poradził Rafferty. – Zamierzasz wrócić do pracy? Skoro nie musisz tu już mieszkać ze względu na wujka?

– Chyba tak. Nie myślałem jeszcze o tym.

– Przydałbyś się tam. Twój szef... Richard, zgadza się?... bez końca mi opowiadał, jaki jesteś fantastyczny, jacy są bez ciebie zagubieni.

– To miło – powiedziałem, a po chwili, żeby nie zabrzmiało to sarkastycznie, dodałem: – Dobrze to słyszeć.

– Nie tylko mówił – ciągnął rozbawionym tonem Rafferty. – Widziałeś ostatnio twitterowe konto galerii? Od tamtej nocy, kiedy cię napadli, pojawiło się nie więcej niż pięć tweetów, a jeden z nich brzmi: *Cześć, Maeve, możesz sprawdzić, czy to wychodzi? Dzięki, Richard.*

Zdołałem się zaśmiać. Naprawdę już od dawna nie myślałem o powrocie do pracy. Wydawało mi się to zupełnie niewyobrażalne, jak gdyby galeria istniała w jakiejś niedostępnej krainie albo w serialu, który kiedyś oglądałem.

– Musisz tam wrócić i uratować ich przed nimi samymi. Serio, nie ma tam nikogo innego, kto by się znał na internecie?

– Nie bardzo. To znaczy potrafią sprawdzać maile i robić zakupy przez internet, ale media społecznościowe...

– Hm – mruknął Rafferty. Wciąż flegmatyczny, jakby niezainteresowany. – To szaleństwo. Bo jest jeszcze druga rzecz na tym koncju, na którą zwróciłem uwagę. Aż do tygodnia, kiedy się do ciebie włamali, z wielu innych kont obserwowano je, odpowiadano na wpisy, cytowano wasze tweety. Było tego mnóstwo. A po włamaniu... – Uniósł brwi, na policzku zarysowały się zmarszczki od uśmiechu. – Takie pustki, że hula wiatr. Żadne z tych kont nie ćwierknęło. Ani na temat galerii, ani na żaden inny.

– No tak... – odezwałem się po chwili. – Nakrył mnie pan. To standardowa praktyka. Zakłada się masę fałszywych kont, robi się trochę szumu...

Roześmiał się.

– Naprawdę? Tak się właśnie domyślałem, miło, że byłem na właściwym tropie. To chyba też niezła zabawa.

– Może. Bywa niezła.

– Daj spokój. Ci twoi wszyscy wymyśleni dresiarze? Kłótnia o to, czy Gougerowi zabiorą zasiłek, jeżeli dorobi się na sztuce?

Zapadła cisza.

Zmarszczki Rafferty'ego pogłębiły się od jeszcze szerszego uśmiechu.

– Szkoda, że nie widzisz swojej miny. Nie przejmuj się, możesz się spokojnie przyznać. Rozmawialiśmy już z twoim kolegą Tiernanem. Mało nie narobił w spodnie, ale uspokoił się, kiedy zdał sobie sprawę, że nie przyszliśmy go aresztować za wprowadzenie na rynek fałszywego dresiarza.

– No tak. – Byłem bardzo spięty, chociaż nie rozumiałem dlaczego. Bo co właściwie ten gliniarz może mi zrobić? Co go to

obchodzi? Po co w ogóle porusza ten temat?

– Jest dobry, prawda? Nie znam się za bardzo na sztuce, ale te obrazy wydały mi się całkiem przyzwoite.

– Tak. Też tak uważałem.

– Jest szansa, że jeszcze kiedyś je pokażą?

– Wątpię.

– Szkoda. Pewnie ten twój Tiernan może namalować ich więcej, ale mimo wszystko... Nie dziwię ci się, że nie chciałeś, żeby się zmarnowały. Te wszystkie tweety były twoje? Czy pisał je ktoś jeszcze?

– Nie. Tylko ja.

Rafferty bez zdziwienia pokiwał głową.

– Brawo. Naprawdę dobre. Brzmiały autentycznie, człowiek zastanawiał się, co to za historia z tym Gougerem, sprawdzał nowe wiadomości... Sam się na to dałem nabrać. Nic dziwnego, że Richard chce, żebyś wrócił. Patrz, a nie mówiłem... – Wskazał ruchem głowy na kota, który dopadł pierwszy plasterek wędliny i pożerał go, szybko kłapiąc zębami, łapczywie i zarazem delikatnie. – Rób tak przez dwa tygodnie, a będzie ci jeść z ręki.

– Kiedy się pan dowiedział? – spytałem. – O Gougerze?

Wzruszył ramionami, pochylając się, by strzepnąć popiół.

– Jezu, dawno temu. W takim śledztwie sprawdzamy wszystko o wszystkich. Potworna masa informacji, ale to świetnie, o ile wyłowi się z niej coś istotnego. Doszliśmy do wniosku, że Gouger nie ma związku ze sprawą. Uśmieliśmy się z niego i tyle.

– Jasne. Cieszę się, że was rozbawił.

– W pracy korzystamy z każdej okazji, żeby się pośmiać. W tej sprawie nie było ich zbyt wiele.

– Co teraz będzie? – zapytałem. – Śledztwo zostało zamknięte? Czy...

Oczywiście chciałem zadać pytanie „Czy wierzycie, że Hugo zabił Dominica?”, a Rafferty, rzecz jasna, dobrze o tym wiedział. Kazał mi chwilę czekać; bawił się kupką kasztanów, które Zach i Sallie zostawili na tarasie, w zamyśleniu obracał jeden w dłoni. Dzień przygasał, ciemność sypała się na ziemię jak mgiełka drobnego popiołu.

– Powiem tak – odezwał się w końcu, zręcznie kładąc kasztan na szczycie chybotliwej piramidy. – Hugo był pierwszy na naszej liście podejrzanych od początku. Zanim nawet zidentyfikowaliśmy ciało.

– Dlaczego?!

– Po pierwsze – Rafferty wystawił jeden palec – mieszkał tu na stałe i pracował w domu. Miał najlepszy dostęp do drzewa. Żadne z was nigdy nie było tu w pojedynkę, musielibyście działać w tajemnicy przed wujkiem i sobą nawzajem, jakoś wsadzić tam zwłoki tak, żeby nikt tego nie zauważył. Hugo dużo czasu spędzał tu sam.

Drugi palec.

– Był rośłym facetem. Nawet kiedy przyszliśmy tu pierwszy raz, można było odgadnąć, że kiedyś był silny. Nie ma mowy, żeby twój kuzyn albo kuzynka dali radę wciągnąć na to drzewo ciało ważące osiemdziesiąt pięć kilogramów, a potem wpakować je do dziury... na pewno nie mogli tego zrobić w pojedynkę. Ale Hugo...

O mnie nawet nie wspomniał. „Byłem silny – miałem ochotę krzyknąć. – Grałem w rugby, byłem sprawny jak cholera,

umiałem zrobić wszystko!” Papieros smakował pleśnią. Rozgniotłem go na tarasie.

– No i... – Rafferty wyprostował trzeci palec. – Kiedy rozmawiałem z tobą pierwszy raz; w salonie, tego dnia, kiedy pojawiła się czaszka, pamiętasz? Z tej rozmowy utkwiła mi w głowie jedna rzecz. Syn twojej kuzynki, Zach, powiedział, że próbował wcześniej wspinać się na to drzewo, ale mama albo Hugo zawsze kazali mu schodzić. A dwie minuty później twoja kuzynka Susanna powiedziała, że rodzice nie pozwalali wam wchodzić na wiąz, gdy byliście dziećmi, ale Hugo pozwalał. To znaczy, że zanim znalazł się tam Dominic, wasz wujek nie miał nic przeciwko temu, żeby dzieci się tam bawiły, ale kiedy Dominic już tam był, przestał pozwalać.

Hugo wiedział od początku. *Prawda jest chyba taka, że nigdy nie byłem człowiekiem czynu. Raczej człowiekiem inercji. Nie mącić niepotrzebnie, nie robić zamieszania, wszystko ostatecznie się ułoży, jeżeli nie będziesz przeszkadzać...* Być może nie wiedział, które z nas to zrobiło, jedno, dwoje czy troje – tamto ostrożne sondowanie w samochodzie, *...uwazam, że mam pewne prawo wiedzieć, co się stało...* – Wiedział jednak wystarczająco dużo.

– Nie zauważyłeś tego? – spytał Rafferty.

– Nie.

– No tak, w końcu to nie twoje zadanie.

– Nie.

– Dalej... – Rafferty rozkładał już cztery palce, z przyjemnością zaciągając się papierosem. – Nie chcę wchodzić w drastyczne szczegóły, ale trudno nie zauważyć rozkładających się zwłok.

Były przywalone masą błota i liści, które trochę tłumikiły smród, a jesienią i zimą było dostatecznie zimno, ale mimo wszystko. Hugo musiał pójść sprawdzić i przeżył największy szok w życiu, chyba że już wiedział, co mu cuchnie w ogrodzie.

Z dziwnym, wolno narastającym uciskiem w żołądku rozumiałem: Hugo nie tylko wiedział. Kiedy wszyscy zebraliśmy się w salonie, a Zacha roznosiła energia i szukał guza, przywołał go i szepnął mu coś do ucha; Zach rozpromienił się w uśmiechu, pomknął do ogrodu i natychmiast wlaźł na drzewo, na które nigdy nie wolno mu było się wspinać.

*Że w ogrodzie jest ukryty skarb. Co więcej, dokładnie wskazał Zachowi, gdzie ma go szukać. Może nie użył zbyt wielu słów, żeby chłopiec go nie wsypał, ale to nie było konieczne. Lećcie na dwór, będziemy tu przez jakiś czas zajęci, możecie szukać, gdzie chcecie, gdzie tylko chcecie...*

Kiedy zaczęliśmy w trójkę przebąkiwać o naszych obawach, co się stanie z domem, Hugo zrozumiał: jeżeli umrze i zostawi tam szkielet, to będzie tak, jakby zostawił nam zakopaną w ogrodzie uzbrojoną minę. Należało przeprowadzić kontrolowaną eksplozję (*I trzeba jakiegoś wielkiego wstrząsu, żeby przebić tę skorupę i zajrzeć, co się może pod nią kryć*), więc w sekrecie ułożył plan i przystąpił do jego realizacji. Wybrał metodę, przez którą moim zdaniem trochę za bardzo ucierpiał Zach, nawet jeśli był krnąbrnym gówniarzem, ale przypuszczałem, że Hugo nie miał wielkiego wyboru: przecież nie mógł sam wyrwać drzewa z korzeniami ani kazać to zrobić komuś innemu, nie wzbudzając podejrzeń.

*Oczywiście powinienem to zrobić już wiele lat temu. Ale do takiego kroku byłby zdolny tylko określony typ człowieka, którym najwyraźniej nie jestem, a raczej do tej chwili nie byłem...*

Z ostatecznym krokiem, czyli przyznaniem się do winy, zwlekał niemal do ostatniej chwili – ciekawe, czy gdybyśmy się zabrali do porządkowania jego rzeczy, znaleźlibyśmy schowane gdzieś na wszelki wypadek spisane wyznanie winy. Nawet w tej trudnej sytuacji doszukałem się czegoś, co sprawiło mi radość: to, że tak długo z tym czekał. Melissa i ja daliśmy mu tyle szczęścia, że chciał wykorzystać każdy dzień.

– I wreszcie – Rafferty wyprostował już wszystkie pięć palców, jakby chciał pomachać albo zaszalutować – przyszły wyniki badania DNA. Pamiętasz tę dużą starą kurtkę, którą zabraliśmy, kiedy przeszukiwaliśmy dom? Hugo powiedział, że należy do niego.

– Tak.

– Było na niej DNA Dominica. Po wewnętrznej stronie, dokładnie tu. – Poklepał się po prawym boku. – To nie była krew, ale nie przypuszczamy, żeby ofiara krwawiła. Może ślina. Jasne, każdy mógł nosić tę kurtkę, a Dominic mógł zostawić na niej swoje DNA, kiedy bywał w tym domu. Ale kiedy doda się to do reszty rzeczy, które już mamy...

Susanna była naprawdę niezła. Osiemnaście lat, a taka bystra, taka dalekowzroczna. Gdy wersja samobójstwa ostatecznie odpadła, miała pod ręką przygotowany wcześniej plan B – *Namieszać i wciągnąć do tego jak najwięcej osób...* – i prawdopodobnie plan C i plan D, i nie wiadomo co jeszcze.

Ciekawe, co zamierzała zrobić, gdyby policja wtedy aresztowała Hugo, mnie albo Leona... albo gdyby ją wzięła na cel.

– Więc kiedy twój wujek do nas zadzwonił – ciągnął Rafferty – nie byliśmy specjalnie zdziwieni. Znał szczegóły, których nie ujawniliśmy. Na przykład zapytaliśmy go, jak umieścił zwłoki w pniu drzewa. Powiedział, że obwiązał sznurem pierś Dominica, przerzucił sznur przez gałąź, wciągnął ciało na taką wysokość, żeby mógł wejść na drabinę i nakierować je do dziury. I na całej koszuli ofiary rzeczywiście były włókna sznura. Powiedział nam też, że w trakcie tej operacji Dominicowi spadł but, musiał go więc szukać w krzakach po omacku, a potem wrzucił do dziury. I faktycznie, Dominic nie miał jednego buta... but był w dziurze, ale mniej więcej na wysokości jego pasa. Właśnie tego szukamy, kiedy ktoś przyznaje się do winy. Drobiazgów, o których nie miałby pojęcia, gdyby nie mówił prawdy.

A Hugo oczywiście mógł mieć o nich pojęcie. Hałas w ogrodzie w środku nocy, przytłumione rozgorączkowane głosy, szuranie drabiny. Obudził się, zastanawiał chwilę, co to może być, w końcu, zaniepokojony jakimś dziwnym napięciem w powietrzu, wstał i podszedł do okna.

Nie wyszedł do nich. Może nie rozumiał albo nie wierzył w to, co widzi, dopóki nie rozeszła się wiadomość o Dominicu. A może od razu wiedział i z sobie tylko znanych powodów – bo tak będzie najbezpieczniej dla nas, dla jego własnego spokoju, po latach obserwowania wszystkiego z zewnątrz (*człowiek przyzwyczaja się do takiego siebie, jakim jest*) – postanowił zostać

w domu. Zastanawiałem się, do jakiego stopnia kiedykolwiek rozumiałem Hugo.

Ciemność, Susanna opatulona w jego kurtkę ogrodniczą, Leon prawdopodobnie w jakieś moje rzeczy. Hugo nie wiedział, które z nas widzi. Nie chciał wiedzieć: mógł sprawdzić, czyje łóżko jest puste, ale tego nie zrobił. Na dole szmery i skrzypnięcie drzwi, gdy Leon wymykał się z domu, by wyprawić się na Howth Head; długie czekanie, przenikliwe sygnały naszych telefonów, kiedy nadszedł SMS. Znowu czekanie. Cichy zgrzyt klucza w zamku, powrót Leona, szepty o świcie. Szczęk zamykanych drzwi sypialni. Cisza.

Rano Hugo uśmiechał się do nas spokojnie przy śniadaniu, pytał, jakie mamy plany na ten dzień. Pod koniec miesiąca pożegnał nas, gdy ruszaliśmy do college'ów i na spotkanie nowego życia. *Powodzenia! Bawcie się dobrze!* A potem wrócił do Ivy House i zamknął za sobą drzwi.

Dziesięć lat mieszkał z tym w ogrodzie. To był prezent dla nas. Tak bardzo zapragnąłem, aby tu był, że miałem ochotę wyć. Chciałem z nim porozmawiać.

– Pozostawało tylko pytanie – odezwał się Rafferty – jaki był motyw. – Znowu bawił się kasztanem, podrzucając go i zręcznie łapiąc wysoko. – Hugo nie chciał nam zdradzić. Mówił tylko: „Wtedy wydawało się to konieczne” i „Dlaczego chcecie wiedzieć?”. Twierdził, że ma pamięć w strzępach, irytował się, kiedy naciskaliśmy. „Czy wiecie, jaka część mojego mózgu została zepchnięta na bok przez komórki rakowe? Chcecie zobaczyć skany? Ledwie pamiętam, jak mają na imię moi bracia, a wy pytacie o rzeczy, które zdarzyły się dziesięć lat temu...”

Rafferty potrafił nieźle go naśladować. W ogrodzie rozbrzmiał ciepły tembr głosu Hugo z charakterystyczną intonacją i rytmem. Gęstniejący mrok drżał jak naelektryzowany.

– Kerr sądził, że chodziło o to – kontynuował detektyw – że Dominic dręczył twojego kuzyna Leona, ale ja tego nie kupiłem. Gdyby to się stało rok wcześniej, może. Ale kiedy wszyscy kończyliście szkołę? A Leon już nigdy w życiu nie musiałby się spotykać z Dominikiem? Twój wujek nie był typem, który jest gotowy zabić z zemsty. – Zerknął na mnie. – Chyba że się mylę. Źle go oceniłem?

– Nie – odparłem. – Nie był.

– Właśnie. No więc to był brakujący kawałek. Nie za duży, nic wielkiego, śledztwa można przecież zamykać bez ustalenia motywu, ale nie lubię brakujących kawałków. Popatrz... – Kot dotarł do drugiego plasterka wędliny i przycupnął, by go zjeść; tym razem robił to z mniejszym pośpiechem, spoglądając na nas nieufnie jednym okiem. – Już się uspokoił. Wystarczy dać mu trochę czasu i będziesz miał kota.

– Nie chcę kota.

– Koty są świetne. Zwierzę pozwala zapomnieć o problemach, pomyśleć o kimś innym. To bardzo dobrze robi.

– No, może.

Wyjął paczkę papierosów i wyciągnął jednego, zaglądając w półmroku do środka, by sprawdzić, ile zostało.

– A potem Hugo umarł, niech spoczywa w pokoju – podjął – i wyglądało na to, że zostanę bez tego kawałka. No więc miałem zgryz: zamykać śledztwo czy nie?

Wyciągnął do mnie paczkę papierosów. Pokręciłem głową; wzruszył ramionami i wsunął ją do kieszeni.

– Dopiero wtedy przyszła do mnie twoja kuzynka Susanna.

Co?

– Kiedy?

– Dwa dni temu.

*Mówię serio, Toby. Wszystko jest pod kontrolą.* Miałem serdecznie dość Susanny.

– Według niej... – wyciągnął przed siebie nogi, sadowiąc się wygodniej przed kontynuowaniem opowieści – w tamtym roku Dominic trochę jej dokuczał. Nic poważnego: próbował ją namówić, żeby z nim chodziła, a kiedy odmówiła, nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Poskarżyła się wujkowi. Twierdzi, że mogła to trochę przejaskrawić... wiesz, jak nastolatki potrafią przesadzać, coś jest dla nich końcem świata, a na drugi dzień zupełnie o tym zapominają... Susanna ma z tego powodu wyrzuty sumienia. Chciała to po prostu z siebie wyrzucić, ale pewnie wujek źle ją zrozumiał. Pomyślał, że Dominic to jakiś krwiożerczy zboczeniec. Hugo bardzo się o was troszczył, prawda?

Łypnęło na mnie złote oko, rozjaśnione błyskiem płomyka zapalniczki.

– Tak – potwierdziłem.

– No właśnie, zauważyłem. Czyli pojawił się motyw. A na wypadek, gdybym miał jeszcze wątpliwości, Susanna powiedziała mi, że tamtej nocy go widziała. W ogrodzie.

– Co...

– Nie mówiła ci?

– Nie.

– Hm. Myślałem, że powie. Nie przyszlaby do ciebie z taką ważną sprawą?

– Najwyraźniej nie.

Jeżeli nawet Rafferty wyczuł nutę gorczy, nie dał tego po sobie poznać.

– Tamtej nocy, kiedy zaginął Dominic, twoją kuzynkę obudził esemes – powiedział. – Ta słynna wiadomość *Przepraszam*. Nie mogła z powrotem zasnąć. Nagle usłyszała jakiś hałas w głębi ogrodu, więc podeszła do okna, żeby zobaczyć, co się dzieje. To był Hugo, który włókł po trawie coś ciężkiego, ale było za ciemno, żeby mogła zobaczyć, co to jest. Wtedy pomyślała, że wujek nie może spać, więc postanowił popracować trochę przy skalniaku, który tam urządził. Podobno Hugo cierpiał na bezsenność, to prawda?

– Nie pamiętam.

– W każdym razie tak przypuszczała Susanna. No bo dlaczego miałyby pomyśleć coś innego? Zapytałem ją, czy w ogrodzie mogłeś być ty albo Leon, ale odpowiedziała, że nie, Hugo był znacznie wyższy niż wy dwaj i nosił wtedy długie włosy, więc nie mogła go pomylić z tobą.

Bardzo łaskawie z jej strony.

– Zapytałem, czy to mógłby być ktoś inny – ciągnął Rafferty – a ona na to, że tak, możliwe, to mógł być jakiś inny wysoki facet z długimi włosami. Nie przyglądała się za długo. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie iść do ogrodu, żeby pomóc wujkowi, ale rano musiała iść do pracy, więc wróciła do łóżka. Kiedy się dowiedziała, że Dominic popełnił samobójstwo, skacząc z Howth

Head, nie przyszło jej na myśl, żeby skojarzyć to z Hugo, który grzebał przy skalniaku... co chyba zrozumiałe, prawda? – Rzucił na mnie okiem.

– Chyba tak.

– Połapała się jednak, kiedy zidentyfikowaliśmy szkielet. Twoja kuzynka nie jest głupia.

– Nie jest – zgodziłem się z nim.

– Właśnie. Ale po znalezieniu szczątków Dominica nie zamierzała nic mówić, żeby nie psuć wujkowi ostatnich miesięcy życia. No więc nie puszczała pary z ust. Czasem podrzucała jakąś informację, która wskazywała na Leona albo... – drwiące spojrzenie z ukosa – na ciebie. Żeby zmylić trop, odwrócić naszą uwagę od Hugo. Wiedziała, że na dłuższą metę nikt na tym nie ucierpi. Ufa policji, doszła więc do wniosku, że nie aresztowalibyśmy niewłaściwej osoby... a nawet gdyby tak się stało, mogłaby się wtedy do nas zgłosić i złożyć zeznanie. Zamierzała jednak powiedzieć nam o wszystkim po śmierci wujka.

W to nie wątpiłem. Tylko w ogóle nie przyszło jej na myśl, że Hugo może mieć własne plany. Nie doceniła go; uznała, że łagodny i poczciwy Hugo jak zawsze podda się biegowi wypadków. A zatem nie była aż tak przenikliwa. Kto jak kto, ale Susanna powinna zdawać sobie sprawę, że tak wielkie wstrząsy mogą kruszyć opoki, przesuwają płyty tektoniczne, zmieniać krajobraz nie do poznania.

– Teraz wszystko układa się w zgrabną całość – powiedział Rafferty. – Wyjaśniam już tylko ostatnie szczegóły, żeby złożyć raport i zamknąć sprawę. Na przykład zająłem się informacją, że

Dominic przystawiał się do Susanny. Chciałem sprawdzić, czy się potwierdzi.

Jakiś ruch, trzepot chłodu. Kot w ogrodzie – teraz było widać już tylko jego sylwetkę – gwałtownie zadarł łeb i nieruchomo spoglądał na coś niewidzialnego w powietrzu.

– I potwierdza się? – spytałem.

Rafferty wykonał niezdecydowany ruch dłonią.

– Szczerze mówiąc, i tak, i nie. Wszystkie koleżanki Susanny potwierdzają, że jej dokuczał, ale nie są zgodne co do tego, w jakim stopniu. Część z nich mówi, że to była tylko zabawa; część zgadza się z nią, że to było nieprzyjemne, ale nie stanowiło jakiegoś wielkiego problemu. Natomiast kilka z nich... dziwne, bo tylko te, które były z nią najbliżej... twierdzi, że to była poważna sprawa. Naprawdę bardzo poważna. – Zerknął na mnie. – Chciałbym wiedzieć, jak ty to pamiętasz.

A więc po to przyszedł, to chciał ze mnie wyciągnąć? Nie było w nim niczego, co budziłoby moje zaufanie, więc nie miałem pewności...

– Tak jak mówi Susanna – odparłem w końcu. – Dominic działał jej na nerwy, ale to nie było nic wielkiego.

– Rozmawiałeś z nim kiedyś na ten temat? Kazałeś mu się od niej odczepić?

– Nie – rzuciłem. Rafferty zdziwiony uniósł brew. – Wydawało mi się, że nie muszę.

– Wygląda na to, że mogłeś się mylić – zauważył kpiącym tonem.

– Pewnie tak. – W resztkach światła jego twarz przecinały smugi cienia. Zapachy ziemi, mokrych liści i spalenizny stawały

się coraz silniejsze.

– Jest jeszcze jedna rzecz. – Wykruszył żar z niedopałka i obejrzał go dokładnie, by się upewnić, czy go zgasił. – Może ma związek ze sprawą, może nie, ale chciałbym wiedzieć. Na koncie pocztowym Dominica było sporo maili, których źródła nie ustalono. Od dziewczyny, za którą podobno się uganiał. Bardzo jej się podobał, nie chciała się jednak do tego przyznawać, na wypadek gdyby tylko ją wkręcał, więc w sytuacjach publicznych mieszała go z błotem. Rozumiesz to? Ale równocześnie chciała dać mu do zrozumienia, że ma na niego chrapkę. – Uśmiechnął się szeroko w coraz głębszym cieniu. – Ależ dramaty, Jezu... Człowiek cieszy się, że już nigdy nie musi być znowu nastolatkiem, co?

Przenikały mnie fale zimna, jakby działo się coś bardzo złego, ale byłem za głupi, żeby się zorientować, co to jest.

– To prawda – przyznałem.

– Kiedy Dominic zaginął, te maile nie wydawały się niczym istotnym. Wszyscy zgodnie twierdzili, że dziewczyny za nim szalały, więc nic dziwnego, że czasem dostawał liścik miłosny. I najwyraźniej nie szalał za nią do tego stopnia, żeby z jej powodu odbierać sobie życie. Chłopcom, którzy prowadzili wtedy śledztwo, nie chciało się nawet sprawdzać, od kogo były te maile. – Przewrócił oczami i żartobliwie wykrzywił usta, jakby chciał powiedzieć: „Cholerni idioci”. – Ale kiedy Susanna opowiedziała mi swoją wersję, pomyślałem, że może były od niej. Przysięga, że nie, że nigdy w życiu nie wysłała do niego maila, ale sytuacja pasuje: Dominic przystawia się do tej dziewczyny, ona każe mu spieprzać. Wszystko się zgadza, prawda?

Znowu przyjaźnie zerknął na mnie, jakbyśmy byli kolegami rozmawiającymi o sprawie przy piwku w przytulnym pubie.

– Chyba – bąknąłem.

– Myślisz, że to ona?

– Nie wiem. – Chłód powoli wsączał się we mnie, coraz głębiej. Powinienem coś o tym wiedzieć, coś mi tu umykało... – Jeżeli naprawdę jej się podobał, po co miałyby pisać maile? Zamiast na przykład umówić się z nim?

Rafferty wzruszył ramionami.

– Może bała się, że robi sobie z niej jaja, jak mówiła. Albo grała niedostępną. A może wcale jej się nie podobał, próbowała go tylko sprowokować, zdobyć dowód, że ją molestował, na przykład wysłałby jej fotkę fiutka. A może sama nie wiedziała, o co jej chodzi. – Znowu uśmiech. – Nastoletnie dziewczyny mają przecież nierówno pod sufitem, zgadza się?

– Chyba.

– Tak w każdym razie słyszę od wszystkich. No więc najpierw zastanawiałem się nad tym, ale potem... – Rafferty siedział swobodnie i wygodnie, podpierając się łokciami, by mieć widok na ogród. – Potem przypomniałem sobie tamte tweety. Znałem już osobę, której sporą frajdę sprawiało udawanie w internecie kogoś innego, osobę, która lubiła nabierać innych. I która była w tym naprawdę niezła.

Oblała mnie następna fala zimna. Biło od ziemi, przenikając kości. Nie czułem stóp.

– Ty wysyłałeś te maile do Dominica, prawda?

– Nie wiem – powiedziałem. – Nie pamiętam.

Rafferty głośno wypuścił z płuc powietrze, z mieszaniną irytacji i rozbawienia.

– Och, Toby. Daj spokój. Znowu to samo?

– Nie pamiętam.

– Wysłałeś tyle fałszywych maili, że zapomniałeś o paru innych? Do chłopaka, który niedługo potem zginął?

– Nie! Nie pamięć...

– Dobrze. Spróbujmy inaczej. Czy kiedy byłeś nastolatkiem, wysłałeś kiedykolwiek fałszywego maila?

– Nie przypominam sobie. – W rzeczywistości miałem wrażenie, że to może nie być prawda... Dec i ja chichoczący przed szkolnym komputerem... *Nie, lepiej trochę złagodzić, on się nigdy nie da nabrać na takie...*

– Hm – mruknął Rafferty. – Pamiętasz niejakiego Lorcana Mullana? Był w twojej klasie.

– Tak. Co on ma wspólnego z...

– Twierdzi, że w ostatniej klasie wiosną dostał kilka maili od dziewczyny, której się podobał. Nie chciała mu zdradzić swojego imienia, pisała tylko, że go widuje i że on ją kręci. Lorcan nie cieszył się zbyt wielkim powodzeniem u pańienek, jak sam mówi, był chudy i pryszczaty, więc mail go zachwyił. Dziewczyna wspomniała, że jest w drużynie hokejowej, i pisała inne rzeczy, żeby wiedział, że jest wysportowana. Po wymianie kilku wiadomości wyraziła ochotę na spotkanie z nim. Ustalili miejsce i porę. Lorcan włożył najseksowniejszą koszulę, wylał na siebie pół dezodorantu, ale kiedy stawiał się w umówionym miejscu, zobaczył tylko ciebie i twojego kumpla Deca, jak pokładacie się ze śmiechu.

To był pomysł Deca. Nudził się na informatyce, rozpierała go energia, w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. *Słuchaj, zobaczymy, kto by się dał złapać...* To nie był tylko Lorcan, prócz niego jeszcze trzech czy czterech chłopaków, starannie wybranych ze względu na ich łatwowierność, desperację i ogólną ciapowatość, ale najwyraźniej tylko Lorcan okazał się na tyle tępy, by uwierzyć w to do końca.

– Byliśmy wtedy gówniarzami – powiedziałem. – Wszyscy. Na pewno ktoś kiedyś próbował mnie wkręcić w taki sam sposób.

– Och, mogliście się zachować znacznie gorzej – przyznał uczciwie Rafferty. – Nawet Lorcan to potwierdza. Spodziewał się, że roztrąbicie o tym wszędzie i każdy będzie się z niego nabijał, dopóki nie zmieni szkoły, a może nawet nie wyjedzie z kraju. Ale z tego, co Lorcan wie, nie pisnęliście nikomu ani słowa. Nie zamierzaliście mu zniszczyć życia, jak mogliby zrobić niektórzy. Chcieliście się tylko zabawić.

Tyle że jednak komuś powiedzieliśmy. Sean nie śmiał się, jak myśleliśmy, ale pakując w szatni książki, spojrzał na nas przez ramię z lekkim niesmakiem. *Kurwa, Lorcan? Jak chcecie wyciąć komuś numer, to spróbujcie z kimś ze swojej ligi. Żeby to było prawdziwe wyzwanie.*

– Wygląda na to – ciągnął Rafferty – że może w ten sam sposób chcieliście się zabawić kosztem Dominica. Przecież gnoił twojego kuzyna, zasłużył sobie na to, prawda?

Na pewno po numerze z Lorcanem przestałoby nas to interesować i postaralibyśmy znaleźć sobie nową kretyńską zabawę. To było w stylu Deca – raz zwykle mu wystarczało. Sam nigdy nie wpadłbym na taki pomysł. Gdyby nie on, na pewno nie

powtarzałbym tego sam... Ale zawsze liczyłem się ze zdaniem Seana. Ten niesmak na jego twarzy. *Spróbujcie z kimś ze swojej ligi.*

– Te maile... – Było mi tak zimno, że nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek jeszcze będzie mi ciepło. – Do Lorcana... Czy przychodziły z... z tego samego adresu co maile do Dominica?

Rafferty zmierzył mnie przeciągłym, zaciekawionym spojrzeniem.

– Naprawdę nie pamiętasz?

– Nie.

Po chwili ustąpił.

– Nie wiemy. Lorcan skasował wiadomości, gdy tylko się dowiedział, że dał się nabrać, a serwer nie przechowuje tak długo danych. Nie przypominasz sobie nic a nic, z jakiego adresu korzystałeś? Nie pamiętasz nawet części nazwy?

– Nie. – Konto założył Dec, garbiąc się nad klawiaturą i chichocząc jak wariat, a kiedy próbowałem otworzyć usta, kopał mnie pod stołem, żebym się zamknął.

– Szkoda – rzucił Rafferty po chwili ciszy, która wydawała się ciągnąć w nieskończoność. – Declan twierdzi, że też sobie nie przypomina. Dobrze pamięta maile do Lorcana... i paru innych, nawiasem mówiąc... ale twierdzi, że nigdy nie wysyłał maili do Dominica. I ja mu wierzę.

Powiedziałbym o tym Seanowi, na pewno bym to zrobił, żeby mu pokazać, że nie zaczepiam tylko cienkich bolków. Chyba że... chyba że Dominic zniknął, zanim zdążyłem mu powiedzieć, i pomyślałem, że popełnił samobójstwo – być może, że znikomą dozą prawdopodobieństwa – przez moje maile. Dominic, który

już świrował z powodu wyników egzaminów, zorientował się, że dał się wkręcić jak ostatni palant; niby nic, ale o jedno nic za dużo... Jeślibym doszedł do wniosku, że to choć trochę prawdopodobne, trzymałbym język za zębami. Po co się przyznawać i denerwować ludzi? To i tak niczego by nie naprawiło, nigdy nie byłoby pewności, więc po co się zadreć. *Cały ty... kiedy coś psuje ci samopoczucie, zaraz wyrzucasz to z głowy.*

Rafferty westchnął.

– Chyba nigdy się nie dowiemy. Chociaż bardzo bym chciał. Bo jeżeli te maile zachęciły Dominica, żeby dalej przystawiał się do Susanny? I za to został zabity? Wtedy, bez względu na to, kto naprawdę zabił, autor maili pomógł zrobić z Dominica ofiarę zabójstwa.

Nie mogłem wykrzesać z siebie nawet odrobiny przerażenia. Tak naprawdę nie miałem dość Susanny; miałem dość siebie, skrzywdzonego niewiniątka, szlachetnego rycerza, przebiegłego detektywa, mordercy, samolubnego palanta, który o niczym nie miał pojęcia, do wyboru, do koloru, co za różnica, jutro wszystko znowu się zmieni, znowu będzie do wzięcia. Bezkształtna masa, groteskowo giętka i elastyczna, dawała się lepić jak ciastolina, przybierając formę, jakiej życzył sobie ten, który tego dnia był szefem... robiło mi się od niej niedobrze.

Ogród był czarny i niebiesko-biały; oplecione bluszczem drzewa stały nieruchomo jak pomniki. Kot gdzieś się wymknął. W powietrzu wirowały zwiewne nasiona brzozy, sypiąc się jak płatki śniegu albo popiołu.

W mojej głowie bez przerwy brzęczał głos Rafferty'ego. Mimo to dopiero po chwili usłyszałem jego słowa: *...bez względu na to, kto naprawdę zabił...*

– Uważa pan, że Hugo tego nie zrobił – powiedziałem.

Nie odwrócił się do mnie.

– Już ci mówiłem. Wszystko wskazuje na niego. Teraz mam jeszcze motyw i świadka. Gdyby doszło do procesu, postawiłbym duże pieniądze na wyrok skazujący.

– Ale nie sądzi pan, że to on. – Jakiś głęboko ukryty przytomny zakamarek umysłu podpowiedział mi, że powinienem się bać. Nawet pół roku wcześniej nie mógłbym się równać z Raffertym; teraz, gdyby uznał, że jestem podejrzany, mógł mnie metodycznie rozedrzeć na sztuki, kawałek po kawałku, dopóki nie przyznałbym się do zamordowania Dominica, i prawdopodobnie uwierzyłbym w każde słowo. Mogłem się zdobyć tylko na słaby odruch obronny wywołany zwierzęcym strachem.

Powietrze było tak nieruchome, że usłyszałem ciche westchnienie Rafferty'ego.

– W tym fachu bardzo często wiadomo, z jakim rodzajem umysłu ma się do czynienia. Można to wyczuć, tam. – Wskazał głową na ogród. – Tym razem poczułem to bardzo mocno. Przeważnie okazuje się, że to jakiś pajac. Półgłówek, który załatwia konkurencyjnego dilera, jakiś bydlak, który kolejny raz się upija i zadaje o jeden cios za dużo. A to od początku było zupełnie inne. Ten ktoś jest oazą spokoju, planuje dwadzieścia ruchów do przodu. Nie da się przestraszyć, zmylić ani sterroryzować. Hugo zupełnie do tego nie pasował.

– W takim razie dlaczego go pan aresztował? – zapytałem.  
Lekko uniósł jedno ramię.

– Intuicja to świetna rzecz, ale muszę się opierać na dowodach. Dowody świadczą, że to był on. Jeżeli jednak wiesz, że nie... – Odwrócił do mnie głowę. Widziałem tylko jego oczy i ciemność. – Jeżeli masz coś, co wskazuje na kogoś innego, i nie chcesz, żeby Hugo przeszedł do historii jako morderca, musisz mi to powiedzieć.

– Nie zabiłem Dominica – oświadczyłem.

Niezaskoczony tym, pokiwał głową.

– Ale napisałeś te maile. – Uniósł rękę, żebym mu nie przerywał. – Obaj o tym wiemy. Nie jesteś świętym niewiniątkiem. Twój wujek, jeżeli się nie mylę, był dobrym człowiekiem. Jesteś mu to winien.

A więc po to przyszedł. Mimo wszystko nie po mnie; chciał mnie przekonać, żebym wydał Leona i Susannę.

Niewiele brakowało, żebym to zrobił. Czemu nie? Pieprzyć tych dwoje! Niech Rafferty pójdzie do nich, rozsiądzie się na tarasie, częstuje ich papierosami i powoli ich rozpruwa. Niech Susanna się z tego wykręci, skoro jest taka bystra. Przecież podsunęła mnie Rafferty'emu na talerzu: proszę spojrzeć, jaki smakowity! Ale chodziło o więcej, o znacznie więcej: oni mnie z tego wyłączyli. Mogłem się stać taki jak oni, zmienić się, zahartować; tamtej nocy w moim mieszkaniu mogłem wyjść z tego cało, gdyby tylko na tyle we mnie uwierzyli, żeby mnie wziąć ze sobą.

Tylko że to wszystko było mniej istotne od braku zdziwienia w głosie Rafferty'ego. Dopiero teraz to sobie uświadomiłem.

– Nigdy pan nie podejrzewał, że to ja – powiedziałem.

– Nie, ty też zupełnie nie pasowałeś, twoja bluza nie miała tu nic do rzeczy. Wiem... – Odrobinę podniósł głos, widząc, że chcę się odezwać. – Wiem, że to było dziesięć lat temu, wiem o urazie głowy. Ale tak naprawdę, jeśli nie liczyć tego wszystkiego, ludzie są, jacy są. A ty do tego nie pasowałeś.

– Nawet kiedy przyniósł pan zdjęcia. Sprawiał pan wrażenie, że zamierza mnie aresztować. A pan... pan... – Wcześniej myślałem o nim jak o błyskotliwym przeciwniku, którego jakoś przechytrzę, jeśli będę ostrożny. Nie byłem dla niego żadnym przeciwnikiem. Nie byłem nawet człowiekiem, tylko użytecznym rekwizytem, który mógł starannie umieścić w każdej pozycji, jaka była korzystna dla jego strategii. – Użył mnie pan jako przynęty. Żeby Hugo przyznał się do winy.

Wzruszył jednym ramieniem.

– Poskutkowało – rzucił.

– A gdyby nie? Co by pan zrobił? Aresztował mnie? Zamknął?

– Chcę mieć winowajcę. Albo winowajczynię.

Znowu przeszył mnie dreszcz przerażenia. Był jak drapieżny ptak, nie okrutny, nie dobry ani zły, tylko zupełnie posłuszny swojej naturze. Ta niezłomna czystość jego drapieżności przekraczała moją wyobraźnię.

A potem nastąpiła jedna z chwil, do których wracam bez końca, których nie potrafię sobie wybaczyć; bo w głębi duszy jednak wiedziałem, domyślałem się, że nie powinienem o to pytać. Wydawało mi się jednak, że jego odpowiedź wyjaśni wszystko, będzie ostateczna i najważniejsza, jakby udzielił jej jakiś bóg.

– Dlaczego ja? Dlaczego nie Leon? Przecież to on był... to jego dręczył Dominic. Dlaczego nie...

– Bo byłeś moim najpewniejszym kandydatem – wyjaśnił z prostotą Rafferty.

Serce waliło mi wolnym, ciężkim łomotem.

– Dlaczego?!

– Chcesz wiedzieć?

– Tak, chcę.

– No dobrze. – Poprawił się, opierając łokcie na kolanach i sadowiąc się w wygodnej pozycji, żeby mi spokojnie wszystko wytłumaczyć. – Jasne, mógłbym postawić na Leona. Jeżeli chodzi o dowody, miałem na niego to samo co na ciebie. Ale... jak zauważyłeś tamtego dnia, mówiąc o bluzie, pamiętasz?... nie było żadnego niezbitego dowodu. Miałem same poszlaki. W sprawie poszlakowej bardzo wiele zależy od tego, co przysięgli myślą o oskarżonym. Powiedzmy, że stawiamy przed sądem Susanne. Tak? Wspaniałą matkę i żonę, przedstawicielkę klasy średniej. Elokwentną, z dobrej rodziny. Wyszła za swojego ukochanego z college'u, jest tak oddana dzieciom, że poświęciła dla nich karierę. Nie należy do piękności, nie stroi się nadmiernie, więc nie jest złą, podstępna suką. Z drugiej strony nie jest brzydka ani gruba, więc nie sprawia wrażenia odrażającej nieudacznicy. Wykształcona, więc nie jest dresiarą, ale nie aż tak wykształcona, żeby zadzierać nosa i udawać kogoś z elity. Na tyle silna, żeby traktować ją poważnie, ale nie przesadnie silna, więc nie jest arogancką krową, której trzeba utrzyć nosa. Gdybyśmy nie mieli niezbitych dowodów, myślisz, że przysięgli głosowaliby za skazaniem?

– Pewnie nie.

– Absolutnie wykluczone. Z Leonem... – wykonał niezdecydowany ruch ręką – moglibyśmy spróbować. Podejrzany tryb życia i tak dalej. Wiele osób wciąż uważa, że geje są trochę niezrównoważeni... wiesz, nie można patrzeć na tych pretensjonalnych typków. Gdybyśmy dysponowali jednym konkretnym dowodem, świadkiem, DNA, czymkolwiek, miałybyś sto procent racji. Byłby moim pewniakiem. Ale nie było żadnego konkretnego. Podobnie jak Susanna, z dobrej rodziny, dobrze sytuowany, mówi z ładnym akcentem klasy średniej; przystojny, ale nie aż tak, żeby sprawiać wrażenie zarozumiałego palanta, ładnie się wysławia, inteligentny, sympatyczny... Wystarczy ubrać go w porządną garnitur, pozbyć się tej głupiej fryzury i wypadłby doskonale. Ten miły chłopak miałby być zabójcą? Och, nie.

Rzędy ciemnych, ślepych okien w bloku za ogrodem; w tym świetle wyglądały jak wyrwane nierówne dziury w pustce. Na zdartych plakatach i przewróconych krzesłach rosła warstwa kurzu. Znikąd żadnego dźwięku, dalekiego ryku motocykla, krzyku, strzępów muzyki.

– Z tobą jednak – ciągnął rzeczowo Rafferty – coś mogłoby się udać.

Zdumiewający moment: przez ułamek sekundy miałem ochotę roześmiać mu się w twarz. Akurat ja, na litość boską, kto w ogóle by uwierzył? Może powinienem w tym widzieć triumf ducha ludzkiego: nawet po tym wszystkim jakiś skrawek mojego umysłu naprawdę wierzył, że nadal jestem sobą.

– Drobiazgi mają ogromne znaczenie – wyjaśnił Rafferty. – Jak na przykład twoja powieka, wiesz, która opada... – Pokazał palcem. – I utykanie. Trochę niewyraźne wymawianie słów... tylko gdy jesteś zestresowany. W normalnej sytuacji nikt nie zwróciłby na to uwagi, ale wiadomo, że stawanie przed sądem jest stresujące. Te nerwowe ruchy, drżenie. Zacinanie się, plątanie zdań. I czasem ten wyraz twarzy, jakbyś nie do końca kontaktował... rozkojarzenie. – Nachylił się bliżej. – Nie nabijam się z ciebie. W normalnym życiu, wśród ludzi, którzy cię znają, to nie ma żadnego znaczenia. Ale przysięgli nie lubią takich rzeczy. Dla nich to oznaka, że coś jest z tobą nie tak. A gdy tak pomyślą, to już tylko mały kroczek do wniosku, że jesteś zabójcą.

Drzewa poruszały się nieznacznie z cichym chrobotem, chociaż nie było wiatru. Cienie gałęzi kreśliły na gołej ziemi ostre linie, jak szczeliny po trzęsieniu ziemi. Silniej wyczuwało się zapach palonych opon.

– No i pamięć – dodał Rafferty. – Susanna i Leon mogliby przysiąc, że nie mieli nic wspólnego z tym, co spotkało Dominica. Wystarczyłoby im przekonać przysięgłych, że mówią prawdę. Dla ciebie nie miałyby znaczenia, czy przekonasz przysięgłych, czy nie. Moglibyśmy udowodnić, że masz pamięć podziurawioną jak sito. To, co padłoby z twoich ust, nie byłoby warte funta kłaków.

– To wszystko nie moja wina! – powiedziałem o wiele za głośno. Wiedziałem, że to niedorzeczne, mimo to słowa same wyrwały mi się z ust. – Ja tego nie chciałem, do cholery!

– Co z tego? – spytał łagodnie Rafferty.

– Nie może pan na tym... wykorzystać tego przeciwko mnie...  
– Przyływ wściekłości był tak obezwładniający, że plątał mi język, mówiłem jak pieprzony kretyn, co stanowiło dowód, że Rafferty miał rację. Miałem ochotę okładać się pięściami. – Nie może pan udawać, że to, to, to... To nie ma znaczenia!

– Ale miałyby – zauważył rzeczowym tonem.

Nie umiałem na to odpowiedzieć; ledwie mogłem oddychać.

– Nie twierdzę, że kiedykolwiek posunąłbym się do tego – uspokoił mnie. – Na pewno nie. Przysięgam. Nie mam zwyczaju wsadzać za zabójstwa niewinnych ludzi. Ale wcale nie musiałem tego robić. Musiałem tylko przekonać twojego wujka, że mogę to zrobić. Dlatego wybrałem ciebie, a nie Leona. Bo Hugo, równie dobrze jak ja, wiedział, że gdybyś stanął przed sądem, miałybyś przesrane.

Powiedział do mnie coś jeszcze. Wciąż widzę błysk dwuznacznego uśmiechu, który rozjaśnił mu twarz, i poświęciłem setki, może tysiące godzin, aby sobie przypomnieć, co wtedy mówił, ale nie potrafię, bo gdy tylko otworzył usta, uświadomiłem sobie, że zaraz uderzę go w twarz, a kiedy skończył, zadałem cios.

Zaskoczyłem go tym. Pięść trafiła go z tępym trzaskiem i Rafferty runął na bok na taras. Otrząsnął się jednak i zanim wygramoliłem się na nogi – uniosła mnie dziwna zawrotna jasność jak euforia, nareszcie, nareszcie! – znów stał i zbliżał się do mnie pochylony, z wyciągniętymi rękami, naprężony jak uliczny zabijaka. Zamarkował atak na jedną stronę, potem na drugą, a kiedy się uchylałem, uśmiechał się prowokująco.

Rzuciłem się na niego. Zrobił unik, chwycił mnie za rękę, a potem obrócił mnie dookoła i puścił. Bezradnie poleciałem tyłem przez taras, uderzając w ścianę domu. Przyskoczył do mnie, wziął zamach i trzasnął mnie pięścią w nos.

Coś pękło; przez moment byłem ślepy, do ust napłynęła mi krew. Wciągnąłem ją do płuc, zakrztusiłem się, a on już był przy mnie. Chwycił mnie za głowę i zaczął bombardować pięściami w żebra.

Nadepnąłem mu na podbicie i usłyszałem krótki skowyt bólu. Kiedy na sekundę stracił równowagę, odepchnąłem się nogą od ściany.

Spleceni w uścisku, zatoczyliśmy się po tarasie i runęliśmy po schodach do ogrodu. Tam potknęliśmy się o swoje zaplątane nogi i zwaliliśmy się jak jedna kłoda. Zanim zdążyłem się zorientować, co się stało, znalazł się na mnie i zaczął mi wgniatać twarz w błoto.

Był mocniej zbudowany i dziesięć razy silniejszy ode mnie. Ziemia napierała na moje powieki, wypełniała usta. Nie mogłem oddychać.

Niewiele brakowało, żebym skapitulował. Niewiele brakowało, a rozluźniłbym wszystkie obolałe mięśnie i pozwolił się wtłoczyć w warstwę zeszłorocznych liści, pogrążonych w zimowym śnie żyjątek, między dawno zagubione skarby i drobne obłe kostki tkwiące w ziemi. Ale gdy czułem przygniatający mnie gorący ciężar i tuż przy uchu słyszałem chrapliwy oddech, wróciła do mnie tamta noc w mieszkaniu i z wybuchem wściekłości, która rozpałała każdą komórkę

mojego ciała, rozbłysła mi w głowie jedna jedyna myśl: nie tym razem.

Wsunąłem pod siebie kolana, zdołałem się dźwignąć i splunąłem mu w twarz krwią zmieszaną z ziemią. Odskoczył, a ja wpakowałem mu stopę w brzuch, zepchnąłem go z siebie i z trudem podniosłem się i wstałem. Zerwał się na nogi jak kot i rzucił na mnie, lecz wbiłem piętę w ziemię i tym razem jakoś udało mi się ustać. Chwyciłem go i przywarłem do niego.

W półmroku zataczaliśmy chwiejne koła jak groteskowy ślepy potwór, który z gniewnym pomrukiem chybotze się niezgrabnie na kilku nogach. Wszystko działo się w koszmarnej wolnym tempie, nogi tonęły i grzęzły w błocie, ręce szarpały włosy, ubranie i skórę. Mój oddech brzmiał jak rżący bulgot, on sapał chrapliwie jak zwierzę. Poczułem na policzku zęby Rafferty'ego i choć krew zatykała mi nos, mógłbym przysiąc, że poczułem sosnowy aromat jego wody po goleniu. Próbował kopnąć mnie w krocze, ja bezsensownie waliłem go pięścią w tył głowy, ale żaden z nas nie miał na tyle swobody i nie mógł znaleźć punktu oparcia na grząskim gruncie, by zadać mocny cios.

Zmienił chwyt, łapiąc moje udo i podrywając mnie w górę. Udało mi się jednak zacisnąć rękę na jego szyi, kiedy więc rzucił mnie na wznak na ziemię, pociągnąłem go ze sobą. Dokładnie w chwili, gdy powietrze uszło mi z płuc, usłyszałem, jak jego czaszka z potwornym mokrym trzaskiem uderza o kamień.

Leżałem bez ruchu, usiłując złapać oddech. Przygniatał mnie jak worek wilgotnego cementu. Na tle ciemnego nieba unosiły się zdeformowane szare ptaki; pomyślałem, że to ostatnia rzecz, jaką widzę w życiu, ale w końcu udało mi się nabrać wielki haust

powietrza. Okładałem Rafferty'ego rękami, szamotałem się, aż wreszcie udało mi się wysunąć spod niego i podnieść na kolana.

Powoli, centymetr po centymetrze, dźwignął się, by stanąć na czworakach, i obrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. Miał ogromne i zupełnie czarne obce oczy; z wielkiej rany na czole płynęła krew, spływała mu po twarzy szerokimi, ciemnymi strumieniami, które lśniły w słabym białoniebieskim świetle. Uniósł wargę, wydał gardłowe warknięcie i zacisnął rękę na moim nadgarstku.

Uderzyłem go w twarz. Zwolnił uścisk, a ja zaatakowałem go obiema pięściami; zadawałem ciosy, wykorzystując do tego masę całego ciała, tłukłem go w głowę, łapałem za włosy i waliłem jego twarzą o ziemię. W ogóle nie czułem, jak rozcinam sobie skórę na palcach; mógłbym przebić na wylot skałę, byłem silny i niezmordowany jak bóg. Ciągłe wydawał te gardłowe dźwięki, więc chciałem je przerwać, już nigdy więcej mnie nie złapie, nigdy nic mi nie zrobi, nigdy, nigdy... Przez dziki łomot mojego serca i głuchą ciszę ogrodu usłyszałem głos Susanny: *A teraz wyobraź sobie... wyobraź sobie, że to zrobiłeś*. Cudowna rozkosz tej chwili, błyskawica bezboleśnie przeszywająca moje kości. Wynurzam się z rzeki na drugim brzegu i wracam do świata, który nareszcie jest znowu mój.

Błyskawica powoli przygasła i w końcu ze mnie uszła. Przestałem okładać Rafferty'ego. Ręce opadły mi bezsilnie jak szmaty, jakby należały do kogoś innego; oddychałem krótkimi, łapczywymi haustami, głośno wciągając powietrze przez usta i zapchany nos. Klęczałem w ziemi, kołysząc się lekko.

Leżał skulony na brzuchu, zasłaniając rękami głowę. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego walczyliśmy. Nie miałem pojęcia, kim on jest i kim ja jestem. Wiedziałem tylko, że jesteśmy dwoma małymi punkcikami ciepła, które zasnuwa ogromna i zimna ciemność.

W powietrzu wisiały jasne nasiona brzozy, które lekko i bezgłośnie opadały na jego ciemne plecy. Wydawał dziwne chrapliwe dźwięki. Po chwili bardzo powoli przewrócił się na bok.

Uniosłem ciężką jak granit rękę i położyłem mu na ramieniu. Jego jedna noga rytmicznie podrygiwała. Pomyślałem, że powinienem położyć się na nim, żeby nasiona brzozy nie zasypały go jak śnieg, nie miałem jednak siły tego zrobić. Nos pulsował mi z bólu, ciemne krople krwi kapały z niego na moje dżinsy.

Czarne splątane gałęzie, jakiś chrobot na dachu. Miałem mglistą świadomość, gdzie jestem; miejsce wydawało się znajome, ale tylko trochę, jak gdybym znał je ze snu albo jakiejś opowieści. Było potwornie zimno.

Po chwili podrygiwanie ustało. Tak samo jak chrapliwe dźwięki. Zostałem sam w ogrodzie.

Kłęczałem z ręką na jego ramieniu, dopóki mogłem kłęczeć. Potem osunąłem się z bólem na ziemię i zwinąłem w kłębek, przyciśnięty do niego plecami. Dygotałem, wstrząsany gwałtownymi spazmami, boleśnie szczękałem zębami, ale jego plecy były ciepłe i mocne, więc w końcu jakoś zasnąłem.

\* \* \*

Obudziło mnie szare światło. Leżałem na boku zwinięty w kłębek, z kolanami pod brzuchem i pięściami przy piersi, jak zwłoki znalezione w mogile z epoki żelaza. W ustach czułem smak ziemi, jedno oko miałem czymś zaklejone. Byłem wilgotny, sztywny i obolały od stóp do głów, i taki zziębnięty, że nie czułem własnej twarzy.

Z trudem uniosłem powoli rękę do oka, ale jej widok mnie zaskoczył; była pokryta zaschniętą krwią; krew zakrzepła w każdym zgięciu, kostki palców były potłuczone i spuchnięte. Kiedy splunąłem na palce i potarłem oko, zobaczyłem na nich jaśniejszą czerwień. Stało się coś złego.

Czułem pod sobą miękką ziemię, ale plecami dotykałem czegoś twardego i bardzo zimnego, więc chciałem się od tego odsunąć. Trwało to wieki, zdawało mi się, jakby każdy ruch rozrywał mięśnie i stawy, ale wreszcie zdołałem usiąść. Dygotałem od wysiłku i bólu, w oczach pulsowały mi czerwone plamy. Splunąłem na ziemię krwią i otarłem usta rękawem.

Monochromatyczny ogród spał pod całunem rosy. Nic się nie poruszało, nie drżał ani jeden liść, w gałęziach nie trzepotał żaden ptak, po ziemi nie dreptał żaden owad. Niebo miało zupełnie nijaką szarą barwę, przez co wydawało się niewidzialne. W bruzdach ziemi narosły zaskpy nasion brzozy.

Ich widok coś mi przypomniał. Był tu ze mną ktoś jeszcze, inny człowiek – odwróciłem się i zobaczyłem go.

Nasiona brzozy obsypały odchyloną połę ciemnego płaszcza, rosa posrebrzyła mu włosy. Miał głowę obróconą na bok, a twarz ukrytą w zgięciu ramienia; druga ręka leżała wyciągnięta nad głową. Jego dłoń wyglądała tak samo jak moja, oblepiona krwią,

ze zdartą skórą na kostkach palców. Próbowałem zdjąć mu rękę z twarzy, by sprawdzić, czy oddycha, ale ani drgnęła; wszystkie mięśnie i stawy zeszywniały, jakby cały zmieniał się w kamień. Jego dłoń była jeszcze zimniejsza niż moja.

Długo to trwało, zanim zdołałem podnieść się na nogi i ruszyć do środka. Potykałem się i garbiłem jak starzec. Rozpaliłem ogień w kominku – stary popiół buchnął w górę, wywołując bolesny atak kaszlu – a potem skuliłem się przed nim, siadając jak najbliżej.

Wszystko powoli wracało, docierając do mnie kawałek po kawałku z głębokim, niewzruszonym zimowym spokojem. Kiedy walczyłem, wydawało mi się to bohaterskim czynem, który rozjaśnił całe niebo potężnym blaskiem wybawienia. Teraz, gdy nastał ponury ranek, nie było po tym śladu. Rafferty nie żył i to ja go zabiłem. Nie po to, żeby ocalić Leona czy Susannę, jak wtedy, kiedy wierzyłem, że zabiłem Dominica, ani nawet nie po to, by ocalić siebie. Zrobiłem to, bo miałem rozpieprzony mózg i uznałem, że to dobry pomysł. I Rafferty nie żył. Niedaleko stąd ktoś zaczyna się zastanawiać, gdzie się podział, dlaczego nie zadzwonił, nie wrócił do domu.

Ściany wyginały się i falowały w blasku skaczących płomieni. Na stoliku piętrzyły się krzywe sterty książek i brudnych talerzy, po podłodze obok mojego kolana zdecydowanym krokiem maszerował pająk.

Moja twarz na tyle odtajała, że poczułem na niej jakąś powłokę; usiłowałem zbadać ją palcami, ale przeszył mnie ból. W drodze do łazienki zatrzymywałem się kilka razy i opierałem o ścianę, dopóki nie minęły zawroty głowy i nie odzyskałem

wzroku. Mój nos w lustrze wyglądał dziwnie, pokryty guzami i jakby przesunięty na bok, twarz okrywała zaskorupiała maska zaschłej krwi i ziemi. Przez chwilę przecierałem ją mokrym ręcznikiem, ale niewiele to zmieniało, a sprawiało zbyt wiele bólu. Nogi ugięły się pode mną i usiadłem na podłodze w łazience. Siedziałem tam bardzo długo, przyciskając obolałe policzki do zimnej płytki na ścianie.

Czekałem na to, o czym mówili Susanna i Leon, na wielką przemianę. *Było jeszcze to.* Na tę potężną moc, którą zyskała Susanna – nikt nie będzie mną więcej pomiatać, jestem superbohaterem, złapię włamywaczy za kark i rzucę do stóp Martina, utkam makiaweliczną intrygę, przez którą palant neurolog będzie łkał u moich stóp i błagał o przebaczenie. Czekałem na cudowną nieważkość, którą poczuł Leon – nic nie ma już znaczenia, nic nie może mi zrobić krzywdy, zrzucę z siebie to potłuczone życie jak poplamioną kurtkę i ruszę szukać czegoś nowego i doskonałego. W blasku ognia oboje lśnili, jakby zrobieni z dziwnego pierwiastka, nieznanego i niezniszczalnego. Czekałem, aż moje ciało ulegnie przemianie, uniosę się z podłogi, rany same się zabliznią, blizny znikną i wszystko wreszcie zyska sens.

Nic takiego się nie stało. Pomyślałem tylko o żonie czy dziewczynie Rafferty'ego, która zaczyna się bać i zastanawia się, czy nie zadzwonić do Kerra; o jego dzieciach, może rozczochranych, ciemnowłosych chłopcach, których rozpiera energia; jak porzucają zabawę i przybiegają zapytać, gdzie jest tata.

W domu coś się lekko poruszało, gdy do środka wkradł się podmuch wiatru. Plamy wilgoci i rysy na ścianie przypominały cień wysokiego omszałego drzewa. Przyćmione światło przesuwało się za brudnym oknem, zasłona prysznicowa zwisała z pękniętego kółka.

Przypomniałem sobie maile do Dominica. A raczej pomyślałem, że sobie przypominam, cokolwiek to mogło znaczyć; ale zobaczyłem to jasno jak na dłoni. W jeden z tych weekendów, kiedy wszyscy działają ci na nerwy, leżałem na łóżku w domu, udając, że się uczę, spięty i niespokojny od nietypowego dla wiosny upału. Susanna wściekła się na mnie za niepocholebną uwagę na temat jednej z jej kluchowatych koleżanek, Leon wygłaszał gorzkie monologi o tym, że wszyscy dajemy się pędzić jak owieczki na rzeź, posłusznie maszerując ze szkoły do college'ów, a potem prosto w korporacyjną paszczę. Żebra bolały mnie po ciosie, który poprzedniego dnia, niby żartem, wymierzył mi Dominic. Z tego paskudnego nastroju mógł mnie wyrwać Sean albo Dec, ale Dec znalazł jakąś parszywą pracę, żeby uzbierać na college, i nigdy go nie było, a Sean siedział gdzieś pewnie z ręką pod bluzką Audrey i nie odbierał telefonu. Miałem ochotę kogoś wkurzyć.

Kiedy pisaliśmy z Dekiem do Lorcana, korzystaliśmy z adresu podobaszmisie@cośtam. Hotmail albo Yahoo. Hasło brzmiało *frajerpompka*.

Przez cały miniony tydzień Susanna chodziła rozdygotana z powodu Dominica, który próbował się do niej przystawiać. Normalnie wydawało mi się to ujmujące – jak na taką bystrą osobę Su potrafiła być kompletną smarkulą, która świruje ze

złości, bo startuje do niej jakiś chłopak – lecz tego dnia brzmiało to jak kiepski teatr, pretekst do świętego oburzenia. Jeżeli chciała mieć powód, proszę bardzo.

*Hej! Wiem, że wściekłam się na ciebie, kiedy złapałeś mnie wtedy za tyłek, ale tak naprawdę straaasznie mnie to podnieciło ;-)*

Nie podpisałem wiadomości – gdyby wszystko się wydało i Susanna przybiegła rzucić mi się z pazurami do oczu, zawsze mogłem się wyprzeć, przybierając swoją najbardziej urażoną minę: „Co? Nigdzie nie wspomniałem, że to od ciebie!”. Dominic mógłby skojarzyć jedno z drugim, a jeśli nie, naprawdę nic mnie to nie obchodziło. Tak czy inaczej, miał w głowie takie siano, że na pewno dałby się nabrać. Jeszcze jeden numer z Susanną, a wyrwałaby mu rękę i rąbnęła go nią w głowę albo zamęczyłaby go wykładem o nietykalności cielesnej. Byli sobie warci. Miałem tylko nadzieję, że przy tym będę.

Potem zdarzyło się coś ciekawszego, minął mi zły nastrój i na parę dni o wszystkim zapomniałem. Kiedy sobie jednak przypomniałem i otworzyłem skrzynkę mailową, okazało się, że Dominic połknął haczyk. *No to czemu zachowałeś się tak wrednie?*

Prychnąłem i znowu zapomniałem o tym na jakiś czas, aż pewnego razu znowu się nudziłem. *Nie wiem, wstydziałam się!!! Pomyślałam, że się nabijasz. W każdym razie to też jest fajne, nie?*

Dominic odpowiedział szerokim uśmiechem. *Ale mnie podjarłaś.*

A potem? Co mu napisałem? Ile wysłałem tych maili? Pamiętałem tylko tyle, ale Rafferty mówił, że „sporo”. Wystarczająco dużo... nawet więcej niż wystarczająco.

*Przysięgam, że się do mnie uśmiechał. Szeroko, z satysfakcją, jakby zrobił coś wyjątkowo oryginalnego i spodziewał się medalu, mówiła Susanna. „Cieszysz się, że mnie widzisz?”*

To wspomnienie powinno prawdopodobnie wzbudzić we mnie falę wstydu, poczucia winy, przerażenia, lecz ogarnął mnie tylko ogromny, bezbrzeżny smutek. To była taka nieważna rzecz. Dzieciaki codziennie robią sobie gorsze kawały, tysiące takich kawałów. Myślałem wtedy, że to nie ma żadnego znaczenia. A jednak z tego powodu wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło, i skończyło się tragedią.

Moja sypialnia wyglądała na niezamieszkaną od lat; w kątach wały się zmięte ubrania, z kłosa zwisały zakurzone pajęczyny, przez szparę między zasłonami wpadał ukośny snop światła. Znalazłem xanax i środki przeciwbólowe wepchnięte w głąb szuflady, po czym rozłożyłem je na łóżku. Zostało ich zaskakująco dużo.

Oczywiście już wcześniej o tym myślałem – w ciągu tych strasznych tygodni, gdy krążyłem po swoim mieszkaniu, nie myślałem prawie o niczym innym. Ale gdy przyszło co do czego, nigdy nie mogłem się na to zdobyć, nawet nie próbowałem. Wydawało mi się, że to z powodu Melissy, matki, ojca – nie zniósłbym myśli, że już nigdy ich nie zobaczę, nie zniósłbym myśli, że któreś z nich mogłoby mnie znaleźć. Tymczasem wcale nie chodziło o to. Prawdziwym powodem była ta niedorzeczna maleńka iskierka, która żarzyła się głęboko w mojej głowie i dawała mi wiarę, że wszystko może się odmienić. Że gdzieś po drugiej stronie tafli tego magicznego szkła przyzywa mnie moje własne życie, ciepłe i jasne jak lato.

Zawsze jeszcze jeden cud, jeszcze jedna szansa. Wyciągną mnie z gruzów parę tygodni po trzęsieniu ziemi, obsypanego pyłem jak biały posąg, poruszającego ledwie jedną ręką, i poniosą w triumfalnym pochodzie. Wyciągną mnie z rwącej rzeki jak trytona, będą ratować na przekór nadziei, dopóki nie zacznę kaszleć i pluć wodą. Jestem szczęściarzem, szczęście mnie nie opuści.

Tyle że teraz w ogrodzie leżał trup detektywa, na rękach miałem jego krew i nie miałem pojęcia, jak moje szczęście mogłoby mnie ocalić. Gdybym nawet zdołał wydłubać dziurę w ziemi i go pogrzebać, przyjdą go szukać. Na pewno powiedział komuś, dokąd się wybiera, zostawił gdzieś niedaleko samochód, namierzą jego telefon. Nie byłem Susanną, która opracowuje kilka planów awaryjnych; tu nie było miejsca na zabawę w mylenie tropów, twierdzenie, że mogło być inaczej albo zrobił to ktoś inny.

Zabiłem człowieka – nawet jeśli tego nie chciałem – więc mógłbym to zrobić po raz kolejny. Tak już będzie zawsze. Nie da się tego cofnąć, nie da się od tego wykręcić, nie da się naprawić ani przeprosić, nie da się ostrugać, wygładzić i zmniejszyć, żeby zmieściło się do małego, poręczniejszego pudełka. Będzie mnie gniotło, dopóki nie nauczę się żyć pod tym trwałym ciężarem.

Po tamtej nocy, kiedy napadnięto mnie w mieszkaniu, nie zwróciłem uwagi na jedną rzecz, chociaż cały czas miałem ją przed oczami, choć była najważniejsza: wtedy nikt nie zginął. Dlatego iskierka nie chciała zgasnąć. Zostałem kulawym, jękającym się półgłówkiem, ale żyłem. Dopóki jest życie, jest nadzieja... Banał aż zęby cierpną, a jednak okazał się prawdą.

Teraz Rafferty nie żył i nie było już miejsca na szczęście ani cuda, ani ostatnie szanse. Miałem przed sobą litą skalną ścianę, od której wyroku nie było odwołania. To koniec.

Połknąłem tabletki, pakując je garściami do ust i popijając wodą z kranu w łazience – myślałem o wódce czy winie, żeby mieć pewność, ale na samą myśl skręcał mi się żołądek, a nie mogłem ryzykować, że wszystko zwrócę. Potem zdjąłem ubranie – zakrwawione i ubłocone, z którego sypały się drobiny ziemi i nasiona brzozy – rzuciłem je na podłogę, włożyłem czysty T-shirt i spodnie od pizamy i położyłem się do łóżka. Pościel była lodowata i lepka. Zwinąłem się w ciasny kłębek, krzywiąc się, gdy dotykałem sińców, a głowę owinąłem kołdrą.

Pomyślałem o Melissie, jak miała grypę i siedziała w moim łóżku zarumieniona od gorączki, trajkocząc z niemądrą i niezachwianą radością, a ja podawałem jej jajka na miękko z grzankami i ziołową herbatę i czytałem jej z telefonu *Kubusia Puchatka*, podczas gdy ona słuchała z głową na mojej piersi. Pomyślałem o matce siedzącej na podłodze i grającej ze mną w wojnę; na ramieniu miała związane w kucyk włosy, niepewnie unosiła dłoń, a jej twarz rozjaśniał bezwiedny półuśmiech. Pomyślałem o ojcu, gdy zasiadał w fotelu w blasku lampy, aby nie spiesząc się, uważnie przeczytać moje wypracowanie, *Bardzo dobrze, podoba mi się, jak zbudowałeś argumentację...* Chciałbym tak leżeć dłużej, chciałbym mieć czas, by wrócić do każdego dobrego wspomnienia, do wszystkich piw i dobrodusznym kłótni z Seanem i Dekiem, wszystkich szalonych nocy w college'u, dziewczyn, wakacji, bajek na dobranoc, nawet lat w Ivy House z Hugo, Susanną i Leonem. Ale byłem zmęczony do szpiku kości,

ciało i umysł odmawiały posłuszeństwa, na przemian jaśniało mi w oczach i ciemniało, a gdy łóżko rozgrzało się i zaczęły działać tabletki, nie mogłem dłużej utrzymać otwartych powiek. Pamiętam tylko, że na koniec pomyślałem, jakie to strasznie smutne, że tak łatwo będzie w końcu zasnąć.

Oczywiście nie udało mi się tego dokonać. W którymś momencie najwidoczniej zadzwoniłem do Melissy i nagrałem jej na pocztę głosowej długą i zawiłą wiadomość, złożoną przede wszystkim z przeprosin i niezrozumiałego bełkotu. Kiedy ją odsłuchiwała, zadzwoniła do moich rodziców, a oni natychmiast przyjechali do Ivy House i znaleźli martwego Rafferty'ego w kałuży krwi i mnie, nie do końca martwego, w kałuży wymiocin. Nie próbuję sobie nawet wyobrazić, jak wyglądało kilka następnych godzin. Ocknąłem się z powrotem w szpitalu, czując się, jakbym miał króla wszystkich kaców i jakby wcześniej ktoś długo i mocno kopał mnie w żołądek. Znowu otaczał mnie smród mieszaniny chorób i środków dezynfekujących, a na krześle obok łóżka siedział umundurowany gliniarz i spoglądał na mnie ponuro.

W pierwszej chwili pomyślałem, że znowu leżę tam z powodu tego, co się stało tamtej nocy w moim mieszkaniu, ale nie mogłem zrozumieć, dlaczego policjant jest na mnie taki wkurzony. Gdy zorientowałem się, że rana głowy jest zablizniona, ogarnęła mnie taka fala paniki – ile czasu tu spędziłem?! – że musiała przyjść pielęgniarka i zrobić mi zastrzyk. Potem wpadło dwóch detektywów, by uciąć sobie ze mną pogawędkę, lecz byłem do tego stopnia otumaniony, że

potrafiłem tylko gapić się na nich rozmarzonym wzrokiem, pytać, czy znaleźli mój samochód i czy nie byłiby uprzejmi i nie sprawdzili, czy moje stopy są na miejscu.

Musiało minąć trochę czasu, zanim zacząłem kojarzyć na tyle, żeby mnie przesłuchano – co w praktyce, zgodnie z instrukcjami udzielonymi przez pierwszorzędnego adwokata, którego wynajęli mi rodzice, sprowadzało się do powtarzania „Nie mam nic do powiedzenia” w odpowiedzi na całe mnóstwo pytań zadawanych przez detektywów, którzy mimo wystudiuowanych obojętnych min wyraźnie mieli ochotę rozszarpać mnie na strzępy, a potem nasikać na resztki.

Jedna z niewielu zrozumiałych części wiadomości, którą zostawiłem Melissie, zawierała takie fragmenty jak „podkradł się do mnie, pomyślałem, że to włamywacz, przestraszył mnie jak...”. Potem następowało nieczytelne mamrotanie, przetykane „przepraszam, bardzo przepraszam” (wysłuchanie tego nagrania w sali rozpraw z pewnością było jedną z najgorszych chwil tej historii, choć miało sporą konkurencję). Zanim doszedłem do siebie na tyle, aby zrozumieć, co się wtedy stało, ustalono już oficjalną wersję, którą moja obrona ostatecznie wykorzystała podczas procesu: Rafferty przyszedł sprawdzić, czy mogę potwierdzić słowa Susanny; drzwi do domu były otwarte (moja matka, Louisa i listonosz zeznali, że w ciągu kilku poprzednich tygodni drzwi nigdy nie były zamknięte na klucz, a czasem nawet były uchylone; podobno listonosz pouczył mnie w tej kwestii, lecz nie sądził, abym wziął to sobie do serca); gospodarz, cierpiący na zespół stresu pourazowego, zaskoczony na ciemnym tarasie, natychmiast przypomniał sobie napaść, która zrujnowała

mu życie, i rzucił się na włamywacza w szale, który uważał za działanie w obronie własnej (biegli, czyli neurolog palant i kilku psychologów, a także przygnębiające szczegóły pochodzące z zeznań mojej rodziny i Melissy, to potwierdzały). W końcu oskarżony, gdy panika minęła, na widok zakrwawionej twarzy Rafferty'ego struchlał z przerażenia do tego stopnia, że usiłował popełnić samobójstwo.

Przypuszczam, że częściowo, na swój pokrętny, zagmatwany sposób, była to prawda. Adwokat przerabiał to ze mną metodycznie i cierpliwie jak staroświecki surowy nauczyciel, który ćwiczy z opóźnionym w rozwoju uczniem łacińskie deklinacje. Z początku nie chciałem nawet słyszeć o składaniu zeznań przed sądem. Nie tylko z powodu, o którym mówił Rafferty – *...gdybyś stanął przed sądem, miałbyś przesrane*. Najważniejsza przyczyna była prostsza. Pozostało niewiele rzeczy, przez które mógłbym się poczuć jeszcze gorzej, niż się czułem, ale chyba pierwsze miejsce wśród nich zajmowała szczegółowa analiza mojego popieprzenia przed publicznością złożoną z rodziny, znajomych, Melissy, przedstawicieli różnych mediów i całego świata.

Adwokat z uporem wbijał mi jednak do głowy, że to moja jedyna szansa, by uniknąć skazania za zabójstwo i wynikającego stąd automatycznie dożywocia, więc w końcu się zgodziłem. Myślę, a może po prostu chcę myśleć, że zrobiłem to przede wszystkim ze względu na rodziców. Nie mogłem zapomnieć widoku matki, gdy weszła do Ivy House – „Toby? Toby, nic ci się nie stało?”. Przez otwarte drzwi do ogrodu wpadał chłód; zobaczyła, że coś leży na ziemi, z osłupieniem i zgrozą ujrzała

twarz Rafferty'ego, a potem wpadała po kolei do zakurzonych pokoi, wbiegła po ciemnych schodach – „Toby!”. Jej głos przeszedł w krzyk, zaczął się łamać – „Toby!” – i wreszcie mnie znalazła, kiedy starałem się umrzeć na jej oczach, tyle że nie potrafiłem przekroczyć tej ostatecznej granicy.

Wystąpiłem przed sądem i na oczach świata, nagi i bezbronny, wykonałem swój numer. Jak na zawołanie dygotałem i dostawałem ataków hiperwentylacji, kiedy adwokat krok po kroku odtworzył ze mną przebieg włamania. Przebrnąłem przez dogłębne opisy każdego z upokarzających następstw napaści („Co się działo, gdy próbował pan samodzielnie wyjść z domu?”, „Kiedy przy załatwianiu formalności związanych z pana kartą kredytową zapytano o pańskie drugie imię, nie potrafił go pan sobie przypomnieć, zgadza się?”, „Widzimy, że opada panu powieka. Czy to jest skutek...?”). Gubiłem wątek i musiałem prosić o powtarzanie pytań. Gdy ktoś upuścił notes na podłogę, wzdrygnąłem się tak gwałtownie, że omal nie spadłem z krzesła. Jąkając się i bełkocząc, odpowiadałem na pytania o śmierć Hugo, a kiedy przeszliśmy do bójki z Raffertym, tak strasznie się zacinałem, że adwokat musiał poprosić o przerwę. Starałem się nie patrzeć na twarze przysięgłych, którzy skrupulatnie oceniali, czy rzeczywiście jestem takim wrakiem; na ładną blondynkę siedzącą w pierwszym rzędzie i jej ogromne oczy, w których malowała się litość. W trakcie przesłuchania przez oskarżenie prokurator przycisnął mnie mocno, starając się pokazać przysięgłym, że symuluję, ale szybko się wycofał, gdy stało się

jasne, że bynajmniej nie udaję i jestem wręcz na krawędzi kompletnego załamania.

Według oskarżenia żywiłem urazę do Rafferty'ego z powodu śmierci Hugo, więc kiedy detektyw przyszedł do mnie, by uzyskać dalsze informacje, które miały potwierdzić, że Hugo jest mordercą, przestałem nad sobą panować i rzuciłem się na niego. Przypuszczam, że w takiej wersji wypadków też tkwiło ziarno prawdy, ale ława przysięgłych – po blisko trzech dniach narad – wybrała wersję obrony. W końcu to, że jestem totalnie popieprzony, nie ulegało wątpliwości. Tylko ja miałem świadomość ironii losu: wszystkie szczegóły, które według Rafferty'ego miały działać przeciwko mnie, czyli bełkotliwa mowa, nerwowość, mętne spojrzenie i niezdolność do koncentracji, okazały się dla mnie ocaleniem. Werdykt (jedenaście głosów do jednego; wśród przysięgłych był wygolony rosły facet, którego zblazowane spojrzenie mówiło, że absolutnie tego nie kupuje) brzmiał: „Nieumyślne spowodowanie śmierci wynikające z ograniczonej zdolności rozpoznania znaczenia czynu”.

Jak mi wyjaśnił adwokat, taki werdykt oznaczał, że sędzia może mnie skazać, na co mu się żywnie podoba – od nadzoru kuratorskiego po dożywotnie więzienie. Miałem szczęście. Sędzia nie mógł mnie nie ukarać, skoro miałem na sumieniu śmierć policjanta, ale uwzględnił moją nieposzlakowaną przeszłość, ogromny potencjał mojej użyteczności dla społeczeństwa, wielkie wsparcie ze strony rodziny (znał na gruncie zawodowym mojego ojca i Phila, choć nie na tyle dobrze, by musiał się wycofać z rozprawy) oraz to, że z powodu stanu psychicznego

i pochodzenia społecznego więzienie prawdopodobnie okazałoby się dla mnie zbyt okrutnym środowiskiem. Skazał mnie na dwanaście lat, z czego dziesięć w zawieszeniu, i wysłał do Centralnego Szpitala Psychiatrycznego, gdzie miałem zostać poddany odpowiedniej terapii, abym pewnego dnia mógł wykorzystać ten potencjał. Nawet Susanna nie musiała mi zwracać uwagi, że gdybym był dresiarzem pochodzącym z rodziny żyjącej z zasiłków, cała historia mogłaby się zakończyć zupełnie inaczej.

\* \* \*

Podczas pobytu w szpitalu Susanna kilka razy mnie nawet odwiedziła. Przypuszczałem, że pierwszy raz przyszła, żeby wy badać, czy zamierzam wsypać ją i Leona przed lekarzami. Nie zamierzałem. Nie z miłości, szlachetności czy czegoś w tym rodzaju, i nie z beztroskiej nonszalancji, z którą kryłem Tiernana. Miałem po prostu wrażenie, że wyrządzono już wystarczająco dużo szkód. Jeżeli cokolwiek można było uratować, chciałem się do tego w jakiś sposób przyczynić.

Susanna wyglądała dobrze. Przyjechała prosto z college'u, miała na sobie jasnoniebieski T-shirt, obcisłe dzinsy i stare buty sportowe. Robiła wrażenie młodej, energicznej i bardzo studenckiej. W sali odwiedzin – wśród rozklekotanych krzesełek poplamionych herbatą i oklejonych gumą do żucia, przykręconego do podłogi stolika i wykonanych na terapii zajęciowej niepokojących obrazów przedstawiających zdeformowane rośliny doniczkowe – sprawiała wrażenie istoty,

która przybyła z innej cywilizacji... zresztą wszyscy odwiedzający tak wyglądali.

Nie próbowała objąć mnie na przywitanie.

– Wyglądasz lepiej – poinformowała mnie. – Chyba się wysypiasz.

– Dzięki. Mają na to tabletki. – Susanna nadal nie była moją ulubienicą. Na pewno twierdziłaby, że zrobiła wszystko, by żadne z nas nie miało kłopotów, i że to nie jej wina, że postanowiłem pobić policjanta, ja jednak widziałem to inaczej.

– Jak tu jest?

– W porządku – odparłem. I w pewnym sensie naprawdę tak było. Kilka pierwszych tygodni było koszmarnych. Monitoring, który miał zapobiec próbom samobójczym, sam w sobie mógł wywołać skłonności samobójcze u najbardziej zrównoważonej osoby. Materac na gołej podłodze, maleńkie okienko w metalowych drzwiach, nieznośne gorąco, wiecznie zapalone światła. Wszędzie napotykałem nieprzeniknione spojrzenia, w których bez wyjątku czaiło się niebezpieczeństwo, lekarzy, którzy mogli postanowić wstrzyknąć mi jakiś środek rozwalający umysł w drobny mak, gdybym zrobił coś nie tak, pacjentów, którzy mogli uznać mnie za diabła i zapragnąć pozbawić mnie twarzy. Panował ciągły hałas, zawsze ktoś krzyczał, śpiewał albo czymś w coś walił, a wszystko wzmacniała akustyka surowych pomieszczeń. Uprzytomniłem sobie też, że nie znam daty zakończenia wyroku, bo dwa lata orzeczone przez sędziego były iluzją – będę tu siedział, dopóki lekarze nie dojdą do wniosku, że jestem wyleczony, a to mogło nastąpić za wiele lat albo nigdy.

Kiedy minął pierwszy szok, zaadaptowałem się jednak bez większych kłopotów. Nikt nie próbował mi wygryźć twarzy ani zastrzykiem wywołać katatonii. Miałem własny pokój – maleńki, przegrzany, z łuszczącą się farbą na ścianach – i uznano, że stanowią tak niewielkie zagrożenie, że wolno mi było wychodzić na spacer do przyszpitalnego parku i uczestniczyć w zajęciach gimnastycznych. Nawet perspektywa nieokreślonego czasu, jaki będę musiał tam spędzić, w dużej mierze przestała mnie przerażać, kiedy zdałem sobie sprawę, że właściwie nie ma żadnego innego miejsca, w którym szczególnie chciałbym być.

– Tom cię pozdrawia – powiedziała Susanna. – I dzieci. Ja i Sallie upiekłyśmy ci ciastka, ale zabrał mi je pielęgniarz... a może strażnik.

– Tak. Na wypadek gdybyś ukryła w nich narkotyki. Albo żyletkę czy coś podobnego.

– Racja, powinnam o tym pomyśleć. – Zerknęła na kamerę zamontowaną w bardzo widocznym miejscu w rogu pod sufitem. – Rodzice też cię pozdrawiają. I Miriam, i Oliver. Miriam mówi, żebyś szybciej dochodził do siebie. Sprawdziła w internecie, że możesz składać wniosek o zwolnienie już po pół roku, więc spodziewa się, że wrócisz do domu na Boże Narodzenie.

– Aha.

– Kiedy powiedziałam jej, że tak różowo to nie wygląda, odparła, że nie doceniam siły pozytywnego myślenia. Umówiła cię już z jakimś guru, który za pomocą reiki usunie z twojej aury złą energię czy coś w tym rodzaju.

– Boże – jęknąłem. – Powiedz jej, że mi się pogorszyło. – Nie miałem zamiaru składać wniosku o zwolnienie, dopóki nie

upłyną te dwa lata. Jeślibym to zrobił wcześniej, to nawet gdybym dostał pozytywną odpowiedź, zostałąm przeniesiony do więzienia. Szpital nie był wprawdzie pięciogwiazdkowym hotelem i część z towarzystwa pozostawiała wiele do życzenia, ale dzięki Bogu nie było tu wojen gangów, gwałtów pod prysznicami i całej tej otoczki zdziczenia, którą (w swoim samozadowoleniu klasy średniej, powiedział mi w głowie głos Susanny) kojarzyłem z więzieniem. Wszyscy w szpitalu mieli na sumieniu dość poważne przestępstwa, lecz nikt z nas – poza kilkoma wyjątkami – nie szukał guza, a ci naprawdę niebezpieczni przebywali osobno. Było tam wielu schizofreników, którzy zwykle trzymali się razem, ale kilku gości z depresją i jeden z zaburzeniami autystycznymi okazali się zaskakująco dobrym towarzystwem. Zwłaszcza facet z autyzmem miał na mnie niezwykle kojący wpływ. Chciał tylko rozmawiać o *Władcy pierścieni* i nie wymagał z mojej strony żadnych reakcji ani nawet uwagi; siedziałem przy oknie w dziennej sali i patrzyłem na park, rozległe trawniki, ozdobnie przystrzyżone krzewy i rozłożyste dęby, a w tle jak nieprzerwany szum wody brzmiał jego rytmiczny, monotony głos.

– Możemy stąd wyjść? – spytała nagle Susanna. – Do parku?

– Chyba tak – odparłem. Mogliśmy, ale było kilku facetów, których wolałbym, żeby nie spotkała, bardziej ze względu na moje własne poczucie godności niż jej.

– To chodźmy. Na dworze jest ślicznie. Kogo mamy zapytać?

Na dworze rzeczywiście było ślicznie: przyszła wiosna, ciepły wietrzyk niósł zapach kwitnącej jabłoni i świeżej trawy, po niebieskim niebie sunęły białe obłoczki. Kwitły krzewy lawendy

zasadzonej po obu stronach ścieżki; wszędzie brzmiał głośny i radosny śpiew ptaków.

– Rany. – Susanna odwróciła się, by spojrzeć na budynek: olbrzymi i rozległy wiktoriański gmach ze spadzistymi dachami i oknami wykuszowymi.

– Trzeba przyznać, że robi wrażenie.

– Chyba spodziewałam się czegoś nowocześniejszego. Bardziej dyskretnego. Przypominającego centrum kultury albo blok. A ten budynek mówi: „Walcie się wszyscy, mamy na strychu stukniętą kobietę i guzik nas obchodzi, kto się o tym dowie”.

Musiałem się zaśmiać. Zerknęła na mnie, uśmiechając się niewyraźnie.

– Dobrze cię tu traktują?

– Nie narzekam.

– Usłyszą nas stąd? To znaczy, są tu jakieś podsłuchy?

– Och, na litość boską...

– Pytam serio.

– Budżet im nie pozwala, żeby kogokolwiek podsłuchiwać. Jest on. – Brodą pokazałem rosłego pielęgniarza, który stał na tarasie, spokojnie kołysząc się na piętach i jednym okiem popatrując na nas, a drugim na gości grających w karty na trawie. – To wszystko.

Skinęła głową. Odwróciła się i ruszyliśmy przed siebie ścieżką wysypaną żwirem, który chrzęścił nam pod stopami. Susanna wystawiła twarz do słońca.

– Co u moich rodziców? – zapytałem.

– O ile wiem, w porządku. Odetchnęli z ulgą. Wiem, że to dziwnie brzmi, ale chyba się bali, że sytuacja może się znacznie

pogorszyć.

– Ja też.

Pokiwała głową.

– Chciałam ci powiedzieć jedną rzecz – odezwała się po chwili.

– O Dominicu.

– No. – Nie miałem ochoty rozmawiać o Dominicu.

– Najpierw tego nie zauważyłam, dopiero parę miesięcy po tym, jak to zrobiliśmy... Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że na początku lata, kiedy jeszcze tylko fantazjowałam o sposobach, w jaki mogę to zrobić, ściągnęłam na komputer Hugo Firefoxa, żeby zbierać informacje bez korzystania z jego Explorera?

– Aha.

– Żeby się nie dowiedział, że szukałam informacji o technikach mordowania. – Ktoś upuścił na ścieżkę opakowanie po kitkacie; podniosła je i schowała do kieszeni. – Ale pomyśl, jak często twoim zdaniem sprawdzał historię wyszukiwania? Myślisz, że w ogóle zwróciłby uwagę, gdyby wyskoczyło mu *Wiązanie garoty*? Przez cały tydzień moglibyśmy codziennie oglądać pornole z orgiami i w ogóle by się nie zorientował. Zresztą gdyby tylko to mnie niepokoiło, mogłam korzystać z Explorera, a po każdej sesji wyczyścić historię, pliki cookie i tymczasowe pliki.

– No tak. – Nie byłem pewien, o co jej właściwie chodzi. Zawsze lubiła wszystko komplikować; zabawa w bezcelowe ściągnięcie przeglądarek była dokładnie w jej stylu.

– Tyle że to rzucałoby się w oczy. Nie chodzi mi o Hugo, ale gdyby komputer sprawdzali gliniarze, zauważyliby, że ktoś wszystko skasował. Nie wiedzieliby, co zostało usunięte,

wyglądałoby to jednak podejrzanie jak diabli. Mogłabym wymyślić jakąś bajeczkę, na przykład że zaglądałam na forum dziewczyn, które się tną, ale gdyby policja się tym zainteresowała, na pewno zażądałaby danych od dostawcy internetu albo Google'a czy kogoś innego. Najlepsze w Firefoxie było to, że potem mogłam go po prostu odinstalować, odpalić program czyszczący i komputer wyglądał, jakby nigdy nic się nie zdarzyło. Zupełnie normalna historia wyszukiwania w Explorerze, bez żadnych dziur. Nie było nic, co zwróciłoby uwagę gliniarzy. I bardzo dobrze, cieszę się, że tak to zrobiłam. Tylko że zrobiłam to, zanim zaczęłam się serio zastanawiać nad zabiciem Dominica.

– I co z tego? – spytałem.

Skręciliśmy w przejście pod szeregiem łuków obrośniętych pnączami, które tworzyły długi tunel. W cieniu roślin było chłodniej, wokół białych kwiatów brzęczały pszczoły.

– No więc kiedy naprawdę zaczęłam to planować – ciągnęła Susanna – z początku pomyślałam, że się zmieniałam. Z powodu Dominica, tego, co mi robił. Uznałam, że właśnie przez to stałam się bezwzględna. Nie twierdzę, że miałam z tym problem... chyba nie. – Zastanawiała się nad tym przez chwilę. – Pewnie powinnam być zachwycona. To by oznaczało, że w ogóle nie było w tym mojej winy, prawda? Bo tak naprawdę to nie ja, to Dominic mnie do tego zmusił. A jednak nie mogłam znieść tej myśli. Najgorsze w tym wszystkim było dla mnie prawdopodobnie to, że zmieniałam się z powodu jakiegoś chłopaka, którego spotkałam przypadkiem, i gdyby znalazł sobie kogoś innego do pomagania mu w nauce albo gdybym zamiast

francuskiego uczyła się hiszpańskiego, byłabym zupełnie inną osobą. Czyli że każdy mógł mnie zmienić, jak chciał, i nie byłabym w stanie nic na to poradzić. Cholernie mnie to podłamało. Być może między innymi dlatego zdecydowałam się to zrobić, nie wiem.

Odsunęła wąs dzikiego wina, starannie wsunęła go za treliaz.

– Ale kiedy przypominałam sobie o tej przegładarce, przeszło mi – mówiła dalej. – Byłam gotowa zabić Dominica i zrobić to skutecznie na długo przed tym, nim zdecydowałam się to zrobić. Te jego numery, przez które, jak mi się wydawało, stawałam się kimś innym, tak naprawdę mnie nie zmieniły. Zawsze byłam bezwzględna. Pytanie tylko, co się musiało stać, żeby to się ujawniło.

Przyglądała mi się, odwróciwszy się do mnie twarzą usianą cętkami słońca; nad nami krążyły muszki. Przypomniałam ją sobie, gdy była dziewczynką, może wzrostu Zacha, i podzieliła się ze mną swoimi m&m'sami, bo płakałam, kiedy moje wpadły do naszego błotnistego bajora.

– Może – powiedziałem. – Chyba sama to wiesz.

– Wiem.

Nie zadałem jej pytań, które mi chodziło po głowie: czy byłem w zasięgu jej bezwzględności, czy poza nim; czy gdyby przyszło co do czego, rzuciłaby mnie wilkom na pożarcie, żeby ratować siebie i Leona. Nie było sensu o to pytać. Na pewno zapewniłaby mnie, że nie ma takiej możliwości, nigdy by do tego nie doszło, od początku do końca miała wszystko pod kontrolą; a to nie byłaby odpowiedź na moje pytania. Przede wszystkim nie miałem jednak pewności, czy chcę to wiedzieć.

– Mówiłaś Tomowi? – spytałem tylko. Nad tym też się zastanawiałem. – O Dominicu?

– Nie – odparła Susanna. – Nie dlatego, że się bałam, że nas wyda albo mnie zostawi. Nie zrobiłby tego. Ale to by go zmartwiło i wytrąciło z równowagi, a nie zamierzam zrzucić mu na barki tego ciężaru tylko po to, żeby sobie pogratulować, że w moim małżeństwie nie ma sekretów. Zresztą... – zerknęła na mnie chłodno – ...nikt inny nie zamierza.

– Ja nie miałem takich planów.

– Ale wiesz co? – dodała, gdy uszliśmy kilka kolejnych kroków. – Czasami myślę, że on wie. O Dominicu i o tym lekarzu. Oczywiście nie ma mowy, żebym go zapytała, mimo to się nad tym zastanawiam. – Znowu zerknęła na mnie. – Co z Melissą?

– Nie jestem pewien – odparłem. – Ale też nie zamierzam pytać.

– Lepiej nie pytaj. Zostaw to.

Wyszliśmy spod pergoli; słońce wydało się zbyt jasne, agresywne.

– A prochy Hugo... – Nie chciałem poruszać tego tematu przy ojcu. – Chciał, żeby je rozsypać w ogrodzie w Ivy House. Zrobiliście to? Czy ktoś...

– Tak, twoja mama nam powiedziała. Ale... – wiatr bawił się kosmykiem jej włosów, uniosła rękę, by założyć go za ucho – nasi ojcowie uznali, że to może być trochę dziwne. Po tym wszystkim. Jest takie jezioro, gdzie wszyscy czterej jeździli na wakacje, kiedy byli mali. W Donegal. Pojechaliśmy tam parę tygodni temu. Wysypaliśmy prochy do wody. Pewnie to nielegalne, ale

w pobliżu nie było nikogo. Piękne miejsce. – Spojrzała na mnie. – Zaczekałibyśmy na ciebie, tylko że...

– Powinniśmy wracać – przerwałem jej. – Czas odwiedzin już chyba minął.

Susanna skinęła głową. Przez sekundę wydawało mi się, że powie coś jeszcze, odwróciła się jednak i ruszyła z powrotem pod roślinny daszek. Wróciliśmy do budynku w milczeniu.

\* \* \*

Oczywiście stale odwiedzali mnie rodzice, Sean i Dec, czasem wujowie i ciotki. Raz zjawił się Richard, ale był tak przybity, że obu nam zrobiło się jeszcze bardziej przykro. Wbił sobie do głowy, że to wszystko stało się z jego winy, że gdyby namawiał mnie do powrotu do pracy, to wyzdrowiałbym szybciej (powiedziałem mu, że to nieprawda). Uważał też, co wydawało się niezbyt logiczne, że gdyby nie był na mnie taki zły z powodu sprawy Gougera, to przed tamtą nocą nie musiałbym zostać dłużej w pracy i nie spotkałbym się z włamywaczami albo nie usłyszałbym ich, bo spałbym jak dziecko, i tak dalej. To oczywiście też była nieprawda, choć bliska temu, w co w głębi duszy wierzyłem, więc trudno mi było się z tym pogodzić, a to oczywiście jeszcze bardziej przybiło Richarda. Potem pisał do mnie co miesiąc, regularnie jak w zegarku – dzielił się plotkami z galerii, opisywał nowych artystów, których właśnie odkrył, a na marginesie dodawał ze smutkiem, jakie wspaniałe rzeczy mógłbym zrobić dla wystawy rzeźb ready-made. Nie przychodził już jednak i nie byłem z tego powodu niezadowolony.

Leon wyjechał do Szwecji, gdzie pracował jako przewodnik wycieczek. Przysyłał mi widokówki, na których pisał parę radosnych, nic nieznaczących zdań. Melissa nie przychodziła. Pisała do mnie długie, urocze listy: mnóstwo zabawnych historii ze sklepu, podobnych do tych, które mi opowiadała, gdy lizałem rany w mieszkaniu; jej współlokatorka, straszna Megan, w końcu doprowadziła do ruiny swój supermodny bar, za co oczywiście winę ponosili wszyscy oprócz niej, a obecnie rozpoczynała karierę trenera rozwoju osobistego. Melissa spotkała w mieście Seana i Audrey, których synek jest absolutnie rozkoszny, ma taką samą wyluzowaną minę jak Sean, i oboje nie mogą się doczekać, kiedy mnie pozna! Mimo czasu, delikatności i troski, które na pewno wkładała w te listy, było w nich coś bezosobowego – równie dobrze mogłaby je pisać do koleżanki z klasy, której nie widziała od dziesięciu lat – i wcale się nie zdziwiłem, gdy wspomniała (subtelnie, jakby to nie było nic ważnego), że wybiera się na jakiś koncert ze swoim chłopakiem. Kilka razy poprawiałem swoją odpowiedź na ten list, starając się z równą delikatnością dać jej do zrozumienia, że nie jestem zły, że życzę jej wszystkiego najlepszego i że chociaż całym sercem pragnąłem dać jej szczęście, to skoro jest to niemożliwe, mam nadzieję, że będzie je mogła znaleźć z kimś innym. Może źle dobrałem ton, może nowy chłopak, co zrozumiałe, nie był mną zachwycony, w każdym razie, choć nie przestała do mnie pisać, jej listy przychodziły rzadziej, były krótsze i bardziej bezosobowe – przypominały korespondencję z chłopakiem, którego wybrała ze strony internetowej jakiejś instytucji charytatywnej. Mimo to uważałem się za szczęściarza. Wielu chłopaków, zwłaszcza tych,

k którzy spędzili tu dziesięć czy dwadzieścia lat, nie dostawało listów ani nikt ich nie odwiedzał.

Pojawił się u mnie również detektyw Martin we własnej osobie. Grałem akurat w ping-ponga – toczył się szalenie skomplikowany, zacięty turniej, który rozpoczął się jakieś sześć lat wcześniej – i kiedy mi powiedziano, że mam gościa, przypuszczałem, że to któregoś z rodziców. Na jego widok – stał plecami do okna w sali odwiedzin, rozglądając się uważnie, jakby sprawdzał, czy ktoś nie ma kontrabandy – stanąłem jak wryty.

– Niespodzianka – powiedział. – Kopę lat.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. W pierwszej chwili pomyślałem, że przyszedł mi dać wycisk. W sali był zainstalowany monitoring, ale nie byłem pewien, co zrobić, jeżeli zaproponuje spacer po parku.

– Wygląda na to, że jesteś w dobrej formie. – Bez pośpiechu zlustrował mnie od stóp do głów. Trochę się postarzał; pogłębiły mu się zmarszczki, skóra na policzkach zaczynała obwisać. – Wstawiłeś sobie ząb – zauważył. – Za moje podatki, co?

– Może – odparłem. Nie ruszał się od okna. Daleko za jego plecami po szarym niebie krążyły ptaki; trawnik miał głęboki odcień zieleni, który zapowiadał deszcz.

– Nie chciałbym, żebyś miał kłopoty z powodzeniem u pań, kiedy stąd wyjdiesz.

Milczałem. Po chwili Martin zaśmiał się i wyjął coś z brązowej teczki.

– Chciałem ci to pokazać.

Nie usiadł ani nie podał mi tego do ręki, rzucił tylko to coś na stolik, żebym sam podszedł. Była to kartka z dwiema kolumnami

zdjęć ponumerowanych od 1 do 8.

– Któryś z tych gości wygląda znajomo?

Byli to sami pucołowaci faceci w wieku dwudziestu kilku lat, głównie dresiarze z tłustymi krótkimi grzywkami.

– Kto to jest? – spytałem.

– Ty mi powiedz.

Zrobiłem wszystko, co mogłem: obejrzałem ich uważnie jednego po drugim, ale ani jeden nie wyglądał choćby trochę znajomo.

– Nie poznaję żadnego – oznajmiłem. – Przykro mi.

– Możesz nie poznawać. Przez ten okropny uraz mózgu i tak dalej.

– Tak. – Nie wiedziałem, czy to miało być ironiczne.

– Parszywe życie. – Rzucił na stolik następny arkusz. – Spróbuj z tymi.

Ci byli młodszy i chudsi, a widok zdjęcia jednego z nich – w połowie kolumny – poraził mnie jak dotyk kabla pod napięciem. Fala smrodu potu i kwaśnego mleka; mógłbym przysiąc, że poczułem ten zapach w sali, jakby ktoś przycisnął mi go do twarzy jak szmatę nasączoną chloroformem.

Martin obserwował mnie z obojętną miną.

– Tak – odezwałem się po chwili. Głos mi drżał. Nie mogłem tego opanować. – To ten.

– Skąd go znasz?

– To on, on... – Z trudem nabrałem powietrza do płuc; Martin czekał. – To jeden z tych, którzy włamali mi się do mieszkania. Ten mnie zaatakował. Rzucił się na mnie pierwszy. Biłem się z nim.

– Jesteś pewien.

– Tak.

– No i proszę. Mówiłem, że mam zwyczaj zamykać swoje sprawy. – Martin podał mi długopis, zbyt nieoczekiwanie. Wzdrygnąłem się i nie złapałem, musiałem podnieść go z podłogi. – Napisz, który numer poznajesz, skąd go znasz, podpisz razem z datą i inicjałami przy jego zdjęciu.

– Kto... – Opadłem na jeden z foteli, zadowolony, że mam pretekst. – Kto to jest?

– Nazywa się Dean Colvin. Dwadzieścia lat. Bezrobotny.

Nie o to mi chodziło, nie to chciałem wiedzieć, ale nie potrafiłem sformułować pytania...

– Jak go znaleźliście?

Następna kartka, tym razem z jedną fotografią. Złoty zegarek na dewizce; nawet w ostrym świetle i na jaskrawobiałym tle zmatowiały połysk złota zachował w sobie dawny spokój. Wygrawerowane ozdobne inicjały, CRH.

– Poznajesz? – spytał Martin.

– To zegarek mojego dziadka – powiedziałem. – Ten, który mi zostawił.

– Ten, który ukradziono ci z mieszkania.

– Tak.

– Napisz to na tej kartce, podpis i data.

Zacząłem od tego; nie miałem ochoty znowu patrzeć na tamtą twarz. To zegarek, który dostałem po dziadku. Długopis ślizgał się po kartce; wyglądało to jak pismo pijanego.

– Deano twierdzi, że wygrał go od kogoś w karty jakiś rok temu czy dwa lata temu. Oczywiście nie pamięta, od kogo. Skoro

go zidentyfikowałeś, będziemy mogli utracić tę historyjkę. Chociaż... – wzruszył ramionami – twoje słowo nie jest aż tyle warte. Zwłaszcza po tym wszystkim.

– Jak... jak go znaleźliście? – powtórzyłem.

– Deano lubił ten zegarek. Czuł się z nim elegancki. – Rzucił okiem na mój sfatygowany T-shirt i wypłowiła dzinsy; teraz trochę mniej elegancko. – Dlatego nie próbował go zastawić ani sprzedać. Gdyby to zrobił, mielibyśmy go już przed rokiem, ale on po prostu go sobie zatrzymał. Dopiero dwa miesiące temu zrobili mu nalot na mieszkanie, bo jego brat handlował prochami. Chłopaki zauważyły cebulę na stoliku nocnym Deana. Uznali, że nie bardzo tam pasuje. Wzięli zegarek, sprawdzili w systemie i wyszła twoja sprawa. – Ruchem głowy wskazał kartkę. – Masz z tym jakiś kłopot?

– Nie, wszystko w porządku.

– Dostaniesz zegarek z powrotem. Kiedy wszystko załatwimy. Reszta twoich rzeczy przepadła, od razu je sprzedali.

– Czyli ostatecznie to był... przestępca. – Martin nie odpowiedział. – Kiedy to się stało, mówił pan chyba, że gdyby chodziło o kogoś z... z waszych stałych klientów, wiedzielibyście, kto...

– Tak mówiłem. Wiedzielibyśmy. Deano miał na koncie parę bójek, drobiazgi. Włamania jeszcze nie miał.

– W takim razie dlaczego ja? – zapytałem.

– On w rodzinie jest artystą – wyjaśnił Martin. – Na wszystkich ścianach w sypialni olejne pastele. Niektóre całkiem niezłe.

Czekał. Kiedy się zorientował, że nie mam pojęcia, o czym mówi, dodał:

– Pamiętasz tę wystawę, nad którą pracowałeś, kiedy cię pobili? Młodzi Artyści Dresiarze czy coś w tym guście? Jednym z nich był Deano.

– Co? – spytałem po chwili, która wydała mi się bardzo długa.

– Naszym zdaniem mógł zauważyć u ciebie ten zegarek, kiedy ten twój Tiernan przyprowadził go do galerii. Albo zwrócił uwagę na twój wóz. Spodobał mu się. Wziął brata czy kumpla i pewnej nocy poszli za tobą do domu.

W głowie miałem tylko stanowcze i niewzruszone NIE. Pech, po prostu głupi pech; wybrałem zły dzień na wzięcie zegarka i przez to trafiłem tutaj...

– Nie – powiedziałem.

Martin patrzył na mnie z kamienną twarzą.

– W takim razie co?

Przebłysk czegoś, co wiedziałem dawno temu i w jakiś sposób zapomniałem, ale nie mogłem...

– Nie wiem – przyznałem po chwili, która musiała być długa.

Martin oparł się tyłkiem o parapet i włożył ręce do kieszeni.

– Parę razy rozmawialiśmy z Tiernanem – odezwał się po chwili – po tym, jak cię napadli. Sprawdzaliśmy tu i tam, szukaliśmy jakichś kłopotów, urazów, konfliktów. Powiedział nam, że ta historia z Gougerem nie była z twojej... Och, cholera jasna, Toby – spojrzał na mnie z niesmakiem – oczywiście, że wiedzieliśmy. W dziesięć minut zrozumieliśmy całą historię. Tiernan mówił, że to nie była twoja wina, że on wszystko wymyślił, a ty nie miałeś z tym prawie nic wspólnego. Ucieszył się, że zachowałeś pracę, bo dzięki temu mogłeś mu kiedyś w przyszłości pomóc. Był przekonujący. Tak samo jak Deano

i reszta tych gówniarzy. Nie mieli pojęcia o Gougerze, nie mieli pojęcia o tobie, nie mieli pojęcia, o czym mówimy. A ty uparcie twierdziłeś, że nikt nie miał do ciebie żadnej urazy. No więc... – wzruszył ramionami – wyglądało na to, że to żaden trop. Ale jeżeli Tiernan wciskał nam kit, jeżeli był niezadowolony, że szef wywalił go na zbity pysk, a ty tylko przez parę dni stałeś w kącie...

– Tiernan to zorganizował – powiedziałem. To powinno mnie zwalić z nóg, ale nie czułem się nawet zbytnio zaskoczony.

– Może tak, może nie.

– To on. – Tiernan. Gdy próbowałem go sobie wyobrazić, w pamięci stawał mi tylko obraz z otwarcia jakiejś wystawy. Tiernan dorwał mnie, aby podzielić się ze mną oburzeniem, że jedna z artystek odmówiła mu, chociaż nigdy nie był dla niej niemiły; narzekał z okruchami kanapki na brodzie, podczas gdy ja mruczałem „Mhm” i próbowałem podejść do osób, z którymi powinienem rozmawiać. Zawsze uważałem Tiernana za mało znaczącą i nieco żalowaną postać... przy tych rzadkich okazjach, kiedy w ogóle o nim myślałem.

– Masz jakiś dowód? Groził ci, oskarżał o coś?

– Nie pamiętam. Może. – Właściwie byłem prawie pewien, że dostałem SMS-a od Tiernana po tym, jak wybuchła afera z Gougerem. Przypomniałem sobie te trzy dni nudy w mieszkaniu, gdy próbowałem się do niego dodzwonić i zapytać, czy mnie wsypał, a odzywała się tylko poczta głosowa. – Nie może pan z nim znowu porozmawiać? – Nie chciałem, żeby Martin odpuścił. – Zapytać, przesłuchać...

Na jego twarzy odmalowała się jeszcze większa obojętność.

– Tak, pomyśleliśmy o tym. Tiernan trzyma się poprzedniej wersji. Deano trzyma się wersji z kartami.

– Ale oni kłamią. Tiernan to... to mięczak, jeżeli go pan mocniej przycisnie...

Wszystko było jasne jak słońce. Z punktu widzenia Tiernana winę za fiasko z Gougerem automatycznie ponosił ktoś inny, a ja byłem pierwszy w kolejce. Wrzucił Gougera na wystawę jako jeden z talentów, których historie łapią za serce, ale to ja zrobiłem z chłopaka gwiazdę. Namówiłem Tiernana, żeby skłonił Gougera do namalowania całej serii obrazów, kazałem mu składać Richardowi codzienne relacje z telefonicznych rozmów z młodocianym artystą. Tyle że Tiernan gdzieś popełnił błąd, coś pomylił... Przyciskając wtedy ucho do drzwi gabinetu, słyszałem krzyki Richarda, coś o telefonie... Gdybym nie wetknął w to nosa, Richard nie zwróciłby szczególnej uwagi na Gougera i wszystko byłoby w porządku. A tak Tiernan wyleciał z pracy, a mnie się upiekło.

Wybrał więc ze swojej gromadki najbardziej stukniętego dresiarza, naopowiadał mu bajeczek o złoczyńcy, który chce pogrążyć całą wystawę i pozbawić ich szansy na to, by zostali nowym Damienem Hirstem. Pokazał bogatego drania z superwozem, wielkim telewizorem, nowym xboxem; zadowolonego z siebie palanta, który aż się prosi o lanie. I wysłał go do mnie.

– W każdym razie Deano kłamie – powiedział Martin. – Co do Tiernana nie jestem pewien. Jeżeli to on, nie możemy tego udowodnić, chyba że ktoś zacznie mówić. A nie zacznie. Oni nie

są głupi. – Z bezbarwnym uśmiechem dodał: – Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

Było coś zdumiewającego w tym, że Tiernan nigdy w życiu nie przypuszczał, do czego to może doprowadzić. Pewnie myślał, że to drobiazg, słodki lizaczek złośliwej satysfakcji, który może possać, skoro świat nie chce go nakarmić tym, na co zasługuje. Coś takiego jak mój niewinny kawał z mailami do Dominica.

– Będziesz musiał złożyć zeznanie w sądzie – poinformował mnie Martin. – Jeżeli w ogóle dojdzie do procesu. Będziemy w kontakcie.

– Ale... – Właśnie zrozumiałem, dlaczego to brzmi trochę znajomo. – Myślałem o tym. Że to mógł być Tiernan. – Dawno temu, jeszcze w szpitalu, gdy zaczęła mijać najgorsza faza zamroczenia, pierwszą osobą, o której pomyślałem, był Tiernan.

– Gratuluję. Gdybyś zechciał nam wtedy o tym wspomnieć, może do czegoś byśmy doszli.

Szaleństwo, myślałem wtedy, jeszcze jeden dowód na defekt mózgu. I wyrzuciłem to z głowy. Okazało się, że od początku miałem rację.

– To chyba było głupie – przyznałem.

Martin patrzył na mnie. Zieleń trawnika za jego plecami stała się jeszcze intensywniejsza, połyskliwa i niepokojąca.

– Nie przyjdzie ci do głowy – odezwał się w końcu – żeby coś zrobić Tiernanowi, prawda?

– Nie.

– Bo to by nie było mądre. Raz może ujść na sucho... jak widać. Za drugim razem nie będziesz miał tyle szczęścia.

– Nie chcę mu nic zrobić.

– Dobrze. Nie skrzywdziłbyś muchy. Podpisz i wstaw datę. Nie będę tu sterczał cały dzień.

Napisałem coś, starając się wolno oddychać i nie patrzeć na zdjęcie.

– Jeżeli się nad tym zastanowić – dodał Martin – to ten, który ci przyłożył w głowę, wyświadczył ci przysługę. Gdyby nie to, odsiadywałbyś dożywocie w Mountjoy.

Zabrzmiało to nie tylko nieprawdziwie, ale wręcz oburzająco, ale gdy gwałtownie uniosłem głowę, napotkałem jego oczy, zimne, badawcze i cyniczne jak u mewy.

– Okay – powiedziałem. – Proszę. – Oddałem mu kartki.

– Ci dwaj... jeżeli zostaną skazani, nie trafią na dwa lata do luksusowego pudła z lawendową pościelą i altanką, gdzie będą opowiadać terapeutom o swoich problemach.

– Aha.

– No więc nie masz co się denerwować tym, że Tiernan nie dostał tego, na co zasługuje. Prawda?

Znowu zimne oczy mewy.

– Nie wiem – bąknąłem.

– Do zobaczenia. – Zatrzasnął brązową teczkę. Zabrzmiało to jak groźba. – Bądź grzeczny.

– Jestem.

– To dobrze. Byle tak dalej – powiedział, po czym wcisnął teczkę po pachę i wyszedł z sali, nie oglądając się na mnie.

\* \* \*

Byłem grzeczny. Przeszedłem przez swój indywidualny program, przez terapię kognitywną, żeby wyleczyć zespół stresu pourazowego, chodziłem na terapię zajęciową, która miała mnie nauczyć samodzielnego i pożytecznego życia, poddawałem się fizjoterapii, żeby poprawić sprawność nogi i ręki, wykonywałem ćwiczenia logopedyczne, aby pozbać się bełkotliwej wymowy. Lekarze mnie lubili; chyba stanowiłem miłą odmianę, bo problemy ogromnej większości pacjentów były wrodzone i należało je traktować jak cukrzycę albo mukowiscydozę, bez perspektywy prawdziwej poprawy. W moim przypadku uważali, że mogą do czegoś dojść. Może i doszli, w każdym razie byli zadowoleni z moich postępów. Kiedy za trzecim podejściem dostałem zgodę na warunkowe zwolnienie, wszyscy sprawiali wrażenie naprawdę zachwyconych. Stałem się przykładem ich sukcesu.

Ivy House już od dawna nie było. Rodzice wynajęli dla mnie najlepszych adwokatów, jakich można było zdobyć (Susanna z pewnością wytknęłaby to jako jeszcze jeden powód, dla którego nie odsiadywałem dożywocia jak jakiś nafaszerowany sterydami diler hery), a cena ich usług, jak można się było spodziewać, okazała się zawrotna. Biegli psychologowie, którzy poświęcili niezliczone godziny na zadawanie mi zagmatwanych i wyczerpujących pytań oraz przeprowadzanie mnóstwa niezrozumiałych testów, też nie cenili się nisko. Decyzja, by sprzedać Ivy House i pokryć te rachunki, podobno zapadła jednomyślnie. Wszyscy się zgodzili, że tego życzyłby sobie Hugo.

Mojej pracy też nie było. Richard serdecznie mnie za to przeprosił, jakbym się spodziewał, że będzie czekał na mnie

w nieskończoność, bo może kiedyś wrócę. Gdyby nawet czekał, nie wiem, czy potrafiłbym ją wykonywać. Różne formy terapii bardzo mi pomogły – jeśli chodziło o powiekę, podobno mogłaby ją naprawić tylko operacja, ale bełkot był ledwie słyszalny, chyba że byłem zmęczony, podobnie jak utykanie. Siła lewej ręki wciąż pozostawiała nieco do życzenia, lecz nauczyłem się wielu sztuczek, jak sobie z tym radzić. W umyśle jednak wciąż ziały czarne dziury, w których wznosił się kurz. Trudno mi było wykonywać skomplikowane instrukcje; potrzebowałem terminarza pełnego list, żeby nie przeoczyć rzeczy, które mam zrobić i które już zrobiłem, a mimo to zdarzało mi się tracić ogromną ilość czasu albo nie wiedzieć, jaki jest dzień. Na samą myśl o dawnej pracy bez stałego porządku – w której nikt nie mówił mi, co mam robić, a ja zręcznie zonglowałem dwunastoma piłeczkami naraz – kręciło mi się w głowie.

Musiałem mieć pracę, aby spełnić warunki zwolnienia, i przez jakiś czas miałem wizję, jak codziennie przez dwanaście godzin ładuję palety towaru w magazynie pełnym imigrantów, którzy serdecznie mnie nie znoszą i plują mi do lunchu, ale gdy wyszedłem, znowu uratowała mnie rodzina. Oliver użył swoich wpływów w dużej agencji PR i znalazł mi sympatyczną, prostą pracę, którą mógłby wykonywać – i pewnie wykonywał wcześniej – piętnastolatek na praktyce zawodowej. Zatrudniłem się, używając drugiego imienia (Charles, po dziadku; mówiono mi Charlie). Nie jestem pewien, czy moi współpracownicy dali się na to długo nabierać – kiedy wyszedłem, w tabloidach pojawiło się parę tytułów, SZALONY czy ZABÓJCA POLICJANTA NA WOLNOŚCI, z zamazanym, pochodzącym Bóg wie skąd zdjęciem,

z którego spoglądałem złowrogo zza ciemnych okularów – ale przynajmniej dzięki zmianie imienia klienci nie domagali się, by zakazano mi dostępu do faktur, żebym przypadkiem nie wyśledził ich domów i nie zarąbał ich siekierą w łóżkach. Praca była w porządku. Wokół miałem radosnych dwudziestolatków prowadzących szalone życie towarzyskie i przeciążonych obowiązkami trzydziestolatków, którzy mieli skomplikowane problemy z opieką nad dziećmi; wszyscy byli programowo przyjaźni, ale nikt nie poświęcał mi szczególnej uwagi, co absolutnie mi nie przeszkadzało. Zapraszali mnie w piątki na drinka; czasami z nimi siedłem, chociaż w ich ulubionym pubie było głośno i zwykle po godzinie bolała mnie głowa. Jedną dziewczyną, ruchliwą i pełną energii rudowłosa Caoimhe, byłaby chyba gotowa pójść ze mną na randkę, gdybym ją poprosił, ale nie poprosiłem. Nie żebym się bał, że zbrukam jej niewinność czy coś w tym rodzaju, nie posunąłem się tak daleko. Nie mogłem po prostu wykrzesać z siebie aż tyle emocjonalnego zaangażowania.

Szczerze mówiąc, w ogóle miałem problem z uczuciami wobec kogokolwiek, nie tylko Caoimhe. Kiedy ogarniało mnie coś w rodzaju poczucia straty, nawet drobiazgi mogły doprowadzić mnie do łez – mróz na ciemnej szybie okna, wątle pędy zieleni wyrastające ze szpary w chodniku – ale gdy chodziło o ludzi, nie czułem nic. Wiedziałem oczywiście, że to ma coś wspólnego z tamtą nocą w ogrodzie, lecz nie byłem pewien co: czy od wybuchu wściekłości wszystko we mnie spłonęło i wyparowało, pozostawiając wypaloną ziemię; czy kiedy nie udało mi się skutecznie popełnić samobójstwa, za daleko przekroczyłem linię i nie mogę znaleźć drogi powrotnej?

Plus tej sytuacji był taki, że to, co powiedziałem Martinowi, okazało się prawdą: nie miałem najmniejszej ochoty robić nic złego Tiernanowi. Czekałem na wściekłość, na chęć, by go znaleźć i pogruchotać mu kości, nic takiego jednak nie nastąpiło. Może z powodu pustki, może sesje ze szpitalnymi lekarzami osiągnęły cel, a może w głębi duszy byłem mniej pewien, niżbym sobie tego życzył, że Tiernan ma coś wspólnego z włamaniem. Tiernan był przecież bardzo ostrożny. Kiedy wstawiał parę lewych obrazów na wystawę, mało nie narobił w spodnie, więc myśl, że mógłby zrobić coś, za co groziło więzienie, musiałaby go przyprawić o zawał serca. Nie byłem jednak pewien, czy utrata pracy nie stanowiła dostatecznie silnego wstrząsu, aby to zmienić. Niezależnie od tego, jaki był powód, nie miałem ochoty więcej myśleć o Tiernanie. Gdybym mógł przejść bardzo szczególny rodzaj lobotomii, przy której wycięto by mi z mózgu wszystkie wspomnienia o jego istnieniu, zgodziłbym się na to bez wahania.

Miałem nadal mieszkanie, które rodzice wynajęli miłej parze młodych nauczycieli... a może pielęgniarce i pielęgniarzowi. Nie zamierzałem go im odbierać. Czynnikiem razem z moją śmiesznie niską pensją wystarczał mi na to, by mieszkać, gdzie chciałem, zwłaszcza że pieniądze właściwie nie były mi potrzebne na nic innego. W szpitalu tematem wielu rozmów były plany, co kto chce zrobić po wyjściu (turnieje pokera, podróże po greckich wyspach, zabawa w agencjach towarzyskich), ale takie fantazje snuli zwykle ludzie, którzy nigdzie się nie wybierali. Tym z nas, którzy mieli szansę wyjść, znacznie trudniej było to sobie wyobrazić. Teraz, gdy byłem wolny, nie wydawało mi się to

bardziej realne ani bardziej dostępne niż z perspektywy szpitala. Nie umiałem wymyślić, co takiego szczególnego chciałbym robić, prócz zaszywania się w nowym mieszkaniu, klikania na przypadkowe linki w internecie i oglądania całej masy kiepskich programów w telewizji.

Nie potrafiłem jednak tkwić w jednym miejscu. Objawy stresu pourazowego znacznie osłabły – dzięki terapii kognitywnej albo upływowi czasu, nie wiem, w każdym razie nie wzdrygałem się już na każdy głośniejszy dźwięk ani nie reagowałem nerwowo, gdy ktoś zbliżał się do mnie z tyłu. Mogłem wychodzić z domu nawet po zmroku. Kłopot sprawiało mi jedynie spędzanie nocy w domu. Gdy wprowadzałem się do nowego miejsca, było w porządku, ale po kilku miesiącach – jak gdybym czuł na karku blask zbliżającego się reflektora albo kropkę celownika – zaczynałem się denerwować. Najpierw dwa razy sprawdzałem zamki i alarmy, później leżałem w łóżku, nastawiając uszu, a potem chodziłem po mieszkaniu, dopóki niebo za oknem się nie rozjaśniło. Wtedy dawałem właścicielowi wymówienie, znajdowałem sobie nowe miejsce i cykl zaczynał się od początku.

Kiedyś – w środku jednej z tych nocy, gdy chodziłem po tanim dywanie w wynajętym mieszkaniu, w ciszy wypełnionej zbyt wieloma ludźmi śpiącymi z każdej strony – zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek opuściłem ten pierwszy szpital. Ivy House, gdy o nim myślę, wydaje się boleśnie nieprawdopodobny, jak szemrząca przystań ze sfatygowanej książeczki z dzieciństwa, przesycony we wspomnieniach złotą mgiełką, która kryje w sobie niebezpieczną tajemnicę. Czy to miejsce naprawdę mogło istnieć w tym ponurym, nudnym

świecie zalanym tweedami, kalkulatorami węglowodanów, korkami i *Big Brotherem*? Czy Hugo, roztargniony i dobroduszny, krążący po swoich pokojach, mógł rzeczywiście istnieć? Czy kiedykolwiek miałem kuzynów? Rano, stłoczony w wagonie kolejki z setkami pasażerów, którzy parując od deszczu, z maniacką zawziętością śmigają palcami po ekranach telefonów, wiem, że to nonsens, ale nocą... Nocą w przypiływie głębokiego żalu nie mogę przestać zastanawiać się, czy wszystko od tamtej nocy nie było tylko wybuchem światła umierającej gwiazdy, ostatnim błyskiem elektryczności przed zwarciem.

Przypuszczam, że ostatecznie nie ma to znaczenia, a w każdym razie nie takie, jak można by sądzić. Tak czy inaczej, jestem, gdzie jestem: w następnym mieszkaniu, które pachnie nieznanymi posiłkami, jest zawieszona zbyt wysoko nad ziemią, oświetlone zbyt wieloma nagimi stuwatowymi żarówkami, ma za dużo zamkniętych na klucz okien i drzwi. I choć czasem nie mogę się powstrzymać przed sięganiem myślą do alternatywnych rzeczywistości (chodzę po drewnianej podłodze białego georgiańskiego domu z posapującym przez sen dzieckiem na ramieniu, a w pokoju obok śpi Melissa), to dobrze wiem, że spośród wszystkich możliwości ta jest przynajmniej najdalsza od najgorszych.

Może właśnie dlatego nadal uważam się za szczęściarza: teraz bardziej niż kiedykolwiek nie mogę myśleć inaczej. Nawet jeśli w tym długim dziwnym czasie od tamtej kwietniowej nocy nie uświadomiłem sobie wielu rzeczy, to z jednej na pewno zdałem sobie sprawę: kiedyś wierzyłem, że szczęście jest na zewnątrz, że decyduje o tym, co mi się przytrafia, a co nie; rozpędzony

samochód omija mnie w ostatniej chwili, idealne mieszkanie zostaje wystawione na sprzedaż dokładnie w momencie, gdy zaczynam szukać dla siebie lokum. Wierzyłem, że gdybym miał stracić szczęście, traciłbym coś cennego – telefon najnowszej generacji, drogi zegarek – ale wcale nie niezbędnego; zakładałem, że bez tego nadal będę sobą, może ze złamaną ręką i bez okien wychodzących na południe. Teraz wydaje mi się, że byłem w błędzie. Myślę, że szczęście było wbudowane we mnie, jak zwornik łączący moje kości, złota nić zszywająca razem tajemnicze gobeliny DNA. Myślę, że to był klejnot błyszczący u mojego źródła, który nadawał barwę wszystkiemu, co robiłem, każdemu słowu, jakie wypowiadałem. A jeżeli szczęście w jakiś sposób zostało ze mnie wycięte, a ja nadal istnieję bez niego, to kim jestem?

## Od autorki

Od dwudziestego piątego maja 2018 roku słowa Susanny ze strony 187 straciły aktualność. Po uchyleniu 8. Poprawki do Konstytucji Irlandii kobiety w ciąży zgodnie z prawem mogą wyrazić zgodę na opiekę medyczną lub jej odmówić.

## Podziękowania

Składam stokrotne dzięki niesamowitemu Darleyowi Andersonowi oraz wszystkim w agencji, zwłaszcza Mary, Emmie, Pippie, Rosannie i Kristinie; Andrei Schulz, mojej wspaniałej redaktorce, której wielkie umiejętności, cierpliwość i mądrość sprawiły, że książka stała się znacznie lepsza, niż sądziłam; Benowi Petrone'owi, który jest po prostu świetny, a także wszystkim z Vikinga; Susanne Halbleib i pozostałym z Fischer Verlage; Katy Loftus za jej wiarę w tę książkę i wskazanie mi rzeczy, która miała największe znaczenie; mojemu bratu, Alexowi Frenchowi, za to, że przysłał mi link do historii o Belli w więzienie i za detale informatyczne; Fearghasowi Ó Cochláinowi za detale medyczne; Ellen z ancestrysisters.com za pomoc w genealogii; Dave'owi Walshowi za olbrzymią pomoc w zawłościach procedur policyjnych; Ciarze Considine, Clare Ferraro i Sue Fletcher, które nadały bieg temu wszystkiemu; Oonagh Montague, Ann-Marie Hardiman, Jessice Ryan, Karen Gillece, Noni Stapleton i Kendrze Harpster za rozmowy, rozrywkę, drinki, wsparcie moralne i praktyczne; Davidowi Ryanowi, obsmarowuję cię tu, na litość boską, uważaj; Sarah i Josie Williams za to, że były megastyczne; mojej matce, Elenie Lombardi; ojcu, Davidowi Frenchowi; i jak zawsze nie znajduję

słów, by wyrazić wdzięczność mojemu mężowi, Anthony'emu Breatnachowi.

# Przypisy

- [1](#) Słowa tradycyjnej irlandzkiej piosenki *Isn't It Grand, Boys?*
- [2](#) *Eneida* Wergiliusza (księga VI) w przekładzie Tadeusza Karyłowskiego.
- [3](#) *Butt* – (ang.) tyłek.